

CZARNA SERIA



Edwardson naprawdę potrafi opowiadać. Błyskotliwie nakreślone sceny układają się w wyjątkową historię.

Norrköpings Tidningar

Kamienny żagiel to świetny kryminał, nie do pobicia zarówno pod względem języka, jak i fabuły.

Norrbottens-Kuriren

Åke Edwardson

Kamienny żagiel

Jeden z najbardziej interesujących szwedzkich pisarzy!
Szósty tom kryminalnej serii o komisarzu Eriku Winterze

Åke

Edwardson

Kamienny żagiel

przełożyli:
Małgorzata Kłos i Paweł Urbanik

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2012

Dla Rity

1.

Po odpływie łodzie przycumowane w zatoce leżały na piachu. Wyglądały, jakby ktoś je poobracał, dzioby miały zwrócone w stronę wykutych w murze schodów.

W jego stronę.

Widział ich kadłuby rysujące się w zmierzchu. Słońce chowało się za widocznym na zachodzie cyplem. Światło gęstniało, zamieniało się w mrok. Mewy skrzeczały pod nisko zawieszonym niebem. Rozpostarte wzdłuż horyzontu niczym żagiel zdawało się wciskać je w powierzchnię wody.

Wszystko było spychane do morza, spychane pod powierzchnię, spych...

O Jezuu, pomyślał.

Jezuu, ocal moją duszę. Ocal MOJĄ DUSZĘ.

*Pierwszy raz w życiu widzę dzień tak szpetny,
A tak świetności pelen¹.*

Usłyszał za sobą jakiś odgłos. Ktoś szedł kamienną ścieżką prowadzącą do kościoła. On też wyglądał, jakby go wykuto w skale. Wyłupano młotem z kamienia, jak wszystko tutaj, pod żaglem nieba. Kolejny raz spojrział w górę. Niebo przybrało taki sam kamienny odcień jak wszystko wokół. Kamienny żagiel. Wszystko z kamienia, nawet morze.

*Kciuk sternika - osła,
Co pewien, że stanie
Dziś w domu - mieszkanie
Znalazł w oceanie.*

Za jego plecami przesuwały się dusze zmierzające do kościoła metodystycznego, żeby zażyć chwili spokoju. Wiedział, że na niego patrzą, czuł na karku ich spojrzenia. Nie sprawiało mu to przykrości, to nie były takie spojrzenia. Wiedział, że ludziom

¹ Ten i wszystkie pozostałe cytaty z *Makbeta* w przekładzie Stanisława Barańczaka, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000 (wszystkie przypisy tłumaczy).

stąd może ufać. Nie byli jego przyjaciółmi, ale też nie wrogami. Przyszło mu żyć w ich świetle i robił to już od dawna, od tak dawna, że stał się czymś więcej niż oni... jakby był częścią tutejszego krajobrazu: kamieni, skał, murów, schodów, falochronów, nieba, morza, dróg. Statków. Trawlerów.

Tych leżących tutaj.

I tych pochowanych pod falami przetaczającymi się przez kamieniołomy rozsiane między kontynentami.

Jezu. O Jezu!

Odwrócił się. Kroki ucichły, zniknęły w kościele, za zamkniętymi drzwiami. Zapaliły się nieliczne latarnie, ale przez to mrok zgęstniał przedwcześnie. Światło gęstnieje stopniowo, powoli zmienia się w mrok. Taka myśl przyszła mu do głowy, gdy ruszył przed siebie. Przedwczesny mrok. Codziennie późnym popołudniem. Przedwcześnie i poniewczasie. Teraz żyję poniewczasie. I to bardzo. Żyję. Jestem kimś innym, kimś nowym. Tamto życie było na kredyt, było rolą, maską, jak ta tutaj. Człowiek przekracza granicę i staje się kimś innym, zostawia swoje dawne ja za sobą.

W ogródku przy schodach prowadzących do biegnącej górą drogi suszyły się dziecięce ubrania. Malutkie rękawy machały do niego.

Przystanął na ulicy. Nad jego głową wznosiły się wiadukty kolejowe. Wyglądały jak tory prowadzące do nieba. Oto tramwaj do nieba: Jezus jest motorniczym, a Bóg konduktorem. Ale tramwaje nigdy tędy nie jeździły. Kiedyś jechał tramwajem, ale nie tutaj. To było w poprzednim życiu, dawno temu. Przed przedwcześnie, zanim przekroczył granicę.

W tej części miasta wiadukty przecinały niebo na całej długości. Kiedyś i tu docierały hałaśliwe pociągi. Ale to już historia. Ostatni skład przejechał tędy w 1969 roku. Może był tu wtedy.

W 1888 roku wybudowano tę kamienną trasę do nieba. Czy i to widział? Możliwe. Może był częścią kamienia, z którego wzniesiono wiadukt.

I tylko to jest we mnie, czego nie ma.

Tutaj go przyniosło i tutaj został.

Nie.

Został tu, ale z innego powodu.

Przeciął drogę, ruszył dalej w stronę North Castle Street i wszedł do stojącego na skrzyżowaniu pubu. W środku nie było nikogo. Po chwili z zaplecza wyszła kobieta. Widział ją już kilka razy. Kiwnął głową w stronę kurków na barze.

- Fuller, tak? - zapytała i ze stojącej przy kasie sterty pozmywanych naczyń wzięła szklanę. Nie zdążyła ich jeszcze poustawiać na półkach.

Znowu skinął głową. Kobieta napełniła szklanę i postawiła ją przed nim. Patrzył, jak wzburzony płyn powoli się klaruje, jak niebo po niepokodzie albo morskie dno po sztormie.

Zamówił whisky. Wskazał na jedną z tańszych marek. Butelki stały za jej plecami. Postawiła przed nim szklanę. Upił trochę i wzdrygnął się.

- Wieczory są coraz zimniejsze - powiedziała.

- Mhm...

- Trzeba się jakoś rozgrzać, co?

- Hmm...

Wypił łyk piwa. Potem whisky. Czuł ciepło rozchodzące się po brzuchu. Kobieta pokiwała głową, jakby na pożegnanie, i zniknęła na zapleczu.

Zastanawiał się, czy i ona przyjdzie dziś po południu.

Zza ściany dobiegł głos z telewizora. Rozejrzał się. Wciąż nie było nikogo poza nim. Wypił kolejny łyk. I znów się rozejrzał, jakby szukał niewidzialnych postaci. Było tak jak zawsze - był sam. Samotny gość. Gość. Był gościem, zawsze tylko gościem.

Nie bał się tego, co miało nadejść.

Lepsza groza rzeczy,

Które istnieją, niż groza majaków.

Wypił do końca whisky, piwo też wychylił do dna. Wstał i wyszedł.

Niebo pociemniało. Wiadukty wyglądały jak sylwetki prehistorycznych zwierząt. Prehistoria. Północny wiatr

dmuchał mu w twarz.

Wyszedł na drogę. Nic nie jechało. Miasto połyskiwało w dole światłami. Morze było całkiem ciemne. Zatrzymał się, ale nie dostrzegł ani jednego jaśniejszego punktu. Czekał, ale widział tylko mrok. Wyprzedził go jakiś samochód. Nie odwrócił się. Pachniało morzem. Ostry wiatr kłuł go w twarz, jakby w nią wbijał igły. Wymacał ręką broń. Miał ją w kieszeni. W głowie miał huk morza i jeszcze coś, krzyk.

Jezu!

Wiedział, że to się musi skończyć.

2.

Od morza dzieliło ich jakieś dwieście, dwieście pięćdziesiąt metrów. Szli plażą, po której nikt jeszcze nie stąpił. To my możemy zostawić pierwsze ślady, pomyślał.

Niebo wisiało wysoko nad nimi, ciągnęło się w nieskończoność. Słońce raziło, chociaż mieli okulary słoneczne. Morze się ruszało, ale tylko trochę. Jego powierzchnia wyglądała jak złoto poprzątkane srebrem.

Elsa krzyknęła na widok wody i puściła się biegiem wzdłuż brzegu, po kamykach, których setki tysięcy mieszały się z milionami milionów ziarenek piasku.

Erik Winter odwrócił się do Angeli. Kucała i przesypywała piach między palcami.

- Jeśli potrafisz oszacować, ile ziarenek piasku masz w dłoni, czeka cię wspaniała nagroda - powiedział.

Popatrzyła na niego. Podniosła drugą rękę, żeby osłonić oczy przed słońcem.

- Jaka nagroda? - zapytała.
- A ile ziarenek piasku masz w dłoni?
- A ty niby skąd wiesz ile?
- Wiem - odparł.
- Co to za nagroda? - powtórzyła.
- Ile jest ziarenek?
- Czterdzieści tysięcy - odpowiedziała.
- Źle.
- Źle?
- Źle.

- A skąd, do cholery, miałbyś to wiedzieć? - Podniosła się i popatrzyła na Elbę. Zbierała kamyki piętnaście metrów od nich. Angeli nie potrafiła powiedzieć, ile ziarenek może mieć w dłoni. Podeszła do mężczyzny swojego życia, zanim zdążył odpowiedzieć: intuicja.

- Chcę dostać nagrodę. Chcę nagrodę!
- Ale nie odpowiedziałas dobrze.
- Na-gro-da, na-gro-da! - zawołała i objęła go niczym zapaśnik, próbując zamknąć odwrotny chwyt w pasie. Elsa

zapatrzyła się na nich, upuściła kilka kamyków. Widząc to, Winter uśmiechnął się do swojej czteroletniej córeczki, a potem do drugiej kobiety swojego życia, która właśnie przymierała się do półnelsona. Szło jej całkiem nieźle. Poczł, że stopy zaczynają mu się suwać w sandałach, a sandały w piachu. Całkiem na serio zaczął tracić równowagę i powoli przewrócił się na piasek, jakby przyciągnięty przez magnes. Angela upadła na niego. Nie przestawał się śmiać.

- Na-gro-da! - krzyknęła kolejny raz.

- Na-gro-da! - powtórzyła Elsa. Zdażyła już podbiec do siłujących się rodziców.

- Dobrze już, dobrze - powiedział Winter.

- Skoro już zmądrzałeś, to przyznaj, że zgadłam. - Angela mocno chwyciła go za ramiona. - No przyznaj!

- Prawie zgadłaś - odparł. - Przyznaję.

- To dawaj nagrodę!

Angela usiadła okrakiem na jego brzuchu, Elsa usadziła się na klatce piersiowej. Mimo to wcale nie było mu trudno oddychać. Podniósł prawą rękę i wskazał na ład.

- Co? Co to ma być? - zapytała.

Winter znów wyciągnął rękę i pomachał.

- Nagroda - powiedział. Słońce raziło go w oczy. Ciemne okulary zsunęły mu się z nosa. Czł zapach soli, piachu i morza. Mógłby tak leżeć, i to długo. I często. Przychodzić tu. Zostawiać ślady na piasku.

Z domu.

Przychodzić tu z domu. Mógłby stać w pobliskim sosnowym zagajniku.

Angela spojrzała na plażę. Potem na niego. Na morze. I znów na plażę i na niego.

- Naprawdę? - zapytała. - Poważnie o tym myślisz?

- Tak - odparł. - Zgadłaś. Kupujemy tę działkę.

Aneta Djanali nie zdażyła nawet schować legitymacji. Kobieta, która przed chwilą otworzyła jej drzwi, natychmiast je zamknęła. Nie zdażyła zobaczyć jej twarzy. Dojrzała tylko cień i oczy połyskujące w dogasającym świetle dnia. Tylko ono

rozpraszało mrok za drzwiami.

Kolejny raz nacisnęła dzwonek. Obok niej stała policjantka z miejscowego komisariatu. Pani posterunkowa. Nie mogła mieć za sobą więcej niż kilka miesięcy służby. Żółtodziób. Wyglądała, jakby dopiero co skończyła liceum. Chyba się nie bała, ale też nie wyglądało na to, żeby ją to bawiło.

Nie była podekscytowana. To dobrze.

- Idźcie sobie - dało się słyszeć zza drzwi. Głos był stłumiony sam w sobie, dodatkowo zagłuszała go podwójna warstwa forniru dzieląca kobietę od nich, przedstawicielkę wymiaru sprawiedliwości.

- Musimy z panią chwilę porozmawiać - powiedziała Aneta do drzwi. - O tym, co się stało.

- Nic się nie stało - odpowiedziała kobieta.

- Dostałyśmy zgłoszenie - odparła Aneta.

Kilka niewyraźnych dźwięków.

- Słucham? - zapytała Aneta.

- To nie od nas.

Aneta usłyszała, jak za jej plecami ktoś otwiera i natychmiast z powrotem zatrzaskuje drzwi.

- To nie było pierwsze zgłoszenie - powiedziała. - To już któryś raz. Młoda policjantka przytaknęła.

- Pani Lindsten... - próbowała dalej Aneta.

- Idźcie sobie.

Musiała podjąć decyzję. Mogłaby tak stać i stać, a sytuacja stawałaby się coraz bardziej kłopotliwa. Dla wszystkich.

Z trudem przypomniawszy sobie twarz Anette Lindsten. Ale przypomniawszy sobie. Może teraz była pobita. Może to dlatego.

Wtargnięcie do środka mogłoby się okazać błędem nie do naprawienia.

Równie dobrze mogłoby być jedynym właściwym krokiem. To, co teraz zdecyduje, może o wszystkim przesądzić. Przesądzić o przyszłości.

Podjęła decyzję. Schowała odznakę, którą wciąż jeszcze trzymała w ręku, dała znać umundurowanej policjantce, a potem odwróciła się i ruszyła do windy.

Zjeżdżały na dół, żadna z nich nie odezwała się ani słowem.

Gdyby chciały, mogłyby się zająć czytaniem napisów na ścianach. Aż się na nich roilo się od nabazgranych na czerwono i czarno wiadomości.

Znów zerwał się wiatr. Słyszała tramwaje jadące przez Citytorget. Masywne domy zdawały się maszerować w takt. Zajmowały każdy skrawek przestrzeni, miejscami wpychały się aż na niebo. Budynki stojące przy Fastlagsgatan wyglądały, jakby się ciągnęły przez całą linię horyzontu.

Niektóre, te po drugiej stronie ulicy, już zburzono. Został po nich krater. Domy zbudowane przed czterdziestu laty wreszcie rozebrano i znów - przynajmniej na jakiś czas - ukazało się niebo. Dziś było niebieskie, przeraźliwie niebieskie. Wrześniowe niebo, które przez całe lato zbierało kolory, było już gotowe. Oto ja - słynne skandynawskie niebo.

Było ciepło. Temperatura jakby dojrzała, jakby stężała w powietrzu.

Babie lato, pomyślała. Tak to się nazywa, choć nadal nie wiem dlaczego. Ile razy miałam zamiar to sprawdzić. Tym razem to zrobię. Jak tylko wrócę do domu. Sprawdzę to.

Dziwnym trafem właśnie teraz zauważyła tabliczkę z nazwą ulicy, którą wcześniej przejeżdżały: Brittsommarsgatan². Mój Boże. A samochód zostawiły na Allhelgonagatan³. Tu można szybko przejść od jednej pory roku do drugiej. Zresztą Årstedsgatan⁴ też jest niedaleko. W okolicy zgromadzono cały czas, wtłoczono go w okrąg na północ od Kortedala Torg. Ulice adwentu, drugiego dnia świąt, Wigilii, kwietnia i czerwca.

Nie widziała ulicy września, ale były inne: zmierrchu, świtu, poranka.

Tutaj każdemu mogą wybić wszystkie godziny dnia i roku, pomyślała. Jechała na południe, w stronę innej cywilizacji. Miała wrażenie, że przekraczają granicę.

Na Citytorget bawiły się dzieci. Rozmawiały po arabsku. Z centrum handlowego wyszły kobiety w chustach na głowach.

² Brittsommarsgatan - ulica Babiego lata.

³ Allhelgonagatan - ulica Wszystkich Świętych.

⁴ Årstedsgatan - ulica Pór Roku.

Na rogu był sklep z gramami. Sprzedawano w nim też warzywa. Naprzeciwko kwaciarnia. Plac był podzielony na dwie części: jasną, oświetloną słońcem, i ciemną, zacienioną.

- Spotkałaś już Anette Lindsten? - zapytała Aneta młodą policjantkę siedzącą na fotelu pasażera.

Dziewczyna pokręciła głową.

- A kto ją widział?

- Masz na myśli kogoś od nas? - zapytała policjantka.

Aneta przytaknęła.

- To znaczy, czy ktoś się z nią spotkał?

Aneta kolejny raz skinęła głową.

- Z tego co wiem, to nikt.

- Nikt?

- Nigdy nikogo nie wpuściła.

- Ale pięć razy ktoś dzwonił i zgłaszał, że jest bita?

- Tak.

- Czy ktoś ze zgłaszających się przedstawił?

- Nno... parę razy tak. Sąsiadka. - Dziewczyna odwróciła się do Anety. - Ta, z którą rozmawialiśmy.

- Tak, wiem.

Minęły fabryki na Gamlestaden. Zbliżały się do centrum. Już widziały domy stojące na obrzeżach Bagaregården. Zbudowano je dla ludzi z innej cywilizacji. Piękne domy, każdy dla jednej rodziny, może dwóch. Można się było wokół nich przechadzać, cieszyć się, że właśnie tutaj się mieszka i że ma się dość pieniędzy, żeby sobota trwała cały tydzień. Aneta nagle zaczęła się zastanawiać, czy w dzielnicy, którą właśnie opuściły, jest ulica soboty. Może nie. Może urzędnicy miejscy zatrzymali się na czwartku albo poniedziałku. Ulica Poniedziałku. To właśnie tędy przebiega granica. Tam to poniedziałek trwa cały tydzień.

- To się nie może tak ciągnąć - powiedziała Aneta.

- Co zamierzasz zrobić?

- Co zamierzam zrobić? Myślę, że chyba pora zbadać miejsce popełnienia przestępstwa.

- A można tak?

- Nie znasz przepisów? - Aneta szybko odwróciła głowę w

stronę młodszej koleżanki. Wyglądała, jakby ją ktoś zagiął na egzaminie i oblał. - To podpada pod oskarżenie wniesione przez oskarżyciela publicznego - dodała łagodniejszym tonem. - Jeśli podejrzewam, że ktoś jest ofiarą przemocy, mogę wejść do domu i sprawdzić, jak wygląda sytuacja.

- I zrobisz to?

- Czy wejdę do domu Lindstenów? Może to już najwyższa pora.

- Ona mówi, że teraz mieszka sama.

- Ale mąż ją odwiedza?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Ona nie wspomniała o tym ani słowem.

- Ale sąsiedzi nam powiedzieli?

- Jedna sąsiadka mówiła, że go widziała.

- Żadnych dzieci? - zapytała Aneta. - Nie mają dzieci?

- Nie.

- W takim razie odwiedzimy go. - Tego drania, dodała w myślach. Tak właśnie o nim myślała. - Tego drania... - wymamrotała.

- Co mówiłaś?

- Odwiedzimy jej męża - odpowiedziała. Znów odwróciła się w stronę młodszej koleżanki i poczuła, że się uśmiecha.

Kiedy wchodziła do kamienicy, był już wieczór. Na klatce unosił się swojski zapach. To jej dom, czy raczej dom, w którym mieszka, w którym *wynajmuje mieszkanie*. Czowała, że to jej dom. Dobrze się czuła w tej starej mieszczańskiej kamienicy przy Sveagatan. W samym centrum. Mogła dojść pieszo prawie wszędzie. Mogła też zdecydować, że nie idzie, a potem zmienić zdanie.

Winda powoli wjechała na górę. To też lubiła. Lubiała otwierać drzwi i zbierać listy z drewnianej podłogi. Lubiała rzucać kurtkę tam, gdzie stała, niedbale zdejmować buty i patrzeć na wielką muszlę, która od zawsze stała na komodzie, i na wiszącą nad nią afrykańską maskę. Lubiała przechodzić w skarpetkach do kuchni, wstawiać wodę, parzyć herbatę, czasami sięgać po piwo czy kieliszek wina. Lubiała to.

Lubiła samotność.

Czasami ją to przerażało.

Przecież człowiek nie powinien być sam. Tak sądzą inni. Kiedy się jest samotnym, to znaczy, że coś jest nie tak. Samotności się nie wybiera. Samotność to kara. Wyrok.

Nie. Ona nie zasłużyła na żadną karę. Podobało jej się to, że może sobie tak siedzieć i decydować, czego chce i kiedy.

Siedziała na kuchennym krześle, bo miała ochotę. Woda w czajniku zaczynała się już gotować. Właśnie miała wstać, żeby zrobić herbatę, kiedy zadzwonił telefon.

- Tak?

- Co robisz?

Fredrik Halders, kolega z pracy. Bardzo specyficzny. Może nie tak jak kiedyś, ale nadal dość specyficzny, jeśli go porównać z innymi.

Dwa lata temu zginęła jego była żona. Potracił ją pijany kierowca.

Nie myślę już o niej jako o swojej eks, powiedział jakiś czas potem. Sprawiał przy tym wrażenie, jakby trochę majaczył.

Kiedy to się stało, on i Aneta pracowali ze sobą już od jakiegoś czasu. Potem zaczęli się spotykać. Poznała jego dzieci. Hannesa i Magdę. One powoli zaczęły akceptować - tak naprawdę akceptować - jej obecność w domu.

Lubiła Fredrika. Zaczęli ze sobą rozmawiać inaczej niż na początku.

Tego też się bała. Dokąd ich to zaprowadzi? Czy chce wiedzieć? Czy ma odwagę, żeby sobie to uświadomić?

Usłyszała jego głos:

- Co robisz?

- Nic. Dopiero wróciłam.

- Nie chciałabyś iść wieczorem do kina? - Nie dał jej odpowiedzieć, mówił dalej: - Córką Larrindera chce dorobić jako opiekunka do dzieci. Sama zadzwoniła. Bo pytał mnie dziś o to, więc powiedziałem, żeby się ze mną skontaktowała. - Larrinder od całkiem niedawna pracował z nimi w wydziale śledczym. - A ona zadzwoniła od razu!

- Otwierają się przed tobą całkiem nowe możliwości.

- No nie? I prowadzą do kina.

Kino było sto metrów od jej domu. Spojrzała na swoje stopy. Wyglądały na spłaszczone, jakby ktoś je przygniótł prasą. Widziała filiżankę herbaty czekającą na nią na blacie. Oczyrna wyobraźni widziała łóżko i książkę. Widziała siebie, pewnie już za chwilę zapadającą w sen.

- Fredrik, dzisiaj nie dam rady. Jestem wykończona.

- To ostatnia szansa.

- Dzisiaj? Dzisiaj jest ostatnia szansa?

- Tak.

- Kłamiesz.

- Tak.

- *Bien*, w takim razie jutro wieczorem. Już dziś przygotowuję się mentalnie, żeby jutro się udało.

- Okej.

- Na pewno okej?

- Jasne, że tak. A co, do cho... a jak myślisz? Co robiłaś po południu?

- Byłam w Kortedala. Facet podejrzany o bicie żony.

- Tacy są najgorsi. Złapałaś go?

- Nie.

- Nie mieliście zgłoszenia?

- Nie od żony. I jak się okazało - od sąsiadów też nie. Ale to już piąty raz.

- I jak wyglądała? - zapytał Halders. - Było bardzo źle?

- Pytasz o obrażenia? Nie widziałam jej. Chociaż próbowałam.

- Trzeba było jakoś wejść.

- Myślałam o tym, kiedy stamtąd odjeżdżałam. Nie mogłam przestać o tym myśleć.

- Potrzebujesz kogoś do pomocy?

- Tak.

- Jutro? - zaproponował Halders.

- Jutro nie dam rady. Muszę się zająć kradzieżami w kawiarniach w Högsbo.

- To daj znać, będę w gotowości.

- Dzięki, Fredrik.
- A teraz porządnie odpocznij i przygotuj się mentalnie na jutro, dziewczynko.

- *Bonsoir*, Fredrik.

Z uśmiechem odłożyła słuchawkę. Zaparzyła herbatę. Poszła do salonu i włączyła płytę. Usiadła na sofie. Czowała, jak jej stopy wracają do dawnego kształtu. Słuchała zwiewnego pustynnego bluesa Alego Farki Tourégo. Przywodził jej na myśl Burkina Faso.

Wstała i zmieniła płytę. Włączyła Gabina Dabirégo - wielkiego muzyka z Burkina Faso. Wybrała *Kontômé*, jego album z 1990 roku. To jej muzyka. Jej kraj. Nie ten kraj, w którym się urodziła i w którym żyje. Jej kraj.

Kontômé to wizerunek boga, który można znaleźć w każdym domu w Burkina Faso. U niej wisiał w holu, nad komodą. Symbolizował duchy przodków, światło przewodnie rodziny i wszystkich ludzi.

Światło, pomyślała. Kontômé rozświetla drogę. Jesteśmy mu wdzięczni za to, kim jesteśmy teraz i kim będziemy w przyszłości. Kontômé nam pomaga, gdy nic losu rozwija się na naszej drodze.

Tak. Wierzyła w to. Miała to we krwi. Tak właśnie powinno być.

Gabina Dabiré śpiewał *Siza*, wyznawał swoją prawdę:

*Prawda, powiedz mi prawdę
Bo nasze dzieci, nasi starcy, nasi mędrcy
I sama natura
Nie znają zła
Prawda uwalnia od brzydoty niewinności.*

Urodziła się w Göteborgu. Jej rodzice pochodzili z Górnej Wolty, którą w 1984 roku przemianowano na Burkina Faso. Kraj pozostał jednak taki sam - skrajnie ubogi, wietrzny, jak muzyka, której przed chwilą słuchała, kraj sawann, które zmieniły się w pustynię, i wody, której nie było. Burkina Faso przecinają trzy duże rzeki płynące na południe: Mouhun, Nazinon i Nakambe. Dawniej nazywano je inaczej - Czarną,

Czerwoną i Białą Woltą - ale wody było w nich nadal tyle samo. Podczas suszy owiewane północnym wiatrem, harmattanem, sawanny zmieniały się w pustynie. Rzeki wyschły. To od nich pochodziła dawna nazwa kraju. Kiedyś Anecie wydawało się, że nazwa odkurzacz też pochodzi stamtąd. Zapytała o to nawet tatę.

Ten kraj nie miał szczęścia.

Sucha Wolta. Biedna Wolta. Chora Wolta. Wolta Pełna Przemocy. Niebezpieczna Wolta.

Jej rodzice przyjechali do Szwecji w latach sześćdziesiątych, kilka lat po tym, jak ich kraj odzyskał niepodległość. Uciekali przed prześladowaniami.

Jej tata siedział jakiś czas w więzieniu.

Równie dobrze mógł zostać skazany na śmierć. Równie dobrze. Czasami było to tylko kwestią szczęścia. Rodzice wywodzili się z ludu Mossi, który stanowił większość. Ale nikogo to nie obchodziło. Pierwszemu prezydentowi kraju, Maurice'owi Yaméogo, przywódcy Union Démocratique Voltaïque, coraz dalej było do *démocratique*, a coraz bliżej do rządów autorytarnych. Zdelegalizował partie opozycyjne, a potem, w roku 1966, sam został obalony, kiedy wojsko dokonało puczu.

I tak dalej, i tak dalej. Ponura spirala się rozwijała. Katastrofalna susza, katastrofalna polityka. Kłęska głodu, wymarłe bydło. Demonstracje, strajki. Pucze. Egzekucje, coraz więcej egzekucji.

Dawna kolonia francuska po dawnych czasach odziedziczyła grozę i mordy. Dokonywano ich na Francuzach już od końca dziewiętnastego wieku. I choć Francuzów już tam nie było, pozostał po nich język. Afrykańczycy, z których ust płynęła francuska mowa, uznana za język oficjalny.

Aneta nauczyła się francuskiego jako dziecko, tu, w Göteborgu. Była jedynaczką. Kiedy już była dorosła i od dawna była policjantką, jej rodzice zdecydowali się wrócić do Wagadugu, stolicy Burkina Faso.

Dla Anety było oczywiste, że zostanie w kraju, w którym się urodziła, ale rozumiała, dlaczego rodzice chcieli wrócić tam,

gdzie się urodzili, zanim będzie za późno.

Właściwie już było prawie za późno. Mama zmarła po dwóch miesiącach. Pochowano ją w wypalanej czerwonej ziemi na północnych obrzeżach miasta. Podczas pogrzebu Aneta widziała napierającą ze wszystkich stron pustynię. Rozciągała się na milionach metrów kwadratowych. Pomyślała wtedy, że w tym pustynnym kraju żyje dwanaście milionów ludzi, niewiele więcej niż w pustynnej, choć inaczej, Szwecji. Tutaj ludzie są czarni, niewiarygodnie czarni. A ubrania mają białe, niewiarygodnie białe.

Jej tata bardzo długo się zastanawiał, czy to nie ich powrót przyczynił się, choćby pośrednio, do jej śmierci.

Została z nim w Wagadugu tak długo, jak chciał. Z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami chodziła po ulicach, na których mogła przecież spędzić całe życie, a na które wracała jako obca. Wagadugu miało mniej więcej tylu mieszkańców co Göteborg.

Wyglądała jak wszyscy. Była niewiarygodnie czarna i nosiła niewiarygodnie białe ubrania. Potrafiła się porozumieć po francusku, przynajmniej z tymi, którzy skończyli szkołę. Z innymi mogła się jako tako dogadać w moré. I czasem to robiła.

Nie zwracając niczyjej uwagi, mogła tak iść i iść, aż do przedmieść, aż do pustyni, która atakowała miasto wiatrem, harmattanem. Czuła go, siedząc w domu taty. W okrągłej chacie, która w promieniach słońca wyglądała na białą, niewiarygodnie białą. Słońce i niebo też były białe.

Usłyszała wiatr, szwedzki wiatr. Brzmiał bardziej krągłe, miękko, chłodniej. Ale na dworze nie było zimno. Było babie lato. Właśnie. Podeszła do regału stojącego przy ścianie w głębi pokoju i sięgnęła po leksykon. Nazwa babie lato nawiązuje do późnej kobiecej miłości.

Zadowolona odłożyła opasy tom na półkę. Poszła do łazienki, rozebrała się i odkręciła ciepłą wodę. Powoli ułożyła się w wannie. W domu było bardzo cicho. W pokoju zadzwonił telefon, włączyła się automatyczna sekretarka. Nie słyszała głosu, tylko przyjemny dla ucha pomruk. Zamknęła oczy i poczuła, że jej ciało unosi się w gorącej wodzie. Myślała o

ciepłym wietrze i o luksusie, jakim jest pełna wody wanna. Mimo woli właśnie to przyszło jej do głowy. Spróbowała odegnać myśl o wodzie i luksusie.

Na kilka sekund zobaczyła twarz kobiety. I drzwi. Najpierw się otworzyły, potem zamknęły. Światło zmierzchu. Połyskujące w nim oczy. Po chwili zniknęły. Oczy pełne strachu.

Wciąż zaciskała powieki. Teraz widziała wodę, jakby płynęła pod powierzchnią, unoszona przez prąd, przez morski wiatr.

3.

Winter jechał rowerem na zachód, przez Vasagatan. Już tysięczny raz, może więcej niż tysięczny. Powinien naoliwić łańcuch i dopompować przednie koło.

Kawiarnie przy bulwarze były otwarte. Kiedyś gdzieś przeczytał, że na tej ulicy jest najwięcej kawiarni w Szwecji. Prawdopodobnie również w całej Europie Północnej. Często się używa tego określenia. Czasami, na przykład teraz, się nad tym zastanawiał. Gdzie przebiega granica Europy Północnej? Na wysokości Münster? Antwerpii? Warszawy? Rozbawiły go te rozważania. Może na wysokości Göteborga.

Tak czy inaczej, kawiarni było tu sporo. W ogródkach siedziały setki ludzi.

W zeszłym roku rozegrała się tu wojna, właśnie tu, na tym spokojnym bulwarze, którym teraz jechał.

Ktoś postrzelił młodego mężczyznę w plecy, niemal śmiertelnie. Nie wiadomo było, czy wcześniej próbował uderzyć rannego policjanta kamieniem wyrwanym z bruku w głowę, czy nie. Poprzedniego wieczoru bojowo usposobieni demonstranci starli się z bojowo usposobionymi policjantami. Stał wtedy na balkonie i obserwował. Kręciło mu się w głowie, miał mdłości. Vasaplatsen zmieniło się w oblężoną twierdzę.

Najcięższa bitwa w Europie Północnej.

W tamten czarny weekend w Göteborgu byli przedstawiciele UE. Przyjechali na szczyt. Cała Europa przysłała swoich reprezentantów. Był też prezydent USA.

Byli też tacy, którzy nie chcieli żadnej reprezentacji.

Wszyscy byli ofiarami, każdy na swój sposób. Młodzi demonstranci, ci, którzy rzucali kamieniami i walczyli. Ci, którzy stali obok. Ci, którzy chcieli tylko porozmawiać, może przemaszerować po swoje prawa.

Policjanci, ci miękczy i ci twardzi, ci wystraszeni i ci szaleni, chorobliwi fani siłowni, faszyci, socjaliści, umiarkowani. Pacyfiści. Komandosi. Też byli ofiarami. Niektórzy z nich płakali w głębi duszy jak dzieci.

Policja nie potrafiła im zapewnić pomocy psychologicznej.

Hanne Östergaard pracowała po godzinach, bezustannie. Była pastorem, pracowała dla policji na pół etatu. Ale taki wymiar godzin to już przeżytek. W dzisiejszym świecie sumienia i targane rozterkami dusze policjantów potrzebują więcej niż półetatowej pomocy.

Najgorsze było całe to planowanie przed szczytem. Albo raczej jego brak. Nie, do cholery, nie chciał teraz o tym myśleć. Nikt nie chciał już o tym myśleć ani tym bardziej rozmawiać.

Tydzień później Halders omal nie dał w szczękę policjantowi z oddziału prewencyjnego. Własnemu koledze po fachu. Zaskoczył tym wszystkich, ale nie jego. W głębi duszy Halders od zawsze był socjalistą. Gdybym tam wtedy był, tobym, kurwa, maszerował razem z tymi dzieciakami, powiedział. I dostałbyś kulkę w głowę, odpowiedział mu Bergenhem. Tobym dostał, powiedział Halders. Przecież wiadomo, że sami dla siebie możemy stanowić zagrożenie. Sytuacja była trudna, stwierdził Ringmar. A dlaczego? - zapytał Halders. W którym momencie zrobiła się trudna? Kiedy nasi szturmowali szkołę Hvitfeldska i kazali czternastolatkom leżeć nago na kamiennej podłodze? Gdzie to było? W Buenos Aires? W Santiago? W Montevideo? Nie, w Góte-kurwa-borgu! Szturmowali, bo byli do tego zmuszeni, wtrąciła Aneta. Niewielu z nich tego chciało. No to dlaczego to, kurwa, zrobili? - zapytał Halders. Tylko po to, żeby zaprowadzić porządek? Wysoki sędzie, musiałem zaprowadzić porządek. Czy to nie brzmi znajomo? Halders rozejrzał się po pokoju. Nie wszyscy

zaprowadzają porządek, odpowiedziała Aneta. Podczas demonstracji na Järntorget wycofali oddziały prewencyjne.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Za oknami panowało cudowne lato. Winter marzył o wyprawie nad morze. Beznadzieja, do kurwy nędzy - tak podsumował straszne wydarzenia minionego tygodnia. A potem prawie wszyscy porozjeżdżali się na urlopy, w stronę morza i nieba.

Winter jechał przez Heden, przez boiska. Myślał o morzu i o niebie rozpiętym niczym żagiel nad zatoką, nad którą być może się przeprowadzi. Nad którą zacnie nowe, inne życie. Tak.

Może to już najwyższa pora. Nowy rozdział w życiu.

Rozmawiali o tym w samochodzie. Elsa spała na tylnym siedzeniu. Słońce było już w drodze do innych miejsc. Angela przez chwilę prowadziła jedną ręką, drugą obejmowała go za szyję.

- Czy to przypadkiem nie jest niebezpieczne? - zapytał.
- Mnie nie pytaj. To ty jesteś policjantem.
- Czy to dobra decyzja?

Zrozumiała, o co mu chodzi.

- Nie podjęliśmy jeszcze żadnych kroków - odpowiedziała.
- To tylko działka.
- Tak, nie ma się czym przejmować.
- Mamy przecież ładne mieszkanie.
- Nad zatoką też jest ładnie.
- No tak - przyznał. - Jest ładnie.
- Jest cudownie.

Komenda przyjęła go z otwartymi ramionami. Fasada budynku wyglądała zachęcająco, jak zawsze. Przy wejściu unosił się ten sam zapach co zwykle. To, ile razy go przebudują, nie ma większego znaczenia, pomyślał i skinął głową recepcjonistce. Ona też kiwnęła głową. Do niego, ale również do kogoś, kto stał za nim. Otworzyła okienko.

- Ktoś na pana czeka - powiedziała, wskazując na kogoś.

Winter się odwrócił i zobaczył kobietę. Siedziała na obitej sztuczną skórą sofie. Kiedy zaczęła się podnosić, dostrzegł jej profil odbity w szklanej gablocie. Dowództwo komendy kazało w niej umieścić policyjne czapki i kaski z całego świata. Na znak przekraczającej granice państw przyjaźni między policjantami. Było tam też kilka pałek. Zapewne miały umocnić tę przyjaźń. Dokładnie tak kiedyś powiedział. Wtedy, gdy wkrótce po tym, jak gablota tu stanęła, mijał ją z Ringmarem. Ringmar stwierdził, że według niego najfajniejszy jest hełm tropikalny z Włoch. Założę się, że z Abisynii, odparł Winter. Ten daszek idealnie osłaniał ich przed słońcem, kiedy wyrzynali tamtejszą ludność.

Kobieta była w jego wieku. Jej włosy, mimo że ciemne,

połyskiwały jasno. Może zjaśniały od słońca. Miała szeroką twarz i duże oczy. Miał wrażenie, że już kiedyś je widział, ale musiało to być dawno. Miała na sobie džinsy, sportowy sweter, który wyglądał na drogi, i krótki żakiet. Wreszcie ją rozpoznał.

Wyciągnął dłoń.

- Chyba się już kiedyś spotkaliśmy - powiedział.

Odwzajemniła uścisk. Dłoń miała suchą i ciepłą. Popatrzyła mu prosto w oczy. Pamiętał to spojrzenie.

- Johanna Osvald. Z Donsö.

- No tak.

Usiedli w jego pokoju. Wciąż pachniało latem - zamkniętym pokojem i suchym powietrzem. Na biurku leżały papiery sprzed wakacji. Nad nimi też unosił się zapach, zapach śmierci.

Odkąd się stało... to, nie miał ochoty przegłądać tej przekłętej sterty.

Chciał zapomnieć, ale nie potrafił. Wiedział, że musi się uczyć na błędach, na własnych błędach, ale to było bolesne doświadczenie, boleśniejsze niż wszystkie inne.

Będzie musiał poprosić Möllerströma, żeby zabrał te papiery do piwnicy.

Popatrzył na Johannę Osvald. Kiedy szli do jego biura, nie odezwała się ani słowem, jakby chciała z tym zaczekać, aż zostaną sami.

Musiało upłynąć ze dwadzieścia lat.

Zdawał sobie sprawę, że nic o niej nie wie. Nic poza tym, że ma znamie w lewej pachwinie. A może w prawej. I że raz ugryzła go w wargę. I że czuł, że świat wiruje, kiedy siadała na nim i poruszała się coraz szybciej, aż wreszcie w tym samym momencie co on eksplodowała. A potem, w kulminacyjnej chwili, zrzucił ją z siebie.

Świat wciąż wirował. Ona się śmiała. A potem nurkowali w morzu, jak zawsze. Później odpłynął łódką na wyspę, na której mieszkał. Spędzili ze sobą lato. Nawet niecałe. Miesiąc. Niewiele zdążył się o niej dowiedzieć. Cały ten romans był swoistą tajemnicą. Czasami miał wrażenie, że to był tylko sen.

To w pewnym sensie kwintesencja młodości, pomyślał.

Wyśnione tajemnice. A jednak to nie był tylko sen. Przecież siedzi teraz w jego biurze. Od tamtego lata nie widział jej ani razu. To też tajemnica. I wtedy zaczęła mówić.

- Pamiętasz mnie, Eriku?

- Tak, kiedy tylko się przedstawiłaś, od razu sobie przypomniałem.

Widział, że chciała jeszcze coś dodać, ale zamilkła. Zaczęła od nowa.

- Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o moim dziadku?

- Tak...

Tak. Pamiętam historię jej dziadka. Pamiętam nawet, jak się nazywał.

- John - powiedział. - John Osvald.

- Rzeczywiście pamiętasz.

- Ty się nazywasz całkiem podobnie.

Nie rozbawiło jej to. Nigdy się nie uśmiechała. To też sobie przypomniał. Ten wyraz twarzy.

- A pamiętasz, że zaginął podczas wojny?

- Tak.

- Naprawdę pamiętasz czy tylko tak mówisz?

- Naprawdę. Podczas wojny twój dziadek musiał się ukryć w jakimś porcie w Anglii. Opowiadałaś mi o tym. I o tym, że potem zaginął na morzu. Wracając z tego połowu... z Anglii.

- Ze Szkocji. To była Szkocja. Najpierw musieli się schronić w Aberdeen.

- Aha.

- Mój tata nie miał nawet roku, kiedy dziadek wypłynął po raz ostatni. W 1939 roku.

Winter się nie odzywał. To też sobie przypomniał. I jej łzę. Spadła mu na ramię, paliła go w skórę. Czy tak właśnie było? Tak. Czuł, jak płakała. Opowiadała mu to dawno temu, ale i teraz ten temat wywoływał łzy. Może to były przede wszystkim łzy jej taty. Rozumiał to, ale chyba nie do końca, przynajmniej nie wtedy. Gdyby usłyszał to teraz, byłoby inaczej. Teraz był już kimś innym.

- A brat mojego taty jeszcze się nie urodził. Przyszedł na świat dopiero trzy miesiące po ostatniej wyprawie dziadka.

Brat. O tym zapomniał. Nie było wtedy mowy o bracie.

- Zmarł na krzywicę, kiedy miał cztery lata - dodała Johanna. - Mówię o wujku.

Nagle otworzyła mały plecak i wyciągnęła list. Trzymała go w podniesionej dłoni, jakby na coś czekała. Z dystansem, jakby nie chciała z nim mieć nic wspólnego. Winter widział to już wiele razy. Listy, które zjawiały się niczym obce ptaki, czarne ptaki. Listy z wieściami, na które nikt nie czekał. Czasami adresaci zjawiali się u niego wraz z nimi. Ale kto powiedział, że on je chętnie przyjmie?

- Co to jest? - zapytał.

- List.

- Widzę - odpowiedział z uśmiechem. Johanna chyba go odwzajemniła. A może to tylko gra światła. Przeskakiwało po pokoju to

tu, to tam. Babie lato właśnie zaczynało się niepokoić o swoją przyszłość.

- Wtedy przyszedł stamtąd list - wyjaśniła. - Ten list.

- Stamtąd? Ze Szkocji?

Przytaknęła, pochyliła się do przodu i położyła przed nim kopertę.

- Ze stemplem pocztowym z Inverness.

- Aha.

- Na odwrocie nie ma nadawcy

- A list jest podpisany?

- Nie. Otwórz, to zobaczysz.

- Ale chyba nie ma w nim białego proszku, co?

Chyba nieznacznie się uśmiechnęła.

Wyciągnął list z koperty. Cienki tani papier w linie. Wyglądał, jakby go wyrwano ze zwykłego notatnika. Dwie linijki tekstu, drukowanymi literami po angielsku.

THINGS ARE NOT WHAT THEY LOOK LUCE.

JOHN OSWALD IS NOT WHAT HE SEEMS TO BE.

Winter spojrzął na kopertę. Znaczek z brytyjskim monarchą. Stempel i adres:

OSWALD FAMILY

GOTHENBURGH ARCHIPELAGO SWEDEN

- Doszedł do was - powiedział. - Przebył całą drogę, aż na szkiery.

- Widocznie na poczcie trafił na rozgarniętych urzędników.
- Nazwisko jest źle zapisane.
- Zangielszczone.

Winter przeczytał jeszcze raz: Sprawy mają się inaczej, niż się wydaje. Racja, sam doskonale o tym wiedział.

Brzmiało to niemal jak podsumowanie jego zdania na temat pracy śledczego. John Oswald nie jest tym, kim się wydaje. Kim się wydaje.

Wydaje się, że już nie żyje. Więc nie zginął?

- Nigdy oficjalnie nie potwierdziliśmy zgonu - powiedziała Johanna, zanim zdążył zapytać. - Przynajmniej nikt z rodziny tego nie zrobił.

- Ale urzędowo go potwierdzono?

- Tak.

- Ale myślicie...

- A co mamy myśleć? - przerwała mu. - Mamy nadzieję, zawsze mieliśmy... ale łódź zatoniła gdzieś na Morzu Północnym. Z tego co wiem, nikogo nie odnaleziono.

- Z tego co wiesz?

- Przecież była wojna. Nie mogli przeprowadzić poszukiwań w normalnych, bezpiecznych warunkach, że tak powiem. Ale nie... ale ani babcia, ani tata nigdy nie dostali wiadomości, że dziadek żyje. Ani że odnaleziono kogoś z pozostałych członków załogi.

- Kiedy to się stało?

- Ten wypadek?

- Tak.

- Niedługo po tym... po tym, jak musieli szukać schronienia. Po tym, jak mimo min przedostali się jakoś na wybrzeże Szkocji. Przecież wojna już się zaczęła. Łódź zaginęła w 1940 roku. Wiosną.

- Ile lat miał wtedy twój dziadek?

- Dwadzieścia jeden.
- Dwadzieścia jeden? I już miał dwuletniego syna?
- W tej rodzinie wszyscy wcześniej biorą śluby i wcześniej rodzą im się dzieci. Mój tata miał dwadzieścia dwa lata, kiedy się urodziłam.

Winter policzył w myślach.

- Jesteś z 1960 roku?
- Tak.
- Ja też.
- Wiem. Rozmawialiśmy wtedy o tym. Nie pamiętasz?
- Nie.

Zamilkła.

- To ja przerwałam ten łańcuch - powiedziała po chwili.
- Proszę?
- Ślub i dzieci w młodym wieku. Przerwałam to.
- Nie wiedziałem.
- Nie wyszłam za mąż i nie urodziłam dzieci.

Winter zauważył, że użyła czasu przeszłego. Ale wyglądała na mniej niż czterdzieści dwa lata. W dzisiejszych czasach nawet starsze kobiety rodzą dzieci. Nie mam pojęcia, jak teraz żyje.

- A jak się miewa twoja... mama?
- Nie żyje. Umarła trzy lata temu.
- Przykro mi.
- Mnie też.

Uciekła wzrokiem w stronę okna. Rozpoznał to spojrzenie. Z profilu wyglądała jak tamta młoda dziewczyna siedząca w słońcu, na kamieniach.

- Kiedy dostaliście ten list? - zapytał, podnosząc kopertę. Pomyślał, że właśnie zostawił na niej odciski palców. Dodał je do setek innych odcisków, pochodzących z obu stron Morza Północnego.

- Dwa tygodnie temu.
- Czemu przyszedł z tym do mnie?

I czego właściwie ode mnie oczekujesz, dodał w myślach.

- Mój tata pojechał tam dziesięć dni temu. A może dziewięć. Do Inverness.

- Po co?

- Po co? Tak trudno się domyślić? Był zdenerwowany. To oczywiste. Chciał się dowiedzieć. - Popatrzyła na niego. - Wziął ze sobą kopię listu i koperty.

I co chciał tam znaleźć? - pomyślał Winter. Nadawcę?

- To nie pierwszy raz - dodała Johanna. - On... my... próbowaliśmy przecież szukać, ale donikąd nas to nie zaprowadziło.

- Ale jak mógłby znaleźć jakikolwiek nowy ślad tylko na podstawie tego?

Nie odpowiedziała, nie od razu. Widział, że waży słowa. Był przyzwyczajony do takiego widoku. Czasami wręcz widział słowa, które ktoś miał wypowiedzieć, ale nie teraz. Johanna spoglądała to na niego, to w okno.

- Myślę, że... że dostał kolejną wiadomość - powiedziała, nie patrząc na niego. - Może ktoś do niego zadzwonił.

- Tak powiedział?

- Nie, tak mi się wydaje. - Spojrzała na list. Winter odłożył go już na biurko. - Chodziło o coś więcej niż te dwa zdania.

- Dlaczego tak ci się wydaje?

- To przez tę jego decyzję. Kiedy dostaliśmy list, nie zareagował jakoś szczególnie. To znaczy zdenerwował się, naturalnie, ale nic ponadto. Wszyscy się zdenerwowaliśmy. A potem... nagle... stwierdził, że jedzie. Natychmiast. I pojechał.

- I to było dziesięć dni temu?

- Tak.

- I udało mu się coś znaleźć?

Johanna Oswald spojrzała na niego.

- Odezwał się do mnie trzy razy. Ostatnio przed czterema dniami.

- Tak?

- Powiedział, że ma się z kimś spotkać.

- Z kim?

- Nie powiedział. Ale miał się odezwać po spotkaniu. Jak tylko się dowie czegoś więcej. - Johanna pochyliła się do przodu. - W jego głosie słychać było... prawie podniecenie.

- I jak poszło?

- Mówiłam przecież, że wtedy rozmawiałam z nim po raz ostatni. Potem już się nie odezwał. - Winter zauważył w jej oczach strach. - Od tamtej pory nie dał znaku życia. Dlatego przyszłam.

4.

Aneta kolejny raz wybrała się do Kortedala. Dzień był deszczowy, nagle zrobiło się zimniej niż wczesną wiosną. Może nadeszła już jesień.

Zwaliste domy przy Befälsгатan i Beväringsгатan zdawały się maszerować czy też unosić w dal we mgle. Wyglądają jak kamienny okręt wojenny, pomyślała. To jak żywy obraz, jak film.

Nagle przyszła jej na myśl piosenka Pink Floyd *Another Brick in the Wall*. Mury otaczały mieszkających tu ludzi, spychały ich w mgłę.

We don't need no education.

Ale tego akurat potrzebuje każdy. Wykształcenia. Języka. Umiejętności komunikowania się, pomyślała.

Zaparkowała w jednej z uliczek noszącej nazwę miesiąca, może wiosennego, może jesiennego. Nigdzie nie było widać tabliczki. Podeszła do muru, za nim mieszkała Anette Lindsten. To nazwisko zdawało się w jakiś sposób pasować do otoczenia. Lindsten⁵. Prawdziwie szwedzkie nazwisko, złożone z wyrazów nawiązujących do przyrody. Większość szwedzkich nazwisk tak wygląda, pomyślała. Wszystko nawiązuje do przyrody. Z jednej strony coś miękkiego i lekkiego, z drugiej - coś twardego i ciężkiego. Złączone w jedno nazwisko. Jak te kołyszące się domy. Kamienie na wietrze.

Przypomniały jej się oczy wyglądające zza uchylonych drzwi. One też wyglądały, jakby były z kamienia. Czy Anette Lindsten rozmawiała ze swoim mężem? Czy porozmawiali ze sobą? Czy to w ogóle było możliwe? Czy on potrafi rozmawiać? Czy potrafi używać języka? Aneta Djanali wiedziała jedno: ci, którzy nie potrafią wyrazić, co myślą i co czują, często uciekają się do przemocy. Ciosy zastępują im słowa. W tym sensie przemoc jest najbardziej uzewnętrznioną, ekstremalną i najstraszniejszą formą komunikacji.

Czy mąż Anette ją bił? Czy kiedykolwiek jej groził? I kim on

⁵ Lindsten - szw. lind - brzoza, sten - kamień.

właściwie jest? Kim jest ona?

Weszła do budynku. Drzwi były otwarte. Przed domem stał samochód dostawczy, piętrzyło się na nim coś przypominającego orkiestrę. Aneta dostrzegła kant sofy, dwa krzesła, biurko i papierową torbę wyładowaną roślinami. Ktoś się wprowadza albo wyprowadza, pomyślała.

Jakiś mężczyzna około sześćdziesiątki wysiadł z windy. Niósł jakąś pakę, załadował ją na ciężarówkę. Więc ktoś się wyprowadza.

Mężczyzna wrócił i wszedł do windy. Aneta już w niej stała, przytrzymała mu drzwi.

- Ja na piąte - powiedział.
- Ja też. - Aneta wcisnęła guzik.

Na piątym piętrze znajdowały się trzy mieszkania. Kiedy wysiedli z windy, Aneta stwierdziła, że drzwi Anette Lindsten są otwarte na oścież.

Zupełnie inaczej niż ostatnio.

Aneta zrozumiała, że Anette się stąd wynosi. Zobaczyła kartony w przedpokoju, ubrania na wieszakach i krzesła. Kilka zwiniętych dywanów. Słyszała też cichą muzykę z radia. Ktoś nastawił je na lokalną stację komercyjną. Britney Spears. Wszędzie leci Britney Spears.

Doszła do drzwi i zawahała się. Nie wiedziała, czy ma zadzwonić, czy zawołać. Mężczyzna wszedł już do przedpokoju. Odwrócił się. Aneta dojrzała teraz kuchnię. Wszystko już z niej wyniesiono. W mieszkaniu nie było nikogo więcej.

- Tak? Mogę pani w czymś pomóc? - zapytał mężczyzna.

Nie był niemily, ale wyglądał na zmęczonego. Choć to zmęczenie chyba nie było skutkiem dźwigania paczek. Był już całkiem siwy. Na plecach miał plamę potu, układała się na koszuli w niewyraźne V

- Szukam Anette Lindsten - odpowiedziała.

W tym momencie z drugiego pokoju wyszedł inny, młodszy mężczyzna. W ręku miał czarny plastikowy worek wypchany pościelą.

- Co to jest? - zapytał, zanim ten starszy zdążył odpowiedzieć Anecie.

Młodszy mógł być w jej wieku. Nie wyglądał miło. Wzdrygnął się, kiedy ją zobaczył.

- Pani szuka Anette - powiedział starszy. - Anette Lindsten.

Później Aneta przypomniała sobie, że zastanowiło ją, dlaczego wymienił nazwisko.

- Kim pani jest? - zapytał młodszy.

Aneta się przedstawiła i pokazała odznakę. Zapytała, kim są.

- To ojciec Anette, ja jestem jej bratem. O co chodzi?

- Chciałam z nią porozmawiać o...

- Tak, wiemy, o co chodzi, ale to już koniec, więc nie musi już pani z nią o tym rozmawiać - odpowiedział.

- Jeszcze nigdy z nią nie rozmawiałam.

- W takim razie nie ma już takiej potrzeby. Jasne?

Ojciec Anette odchrząknął.

- O co chodzi? - Syn spojrział na niego.

- Peter, nie musisz chyba tak podnosić głosu - powiedział i odwrócił się do Anety. - Lindsten. Jestem ojcem Anette. - Wciąż stojąc w głębi przedpokoju, skinął głową. - A to mój syn, Peter. - Wskazał na niego. - Właśnie zabieramy rzeczy Anette. - Spojrzął na nią spojrzeniem pozbawionym wyrazu. - Anette się stąd wyprowadza.

- Dokąd? - zapytała Aneta.

- A co to za różnica? - odparł Peter Lindsten. - Chyba lepiej, żeby wiedziało o tym jak najmniej osób, nie? To chyba średni pomysł, żeby wszystkie cholerne władze zaczęły się tam teraz zwałać.

- A wcześniej się zwały? - zapytała Aneta.

- Nie.

Jego odpowiedź nie była logiczna, ale Aneta już się do takich przyzwyczaiła.

- Ale pewnie za... - zaczął mówić, ale przerwał mu ojciec:

- Chyba możemy zrobić kawę i porozmawiać o tym na spokojnie. - Spojrzął na Anetę. Prawdziwy ojciec, taki, który zawsze nad wszystkim sprawuje pieczę. Dokładnie w tym momencie, w tej sekundzie, przed oczami stanęła jej pochylona sylwetka jej ojca, ukryta w ciemnym wnętrzu białej chaty na afrykańskiej, pustynnej sawannie. Mrok w środku, światło na

zewnątrz, czarno-biały świat.

On też chciał nadal sprawować nad nią pieczę. To przez nią już nie byli sobie tak bliscy.

- Nie mamy czasu - wtrącił Peter.

- Odlóż te rzeczy i wstaw wodę na kawę - powiedział spokojnie ojciec. Syn odstawił worek. Do tej pory nie wypuszczał go z rąk. Potem posłusznie wykonał polecenie.

Winter przyniósł dwie filiżanki kawy. Jedną postawił przed Johanną Oswald. Wyglądała na spokojną, a jednocześnie sprawiała wrażenie, jakby poczuła ulgę, jakby przychodząc tutaj, odniosła jakieś zwycięstwo.

- Nie wiedziałam, do kogo się zwrócić.

- Wiesz, gdzie mieszka? Tam, w Szkocji.

- Wiem, gdzie mieszkał. Dzwoniłam tam i powiedzieli mi, że już się wyniósł. Cztery dni temu. - Spojrzała na niego. Nie wypila ani łyka kawy. - To jakiś prywatny pensjonat. Nie pamiętam nazwy, ale mam ją gdzieś zapisaną. - Zaczęła przeszukiwać plecak. - Gdzieś tu mam notes. - Kolejny raz popatrzyła na Wintera.

- A gdzie jest ten pensjonat? - zapytał.

- W Inverness. Nie wspomniałam o tym?

Inverness, pomyślał. Most nad rzeką Ness.

- I potem już się do ciebie nie odzywał? Mówił ci, że się stamtąd wyprowadza?

- Nie.

- To co mówił, kiedy dzwonił ostatnio?

- To, co mówiłam. Że ma się z kimś spotkać.

- Z kim?

- Przecież nie powiedział.

- A pytałaś?

- Tak, oczywiście. Ale powiedział, że... że musi tylko coś sprawdzić i że potem się odezwie.

- A co chciał sprawdzić?

- Nie powiedział. I nie, nie pytałam. Ojciec taki jest. Nigdy nie mówi za dużo, a już na pewno nie przez telefon.

- Ale to było coś związanego z zaginięciem? Chodziło o

zaginięcie twojego dziadka?

- Tak... tak przypuszczam. To chyba oczywiste? O co innego mogłoby chodzić?

- Co jeszcze powiedział?

- Jak to?

- Chyba rozmawialiście też o innych rzeczach? Nie tylko o tym, że ma się z kimś spotkać, zapewne w sprawie twojego dziadka.

- Raczej nie... zapytałam, co słyhać tak w ogóle. Odpowiedział, że pada. - Winter stwierdził, że kłamie. Kiepsko kłamie. - Ale w Szkocji to przecież normalne.

- Dzwonił z komórki? Z hotelu? A może z kawiarni albo pubu?

- Właściwie to nie wiem. Wydawało mi się, że dzwoni z... - Wreszcie znalazła notes. Otworzyła go. - Że dzwonił z tego pensjonatu. Nazywa się Glen Islay Bed & Breakfast. - Popatrzyła na niego. -

Ross Avenue, Inverness. Ulica nazywa się Ross Avenue. Wydawało mi się, że właśnie stamtąd dzwonił.

Glen Islay, pomyślał Winter. Jak marka whisky. Znam tę nazwę, ale to nie whisky...

- Dlaczego ci się wydawało, że dzwonił właśnie stamtąd? - zapytał.

- Jak teraz o tym myślę, to wydaje mi się, że mógł o tym wspomnieć. No i on nie ma komórki.

No proszę, więc są jeszcze tacy, którzy nie mają komórek, pomyślał Winter. W kolejnym życiu też będę do nich należał.

- Chciałam mu dać swój telefon, ale się nie zgodził. Powiedział, że na pewno nie będzie działać i że tylko będzie się przez to denerwował podczas podróży.

- Właściwie miał rację - odparł Winter.

- Tak czy inaczej, później już się nie odezwał.

- Naprawdę minęło już dużo czasu?

- Co masz na myśli?

- Cztery dni. Dopiero po czterech dniach zaczęłaś się niepokoić. Może...

- O co ci chodzi? - przerwała mu. - Cały czas się

niepokoiliam. Ale mówiłam ci, że mój ojciec nie należy do tych, co dzwonią codziennie. W końcu do tego codziennego niepokoju doszedł kolejny, na tyle duży, że zadzwoniłam do Glen Is... Glen Is... - Zacięła się i wybuchnęła płaczem.

Winter skamieniał. Jestem idiotą, pomyślał. I nie mogę się zająć tą sprawą jak należy Nagle poczuł, że jest w to zaangażowany osobiście. Muszę znaleźć wyjście z tej sytuacji.

- Jak się nazywa twój tata? - zapytał łagodnie.

- Ax... Axel. Axel Osvald.

Podniósł się. Wziął obie filiżanki i odstawił je na bok, żeby przez chwilę zająć się czymś innym i zacząć myśleć na nowo.

Wrócił na swoje miejsce i usiadł.

- A co ty o tym sądzisz? - zapytał. - Co według ciebie mogło się stać? Jak myślisz?

- Myślę, że przytrafiło mu się coś złego.

- Dlaczego tak myślisz?

- Nie widzę żadnego innego wytłumaczenia. Tylko to wyjaśnia, dlaczego się dotychczas nie odezwał.

Winter myślał. Jak śledczy. Po wszystkich tych myślach i planach, które mu towarzyszyły latem, czuł, że to spory wysiłek.

- Wynajął samochód? - zapytał.

- Nie wiem.

- Ale ma prawo jazdy?

- Tak.

- Czym się zajmuje?

- Jest... stolarzem.

- Zawahałaś się - zauważył Winter.

- Tak... Wcześniej był rybakiem, jak wszyscy w rodzinie. I jak niemal wszyscy na naszej wyspie. Ale skończył z tym.

Winter nie chciał drażnić tego tematu. Pytał dalej.

- Może natrafił na coś... na kogoś, i może jest gdzieś poza Inverness i niedługo się odezwie.

- Och, ależ mi ulżyło, kiedy to powiedziałaś - powiedziała z nagłą ironią.

- Czego w takim razie ode mnie oczekujesz?

- Sama nie wiem. Przepraszam. Myślałam, że ty mi

powiesz.

- Można zacząć go szukać przez Interpol. Jeśli chcesz, mogę ci pomóc.

- Interpol... to chyba bardzo formalna ścieżka. Czy to w ogóle coś da? Nie możesz zrobić nic więcej?

- Johanna, posłuchaj. Nie minęło jeszcze za dużo czasu. I nic nie wskazuje na to, żeby twój ojciec był w niebezpieczeństwie. Może...

- To jak wyjaśnisz ten list? - zapytała, wskazując ruchem głowy na kopertę. Wciąż leżała na biurku.

- Nie potrafię tego wyjaśnić.

- Myślisz, że napisał to jakiś wariat?

- A ty tak właśnie myślisz?

- Sama nie wiem, co o tym sądzić. Wiem tylko, że tata przejął się tym na tyle, że pojechał do Szkocji. Albo dowiedział się czegoś więcej, jak już mówiłam. I że to dziwne, że się do mnie nie odezwał.

Inverness. Winter wstał i podszedł do mapy Europy. Wisiała na ścianie oddzielającej jego biuro od korytarza. Inverness, na północnym krańcu szkockich Highlands. Był tam dwadzieścia lat temu. Jeden jedyny raz. Przesiadł się tam podczas podróży z północy na południe. Pomyślał o kobiecie, która właśnie siedziała za jego plecami. To musiało być tego samego lata...

Zaczął się nad tym zastanawiać. Wciąż studiował mapę. Tak, to mogło być wtedy albo rok później. Było babie lato, wrzesień, jak teraz. Podróżował wtedy, żeby znaleźć cel w życiu. Postanowił właśnie, że rzuci prawo. Skończył kurs wstępny i stwierdził, że na więcej się nie pisze. To było, zanim ostatecznie zdecydował, że zostanie policjantem, a co za tym idzie, będzie chronił ludzi i wpajał im zasady moralne.

Pracował na poczcie. A potem dostał spadek po babci. Ten spadek sporo w jego życiu zmienił. Pożegnał się z listami i postanowił pojechać do Wielkiej Brytanii, bo nigdy wcześniej tam nie był. To miała być prawdziwa wyprawa. Dopłynął promem do Newcastle, a stamtąd pociągiem pojechał do Thurso i Dunnet Head - najdalej wysuniętego na północ krańca wyspy. Potem autobusami, pociągami i stopem dojechał na

kraniec południowy, do Lizard Point. Sam sobie wyznaczył taki cel i już wtedy rozumiał, że od tej pory tak będzie wyglądać jego życie: zmierzał do celu, nie bardzo wiedząc, jak go osiągnąć. A przy tym ta niepewność była metodyczna i zaplanowana.

Dopiero teraz pozwoliłem sobie zaufać własnej niepewności, pomyślał nagle, i kolejny raz spojrzął na mapę, na Inverness. Spędził tam jedną noc w jakimś pensjonacie.

Coś stamtąd pamiętał. Zaczął myśleć o tamtym miejscu. Pamiętał je, bo musiał dojść ze stacji tam, gdzie stały wszystkie pensjonaty. Droga okazała się długa, tak to przynajmniej wspominał. Dłuższa, niż mu powiedzieli w informacji turystycznej na stacji. Zadzwonili do pensjonatu, którego nazwy nie pamiętał, i zarezerwowali mu pokój. A potem ruszył w drogę. Szedł przez centrum, potem przez most, potem przez nowe centrum, które wyglądało, jakby je wzniosła inna cywilizacja, a potem przez dzielnicę willową, w której domy z kamienia i granitu ciągnęły się na prawo i na lewo, i na wprost, i na prawo, i na lewo, i na lewo, i na prawo. Trudno go nie zauważyć. Cóż, wtedy po raz pierwszy zetknął się z Brytyjczykami. Nazwy ulicy, przy której miał stać jego pensjonat, wypatrywał tak długo, że wryła mu się głęboko w pamięć. Pamiętał ją również dlatego, że szukał wtedy alei, ale nigdzie jej nie widział, a już na pewno nie na miejscu: Ross Avenue. Uliczka jak wszystkie inne.

Odwrócił się do Johanny. Czuł, jak ogarnia go zdumienie.

- Nie mówiłaś przypadkiem, że ojciec zatrzymał się w pensjonacie przy Ross Avenue?

- Tak.

Znów spojrzął na mapę.

- Byłem tam. Spałem w pensjonacie przy Ross Avenue. Spędziłem tam jedną noc.

- Co za zbieg okoliczności - usłyszał za sobą.

Nie chciał jej mówić, że to było wtedy, po tamtych wakacjach. Spojrzął na nią. Nagle przyszło mu do głowy coś nowego.

- Znam kogoś, kto pochodzi z okolic Inverness. W dodatku

to policjant.

Ojciec Anette Lindsten nalał kawy i wręczył jej kubek. Jego syn stanął na chwilę przy oknie, wyrztał przez nie, a potem wyszedł i zabrał się do znoszenia paczek.

Aneta przysiadła na krześle w pustej kuchni. Stół się chwia, przechylał się w stronę ściany.

- Dlaczego przyjechała pani właśnie teraz? - zapytał Lindsten.

- Byłam tu parę dni temu i... cóż... nie wyglądało to najlepiej.

- Co?

Aneta sączyła kawę. Była gorąca i mocna.

- Sytuacja.

- To sąsiedzi zadzwonili?

- Tak. I to nie było pierwsze zgłoszenie.

- Ale ostatnie - odparł Lindsten.

- Przynajmniej stąd - dodała Aneta, rozglądając się po kuchni. - Z tego domu.

- Nie - stwierdził Lindsten z przekonaniem. - Nie będzie więcej zgłoszeń. - Wypił łyk kawy, zdecydowanym ruchem. Zauważyła, że gorąca kawa oparzyła go w przelyk.

- Gdzie ona teraz jest? - zapytała Aneta.

- W bezpiecznym miejscu - odpowiedział po chwili.

- Mieszka u pana?

- Chwilowo - powiedział i spojrzał w drugą stronę.

- Wie pan, gdzie jest jej mąż?

- Nie.

- Sprawa jest naprawdę poważna. Także w szerszym wymiarze. Wiele kobiet boi się swoich mężów. Albo byłych mężów. Starają się nie zwracać na siebie uwagi. Muszą się ukrywać. Są i takie, które mają nadzieję, że coś się zmieni. I nie odchodzą.

- W tym przypadku wszystko już się skończyło.

- A kto wynajmuje to mieszkanie? - zapytała Aneta.

- Umowa zawsze była podpisana na Anette. Do końca zostały

jeszcze dwa miesiące, ale, że tak powiem, bierzemy to na siebie. Mieszkanie będzie stało puste.

- Rozmawiał pan z mężem? Z jej mężem?

- Z tym cholernym draniem? Dzwonił wczoraj.

Powiedziałem, żeby się nam więcej nie pokazywał na oczy.

- Myśli pan, że posłucha?

- Jeśli się u nas zjawi, boję się, że nie dam rady powstrzymać Petera. Peter się na niego rzuci. A wtedy na serio będziemy mieć do czynienia z policją.

- Tak, to kiepskie rozwiązanie.

- To jego własne lekarstwo. Jego własne, gorzkie lekarstwo.

Jakieś pudło spadło w przedpokoju na podłogę. Potem usłyszeli, jak Peter Lindsten klnie. Jego ojciec zrobił głową ruch w kierunku przedpokoju.

- Różnica będzie polegać na tym, że tym razem ten skurczybyk będzie się musiał zmierzyć z kimś swojej postury.

Forsblad. Hans Forsblad. Tak się nazywał jej mąż. Aneta sprawdziła to w centrali, która przyjmowała zgłoszenia. Potwierdziła to u kolegów z Kortedala. Sprawa została już zgłoszona do jednostki zajmującej się prawami kobiet.

Forsblad⁶, kolejne prawdziwie szwedzkie nazwisko, pomyślała Aneta. Nawiązuje do przyrody i tak jak nazwisko jego żony łączy w sobie siłę i coś niezmiernie lekkiego. Delikatnego. Które cechy z własnego nazwiska przejawiało każde z nich? Czy powinno się to rozumieć dosłownie?

- On nie ma kluczy do tego mieszkania? - zapytała.

- Zmieniliśmy zamki - odparł Lindsten.

- A gdzie są jego rzeczy?

- On wie, skąd może je odebrać.

Skądś, gdzie słońce nigdy nie dociera, pomyślała Aneta.

- Więc wyrzuciliście go na bruk.

Lindsten się zaśmiał, ale w jego śmiechu nie było radości.

- Od dawna nie spędził tu ani jednej nocy. Bywał tu, to prawda. Ale tylko po to, żeby... żeby... - Nagle smutek

⁶ Forsblad - szw. fors - wodospad, blad - liść.

wykrzywił mu twarz, oczy napełniły się łzami. Szybko odwrócił się do okna, jakby się wstydził, choć nie było czego.

- Nie miał zakazu odwiedzania pańskiej córki - powiedziała Aneta. - Niestety.

- Jakby to miało coś zmienić - odpowiedział stłumionym głosem, ze spuszczoną głową.

- Miałby zakaz, gdyby Anette złożyła na niego doniesienie. Ona albo ktoś inny. Sama mogłabym na poczekaniu podjąć taką decyzję. Byłam gotowa zrobić to teraz. Po to przyjechałam.

Lindsten podniósł wzrok. Oczy wciąż miał szkliste.

- Teraz to już nie ma znaczenia - odparł. - Nic z tego, co pani mówi, nie ma znaczenia.

Zabrzmiało to tak, jakby nagle sam przestał wierzyć w to, co mówi. Znowu coś spadło w przedpokoju i Aneta usłyszała kolejne przekleństwo. Czas się zbierać, pomyślała. Muszą dokończyć tę przeprowadzkę, przenosiny, które mają być początkiem nowego etapu. Aneta miała szczerą nadzieję, że tak właśnie się stanie, że życie kobiety, której twarz widziała przez zaledwie trzy sekundy, zacznie się na nowo.

- Znasz kogoś stamtąd? - zapytała Johanna. Wyglądała, jakby chciała się zbierać do wyjścia. Winter wciąż stał przy mapie. - Kogoś z Inverness?

- Tak. Tak mi się wydaje.

- Twój kolega po fachu? Policjant?

- Tak. Mieszka w Londynie, ale jest Szkotem.

Winter myślał, szukał czegoś w pamięci. A było w niej mnóstwo zakamarków. W końcu przed oczami stanął mu Londyn, komisarz w jego wieku, mówiący ze szkockim akcentem, zdjęcie ładnej żony z

dwójką ładnych dzieci, bliźniaków, twarz komisarza, którą trudno nazwać ładną, ale która mogła się wydawać atrakcyjna. Ta twarz skądś pochodziła. Z jakiejś wioski niedaleko Inverness. Tak mu mówił Steve. Winter spojrział na mapę, skala była beznadziejnie duża.

- Steve Macdonald - powiedział. - Steve stamtąd pochodzi.

- Myślisz, że mógłbyś go zapytać?

- Tak.

Tylko o co? - pomyślał.

- On chyba mógłby sprawdzić, czy tata wynajął samochód.

- To możemy sprawdzić sami. Nawet ty mogłabyś to zrobić.

- No... tak. Ale jeśli twój kolega pochodzi właśnie stamtąd, to może zna kogoś, kto mógłby to... mógłby to w pewnym sensie zbadać. No nie wiem. - Stała przy mapie, obok niego. Sprawiała wrażenie, jakby wcale nie chciała na nią patrzeć, jakby nie chciała oglądać tego kraju, który odegrał tak dużą, ale katastrofalną rolę w życiu jej rodziny. I niewykluczone, że będzie ją odgrywał nadal.

Czuł, że stoi blisko, słyszał jej oddech. Nagle pomyślał, że lata lecą. Całkiem banalne, ale prawdziwe.

- Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, może Steve będzie wiedział, kogo należy zapytać - powiedział, odwracając się w jej stronę.

W co ja się wplątuje? Normalnie taka rozmowa musiałaby się skończyć, zanim by się zaczęła. A teraz mamy sprawę, i to na skalę międzynarodową.

5.

Przystanął na najwyższym ze wzniesień. Widział stojący poniżej kościół. Czasami się w nim modlił, kiedyś, przed laty, modlił się, żeby Jezus ocalił jego duszę. Kościół był jedyną pozostałością naprawdę dawnych czasów. Jedyną, która uchowała się w Newtown.

Kiedy Lord i Lady przenieśli miasteczko, kościół został na swoim miejscu. Powstał w czternastym wieku. W czasach prehistorycznych, poprzedzających czasy wielkich wypraw, czasy żaglowców. Wielkich odkryć.

Swoją drogą, co za brutalne posunięcie! Lord i Lady przenieśli miasteczko. Nie chcieli, żeby leżało tuż przy ich zamku.

Nie chcieli, żeby przy ich siedzibie przebiegała kolej.

Widział stąd także ciągnące się w dole wiadukty. Pięły się w powietrzu, jakby szukały oparcia. Musieli je zbudować właśnie tam, daleko od Lorda i Lady. Nadludzki wyczyn, a jednak im się udało.

Nie było już Lorda ani Lady. Wiele się tu zmieniło, zniknęło. Morze się ostało, ale i ono z roku na rok zdawało się chować coraz niżej. Podczas odpływu trawlerzy cumowały dalej. Ich kadłuby wyglądały w świetle zmierzchu niczym połyskujące szczęki albo ławica orek, które zaczęły oblegać miasto, ale zatrzymał je odpływ.

Stał ponad portem. W powietrzu czuć było siarkę. W powietrzu, pomyślał: to, co wydawało się ciałem stałym, uleciało z wiatrem.

Bolało go biodro. Z każdym dniem coraz bardziej. Nie powinien chodzić, ale chodził. To w końcu jego ciało. To nic takiego. Wiedział, co tak naprawdę ma znaczenie. Wiedział dobrze.

Kiedy przybył tu pierwszy raz, miasto było głównym portem dla wszystkich statków rybackich pływających wzdłuż tej części

wybrzeża, na południe od zatoki Moray Firth.

Było większe niż Keith, Huntly czy nawet Buckie.

The Buckie boys are back in town, powtórzył w myślach.

Wtedy nie został tu długo. Wtedy nie wiedział jeszcze, kim jest i gdzie jest. Tak było. Był jak ślepiec. Teraz już rozumiał, że kiedyś chodził, przystawał i rozmawiał z innymi, ale nie był tego świadom.

Czasami krzyczał przez sen. Budził go własny krzyk. Gdy otwierał oczy, okazywało się, że siedzi wyprostowany na łóżku w swoim lodowato zimnym pokoju. Jego parujący oddech wyglądał jak biały stożek. Krzyk wydawał się zamknięty w tym oddechu. To było przerażające uczucie, przerażające. Gardło miał rozerwane, jakby podcięte nożem. Co takiego krzyczał? Kto go słyszał? Wychodził na ulicę, ale w ciemnych oknach po drugiej stronie nic się nie ruszało.

Nikt go nie słyszał.

Widział stąd światła w leżącym powyżej mieście. Zaledwie kilka jasnych punktów.

Wtedy przez chwilę o niej pomyślał.

Widział budkę telefoniczną, świeciła pośrodku mgły. Telefon nigdy nie dzwonił.

Miał ją poprosić.

Naprawdę miał.

Wcześniej spełniała jego życzenia.

Ale wtedy nie był już tego taki pewien.

Gdy się widzieli ostatni raz, spojrziała na niego tak, jak nigdy wcześniej.

Więc nie zapytał.

Zostawił za sobą port i przeszedł przez Seatown. Domy chyliły się ku sobie, kulily się pod wiaduktami. Szedł do swojego domu, przemierzał ulice bez nazw. *This is where the streets have no names*, pomyślał. Często myślał po angielsku, prawie zawsze.

Czasami wracały urywki dawnego języka, ale tylko wtedy, gdy był mocno poruszony. *Where the streets have no names*. Jeszcze tylko w dwóch miejscach jest podobnie - w niebie i w

piekle.

Był w obu. A teraz przemieszczał się między nimi.

Domy miały numery, choć wyglądało na to, że nie w porządku rosnącym. Siódemka przy dwudziestce piątce, szóstka przy trzydziestce jedynce. On sam mieszkał w czarnym domu na południu. Pod numerem czternastym. Oznaczało to, że był czternastym domem w Seatown. Tak właśnie numerowano tu domy. Żaden inny dom nie był czarny.

6.

Fredrik Halders leżał na sofie ze stopami na oparciu. Nad sofą wisiała niesamowita lampa. A może tylko z jego perspektywy wyglądała tak dziwnie.

- Czy ja już widziałem tę lampę? - zapytał, wskazując palcem na sufit.

- Na to pytanie sam musisz sobie odpowiedzieć - odparła Aneta. Siedziała na podłodze, pochylona nad zdjęciami.

Halders prychnął, tak przynajmniej wydało się Anecie.

Próbował odwrócić głowę, nie podnosząc się z sofy. To był błąd. Jego szyja już nigdy nie będzie taka jak dawniej. Kiedyś, gdy zachował się jak większy idiota niż zwykle, oberwał w kark. To mógł być jego ostatni błąd. Mógł już nie odzyskać swojego byczego karku. Niewiele brakowało. Każdy wie, co się dzieje z karkami w ostatniej fazie.

- To z Afryki? - zapytał.

- A jak myślisz? - odpowiedziała, nie odrywając wzroku od zdjęć.

Halders jeszcze raz badawczo przyjrzał się lampie od spodu. Miała spiczasty dół, wyżej było coś szerszego i zielonego.

- Tak, to z Afryki - stwierdził.

- Świetnie, Fredriku.

Sam sobie zaczął bić brawo.

- Potrafisz zgadnąć, z jakiego kraju? - dobiegł go głos Anety. - I, żeby było trudniej, musisz mi też powiedzieć, jak się nazywał ten kraj, zanim zaczął się nazywać tak jak teraz.

- To dopiero podchwytliwe pytanie.

- Wiem.

Świetnie zdawała sobie sprawę, jakie to trudne. Przecież odkąd zaczęli razem pracować, a potem również się spotykać, o jej ojczyźnie rozmawiali zaledwie trzy razy na godzinę. Codziennie. No, powiedzmy, że rozmawiali. To Fredrik bez przerwy gadał o jej egzotycznym pochodzeniu i o jej cudownej ojczyźnie. Sprawiał wrażenie, jakby nie potrafił jej wskazać na mapie, ale mimo to okazywało się, że całkiem nieźle orientuje się w temacie. Właściwie, chociaż zachowywał się

gruboskórnie, orientował się niemal we wszystkim.

- Dawna nazwa zaczynała się na G - podpowiedziała.
- G...G...G...
- Tak, początek się zgadza.
- Gujana - rzucił Fredrik.
- Gujana nie leży w Afryce.
- Cholera.
- Druga litera to Ó. Mogę ci jeszcze podpowiedzieć, że składała się z dwóch wyrazów.
- Gó... Górne Soppero! - wykrzyknął w stronę sufitu.
- A gdzie to?
- W Afryce.
- Chyba nie w tej, z której pochodzę. Ale pierwsze słowo się zgadza.
- Dolne Soppero.
- Przecież miało się zaczynać na G.
- Kurde, no tak.
- Więcej nie mogę ci podpowiedzieć.
- Porozmawiajmy o czymś innym. Może wtedy sobie przypomnę - powiedział i uniósł się na łokciu. Łupnęło mu w karku. - Co to za zdjęcie?
- Z zeszłych wakacji.
- Jestem na nich? - zapytał.

Aneta podniosła jedno. Sama je wywołała i zrobiła odbitki. Ona i Fredrik stali za jego dziećmi, Hannesem i Magdą. Hannes miał w ręku kabel od samowyzwalacza. Wyglądał na skupionego, ale i zadowolonego. Wszyscy na tym zdjęciu byli zadowoleni.

Wyglądali jak... rodzina.

- Gdzie je zrobiliśmy? - zapytał Halders z sofy
- Zgadnij.
- No nie, znowu zaczynasz.
- Widzisz te fale za nami?
- Tak, tak. Ale nad którym to jest morzem?
- Nad Północnym oczywiście.
- Stare dobre Morze Północne. Najlepsze fale.
- Nie wtedy - zauważyła. - Wtedy odwołano promy.

- Myślisz, że ktoś z Afryki odważyłby się wskoczyć do Morza Północnego bez względu na porę roku? - zapytał.

- Bez komentarza.

- A słyszałaś o tym Afrykańczyku, który spędził w Szwecji rok na wymianie studenckiej i kiedy wrócił do domu, koledzy zapytali go, jaka była pogoda, a on powiedział, że ta zielona zima była w porządku, ale ta biała do dupy?

- Nie, nie słyszałam. Możesz mi o tym opowiedzieć.

- G...

- Wciąż próbujesz sobie przypomnieć tę nazwę.

Spojrzała na zdjęcie, które trzymała w ręku. To był piękny dzień. Wieczorem Fredrik puścił Lou Reeda. Jego muzyka brzmiała tak, jak wyglądał Fredrik.

Rodzina idealna.

Nagle przysła jej na myśl Anette Lindsten. Ukrywająca się w domu, w którym się wychowała, a może gdzie indziej.

Anette musiała mieć zdjęcie ze ślubu. Z tego najpiękniejszego dnia. Dwie rozpromienione twarze. Anette Lindsten i Hans Forsblad, dzieci natury, jak ich nazwiska.

Biorę sobie ciebie... i ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę...

Że nie przestanę cię katować. Póki nie wrócisz do natury, której jesteś dzieckiem.

- Czy kiedykolwiek miałeś ochotę uderzyć Margaretę? - zapytała.

Haldersowi opadła szczęka. Naprawdę opadła mu szczęka.

- Co to za pytanie, do cholery?

- Spokojnie. Wiesz, co wczoraj robiłam. Po prostu zastanawiam się, jak... jak to możliwe. Jak mogą się dziać takie rzeczy.

- Na Boga, Aneta, to zabrzmiało jak parodia tego nieszczęsnego pytania: czy przestałeś już bić żonę. Nie można odpowiedzieć ani tak, ani nie.

- Ale ja nie o to pytałam.

Halders nie odpowiedział. Spojrzała na niego. Był człowiekiem agresywnym, zawsze uważała go za... ostrego faceta, ale to się odnosiło tylko do tego, co mówił. Rozrabiam

słowami, jak sam zwykł mawiać. Robił to niemal bez przerwy. Był sfrustrowany, ale nie on jeden. Potrafił kontrolować złość. Całe życie był wkurzony, ale miał nad tym kontrolę.

- Raz. Chodziło o rozwód - powiedział z ociąganiem.

- A może to było wcześniej. Raz, a może dwa. Potrafiłem się... potrafiłem się tak wkurzyć, że miałem ochotę w coś... w coś... - Spojrzał jej prosto w oczy. - Miałem ochotę w coś przywalić, ale nigdy, nigdy, przenigdy, nie było nawet najmniejszej szansy, żebym uderzył ją. Nigdy.

- Więc co? Albo... kogo?

- Cholera, przecież mnie znasz. Nikogo... no może czasem jakiegoś przestępcę, ale... wiesz, o co mi chodzi. Nikogo z bliskich. Nikogo w domu. - Zaczął masować sobie kark. Nagle, jakby z nerwów. - Potrafiłem walnąć pięścią w drzwi od szafki. Zdarzało się. Raz kopnąłem krzesło w kuchni.

- Boże.

- Ale to było krzesło!

- I co z tego.

Przestał się masować. Aneta zauważyła, że w jego oczach pojawił się jakiś inny błysk, jakby patrzył do środka.

- Ale wiedziałem, że to moja wina. Rozumiesz? Że to moja wina, że jestem taki wściekły czy sam nie wiem jaki. Że to przede wszystkim przeze mnie doszło do tej... sytuacji. Że to ja rozbiłem rodzinę albo byłem tego bliski. I to mnie tak dezorientowało, że waliłem w to czy w tamto. - Wyglądało na to, że już wrócił ze swojego wnętrza. Spojrzał na nią. - To dopiero paradoks, co? Uwalniać się pięściami od własnej odpowiedzialności.

Nie odpowiedziała.

- Ale te parę razy, kiedy się zdarzyło... kiedy w coś waliłem... to były martwe przedmioty.

Martwe przedmioty, pomyślała. Tak się mówi.

Widywała już martwe przedmioty. Halders też. To była część ich pracy. Część policyjnej rutyny. Rutyna: czym jest ciało, w którym nie ma już życia?

Aneta, spokojnie. Przecież to wieczór bez rutyny. Na twojej sofie leży mężczyzna, a ty siedzisz na podłodze i oglądasz

radość lata uwiecznioną na zdjęciach, a niedługo zasiądziecie w kuchni przy stole, zjecie i wypijecie coś dobrego. Tu, w środku, w tym pokoju, jest jasno. Nie musisz tu ściągać cieni. Kontómé rozświetla pokój, rozświetla twoją drogę.

- Uwalniać się pięściami od własnej odpowiedzialności. Po co próbować? - powiedziała. - Przecież przed nią nie da się uciec.

- Ale wielu próbuje - odparł Halders.

Wstała. Zdjęcia wciąż leżały na podłodze, ułożone w wachlarz. Wachlarz - to bardzo dobre określenie. Oddaje sceny i atmosferę uchwycone na zdjęciach.

- I pewnie będą próbować dalej.

Winter odwrócił się w progu i spojrzał na śpiącą Elbę. Mocno trzymała w objęciach Pellego, swoją maskotkę, białą-czarną pandę z głową większą niż jej własna. Pelle patrzył na niego uważnie. Nigdy nie spuszczał wzroku. Na jego pyszczku malowała się wiara w przyszłość.

- Zna już na pamięć wszystkie książeczki - powiedział. Angela siedziała na sofie. Na kolanach miała jakiś magazyn dla kobiet.

- To ona czyta je mnie. Jak aktorka. - Przystanął na środku pokoju. - Dopóki nie zaśnie. - Przeciągnął się. Zdrętwiał, siedząc na łóżeczku Elsy - Myślę, że Pelle też już zna je wszystkie, chociaż się nie odzywa. - Opuścił ramiona. - Ale Elsa opowiada je z przejęciem, a potem przerywa w połowie zdania.

- Ona albo ty.

- Nie dziś.

Spojrzała na niego.

- Nie mógłbyś czegoś zrobić?

- Czego?

- No, czegoś. Czegoś dobrego.

Winter poszedł do kuchni.

Mieli jeszcze ciasto filo, jajka, koper, masło i wędzonego łososia z niedzieli. Do tego biały pieprz.

Popijał białe wino z kieliszka. Przygotowana przez niego mieszanka piekła się w piekarniku. Ładnie pachniało. Na niewielkim panasonicu stojącym w kuchni słuchał Wyntona Marsalisa. Ścisłej rzecz biorąc, muzyka Marsalisa płynęła z odtwarzacza, ale on nie słuchał. Wpatrywał się w wielowarstwową powierzchnię ciasta. Rozrastała się, unosiła nad nadzieniem.

Zaniósł tacę do pokoju. Angela siedziała z podwiniętymi pod siebie nogami i wpatrywała się w niebo rozciągające się nad Vasaplatsen. Było przejrzyste i ciemne.

- Mmm... - zamruczała.

Winter rozlał wino.

- Właściwie to dopiero wtorek - powiedziała i podniosła kieliszek.

- Wtorek przez cały tydzień - odpowiedział. - Na zdrowie. Angela przekroiła zapieczone ciasto i zaciągnęła się.

- Achhh!

- Staralem się jak mogłem. Próbuję jakoś wykorzystać swoje skądinąd ograniczone możliwości.

- I tak cię lubię - powiedziała z uśmiechem.

- Jeszcze nie spróbowałaś.

Kawę wypili po ciemku. Pokój oświetlała jedynie poświata unosząca się nad miastem. Nigdy nie znikala, jakby dzień nigdy się nie kończył.

- Domowa wieczornica. Kiedyś tak się mówiło - powiedziała Angela. - Jedna z pielęgniarek z naszego oddziału czasem używa tego słowa. Wieczornica.

- Śmieszne określenie.

- Mhm...

- Po niemiecku też się tak mówi? - zapytał Winter. - Jest takie określenie?

- Nie mam pojęcia.

Rodzina Angeli pochodziła z Niemiec, czy raczej z dawnych Niemiec Wschodnich, *die sogenannte DDR*, z Lipska, z dawnego, podupadłego teraz regionu o bogatej kulturze. To dlatego jej ojciec zdecydował się zabrać żonę i syna, wówczas

ich jedyne dziecko, i przeprowadzić się do Berlina. Berlina Wschodniego, gdzie wkrótce potem na jego oczach wzniesiono mur, *die Mauer*, i przesłonięto nim wolne niebo. Doktor Günter Hoffmann, chirurg, mógł oglądać mur z jednego z ogromnych okien w szpitalu, który nagle znalazł się w jego cieniu. Na niższych kondygnacjach ciemno robiło się już wczesnym popołudniem.

Rok później uciekli, ukryci pod podwoziem dwóch volkswagenów garbusów. Günter Hoffmann był pewien, że jego żona i syn jakoś to przetrwają, tak wszystko zostało dograne. On pojechał kolejnym samochodem. Było to niebezpieczne, ale możliwe.

Najpierw próbował jakoś żyć w Berlinie Zachodnim, ale odrzucały go jaskrawe światła neonów, typowe dla Zachodu. To już nie była jego ojczyzna. Ani jego krajanie. Nie był niczym kuzynem ze wsi. W świetle reklam ponury Lipsk zaczął błyszczeć niczym wspomnienie rajy utraconego. Choć zakrawało to na obłęd.

Doktor Hoffmann czuł się obco w obu swoich ojczyznach, więc zrobił kolejny krok. Jeszcze raz porozmawiał z żoną i synem. I przenieśli się na północ, na drugą stronę Bałtyku.

Doktor usunął z nazwiska ostatnie N i został Hoffmanem. Uznał to za kolejną konsekwencję swojej decyzji. Ot, nowy rozdział w życiu.

Dostał pracę w Göteborgu, w szpitalu Sahlgrenska, i wreszcie zaznał spokoju. Jego córka Angela urodziła się latem 1967 roku.

- Prawdziwe *summer of love* - powiedziała kiedyś, niedługo po tym, jak się poznali. Musiała wyjaśnić Winterowi, zwariowanemu na punkcie free jazzu, co takiego wydarzyło się w Haight-Ashbury, dzielnicy San Francisco, latem 1967 roku: kwiaty, nic nierobienie, które okazało się wyjątkowym przeżyciem, muzyka: Grateful Dead, Jefferson Airplane, Peanut Butter Conspiracy. Zdobyła płyty z tamtych czasów, w końcu to był jej rocznik. Erika rozbawił Airplane, ale z pewnym zainteresowaniem wysłuchał bliźniaczych gitar z *Happy Trails*, koncertowej płyty Quicksilver Messenger Service. Ci kolesie

mogliby wystąpić na scenie jazzowej, powiedział. Umieją grać. Kiedyś włączyła *Eight Miles High* The Byrds i kiedy Erik usłyszał wstęp Rogera McGuinna, zerwał się z fotela. Zupełnie jak Coltrane, wykrzyknął. Później przekonała się, że miał rację. W wywiadzie, który czytała w „Mojo”, McGuinn powiedział, że w tej właśnie gitarowej solówce starał się brzmieć jak atonalny saksofon tenorowy. Kolesi umiał grać.

Angela wstała i zapaliła lampę stojącą przy przeciwległej ścianie. Pokój zalało ciepłe światło.

Erik zbierał się, żeby zadzwonić do Steve'a Macdonalda. Ale najpierw musiał to krótko wyjaśnić Angeli.

- Odwiedził mnie dziś ktoś z przeszłości - powiedział.
- Zabrzmiało poważnie.
- Dawna znajoma.
- Nie jestem pewna, czy chcę tego słuchać.
- Dawna znajoma z naciskiem na dawna.
- I czego chciała?

W przeciwieństwie do światła jej ton nie był ciepły.

Opowiedział jej.

- Ale nie minęło jeszcze tak dużo czasu, od kiedy zniknął... - zauważyła Angela.

- No nie.
- Chociaż ja też bym się denerwowała.
- Hm...
- Ale co właściwie możesz zrobić?

- Możemy zgłosić zaginięcie, no i oczywiście opublikować zdjęcie i rysopis. No i przekazać to za granicę. Jak zwykle przez Interpol.

- I zrobicie to?
- No, z tym postanowiła się jeszcze wstrzymać.
- Ona? Ma jakieś imię?
- Johanna.

Angela się nie odezwała. Widział, że myśli. Nie był tylko pewien o czym.

- Johanna Osvald - dodał.
- Aha.

Angela wstała, wzięła swój kubek i bez słowa poszła do kuchni.

Poszedł za nią. Stała nad zlewem, ale chyba sama nie wiedziała po co.

- Nie widziałem jej dwadzieścia lat.
- A to szkoda.
- Angela, proszę.

Cisnęła kubek do zlewu. Zaczął się chybotać na stalowej powierzchni, ale wytrzymał. Kiwał się przez chwilę.

Muszę znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Jej też muszę pomóc je znaleźć.

- Myślisz, że powinienem zadzwonić do Steve'a?

Angela się odwróciła.

- A co on robi? Zresztą sam mówiłeś, że ona chce się jeszcze wstrzymać.

Dobra, dam sobie z tym spokój, pomyślał. Jej ojciec pewnie jutro się odezwie. List do rodziny Osvaldów to pewnie jakiś żart z przeszłości. Może było ich więcej. Może dostawali takie od wojny. Nigdy nie wiadomo.

Spojrzał na kubek. Leżał w zlewie, na boku.

- Dziwne, że się nie potłukł w drobny mak.
- To zlewy robią teraz miększe czy kubki twardsze? - zapytał.

Dochodziła siódma. Aneta jechała do dawnego mieszkania Anette Lindsten. Może i ona miałaby na imię Anette, gdyby rodzicom lepiej poszło. Czy o Anette wam chodziło? - zapytała kiedyś mamę. Mama posłała jej ten charakterystyczny afrykański uśmiech, którego nigdy do końca nie rozumiała.

Jej mama pochodziła z Koudougou, leżącego niezbyt daleko od stolicy. Umiała tańczyć hagrę. Sama, choć właściwie powinna ją tańczyć grupa kobiet. Powinny śpiewać przy akompaniamencie fletów *tira*. To była muzyka weselna, czy raczej weselny taniec. Może właśnie dlatego jej mama to tańczyła. Aneta! Czekamy na twój ślub.

Miała kilka płyt z hagrą, nogi same rwały się do tańca. Czuła to, tak jak kiedyś mama. Miała w domu koso, podwójnie

powlekany bęben, niabarę, wysuszony owoc drzewa kalebasowego wypełniony piachem, i boyo, pierścienie, które uderzają o siebie w miarowym rytmie.

Kształty domów rysowały się w porannym, szarym jeszcze świetle. O świcie padało i na nierównej powierzchni asfaltu porobiły się kałuże. Widziała kobiety z dziećmi zmierzające do szkół i przedszkoli. Mężczyzn na ulicach nie było. Jakaś ciężarówka przemknęła przez skrzyżowanie, jechała w kierunku centrum handlowego, którego nie było stąd widać.

Miała przeczucie.

Zaparkowała na zakazie, w uliczce naprzeciwko wejścia. Jej samochód wtopił się w tło, które teraz - kiedy poranek nie zaczął się jeszcze na dobre - wyglądało całkiem anonimowo.

Lustro w windzie było rozbite. Mimo to odruchowo poprawiła włosy. Z któregoś z mieszkań dolatywał zapach jedzenia.

Na drzwiach wciąż wisiała tabliczka z nazwiskiem.

Nacisnęła klamkę. Drzwi się uchyliły.

Czuła, jak skacze jej puls.

Pchnęła drzwi. Zobaczyła półmrok. Potem - ciemność.

Zanim zrozumiała, co się dzieje, minęło kilka sekund. Nikt jej nie tknął. Ciemność była częścią tego pomieszczenia, przedpokoju.

Zamknął drzwi do obu pokoi, chociaż, idąc tu, nic nie słyszała. Światło zniknęło nagle, gdy zamknęły się za nią drzwi. Słyszała, jak krząta się po sypialni. Niepokojące dźwięki. Przy pasie czuła swojego sig sauera. Ciężko opierał się o biodro, dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Przecież ten mężczyzna nie miał tam co robić. Takie jest prawo. Stoi po jej stronie, w czarnej todze, w białej sędziowskiej peruce, z królewskim jabłkiem w dłoni.

Gęsty mrok.

Miała ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść. I to szybko.

To problem tych ludzi, nie jej. Zresztą problem został już rozwiązany. Tych dwoje się rozeszło, każde z nich wkroczyło na swoją ścieżkę, na nową drogę do szczęścia. Szczęścia, które jest gdzieś tam, a może jest wszędzie. Niczym skierowana do wszystkich obietnica: to tu trawa jest bardziej zielona, niebo bardziej niebieskie.

W tym momencie usłyszała skowyt. Dobiegał z pokoju. Uderzał w drzwi. Raz, drugi, trzeci. Za chwilę siekiera przebije się przez cienką sklejkę. A za nią pewnie pokaże się twarz szaleńca, jak twarz Jacka Nicholsona w *Lśnieniu*. Ale tu nikt nie krzyknie: cięcie!

Jeśli już ktoś miałby to zrobić, to tylko ona.

Otworzył drzwi. Błysk w oku. Wściekle spojrzenie. Rozbiegane, dopóki nie padło na nią.

- Kim pani jest?
 - Policja - odpowiedziała, wyciągając odznakę.
 - Po... policja?! Czego pani tu szuka?
 - Czego pan tu szuka? To nie jest pańskie mieszkanie.
 - Że niby nie... moje mieszkanie? Przecież tu mieszkałem, do cholery. Mieszkałem tu!
 - Ale już pan nie mieszka - odparła Aneta. - Proszę wyjść.
- Tak, pomyślała. Załatwię to tak. W przeciwnym razie może

się zrobić nieciekawie. I nieprzyjemnie.

- Nie wyjdę - odpowiedział Hans Forsblad.

- Woli pan iść ze mną? Mogę pana aresztować.

- Pani? - Spróbował się zaśmiać, ale kiepsko mu poszło. - A niby, kurwa, jak? - Zrobił krok do przodu.

- Nie ruszać się! - krzyknęła Aneta. Pistolet już miała w rękę, wyciągnęła ją przed siebie. A właściwie miała to zrobić.

- Oszalała pani?

Był blisko. Padał na nią jego cień. Cień większy od cienia prawa, który jak dotąd się nie pokazał. Jedyne, co się pokazało, to ten cholerny pistolet, który musiała wyciągnąć. A może wcale nie musiała. Miała nadzieję, że Forsblad nie zauważy, że broń drży w jej rękę.

Czekała na jego kolejny krok. Boże, wyciągnij mnie stąd jakoś. Nie chcę zastrzelić tego faceta. Nie mam czasu na składanie raportów i wyjaśnień. On też nie ma czasu. Służba zdrowia nie ma czasu. Tylko ci z usług pogrzebowych go mają. Mają całą wieczność.

Wzięła go na muszkę. Przysiadł na podłodze, jakby się zapadł w sobie.

Zaczął płakać.

Rozległo się głośnie zawodzenie, podobne do tego, które słyszała przed chwilą zza drzwi. Podniósł głowę. Płakał naprawdę. Twarz miał całkiem odsłoniętą, włosy wyglądały jak źle dopasowana peruka. Teraz zauważyła, że ma na sobie garnitur, który wyglądał na drogi.

Markowy, taki, który kiedy się pogniecie, wygląda jeszcze lepiej.

Wydmuchał nos w chusteczkę, wystawała mu z górnej kieszonki. Proszę, ma nawet dodatki, pomyślała.

- Nie wie pani, jakie to uczucie - powiedział. - Nie wie pani, jak to jest.

Aneta opuściła się sauera, ale nie włożyła go do kabury.

- Ale co?

- Zostać wyrzuconym z własnego domu - powiedział, pociągając nosem. - Z własnego domu.

- Podobno od dawna pan tu nie mieszkał.

- Kto pani to powiedział?

Aneta milczała.

- Na pewno oni. - Wbił wzrok w drzwi za jej plecami.

- To oni tak mówią. Ale oni nic nie wiedzą.

- Jacy oni? - zapytała.

- Przecież pani wie.

Wsunęła pistolet do kabury. Forsblad śledził jej ruchy.

- Więc jednak mnie pani nie aresztuje?

- Proszę wstać.

- Nie wie pani, jak to jest - powtórzył. Podniósł się wreszcie, chwiając się na nogach.

- Mogę iść?

- Jak pan tu wszedł?

Pokazał jej klucz.

- Zamki zostały zmienione - zauważyła Aneta.

- Właśnie dlatego go mam. - Pomachał kluczem. Na jego twarzy nie było już widać łez.

- Jak pan zdobył ten klucz?

- Chyba sama powinna się pani domyślić. - Nagle jakby urósł. Wyprostował się.

Wyglądał zupełnie inaczej.

Coś tu jest nie tak, pomyślała. Facet zmienia się na moich oczach.

- To oczywiście, że to ona mi go pożyczyła. Mogę już iść?

Odwrócił się i wszedł do pokoju. Wrócił po sekundzie. W ręku miał neseser, wyglądał na równie drogi, jak garnitur.

- Musiałem to odebrać.

- Proszę mi oddać klucz.

- Ale to mnie go pożyczyła - powiedział z przekorą, jak dziecko. Wyglądał na zawiedzionego.

Facet ma nie po kolei w głowie, pomyślała Aneta. Jest niebezpieczny, bardzo niebezpieczny.

Spojrzał na nią spod oka. Nagle się uśmiechnął. Rzucił klucz w jej stronę. Aneta ani drgnęła. Klucz wylądował na podłodze pod jej nogami.

Forsblad wziął neseser pod pachę.

- Mogę już iść? Muszę wracać do pracy. - Wskazał na

neseser. - To po niego wróciłem. Potrzebuję go do pracy.

Idź już, pomyślała. Po prostu idź. Przesunęła się i stanęła pod ścianą.

- Miło było poznać. - Ukłonił się i wyszedł. Aneta stała bez ruchu. Słyszała, jak Forsblad mruczy coś pod nosem, czekając na windę. Przyjechała, wsiadł, ruszyła na dół.

Wtedy Aneta poczuła, że ma krople potu na plecach, między piersiami, w pachwinach i na dłoniach. Wiedziała, że niewiele brakowało. Czula, że wołałaby już nigdy nie być z tym człowiekiem sam na sam.

Nagle zrozumiała jego żonę, Anette Lindsten. A z drugiej strony teraz rozumiała ją mniej niż kiedykolwiek. Rozumiała milczenie. I ucieczkę. Cała reszta była dla niej zagadką.

Zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy wyszła przed blok, stwierdziła, że niebo już się rozjaśniło, zaciągnęło się przeróżnymi odcieniami brązu. Stojące w szeregach domy wyglądały, jakby się miały unieść niczym kamienny statek kosmiczny i poszybować po brązowo-skórzanym niebie ku lepszemu światu.

Procedury ruszyły swoim torem, jak zwykle w obliczu ludzkich nieszczęść. A i teraz nieszczęśliwe zakończenie nie jest wykluczone, pomyślał, siedząc przy biurku. Błat przygniatały papiery i zdjęcia ciężkie od krwi. Tak, od krwi.

Przytłaczały go też łokcie, myśli, mówienie do siebie pod nosem, przełomy i chwile załamania. I włamania. Tak, raz ktoś się tu włamał. Złodziej spuścił się po ścianie budynku z aresztu i wszedł przez otwarte okno. Zwinął panasonica, ale oczywiście złapali go na korytarzu. Ale cóż to był za wyczyn! Winter był pod wrażeniem. Koleś siedzi w areszcie, oskarżony o kradzież, ucieka z miejsca, z którego teoretycznie nie da się uciec, i od razu się włamuje i znowu kradnie. I to na komisariacie! Brawo! Facet na długo stał się wzorem do naśladowania w półświatku południowo-wschodniej części miasta. W półświatku, który nawet promienie słońca omijają z daleka.

Południowy wschód. Winterowi przyszedł na myśl południowo-wschodni Londyn: niżej Brixton i Croydon. Wyżej:

Bermondsey, Charlton, podejrzane okolice na południe od rzeki. Millwall, zapomniana przez Boga drużyna piłki nożnej. *We are Millwall, no one like us.*

Pomyślał też o koledze, który prowadził tam śledztwa w sprawie zabójstw. I rozwiązał je wszystkie z jednym wyjątkiem. To niepowodzenie nie dawało mu spokoju. Przeszukali wtedy każdą dziurę w okolicy. A potem zrobili to samo tutaj, w Göteborgu. Winter też się z tym nie pogodził i wiedział, że tak już zostanie. Mimo wszystko, mimo całej tej otoczki rutyny, był człowiekiem. Chociaż nie, to nie tak: to rutyna pozwalała mu zachować człowieczeństwo.

Spojrzał na zegarek. Podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

- Tak?
- Steve? Tu Erik.
- Proszę, proszę.
- Jak leci?
- Ano leci. Odliczam już dni do emerytury.
- Daj spokój. Jesteś jeszcze młody.
- To myślenie życzeniowe.

Winter się uśmiechnął. Macdonald pił do jego wieku. Winter i jego szkocki kolega byli rówieśnikami.

- A znasz tę piosenkę, Erik, mędrca rock'n'rolla?
- Jaką piosenkę?
- *It's been a long, long time.*
- Jasne. To kawałek Steve'a Macdonalda i Złych Wieści.

Winter usłyszał w słuchawce śmiech Macdonalda. Brzmiał, jakby ktoś ciął skałę piłą do metalu.

- To George Harrison. Słyszałeś kiedyś o nim?

- Wyobraź sobie, że tak. Zmarł niedawno. Czytałem o tym w „Mojo” Angeli.

- Czytasz „Mojo”?!
- Przecież mówię, że to było „Mojo” Angeli.

Macdonald chwilę milczał.

- Kiedy Beatlesi opuszczają świat, nic już nie jest takie jak kiedyś - powiedział w końcu.

- Chyba wiem, o co ci chodzi.
- Też się tak czułeś, kiedy odszedł Coltrane? Albo Miles

Davis?

- W pewnym sensie tak. Choć nie do końca. Ale nie wiem, czy dobrze rozumiem twoje odczucia.

- Może lepiej zmienimy temat - zaproponował Macdonald.

- Lepiej tak.

- Czytałem o tej zabawie w związku ze szczytem UE i wizytą George'a Busha. I bynajmniej nie pisali o tym w „Mojo”, tylko we wszystkich pozostałych gazetach.

Winter nie odpowiedział.

- Muszę przyznać, że mnie to zaskoczyło.

- Co?

- Przemoc.

- Jaka przemoc?

- Czyżbym słyszał wahanie w twoim głosie?

- Chodzi mi tylko o to, jak opisali u was tę przemoc. Było jej cholernie dużo, nie przeczę. Zastanawiam się tylko, którą stronę opisywali w angielskich gazetach.

- Twoją stronę.

- To jest też twoja strona - zauważył Winter. Oczyma wyobraźni zobaczył szklaną gablotę w holu na dole i wszystkie te policyjne czapki, ułożone w niej na znak przyjaźni między policjantami, przyjaźni przekraczającej morza i oceany.

- A pocałuj mnie w dupę - odparł Macdonald. - Teraz solidaryzuję się z policją nie bardziej niż dablju Bush z talibami.

- Dziś mało kto się z kimś solidaryzuje.

- Nie, dłaczego. Dla ciebie, Eriku, od razu dobyłbym szabli.

- To właśnie był jeden z problemów, na jakie się natknęliśmy w czasie tych zamieszek - powiedział Winter. W czasie naszego göteborgskiego festiwalu, dodał w myślach. Tak to ochrztili policjanci ze Sztokholmu. - Nie mieliśmy tu wtedy szabli.

- Bo chyba w ogóle nie najlepiej to zaplanowaliście.

- Zupełnie jak wy w 1980, kiedy wybuchły zamieszki w Brixton, co? Jak u The Clash.

- Ciężta riposta - odpowiedział Macdonald.

- Ale może teraz będziesz mógł dobyć dla mnie szabli. Tak

w przenośni.

- Czyli?

Winter opowiedział mu o swojej rozmowie z Johanną Oswald.

- Może już czas, żeby dać komunikat o zaginięciu - zaproponował Macdonald.

- Porozmawiam o tym z wnuczką Johna Oswalda jeszcze raz.

- Jeśli jej ojciec wkrótce się nie odnajdzie, zacznę trochę rozpytywać.

Winter wiedział, że Steve pochodzi z małej miejscowości niedaleko Inverness. Nie mógł sobie przypomnieć jej nazwy. Nie pamiętał

też, czy kiedykolwiek pracował w policji w Inverness.

- Steve, pracowałeś kiedyś w Inverness?

- Tak. I to jako posterunkowy w wydziale śledczym. Przenieśli mnie tam z komendy w Forres, w najbliższym większym mieście.

- A jak się nazywała ta miejscowość?

- Moja? Dallas, dziura jakby wyjęta z Dzikiego Zachodu.

Winter się zaśmiał.

- Poważnie. To nasze Dallas dało nazwę temu w Teksasie. A nasze Dallas to jedna ulica. Rząd domów z lewej i rząd domów z prawej. I tyle. Nie licząc dwóch zagród u wylotu ulicy. Jedna jest nasza.

No tak. Winter wiedział, że Macdonald jest synem rolnika.

- Mój brat został na gospodarstwie.

- A twoi rodzice żyją?

- Tak.

Winter zamilkł.

- Mam też siostrę. Mieszka w Inverness - dodał Macdonald.

- Tego nie wiedziałem.

- Ja też nie. Dowiedziałem się pół roku temu. Eilidh mieszkała tu, w Londynie, w The Smoke. To taka mniej elegancka część Hampstead. Ale posprzeczła się z mężem i wróciła na północ. W dwadzieścia cztery godziny urządziła się w nowej kancelarii.

- W kancelarii?
- Jest prawniczką. Zajmuje się wszystkim z wyjątkiem prawa karnego. Prowadzi niedużą kancelarię z jakąś babką w jej wieku. Macduff & Macdonald, Solicitors. Całe Dallas jest z tego dumne.

- Bardziej niż z ciebie?
- Jezu, Erik, w życiu nikt nie był ze mnie dumny.
- To nawet dobrze.
- Ale Eilidh to godna podziwu szkocka dama.
- Ile ma lat?
- Bo co? - Macdonald odpowiedział pytaniem.

Winterowi wydało się, że słyszy śmiech.

- Pytam z grzeczności.
- Trzydzieści siedem. Jest o pięć lat młodsza ode mnie i od ciebie.

- Aha.
- I dziesięć razy ładniejsza niż ja czy ty.
- No to faktycznie ładna.

- Ale nie wydaje mi się, żeby w tej sprawie mogła jakoś pomóc.

- To zależy od tego, co się będzie działo... Będę mógł jeszcze zadzwonić i poprosić, żebyś popytał kolegów z północy? - zapytał Winter.

- Jasne.
- Dzięki.
- Może sam się przejadę na północ i to sprawdzę.
- Słucham?

- Nic, nic, po prostu głośno myślę. Choć taka odmiana byłaby miła. Co ty na to? Umówimy się w Inverness i razem rozwiążemy kolejną zagadkę.

Winter się zaśmiał.

- Niby jaką?

Cztery dni później już by się nie zaśmiał. Okazało się, że to nie był żart. To, co wyglądało na żart, okazało się zagadką.

Aneta Djanali przebywała w swoim małym, lepszym świecie. W milczeniu popijała wino z kieliszka. Czerwone. W Burkina Faso

można by z powodzeniem produkować wino. Tamtejsze winogrona są duże i niesamowicie słodkie. Nie mają na czym rosnąć, ale rosną i tak. Część mieszkańców Burkina Faso to muzułmanie, więc wino nie jest zbyt popularne. Tylko nieliczni widzieli butelkę wina. Aneta widziała, w hotelu w Wagadugu. Zamówiła ją rodzina otyłych i hałaśliwych Francuzów. Jedli baraninę z kuskusem. Mieli podwinięte rękawy. Kelner niósł butelkę, jakby była w niej nitrogliceryna.

Ojciec siedział naprzeciwko niej i patrzył na Francuza. Jak Afrykańczyk, który sięga wzrokiem poza granice czasu. Nie był już Europejczykiem. Ani Szwedem. Cała europejskość zniknęła bezpowrotnie, kiedy tutaj przyjechał. Zarzucił praktykę lekarską. Nie chcesz otworzyć niedużego prywatnego gabinetu? - zapytała. Przecież mają tu tylko trzystu lekarzy Bogowie wiedzą, że jesteś tu potrzebny. Którzy? - zapytał w odpowiedzi. Zrozumiała, że nie żartuje. Tak dużo dowiedziała się o ojcu i o matce, kiedy wróciła do Burkina Faso. Ojciec zawsze wierzył w wielu bogów, to się nie zmieniło. W Burkina Faso żyli nie tylko muzułmanie. Inni bogowie czekali gdzieś tam, w świetle i w mroku, w straszliwie gorące dni i okrutnie zimne noce. Ojciec rozmawiał z bogami, czasem z duchami, choć różnicę między jednym a drugim trudno było uchwycić.

Niektóre duchy były silne i miały władzę, niczym lew, który może zabić.

Inne były słabsze, bardziej ulotne, jak choćby duchy drzew.

Ale wszystkie miały jakąś moc. Wszystko, na co się natykamy, ma moc, powiedział kiedyś ojciec. Lew, wąż, rzeka, piorun. Wszystkie mogą zabić człowieka, a to znaczy, że muszą w nich zamieszkiwać potężne duchy.

Morze też potrafi zabić, pomyślała ni z tego, ni z owego. Skąd jej to teraz przyszło do głowy? Przecież Burkina Faso nie leży nad morzem.

Jej ojciec mówił też o języku. Najważniejszą formą sztuki w Afryce jest sztuka mówienia. W każdym języku jest ponad tysiąc powiedzeń, wyjaśnił.

Boże, pomyślała w drodze do domu. Siedziała już w

samolocie Air France. Skąd jestem? Skąd jestem?! Kim jestem.

Kim będę?

Wypiła kolejny łyk wina. Miało ciężki posmak, pachniało dębem i skórą.

Kim będę?

Przekroczyła trzydziestkę i jestem czarna. Jestem czarną owcą. Takich jak ja jest więcej w tym kraju niewinnej bieli. Tu ludzie są biali, biała jest ziemia. Mama chciała, żebym się związała z jakimś miłym Afrykańczykiem.

Spróbowała życia w takim związku. Próbowwała za krótko jak na oczekiwania mamy. A teraz już jej to nie interesowało.

Wróciła myślami do obiadu w hotelowej restauracji, ostatniego, jaki zjadła z ojcem. I do tego specyficznego, kolonialnego zgiełku panującego na sali. Do piachu, który nie chciał jej opuścić mimo zdecydowanych nalegań pracowników i gości. Do wiatru, który się wdzierał między listwy żaluzji w absurdalnie dużych oknach. Absurdalnie, bo nie dawały ochrony.

Bogowie wiedzą, że jesteś potrzebna, właśnie t y, Aneta - powiedział jej kiedyś ojciec, posyłając jej uśmiech, który tylko ona, jego córka, mogła oglądać. Inteligentni detektywi są ważni w nowoczesnym państwie. Nie dość już tu było policji? - odpowiedziała. To nie byli prawdziwi policjanci, odparł ojciec. Wiedział na ten temat wszystko, ona - nic. To nie byli dobrzy policjanci. A prawdziwe społeczeństwo potrzebuje dobrych policjantów. Dzięki nim staje się społeczeństwem, które jest dobre.

Czyżby żartował? Brzmiało to poważnie. Ale co oznaczało? W ostatnich latach przed powrotem do Afryki zaczął mówić i myśleć tak, jakby wygłaszał aforyzmy i zagadki. Jakby widział coś, czego inni nie dostrzegają, albo pamiętał rzeczy, które uleciały już z pamięci innych. Fascynowało ją to, ale i przerażało. Mama uważała, że to oznaka szaleństwa. Albo przynajmniej dawała do zrozumienia, że to nic godnego uwagi.

Prawdziwe społeczeństwo potrzebuje dobrych policjantów. Dzięki nim staje się społeczeństwem, które jest dobre. Napawaj się tą myślą,

Aneta. Może powinna przesłać zapytanie na kongres policji i zaproponować, żeby wygrawerowali tę sentencję złotymi lub srebrnymi literami na czapkach, choćby tych wystawionych na komendzie: oto motto łączące wszystkich. Dobroć. Wszyscy do niej dążyliśmy, a tych, którzy nie dążyli, chwyciliśmy w żelazny uścisk i przenieśliśmy do lepszego świata.

Właśnie na tym polega nasza misja tutaj, na tym świecie. Wypiła łyk wina. Nie ma z czego żartować. Nie ma co się silić na cynizm. A jednocześnie taka sentencja na piśmie wygląda głupio. Jeszcze głupiej brzmi wypowiedziana na głos. Dobroć wygląda i brzmi gorzej niż zło.

Złem jestem ja i ty, pomyślała. To była prawdziwa, a przy tym jej własna sentencja.

Nocą śniły jej się drzwi, które się zamknęły i już nigdy się nie otworzyły. Widziała też twarz: połowa się śmiała, a druga płakała. Twarze stawały się ikonami. Rozmawiała z kimś. Ten ktoś powiedział, że nie może nikomu ufać. Nawet tobie? - zapytała, bo właśnie wtedy, we śnie, była pewna, że może.

Leciała samolotem Air France nad Kortedala. Leciała z międzylądowaniami we wszystkich porach roku, choć nigdzie nie wysiadała z samolotu.

Leciała fortecą, która wyglądała jak dom.

Przyśniły jej się wszystkie myśli i przeżycia ostatnich dni. A śniąc, wszystko rozumiała, jakby jednocześnie analizowała swój sen.

Potem śniło jej się coś niezrozumiałego. Obudził ją jej własny krzyk.

8.

Gdy poczuł na twarzy wiatr, wróciły wspomnienia. Zawsze tak było. Wspomnienia. Mogły być jasne albo ciemne. Tam, na zewnątrz, nie było dnia ani nocy. Morze było odrębnym światem. Trawlery, wciągarki, pokłady. W górę i w dół, co pięć godzin. Najczęściej pracowali w dzień, chociaż on wołał w nocy. Już samo spanie z siedmioma innymi osobami na przednim pomoście było koszmarem. Wokół tylko wilgoć i kwaśne powietrze. Jedna bezsenna noc za drugą. Było tak, jakby ciernie wbijały się w ciało. Przejmujący chłód, ani skrawka suchej skóry. Właśnie o tym marzył, spędzając kolejne tygodnie na morzu. O suchej skórze.

Ta noc, kiedy Frans wypłynął, a trawler płynący za nimi złapał wiatr w przeciwną stronę. Nigdy nie słyszał krzyków, nikt nie słyszał. Frans zniknął bez krzyku. Kolejny kamień opadający na dno, choć nie do końca. To, co zatoneło w tym rejonie Morza Północnego, między Stavanger i Peterhead, było wyrzucane na ląd wyżej, w północnej Norwegii. Samotna podróż przez ciemną toń. Frans.

Czy właśnie tak to się skończyło?

Płynąc z powrotem, modlili się, a prosto z przystani szli do pubu. Pamiętał, jak do niego wchodził. Wychodzenia już sobie nie przypominał. Wtedy często zdarzały się takie wieczory. Wszystkie kończyły się dziurą w pamięci.

Na morzu nie dało się zmyć z siebie zmęczenia, a kiedy wracali, robił co mógł, żeby ten stan nie mijał.

Ten wieczór, gdy utknął na trawlerze, mógł być tym ostatnim. Zrobił się czujniejszy, ale potem przez jakiś czas pił.

Siedział przed domem. Widział stary kościół. Widział też samochody. Niektóre jechały w stronę kościoła, inne wracały. Jeszcze inne zmierzały na pole golfowe, na cypel za kościołem. Ci idioci trafiali piłkami do wody i nie potrafili pojąć, jak to możliwe.

Wiadukt, który, siedząc tu, widział z lewej, był najbardziej ruchliwy. Wyglądał, jakby się stał częścią kościoła. A może to

kościół stał się częścią wiaduktu. Wpatrywał się w ten widok wiele razy. Wszystko łączyło się w całość. Wiadukty to przecież nowożytny katedry, nic dziwnego, że stapiają się ze świątyniami.

Splunął, patrząc na kościół. Potem uderzył się w pierś, otarł usta i wstał. Przeszedł ulicą, która nie doczekała się nazwy. Jakieś dziecko minęło go, nie podnosząc wzroku. Nawet dla dzieci był niewidzialny.

A jeśli nawet najmłodszy nie widzą niewidzialnego, trzeba się pożegnać z nadzieją.

Po schodach wchodziła para w średnim wieku. Oni również go nie zauważyli. Usunął się na bok, żeby nie przeszli przez niego. Słyszał ich głosy, ale nie potrafił rozpoznać, co to za język. A może to wiatr zagłuszał słowa. Wszedł do pubu The Three Kings i zamówił piwo. Długo siedział nad szklanką, ale nikt go nie widział. Kiwnął na kobietę stojącą za barem. Odwróciła wzrok. A były dni, kiedy z nią rozmawiał. Wiedział przecież.

Ona wiedziała.

Nie potrafił stąd dostrzec, o czym myśli.

Próbowała z nim rozmawiać, ale wtedy nie chciał słuchać. Powiedziała dwa słowa, akurat te dwa, których nie chciał słyszeć. Kłamstwo i życie. Powiedziała: żyć w kłamstwie.

Tym samym powiedziała za dużo.

Para, którą spotkał na schodach, weszła do pubu i usiadła przy jednym z dwóch stolików stojących pod oknem. Barmanka zeszywniała, jakby się bała, że zaraz złożą zamówienie. Chociaż nie, nie o to jej chodziło. Para się rozejrzała. Mężczyzna coś powiedział. Tym razem usłyszał słowa i rozpoznał język. On sam nosił jeszcze w sobie jego resztki. Już w nim nie myślał, ale rozróżniał słowa i, jeśli musiał, potrafił je złożyć w całość.

Ale teraz nie musiał.

U kobiety, która go nie widziała, zamówił kolejne piwo. Pił zwrócony plecami do pary siedzącej przy oknie. Wyglądali na wiadukty i morze.

Frans nie był pierwszy.

Tam, w ciemnej toni, ciała brały się nawzajem w objęcia.
Jezu. O Jezu!

Kiedy wyszedł, minęła go ciężarówka wyładowana rybami. Wiedział, skąd i dokąd jedzie. Zjechała na drogę na zachód. Czuł spaliny diesla zmieszane z zapachem ryb, a może tylko mu się wydawało. No tak, oczywiście, że mu się wydawało.

Ciężarówka zniknęła w tunelu, narażając wszystkich jadących z przeciwka. Czekał na huk zderzenia, ale nie nastąpił. Nie tym razem. Usłyszał tylko skowyt silnika, gdy ciężarówka pokonywała wzniesienie po drugiej stronie.

On nigdy więcej się tam nie wybierze. Nigdy więcej!
Ruszył w przeciwnym kierunku. Był z kimś umówiony.

9.

Aneta robiła śniadanie. Sny wciąż krążyły jej po głowie niczym ociągająca się mgła. Nalała wody do ekspresu, ale zapomniała go włączyć. Stała przy blacie, czekając na próżno. Wreszcie sobie uświadomiła, co jest nie tak. Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy ktoś się przypadkiem z niej nie podśmiewa.

Nie było nikogo.

Czasami brakowało jej kogoś, kto by zarechotał na widok jej omyłek. Kogoś, kto byłby obok na stałe. Zdarzało się, że zjawiał się Fredrik. Jego rechot całkiem jej odpowiadał, ale Fredrik nie zawsze był obok.

A ona nie zawsze stała w jego kuchni, przy jego blacie.

Czy to właśnie jest luźny związek?

Nie. Żeby móc tak nazwać to, co łączy ludzi, musi w tym być coś ze związku. Coś musi zostać zaakceptowane, no i... potwierdzone, przyjęte...

Coś musi być... oczywiście. Dla obojga. Z nimi tak nie było. Z nią i z Fredrikiem. Dlaczego? A może do tego zmierzali, ale nie musieli niczego potwierdzać, nie musieli nawet o tym myśleć.

Życie jest pogmatwane.

Wrzuciła do tosterka dwie kromki. Zawsze to bardziej skomplikowane niż zrobienie jednej grzanki, ale w porównaniu z jej życiem - całkiem proste. Posmarowała grzanki masłem, pokroiła ser, nałożyła na niego dżemu jeżynowego. Oczywiście, proste czynności. Jak robienie herbaty: odrobina mleka na dnie szklanki, wlać herbatę, wrzucić dwie kostki cukru, zamieszać, łykać.

Picie herbaty. Jedzenie chleba.

Nie myśleć.

Choćby przez kwadrans.

Gdy wychodziła, księżyc wisiał jeszcze na niebie. Ale był już blady, jakby wycierał zza jasnych chmur albo zza mgły. Jej samochód stał w cieniu, schowany przed słońcem, które radośnie świeciło po drugiej stronie nieba. Kiedy wsiadła, zrobiło jej się zimno. Skórzane siedzenia wciąż pachniały nocą.

Dziś rano wszystkie oznaki nocy znikwały z ociąganiem. Tak jej się wydawało.

Ruszyła na południe. Przy Linnéplatsen trafiła na mały korek. Trzy samochody stały w miejscu. Z prawej jakiś idiota bez przerwy wciskał gaz. Potem zagapił się na nią ze swojego audi i znowu zarzycał silnikiem.

Czy powinna otworzyć z rozmachem drzwiczki i pokazać mu odznakę?

Zapaliło się zielone i idiota wyrwał do przodu. Pewnie pędził do La Mans, może do Nürburgring. Przejechał jakieś siedem metrów, zawinął w lewo, w prawo, przygazował, może się spóźnił na start Monte Carlo, z rykiem minął kilku robotników asfaltujących drogę, podmuch zerwał im czapki z głów.

Aneta połączyła się z centralą i podała im numery znikającego w dali auta.

Cóż, dzisiaj audi nie dojedzie do mety.

W jego spojrzeniu dostrzegła coś rasistowskiego.

A to potrafi zdenerwować. Na opaleniznę rodem z Afryki ludzie zawsze reagują. Bez względu na rok, dziesięciolecie, wiek, erę. Wiesz, że wszyscy ludzie wywodzą się z Afryki? - zapytała raz, kiedy Fredrik udawał rasistę. No właśnie, udawał. Tak było na początku, potem przestał.

Minęła stojący na wzgórzu szpital Sahlgrenska. Wjechała w Toltorpsdalen. Dalej, przy kościele, skręciła w lewo. Zaczęła omijać

kolejne garby. Przecinały drogę co pięćdziesiąt metrów. Ludzie pracy nienawidzą garbów: kierowcy autobusów, taksjarze, kurierzy, policjanci. Ci, którzy tu mieszkają, też ich nie cierpią. Czasami. Co chwilę zwalnijące i przyspieszające samochody zanieczyszczają powietrze jeszcze bardziej. Toltorpsdalen to naprawdę urokliwa okolica, ale powietrze już od dawna jest najbardziej zanieczyszczone w całym mieście. Wskaźniki należą do najgorszych w Europie Północnej.

W Krokslätt teren opadał. Aneta zjechała z Krokslötts Parkgata, nie dodała gazu. Zaparkowała przy Sörgårdsskolan.

Pomyślała, że atmosfera jest idylliczna. Ta okolica była granicą między nieprzyjaznym centrum Mölndal a przepaścią

wielkiego miasta, która zaczynała się na wysokości Liseberg. Tutaj panował spokój. Fridkullagatan niczym obronne ramię otaczała tę część miasta od północy i zachodu. Było cicho jak w oku cyklonu. Jeśli ktoś się nie wypuszcza poza to miejsce, może żyć w spokoju.

Ale Anette Lindsten się wypuściła. Dlaczego zostawiła tę oazę spokoju i przeniosła się do skazanej na śmierć Kortedala - na to pytanie odpowiedzieć mogła jedynie miłość. To dla niej Anette zamieszkała w targanej wiatrem kalendarzowej dzielnicy, w której teraz miasto zaczynało burzyć własne domy. A kiedy i miłość legła w gruzach, wróciła tutaj, do domu.

Aneta stała przed ukrytą za żywopłotem willą. Niełatwo byłoby się na niego wspiać albo wyrąbać przejście między gałęziami. Dom był drewniany, jak większość tutaj, zbudowany w okresie międzywojennym, rozbudowany w okresie dobrobytu, dobrze utrzymywany podczas obecnego kryzysu. Aneta stanęła przed żelazną, już odrapaną furtką. Pewnie niedługo ktoś ją odmaluje. Zawahała się. Dlaczego nie zostawię tych ludzi w spokoju? Czego chcę się od nich dowiedzieć? Mam dość tego cholernego układu, mam dość tego, że kobiety muszą latami żyć w strachu, jakby na wygnaniu, choć są we własnym kraju. Nawet gorzej - żyją jak uchodźcy w wydzielonych ośrodkach, ukryte przed instytucjami państwowymi i ich wyrokami i przed powołującą te instytucje władzą, którą jestem ja... i my - policja. Oni, pomyślała.

To nie ja, to inni w naszych szeregach. Ja nie wywlekałabym dzieci z kościoła. Niektórzy się tego dopuścili, na rozkaz. Ale uwieczniających to obrazków nie znajdzie się w pięknych albumach ukazujących życie ludzi na ziemi. A teraz to Anette się ukrywa, w domu. Czy tak ma być?

Aneta zobaczyła, jak jej dłoń naciska dzwonek. Chcę się tylko przekonać na własne oczy, że Anette miewa się dobrze.

Dłoń kolejny raz wcisnęła dzwonek. Zza drzwi dobiegło szczekanie psa. A może to gdzieś z dworu. Ktoś uchylił drzwi. Otworzył szeroko usta, ale bynajmniej nie w uśmiechu. Pies zawarczał. Potrafiła rozpoznać rottweilera. Pomyślała, że zwykle należy zaatakować, zanim się zostanie zaatakowanym.

- Zack, CICHO!

Zobaczyła czubek głowy mężczyzny. Pochylił się nad potężnym psem potworem. Co o nich mówią spokojni ludzie z okolicy, kiedy ich widzą na spacerze?

Mężczyzna odwrócił się do niej.

- Tak?

Drzwi uchylił tylko do połowy.

- Chciałabym... chciałabym chwilę porozmawiać z Anette - powiedziała. Była zakłopotana. Nie wiedziała dlaczego.

- Nie ma jej.

Pies warknął zrezygnowany, odwrócił się i zniknął w głębi domu.

- Przecież przeprowadziła się z powrotem do domu - odparła Aneta.

- O czym pani mówi? I kim pani właściwie jest?

W końcu się przedstawiła i wylegitymowała.

- Czego pani od niej chce? - zapytał mężczyzna. Nawet nie spojrzał na odznakę, którą trzymała w ręku.

Aneta czuła, że coś jest nie tak. Zakręciło jej się w głowie.

Próbowała zajrzeć przez ramię mężczyzny do przedpokoju. Zobaczyła psa, tylko na nią czekał. Czy raczej na jakąś jej część. Już się oblizywał.

I znów to uczucie: traci grunt pod nogami. Starła się, żeby w jej głosie było więcej pewności niż w niej samej.

- Chciałabym porozmawiać z jej ojcem.

- Co?

Mężczyzna wyglądał na mocno zaskoczonego.

- Chciałabym porozmawiać z Siggem Lindstenem.

Zauważyła, że mężczyzna się zawahał. Wpatrywał się w odznakę, którą wciąż trzymała w dłoni.

- Prawdziwa? - zapytał tonem, w którym słyszała pytanie: na pewno jesteś policjantką?

- Czy jej ojciec jest w domu? - ciągnęła Aneta. - Sigge Lindsten? Zastałam go?

- Ja jestem Sigge Lindsten, do cholery - powiedział mężczyzna. - Ja jestem jej ojcem!

Aneta zobaczyła twarz drugiego ojca Anette. Ze spokojem

wynosił rzeczy z mieszkania. Dobry, opanowany tatuś.

- Pe... Peter - powiedziała, czując, że coraz mocniej kręci jej się w głowie.

- Co? O kim pani mówi?

- O Peterze Lindstenie, bracie Anette.

- Przecież ona, do cholery, nie ma brata!

Bertil Ringmar stał przyklejony do okna. Patrzył na kanał Fattigdomshusån. Po drugiej stronie stały nowe budynki. Mieszkania własnościowe dla uprzywilejowanych. A kiedyś były tu domy dla ubogich. Zniknęły. Jak wszędzie, pomyślał. Domy zniknęły, ubodzy zostali.

- Nie dołuje cię codzienne oglądanie kanału? - zapytał, odwracając się do siedzącego beczynn timer przy biurku Wintera.

- Dołuje.

- No to zrób coś z tym.

Winter się zaśmiał.

- Ale właśnie o to chodzi.

- O to, żeby się zdołować?

- Tak.

- Po co?

- Bo kiedy się stąd wychodzi, wszystko wydaje się o wiele łatwiejsze.

- To dlatego tak często stąd wychodzisz?

- Tak.

- Aha.

- Już o tym myślałem. O tym cholernym biurze.

- I co wymyśliłeś?

- Że już nie chcę tu siedzieć.

- Czyżby?

- Zrobię sobie biuro w mieście.

- Tak?

- W kawiarni. Albo w barze.

- Twoje biuro w barze?

- Tak.

- Przesłuchania w barze?

- Tak.

- Robi wrażenie.
- Prawda?
- Gadałeś już o tym z Birgerssonem?
- A muszę?

Ringmar się uśmiechnął. Birgersson był szefem wydziału śledczego. Winter był komisarzem i zastępcą Birgerssona. Ringmar był tylko komisarzem, ale to go w pełni satysfakcjonowało. I tak wiedział, że bez niego nic tu nie działa. Wystarczy spojrzeć na Wintera. Proszę! Siedzi sobie na krześle i nic nie robi. I gdyby nie on, pewnie by tak siedział zawsze. Na przykład gdyby nie zaczął tej rozmowy.

A ten pokój? Umywalka w rogu. Winter może się golić, jeśli musi nocować w pracy. Na ścianie plan Göteborga. Sporo tajemniczych kół i kresek naniesionych podczas dawnych śledztw. Winter, on sam zresztą też, narysował tę mapę od nowa. Ich wersja ukazywała Göteborg kryminalny. Miasto, które rozciągało się we wszystkie strony świata, obejmując miejsca, których nie ma na oficjalnej mapie.

Winter siedział na krześle. Było aż za wygodne, zbyt nowe. Biuro niedawno wytapetowano. Wstawił nowe regały i lampy inne od tych, które oświetlały drogę jego kolegom w pozostałych pomieszczeniach tego uroczego budynku. Ściągnął też własny zestaw wypoczynkowy.

Tak. Czas się stąd wynieść. Do kawiarni. Do baru.

Na podłodze, metr od Ringmara, stał nieśmiertelny panasonic. Niezmiennie rozbrzmiewał saksofonem tenorowym grającym atonalnego bluesa.

- Co to? - zapytał Ringmar, wskazując na odtwarzacz.

- Michael Brecker - odpowiedział Winter. - Nie sam. Jest i Path Metheny, Jack Dejohnette, Dave Holland, Joey Calderazzo, McCoy Tyner i Don Alias.

- Alias? Jak się nazywa naprawdę?

Winter znów się zaśmiał i zapalił corpsa. Wąziutkie cygaro zachwiało mu się w ustach.

- Wyliczyłeś tyłu, ilu liczy nasza grupa śledcza - powiedział Ringmar.

- Jeśli tak na to spojrzeć.
- Mogę pożyczyć?

Winter obrócił się na krześle i sięgnął do stojaka na płyty. Wyciągnął opakowanie i rzucił je Ringmarowi niczym frisby. Ringmar złapał je zręcznym ruchem. Na okładce mężczyzna w czarnym płaszczu, plecami do fotografa, przechadzający się brzegiem rzeki. Na dole napis: *Tales from Hudson*. Ringmarowi przysłała na myśl smętna rzeczka płynąca za oknem. Przypomniało mu się też coś innego.

- Rzeka Hudson - powiedział. Winter zrozumiał.
- A co tam u Martina? - zapytał Ringmara.
- Dobrze.
- Wciąż mieszka w Nowym Jorku?
- Tak.

Syn Ringmara był kucharzem w dobrej restauracji na Manhattanie. Przy Trzeciej Alei. Łączyły ich skomplikowane relacje. Winter nie wiedział, kto z kim nie umiał się dogadać, ale miał swoje zdanie na temat tego, co się stało. Nie pytał, nie o wszystko. A Bertil znów nawiązał z synem kontakt. Zaczęli rozmawiać, zanim zrobiło się za późno. Winter nie zdążył. Ledwo zdążył. Zaczął rozmawiać z ojcem na kilka dni przed jego śmiercią. Bengt Winter zmarł w szpitalu Costa del Sol na obrzeżach Marbelli. Był przy nim. Spotkali się i porozmawiali pierwszy raz od pięciu czy sześciu lat. Co za tragedia. Godna przepłakanych nocy.

- Nie myślałeś o tym, żeby go niedługo odwiedzić? - zapytał Winter.
- Myślałem.
- To jedź, do cholery.

Ringmar poruszał głową w rytm dźwięków pianina, które rozchodziły się po pokoju. Potarł grzbiet nosa.

- Podobno mieli zamówienie na catering dla firmy z World Trade Center - powiedział.

Winter się nie odzywał, czekał.

- Martin bywał tam czasami. Odpowiadał za to, żeby jedzenie dotarło na miejsce, czy coś w tym stylu.
- Kiedy ci o tym opowiadał? - zapytał Winter.

- A jak myślisz? Po jedenastym, oczywiście. Wcześniej nie miałby powodu o tym mówić.

Winter przytaknął.

- Ale tego dnia go tam nie było.

Ringmar odszedł od okna i przysiadł na krześle po drugiej stronie biurka. Winter się zaciągnął. Muzyka nagle zabrzmiała jakby głośniej albo po prostu tempo się zmieniło, stało się jeszcze bardziej nerwowe. Desperackie. *Tales from New York*. Mój Boże, miał tam być WTEDY, ale to biuro konsultingowe, czy co to tam było, przesunęło termin dostawy na następny dzień. - Ringmar wydał głośne westchnienie, jakby urwany śmiech. Ale dzień później nie było już żadnej dostawy.

- Jak... jak Martin to przyjął? - zapytał Winter.

- Pewnie jest wdzięczny Bogu.

- No tak.

- Zaczął chodzić do kościoła - dodał Ringmar. - Mówi, że siada i nie modli się ani nic takiego. Ale czuje ukojenie. I wdzięczność. Tak mówi.

- Jedź do niego - powtórzył Winter.

- Wybierałem się. Ale teraz to on przyjeżdża do domu.

- Tak?

- Tylko na urlop. Za parę tygodni. Jeśli samoloty będą latać.

- Teraz latają jak nigdy wcześniej.

- Z tą różnicą, że bez pasażerów.

- Wystarczy chyba Martin, no nie?

Winter wyszedł wcześniej. Po drodze wstąpił na targowisko w Saluhallen. Kupił czterdzieści deka sera wiejskiego z Bretanii i dwa estońskie chleby. Nic więcej.

Światła baru przy Södra Larmgatan kuśły przechodniów. Nowy bar, Winter nie widział nazwy. Wszedł i zamówił piwo z beczki. Usiadł przy stoliku pod oknem. Przy barze siedział samotnie jakiś mężczyzna. Barman układał oliwki, ustawiał szklanki, beczki i butelki. Robił te wszystkie przyjemne rzeczy, które robią barmani, zanim na dobre zapadnie wieczór i zejda

się goście. Winter zapalił corpa. To najlepsza chwila na wizytę w barze. Nie ma tłumów, oczekiwanie na wieczór, spokojne dźwięki, które trudno zidentyfikować. Rozejrzał się. Nowe tysiąclecie przyniosło nowe trendy, jeśli chodzi o wystrój barów. Żadnego miniminimalizmu, który sprawia, że człowiek ma wrażenie, że siedzi w hangarze.

Wnętrze urządzono w skórze i w drewnie. Ciepłe światło. Żadnych gołych żarówek pod sufitem.

Tu mógłby urządzić swoje nowe biuro. O tu, pod oknem. Podczas przesłuchania można by stawiać świeczkę bliżej przesłuchiwanego, żeby lepiej widzieć jego oczy. Kamerę można umieścić na ramie okna.

Wyciągnął z kieszeni komórkę i zadzwonił do domu.

- Już wracam - powiedział.

Barman upuścił szklankę na podłogę. Kamienną. Mężczyzna siedzący przy barze krzyknął *cheers!* i podniósł swoją.

- Słyszę, że w tramwaju jest niezła zabawa - powiedziała Angela.

- Ha, ha.

- Wracaj już do domu. I bądź miły.

Winter się rozejrzał.

- A co powiesz na małego drinka przed kolacją?

- To zależy gdzie.

- To nowy bar. I jestem tu sam - powiedział. Widział, jak mężczyzna schodzi ze stołka i na niby oddaje barmanowi honory. Potem wyszedł z lokalu, typowym dla podpitych zbyt zdecydowanym krokiem.

- Muszę zapytać Elbę.

- Czy na wszystko musisz mieć jej pozwolenie?

- Ha, ha, ha.

- Obiecuję, że nie będę palić.

- Elsa mówi, że mogę iść, ale ona też chce. Będzie mieć na nas oko.

- Södra Larmgatan, naprzeciwko Saluhallen.

Rozłączył się i zaczął popijać piwo. Ludzie za oknem dokądś zmierzali. Słońce zmierzało na półkulę południową. Niebo miało kolor płomieni, a to oznaczało, że słońce jutro wróci. Na

dworze było niebiesko, zapadał zmierzch. Zbliżał się długi wieczór. Postanowił, że nie będzie mu stawał na drodze.

Zadzwoił telefon. Na wyświetlaczu pokazał się nieznany numer. Winter przez chwilę się zastanawiał, czy tego nie zignorować. Ale pewnie jeszcze zadzwoni.

Wszystko kiedyś dzieje się pierwszy raz.

Nie odebrał.

Gdzieś w głębi duszy poczuł podniecenie, kiedy sygnał ucichł.

Coś się stało.

Skinął na barmana.

Trzeba to uczcić.

10.

Przyszła Angela z Elsą. Mała od razu zażyczyła sobie napój z bąbelkami. Angela zamówiła martini dry. Winter-Longmorna. Angela miała ciemną podkowę pod okiem. Zawsze tak było, kiedy była zmęczona. Zawsze tylko jedna podkowa. Znikała po zaledwie kilku godzinach, zanim zdążył nadejść nowy dzień. A wkrótce miał nadejść.

- Na zdrowie! - powiedziała Elsa.

Winter podniósł szklanę. Spojrzał Angeli prosto w oczy. Czego uczymy swoje dziecko? Co będzie, kiedy nas już nie będzie i nie będziemy mogli jej kontrolować? Jakie napoje z bąbelkami będzie wtedy pić?

- I co, smakuje ci? - zapytała Angela Elbę.

- Łaskocze w nosie.

W tym momencie Winter poczuł, że i jego kręci w nosie. Po paru sekundach kichnął.

- Na zdrowie! - krzyknęła Elsa.

- Dziękuję, malutka.

- Ciebie też połaskotało w nosie, tato?

- Tak. Tak jak ciebie.

- Ale ja nie kichnęłam!

- Ja zrobiłem to za nas dwoje.

- Ha, ha!

- Jeśli zaraz nie przestaniecie, ja też kichnę - powiedziała Angela.

- A jak to wyjaśnić z czysto medycznego punktu widzenia? - zapytał Winter.

- Ale co?

- Jesteś przecież lekarką. Jak wyjaśnić to, że człowiekowi chce się kichać, kiedy inni o tym rozmawiają?

- Wydaje mi się, że to zagadnienie nie zostało jeszcze dokładnie zbadane. I nie bardzo wiem, do jakiej dziedziny to należy.

- Do medycyny - odpowiedział Winter. - Laryngologii.

- Nie.

- Do fizjologii.

- Nie.
- Do nosologii
- Dlaczego do nosologii?
- Bo nosologia wyjaśnia, czemu kręci cię w nosie. No bo dlaczego?
- A może to dlatego, że wszystko ma się w nosie? - zaproponowała Elsa.
- Spojrzeni na nią.
- Jestem ojcem geniusza, pomyślał Winter.
- A skąd ci to przyszło do głowy? - zapytała Angela.
- No bo musi chodzić o nos, nie? A pani w przedszkolu mówiła, że nie można mówić, że się coś ma w nosie.
- Aha, więc nie usłyszałaś tego ani od mamy, ani od taty? Winter odetchnął. Elsa nie do końca zrozumiała pytanie.
- A czy pani mówiła, co to znaczy? - zapytał.
- Tak, ale zapomniałam.
- A co to właściwie znaczy? - Angela spojrzała na niego pytającym wzrokiem.
- Że ktoś ignoruje innych i pozwala sobie na zbyt wiele - odparł.

- Pozwala sobie pani na zbyt wiele - powiedział mężczyzna podający się za Siggego Lindstena. - Nawet jak na policjantkę.

Aneta nie odpowiedziała. Wciąż kręciło jej się w głowie. Gdyby tylko miała się czego chwycić.

- W porządku? - zapytał mężczyzna.

- Czy mogę dostać szklankę wody? - poprosiła.

Chyba się zdecydował. Nie wyglądał już tak odpychająco. Może wcześniej też wcale taki nie był.

- Proszę, niech pani wejdzie.

Aneta weszła do przedpokoju i zdjęła buty. Poczowała zapach jakiejś rośliny. Znała go, ale nie mogła sobie przypomnieć skąd. Weszła za mężczyzną do kuchni i przypomniała sobie. Tak samo pachniało u Anette, gdy tamci dwaj na jej oczach wynosili rzeczy. Miała mętlik w głowie.

I znowu zawroty.

- Proszę usiąść - powiedział mężczyzna. Nalał wody do

szklanki. - Proszę.

Napiła się. Za oknem zobaczyła drzewo poruszane wiatrem. Chyba klon. Pomyślała, że ostatnio wieje coraz mocniej. Ponura zapowiedź jesieni. Wcale za nią nie tęskniła.

Kolejny raz zakreśliło jej się w głowie. Czyżbym miała się na poważnie rozchorować? - pomyślała.

- No więc co to za historia z Anette? - zapytał Sigge Lindsten.

To chyba ja powinnam o to zapytać, pomyślała.

- Czy Anette jest w domu?

- Nie, nie ma jej.

Aneta się rozejrzała.

- A... pańska żona? Jest w domu?

- Nie, jej akurat też nie ma.

- Czy mogłabym zobaczyć pański dowód?

- Że co?

- Pański dowód osobisty. Przepraszam, ale to wszystko jest mocno pogmatwane. Za chwilę wyjaśnię. Ale najpierw muszę się upewnić, że jest pan tym...

- O Boże - przerwał jej. - Już idę po portfel. Ciekaw jestem, co chce mi pani powiedzieć.

Wyszedł do przedpokoju. Po chwili wrócił z portfelem.

Wyciągnął

prawo jazdy w plastikowej oprawce i pokazał jej. Dokument wystawiony na nazwisko Sigge Lindsten. Zrobione całkiem niedawno zdjęcie przedstawiało mężczyznę, który przed nią stał.

- Dziękuję - powiedziała.

Mężczyzna schował portfel.

- Czy Hans Forsblad odzywał się do pana?

- A czy to nie moja kolej, żeby zadać kilka pytań?

- Proszę tylko odpowiedzieć na to jedno.

Wzruszył ramionami.

- Ta świnia nie ma odwagi, żeby się tu pokazywać. Gdyby się zjawił, już by stąd nie wyszedł.

- Kiedy Anette przeniosła się tutaj z Kortedala?

- To kolejne pytanie.

- Zaraz wszystko wyjaśnię - odparła Aneta.

Lindsten nagle jakby stracił zainteresowanie rozmową.

Odwrócił się w stronę blatu, odkręcił kran, a potem zakręcił.

- Kiedy? - powtórzyła Aneta.

- Kiedy co?

- Kiedy się tutaj przeniosła?

- Nie przeniosła się tutaj. To znaczy nie oficjalnie.

Wyprowadziła się stamtąd, ale jeszcze nie zrezygnowała z tamtego mieszkania.

Dobry Boże, pomyślała Aneta. Najwyższa pora wszystko wyjaśnić.

Sigge Lindsten zaparzył kawę. Aneta podziękowała. Zadzwoiła już do centrali i zgłosiła włamanie. Zadzwoiła też do komendy dzielnicowej.

Wciąż czuła się jak kompletna idiotka.

Czy Fredrik od razu zażądałby okazania dowodu, gdyby to on zjawiał się w mieszkaniu Anette i gdyby się natknął na uprzejmego ojca i mrukliwego brata? Nie była pewna. Musi go zapytać.

To ciekawa sytuacja. Z psychologicznego punktu widzenia. A ona wpakowała się w sam jej środek. Mężczyzna, który podawał się za

Siggego Lindstena, wykazał się nieprzeciętnym opanowaniem. Nieprzeciętnym. Prowadził ją jak na sznurku. Tego młodego mężczyznę też. Kiedy teraz wróciła w myślach do tej niecałej godziny, którą tam wtedy spędziła, zrozumiała, jak sprytnie rzekomy Lindsten wszystkim pokierował. Niecała godzina! Właśnie we dwóch opróżniają mieszkanie. Do drzwi puka glina, a oni zapraszają ją na kawę, a potem machają na pożegnanie!

Rozegrała to mniej więcej na poziomie Kaczora Donalda, który w każdym odcinku daje się wystrychnąć na dudka.

Komiczne. Ale przecież chodziło o coś więcej.

Pokazała karty.

I tamtym dwóm, i Hansowi Forsbladowi. Jeśli to rzeczywiście był Forsblad.

A może i on nie był tym, za kogo się podawał?

- Ma pan w domu jakieś zdjęcie?

Lindsten przyniósł zdjęcie bez ramek. Kobieta i mężczyzna, oboje młodzi, prześcigali się w szerokości uśmiechu. Musiano je zrobić ładnych kilka lat temu, ale Aneta rozpoznała Forsblada. Tego, którego spotkała w tym przeklętym mieszkaniu.

Uderzyło ją, że po raz pierwszy zobaczyła Anette, to znaczy zobaczyła, jak wygląda. Przychodząc tutaj, nie miała w głowie jej obrazu. Rzadko jej się to zdarzało. Właściwie jeszcze nigdy. Ale jednak tu przyszła. Coś ją tu przyciągnęło i ta świadomość jakoś ją przerażała.

Nagle pomyślała o śmierci. Własnej śmierci. Powoli przestawało jej się kręcić w głowie, ale wciąż kręciło się mocno. Jakby ktoś ją wciągał w przepaść, w mrok.

Coś jej podpowiadało, że powinna uciekać od tych ludzi, od tej historii. Uciekać od wszystkiego, natychmiast, jak najszybciej zostawić tę sprawę, to śledztwo, zanim zdąży się rozrosnąć, zanim zrobi się jeszcze gorzej, zanim przestanie cokolwiek rozumieć. Zanim się zrobi jeszcze groźniej.

Anette Lindsten miała regularne rysy, które jakby się starały dodać

jej urody. Nie do końca im wychodziło. Aneta trzymała przed sobą zdjęcie. Podłużna twarz, ta podłużność jeszcze podkreślona przez rozpuszczone włosy. Za duża sukienka. Anette i Hans siedzieli na ławce, więc nie mogła określić, ile miała wzrostu. On był przeciętnej budowy, miał może z metr osiemdziesiąt, może nieco mniej.

Anette trzymała w ręku loda na patyku. Zaczynał się topić.

Zdjęcie zrobiono przy ulicy, przy której parkowały samochody. Za nimi znajdował się jakiś sklepik, ale nie było widać nazwy. Właśnie wchodziło do niego dziecko. Może chciało kupić loda. Wyraźnie zarysowane cienie. Słońce musiało mocno świecić.

- To zdjęcie sprzed paru lat - powiedział Sigge Lindsten.

Aneta pokiwała głową.

- A teraz musimy chyba pojechać do Kortedala i ocenić

straty - dodał.

- Zawiozę pana.

W samochodzie rozmyślała o Anette.

Czy już wtedy ją bił? Mężczyzna, który na zdjęciu siedział obok niej i uśmiechał się szeroko.

Czy ona wciąż miała nadzieję?

Zapytam ją. Jeśli ją kiedyś spotkam.

Rodzina Winter-Hoffman wracała do domu. Gdy przechodzili przez most, zadzwoniła komórka Wintera.

- Tak?
- Cześć, tu Möllerström.
- Tak?

Janne Möllerström pracował w dochodzeniówce, prowadził wydziałowe archiwum. Przez jego ręce przechodziło wszystko, tak jak przez ręce Wintera. Różnica polegała na tym, że Möllerström miał swoje zaawansowane bazy danych, a Winter - swoje myśli... teorie, hipotezy, no i powerbooka. Möllerström miał kilka komputerów. I telefonów.

- Jakaś kobieta dopytywała się o ciebie. Kilka razy. Sprawiała wrażenie zdesperowanej.

- Jak się nazywała?
- Osvald. Johanna Osvald.
- Zostawiła jakiś numer?

Möllerström podał mu numer. Rozpoznał go. Już mu go dała.

- Mówiła coś jeszcze?
- Tylko żebyś zadzwonił, jak tylko będziesz mógł.
- Teraz, wieczorem?

Spojrzał na Angelę i Elbę. Szły pięć metrów przed nim. Rączka Elsy wystawała z wózka. Angela szła szybko.

Wystukał numer, który mu dał Janne. Usłyszał, że numer jest zajęty, i odetchnął z ulgą. Kiedy tylko się rozłączył, telefon zadzwonił. Rozpoznał numer.

- Znowu dzwoniła - powiedział Möllerström. - W tej

sekundzie.

- Jest już po godzinach pracy.
- A... to nowość usłyszeć coś takiego od ciebie.
- Co to za pilna sprawa?
- Mówiła tylko, że chce z tobą rozmawiać.
- Aha.
- Chyba najprościej będzie, jeśli zadzwonisz.
- Dzięki za radę, Janne. I udanego wieczoru na komendzie.
- Nawzajem - prychnął Möllerström i rozłączył się.

Angela przystanąła na czerwonym świetle.

- Przenośne biuro - powiedziała.
- Cóż...
- Na klawiaturze jest przycisk rozłącz.

Nie odpowiedział. Pomyślał, że akurat teraz jest niesprawiedliwa. Przecież wie, że próbował odrzucić połączenie. Zawsze kiedyś jest pierwszy raz.

- Dla wszystkich, tylko nie dla ciebie.
- Co?
- Ten przycisk jest dla wszystkich, tylko nie dla ciebie.
- Angela, proszę.

Światło zmieniło się na zielone. Przeszli na drugą stronę. Winter zauważył, że Elsa zwiesiła głowę. Jemu samemu trudno byłoby nie zasnąć, gdyby go ktoś wioził wózkami o tej porze, po zmierzchu.

- Mogą chyba wysłać po ciebie samochód, jeśli to naprawdę pilne, nie?

- Chyba że wyjadę z miasta.
- Ach, więc wolno ci wyjeżdżać z miasta?!
- Jeśli złożę podanie. Z trzymiesięcznym wyprzedzeniem.
- Wtedy pewnie sprawdzą, czy przypadkiem nie ma cię w

domu.

- Teraz mnie nie ma.
- Wiesz, o co mi chodzi.

Spojrzał na zegarek.

- Formalnie rzecz biorąc, wciąż jestem na służbie.
- I siedząc w tym nowym barze, też byłeś?
- To moje nowe biuro.

Komórka znowu się rozzwoniła.

- Musisz odebrać - powiedziała Angela. - Wciąż jesteś na służbie.

Kolejny raz Möllerström.

- Janne, do cholery!

- Przepraszam, szefie, ale znowu dzwoniła. Mówiła, że chodzi o jej ojca.

- Przecież w i e m, że chodzi o jej ojca.

Rozłączył się i spojrzął na Angelę. Stali pod bramą domu.

- Naprawdę się starałem.

- O co chodzi? - zapytała, otwierając jedną ręką drzwi.

Winter wprowadził wózek. Elsa spała, pochrapywała cicho. Miała polipy. Angela mówiła, że chyba trzeba będzie ją zoperować. Naprawdę? - zapytał wtedy. Niestety. Ja też to miałam, odparła Angela.

- O ojca Johannya Osvald. Próbowала się ze mną skontaktować. Kilka razy. Najwyraźniej jest czymś wstrząśnięta.

- No to, kurczę, dzwoni do niej! - powiedziała Angela. Wyglądało na to, że szczerze. W jej głosie nie było słychać ironii.

Zadzwoił, kiedy weszli do przedpokoju. Angela zaczęła robić Elsie kolację. Obudziła się w windzie. Nie dało się w niej spać. Winda była zabytkowa i, wjeżdżając, wydawała głośne westchnienia, jakby protestowała.

Usłyszał sygnał. Potem drugi, trzeci, czwarty, piąty i szósty. Zadzwoił jeszcze raz. Nikt nie odebrał. Angela przygotowywała w kuchni ryż na mleku. Z resztek z wczorajszego obiadu.

- Nie odbiera.

- To dziwne.

- Baaardzo dziwne - wtrąciła Elsa, chichocząc.

Uśmiechnął się.

- Tato, chcesz kleiku?

- Nie teraz, malutka.

- Niedługo się skończy.

- Spróbuj jeszcze raz - powiedziała Angela, wlewając kleik

do miski Elsy.

Poszedł do salonu i zadzwonił stamtąd. Trzy-cztery-pięćsześć sygnałów. Rozłączył się i włożył płytę do odtwarzacza. Ruszyła z tego miejsca, w którym zatrzymała się wczoraj, późno wieczorem, *The Court* z trąbką Milesa Daviesa i Freddiego Hubbardsa. *The Court*. Czyli sąd. Albo dziedziniec, zależy, jak to zinterpretować. Solówka Milesa przypominająca wyraźny cień w mocnym słońcu. Oczywiście. Cień kładący się daleko. Na dziedzińcu.

Wybijał rytm stopą. A to wymaga wprawy. Kiedyś, dawno temu, próbował pokazać to Angeli, nauczyć ją, ale poddała się ze śmiechem. Puść mi rock'n'rolla! - zawołała. Okej, odpowiedział. Coś łatwego i lekkiego dla mademoiselle. Nawet nie wiesz, co to takiego, stwierdziła.

Oczywiście, że wiem, odparł. No to podaj przykład! - ciągnęła. Jaki przykład? - zapytał. Podaj nazwę jakiegoś zespołu. Rockowego. Chwilę się zastanawiał.

Elvis Presley. Roześmiała się. No naprawdę, znasz się na nowościach, powiedziała, krztusząc się.

Rozbawiło go to wspomnienie. Ale znał się na nowościach. Dziś wieczorem chciał posłuchać *Save our Children* Pharoah Sanders. Mój Boże, dopiero co kupił *The Complete in a Silent Way Sessions*.

Zawsze orientował się w nowościach. W tych, które czegoś od słuchacza wymagały.

Miles grał właśnie z Clarkiem Terrym: *Stop, Look and Listen*.

Właśnie tym się zajmował. Na tym polegała jego praca: przystać, popatrz, posłuchaj.

No i jeszcze dzwonił. Spróbował jeszcze raz, ale znów nikt nie odebrał. Wykręcił numer Möllerströma, ale i on nie odbierał.

No tak. Zrobiłem to, czego mógłbym wymagać od siebie i swojego poczucia obowiązku.

Godzinę później zadzwonił kolejny raz. To miała być ostatnia próba. Angela się kąpała, ale to nie dlatego. Nie chodziło o to, żeby skorzystać z okazji. Tym razem też się nie dodzwonił.

Angela wróciła do salonu, kiedy gitara Billa Frisella - jak już wiele razy - grała jak oszalała.

- O jeny - wyjęczała. To było jedno z jej powiedzonek. I jeszcze kurczę. Czasami używała zwrotów jakby żywcem wyjętych z lat pięćdziesiątych. To wtedy, przybywszy do nowego kraju, rodzina Hoffmanów przyswajała sobie szwedczyznę. Język tamtego okresu przechował się u nich niczym w kapsule czasu, częściowo również u Angeli. Kiedyś zwrócił jej na to uwagę. To chyba jasne, chłopcze, odpowiedziała.

- I to ma być muzyka? - zapytała, kiwając w stronę odtwarzacza owiniętą w ręcznik głową. Czuł bijące od niej ciepło.

- No cóż, szczerze mówiąc, nie wiem, co jest muzyką, a co nie jest.

- To on, to znaczy muzyk, powinien to chyba wiedzieć.

- Nie wiedziałem, że jesteś tak bardzo uprzedzona.

- Uprzedzona? Skąd, jestem po prostu ciekawa.

Bill Frisell zasuwał dalej. Szybciej niż kiedykolwiek, lepiej niż kiedykolwiek. Viktor Krauss na basie i Jim Keltner na perkusji. Niczym dwóch tupiących po podłodze sprzątaczy. A szaleńcze tempo nie zwalniało, rozpędzone dźwięki gitary wbijały się w ścianę, brzmienie za brzmieniem. Winter zrobił głośniej. *Lookout for Hope*. Uważaj na nadzieję.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła Angela. - Przecież Elsa już śpi.

Ściszył.

Angela wzięła do ręki okładkę i przeczytała:

- *Gone, just like a train*.

- Fajny tytuł.

- O ile pociąg odjechał o czasie.

Winter ściszył jeszcze bardziej. Prawie nic nie było słyhać.

- Masz na sobie tylko szlafrok? - zapytał.

Angela się uśmiechnęła i spojrzała na niego.

- Chodź do mnie, na kolana – zaproponował.

Aneta znów znalazła się w dzielnicy pół roku. Ale tym okolicom daleko było do Vivaldiego. Domy i ulice pasowałyby raczej do heavy metalu. Jeden z budynków po prawej stronie właśnie rozbierano. Jedną połowę dopiero co zburzyli. W powietrzu wciąż unosił się kłęb betonowego pyłu, bujał się niczym wahadło. Słysząc było pogłos wybuchu.

Przyjazd tu to jak wyprawa na wojnę. Aneta skręciła w lewo, potem znów w lewo. Na wojnę przeciwko północnym przedmieściom.

- Dobrze, że burzą te rudery.
- Rudery?
- A kto by tu chciał mieszkać, do cholery?
- Na przykład pańska córka.

Odwróciła się i spojrzała na niego. Patrzył w drugą stronę. Musieli się zatrzymać przed ustawionymi na ulicy barierkami. Żołnierz podniósł rękę i machnął swoim uzi. Nie, to robotnik wskazał im łopatą, którą mają jechać. Gdzieś w pobliżu rozległ się kolejny pomruk. Za plecami robotnika stał samochód z wymalowanym logo firmy. Maty tłumiące były już przysypane. Kamienie spadały z nieba.

- To był błąd - powiedział Lindsten.
- To, że się tutaj przeprowadzili?
- Tak.
- Dlaczego to zrobili?
- Wrócili tu.
- Proszę?
- Wrócili. Ona i... Forsblad - powiedział. Słyszała, z jakim

trudem przechodzi mu przez gardło to nazwisko. Wymówił je szybko, jakby spluwał. Przetarł usta. - Mieszkaliśmy tu kiedyś, zanim się przeprowadziliśmy do Fredriksdal. - Spojrzał na nią. - To właśnie rodzinne okolice Lindstenów. - Zaśmiał się. Jego śmiech miał ciężkie, metaliczne brzmienie. Słyszała w nim beznadzieję. Heavy metal, pomyślała. - Nie zawsze tak to wyglądało. Może nigdy nie było tu ładnie, ale to miejsce miało swoją atmosferę. Kwitła tu kultura dzielnic przemysłowych. Bo

i fabryki to swego rodzaju ojczyzna.

Aneta pokiwała głową.

- Wszystko kręciło się wokół fabryk. - Znów się zaśmiał tym szorstkim, metalicznym śmiechem. - A one nas otaczały.

- To znaczy?

- Cóż, nikomu nie przychodziło do głowy, żeby stąd uciekać.

- Pan uciekł.

- No tak.

- Uważa pan, że to była ucieczka?

- Nie.

- To dlaczego się przenieśliście?

- No... moja żona odziedziczyła trochę pieniędzy. Chciała zamieszkać we własnym domu. A wychowała się w Mölndal.

Więc to tak, pomyślała Aneta. Resztę można sobie dopowiedzieć samemu.

- Kiedy Anette miała się od nas wyprowadzić... to było parę lat temu... właśnie wtedy zwolniło się tu mieszkanie. Wcześniej wynajmował je mój kuzyn. No i udało się to załatwić.

- Dość daleko od domu - zauważyła Aneta.

- Ona sądziła, że tak będzie ciekawiej. Tak przynajmniej mówiła.

- Forsblad też od razu się tu przeniósł.

- Nie.

- Ale byli razem?

- Tak.

- A co pan sądził o tym, że zamieszkają razem?

Lindsten spojrział na nią.

- Czy musimy bez przerwy gadać o tym przeklętym Forsbladzie?

- A pan nie myśli o nim bez przerwy?

Lindsten nie odpowiedział.

- Kiedy ostatnio pan z nim rozmawiał?

- Nie pamiętam.

- Wyparł pan to?

- Co?

- Może po prostu wyparł pan to ze świadomości?

- Wyparłem? Tak, wyparłem.

Aneta zauważyła, że jego twarz przybrała inny wyraz. Jakby się wyłączył. To pewnie przez to, co mówiła. Ale co takiego powiedziała? Może to, że wyparł ze świadomości męża swojej córki?

Potem będzie musiała sobie przypomnieć tę rozmowę. Ale potem może już być za późno.

Zajechali przed budynek składający się z jednej ogromnej bryły. Zdawała się odsuwać od unoszącego się w powietrzu pyłu.

- Wtedy nie było tu jeszcze takich monstrów. - Ni z tego, ni z owego Lindsten wrócił do tego tematu. - Zbudowali je potem, kiedy uwierzyli, że można wtłoczyć milion niewolników do jednego rezerwatu. - Spojrzał w górę, jakby próbował dojrzeć dach. - Najpierw zbudowali te przekłete bloczyska, a teraz je burzą. A niech to!

Aneta przystanąła przed wejściem. Zobaczyła radiowóz. Wsiadła z niego policjantka. Druga siedziała w środku.

- Czysto - powiedziała ta, która wysiadła.

Aneta jej nie знаła.

- Znaczący czysto?

- Tak.

Aneta i Lindsten wjechali windą na górę. Wyglądała na nowszą niż cała reszta budynku.

- Muszę pana zapytać o coś jeszcze. Czy Anette wróciła tu po tym, jak się wyprowadziła?

- Nie rozumiem.

- Kiedy przeniosła się do domu, do państwa, czy potem choć raz tu była? Na przykład żeby coś zabrać? Albo sprawdzić, czy wszystko w porządku?

- Nie.

- Jest pan tego pewien?

- No przecież, że jestem pewny, do cholery. Bała się, na litość boską, tu wracać.

- I nikt nie miał się tu wprowadzić?

- Nie.

- Nikt z krewnych?
- Nie.
- Nie?
- Przecież to nie jest jej mieszkanie. Zresztą dziś jeszcze trudniej tu kogoś zwabić niż kiedyś.

Kiedy tu jechali, Aneta próbowała opisać dwóch mężczyzn, których spotkała w mieszkaniu. Nic to nie dało, ani jemu, ani jej. To mógł być każdy. Lindsten machnął ręką, jakby rysował czyjąś twarz.

Wyszli z windy i stanęli przed drzwiami. Aneta otworzyła je kluczem, który dostała od policjantki przed blokiem. W drzwiach były dwa zamki.

Mieszkanie było zupełnie puste.

- No proszę - zdziwił się Lindsten.
 - Dlaczego nie przenieśli państwo wszystkich rzeczy, kiedy Anette się przeprowadzała? - zapytała.
 - Mielśmy to zrobić w przyszłym tygodniu - odpowiedział.
- Wszedł do przedpokoju. - Ale najwyraźniej już nie trzeba.

Inspektor Lars Bergenhem zajmował się tropieniem włamywaczy, czy raczej ich cieni. Göteborg zalała fala włamań. Tak się wyraził szef międzywydziałowej grupy koordynacyjnej: fala włamań.

Z domów wynoszono wszystko. Gdzie znikają skradzione przedmioty? Musiały być przechowywane gdzieś w mieście. Przecież nie wędrowały na kontynent karawanami, transportowane na grzbietach wielbłądów.

Zaczęły się poszukiwania. Okręg po okręgu.

Bergenhem był przyzwyczajony do tej metody. Czasami zajmował się tym nawet w czasie wolnym, który przez to nie był już wolny. Wypełniały go obowiązki. Jeździł i szukał - w tę i z powrotem.

Co jest? - zastanawiał się czasem. Co ze mną? Co z moim życiem?

Powinienem być szczęśliwy. Znaleźć to, co się nazywa szczęściem albo spokojem ducha. Tak, znaleźć spokój ducha.

Pracował po godzinach. Nie musiał. Ale nie robiło mu to

różnicy: krążył po ulicach i brał za to pieniądze, o ile wliczało się to w czas pracy.

Czy jestem jakiś inny, odmieniony? - zdarzało mu się myśleć. Może się zmieniam?

Twarz Martiny ciemniała coraz bardziej. Może się martwiła.

Twarz Ady wciąż była jasna. Ona nie rozumiała. Jeszcze nie rozumiała. I może to właśnie było w tym najgorsze: jak może siedzieć tutaj, na ulicach, kiedy jego córeczka czeka na niego w domu?

On i Martina nie rozmawiali ze sobą. Ona próbowała, on nie.

A teraz wciąż tropił złodziei. Pojechał nad morze. Tam ich nie było. Czasami wyprawiał się na południe, do Hjuvik, i tam czekał. On sam mieszkał niedaleko, na drugim brzegu. Zdarzało się, że wychodził i próbował się przejrzeć w powierzchni wody. Jeśli tylko nie było fal.

Kim jestem?

O co w tym wszystkim chodzi?

Kim jesteś ty?

Widział swoją twarz, odbitą pod dziwnym kątem. Może ten wizerunek był bliższy rzeczywistości.

Wracając do domu, próbował to przemyśleć. Od zawsze, odkąd tylko sięgał pamięcią, był w nim jakiś niepokój. Ale teraz... to było coś więcej. To było coś poważniejszego niż zwykły niepokój.

A może chodzi po prostu o to, że nie potrafię z kimś żyć.

Chociaż nie, jest coś jeszcze.

Czy powinienem się leczyć? Jeśli miałyby to być takie leczenie? Muszę porozmawiać z lekarzem od głów.

A może potrzebuję czegoś innego?

Kiedy parkował pod wiatą, sam nie wiedział, czy ma wysiąść, czy zostać w samochodzie.

Czy właśnie taki stan nazywa się wypaleniem? - zastanawiał się.

Usłyszał jakiś dźwięk za szybą. Zobaczył małe palce. I Adę.

12.

Rano Winter kolejny raz wykręcił numer Johanny Oswald. Nie odebrała. Nikt nie odebrał. Nie włączyła się nawet automatyczna sekretarka.

Była sobota. Miał wolne. W nocy z wtorku na środę doszło do morderstwa, może nieumyślnego zabójstwa, ale to nie była sprawa dla niego ani dla nikogo innego z wydziału śledczego. Zarówno ofiara, jak i sprawca zostali zidentyfikowani. Aż nadto wyraźnie potwierdzono związek między nimi, dokładniej rzecz biorąc - związek małżeński. Dopóki śmierć nas nie rozłączy. Cóż, niektórzy za bardzo biorą sobie te słowa do serca, powiedział w zeszłym tygodniu ktoś z wydziału i natychmiast ugryzł się w język. Zorientował się, że w pokoju siedzi Halders, który jeszcze nie do końca się otrząsnął. Nie szkodzi, Birkman, odparł Halders. Ja byłem taki sam.

Dopóki śmierć nas nie rozłączy.

To coś więcej niż słowa.

Winter oświadczył się Angeli. Przyjęła oświadczyni. Czy wreszcie zrobisz ze mnie przyzwoitą kobietę? - zapytała.

To było już jakiś czas temu. Ani on, ani ona nie wracali już do tego tematu.

Teraz musisz się wywiązać, Winter. W takich sprawach nie może się skończyć na gadaniu. To ogromna odpowiedzialność, musisz się wywiązać.

Jechał na południe. Słońce wspinało się po niebie. Wciąż był wczesny poranek. W miarę przejrzysta mgła unosiła się w powietrzu.

- Jedź - powiedziała Angela. - Jeśli to naprawdę dobry pomysł. A mam nadzieję, że dobry.

W poniedziałek muszą dobić targu. No dobrze. Dobije targu, podejmie decyzję, wóz albo przewóz. Przecież to tylko działka. I tak nie przeprowadzą się tam od razu. Obiecał... tak jakby obiecał, przedstawił jej swoją decyzję, swoją wizję przyszłości. Przyszłości, którą oczywiście spędzą razem. Aż do końca.

Ciążyło mu to jak wór kamieni, którego nie można zrzucić ot

tak, gdzie się chce.

Promienie słońca zaczynały się wstrzeliwać między dachy wybudowanych na polach pod Askim domów. Winter włączył muzykę. Okazało się, że to płyta Angeli. Bruce Springsteen. Już kilka razy dał mu szansę. Okazało się, że było warto. Springsteen to nie John Coltrane - wcale zresztą na niego nie pozuje - ale jego piosenki są przesycone bólem i melancholijnym światłem. I to mu się podobało. Prawie zawsze była w nich mowa o śmierci, prawie jak w jego życiu. Śpiewał:

Everything dies baby that's a fact.

Fakty. I śmierć. To właśnie moja praca. Czasami w takiej kolejności, czasami w odwrotnej.

Everything dies baby that's a fact.

But maybe everything that dies someday comes back.

Może wszystko, co umiera, kiedyś wraca. Tak, wraca.

Nie zawsze w takiej formie, jak byśmy sobie życzyli. Przychodzi w innej postaci. Ale czy można to wtedy uznać za... życie?

Wszystko wypływa na wierzch, choć odmienione. Nic nie da się ukryć...

Tajemnice nie uchowają się nawet na dnie morza.

Minął plażę. Wszystkie miejsca na parkingu były wolne, nie było nawet rowerów. Widoczne w prześwitach morze też było puste. Fale niosły koniec sezonu. Ale nie na dnie morza. Kolejny raz wybrał

numer Johanny Osvald. Nic. Nie dawało mu to spokoju. Przynajmniej nie na tyle, żeby mógł zapomnieć. Miał poczucie, że nie odbierając wtedy, za pierwszym razem, zawiódł kogoś lub coś. Najpierw czuł się z tym dobrze, teraz już nie. Co i kogo zawiódł? Poczucie obowiązku? Siebie samego.

Na Boga, przecież nie musisz szukać przygód.

Wszystko, co staje się tajemnicą, i tak samo do ciebie trafia.

Szukasz przestępstwa? Dzwonisz, żeby się upewnić?

Jaki będzie twój następny krok? Dasz ogłoszenie do gazet?

Przestępstwo poszukiwane. Nadgorliwy komisarz prosi o kontakt.

Opętany komisarz.

Everybody's got a hungry heart.

No dobra, wystarczy.

Wyłączył rozemocjonowanego Springsteena, który właśnie kończył jeden związek, by zacząć drugi. Dojechał. Morze falowało to lekko, to znów ciężko, jak wtedy. Wysiadł. Zostawił samochód w zagajniku. Trawa wciąż się zieleniła, po obu stronach ścieżki, którą dopiero co wydeptali z Angela i Elszą. Jakby przecierali szlak, który miał tam pozostać już na zawsze.

Przystanął na brzegu. Zdjął buty i wszedł do wody. Była zimna, ale już zaczynała się robić cieplejsza. Odwrócił się i rozejrzał. Zamknął oczy i wyobraził sobie dom. Mógłby stanąć w ciągu roku, może wcześniej. Czy będzie w nim... szczęśliwy? Tutaj. Co oznacza życie tak blisko morza? Czy może oznaczać coś niedobrego?

Odwrócił się z powrotem w stronę wody. Wrócił myślami do rozmowy z Johanną Oswald. W jego gabinecie. Ona mieszkała blisko morza, o wiele bliżej, niż on kiedykolwiek mógłby żyć. Ona i cała jej rodzina. Nie tylko żyli blisko morza: żyli z morza. Ono było ich życiem. Życiem i śmiercią. Dla rodzin rybaków śmierć jest prawdziwa inaczej, tyle wiedział. Praca pełna niebezpieczeństw, życie wypełnione niepokojem o tych, którzy zostali w domu.

Kiedyś musiało to być naprawdę niebezpieczne. Wojna. Zapory minowe, U-Booty, niszczyciele, straż wybrzeża. Sztormy, fale, zderzenia, zagrożenie na każdym kroku. I to bez wątplenia ogromne zagrożenie. Jak oni sobie z tym radzili?

Kompani ze statku. Jak razem żyli?

Teraz zaczął rozumieć, o czym mówiła Johanna. W jej słowach był niepokój, którego wtedy nie mógł pojąć. Teraz go zastanowił. Lęk, który dziedziczyło pokolenie za pokoleniem.

Przysiadł na piasku, wciąż jeszcze rozgrzanym po lecie. Dwie mewy zaskrzeczały, śmiały się z jakiegoś żartu. Zobaczył, jak wlatują nad jego działkę. Już wkrótce jego. Czy były wliczone w cenę? Czy właśnie to tak strasznie je rozbawiło? Znowu zaskrzeczały, wylądowały miękko na ścieżce, by po chwili się unieść. Posłały mu kolejny świszczący chichot, włączyły się w prąd wiatru nad zatoką i poszybowały w stronę morza.

Odprowadzał je wzrokiem, dopóki nie zniknęły wśród konturów szkieletowych wysepek ciągnących się na południe. Wyciągnął komórkę i spróbował się połączyć z tymi wyspami, pokonać dzielącą go od nich zatokę. Ale i tym razem nikt nie odebrał.

Wtedy Johanna była najpiękniejszą istotą, jaką w życiu spotkał. Była ciemna jak nikt, jakby pochodziła z innego ludu. W pewnym sensie było to prawdą.

Spotkał kiedyś jej brata, ale on właśnie wtedy na poważnie zdecydował się żyć na morzu. On też miał na imię Erik.

Johanna nie wspomniała o nim podczas ostatniej wizyty.

Winter i Erik poszli kiedyś na piwo, gdzieś niedaleko mostu Brönnö, ale nigdy nie wybrali się razem do klubu. Rozmawiali, ale Winter nie pamiętał już o czym. Przypomniawszy sobie za to, że Erik nie przeklinał. Rozmawiał o tym potem z Johanną. Na wyspach nikt nigdy nie przeklinał. Przekleństwa po prostu tam nie istniały.

Życie może i było ciężkie, ale nikt nie czuł potrzeby, żeby to jeszcze podkreślać słowami.

Przypomniawszy sobie, że dla ludzi z wysp ważna była wiara. Tym ważniejsza, im bliżej otwartego morza mieszkali. Najdalej wysunięte było Vrångö. I Donsö. Donsö przede wszystkim, powiedziała kiedyś i zaśmiała się. Jej zęby błysnęły niczym grzebienie fal obmywające skały południowego Styrösö, wyglądające na południe, w kierunku pobożniejszej wyspy po drugiej stronie przesmyku.

Później usiadła na nim i zaczęła się poruszać. Najpierw powoli, potem coraz szybciej. Może i kościół sterował jej życiem, ale była tylko człowiekiem, równie grzesznym jak on.

W drodze powrotnej: znów Springsteen. *You better look around you, that equipment you got's so outdated, you can't compete with Murder Incorporated, everywhere you look now, Murder Incorporated.*

Nie, aż takim pesymistą nie jestem. Jeszcze nie. Morderstwo Spółka z o.o. nie przejęło władzy nad rzeczywistością. Jeszcze

nie. A ja wciąż z nim konkuruję. Konkuruję z Morderstwem Spółką z o.o.

Rozdzwonił się leżący na desce rozdzielczej telefon.

- Tak?

Znów Möllerström. Jak zwykle.

- Dzwoniła kolejny raz. Oczywiście się do niej nie odezwałeś.

- Nic innego nie robiłem, tylko do niej dzwoniłem!

- OK, dobra.

- Jesteś na komendzie?

- No a gdzie?

- Można się do niej dodzwonić na ten numer, który dostałem?

- Tak.

- Dzięki, Janne, i zrób już sobie wolne.

Möllerström bez słowa odłożył słuchawkę. Winter zadzwonił kolejny raz. Wybrał numer, którego, jak sądził, chyba już nigdy nie zapomni. Odebrała po pierwszym sygnale.

13.

Wrócił z trzęsącymi się rękami.

Modlił się.

O Jezu!

Na dworze jakieś dziecko przejechało na rowerze. Podeszedł do okna. Wiało znad morza. Wiatr targał czarnymi włosami dziecka. Tutaj nie było blondwłosych dzieci. Zastanawiał się kiedyś nad tym. Nikt nie miał ani niebieskich oczu, ani jasnych włosów. Zupełnie inaczej niż po drugiej stronie morza. Dlaczego? Przecież to to samo niebo, to samo morze.

A tamto miejsce było oddalone zaledwie o noc i dzień drogi. O ile pogoda była znośna. Może teraz podróż trwała krócej. Nie było już przecież pól minowych.

Zobaczył statek. Silny wiatr zepchnął go bliżej lądu. Statki pływały za daleko - na północ lub na południe. Nie wiedział, dokąd zmierzają, i nie obchodziło go to.

On już skończył z morzem.

Żył obok niego, nigdy na nim ani nie z niego. Nigdy więcej.

Był na pokładzie, kiedy trawler zatonął. Zabrał ze sobą to, co się stało. Co sam zrobił. Własną winę. Winę, której nie da się wybaczyć. Był tam. Wiedział więcej niż ktokolwiek inny.

Nikt inny nie przeżył.

Jezus nie mógł mu wybaczyć.

Nieraz siły Mroku,

Chcąc nas usidlić, odsłaniają cząstki

Prawdy.

Przechodząc przez falochron, czuł na twarzy morską bryzę. Ale w jego skórze było już tyle soli... już nigdy się jej nie pozbędzie. To, co teraz smagało mu twarz, nie wnikało w głąb. Nie dlatego, że ją przemywał. Po prostu wszystko zabierał ze sobą wiatr.

Całe ciało miał pokaleczone.

Egzema, której się nabawił od olejaka, zaschła, tworząc rozległe blizny. Układały się we wzory.

Układały się w mapę jego życia na morzu.

Czasem gładził dłonią ramiona i nogi. Robił to w ciemności, niczym ślepiec, który wodzi palcem po ciele, odczytując w ten sposób historię swego dotychczasowego życia. Jego pamięć też była blizną. Blizny były miękkie i gładkie. Czasami wydawało mu się, że to one są jedynymi miękkimi częściami jego ciała. Ale takich części było wiele. O jego ciele można było powiedzieć, że jest raczej miękkie niż twarde, ale było takie z niewłaściwych powodów. Miał ciało młodego mężczyzny, a nie powinno tak być.

To nie powinien być on. To nie on powinien dożyć starości.
Jezu. O Jezu!

Wciąż stał i czekał, aż zajdzie słońce. Zaszło, kiedy znów pojawiło się to dziecko na rowerze. Chłopiec. Mieszkał w domu przy schodach. Zawsze wisiały tam ubrania. Na sznurze. Widywał młodą kobietę, wychodziła rozwiesić albo zdjąć pranie. Miała czarne włosy, jak chłopiec, i przezroczystą, bladą twarz. To przez morze. To ono naznaczało tutejszych, zmieniało ich wygląd. Na północy, w wysuniętym najdalej Thuso i Wick... tam ludzie byli przygarbieni niczym rosnące na górskich stokach karłowate brzozy - czarni, bladzi, połamani, na wylot przeszyci wiatrem.

Odwrócił się w stronę pokoju w tej samej chwili, w której słońce zniknęło, przenosząc się nad inne kontynenty. Pokój był ciemny. W sam raz, dokładnie tak, jak sobie życzył. Podszedł do fotela, jedyne w pokoju, usiadł i wypił kolejny łyk whisky. Czekala na niego w szklance. Jeden z tańszych gatunków.

Rozejrzał się, wciąż miał alkohol w ustach. Potem przełknął.

Nie. Nie zostawię tego.

To już ostatni raz.

Ja i to miejsce to jedno.

*Obecna zgroza nie tyle jest tak straszna,
Ile okropne twory wyobraźni,
Mordercze widma*

Przeciagnał dłonią po prawym ramieniu. Palec ślizgał się po gładkiej skórze, od wielu lat zmartwiałej. Jego skóra w większości była pozbawiona życia. Była tylko miękką powierzchnią, choć jednocześnie - kiedy przycisnął mocniej - wydawała się twarda. Twarda jak kamień.

Wyciągnął rękę po broń.

Przycisnął ją do siebie.

To właśnie ona była dowodem na to, że tkwiąca w nim przemoc się nie zmieniła, nie osłabła.

Okna pubu The Three Kings ugiwały się pod naporem wiatru. Zaczął wiać od północnego zachodu. Siedział przy barze i czuł, że jest przeciąg. Chyba nawet odezwał się do kobiety stojącej bez ruchu za ladą, ale nie odpowiedziała, nie usłyszała.

Czasami słyszała. Wtedy odwracał się do niej, żeby jej coś powiedzieć. Wiedział, że będzie mu jeszcze potrzebna.

Ktoś wszedł. Kobieta się poruszyła. Usłyszał głos. Ktoś usiadł obok niego.

- Poproszę whisky.

- Mieszana czy słodowa?

- Niech pani da co... - Obcy się zaciął. - ...co tam pani uważa.

- Nie wiem, nie przepadam za whisky.

- To poproszę... Highland Park - powiedział mężczyzna, ruchem głowy wskazując na półki z butelkami.

Kobieta odwróciła się, sięgnęła po brzuchatą butelkę. Nalała alkoholu do szklanki i postawiła ją przed mężczyzną. Odezwała się w swoim dialekcie. Dla niektórych brzmiał jak niemiły dla ucha szwargot.

- To z Orkadów. Wiedział pan? - zapytała.

- Nie.

- Myślałam, że pan wie.

Mężczyzna się napił. Kobieta znów zamarła. Mężczyzna odsunął szklankę od ust, a potem uniósł ją o kilka centymetrów i odwrócił się w jego stronę. Chyba wyglądał przez okno. Na dworze nic się nie działo. Mężczyzna przeniósł spojrzenie na niego. Zauważył to kątem oka.

Więc ktoś go widział.

Odwrócił głowę w stronę mężczyzny i skinął bez słowa.

Miał mniej lat niż on, ale nie był już młody. W jego spojrzeniu widać było dziwny błysk. Na twarzy miał zmarszczki. Dłoń, w której trzymał szklanke, drżała. Odstawił whisky i szybko otarł usta.

Kobieta zza baru gdzieś poszła.

Muszę przestać tu przychodzić, pomyślał. Dlaczego tu bywam?

Przecież wiem.

- Pan tutejszy? - zapytał mężczyzna.

14.

Winter zdążył na prom o dziesiątej dwadzieścia. Z Saltholmen. Mercedesa zostawił przy wschodniej przystani. Stał tam teraz na widoku, niewłaściwie zaparkowany, z policyjną plaketką za przednią szybą.

Kiedyś ktoś się włamał do jego merca i ukradł plaketkę. Długo prowadził dochodzenie.

Kiedy ruszyli, kupił sobie herbatę. Słońce samotnie królowało na niebie. Skały połyskiwały mieszkanką szarości i srebra. Zatoka usiana była skalami. Wszędzie piętrzyły się kamienie, układały się w wyspy, które ciągnęły się aż do granicy otwartego morza.

Powierzchnia wody była gładka. Zawinęli na Asperö Östra. Wysiadła tam kobieta z dzieckiem w wózku. Na pokład załadowano jakieś towary w stalowych skrzyniach. Wyglądało na to, że są w drodze na drugą półkulę, do jakiegoś tropikalnego kraju.

Skały były gołe, nie dawały żadnego schronienia. Przestrzeń między nimi a wodą porastały trzciny. Morska łąka. I droga prowadząca do domu, którego z pomostu nie widać.

Nie był tutaj, odkąd znalazł tamto palenisko na szczycie góry, a w nim najbardziej odrażający dowód, jaki kiedykolwiek było, a pewnie i będzie mu dane zobaczyć. To była taśma wideo.

Był świadkiem tego wszystkiego od samego początku.

To wspomnienie nie chciało zniknąć. Zazwyczaj to, co się pamięta, żółknie i kruszeje, jak gazeta, zdjęcie, plakat. Blaknie. Ale nie to wspomnienie.

Kamienne wysepki wciąż były rozgrzane po lecie. Statek w połowie zapełniali emeryci. Wyprawili się na klasyczną wycieczkę po szkiełach. I różnego rodzaju urzędnicy zmierzający na konferencję w którymś z hoteli. I młodzież na wagarach. Niebo rozciągało się ponad wysepkami niczym przybrudzony żagiel. Zatrzymali się przy Styrsö Skäret. Stąd rozciągał się najszerszy widok na morze. Popłynęli dalej przez

Kattegatt, Skagerrak, Morze Północne i zbliżyli się do wybrzeży Aberdeen. I dalej, na północ, wokół Szkocji, która - jeśli spojrzeć na mapę - wyglądała jak okutana szalem głowa staruszki.

Na nabrzeżu Styrso stała staruszka w szalu. Podeszedł do niej jakiś mężczyzna i zdjął szal. Okazało się, że to nie staruszka. Chyba że teraz za staruszki uznaje się również dwudziestopięcioletki.

Para się objęła i odeszła. Winter zobaczył drogę, która wtedy była ścieżką. Wtedy, kiedy tu był, kiedy jego rodzina wynajmowała przez jakiś czas dom na wyspie. Brakowało mu tego. Potem wszystko potoczyło się tak, jak się potoczyło. Uświadomił to sobie dopiero teraz, niespodziewanie. Poczł się tak, jakby go ktoś zamurował na środku kamiennej pustyni, w centrum miasta. Poczł, że musi się wyrwać z tych murów.

Statek przecinał zatokę. Od Donsö dzieliły ich cztery minuty. Właśnie w tym momencie zrozumiał, że jego czas w mieście minął. Kiedy tego ranka stał na brzegu, tuż przy przeciętej ścieżką działce, jeszcze nie był pewien. W tej sekundzie wszystko stało się jasne.

Johanna Osvald czekała na pomoście. Rozpoznał ją. Minęło sporo czasu, ale stała tam - prawdopodobnie w tym samym miejscu co wtedy.

Za jej plecami widać było ślady cywilizacji. Podpełzły bliżej brzegu. Wyglądały trochę jak wykute w kamieniu. Sporo willi. Niektóre były większe od innych, niektóre zbudowano z drogiego drewna. Wiedział, że na wyspie było sporo rodzinnych przedsiębiorstw okrętowych, które dały początek bogactwu. Kiedyś było tu wielu rybaków. Teraz na przystani nie było widać zbyt wielu trawlerów. Ale właściwie nie powinno ich tu teraz być, powinny być na morzu. Winter zauważył nowoczesny trawler. Na rufie miał dwa zaczepy do ciągnięcia włoków. Tak naprawdę nie wiedział, czy zaczep to właściwe słowo. Łódź była duża, szeroka, ciężka i niebieska. Na przodzie wymalowano napis: GG 381 „MAGDALENA”. Zauważył jakiegoś mężczyznę,

chyba mu się przyglądał. Na głowie miał czapkę z daszkiem, ale oczy przesłonił dłonią.

Dostrzegł też budynek z krzyżem na szczycie. Mieszkańcy Donsö są religijni. Pamiętał o tym. W parafiach nie brakowało wiernych. To się nie zmieniło.

Ludzie składają swoje życie w ręce Boga. Niech się dzieje wola nieba.

Johanna Osvald podniosła rękę na powitanie. Winter stał na dziobie, on też podniósł rękę. Pasażerowie zaczęli schodzić. Grupka chłopców czekała przy rowerach. Czekali na nic, jak zwykle. Mewy krążyły nad przystanią w poszukiwaniu rybich resztek. Czuł zapach odpadków, oleju, tranu, benzyny, wodorostów i smoły. Słowem, wszystkiego tego, czego żadne morze świata nigdy się nie pozbędzie.

Ona nie czuła zapachu tranu. Kiedyś, kiedy leżeli na skałach, żartował sobie z tego. A czy wiejskie dziewczyny czują nawóz? - zapytała, bo język czasem miała cięty.

Nie miał zielonego pojęcia.

- Niełatwo było cię złapać - powiedział, kiedy stanął na pomoście.

- I kto to mówi.

Wyjaśnili sobie szybko, jak to było z tymi telefonami.

Usiedli na pierwszej lepszej ławce.

Jej ojciec jeszcze się nie odnalazł.

- Czuję, że coś mu się stało - powiedziała. - Inaczej by się odezwał, zwłaszcza w takich okolicznościach. - Spojrzała na niego. - To chyba oczywiste, że by się odezwał, prawda?

- Ty go znasz, ja nie. Ty wiesz najlepiej.

- Tak, wiem.

- W takim razie zaczynamy - powiedział Winter. - To znaczy zaczynamy poszukiwania. Roześlemy komunikat przez Interpol.

- Aha.

- Rozmawiałem z kolegą z Londynu. Tym Szkotem z okolic Inverness. Może będzie mógł pomóc.

- W jaki sposób?

- Zna tam kilka osób.

Nie odpowiedziała. Patrzyła w dal, na wodę.

- No tak...

- Co tak?

- Chyba niewiele więcej mogę...

- Chciałam, żebyś tu przyjechał.

- To znaczy?

- Jest coś, czego nie rozumiem. Czego nigdy nie rozumiałam. Muszę z tobą o tym porozmawiać. Dlatego chciałam, żebyś przyjechał.

- O co chodzi? - zapytał Winter.

- Czego nie rozumiem? - Spojrzała na niego. - To ma związek z całą tą historią. Z zaginięciem taty i... przede wszystkim... ale i z tym wszystkim, co się stało.

- Kogo ja widzę! Cześć!

Głos dobiegł znikąd. Winter podniósł wzrok, ale w ostrym świetle niczego nie dostrzegł.

Przypomniał sobie ten głos. I dialekt. Dialekt mieszkańców szkierów: ostra intonacja, niewyraźnie wymawiane spółgłoski, połykane słówka. Wszystko to przypominało kołysaną falami wodę. Międzynarodowy morski język, charakterystyczny dla wszystkich

wybrzeży Morza Północnego. Wysepka leżała kilka kilometrów od Göteborga, ale równie dobrze mogłaby leżeć na jakimś odległym kontynencie.

- Danośmy się niedzieli - powiedział głos. Nadal nie miał twarzy.

Winter wstał. Słońce zniknęło i wreszcie go zobaczył.

- Cześć - odpowiedział.

- Danośmy się niedzieli - powtórzył mężczyzna. Był w wieku Wintera. Osvald. Erik Osvald. Byli równi wzrostem. Osvald wyciągnął rękę. Miał na sobie robocze ubranie i czarną czapkę z daszkiem. Winter rozpoznał w nim mężczyznę, który mu się przyglądał z pokładu trawlera, kiedy prom dopływał do przystani.

Johanna też wstała.

- Nieciewa historia - powiedział Osvald.

Winter wyczuł, że mówi tak, żeby zaznaczyć dystans. Język

jego siostry nie był aż tak... wystudiowany. Ani trochę. Johanna mówiła jak ktoś, kto żyje na lądzie. Jej brat żył na morzu.

Winter przytaknął, jakby zrozumiał, o co mu chodzi.

- Niceśmy jeszcze nie słyszeli - ciągnął Osvald.

- Wiem - odparł Winter.

- Ja nie on - stwierdził Osvald.

- Proszę?

- Jak nie on - przetłumaczyła jego siostra. - Znaczy tata. To do niego niepodobne. Tak się nie odzywać. Ale już ci o tym mówiłam.

- Ja nie on - powtórzył Osvald.

W tym momencie Winter uświadomił sobie, że to poza, i to mocno przerysowana. Nie rozumiał tylko, po co to robi. Komu jak komu, ale jemu daleko do wiejskiego prostaka.

Johanna wskazała głową na niebieski trawler stojący jakieś pięćdziesiąt metrów od nich. Winter kolejny raz spojrzął na imię wymalowane na dziobie: Magdalena.

- Erik zrobił nam kawę w mesie - powiedziała.

Osvald chyba się zaśmiał. Obrócił się na pięcie i ruszył w stronę łodzi.

- Nie zaskoczyłaś go czasem tą kawą? - zapytał Winter.

- Dziadek był synem rolnika. Z Hisingen - powiedział Osvald, nalewając kawy. Siedzieli w mesie, która chyba nie mogłaby być bardziej nowoczesna. Drewniana podłoga, drewniane zdobienia na ścianach. Buty zostawili na górze, w niewielkim holu, do którego wchodziło się z pomostu. Osvald zaczął mówić inaczej. Może wcześniej chciał coś pokazać albo udowodnić.

Najpierw okazało się, że kawa się skończyła. Skoczył do sklepu. Wrócił po pięciu minutach. Już nie wyglądał na zaskoczonego.

- Byli też rybakami - ciągnął. - Łowili szproty i ostroboki, a potem sprzedawali je mieszkańcom Donsö do połowów z linami haczykowymi. To była tutejsza tradycja.

- Chodzi ci o longlining? - zapytał Winter.

- Właśnie. - W głosie Osvalda słychać było zaskoczenie.

- Znasz się na tym.

- Nie. Słyszałem o tym, kiedy mieliśmy dom na Styrö.

Osvald napił się kawy. Winter też wypił łyk i poczuł, że to prawdziwa siekiera. Przydałby się nóż i widelec, żeby sobie z nią poradzić. Ale gdyby poprosił o mleko, straciłby twarz.

- Dziadek znalazł tutaj kobietę... czy raczej dziewczynę... no i szybko się pobrali - powiedziała Johanna. - Przeniósł się tu, żeby pracować na trawlerze. Ktoś dał mu namiary na jakiegoś szypra.

- Chyba był trochę za młody - zauważył Winter.

- Na co? - zapytał Osvald.

- Na ślub i dzieci - odparł Winter.

Ani Osvald, ani jego siostra się nie odezwali. Zresztą właściwie to nie było pytanie. Może nie było w tym nic nadzwyczajnego. Ci, którzy tu mieszkali, chcieli zaczynać życie od razu.

I na to, żeby zaginać, pomyślał Winter. Był za młody na to, żeby zaginać. Miał młodą rodzinę, syna - i tego drugiego, który dopiero miał się urodzić.

- Miał dwóch braci - powiedziała Johanna.

- Co?

- Przyjechało tu też dwóch jego braci - wyjaśniła. - Bertil i Egon. Też byli na tamtej łodzi.

- Na tej, która zaginęła?

- Jeden z nich wrócił. Bertil.

- Opowiedzcie mi o tym.

Bracia Osvaldowie należeli do śmiałków, którzy przeprawiali się przez morze, kiedy wojna dopiero się zaczynała. John był z nich najmłodszy. Te trawlerzy, którym udało się dostać do Anglii lub Szkocji i tam rozładować towar... cóż, właśnie one mogły zarobić, a o to chodziło. O możliwość zarobku, która czekała na zachód od zapór minowych. Była wojna.

Wielu zamiast na zachód przeniosło się na tamten świat, jak się wyraził Erik Osvald. Ale pieniądze kusiły następnych.

Na początku wojny ustalono ceny ryb. Jak się okazało, bardzo wysokie.

- Ale ta druga cena była o wiele wyższa - powiedziała

Johanna.

Winter skinął głową. Była nią śmierć.

- Ci, którym się udało, bogacili się - ciągnął Oswald. - Tutejsi mogli sobie pozwolić na domy z najnowocześniejszym wyposażeniem, jakie można sobie wyobrazić. A kiedy cieśle kończyli robotę, płaciło się im do ręki. Wszystko legalnie!

- Ci, którzy wrócili - dodała Johanna.

- Ale wasz dziadek nie wrócił - powiedział Winter. - Co się stało?

Poczuł, że łódź się poruszyła. Była duża. Większa niż w jego przekonaniu mógł być trawler. I nowocześniejsza. Musiała dużo kosztować. Na pewno ważyła kilkaset ton i miała kilka tysięcy koni mechanicznych. Na rufie zamocowano sprzęt przytrzymujący dwa

włoki. Widząc jego spojrzenie, Oswald wyjaśnił, że to twinrigger. W jego głosie słychać było dumę.

- „Marino” zatrzymał się na połów na Morzu Północnym. Nie chcieli jeszcze wracać do domu, ale Niemcy nadciągali od południa, więc postanowili się zmywać, i to szybko - opowiadał Oswald.

- „Marino”?

- Tak się nazywał ich trawler.

„Marino”, nie „Marina”. Nie nazwali go kobiecym imieniem, na przykład Magdalena.

- Ilu ich było na pokładzie?

- Zazwyczaj ośmiu - wyjaśnił Oswald. - Taka była norma.

- A ilu was jest na tej łodzi?

- Czterech.

- Było ich dwa razy więcej? Na o połowę mniejszej łodzi?

Oswald pokiwał głową.

- I jak to wyglądało?

- Cóż. Mieszkali wszyscy na kupie, było mokro i nieprzyjemnie. Żadnych osobistych kajut, jak tutaj. - Oswald wskazał głową na zamknięte drzwi prowadzące do części sypialnej. - Tak... oni nie mogli robić tego tak jak my. Wtedy dużym problemem była na przykład pogoda. Już nie jest.

- Dlaczego?
- Siedzisz w łodzi, która poradzi sobie w każdych warunkach.

- Dałbyś radę sam? - zapytał Winter. - Mógłbyś pracować sam?

Oswald przytaknął bez słowa.

- Ale wtedy nie było ich ośmiu - wtrąciła Johanna. - Załoga była niepełna.

Jej brat odwrócił się w jej stronę.

- Zapomniałeś, Erik? Wtedy było ich pięciu.

- No tak.

Johanna spojrzała na Wintera.

- To byli ci, którzy chcieli dołączyć do ostatniej wyprawy wyruszającej z Donsö. Ci, którzy się odważyli.

- Trzech braci i jeszcze dwóch - powiedział Winter.

- Tak.

- Gdzie są teraz?

Wiedział, co się stało z braćmi. Egon utonął razem z Johnem. Bertil wrócił i zmarł na Donsö po wojnie.

- Frans Karlsson też zaginął - wyjaśniła Johanna. - Tak nam powiedział Arne, Arne Algotsson. Wrócił z Bertilem.

- Arne Algotsson?

- Mieszka na wyspie. Też tam był.

- Ach tak?

- Ale jest tak zniedołężniały, że z nim nie porozmawiasz. Nie ma szans.

- Aha.

- Jest jak warzywo.

- Zapomina, co myśli, zanim zdąży cokolwiek pomyśleć - powiedział Oswald z bladym uśmiechem. - Nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek myślał. - Przeciągnął dłonią po brodzie, dał się słyszeć chrzęst dwudniowego zarostu. - W takich okolicznościach człowiek chyba raczej nie myśli.

„Marino”, uciekając przed niemieckimi niszczycielami przez zapory minowe, trafił na wybrzeże Szkocji.

- Dopłynęli do Aberdeen. Oczywiście to nie był pierwszy

raz, ale tym razem nie mieli ze sobą aż tylu ryb - ciągnął Oswald.

- No i nie byli stamtąd - dodała Johanna.
- Ale na morzu zrobiło się zbyt niebezpiecznie.
- Więc musieli tam zostać.
- W Aberdeen?

- Na początku tak. Potem przenieśli się na północ, do Peterhead. Tam się zadowili na tamten rok. Oczywiście czasami wypływali.

- Ale nigdy tak daleko, żeby wrócić?
- Nie. Opływali cypel przy Fraserburgh, a potem kierowali się na

zachód, przez cieśninę, w stronę Inverness.

- Inverness? - Winter spojrzął na Johannę.

- No, nie do końca. O ile można wierzyć w to, co mówił Arne, zanim całkiem stracił pamięć. Ale wpływali w tę cieśninę, w stronę zatoki Firth-coastam.

Winter przytaknął.

- No i parę razy wybrali się na Islandię - dodał Oswald. - Cholernie śmiały wyczyn.

- To byli wariaci - zauważyła Johanna.
- Na Islandię?

- Na łowiska u południowych wybrzeży Islandii. Łowili szkarłacie. W Szkocji dużo za nie płacili - wyjaśnił Oswald.

- Mimo wszystko wariaci.
- To się stało, kiedy wracali do domu z takiej wyprawy.

Winter wyszedł na pomost i poczuł, że w ogóle nie wieje. „Magdalena” ani drgnęła.

- Chcesz zajrzeć do sterowni? - zapytał Oswald.

Całe pomieszczenie wypełniały ekrany, telefony, faksy, technika, lampy, światła sygnalizacyjne i inne urządzenia.

- Wygląda trochę jak centrala dowodzenia w dużej komendzie - zauważył Winter.

- Większość urządzeń jest tu po to, żebyśmy mogli mieć przewagę nad strażą graniczną - powiedział Oswald. - Zwłaszcza norweską.

Winter pokiwał głową. Też się uśmiechnął.

- W dzisiejszych czasach rybacy muszą się mierzyć z prawdziwą nienawiścią - dodał Oswald. - Morze przecina tyle różnych granic. Tyle różnych linii. Nie wolno przepływać ze strefy do strefy, ale najczęściej ryby pływają jak chcą.

A to frustrujące, kiedy wiesz, że ryby są milę od ciebie, ale już na terenie innego państwa, i my, Szwedzi, możemy tylko stać i harować przy granicy.

Oswald coś przestawił, uderzając w klawiaturę. Winter usłyszał coś, co brzmiało jak kołowrotek.

- Człowieka kusi, żeby przepłynąć na drugą stronę, a wtedy trzeba jakoś uciszyć nadajniki satelitarne. - Oswald spojrzał na Wintera. - Rozumiesz?

Winter skinął głową.

- Chyba im nie powiesz, co?

- Norweskiej straży granicznej? Nikogo tam nie znam.

- Nie są zbyt uprzejmi - powiedział Oswald. Znow się uśmiechnął. - Ni z tego, ni z owego do sterowni może wejść trzech inspektorów... ich statek, duży okręt zwiadowczy, czeka siedem mil dalej. Wiedzą, że rybacy pływają z radarami z sześciomilowym zasięgiem. Podpływają więc do ciebie od tyłu wyciągającym do trzydziestu węzłów pontonem i ukradkiem wspinają się po kadłubie na pokład, a potem wbiegają do sterowni. Już dwa razy nam się to przytrafiło!

- To faktycznie nieprzyjemne - stwierdził Winter.

- A potem, na dobę, zostawili tu jednego - powiedział Oswald, waląc pięścią w blat.

- Nieciekawie.

- Zażył sobie nawet dorsza na obiad.

- I co zrobiliście?

- Podaliśmy mu połędwicę. Kogo w dzisiejszych czasach stać na serwowanie ryb?

Erik Oswald był dumny ze swojego twinriggera. Był jego właścicielem do spółki z dwoma innymi rybakami z Donsö. Tonaż brutto trzysta dwadzieścia ton, tysiąc trzysta koni mechanicznych.

Wyszli. Oswald opowiadał o bezprzewodowych czujnikach, które wyłapują wszystko, co się dzieje pod wodą - prądy, dno, wszystko. Opisał całą automatykę, dźwignie, obsługę kołowrotów. Hydraulikę.

Stanęli na rufie, na pokładzie roboczym. Był suchy, wysuszony wrześnie słońcem. Oswald powiedział coś, co Winter miał zapamiętać i do czego miał potem wracać. Kiedy już wiedział więcej.

- Zawsze chodzi o swego rodzaju konkurencję. Na morzu i tutaj.

- Co masz na myśli?

- Kiedy mój dziadek tu przyjechał i zaczął łowić, kiedy on i jego bracia próbowali kupić łódź, i to w krótkim czasie... innym się to nie podobało. To znaczy mieszkańcom wyspy. Dla nich kupienie łodzi było czymś nierealnym. Oni musieli być najemnikami. Nasza rodzina też pewnie nadal by tak pracowała. - Oswald popatrzył na Wintera. - Wszystko się zmieniło dzięki dziadkowi.

- I nadal konkurujecie z innymi - zaważył Winter.

- Bez przerwy. Tam, na morzu, bezustannie toczy się wyścig. Między łodziami, ponad granicami stref. Na wyspie też od zawsze wszyscy ze sobą konkurowali.

- Aha.

Winter widział wejście na przystań i most na Styrösö. Właśnie wypływał jakiś prom. Kierował się na południe, w stronę Vrångö, najdalszej wyspy. Nie był tam od lat. Za Vrångö było już tylko morze.

- Jeśli chodzi o mnie, konkuruję z właścicielami statków - powiedział Oswald. - I z przedsiębiorstwami okrętowymi. Na Donsö jest ich niewiarygodnie dużo. Ich obroty sięgają miliarda koron. Ponad połowa szwedzkiej floty handlowej wypływa z Donsö. Wiedziałeś o tym?

- Nie.

- To moi dawni kumple. Moi rówieśnicy. Są właścicielami statków i sami nimi dowodzą.

- Rozumiem - powiedział Winter.

Opowiadając o konkurencji, Oswald zachowywał się inaczej. Jego rodzina zaczynała od zera, a udało im się dorobić. Winter rozumiał.

Dla Erika Osvalda to dużo znaczyło. Jak dużo? Winter widział, że Oswald wciąż myśli o współzawodnictwie. Może o pieniądzach. Może o sporym ryzyku, które trzeba podjąć, żeby odnieść sukces i zbić majątek.

Jakie ryzyko był w stanie podjąć Erik Oswald, żeby osiągnąć to, co osiągnął - zarówno tutaj, na wyspie, jak i na morzu? Winter się zastanawiał. Nie chodziło tylko o ryzyko związane z pływaniem po rozległym morzu. Ale też o samotność... albo o to, co mogło tam człowieka spotkać. Samotne, nienormalne życie. Przecież zdarzało się, że na morzu ludzie dostawali obłądu.

- Chodzi o to, żeby się nie dać tej sytuacji i oddać rybołówstwo w lepsze ręce - wyjaśnił Oswald.

15.

Aneta otworzyła dwie kuchenne szuflady. Były puste. Oczyma wyobraźni zobaczyła siebie samą: siedziała przy stole, którego już tu nie było. Siedziała na krześle, którego też już nie było. Piła kawę, którą jej zrobił jakiś obcy facet. Mój Boże.

- I co teraz? - zapytał Sigge Lindsten.
- Trzeba zgłosić kradzież.

Zaśmiał się chrapliwie.

- A jak znajdziecie sprawców?
- Pamiętam, jak wyglądali.
- I jak się nazywali - powiedział Lindsten i znów się zaśmiał.

- Panu chyba wydaje się to bardziej zabawne niż mnie.
- Cóż, nawet w tej historii można dostrzec coś komicznego.
- Czy Anette też tak uważa?
- Nie dowiemy się, dopóki nie spytamy, prawda? - Lindsten nadal stał w progu. - Ona nie wie, co tu się stało?
- Domyślam się, że nie będzie zadowolona, kiedy się dowie.
- Proszę jej nie mówić, nie mówić.

Aneta spojrzała na niego.

- Niech zacznie od nowa. Dzięki temu nie będzie miała żadnych związanych z nim wspomnień.
- Z Forsbladem?
- A z kim?
- Może właśnie u niego to wszystko jest - powiedziała.
- Co jest?
- Te skradzione rzeczy Meble, sprzęty
- Pytanie tylko, gdzie ten drań jest - powiedział Lindsten. -

Zna pani jego adres?

Aneta pokręciła głową.

- Za dużo tu niewiadomych.
- Czym się pan zajmuje, panie Lindsten?
- Proszę?
- Gdzie pan pracuje?
- A to ma znaczenie?
- Nie chce pan odpowiedzieć na to pytanie?

- Oczywiście, że mogę odpowiedzieć.

Wszedł do ogołoczonej kuchni. Ich głosy zabrzmiały dziwnie głośno, jak zwykle w pomieszczeniach bez mebli, dywanów, lamp, obrazów, mat, sprzętów domowych, urządzeń, jedzenia, talerza na owoce, radia, telewizorów, maszyn, ubrań, butów, zwierząt.

Wszystko było gołe.

Wyjątkowo gołe, pomyślała. Widziała już wiele ogołoczonych mieszkaniach i domów, ale nigdzie nie było aż tak pusto. Nikogo nie okradziono aż tak.

- Podróżuję - powiedział Lindsten.

Po kilku sekundach załapała.

- A co to dokładnie oznacza?

- Co oznacza podróżowanie? Że jeżdżę i sprzedaję różne rzeczy. - Jego słowa odbiły się echem od ścian. Widać na nich było wyraźne ślady po wiszących tam kiedyś sprzętach.

Ślady jak dziury po kulach. Bywała w domach z takimi dziurami. Wiedziała, co oznaczają. Inni też tam byli - wchodzili albo wychodzili. Niektórzy jeszcze żywi, inni nie. Sprawy rodzinne. Najczęściej chodziło o sprawy rodzinne. Przed najbliższymi nie można się schronić. Nie można o tym zapominać. Wie to każdy policjant. Zawsze zaczynaj od wewnętrznego kręgu, kręgu najbliższych. Najczęściej to wystarcza. Niestety. Z punktu widzenia prowadzących dochodzenie wstępne to dobrze, z każdego innego - źle.

Tak nie powinno być. Jak można pracować w takich warunkach?

Więc Sigge Lindsten jeździ i sprzedaje. Będzie musiała go zapytać, co sprzedaje, ale później.

- Forsblad też gdzieś pracuje - powiedziała.

- Tak. Nie jest nigdzie zameldowany, ale pracę ma. To dziwne, prawda?

Aneta złapała Hansa Forsblada w holu. Niósł trzy teczki. Był z kimś.

- Ma pan minutę?

Spojrzał na zegarek, jakby już zaczął odliczać sekundy.

Spojrzał na swoją towarzyszkę.

- Właśnie minęło dziesięć sekund - powiedział. Towarzysząca mu kobieta uśmiechnęła się niepewnie. Popatrzyła na Anetę. Aneta miała ochotę wytrącić mu teczkę z ręki.

- Możemy gdzieś porozmawiać? - zapytała spokojnie.

Chyba się zastanawiał. Jeszcze raz spojrzął na kobietę, po czym wskazał ręką na drzwi w głębi korytarza, z lewej. Szli po wyłożonej marmurem podłodze.

- Mam dosłownie minutę - powiedział.

Wprowadził ją do sali konferencyjnej. Bez okien. To pewnie dlatego, żeby decyzje zapadały szybciej, pomyślała. Nikt długo nie wytrzyma w pokoju bez okien. Wskazał jej krzesło, ale wolą stać.

- Kiedy ostatnio rozmawiał pan z żoną? - zapytała.

- Nie mam pojęcia.

- Co to znaczy?

- Że nie pamiętam.

- Proszę pomyśleć.

Wyglądał, jakby się zastanawiał. Teczki odłożył na stół. Nie były podpisane.

- Jakiś miesiąc temu - powiedział i zrobił krok w jej stronę.

Wzdrygnęła się mimowolnie.

- Spokojnie, na Boga - powiedział.

- O czym państwo wtedy rozmawiali?

- No, o tym co zwykle.

- To znaczy?

- No, że się nam nie układa.

Mówiąc to, chwycił jedną z teczek. Oto coś, co się układa, pomyślała. Papiery w teczkach zawsze da się ułożyć. To sąd pierwszej instancji, zawartość teczek może się jeszcze zmienić. Ten człowiek jest prawnikiem, ale zaraz stąd wyjdzie.

- Ona ma kilka moich rzeczy, których potrzebuję - powiedział. - Tak to wygląda. I nie odwiedzie mnie pani od prób odzyskania ich.

Teraz ja zabieram głos. Zobaczymy, co będzie dalej, pomyślała Aneta.

- Ja nie, ale ktoś inny owszem.
- Co proszę? O co pani chodzi?

Opowiedziała mu o ogołoconym mieszkaniu. Choć wcześniej, wtedy, gdy się spotkali w pustym mieszkaniu, nic nie wspominała o kradzieży. Nie powiedziała nic o tym, że spotkała złodziei.

- No, no, no - powiedział Forsblad.
- Będziemy wdzięczni za pomoc.
- Oczywiście, ale jak ja mogę pomóc?
- Może zacznie pan od podania mi swojego adresu.
- A co to ma do rzeczy?

Nie odpowiedziała. Odłożył teczki. Może powinnam do nich zajrzeć. Może ma w nich listę wszystkiego, co wyniesiono z mieszkania Anette.

- Ależ proszę dać spokój! Myśli pani, że ukradłbym własne meble? - Uśmiechnął się tym swoim dziwnym uśmiechem, który ją przerażał. - Dajcie spokój!

- Zapytałam o pański adres.
- Nie mam adresu.

- Mieszka pan pod mostem? - Spojrzała na jego garnitur. Jeśli gdzieś w nim spał, to tylko w prasowalnicy. Na materiale nie było ani jednej zmarszczki. Tak gładkich kamieni się nie znajdzie.

Nie rozbawiło go to.

- Nie muszę pani podawać swojego adresu.
- Przecież mówił pan, że go pan nie ma.
- I dlatego nie mogę go pani podać.

- Prowadzę dochodzenie - powiedziała Aneta. - Wie pan doskonale, że obywatele mają obowiązek współpracować z policją. Kto jak kto, ale pan powinien to wiedzieć.

- Dochodzenie w jakiej sprawie?

- Jeśli dalej będzie pan udawał głupka, będziemy musieli skończyć tę rozmowę gdzie indziej.

- To groźba.

Aneta westchnęła, ledwo słyszalnie, i z kieszeni cienkiej marynarki wyjęła telefon.

- No dobra, dobra. Mieszkam u jednej dziewczyny. - Obliznął

wargi. Aneta zauważyła, że dolna warga pękła mu w kąciu. - To znaczy w tej chwili. Ale to...

- Adres.

- Nikogo tam teraz nie ma. - Znów wykrzywił usta w tym przeraźliwym uśmiechu.

Dodaj mi siłę, pomyślała. Niech któryś z bogów mojego kraju doda mi siłę. Słyszałam kiedyś, jak ojciec ich wzywa, ale nie znam wszystkich formułek. Nie znam słów, które trzeba powtórzyć cztery razy, żeby bóg przyszedł. On nie słucha po francusku, schlebia mu używanie właściwego języka. Jemu albo jej, bo kto powiedział, że to mężczyzna, a nie kobieta? Zadzwoń wieczorem do ojca i zapytam. Albo nie, powiem mu od razu: to jest bogini, kobieta. Posłuchaj, Paramanga Djanali, twój ulubiony bóg, jest kobietą z pustynnego widnokregu.

Hans Forsblad wciąż się uśmiechał, a może tylko jej się tak wydawało- Pytam ostatni raz - powiedziała.

- Nikogo nie było - powiedziała. - Ale klamka była jeszcze ciepła.

Fredrik Halders zaśmiał się głośno.

- Najbardziej cenię twoje poczucie humoru - powiedział.

- A poza tym? Co poza tym ci się we mnie podoba?

Rozejrzył się.

- Jeszcze dzieci usłyszą.

- Są u ciebie, Fredrik. Na drugim końcu miasta.

Zdjął stopy z oparcia kanapy i podniósł się. Popijał piwo. Spojrzył na nią znad krawędzi szklanki.

- Moglibyśmy teraz siedzieć właśnie tam, u mnie.

- Ale wtedy dzieci by usłyszały.

- Specjalnie tak powiedziałem. Te słowa były przemyślane.

- No proszę.

- No proszę? A co to miało znaczyć?

- Zdziwiło mnie po prostu to zestawienie: Fredrik Halders i przemyślane słowa - powiedziała z uśmiechem.

Fredrik milczał. Wypił łyk piwa, jakby się zastanawiał, co teraz powiedzieć.

- Wiesz, o co mi chodzi, Aneta.

- Fredrik.
- Wiesz, czego chcę. Co o tym sądzę.
- Wiem - powiedziała miękkiem głosem. Podniósł stojącą obok puszkę z piwem. Wstał.
- Chcesz jeszcze wina? Potrząsnęła głową.
- Ja sobie przyniosę jeszcze jedno piwo.

- Ale tak na serio - powiedział Halders. - Powinnaś to zostawić.

Nie odpowiedziała. Trudno cokolwiek powiedzieć, kiedy się leży pod kołdrą. Ale słyszała jego głos po drugiej stronie. Głos po drugiej stronie. Zachichotała. To przez wino. Wypiła jeszcze jeden kieliszek.

- To może być niebezpieczne - powiedział. Poczula, że ściąga jej kołdrę z głowy. - Słyszysz, Aneta? Słyszysz, co mówię?

Poczula, że światło nocnej lampki razi ją w oczy. Zamrugwała. Zobaczyła jego twarz, w tym świetle wydawała się czarna. Czarna jak u Afrykańczyka. Ktoś, kto by go nie znał, mógłby pomyśleć, że jest niebezpieczny. Niektórzy jego znajomi i tak tak sądzili. Czasami nie wychodziło mu to na dobre.

- Nie masz się czego chwycić. Taki typ jak ten cały Forsblad może narobić kłopotów.

- Co masz na myśli?

Zsunęła trochę kołdrę i owinęła się nią. Zabrzmiała muzyka, którą właśnie nastawił Fredrik. James Carr. Przyniósł tę płytę ze sobą. *The Dark End of the Street*, czterdziestoletnia dusza z południa, *at the dark end of the street, that is where we always meet*.

- Z twojego opisu wynika, że to psychopata. Jeśli sobie ubzdura, że się go uczepliłaś, choć w jego przekonaniu nie masz ku temu powodu, może się zrobić nieciekawie.

- Dla niego - owszem.

- Dla ciebie, Aneta.

- Ale to chyba nie ma znaczenia, co? Jeśli jest psychopata, to i tak będzie przekonany, że się go uczepliłam, bez względu na to, czy będzie widział powód, czy nie.

Halders nie odpowiedział.

- No tak czy nie? - zapytała.

- Czy ty zawsze musisz być tak... beznadziejnie mądra - powiedział, gładząc jej włosy - Masz mnie słuchać, nawet jeśli wyrażam się bardziej koślawo, niż jesteś w stanie znieść.

Wyprostowała się i usiadła. Kołdra się zsunęła. Zakryła rękoma piersi, jakby jej było zimno.

- Jest w nim coś groźnego - powiedziała. - Czuję to. Widzę.

- Właśnie o tym mówię.

- Ale nie rozumiesz, że on jest niebezpieczny dla niej? Znowu będzie się nad nią znęcał.

- No przecież wiem.

Halders wstał i podszedł do odtwarzacza, który właśnie zamilkł. Słyszała, jak przebiera między płytami, niezgrabnie jak zwykle. W końcu usłyszała rytmiczną melodię, rozpoznała ją. Oczywiście. Rozpoznała melodię i głos. To przecież jej płyta. Gąbin Dabiré. *Afriki Djamana - Music from Burkina Faso*. *Afriki Djamana* przypominało jej ją samą.

Muzyka poruszała się niczym ciągnąca przez pustynię karawana. Kołysała się w górę i w dół. Ten kawałek nosił tytuł *Senegal*. Opowiadał o tęsknocie, może tęsknocie za leżącym na zachodzie morzem:

Mówisz, że chcesz pojechać do Senegalu.

Zmyj z siebie wstyd, który czepia się każdego.

Z wiarą, że nikt się nie odwróci.

W stronę zła.

Tęsknota za naszym Senegalem.

Oto jestem... słońce wschodzące ze swą opowieścią.

Wyciągnijmy do siebie ręce. Zapomnijmy o wrogości.

Niech nasze ludy wędrują razem.

- Rozumiesz, o czym on śpiewa? - zapytał Halders.

- Tak.

- On jej nie da spokoju - powiedziała Aneta.

- Co? O kim mówisz?

- O Forsbladzie, a o kim. Nie pogodzi się z tym, że go odrzuciła.

- Przecież już mieszka z inną.
- Tak mówi.
- To niech sobie mówi. Nawet jeśli tak nie jest, może takie gadanie mu pomaga.

- Jak to?
- Nie jestem psychopatą. Nie wiem, co on ma w głowie, ale potrafię sobie wyobrazić, że...

- To po prostu kolejne kłamstwa - przerwała mu Aneta.
- Psychologiem też nie jestem, ale jeśli on sam wymyśla sobie świat, w którym ma nową kobietę, to chyba dobrze.

- Nową kobietę do bicia?

Halders nie odpowiedział.

- Ten facet jest niebezpieczny - powiedziała Aneta. - Co do tego chyba się zgadzamy.

- Zostaw to. Zostaw jego i ją, i całą tę rodzinę, bez względu na to, czy istnieją, czy nie.

Milczała.

- I meble też zostaw. - Halders się uśmiechnął.

- Jeszcze ani razu się z nią nie spotkałam - wymamrotała pod nosem, ale Halders usłyszał. - Sama ani razu nie zgłosiła pobicia - powiedziała. Usłyszała jego westchnienie. - Ale sąsiedzi zgłosili. I to kilka razy. A sąsiadka z piętra widziała na jej twarzy ślady pobicia.

- Aneta, ona już tam nie mieszka. Nie mieszka tam. Jest bezpieczna w domu rodziców. Niewykluczone, że on mieszka z inną kobietą. Może będzie się nad nią znęcał, ale wtedy od razu go załatwimy. A teraz...

- Wiesz, ile takich rozmów jak ta nasza toczy się, kiedy gdzie indziej dochodzi do aktów przemocy? - zapytała. - I do pobić? Kiedy my, którzy mamy zapobiegać przestępstwom, stwierdzamy, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa i że nie ma powodu, żeby się zająć właśnie tą groźbą czy tym przestępstwem. Właśnie wtedy do niego dochodzi. I to po raz kolejny.

- Napijesz się jeszcze?

- Słyszysz, co mówię?

- Tak.

- To odpowiedz.
- Po prostu nie wiem, co należy zrobić w takiej sytuacji. - Odwrócił się do niej, szukał dłonią jej ramienia. - Właściwie nie możemy go złapać, nie teraz.
- Ale możemy go obserwować.
- A kto się tym zajmie?
- Ja.
- Daj spokój. Na pewno nie ty.
- To ktoś inny. Pewnie nie uwierzysz, ale wcale nie zaangażowałam się osobiście.
- Nie?
- Nie w tym sensie osobiście.
- Wiesz równie dobrze jak ja, że Winter nie przydzieli nikogo do czegoś takiego.
- To prewencja. On popiera prewencję.
- Popiera też realizm.
- A co jest bardziej realistyczne od pobitej kobiety?
- Jakiej odpowiedzi ode mnie oczekujesz?
- Nie wiem, Fredrik.
- Zresztą nawet jeśli Winter się zgodzi, Birgersson odmówi.
- Birgersson? On jeszcze pracuje? Nie widziałam go od lat.
- Bo on tak właśnie chce pracować. Aneta wstała i ruszyła do drzwi.
- Idę wziąć prysznic - powiedziała.

Halders zrobił tosty. Aneta wciąż była rozgrzana po gorącym prysznicu. Zrelaksowała się, trochę zapomniała o myślach, które wcześniej ją zaprzętały.

- Nie znalazłem ananasa - powiedział. - Jest ser, szynka i musztarda, ale ananasa nie ma.
- Fredrik, tosty naprawdę można zjeść bez ananasa.
- Ach tak? Przez chwilę myślałem, że nawaliłem.
- Wszystko zrobiłeś jak należy.
- Chcesz herbaty? - Wyciągnął dzbanek, niczym paż usługujący hrabinie.
- Zmieniłeś płytę - zwróciła uwagę na muzykę.
- Nigdy nie przestanę mi imponować twoja kolekcja

gitarowa.

Zrozumiała, co miał na myśli, kiedy zaczęła się solówka. *Comfortably numb*. Przyjemne zapomnienie. *There is no pain you are receding, a distant ship's smoke on the horizon, you are only coming through in waves.*

Dym ze statku, daleko na horyzoncie. Czy istnieje ładniejszy widok?

- Myślę, że on zna tych, którzy okradli ich mieszkanie - powiedziała.

- Aneta, błagam.

- Kto inny by to zrobił? I jak by weszli?

- Napij się herbaty i wyluzuj na chwilę.

- Odpowiedz. Przecież jakoś tam weszli.

- A potem wyszli.

- No właśnie.

- Myślę, że nie pakowałby się w coś takiego.

- A ja myślę, że wręcz przeciwnie - stwierdziła Aneta. - Jeśli nie może mieć jej, to przynajmniej będzie miał wszystko, co do niej należy.

Halders nie odpowiedział.

- Czemu nic nie mówisz?

- Nie wiedziałem, że to miało być pytanie.

- Fredrik! Daj spokój!

- Jeśli mam być szczerzy, to dla mnie to brzmi trochę jak... jak taka trochę amatorska analiza. No i jest jeszcze jeden problem.

- Jaki?

- Jeśli ten wariat Forsblad faktycznie jest szaleńcem, nie wiadomo, co z resztą. Przecież musiał jakoś przekonać tych dwóch typów, których spotkałaś, żeby wyczyścili mieszkanie.

- Żartujesz? Jakby potrzebowali zachęty! Chcesz mi powiedzieć,

że w dzisiejszych czasach w tym kraju trudno znaleźć kogoś z półświatka, kto by chciał obrobić mieszkanie? Za pieniądze ludzie zrobią, co chcesz.

- Czyżby ludzie naprawdę byli tacy podli?

- Nie ma co żartować z własnej naiwności, Fredrik.

- Wiesz co? - Halders sięgnął po dzbanek z herbatą. - Jeszcze się taki nie urodził, co by mógł cię pokonać w dyskusji.
- W dyskusji? To to jest dyskusja?

Bergnhem przeszedł przez Sveaplan. Czuł, jak mocno wieje mu w kark. Przed osiedlowym sklepem płachta gazety unosiła się na wietrze.

W zapadającym zmroku domy wokół placu wydawały się czarne. Z prawej przejechał tramwaj, rzucając zimne żółte światło. Kiedy naciskał dzwonek przy tabliczce z nazwiskiem, dwie sroki zatrzepotały skrzydłami. Tuż przed nim. Usłyszał niewyraźną odpowiedź.

Dokładnie tak jak ostatnio.

Ale tym razem nie był na służbie.

Sam nie wiedział, po co przyszedł.

- Szukam Kristera Petersa. Nazywam się Lars Bergnhem.

- Jak?

- Lars Bergnhem. Byłem tu w zeszłym roku. Jestem z policji okręgowej.

Nikt mu nie odpowiedział, ale drzwi zaskrzypiały. Wpuścili go.

Bergnhem wszedł na górę. Nacisnął dzwonek. Raz i drugi. Drzwi się otworzyły. Mężczyzna stojący w progu był w jego wieku.

Ciemne włosy opadały na czoło. Dokładnie tak jak ostatnio. Tak jak wtedy widać było, że Peters doskonale zdaje sobie z tego sprawę. I tak jak wtedy był nieogolony. Miał na sobie biały podkoszulek, identyczny jak ostatnio. Biały materiał kontrastował z opalonym, muskularnym ciałem.

- Cześć - powiedział Peters. - Wróciłeś.

- Możemy się wreszcie napić tej whisky- odparł Bergnhem.

Bergnhem prowadził kiedyś dochodzenie w sprawie serii pobić. Jeden z kolegów Kristera Petersa został pobity niedaleko jego domu. Obrażenia były poważne.

Bergnhem odwiedził wtedy Petersa i przesłuchał go. Peters okazał się niewinny. Zaprosił go wtedy na whisky ale Bergnhem odmówił.

- Nie tym razem - powiedział. - Jestem samochodem i zaraz wracam do domu.

- Tracisz właśnie szansę napicia się porządnej Springbank - odparł Peters.

- Może kiedy indziej.

- Może.

Peters odwrócił się na pięcie. Bergnhem ruszył za nim. Peters usiadł na ciemnoszarej sofie. Na niskim szklanym stoliku leżały czasopisma. Z prawej stały trzy szklanki i butelka. Bergnhem usiadł w fotelu obitym tą samą tkaniną co sofa.

- Jak leci? - zapytał Peters.

- Nie najlepiej.

- Potrzebujesz kogoś, z kim mógłbyś pogadać?

- Tak.

- To dobrze trafiłeś.

- Mam mętlik w głowie - powiedział Bergnhem.

16.

Nad Donsö wciąż było jasno. Winter stał na rufie „Magdaleny”. Słońce zaczynało płonąć nisko nad linią morza, żeby za chwilę zniknąć. Czy słońce gaśnie, kiedy schodzi do wody? - zapytała Elsa latem, kiedy się kąpali przy Vallda Sandö i zostali tam do późna. Dobre pytanie.

- Pewnie wiele takich zachodów słońca oglądasz, kiedy jesteś na morzu - powiedział Winter do Osvalda.

- No nie wiem. Raczej nie siadamy i nie bijemy brawa, patrząc, jak słońce zachodzi.

- Ale chyba dostrzegasz piękno zachodów słońca?

- Ta... - odparł Osvald. Winter zrozumiał, że pogoda, słońce, deszcz, pory dnia i uroki natury dla Osvalda są czymś innym niż dla niego i dla wszystkich tych, którzy żyją na lądzie.

Osvald wpatrywał się w schodzące coraz niżej słońce.

- Teraz zacznie się ta pora, kiedy brakuje nam światła - powiedział w zapadający zmrok. - Niedługo będziemy palić lampy od trzeciej po południu do dziesiątej rano. - Popatrzył na Wintera. - A latem się wściekamy, że słońce razi nas w oczy już o czwartej rano.

Winter przytaknął. Tam, na morzu, muszą to wszystko odczuwać wyraźniej.

- Ale tam, na wodzie, właściwie nie ma dnia ani *nocy*. Winter czekał na dalszy ciąg. Słońce już zniknęło.

- Nie ma dnia ani nocy - powtórzył Osvald. Brzmiało to jak poezja. Może to była poezja. Przecież to praca i życie codzienne, odarte z tego, co niepotrzebne, są poezją.

Osvald spojrział na Wintera. Wrócił do swojej pracy:

- Tam nie mamy takich ranków i wieczorów jak tutaj. Doba toczy się do przodu, co pięć lub sześć godzin trzeba wyciągać włoki.

- Bez względu na pogodę? - zapytał Winter.

Osvald spojrział na niego spod półprzymkniętych powiek. Miał bardzo regularne rysy, nic w jego twarzy nie było ani za długie, ani za szerokie. Do tego opalenizna, która nie znika nawet wtedy, gdy od trzeciej do dziesiątej jest ciemno. W

przymrużonych oczach widać było błękit. Winter zastanawiał się, o czym Osvald myśli, kiedy pływa po odludnym morzu. O czym myśli podczas sztormów?

- Teraz pogoda nie stanowi już dla nas większego problemu - powiedział Osvald, kiwając głową, jakby na potwierdzenie swoich słów. - Kiedyś łodzie tonęły podczas sztormów. - Znow spjrzał w stronę morza. - Albo rozrywały je miny... - powiedział jakby do siebie. Potem rzucił Winterowi szybkie spojrzenie. - Zeszłej jesieni pogoda była okropna, ale tylko dwa razy nie łowiliśmy w nocy z powodu sztormu. Jeśli wieje z prędkością większą niż dwadzieścia metrów na sekundę, nie wypływamy. - Uśmiechnął się. - Przynajmniej jeśli dno jest kiepskie. Jeśli coś nawali przy dwudziestu metrach na sekundę, robi się nieciekawie.

Odwrócił się, żeby zobaczyć, czy jego siostra wciąż za nimi stoi. Ale Johanna przeprosiła ich na chwilę. Zeszła po trapie i zniknęła między domami. Dochodziły niemal do samego nabrzeża.

- Jeśli chodzi o kaprysy pogody, to mamy mieszane uczucia - powiedział Osvald. - Jeśli pogoda jest zła, dostaje się więcej pieniędzy. Bo inni nie zawsze odważą się wypłynąć. A jeszcze żaden rybak nie stracił na sztormie. Wtedy ceny idą w górę. No i sztorm porządkuje to, co się zbiera na dnie. Morzu to dobrze robi.

Porządkuje to, co się zbiera na dnie, pomyślał Winter. Prawda. Wszystko się wywraca do góry nogami, wypływa, obraca, kamienie zamieniają się miejscami. Stare staje się nowym, nowe starym, w tę i z powrotem, w górę i w dół.

Jak w jego pracy. Tak to sobie wyobrażał. Przeszłość nie jest przeszłością albo jest nią tylko na poziomie abstrakcji. W rzeczywistości istnieje bez przerwy, jest równie blisko jak terażniejszość. Tworzą równoległy układ, od którego nie da się uciec.

Spojrzał na Osvalda. Ten mężczyzna, jego rówieśnik, za dom ma właśnie to miejsce, tę przystań. Czy raczej morze, choć i ono jest tuż obok.

- A co jest tam najlepsze? Na morzu - zapytał Winter.

Osvald chyba nie usłyszał. Winter powtórzył. Osvald wciąż patrzył na wodę, jakby na kogoś czekał. Jakby na horyzoncie zamiast słońca, które właśnie zaszło, miał się pojawić statek. Kolumna dymu. *A distant ship's smoke on the horizon.*

- Jest się królem - powiedział ni z tego, ni z owego.

Zaśmiał się. - Kiedy się stoi na mostku i rozgląda, jest się ponad wszystkim. Ponad wszystkim, co widać, jak okiem sięgnąć. I to na różne sposoby. Duchowo też.

Winter zrozumiał, o co mu chodzi. Osvald był wierzący.

Ale i tak chciał być królem. Wciąż chciał być królem na morzu. Winter zastanawiał się, co Osvald byłby w stanie zrobić, żeby zachować swoje królestwo i swój wielki trawler. Był jego religią. Kolejny raz pomyślał o ryzyku. Jak daleko Osvald by się posunął? Czy coś byłoby w stanie go powstrzymać?

- Pomyśl, jak inaczej jest w lesie - ciągnął Osvald. - Mój szwagier ma działkę w samym środku lasu, na środku łądu. Kiedy się tam jest, nisko pod drzewami... jest się poniżej wszystkiego, jest się najmniejszym.

- Tak... - zgodził się Winter. - Ale wtedy człowiek w jakiś sposób pokornieje.

- Pokornieje. Hm... no tak. Pokornieje. Ale zrozum, po dwudziestu pięciu latach na Morzu Północnym też się pokornieje. To człowieka naznacza. Przez cały rok, całą dobę. W obliczu niektórych spraw można się czuć pewnie, ale w obliczu innych - nie. Są rzeczy, które naprawdę uczą pokory.

Rozmawiał z morzem. Winter wiedział, że Osvald rzadko mówi tak dużo i że czasem, tak jak teraz, mu tego brakuje. Ale Osvald miał swój sposób mówienia i swoją logikę.

Jeśli się w to zaangażuję, będę musiał przyjąć tę logikę. Winter czuł, jak wiatr smaga go po twarzy. Tę logikę i te myśli, które pochodzą ze świata innego niż ten tutaj, na lądzie. Tutaj życie w tamtym świecie coś znaczy. Życie, ale też to, co jest od niego większe. Właśnie o tym mówił Osvald.

- Można się poczuć niezależnym - powiedział Osvald, jakby czytał w jego myślach. - No, może nie od straży granicznej - dodał i zaśmiał się, ale po chwili znów spoważniał.

- Bo bez poczucia niezależności to wszystko nie ma sensu.

Winter odwrócił się i spojrzął na wioskę: na większe i mniejsze domy, wąskie dróżki, skutery z platformami do przewozu towarów. Właśnie takimi jeżdżą mieszkańcy południowych szkieców. Zobaczył też krzyż. Dom modlitwy. Przypomniał sobie, że Oswaldowie należą do szwedzkiego kościoła misyjnego.

- Mówiłeś, że tam, na morzu, czujesz, że jesteś ponad wszystkim - powiedział Winter. - Czy to znaczy, że żyjesz blisko nieba?

- Hm... nie wiem, o jakim niebie mówisz.

- O tym, które jest ponad wszystkim.

- Ponad wszystkim? - Oswald chyba się uśmiechnął na myśl o własnych słowach, jakby się ich wstydził. Niebo ponad wszystkim. - Nie. Religia nie ma nic wspólnego z łowieniem ryb.

- Nie?

Oswald pokręcił głową.

- Ale czy to się nie musi jakoś łączyć? - zapytał Winter.

- Jak to?

- Przecież Kościół odgrywa tutaj bardzo ważną rolę. Jest wszędzie.

- Hm...

Winter nie wiedział, czy Oswald powie mu coś jeszcze. Ale wiedział, że ta kwestia jest istotna. Tutaj religia jest ważna.

- Nikt stąd nie uważa, żeby było coś niezwykłego w tym, że jeśli się ląduje w innej przystani, na przykład przez sztorm, to się tam idzie do kościoła - powiedział Oswald po chwili. - Żaden rybak z zachodniego wybrzeża nie wyobraża sobie, żeby mogło być inaczej.

Winter pokiwał głową.

- Wszyscy rybacy z zachodniego wybrzeża wierzą w Boga - dodał Oswald.

- Czy to znaczy, że na pokładzie panuje atmosfera bo-jaźni bożej?

- Wszyscy się boją Boga.

- I nikt nie dopuszcza się na statku niczego złego?

Osvald nie odpowiedział.

- Na łodzi rybackiej nikt nie przeklina - powiedziała Johanna. Byli u niej w domu. Jej brat przytaknął. Ściemniło się już. Winter miał wracać do Saltholmen promem o dziewiętnastej dwie.

- Nawet jeśli przytrzyma sobie palec? - zapytał Winter.

- Nawet wtedy - odparł Osvald. - Każdy szczerze się obrusza, jeśli słyszy, jak ktoś przeklina... na przykład przez radio. To zresztą znaczy, że to ktoś ze wschodniego wybrzeża albo z Danii.

- Często macie do czynienia z Duńczykami?

- Wszystkie ryby wyławiamy w Danii - wyjaśnił Osvald.

- W Hanstholm, w Jutlandii. Na zachodnim brzegu zatoki Jammer. Po przeciwnej stronie jest Hirtshals.

- Na zachód od Blokhus?

- Nno... tak. Blokhus jest dalej, w głębi zatoki.

Winter był w Blokhus. Kilka lat temu znalazł tam odpowiedzi na pytania związane ze sprawą, nad którą pracował. Nie mogli zidentyfikować zamordowanej kobiety. Stary trop zaprowadził ich do Danii, nad zatokę Jammer. To stamtąd przeszłość kładła się długim cieniem na przyszłości, a przez to też na teraźniejszości.

- „Magdalena” nigdy nie cumuje tutaj, w przystani na Donsö - powiedział Osvald.

- Nie?

- Nie. Teraz jest tu tylko na przeglądzie. Normalnie zawijamy do Hanstholm.

Osvald wyjaśnił. Wyglądało to tak: „Magdalena” spędza na morzu sześć dób. Łowią dorsze i łupacze. Siódmego dnia o piątej rano płyną z rybami do Hanstholmen. Ze zrobionymi rybami, jak to określił Osvald: z oczyszczonymi, zważonymi, posortowanymi i popakowanymi według wielkości. Sześć rozmiarów dorsza i cztery łupacza. Od piętnastu do dwudziestu ton ryb. O szóstej rusza aukcja. Zaczyna się o tej samej porze na całym Morzu Północnym i północnym Atlantyku. Do południa we czterech pracują na pokładzie. Mają zapewniony

prowiant. W południe zjawia się czterech zmienników. Od razu wypływają w morze. Ci, którzy zeszli z pokładu, wsiadają do samochodu, którym przyjechali koledzy, i jadą przez Półwysep Jutlandzki do Fredrikshavn, na prom.

- Co się dzieje z rybami? - zapytał Winter.

- Trafiają do *fish & chips*, w Szkocji.

- Naprawdę?

- Łupacz musi mieć tak zwane drobne mięso. To znaczy kawałki nie mogą być za grube. *Na fish & chips* nadają się też nieduże dorsze. Tiry zabierają je do Szkocji. Dziwne, co? W pobliżu Szkocji łowimy ryby, które na koniec ciężarówka z Danii zabiera z powrotem do Szkocji. Zresztą z Hanstholm pływa bezpośredni prom do Thurso.

- Nie wiedziałem.

- Bo też chyba nie ma po co o tym wiedzieć.

Winter nie był pewien, czy Oswald ma rację. Coś w jego słowach przykuło jego uwagę, ale wtedy jeszcze nie do końca wiedział co.

Potem, kiedy siedzieli w mesie i słyszeli wiatr, Winter zapytał:

- A co jest na morzu najgorsze?

- Hm... - Oswald spojrzał na siostrę.

Przez ostatnie pół godziny niewiele się odzywała. Ale Winter wiedział, że jeszcze z nią porozmawia.

- Sztormy raczej cię nie złamię - zaczął Oswald. - Ani wypadki, ani rany. Nic z tych rzeczy. Po prostu trzeba zagryźć zęby i wtedy jakoś się przez to przechodzi...

- Cisza - wtrąciła nagle Johanna.

Jej brat się wzdrygnął. Potem pokiwał głową.

- Jak to cisza?

- Cisza między członkami załogi. Prawda, Eriku?

Znów przytaknął, ale się nie odezwał. Nagle jakby wpadł w tę ciszę, o której mówiła. Jakby się stał jej żywym przykładem. Spojrzał w górę.

- Tak, to może człowieka złamać - powiedział. - I tak bywa. Niezgoda na pokładzie. Zła atmosfera. To szybko potrafi złamać.

Winter skinął głową.

- Więc łatwo być samotnym, kiedy się dowodzi na statku.
- Proszę?
- Łatwo o samotność - powtórzył Oswald.
- Kiedy się dowodzi?
- Tak. Kiedy się dowodzi.

Winter zaczął się zastanawiać. Przecież Oswald też dowodzi na statku.

Jego młody dziadek, John Oswald... czy i on dowodził?

- Wasz dziadek dowodził na „Marino”? - zapytał.

Oswald kolejny raz spojrzał na siostrę, ale ona nie spojrzała na niego.

- Na początku nie - powiedział.
- Co to znaczy, że na początku nie?
- Coś się stało... to było tuż przed tą wyprawą... Nie wiem.

Ale dowodził, kiedy płynęli do Szkocji.

- Coś się stało? Co?
- Nie mam pojęcia - odparł Oswald.
- A ci, którzy wrócili po wypadku ze Szkocji, nie opowiadali, co się stało?
- Nikt nam nic nie powiedział.
- A ktoś pytał? - ciągnął Winter.
- Tak - odparł Oswald, ale Winter stwierdził, że nie brzmiało to zbyt przekonująco.

- Ale odpowiedź nie padła? Oswald wzruszył lekko ramionami.

- Jak dla mnie pachnie buntem - stwierdził Winter.

- Tak naprawdę nie wiemy - powiedziała Johanna, odprowadzając go na prom. Płynął już z Vrångö. - To może mieć znaczenie?

- Nie wiem - powiedział Winter. Znaczenie dla kogo? - pomyślał.

- Twój tata rzucił tę pracę - dodał.
 - Ale był już w wieku emerytalnym, jak sam to określił.
- Dojrzał już do bycia eksponatem w muzeum rybołówstwa.
- W którym dziale?

Johanna się uśmiechnęła.

- Ale nie potrafi rzucić morza tak całkiem.

- Jak to?

- Wciąż się niepokoi. O tych, którzy są na morzu. O Erika i jego załogę. Ciągłe słucha duńskich prognoz pogody - pierwszej za piętnaście szósta rano, ostatniej za piętnaście jedenasta wieczorem. Ale nigdy nie dzwoni na łódź.

Winter zauważył, że Johanna mówi o swoim ojcu w czasie terazniejszym, jakby właśnie w tym momencie siedział przy radioodbiorniku i z uwagą słuchał monotonnego głosu podającego kolejne, jakże istotne liczby.

- Gdzie zazwyczaj łowią? - zapytał Winter.

- Na zachód od Stavanger, jakieś sześćdziesiąt, siedemdziesiąt mil na zachód. Czasami podpływają blisko platform wiertniczych. Stoją pięćdziesiąt mil na wschód od Szkocji.

Prom z lekkim łoskotem dobił do pomostu. Miał odpłynąć za cztery minuty.

- Niepokoisz się, kiedy Erik jest na morzu? - zapytał Winter.

- Oczywiście.

Winter ruszył w stronę promu.

- Ale teraz niepokoję się o tatę.

- Zrobię, co mogę. To znaczy, zrobimy.

- Coś się stało. Coś strasznego.

- Spróbuj sobie przypomnieć wszystko, co mówił przed wyjazdem. To ważne. Co robił. Z kim rozmawiał. Czy zostawił jakieś zapiski. Czy ktoś do niego dzwonił. Czy przyszedł kolejny list. Wszystko.

- Modlił się - powiedziała, spoglądając na niego. - On zawsze się modlił. - Kiwnęła głową w stronę łodzi. - Musisz już iść.

Uścisnęła go szybko.

Stała na brzegu, gdy prom odpływał w stronę Styrso Skäret. Winter pomyślał o wszystkich kobietach, które stały tam przez wszystkie wieki i wyglądały na morze, czekały z niepokojem w sercu. Tak jak teraz Johanna. Tak było od zawsze. Przypomni

sobie, że mówiła mu o tym, kiedy byli młodzi. Opowiadała o strachu swojej mamy i swoim. I brata. On też przyszedł na nabrzeże. Winter spojrzął na „Magdalenę”. Zobaczył dwa włączone reflektory na rufie. I postacie w sztormiakach chodzące po pokładzie. I twarz przed sterownią, twarz, która była ponad - ponad wszystkim na przystani. Widział, że Erik Osvald też odprowadza go wzrokiem. Poczul chłód wiatru i zszedł pod pokład.

W oknach schowanych za płotami domów w Långedrag paliły się światła. Winter skręcił na dobrze sobie znanym skrzyżowaniu Hagenkorsningen i pojechał na północ. Mijał kolejne kryjące się za ogrodzeniami wille. Zaparkował przed jedną z nich. Znał ten dom, i to bardzo dobrze. Spędził w nim większą część dzieciństwa i całą młodość.

Wciąż mieszkała tu jego starsza siostra. Najpierw z mężem i dziećmi, a potem, i to już od dawna, sama z córkami, Bim i Kristina.

Ale Bim i Kristina już dorosły. Bim się wyprowadziła. Kristina miała to zrobić wkrótce. Lotta Winter obserwowała te zmiany i starała się podchodzić do nich racjonalnie, ale nie jest to coś, do czego można tak podchodzić. Sam zobaczysz, powiedziała mu. Co zobaczę? - zapytał. Jakie to wszystko cholernie proste, odparła. Co, rozłąka? Tak, rozłąka. Pogadamy, jak Elsa się z tobą pożegna. Mówisz tak, jakby to było pożegnanie na zawsze. A nie jest? Wiesz, o co mi chodzi, powiedział. Tak, tak. Przepraszam. To przez tę... ciszę. Nagle zrobiło się tak cicho.

Zadzwoił do drzwi. Dzwonek odezwał się tak samo jak trzydzieści lat temu. Powinna go zmienić. Na jakiś radosny, energiczny, dynamiczny. Tiu-ta-te-rittan-ti-to.

Otworzyła po czwartym.

- Proszę, proszę.
- Przejeżdżałem tędy.
- Właśnie widzę.
- Nie zaprosisz mnie?

Cofnęła się w głąb przedpokoju.

Zdjął kurtkę i powiesił ją. Zawsze wieszał ją na swoim wieszaku.

- No. Widzisz, jak tu cicho i spokojnie - powiedziała.
 - Cudownie.
 - Wręcz przeciwnie, do cholery.
 - Na starość zaczęłaś więcej przeklinać.
 - Dzięki wielkie. Cholera. Już nie będę.
 - Dlaczego?
 - Dlaczego? Dlaczego używam mocnego języka? To pewnie przez ten silny wiatr od morza, które jest przecież tylko o pięć minut jazdy mercedesem stąd.
 - Ci z morza nie przeklinają.
 - Co?
 - Żaden rybak z zachodniego wybrzeża, nawet najmocniejszy, nie przeklina.
 - Skąd wiesz?
- Opowiedział jej, gdzie był.

Siedzieli w salonie. Widok z okna się nie zmienił. Winter widział domek dla dzieci, w którym czasami się chował.

- Tak naprawdę to używam takiego języka dlatego, że dzieci już nie mogą mnie usłyszeć. W ten sposób wracam do siebie sprzed lat.
- Hm...
- Rozumiem, że się ze mną zgadzasz.
- Hm...
- Co Angela na to, że nie ma cię w domu w sobotni wieczór? Winter spojrzał na zegarek.
- Nie wiedziałem, że to potrwa tak długo.
- I w związku z tym przyjechałeś tutaj i zaskoczyłeś mnie w środku samotnego sobotniego wieczoru. - Wskazała głową na opróżnioną do połowy butelkę wina. - I przyłapałeś mnie na gorącym uczynku. Na picciu.
- Lotta, daj spokój.
- Może jestem jak mama? Może mam duszę alkoholiczki? Może tylko czekałam na odpowiedni moment.
- Tak, to prawda.

- No widzisz.
- Ale na serio, Lotta, może kogoś potrzebujesz. Nowego partnera.
- Mam znowu wyjść za mąż? Ha, ha, ha, ha, ha, ha, ha.
- No...
- Sam sobie weź ślub. Jak już to zrobisz, będziesz mógł tu przyjść i wygłosić kazanie.
- Ile ty właściwie wypijaś?
- Pięć butelek wina i butelkę rumu.
- Gdzie Kristina?
- Zajął się nią opieka społeczna.
- Wybrałem zły moment.
- *You picked the wrong time to come.*

Winter założył nogę na nogę. Był przyzwyczajony do słownych utarczek z siostrą, ale ta była gorsza, poważniejsza.

- Wiesz, kto to? Kogo zacytowałam?
- Co?
- *Picked the wrong time...* To Dylan. Ten, którego właśnie słuchasz. Zresztą to właśnie ta piosenka. *Highlands*. Słyszysz?

Winter usłyszał cichy głos Dylana. *Well my hearts in the highlands... bluebells blazing, where the Aberdeen waters flow.*

Tak. To trochę dziwne. Aberdeen. Niesamowity znak. Nie był aż tak głupi, żeby to uznać za nic nieznaczący zbieg okoliczności. Wszędzie pełno zbiegów okoliczności, po prostu trzeba się z tym pogodzić. Czasem trzeba się oddać w ręce przypadku.

Wszystko ma jakieś znaczenie.

A do tego jest niezależność.

Dylan cicho śpiewał dalej. O upadku miasta, z którego zostały tylko pozbawione oznak życia ruiny.

- Muzyka, która napawa radością - powiedział.

Zaśmiała się. I to szczerze.

- Kiedy się przierzuciłeś na radosną muzykę? - zapytała. - *Feel-good music*, co?

- Masz jeszcze telefon? Czy władze już ci odcięły?
- A co?

- Jeśli mamy sobie zrobić imprezę, to Angela i Elsa też mogą wpaść.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała Lotta.

Pokiwał głową. Zadzwoił do domu. Angela i Elsa nie chciały przyjeżdżać. Elsa już spała. Angela się wahała.

- Nie jestem podłą suką - powiedziała. - Ale sama nie wiem. Czy to dziwne, że się waham?

Miał się zbierać do domu. Za parę minut.

- Nie wiem, co mi jest - powiedziała Lotta. - Muszę się wziąć w garść. Po prostu mam wrażenie, że wszystko straciło sens.

W przedpokoju, w pełnym świetle, na jej twarzy dostrzegł zmęczenie. Zmęczenie i smutek.

- Przecież wiesz, że nie straciło - odparł Winter. - Tyle z tego, co masz, ma sens. - Sam zdawał sobie sprawę, jak pusto brzmią te słowa.

- Ale wcale tego nie czuję. Nie teraz.

- Chodź do mnie.

- Teraz? No nie wiem...

- Chodź, teraz. Na noc. Kristiną i tak zajęła się opieka społeczna.

Lotta się uśmiechnęła.

- Tak naprawdę jest na wyspach. U znajomych, na Brännö.

- Aha.

- No.

- Chodź. Wcale nie musisz pić tutaj. Mam w domu mnóstwo butelek. Wina i rumu. Wystarczy dla piętnastu chłopów.

Lotta chciała, żeby Winter najpierw zadzwonił do domu. Cóż za miła niespodzianka, powiedziała Angela. Oczywiście, że Lotta powinna z nim przyjechać. Jak najbardziej.

Wyszła, kiedy powoli zaczynało świtać.

- To, czego nie możemy robić w dzień, robimy w nocy - stwierdziła Angela, stojąc w oknie i odprowadzając wzrokiem oddalające się tylne światła taksówki.

- Nie ma dnia ani nocy - powiedział Winter.

- E tam.

- To prawda.

- Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

- Tak po prostu jest. Na morzu.

- Chyba nie chcę już słuchać historii o morzu, Eriku.

- Niedługo zamieszkaż rzut beretem od morza.

Nie odpowiedziała. Wciąż stała w oknie. Na wschodzie pojawiło się słabe światło. Słońce już wschodziło, ale nie wzniosło się jeszcze ponad morze.

- No nie wiem - powiedziała.

Czekał na ciąg dalszy, ale nie odzywała się.

- Tak naprawdę to nie wiem - dodała po chwili.

- Czego nie wiesz?

- Co z tym morzem. Z działką. Z domem. - Odwróciła się.

Gwałtownie. - Może zostanę sama. Sama z Elsą. Może będę odcięta od świata. Wszędzie będzie daleko.

- Nie chodzi o to, żebyś tam mieszkała sama z Elsą.

Nie odpowiedziała.

- Słyszałaś, co powiedziałem?

Podeszła do sofy, na której siedział.

- Musimy to jeszcze przemyśleć - powiedziała.

- To tylko działka. Działkę chyba kupimy?

W niedzielne przedpołudnie poszli na spacer do parku Trädgårdsföreningen. Elsa zjadła loda, a potem zasnęła. Winter był trochę zmęczony. To pewnie przez tę ostatnią butelkę rumu, którą wypili nad ranem.

Usiedli na trawie. Jakaś para płynęła kajakiem przez kanał. Usłyszeli niosący się po wodzie śmiech.

Angela miała cień pod jednym okiem.

Zaczynała o piątej. To będzie długa noc, pomyślała. Ale przecież nie ma nocy. W służbie zdrowia nie ma nocy. Wszystko się kręci wokół kruchości ciała. Toczy się rytmem wyznaczanym przez porcje leków, regularnie wydzielane przez pielęgniarki. Ni z tego, ni z owego ten rytm może zakłócić alarm, wściekły sygnał karetki zajeżdżającej przed wejście na ostry dyżur.

Wszyscy do pomp.

- Nagle zacząłeś się interesować łowieniem ryb - powiedziała.

- Angela...

- Tak, wiem, że nie powinniśmy już o tym rozmawiać, ale i tak do tego wracam.

- Czuję, że... jestem jej to winny.

- Bez przerwy dźwigasz poczucie winy. Bez przerwy.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi?

- Czy na co dzień rozmawiamy o tym, że ludzie poszukują bliskich, zgłaszają kradzież roweru, spadają ze schodów albo obrywają w szczękę?

Winter milczał.

- Wszyscy ci ludzie, z którymi musicie się spotkać osobiście, żeby ich dokładnie wypytać o ich problemy. Mój Boże, pewnie co tydzień macie ich setki. I nie wyrabiacie. Jak bardzo musicie się czuć winni.

Winter zauważył, że Elsa poruszyła się na kocu. Angela podniosła głos, ale tylko trochę.

- Angela, nie możemy porozmawiać o tym później?

- Później? Niby kiedy? O wpół do piątej idę do szpitala.

Mam dyżur.

- Długo próbowała się ze mną skontaktować. Przecież chodzi o zaginięcie.

- Ach tak? I kiedy to on zaginał? To dorosły mężczyzna. Rozesłaliście już komunikat? Zawiadomiliście Interpol?

- Tak.
 - Może i tak, ale nie wtedy, kiedy jechałeś na Donsö.
 - Właśnie po wizycie tam zrozumiałem, że to już... pora poczynić kolejne kroki.
 - I nie można było tego załatwić przez telefon?
- Winter znów usłyszał plusk wioseł. Śmiech, szmer wody.
Spojrzał na Angelę.
- Uważam, że dobrze zrobiłem, że tam pojechałem, żeby z nimi porozmawiać. Niestety.
 - Niestety? Dlaczego niedobre?
 - Nie wiem. To chyba przecucie. I to nieprzyjemne.

Aneta postanowiła uwolnić Anette Lindsten. Uwolnić od męża i od przemocy. Wiedziała, że choćby miała iść określną drogą, dotrze do domu, w którym Anette się wychowała. Zaczynała czuć sympatię do Siggego Lindstena. Człowieka podróżującego. Uśmiechała się do siebie, kiedy wracała na komendę. Nie powiedział, co właściwie sprzedaje. Może encyklopedie. O angielskim futbolu. Może bije rekordy w sprzedawaniu ich starszkom mieszkającym w lesie. Znowu się uśmiechnęła. Ona też podróżuje. Ile godzin spędza w samochodzie? Naprawdę dużo.

Fredrik zatrąbił za nią. Zatrzymała się, a on wjechał na ostatnie wolne miejsce. Ona musiała jeszcze wyjechać na miasto. Kolejne godziny w samochodzie.

Weszli przez oszklone drzwi. Poniedziałkowy ranek. W środku czekała tak samo liczna jak zawsze rzesza nieszczęśników, którzy przyszli na rozmowę. Prawnicy kręcący się tu i tam z takimi samymi jak zawsze minami. I z teczkami. Pomyślała o Forsbladzie. On nie pracuje dla wymiaru sprawiedliwości. Nie w tym sensie.

Nieszczęśnicy zwieszali głowy. Niektórzy pociągali nosami, inni krzyczeli, inni płakali, śmiali się, przeklinali, jeszcze inni wykonywali gesty, które można wykonywać tylko w takim miejscu. Jakiś biedak w kurtce z rozdartym kołnierzem wpatrywał się w tablicę ogłoszeń: Potrzebny śledczy - Uddevalla. A nie, to dziękuję. Praca tymczasowa w wydziale

patrolowym, zastępstwo. Dziękuję, panowie. I tak nie zostałam u was na zawsze.

Policjanci wchodzili i wychodzili, szli w stronę schodów albo wind. Ktoś do niej pomachał. Ktoś upuścił coś ciężkiego na podłogę. Ktoś inny to podniósł.

Oto jej życie, jej świat. Czy tak właśnie miało być? Czy była jakaś alternatywa? Czy gdzie indziej byłoby jej lepiej? Jakimi innymi drogami mogłaby pójść?

Nagle pomyślała o Gąbinie Dabiré. Ostatnio coraz częściej go słuchała. Nie tylko Dabirégo. Również innych kawałków z Burkina Faso. Ludowej muzyki Lobi, Gan, Mossich, Bisa i innych ludów, z sąsiednich krajów. Oczywiście z Mali, ale też z Ghany i Nigru. Brzmiała jak droga, czy raczej jak ludzie kroczący drogą w rytmie, w który musi się włączyć każdy, kto słucha.

- Zapraszam na kawę - powiedział Halders.
- Tutaj kawa jest za darmo.
- Liczą się intencje.

Winda się otworzyła. Wsiadł Möllerström.

- Jakiś facet o ciebie pytał - powiedział. - Dzwonił przed chwilą.

- Kto?

- Sigge jakiś tam - odparł Möllerström. - Mam numer.

- Ja też mam - powiedziała i weszła do pokoju. Dzieliła go z Haldersem, bo na piętrze trwał remont. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, powinni skończyć przed nadejściem kolejnego stulecia. Wykręciła numer Lindstena. Zadzwoiła do domu, w którym się wychowała Anette.

- Oczywiście jeszcze się od niego nie uwolniliśmy - powiedział Lindsten z tym swoim spokojem.

- Co się stało?
- Wydzwania tu i grozi.
- Grozi Anette?

- Tak... jej i mnie, jeśli jej nie oddaję słuchawki. Wrzeszczał też na moją żonę.

- Mogłabym porozmawiać z Anette?
- Chyba śpi.

- Będę mogła do państwa wpaść?
 - No a potem słyszałem, że dzwoniła jej komórka - ciągnął Lindsten, jakby nie usłyszał, co powiedziała.
 - Tak?
 - Myślę, że to był on.
 - Powinna wyłączyć telefon.
 - Tak, mówiłem jej już.
 - Forsblad mówił, że pożyczył od niej klucz. Do mieszkania.
 - Tak, wspominała o tym. Musiał coś stamtąd zabrać.
 - Co?
 - Nie wiem, ale to jasne, że to on dał klucz tym facetom, którzy opróżnili mieszkanie.
 - Oddał ten klucz mnie. Czy raczej rzucił.
 - Klucz można przecież dorobić.
 - Czy może pan poprosić Anette, żeby do mnie zadzwoniła, kiedy się obudzi?
 - Tak.
 - Niech zadzwoni.
 - I co pani wtedy zrobi?
 - Najpierw chciałabym porozmawiać z nią.
 - Nikt tu niczego nie zmyśla.
- Usłyszała szczerkięcie.
- Wcale tak nie myślę - odpowiedziała.

Aneta czekała na tę rozmowę, ale się nie doczekała. Zadzwoniła do Lindstenów, ale nikt nie odebrał. Podniosła wzrok i zobaczyła Haldersa. Właśnie wszedł do pokoju.

- U Lindstenów nikt nie odbiera. Nie podoba mi się to. Coś tu nie gra.

Opowiedziała mu o rozmowie z Lindstenem.

- Jak chcesz, możemy tam jechać - powiedział Halders.
- No nie wiem. Już raz zapukałam do ich drzwi. Bez zaproszenia.
- Przecież facet sam do ciebie dzwonił. To tak jakby cię zaprosił.
- No dobra.

Nacisnęli dzwonek. Nikt nie otworzył. Pod wiatą na samochód było pusto.

- Uciekli - powiedział Halders. Jakiś samochód powoli przejechał za nimi ulicą. Aneta się odwróciła. Szyby były przyciemnione, a światło padało tak, że widać było tylko sylwetkę kierowcy. Halders też spojrzął w tamtą stronę.

- Wizyta? - powiedział.
- Możesz podejść i sprawdzić?
- A co, boisz się?
- Nie podoba mi się to.

Patrzyła, jak Fredrik schodzi w stronę ulicy. Stał przy bramie. Pewny siebie, jakby się domagał, żeby kierowca przejechał przed domem jeszcze raz, równie wolno.

Samochód wrócił. Anecie wydało się, że go rozpoznała. Halders wyszedł na chodnik. Samochód przyspieszył i pojechał na południe. Halders nie podniósł ręki. Nie miał na sobie munduru, tylko proste ciuchy, jak się kiedyś wyraził. Z naciskiem na proste, powiedział mu wtedy Winter. Aneta zobaczyła, że Halders wyjmuje notes i coś zapisuje.

Wrócił.

- Nie widziałem twarzy, ale mam numer. Chcesz, żebym go sprawdził?

- No, czemu nie.
- Teraz?

Nie odpowiedziała.

- Teraz? - powtórzył Halders.
- Firanka się poruszyła, widziałeś?
- Nie. Gdzie?
- Okno w szczycie. Firanka drgnęła.
- Dzwoniłaś znowu?
- Tak.
- Najwyraźniej dziewczyna się obudziła.
- Powinna się była obudzić wcześniej.

Halders podszedł do okna. Musiał kluczyć między wysokimi chwastami rosnącymi pod stojącymi przy ścianie świerkami. W pokoju musiało być bardzo ciemno, o każdej porze roku i przy każdej pogodzie. Tam, w środku, pora roku nie miała chyba

znaczenia.

- Nic nie widać - powiedział tak, że Aneta usłyszała go spod drzwi. Powinno go być słycać również na ulicy.

Halders zapukał w okno. I to pewnie było słycać daleko. Zapukał jeszcze raz. Wrócił.

- Nie możemy się przecież włamać - powiedział.

Aneta wyjęła komórkę i kolejny raz wykreciła numer. Nie uslyszeli sygnalu.

- Moze nie odlozyli sluchawki. Probowalas dzwonic na jej komorkę?

- Tak.

- Pewnie ja wyliczyła.

- To naprawde podejrzone - stwierdzila Aneta.

- To miejsce jest podejrzone. - Halders sie rozejrzal. - Ani skrawka, na ktorym mozna by sie poopalac.

- Podejrzana historia - powtorzyla Aneta.

Halders spojrzal na nia. Jego twarz przybrala nowy, inny wyraz.

- Spotkales sie z nia kiedyś?

- Prawie. Na trzy sekundy.

- Masz jakies jej zdjecie?

- Nie, ale widzialam kilka. Sprzed kilku lat.

Przypomniała sobie tę młodszą Anette. Loda na patyku, którego trzymała w ręku. Dziecko, które w tle wchodziło do sklepu.

- Wiec nie wiesz, jak teraz wyglada? - zapytal Halders.

- Nie...

- No to jak ja poznasz? Kiedy ja spotkasz?

- Wyglada na to, ze do spotkania nie dojdzie.

- Gdyby jakaś dziewczyna otworzyła teraz drzwi i przedstawila się jako Anette, tobyś nie wiedziala, czy to ona, czy nie.

- Daj spokój. Juz raz mi się to przytrafilo. Wystarczy.

- Tak tylko pomyslam.

Uslyszeli za soba jakis dzwiek. Na podwórko wjechal samochod.

Winter przygotował komunikat o zaginięciu Axela Osvalda. I rysopis, który mu podała Johanna. Miał też zdjęcia przedstawiające mężczyznę, którego sam nigdy nie spotkał.

Tamtego lata, kiedy poznał Johannę, jej ojciec był na morzu. Możliwe, że w połowie drogi do Szkocji albo z powrotem.

Spotkał wtedy Erika, ale nie uważał go jeszcze za rybaka. A był nim, już wtedy. Był młodym rybakiem.

- Może spotkał kogoś na szkockich wyżynach i postanowił się zapaść pod ziemię - powiedział Ringmar, stojąc przy oknie.

- Zapaść się pod ziemię na wyżynach? - zapytał Winter.

- Chyba łatwiej się zapada na nizinach.

- Nigdy więcej w tych ścianach nie powiem nic ot tak sobie - odparł Ringmar. - Żadnych powiedzonek.

- Dzięki, Bertil.

- Ale co ty o tym sądzisz? O tym, że może to jego świadoma decyzja?

- To mi do niego nie pasuje. I nie po to tam pojechał.

- To po co właściwie?

- Miał szukać swojego ojca.

- To nie była pierwsza wyprawa.

- Ale pojawił się nowy wątek.

- Tajemnicza wiadomość.

- Tajemnicza? - zapytał Winter.

Ringmar podszedł do biurka Wintera. Wziął kopię listu i przeczytał.

THINGS ARE NOT WHAT THEY LOOK LIKE.

JOHN OSWALD IS NOT WHAT HE SEEMS TO BE.

- Cóż - powiedział Ringmar.

- Brzmi tajemniczo? - powtórzył Winter.

- W każdym razie jak zapowiedź tajemnicy.

- Na tyle interesująca, żeby tam pojechać?

- Cóż...

- Mówisz jasno i prosto, Bertil. To mi się podoba.

- Mnie rzuca się w oczy ta tautologia. - Ringmar podniósł wzrok znad kartki. - Ta wiadomość to dwa razy mniej więcej to

samo.

Winter przytaknął i czekał na ciąg dalszy.

- Sprawy mają się inaczej, niż się wydaje. To znaczy: John Oswald nie jest tym, kim się wydaje. Albo tym, za kogo uważają go inni. - Ringmar spojrzał na Wintera. - A za kogo go uważają? Za martwego, nie? Myślą, że utonął.

- Nie wiadomo. Nie wiadomo, czy utonął.

- Czy właśnie to mówi ta wiadomość? Że nie utonął? Że nie żyje już od wojny, ale wcale nie utonął?

- To jak zginął? - zapytał Winter.

Zaczął się. Ruszył wewnętrzny dialog, podkreślony tak, żeby go było słycać. Czasem to przynosi skutki. Nigdy nie wiadomo.

- Zbrodnia - powiedział Ringmar.

- Zamordowano go?

- Może. Albo doszło do karygodnego zaniedbania. Może to był wypadek.

- Ale ktoś o tym wie?

- Tak.

- Ten, kto napisał list?

- To nie musi być ten ktoś, kto miał coś wspólnego z jego zaginięciem. Z jego śmiercią.

- Sprawy mają się inaczej, niż się wydaje - powtórzył Winter.

- W takim razie musimy wymyślić, jak to zinterpretować - powiedział Ringmar. - Może nie dostrzegamy wszystkich szczegółów.

- No to potrzebujemy kogoś, dla kogo angielski jest językiem ojczystym.

- Przecież jest ten twój znajomy. Macdonald.

- On nie jest Anglikiem. Jest Szkotem.

- To nawet lepiej. List przyszedł ze Szkocji.

Winter kolejny raz przeczytał list.

- To nie musi dotyczyć tylko Johna Oswalda - powiedział. - Może pierwsza linijka wcale nie mówi o nim.

- Mów jaśniej.

- Może chodzić o coś, co się z nim wiąże. O jego historię. O

ludzi, którymi się otaczał, wtedy i teraz.

- O krewnych - dodał Ringmar. - Jego dzieci i wnuki.
 - Jego dzieci i wnuki nie są takie, na jakie wyglądają?
- Ringmar wzruszył ramionami.

Winter przeczytał te dwa zdania po raz siedemnasty. Po raz siedemnasty od rana.

- Pytanie tylko, co to wszystko oznacza - powiedział.
- To znaczy?
- Sam list. Dlaczego go wysłano. I dlaczego właśnie teraz.

Dlaczego ponad sześćdziesiąt lat po tym, jak John Oswald zaginął.

18.

Zanim samochód się zatrzymał, usłyszeli głos Siggego Lindstena. Potem usłyszeli jego kroki na żwirowej ścieżce. Anecie wydawało się, że firanka znów się poruszyła. Fredrik stwierdził, że to wiatr. Że okno jest niedomknięte.

- No tak, przecież nikogo tu nie ma - powiedział Lindsten.

Dziwne, że to powiedział, pomyślała Aneta.

- Kiedy tu jechaliśmy, myślałam, że będą państwo w domu.

- Musiałem załatwić jedną sprawę. - Lindsten wykonał nieokreślony gest. - Weterynarz musiał rzucić okiem na Zacka.

- Coś poważnego?

- Nie potrafili powiedzieć. Ale kazali go zostawić.

Zobaczmy.

- Czy Anette jest w domu?

- Nie.

- Nie?

- Nie. Pojechała z matką nad morze.

- Nad morze?

- Mamy na wybrzeżu letni domek. W Vallda.

- Kiedy pojechały? - zapytał Halders.

- A jakie to ma znaczenie? - Lindsten popatrzył na Anetę, a potem na Haldersa. - Po prostu musiały. Anette nie wytrzymywała już tych jego telefonów.

I uciekła jeszcze dalej, pomyślała Aneta. Na wybrzeże. Dalej jest już tylko morze.

- Czy Forsblad wie o tym domku? - zapytał Halders.

- No tak. Wie.

- Czy w takim razie to dobre miejsce?

- Nie ma tam telefonu. A Anette zrozumiała, że musi wyłączyć komórkę.

- Przecież on nie musi dzwonić. Może tam pojechać - stwierdził Halders.

- Nie sądzę - odparł Lindsten. - Myślę, że się nie odważy.

- Jakim samochodem jeździ? - zapytał Halders. W tej samej chwili zadzwonił jego telefon. Odebrał, po chwili się rozłączył.

- Właścicielem samochodu jest Bengt Marke - powiedział do Anety i spojrzął na Lindstena. - Parę razy przejechał tędy samochód, volvo V40. Kilkuletnie. Czarne, ale one wszystkie są czarne. Bengt Marke. To ktoś znajomy?

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Musimy go sprawdzić - powiedziała Aneta do Haldersa.

- Zadzwoń do Anette i do żony i powiem, że tu jesteście.

- A jak pan to zrobi? - zainteresował się Halders. - Przecież w domku nie ma telefonu.

- Nagram się jej.

- A mówił pan, że nigdy nie odsłuchuje poczty.

- Nic takiego nie powiedziałem - powiedział Lindsten.

- No dobrze.

- Co z tym zrobicie?

- Porozmawiamy z panem Forsbladem - powiedział Halders.

- A możecie?

- Możemy wszystko.

Halders miał ten wyraz twarzy, który dobrze znała. Gapił się przed siebie. Ona prowadziła.

- Ciebie też wciągnęło? - zapytała.

- Zaciekawilo mnie to - powiedział. - Zaciekawilo mnie ten Hauptsturmführer Hans Forzblatt. Ale i reszta.

- To dobrze.

- Łącznie z dziewczyną, która się chowała za firanką, kiedy staliśmy pod domem.

- To przypuszczenie?

- Odpowiedź brzmi: nie.

- Naprawdę ją widziałeś.

- Odpowiedź brzmi: tak.

- Jak dobrze udokumentowano to zatonięcie? - zapytał Ringmar.

- Nie wiem - odpowiedział Winter. - Ich łódź, „Marino”, zatonała, kiedy wracali do domu z południowych wybrzeży

Islandii.

- Gdzie?
- Nie wiem.
- Ale dwóch się uratowało?
- Na to wygląda. Brat Johna Osvalda i inny członek załogi.
- Byli na pokładzie, kiedy łódź zatonięła?
- Nie wiem.
- Czy na przystani?
- Nie wiem.
- Udało się coś odzyskać? Z wraku? Jakieś zatopione towary?
- Nie wiem.
- To musiała być głośna sprawa. Chociaż trochę. Musieli o tym pisać w tamtejszych gazetach.
- Nie wiem.
- Ktoś nurkował i badał wrak?
- Nie wiem.
- A co ty właściwie wiesz, Erik?
- Sam nie wiem, Bertil.

Hans Forsblad zahaczył się u kogoś na Norra Älvstranden. Tak właśnie się wyraził. To oznacza, że żeby dojechać do domu Anette, musi przejechać przez most z wyspy Hisingen. Zawsze coś, pomyślała Aneta.

- Popatrz - powiedział Halders. Przyglądali się liście lokatorów wiszącej przy wejściu. - Mieszka tu ktoś o nazwisku Marke.

Aneta przeczytała: Susanne Marke. Czwarte piętro. Spojrzała w górę. Może to ten balkon. A może ten drugi. Muszą mieć świetny widok na rzekę. Pewnie widać kilka kościołów. Morze jest tak blisko, że można by w nim zanurkować. Oczywiście w ten sposób można by sobie tylko złamać kark, ale może warto rozważyć taki skok.

- To u niej mieszka? - zapytał Halders.
- Nie wiem.

Winter był w pokoju sam. Puścił Hadena i Metheny'ego, *Beyond the Missouri Sky*. Kontrabas Hadena brzmiał tak, jakby koń biegł inochodem drogą. Gitara Metheny'ego grała wyżej: du-du-du-du-du-du-du-du-du-du-du. *Spiritual*, kawałek piękny jak wrześnieowy zmierzch, jak smuga dymu na horyzoncie, jak uśmiech jego córki, jak zagajnik na brzegu, gdzie miał stanąć ich dom...

Zadzwoił telefon, du-du-du-du-du-du-du-du. Odebrał, nie ścisząc muzyki. W słuchawce usłyszał cudowny głos agenta nieruchomości. Nadeszła pora na podjęcie decyzji. Wie pan już...

Wiem.

19.

Nikt się nie odezwał. Aneta odwróciła się od domofonu. Widziała kościoły po drugiej stronie wody i Żonę Żeglarza stojącą na kolumnie przed Muzeum Morza. Stała i czekała, wpatrzona w port. Oczy i ciało z kamienia. Ta rzeźba jest po części kwintesencją życia w pobliżu morza w tej części świata. Stoi tam od zawsze.

- Zastanawiałeś się kiedyś, co symbolizuje ta rzeźba? - zapytała Haldersa.

On też się odwrócił.

- A to nie jest oczywiste?

- Co nie jest oczywiste?

- Że czeka na męża, który ma wrócić z morza. Niepokoi się. To Żona Żeglarza. Każdy w Göteborgu to wie.

- Łącznie ze mną.

- Tę kolumnę postawili na początku lat trzydziestych, najpierw sam słup, potem figurę - wyjaśnił Halders. - W okresie międzywojennym. Chyba w trzydziestym trzecim.

- Ależ ty dużo wiesz.

- Bo się tym interesuję.

- Czym? Morzem?

- Nie, historią miasta.

Dwa holowniki ciągnęły w głąb portu kontenerowiec. Jakiś prom przeciął wodę, zmierzał w stronę Danii. Widziała, jak pasażerowie się pochylają, gdy przepływa pod mostem. W oddali, nad morzem, widać było jasne światło. Jak gdyby wszystko tam było niepewne, ryzykowne. Według niej właśnie tam patrzyła Żona Żeglarza.

- Właściwie to ona patrzy w złym kierunku - powiedział Halders, wskazując na rzeźbę.

- Niby dlaczego?

- Ja wiem, ale może dlatego, że stąd to widać. Nie patrzy na morze, tylko prosto tutaj. Na Norra Älvstranden. - Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Patrzy prosto na nas.

- Myślisz, że jest w tym coś symbolicznego?

- Mówisz o Forsbladzie? Że on mieszka w tym domu, a ona

nas do niego prowadzi?

- Ciekawa teoria.
- Rzeźbiarzowi trudno było zlokalizować morze - powiedział Halders. - Może wtedy, kiedy ją ustawiali, była mgła.

Aneta się zaśmiała. Zobaczyli przepływający katamaran. Pasażerów z jego pokładu też było widać. Wpatrywali się w to samo miejsce co Żona Żeglarza - w południowy brzeg, na którym stała Aneta. Chciała im pomachać. Robiła tak, kiedy była dzieckiem. I to często. Wtedy w porcie było więcej statków. Czasami nie było zza nich widać drugiego brzegu.

- Właściwie to ma być pomnik upamiętniający wszystkich żeglarzy i rybaków, którzy zginęli, i wszystkie okręty, które zatoniły podczas pierwszej wojny światowej - powiedział Halders.

- W takim razie czeka na próżno - odparła.

W porze lunchu Winter pojechał rowerem do domu. Angela miała trzy dni wolnego. Chciała się pokręcić po mieście. Tak powiedziała. Elsa miała się kręcić z nią.

Ale teraz była w domu. Ryba była przyrządzona prosto i smacznie. Z oliwą z oliwek, cytryną, odrobiną masła, estragonem i jeszcze jakimiś świeżymi ziołami, których nie umiał rozpoznać. Po przejażdżce rowerem wciąż czuł, że ma pot na plecach.

- Z kim się ścigałeś? - zapytała.

- Ze sobą samym, jak zwykle - odpowiedział i uśmiechnął się do Elsy, która właśnie z namysłem próbowała rybę.

- I kto wygrał?

- Ja.

- W takim razie to całkiem niegłupi układ.

- Przejedziemy się rowerami na działkę? - zapytał. - W weekend?

- Elsa, chcesz? Chcesz jechać nad morze?

- Tak, tak!

Winter dołożył sobie puree.

- W takim razie jesteśmy umówieni - powiedział. - Klamka

zapadła.

- W takim razie warto to uczcić przejazdką.

Tak, pomyślał. Obie czekały na jego decyzję. On sam zresztą też. Ale już ją podjął. Przecież to tylko działka.

Nie, to poważniejsza decyzja.

Spojrzał na swoją rodzinę. Wpatrywała się w niego. Cholera, wcale nie chciał, żeby inni musieli czekać, aż podejmie decyzję.

Aż ktoś z jego ja ją podejmie.

Cały czas oddalam się od decyzji i muszę do niej wracać, i to nie bez wysiłku.

Staram się. Ostatnio nie odebrałem telefonu.

Ale to nie pomogło.

Co robię nie tak?

To powinno być łatwiejsze.

I będzie. Jest lepiej niż kiedykolwiek. Bywam tutaj częściej niż kiedykolwiek, czyż nie? Jestem tam, ale i tutaj, i chyba zaczynam łapać równowagę. Tak, równowagę. To dzięki niej. I niej. Dzięki nim obu.

Czy one też tak myślą?

Któraś z nich coś powiedziała.

- Co? - zapytał Winter.

- Elsa przygotowała deser - powtórzyła Angela.

- Mmmm...

- To beza - powiedziała Elsa.

- Mój ulubiony deser.

- Tak! - krzyknęła mała.

- Pomaga na wyczerpanie - powiedział, spoglądając na Angelę.

- Tęsknisz czasami za... swoimi korzeniami? - zapytał, kiedy pili espresso.

- A dlaczego pytasz?

- Nie wiem. A tęsknisz?

- Tęsknota... nie wiem, czy można to tak nazwać. Czasami się zastanawiam, jak by to było, gdybym żyła tam. Gdybym tam została. Gdybym się tam urodziła.

- No tak, to przecież punkt wyjścia.

- Gdybym się urodziła w Lipsku, na pewno żyłabym w cieniu przeszłości. Ludzie stamtąd tyle przeszli.

- Ale Hoffmanowie też w pewnym sensie żyją w cieniu przeszłości - zauważył Winter.

- Ale nie ja. Nie tak. Przecież urodziłam się tutaj.

- Więc na twoje życie ten cień pada pośrednio.

- Może.

Z sąsiedniego pokoju dobiegał głos bawiącej się Elsy. Budowała coś, a potem burzyła, budowała i burzyła. I tak w kółko. A mimo to wciąż się z tego śmiała. Budowanie i burzenie. W gruncie rzeczy to zwykła kolej rzeczy. Dużo z tego, co zbudowano, potem zburzono.

- Myślę, że gdybym żyła w Niemczech, też byłabym lekarką - powiedziała Angela.

- Ojciec by się nie zgodził na nic innego?

- No pewnie. Ale i tak bym została lekarką.

- Dlaczego?

- Jest tylu ludzi, którzy potrzebują pomocy i opieki.

- Na przykład kto?

- Na przykład ty.

- No tak.

Rysowała palcem kółka wokół brzegu filizanki. Wydobywała z niej dźwięk brzmiący jak cicha muzyka.

- Myślisz, że kiedy mogliby ruszyć z budową?

- Kiedy powiemy, że już czas.

- No to kiedy ten czas nadejdzie?

- Kiedy powiemy.

- Ale kiedy powiemy?

Pomyślał o tym samym co przed chwilą. Kto czeka na kogo, na czyją decyzję.

- Kiedy będziesz chciała - odpowiedział.

Angela i Elsa zjechały z nim windą i wyszły na Vasaplatsen. Doprowadził rower do kiosku. Angela i Elsa wybierały się na Kapellplatsen i do księgarni.

- Nie pojechalibyśmy gdzieś? - zapytał. - Niedługo. Żeby to uczcić. Uczcić podjęcie decyzji.

- W sobotę pojedziemy rowerami nad morze.
- Ale nad inne morze. Jedźmy gdzie indziej.
- Kiedy?
- Niedługo.
- Ja chętnie. Mam mnóstwo czasu. Całe tygodnie.
- Dobrze.
- Ale ty chyba nie masz?
- Czyżbyś uważała, że ostatnio pracowałem w wieczory i święta, rodzinę zostawiając samą?
- Ha, ha, ha.
- No to teraz będzie nagroda.
- Marbella?
- Czemu nie.
- Zadzwonisz do matki?

Kiwnął głową. Pomachał ręką i ruszył przez Vasagatan. Wjechał na sam środek skrzyżowania. Jakiś wkurzony kierowca zaczął trąbić.

Kiedy Halders i Aneta wracali do samochodu, minęło ich czarne volvo V 40. Przejechało szybko i zatrzymało się dwa samochody dalej. Wsiadła kobieta. Głośno trzasnęła drzwiami. Aneta ją rozpoznała.

- Widziałam ją z Forsbladem - powiedziała. - W sądzie.
- W sądzie?
- Pracuje w sądzie rejonowym. Była tam z nim.
- Rejestracja się zgadza.

- Przepraszam - Aneta zwróciła się do kobiety. Właśnie chciała ich ominąć. Patrzyła na nich, ale chyba nie zauważyła, że Aneta mówi do niej. Blondynka. U nasady włosy miała ciemniejsze. Ostre, dość drobne rysy nie do końca pasowały do jej wzrostu. Była wysoka. Miała na sobie długą sukienkę. Prostą i elegancką, może drogą. I kurtkę, lekką i praktyczną, ale niedopasowaną kolorystycznie do sukienki. Buty nie wyglądały na wygodne. Spieszyła się.

- Przepraszam na se... - powtórzyła Aneta, ale Halders już stanął przed kobietą i wyciągnął legitymację.

Zatrzymała się. Spojrzała na niego i na Anetę. Chyba jej nie

rozpoznała.

- Susanne Marke? - zapytał Halders.

- Proszę?

- Nie ma o co. Czy Susanne Marke to pani?

- No... tak. - Spojrzała na Anetę, jakby wciąż jej nie rozpoznawała.

Powinna mnie skojarzyć. Przypomnieć sobie czarnoskórą kobietę z sądu. Może jest daltonistką. To, jak się ubrała, mogłoby na to wskazywać.

- O co chodzi? - zapytała Susanne Marke.

- Szukamy Hansa Forsblada - odpowiedział jej Halders. -

Wie pani, gdzie jest?

- Hans Fors... A skąd ja miałabym to wiedzieć?

- Mieszka u pani.

- Hans Fors... Mieszka? U mnie?

- Mieszka tu pani? - zapytał Halders, wskazując na elegancki dom stojący za jej plecami. Na wszelki wypadek wymienił adres.

- Tak, mieszkam tu.

- Hans Forsblad twierdzi, że to jego adres - powiedziała Aneta.

Susanne Marke nie odpowiedziała, ale wyglądała tak, jakby w myślach go przeklinała.

- To nie jest jego adres - powiedziała w końcu.

- Ale chyba mimo to może tu mieszkać? - zapytał Halders.

Milczała. Nagle spojrzała w stronę wody, jakby tam szukała odpowiedzi. Jakby szukała spojrzenia Żony Żeglarza. Minął ich kolejny prom. Ten wpływał do portu. Widać było głowy ludzi stojących na rufie. Wystawały znad relingu. Aneta pomyślała, że Hans Forsblad mieszka pod adresami, które nie są jego. Dlaczego? Robi to celowo?

- Nie potrafi pani odpowiedzieć policji na proste pytanie? - zapytał Halders.

- Proszę mi wyjaśnić, o co chodzi - powiedziała. Starła się, żeby w jej minie było więcej pewności siebie niż w głosie.

Halders westchnął na tyle głośno, żeby go usłyszała. Spojrzał na Anetę. Odpowiedziała skinieniem. Gdzieś niedaleko

zaskrzeczały mewy. Potem rozległy się uderzenia młota albo bijaka. Może Forsblad ma w tym domu jeszcze inną dziewczynę, pomyślała Aneta. Powtórka z rozrywki.

- Otrzymaliśmy zgłoszenie dotyczące Hansa Forsblada - wyjaśnił Halders. - Chcemy z nim porozmawiać i mam nadzieję, że zechce nam pani pomóc. Naprawdę mam taką nadzieję.

Rzekłem. Aneta nie mogła o tym nie pomyśleć.

- Zgło... zgłoszenie? Ale czego ono dotyczy?

- To właśnie chcemy omówić z Hansem Forsbladem. No dobra, proszę posłuchać, odpowie pani na pytanie czy nie?

- Na jakie pytanie?

Halders znów westchnął. Ale zachował spokój. Aneta widziała, że pulsuje mu żyła na skroni, ale Susanne tego nie zauważyła.

Trzeba zachować spokój. To samo dotyczy jej. Chodzi o to, kto się w tym okaże lepszy.

- Mieszkał u mnie kilka dni - powiedziała Susanne Marke i rozejrzała się. Wskazała na dom. - Ale teraz nie mieszka.

- Kiedy to było? - zapytał Halders.

- Kiedy co by...

- Kiedy u pani mieszkał? - powtórzył Halders i uśmiechnął się. W połowie zdania zaczął mówić ciszej.

- No, w zeszłym tygodniu. W weekend.

- A co pani robiła w Krokslätt półtorej godziny temu?

- Nie wiem, o czym...

- Co-pani-robiła-w-Krokslatt-półtorej-godziny-temu? - Halders powtórzył, tym razem wyraźniej.

- Nie byłam tam.

My wiemy, dobrze wiemy, pomyślała Aneta. Przecież nas tam widziałas, nie da się ukryć. Chyba że jesteś prawdziwą psychopatką albo masz alzheimera w końcowym stadium.

- Był tam pani samochód - ciągnął Halders.

- A skąd... skąd wiecie? - zapytała. Wyglądała na zdziwioną, ale Aneta zauważyła, że ukrywa coś więcej.

- Staliśmy w jednej z tych spokojnych uliczek otaczających Krokslätt. Pani samochód przejechał powoli w tę i z powrotem,

kilka metrów od nas. - Halders wyciągnął notatnik, żeby mogła zobaczyć własny numer rejestracyjny.

Przecież wie, że nie mógł go spisać teraz, pomyślała Aneta.

- Wybrałam się na... przejażdżkę.

- Radzę uważać - wtrącił Halders.

- Słucham?

- Radzę uważać na słowa. Proszę po prostu powiedzieć, jak było. - Spojrzał jej w oczy. - I jak jest.

Kobieta znów spojrzała na wodę. Co ona, do cholery, wyprawia? - pomyślała Aneta. W co myśmy się wpakowali? Czemu chroni tego łajdaka? Ją też zastraszył?

Próbowała dopatrzyć się na twarzy Susanne jakichś obrażeń, ale nic nie zauważyła. Tylko w jej oczach widziała coś, co mogło oznaczać lęk, ale raczej lęk przed Fredrikiem czy też przed tym, co mówił... przed prawdą. Wie, że policji nie można okłamywać. Że to nigdy nikomu nie wychodzi na dobre. Trudno podtrzymywać kłamstwa, trudno przy nich obstawać. Równie trudno, jak nie złamać obietnicy.

- Pożyczyłam komuś samochód - powiedziała ze wzrokiem utkwionym w jednym z kościołów w oddali.

- Komu?

Spojrzała na Haldersa, jakby czekała, aż krzyknie: Radzę uważać!, zanim ona zdąży otworzyć usta.

- Potrzebował samochodu, żeby coś załatwić. Mogę już iść do domu? - Zrobiła krok do przodu. - Właściwie to trochę się spieszę. - Zaczęła czegoś szukać w torebce. Chyba klucza.

- Oczywiście - powiedział Halders, usuwając się na bok, jakby to on blokował wszystkie drogi odwrotu. Właściwie tak właśnie było. - Dziękujemy za pomoc.

Widzieli, jak idzie w stronę domu. Wyglądał jak forteca, ale nowoczesna i przyjemna, z fosą wypełnioną łódkami.

- Uwielbiam tę robotę - powiedział Halders bez krzty ironii.

Tym razem dla odmiany spotkali się w pokoju Ringmara. W oknie stała uschnięta roślina w doniczce. Ringmar nie wiedział, jak się nazywa.

- Chyba czas ją pochować - powiedział Halders, wskazując

na roślinę.

- Już jest pochowana - odparł Ringmar. - Przecież stoi w ziemi, nie?

- Zabawne, Bertil, zabawne.

- To co chcecie zrobić? - zapytał Winter.

- Wezwać go na przesłuchanie - odpowiedziała Aneta.

- Fredrik?

Halders przeciągnął dłonią po ogolonej głowie. Wydawało mu się, że teraz wygląda młodziej. Włosy zaczynały mu się przerzedzać i to było jedyne wyjście. Na pewno wyglądał groźniej. Co do tego zgadzał się cały wydział. Dla Haldersa było to idealne rozwiązanie: młodziej i groźniej.

- Nie miałem przyjemności poznać Franza Flattenführera - odparł.

- To znaczy, że jednak chciałbyś się z nim spotkać? - zapytał Winter.

- Nie wiem. Wygląda na to, że nie da się spotkać z jego żoną Agnetą, żeby posłuchać, co ona ma do powiedzenia.

- Anette - powiedziała Aneta.

- I usłyszeć, co Anette ma do powiedzenia - poprawił się Halders. - Nie znam tego Hansa Fritza, ale kojarzę ten typ. A jeśli on jest taki, jak mi się wydaje, to po przesłuchaniu może się zrobić naprawdę groźny.

- Groźny dla kogo?

- Dla niej oczywiście.

- Ona nazywa się Lindsten - wtrąciła Aneta. - Nigdy nie zmieniła nazwiska na żadne z tych, którymi ochrzciłeś Forsblada.

- Dlaczego to robisz, Fredrik? - zapytał Ringmar. - Dlaczego zawsze to robisz?

- Ale co?

- Rzucasz tymi nazwiskami, jakby wyjętymi z jakiejś powieści o wojnie.

- Bo to wolny zawód. A ja lubię powieści wojenne.

Ringmar spojrział na Anetę.

- Daj sobie z tym spokój - powiedział. - Na jakiś czas.

- Nie - odpowiedziała.

- Co tobą kieruje, Aneta? - zapytał Winter. Wyglądał raczej na zaciekawionego niż zaskoczzonego.

- Powinniśmy z nim pogadać. Mam serdecznie dość tych cholernych spraw, kiedy facetowi pozwala się robić, co chce, aż w końcu jest prawie za późno. A czasem jest za późno.

- Chcę, żebyście porozmawiali z tą kobietą - powiedział Winter. - Z Anette.

- A myślisz, że co próbowałam zrobić przez ostatnie dni? - zapytała Aneta.

- Ja też próbowałem - dodał Halders.

- Ona najwyraźniej nie chce z nami rozmawiać - stwierdził Ringmar.

- A co, ty też próbowałeś? - zapytał Halders.

- Miałem na myśli nas jako policję.

- Była wtedy w domu, ale nie chciała się spotkać z policją - powiedział Halders.

- Może to była jej matka - zasugerował Winter.

- Nie - powiedział Halders. - To była młodsza kobieta.

- No dobra. - Winter się poddał. - Jeśli chcecie go tu ściągnąć, to proszę bardzo.

- A nie mógłbyś wydać zakazu zbliżania się, skoro już zostałeś wciągnięty w tę sprawę? - zapytała Aneta.

- On i tak się do niej nie zbliży - stwierdził Halders. - Nikt tam nie otwiera drzwi.

- A domek nad morzem?

- Przesłuchajcie go - powiedział Winter. - Może to rozwiąże wszystkie problemy.

Winter poszedł do siebie. Zadzwonił do Nueva Andalucia. Oczyma wyobraźni ujrzał biały kamienny dom. Myślał o nim, czekając, aż matka odstawi shaker i sięgnie po słuchawkę. Nie, to niesprawiedliwe. Przecież ograniczyła picie, kiedy umarł tata. Miała do wyboru albo to, albo przepaść, dno ostatniej butelki produkowanego w okolicy ginu Lariós. Był tam, kiedy tata umierał, nie na dnie butelki, tylko w szpitalu Costa del Sol. Za oknami ciągnął się łańcuch Sierra Bianca. Ojciec wydał ostatnie tchnienie kilka dni po ostatniej

rozmowie. Ostatniej w życiu, a pierwszej od wielu lat.

Godziny po śmierci ojca były najtrudniejszymi, jakie dotychczas przeżył. Najostrzejszymi, najzłośliwszymi, najcięższymi. Ciążyły mu niczym blok kamienia.

Pochowano go na skalistym stoku. Rozciągał się stamtąd widok na morze, aż do leżącej na drugim brzegu pustynnej Afryki.

Wspomnienia z lotów, zarówno na Costa del Sol, jak i z powrotem, nie były miłe.

Wreszcie matka podniosła słuchawkę.

20.

- Topię się - powiedziała. - Mamy tu trzydzieści cztery stopnie. W zeszłym tygodniu było ponad czterdzieści.

- Rozumiem, to musi być nie do zniesienia.
- Och, nie o to mi chodziło.

Uśmiechnął się do siebie. Jego matka miała wiele zalet, ale nie umiała zrozumieć ironii. Może to przydatna cecha, pomyślał. Zbyt wielu ludzi chodzi po świecie, rzucając to tu, to tam ironiczne uwagi, które inni muszą rozszyfrowywać. Aha, więc nie to miałeś na myśli? No nie. OK, nie zrozumiałem. Powiniennem był wiedzieć, że chodziło ci o coś wręcz przeciwnego.

W jego branży ludziom często chodzi o coś wręcz przeciwnego. Ale nie chodzi o ironię. Po prostu kłamią.

Żył w świecie pełnym kłamstw. Taki właśnie był jego świat.

Jego praca polegała na rozszyfrowywaniu kłamstw. Co w końcu zostaje z człowieka? Kiedy już wyjdzie z założenia, że wszyscy kłamią? U kogo można znaleźć ukojenie? Komu zaufać?

- A jakie są dalsze prognozy? - zapytał.
- No, ma tak być przez kilka tygodni. Może niedługo temperatura minimalnie spadnie.
- Nie zapowiadają deszczu?
- Nie, niestety.
- To dobrze.
- Jak to?
- Myśleliśmy, żeby do ciebie wpaść na kilka dni.
- Wy? Masz na myśli was wszystkich?
- Tak.
- Byłoby cudownie. Cudownie!
- My też się cieszymy.
- Co na to Elsa?
- Jeszcze nie wie. Najpierw chciałem porozmawiać z tobą.
- Ależ, Eriku. Wiesz dobrze, że zawsze jesteście tu mile widziani. A ty nie byłeś tutaj od... od...

Nie dokończyła. Nie musiała. Pojechał tam w drugi dzień

Bożego Narodzenia i wypił siedem butelek whisky. Tych śmiesznie małych, tych, które dają w samolotach, ale jednak. Do tego piwo. Połowa obsługi naziemnej lotniska w Maladze taszczyła go do samochodu. Była tam i policja, ale jedynie po to, żeby pomóc. Kiedy tylko wsiadł do samolotu, Ringmar zadzwonił do szefa miejscowej policji i uprzedził, co się może wydarzyć w Maladze. Ringmar rozumiał. Policjanci z Hiszpanii też.

Muy borracho. Si. Comprendo.

Za to on, wyjeżdżając i zostawiając za sobą to, co się stało w Göteborgu w święta, nie rozumiał. Bo jak można to pojąć? Tak naprawdę to wszystko pojąć? Chciał zrozumieć, stopniowo. Sądził, że można. Bo przecież żadne zło nie dzieje się bez przyczyny. Skądś się bierze. Z ludzi. Dzięki temu staje się trochę bardziej zrozumiałe, ale jednocześnie jeszcze bardziej przeraża.

W zeszłe święta Ringmar musiał dokończyć taką właśnie straszłą robotę. Bertil jest silny, silniejszy od niego. Sam przeżywał prywatne piekło, ale jest silnym człowiekiem. Prawdziwym człowiekiem. Bez Bertila nie ma nic, pomyślał wtedy. Potem ta myśl wracała jeszcze kilka razy. Ja jestem słaby, ale on jest silny. Ja jestem coraz słabszy, on - coraz silniejszy. Może i ja taki będę? Czy to się zmieni? Czy tego chcę? Czy chcę być silniejszy?

- Dam znać, jak będziemy znać szczegóły - powiedział matce.

- Ale przyjedziecie wkrótce?

- Mam nadzieję.

- Pewnie jak zwykle macie tam podłą pogodę.

Winter spojrział w okno. Babie lato i jaskrawe słońce.

- No tak - skłamał.

Aneta jechała na południe. Skręciła w stronę Krokslätt. Wszystko wyglądało jak kilkadziesiąt lat temu - domy, ulice, szyldy. Odpadające tynki, które od razu łątano. Kawiarnie z dwoma stolikami i pięcioma krzesłami.

Nie była sama na ulicy. Jechała za czarnym volvo V 40. Było

jakieś sto metrów przed nią. Tym razem jechała innym autem, nie zwykłym saabem. Jednym z tych nierzucających się w oczy samochodów z garażu mieszczącego się pod komendą przy placu Ernsta Fontela.

Domyślała się, dokąd jedzie volvo. Ale w głębi duszy coś ją niepokoiło. Nie były to zawroty głowy, takie jak wcześniej. Ale coś podobnego.

Volvo prowadziła Susanne Marke. Aneta widziała, jak wsiadała do samochodu w uliczce w starej części Nordstan. Czekala tam na nią. Wiedziała, gdzie będzie po południu. Sama ją o to wcześniej zapytała. Obstawiała, że kończy pracę o czwartej. Trafiła.

Ale nie mogła wiedzieć, dokąd pojedzie. Właśnie wjeżdżała do Fredriksdal. Po chwili zatrzymała się na znanym Anecie podjeździe. Nie było na nim samochodu Siggego Lindstena. Aneta pojechała dalej i zobaczyła, jak Susanne Marke wysiada. W tylnym lusterku widziała jeszcze, jak idzie w stronę domu. Nie rozglądała się. Dalej ulica skręcała i widok zasłoniły inne domy. One akurat mało Anetę obchodziły.

Zawróciła na niewielkim skrzyżowaniu. Kiedy podjechała pod dom, samochodu Susanne Marke już tam nie było.

- Forsblad nie wrócił po południu do pracy - powiedział Halders. - A w ich gniazdku przy Älvstranden nikt nie odbiera.

- Widziałam ją dziesięć minut temu - odparła Aneta.

- A jest tam?

- Nie, pojechała do Lindstenów.

- O cholera.

- To była krótka wizyta.

- Skąd wiesz? Opowiedziała.

- Wciąż nie wiesz, jak wygląda Anette Lindsten, co?

- Nie, a dla... - przerwała. Zrozumiała, co Fredrik ma na myśli.

- Na pewno się mylisz.

- Przecież tu chodzi właśnie o najbardziej pogmatwane pomysły.

- Naprawdę tak sądzisz? - zapytała. Raczej samą siebie.

- Nie. Nie mogła się aż tak zmienić.
- Najlepiej będzie to sprawdzić. Tak dla pewności.

Siedziała ze słuchawką w dłoni. Susanne Marke to Anette Lindsten, a Anette Lindsten to...

Nie.

Ale przecież Sigge Lindsten zadzwonił. O ile to on jest Siggem Lindstenem. Może ma fałszywy dowód. Może dom we Fredriksdal nie jest prawdziwy, może to tylko atrapa, jak w filmie. Cała ta sprawa to chyba film. Nagle pomyślała o tym, że w Wagadugu organizują festiwal filmowy. Była tam kiedyś w kinie. Mieściło się w bunkrze z dziurawymi ścianami. Białe światło wciskało się z zewnątrz przez setki szpar w kulisach. Film był krajowej produkcji. Opowiadał, o dziwo, o ludziach żyjących w mieście na pustyni. Nie było tam bogów czy może duchów. Aktorzy mówili w języku moré, do tego wyświetlano francuskie napisy. Aneta знаła poszczególne słowa, ale nie rozumiała, co mówią. To nie tylko inna kultura. To inny świat.

Może ci dwaj mężczyźni, których spotkała w mieszkaniu, może należącym do Anette Lindsten, może to rzeczywiście byli jej ojciec i brat. Ale mieszkanie było zapisane na jej nazwisko. A mieszkanie Susanne Marke było zapisane na Susanne Marke. A samochód na Bengta Markego. Kim jest Bengt Marke? Czy i on nazywa się Hans Forsblad? Albo Heintz Frits-frütz? Prawie zachichotała. Potem przeszył ją dreszcz.

Włączyła silnik i pojechała na południe, daleko na południe.

Winter złapał Steve'a Macdonalda podczas lunchu.

- Zgadnij, co jem - powiedział Macdonald.
- Wiem, skąd się bierze jedzenie - odparł Winter.
- *Fish* czy *chips*? - ciągnął Macdonald.
- Znam rybaka, który złowił tę rybę.
- To świetnie. Czy pod panierką jest jakiś stempel albo coś w tym rodzaju?

Winter powiedział mu o wycieczce na Donsö.

- A teraz jego ojciec wybrał się na wędrówkę po wyżynach

Szkocji.

- Nadal się nie odnalazł. W każdym razie nie dał znaku życia.

- Macie już komunikat o zaginięciu?

- Tak.

- Prześlij mi szczegóły, to pogadam z ludźmi w Inverness.

- Dzięki, Steve.

- Co poza tym?

- Buduję dom. Nad morzem. - Winter zawiesił na chwilę głos. - Chyba.

Macdonald się zaśmiał.

- Lubię to twoje zdecydowanie.

- Działka jest ładna. Czuć zapach morza.

- To dobrze.

- A ty jeździsz czasem do domu?

- Do domu? Masz na myśli Szkocję?

- Tak.

- Niezbyt często. No i nasza wioska i zagroda nie leżą nad morzem.

- No nie, kiedyś o tym wspominałeś.

- Dallas leży w swoim własnym małym świecie.

- Co masz na myśli?

- Sam zobaczysz, jak przyjedziesz.

- A czemu miałbym tam jechać?

Pół sekundy po tym, jak to powiedział, zrozumiał, że pojedzie. I to wkrótce. To było to przeczucie, którego wcale sobie nie życzył. Podpowiadała mu to intuicja, bez której nie umiałby się obejść.

Poczuł chłód. Coś się zbliżało, ale nie wiedział co. Nagle strasznie zapragnął pojechać na południe. Daleko na południe.

Aneta zadrżała. Wiatr wpadał przez na wpeł otwarte okno. Dzięki temu miała jaśniejszy umysł. Słońce delikatnie świeciło nad polami. Wszystko było jeszcze zielone, ale pewnie za tydzień to się zmieni. Później cała zieleń żółknie jak wszystko, co zbyt długo leży na słońcu.

To jest prawdziwa wieś. Są krowy. Widziała traktor, jechał

samym środkiem drogi. Traktorzysta miał na głowie czapkę i sprawiał wrażenie opóźnionego w rozwoju. Zuł źdźbło siana. Nie zauważyły jej, nawet gdyby jej przejechał po samochodzie.

Aneta minęła jakąś zagrodę. Świnie ryły w ziemi, tuż przy drodze. Śmierdziało świńskimi odchodami, ale nie zamknęła okna. Przecież to z tej ziemi, ze wsi, wszyscy się wywodzimy. No, może nie ja, ale wszyscy inni prości ludzie z tego mroźnego kraju. Wysuszonego

zimmem, jak powiedział kiedyś Fredrik. Jesteśmy wysuszeni mrozem, wysuszeni na wiór, a kiedy się rozgrzejemy i nabierzemy wilgoci, to puchniemy dziesięciokrotnie. Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała, ale brzmiało to prawdziwie, jak wiele innych głoszonych przez niego prawd. Były szalone, ale brzmiały prawdziwie. A przynajmniej fajnie. Poza żartami o pieprzonych imigrantach, ale te już się skończyły.

Przystanąła na rozjeździe i zerknęła do notatek. Kiedy ostatnio widziała Siggego Lindstena, zapytała go, gdzie jest ten ich letni domek. Nagle z przeciwka nadjechał samochód. Pędził tak, że oberwała żwirem w twarz. Nie zdążyła zobaczyć, co to za auto. Poczula, jak piecze ją czoło. Spojrzała we wsteczne lusterko, ale zobaczyła tylko tuman kurzu, a potem własne czoło z czerwoną kroplą. Starła ją palcem wskazującym lewej ręki i wessała. Poczula metaliczny posmak.

Wiedziała, że na wsi ludzie jeżdżą jak wariaci. To ich teren, ale krążą po nim, jakby byli wyjęci spod prawa. Jak poszukiwani. Żywi lub martwi.

Pojechała za daleko. Pokonała jeszcze kilkaset metrów, znalazła zjazd i skręciła.

Kiedy wróciła, nad drogą jeszcze unosił się pył. Minęła stary znak drogowy. Był tak wyblakły, że nie było już widać kolorów.

Dobrze trafiła. Na środku dość parszywej drogi rosła trawa. Mogła zaparkować w niszy pod wystającą ze stoku skałą. Wysiadła. Poczula zapach morza, choć stąd nie było go widać. Z drugiej strony porośniętego sosnami wzgórza dobiegał skrzek mew. Zaczęła się wspinać między drzewami. Ziemia była rozgrzana.

21.

Kiedy stanęła na szczycie, poczuła wiatr i zobaczyła morze. Było ogromne i napierało na nią. Wiedziała, że fale zbliżają się do brzegu, ale stąd woda wyglądała, jakby stężała, jakby się zmieniała w skalny masyw ciągnący się aż po horyzont. Morze nie było niebieskie ani zielone, nie przypominało żadnego z tych kolorów.

Zeszła niżej. Tutaj też, tak jak po wschodniej stronie, rosły sosny. Między drzewami dostrzegła zarys domu. Przed nim stał samochód. Rozpoznała go.

Widziała tylko samochód.

Za nim stała kobieta, twarzą w stronę morza. Ją też rozpoznała.

Kobieta się odwróciła. Aneta właśnie próbowała się ukryć między drzewami. Szybko odwróciła się z powrotem w stronę wody, jakby nie było nic nadzwyczajnego w tym, że komisarz miejskiej policji w to uroczne popołudnie zbiega ze wzgórza. Susanne Marke długo stała plecami do niej. W końcu musiała się odwrócić.

- Nie jestem zaskoczona - powiedziała.
- Czy jest tu Anette? - zapytała Aneta.
- Czy tu nie jest cudownie spokojnie? - powiedziała Susanne Marke, spoglądając na skamieniałe morze.
- Często tu pani przyjeżdża?
- Jestem tu pierwszy raz.
- Ale trafiła pani bez problemu - odparła Aneta, zdumiona tą rozmową i całą sytuacją.
- Hans opisał mi drogę, więc nie było trudno - powiedziała Susanne Marke.

- Hans? Hans Forsblad?

Susanne Marke odwróciła się i Aneta dostrzegła na jej twarzy wyraz zdecydowania.

- Niech mnie pani uważnie posłucha. Ktoś popełnił błąd i właśnie się staramy to naprawić.

Aneta czekała w milczeniu. Bardzo niedobrze byłoby teraz coś powiedzieć. Wydawało jej się, że firanka w jedynym

widocznym oknie poruszyła się. To też wydało jej się czymś naturalnym. Powtórka, która nie powinna dziwić, jeśli się ma do czynienia z takimi ludźmi.

- Słyszysz pani? Chodzi o błąd. Sytuacji wcale nie poprawia to, że gli... policja biegnie za nami i się wtrąca.

No nie. Wszyscy byliby szczęśliwsi, gdyby policja nie biegła i się nie wtrącała. Gdyby ograniczała się do mówienia ludziom, że mają spadać, kiedy dzwonią, żeby zgłosić kradzież, pobicie czy morderstwo. Albo coś niedobrego. Proszę zadzwonić do sąsiada. No właśnie.

- Zaczęło się od tego, że zgłosili się do nas sąsiedzi Anette - powiedziała Aneta. - I to kilka razy.

- Stało się coś niedobrego - powtórzyła Susanne Marke.

- Anette miała obrażenia. Na twarzy.

- A była w szpitalu? - To było pytanie retoryczne.

- Z tego co wiemy, nie.

- Nie była.

- Czy mogę zobaczyć pani dowód osobisty?

- Co proszę?

- Dowód - powtórzyła Aneta. - Pani dowód.

- Dlaczego?

Aneta wyciągnęła rękę. Zauważyła, że wyraz twarzy Susanne Marke się zmienił.

- Chyba pani nie sądzi, że...

Aneta nie odpowiedziała. Stała z wyciągniętą ręką.

Susanne Marke się uśmiechnęła. Nie był to miły uśmiech. Nagle Aneta go rozpoznała. Rozpoznała tę minę, oczy, tę twarz.

Twarze były identyczne. Coś musiało je łączyć.

Susanne Marke sięgnęła do torebki i wyjęła portfel. Zaczęła go przeszukiwać, wyjęła prawo jazdy. Podała je Anecie z tym samym uśmiechem. Jakby jej przywarł do twarzy. Zrobiła się zimna niczym ulotne kolory morza i nieba.

Aneta zobaczyła zdjęcie: Susanne Marke. Nazwisko też się zgadzało.

- Kim jest Bengt Marke?

- To mój były mąż.

- Czy Hans Forsblad to pani brat?

Susanne Marke wciąż się uśmiechała. Aneta nie potrzebowała innej odpowiedzi. Nagle się wystraszyła. Czowała, że broń ciąży jej przy boku. Zapewniała jej poczucie bezpieczeństwa, nieoczekiwane, ale i... zbędne. Przecież nie będzie jej potrzebować. Zrozumiała, że nie powinna była przyjeżdżać tu sama. To był błąd w stylu Fredrika. On już taki popełnił. Wtedy omal nie przyplącił tego życiem. Miał szczęście. Głupi i odważni zawsze je mają. Nie do końca wiedzą, co się dzieje. Ale ona nie była ani odważna, ani głupia. I dlatego mogło się to źle skończyć.

Z tymi ludźmi nie ma żartów.

- On zawsze będzie moim bratem - powiedziała Susanne Marke.

Cokolwiek by się działo, pomyślała Aneta. Nie wątpię. W tej kwestii wierzę jej bez zastrzeżeń.

- To wszystko to jeden wielki błąd.

- A na czym ten błąd polega?

- Hans... on nic nie zrobił.

- Ależ skąd.

- On chce wszystko poukładać na nowo.

- Jeśli nic nie zrobił, to chyba nie trzeba nic układać na nowo?

Może rzeczywiście tak było. Może chciał dobrze. Może to się miało już nie powtórzyć. A tego, co się stało, wcale nie było. To był tylko błąd. Nie jego wina. To wszystko nieporozumienie. Ciosy były nieporozumieniem. Przez lata służby nasłuchiwała się o takich nieporozumieniach. Słyszała, jak przestaje się rozmawiać, a rozmowy zastępuje przemocą. Ciosy zamiast słów. Desperackie, milczące ciosy. Mężczyźni są twardzi, kobiety miękkie. No tak. Są właścicielami, wydaje im się, że mają drugiego człowieka na własność. Dominacja. Całkowita kontrola. To kwestia... honoru. W jakiś pokretny sposób to kwestia honoru. Tak samo jest tutaj, w kraju jasnoskórych ludzi. Nie dotyczy to tylko zacofanych drani z odległych krajów, którzy mordują swoje córki, żeby zachować honor.

- To nie jego wina. To nie zależało od niego - powiedziała Susanne Marke.

- Proszę?
- To inni są winni - powtórzyła. - Przecież mówiłam pani, że to był błąd. Nie słucha pani?
- A pani ma mu pomóc naprawić wszystkie te błędy?
Susanne Marke nie odpowiedziała. Spojrzała na dom.
Aneta też dostrzegła jakiś ruch w oknie. Cień, sylwetkę.
- Chciałam tylko wyjaśnić, jaki naprawdę jest Hans.
Wyjaśnić komuś, kto tego nie rozumie - powiedziała Susanne Marke.
- Komu? Tej kobiecie za szybą? - zapytała Aneta, wskazując na dom i okno.
Susanne przytaknęła.
- Czy to Anette?
Susanne Marke znów na nią spojrzała.
- Nie miałam czasu sprawdzić. Nie zdążyłam przecież.
Wybiegła pani spośród drzew, zanim zdążyłam zapukać.
- Gdzie teraz jest pani brat? Próbujemy się z nim skontaktować.
- Proszę sprawdzić w bagażniku. - Susanne Marke się zaśmiała. Jej śmiech przypominał szczeknięcie. Odbiło się echem nad zatoką.
Aneta nie bardzo jej wierzyła, ale ten śmiech ją przekonał.

Bertil Ringmar wpatrywał się przez szyby werandy w ogród sąsiada. Za dużo było go widać. Żywopłot był zbyt niski. Jego sąsiad nie był do końca normalny. Pełnił jakąś funkcję administracyjną w służbie zdrowia, chyba w zarządzie szpitali, i kiedy udało mu się obrócić w perzynę wszystko, co miało w tej branży jakąkolwiek wartość, odbiło mu ostatecznie. Zniszczył wszystkie działki, łącznie z własną posesją. A teraz robił to samo z różnymi częściami swojego ogrodu.

Wszystkie te myśli przeleciały Ringmarowi przez głowę, kiedy tak stał na werandzie. Myślał już o tym wcześniej. Na pewno w święta Bożego Narodzenia. Wtedy ten szpitalny wariat przerobił swoją działkę na rozświetlone ponad granice rozsądku pole. I oto pewnej zimowej nocy cały prąd trafił na jeden koniec miasta, do jednego domu. Serce Smålandii

przypominało raczej Picadilly Circus, Times Square lub jakieś inne znane miejsce. Ringmar uśmiechnął się do swoich pokrętnych myśli. W takich miejscach wcale nie jest jasno. Uśmiech znikł z jego twarzy. Znowu zbliżała się zima, apogeum oświetleniowego szału. Wtedy, tamtej zimy, miał ogromną ochotę nakłąć temu wariatowi. Później niemal żałował, że nie było mu dane doświadczyć, jak to jest.

Doświadczyć bycia człowiekiem, który odkrywa w sobie zwierzę.

Mój Boże, co też mi przychodzi do głowy.

Wtedy był zupełnie inny. Ale już nigdy taki nie będzie.

Jego syn znowu był w domu, nie fizycznie, ale w jakiś sposób był. Jakoś się wykaraskał z tej piekielnie trudnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Sytuacja była piekielnie trudna, jak fałszywa chrześcijańska wersja piekła. Myśli Martina jak na komendę błądziły nisko, po dnie przepaści, jakby to tam spodziewał się znaleźć ojca. Jakby ktoś go tak

zaprogramował, na szukanie ojca potwora. Ale Ringmar nigdy tam nie był, nigdy nie zrobił czegoś takiego. Czasami nie było go w domu, ale takie brzemie dźwigało całe jego pokolenie. Brzemie nieobecności czy jak to, cholera, nazwać. Ale przecież kochał swoje dzieci, swojego syna. Kochał nadal.

Znowu pomyślał o Times Square.

Te święta i Nowy Rok będą inne.

Może on, Martin, Moa i Birgitta będą stać na Times Square, ramię przy ramieniu, i śpiewać *Auld Lang Syne*, jak wszyscy mieszkający w Nowym Jorku Szkoci i cała reszta. To będzie sporo dni i nie będą one tanie, ale stać go na to. Chciał pożyczyć sobie chwilę, póki był w pełni sił. Jeszcze dziesięć lat i może nie będzie mógł tu stać, przy drzwiach werandy, i pozwalać myślom błdzić, gdzie chcą. Może go znajdą z dłońmi zaciśniętymi w żelaznym uścisku na szyi przekłętego sąsiada. I nic nie będzie w stanie oderwać rąk. Jego ciało zdąży zeszywnieć.

Zadzwoił telefon.

- Mam nadzieję, że przeszkadzam - powiedział Halders.
- Jak zawsze - odparł Ringmar.

- Widziałeś dziś po południu Anetę?
- A czemu pytasz?
- Gadałem z Erikiem. On też jej nie widział. - Halders powiedział to raczej do siebie. Ringmar usłyszał w jego głosie niepokój.

- Zadzwoń do niej.
- A myślisz, że co zrobiłem?
- Co to za historia?
- Mamy ściągnąć na przesłuchanie tego faceta znęcającego się nad żoną. Myślałem, że Aneta chciałaby przy tym być. Znaleźliśmy *das Schweinhundt*.

- A nie *der Schweinhundt*?
- Albo *die*. W każdym razie trafiliśmy dziś po południu na ten ciekawy okaz.

- Jesteś prawdziwym przyjacielem ludzi, Fredrik.

- No tak, bo co? Przecież ich chronię.

Ringmar wciąż stał w drzwiach altany. Zobaczył, jak sąsiad wychodzi i idzie na dół ogrodową ścieżką. Ułożył ją z mnóstwa kamiennych kompozycji. Wyglądały jak kamienie runiczne. Palily się na nich świece. Jak znicze na grobach. Kiedy Ringmar pierwszy raz zobaczył to dzieło w całej okazałości, a było to zaledwie parę tygodni temu, roześmiał się. I to dokładnie tak jak szef inspektora Clouseau w ostatnich częściach *Różowej Pantery*, tuż zanim postradał zmysły. Lubił te filmy. Najbardziej podobały mu się nowatorskie metody pracy inspektora.

- Aneta nigdy nie robi nic głupiego - powiedział.

- Wszyscy popełniamy błędy.

- Pracuje z tobą tak długo, że już się nauczyła.

- Popełniać błędy?

- Nie, unikać ich. Patrzyła, co robisz, i wie, że trzeba robić odwrotnie.

- Nie podoba mi się to - powiedział Halders. - Wygląda to tak, jakby gdzieś wyjechała w pośpiechu.

- Odezwie się. - Ringmar spojrział na zegarek. - Jest już po godzinach pracy.

Usłyszał, jak Halders mamrocze coś w odpowiedzi. Potem

się rozłączył.

Sąsiad zapalił w ogrodzie kolejne świece. Ringmar ścisnął słuchawkę. Potem odłożył ją na miejsce - przesadnie ostrożnie. Zapadał zmierzch. Sąsiad zaczynał swoją bezpardonową walkę z ciemnością. Spróbuj na to spojrzeć w ten sposób, Bertil.

- Może chce pani zapukać? - zapytała Susanne Marke. Zrobiła ruch, jakby stała w kolejce i jakby oferowała Anecie miejsce przed sobą.

Wciąż stały jakieś dziesięć, piętnaście metrów od domu. Ze szczytu wzgórza wydawał się mniejszy niż w rzeczywistości. Kilka

okien wychodziło na morze. Była też weranda. To dopiero musi być przeżycie, siedzieć tam i obserwować zachód słońca. Ale dziś słońce nie zaszło, nie tak, żeby można było to zobaczyć.

Co czeka w środku? - zastanawiała się Aneta. Ktoś tam jest.

Przed domem nie było żadnego innego samochodu. Żadnego garażu.

Susanne Marke poruszyła się nagle. Aneta się wzdrygnęła. Wydawało jej się, że widzi jakiś ruch na wodzie. Dostrzegła go kątem oka, ale kiedy odwróciła się w tamtą stronę, nic nie zobaczyła.

Jakby woda chciała jej o czymś powiedzieć.

A może to miało jakieś znaczenie, i to duże. Może chodziło o coś, co dotyczy jej, Anety.

Woda była dla niej zagrożeniem.

Nie podchodź!

Odejdź!

Zauważyła pomost. Musiał należeć do właścicieli domu. Zobaczyła też plastikową łódź. Stała przycumowana do pomostu. Wiosła sterczały do góry. Łódka spokojnie unosiła się na wodzie.

Susanne Marke podeszła do drzwi i zapukała. Aneta stanęła obok. Susanne zapukała jeszcze raz.

Drzwi powoli się otworzyły. W środku było ciemno. Aneta dostrzegła zarys twarzy.

- Idźcie stąd - powiedziała twarz.

Susanne Marke zaczęła coś mówić, ale Aneta była szybsza. Wyciągnęła odznakę.

- Mogłaby pani być tak miła i otworzyć?

Twarz jakby się cofnęła. Drzwi wciąż były uchylone na dziesięć centymetrów. Może to miało znaczyć, że mogą wejść.

Susanne Marke weszła.

Aneta za nią.

W długim, wąskim przedpokoju nie było lampy. Na ścianie, tam, gdzie zaczynał się pokój, widać było kwadrat okna. Za nim zapadał zmierzch. Ktoś się ruszał. Aneta dostrzegła twarz. Twarz starszej kobiety.

- Signe, musisz pozwolić Hansowi porozmawiać z Anette - powiedziała Susanne Marke.

- Czy wy nie możecie zostawić jej w spokoju? - odparła Signe Lindsten głosem o wiele mocniejszym, niż Aneta spodziewałaby się usłyszeć z jej ust.

- Ale on chce tylko porozmawiać - upierała się Susanne.

Przecież wcześniej też tylko tego chciał, pomyślała Aneta.

- Czy czują się państwo zagrożeni? Czy ci ludzie wam grożą? - zapytała Aneta. - Mnie może pani powiedzieć.

- Na litość boską - powiedziała Susanne Marke.

- Wie pani, że jestem z policji, prawda?

Anecie wydało się, że Signe Lindsten przytaknęła.

- Gdzie jest Anette? - zapytała Aneta.

Signe Lindsten nie odpowiedziała. Aneta zrozumiała swój błąd. Głupotą było pytać o to w chwili, kiedy solidarna siostra Forsblada stała obok.

- Muszę panią na chwilę wyprosić - powiedziała do Susanne Marke.

Susanne się nie ruszyła. Aneta wiedziała, że zrozumiała, że będzie musiała wyjść. Próbowwała coś powiedzieć, ale sama nie wiedziała co.

Nagle Susanne Marke się odwróciła i powiedziała głośno: Błąd! I wyszła. Stukała w przedpokoju obcasami kozaków. Zanim Aneta zdążyła coś powiedzieć, usłyszała odgłos odpalania silnika. Samochód odjechał. Kiedy schodziła ze wzgórza, klucząc między drzewami, nie widziała drogi, ale też

nie rozglądała się za nią.

Winter przeszedł przez boiska na Heden. Jacyś mężczyźni w średnim wieku grali w nogę. Twarze mieli groteskowo powykrzywiane. Tak

jak trzeba. Usłyszał krzyk, jakby ktoś wzywał pomocy. Rozejrzał się, ale nie zauważył samochodów transportujących krew i sprzęt medyczny.

Zapalił corpa, pierwszego tego dnia. Ograniczył palenie, ale wiedział, że lepszego wyniku pewnie nie uda mu się osiągnąć. W pracy się powstrzymywał. Gdyby po pracy też miał nie palić, musiałby się zastanowić, jaki sens ma dla niego ten czas. Albo czas w ogóle.

Oto pokrętna perspektywa palacza.

Ale wszystko jakoś trzymało się kupy. Po życiu obracającym się wokół zbrodni i jej konsekwencji udawało mu się prowadzić inne życie.

Nie palić w pracy, palić potem. W miarę logiczne.

Próbował to wyjaśnić Angeli.

- Może i zrozumiałam - powiedziała. - To dobre w okresie przejściowym. Ale później? Może Elsa będzie chciała cię mieć przy sobie, kiedy będzie miała, dajmy na to, dwadzieścia pięć lat. Ty nie miałeś dwudziestu pięciu, kiedy urodziło nam się dziecko. Miałaś czterdzieści.

- Mimo wszystko byłem najmłodszym komisarzem w kraju - powiedział rozpromieniony. Angeli się zaśmiała.

- A sprawdziłeś to kiedyś? Tak dokładnie?

- Polegam na mamie.

- Są dwa zawody, w których bez końca można być młodym i obiecującym. Komisarz policji i pisarz.

- Ja nadal czuję się młody.

- Pal tak dalej. Zobaczymy, co powiesz za kilka lat.

- Ale to tylko cienkie cygara.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć. - Machnęła ręką. Wiedziała, że i tak to do niego nie trafia. - Co jeszcze mam ci powiedzieć.

- Dobrze, już dobrze. Nie musisz nic mówić. Będę palił coraz mniej.

- Ale nie robisz tego dla mnie. To znaczy ja nie jestem tutaj na pierwszym miejscu. Chodzi o twoje zdrowie... o to, że jesteś tatą Elsy.

Przestał o tym myśleć. Zobaczył, że w jego stronę leci piłka. Wyjął cygaro z ust i przyjął ją prosto na nogę. Zatoczyła elegancki łuk i poleciała z powrotem na żwirowe boisko. Tak to się robi. Najpierw wyjmij cygaro, potem odbij piłkę pod kątem prostym. Tak to musiało wyglądać, kiedy futbol był grą dla dziewiętnastowiecznych angielskich dżentelmenów.

Komórka zadzwoniła, kiedy przechodził przez Södra. Wciąż miał zielone, ale facet w czarnym mercedesie zaczął trąbić, kiedy był w połowie pasów. Rzucił do słuchawki: tak? i zagapił się na kierowcę, który zaczął gazować. Miasto nie jest bezpieczne. Wszyscy ci sfrustrowani desperado sunący ulicami w swoich mercach. Powinien usadzić tego idiotę. Był na Vasagatan.

- Niczego się jeszcze nie dowiedziałeś? - zapytała Johanna Oswald.

- Jak tylko się dowiem, od razu dam znać.

- Z każdym dniem coraz bardziej się niepokoję. Może powinnam tam pojechać?

Kolejne pokolenie Oswaldów wyrusza w podróż w poszukiwaniu poprzedniego pokolenia, pomyślał. Trzy generacje na szkockich wyżynach.

- A co ty byś zrobił? - zapytała.

Pojechałbym, odpowiedział w myślach.

- Wstrzymałbym się jeszcze kilka dni - powiedział. - Przecież rozesłaliśmy komunikat o zaginięciu. No i rozmawiałem ze znajomym.

- A co on może zrobić?

- Zna ludzi.

- Nie sądzisz, że mogło się stać coś niedobrego? - zapytała.
- Że ktoś go napadł?

- Może się rozchorował?

- Odezwałby się przecież. Albo ktoś by się z nami skontaktował.

- Możemy państwu pomóc - powiedziała Aneta.

- Nie potrzebujemy pomocy - odparła Signe Lindsten.

Takiej odpowiedzi Aneta się spodziewała. A mimo to nie mogła tego pojąć.

- Chcemy, żeby nas zostawiono w spokoju. Żeby wszyscy zostawili nas w spokoju.

- Czy Anette jest w domu?

Signe Lindsten wyjrzała przez okno, jakby jej córka była właśnie tam, gdzieś na zastygłym morzu. Albo w nim, pomyślała Aneta.

Niebo pociemniało i stopiło się kolorem z wodą. Aneta widziała pomost. I łódkę. I trawnik. Wąskie pasmo trawy przechodziło w piach. Jakieś trzydzieści metrów od linii wody.

- Czy Anette jest w państwa domu w Göteborgu?

Matka Anette wciąż wpatrywała się w plażę i w morze.

Aneta również.

- Czy to państwa łódź? - zapytała.

Signe Lindsten wzdrygnęła się. Spojrzała na Anetę.

- Anette jest w domu.

- W Göteborgu? W państwa domu?

Przytaknęła.

- Nie otworzyła nam, kiedy tam byliśmy.

- A to zabronione?

Z technicznego punktu widzenia tak, pomyślała Aneta.

- Bardzo się boi Hansa Forsblada?

Znów się wzdrygnęła.

- Nawet jeśli, to co wy możecie z tym zrobić?

- Dużo - odparła Aneta. - Naprawdę dużo możemy zrobić.

- Na przykład?

- Możemy mu zabronić się do niej zbliżać - powiedziała, świadoma, jak niepoważnie to brzmi. - Możemy wydać zakaz tymczasowy, a potem przekazać sprawę prokuraturze. Możemy go wezwać na przesłuchanie. Właściwie już postanowiliśmy to zrobić.

- Przesłuchanie? A co to właściwie znaczy?
- Że możemy go do siebie ściągnąć i przesłuchać w związku z... tymi pogrózkami.
- A potem co? Co będzie potem?
- Wiem, że...
- Potem go wypuścicie, prawda? Porozmawiacie z nim i problem zniknie.
- Może już się nie odważy odwie...
- Nie odważy się odwiedzać Anette? O ile to można nazwać odwiedzinami. Tak pani myśli? Tak myśli policja? Że wystarczy wypisać dokument stwierdzający, że nie może się do niej zbliżać? I że możecie go w jakiś sposób postraszyć, rozmawiając z nim? To chyba go nie znacie.

Przemawiała przez nią najprawdziwsza frustracja. Aneta nie miała co do tego wątpliwości.

Ale było coś więcej.

Między wierszami kryło się coś jeszcze. Nie chodziło tylko o Forsblada. Aneta to czuła, widziała.

- Właśnie po to będziemy z nim rozmawiać - powiedziała. - Chcemy go poznać.

- Mogę wam powiedzieć, jaki on jest. Niebezpieczny Nie daje za wygraną. Nie popuści. Nie pogodzi się z tym, że Anette nie chce z nim być. Nie pogodzi się z tym. On tego nie pojmuje! Rozumie pani? Nie mieści mu się to w głowie. - Signe Lindsten znów odwróciła się w stronę morza, jakby stamtąd miała zaczerpnąć sił. Machnęła ręką. - On jest jak szaleniec.

- Czemu nie skontaktowali się państwo z policją? - zapytała Aneta.

Signe Lindsten zdawała się jej nie słyszeć. Aneta powtórzyła.

- Nie wiem - odpowiedziała.

Nie wspomniała o tym, że jej mąż do mnie dzwonił, pomyślała Aneta. Może nie wie. Może w tym wszystkim chodzi o coś innego.

- Bali się państwo?
- Nie.
- Czy on państwu groził?
- Tak.

- W jaki sposób?
- Nie chcę... to nie ma znaczenia... to może...

Aneta słuchała jej i próbowała jakoś poskładać elementy tej układanki. Taką miała pracę. Tak też ta praca wyglądała. Te urywane zdania, które ludzie wypowiadali w strachu, przerażeniu, czasem naumyślnie, z żalu, czasem ciesząc się z czyjegoś niepowodzenia lub próbując wymyślić najbardziej prawdopodobne kłamstwo.

Kawałki słów, które ledwo trzymają się kupy. A ona musi je oczyścić, połączyć w całość tak, żeby móc zrozumieć.

Najczęściej jest tak jak teraz: ktoś przestraszony rzuca urywane słowa.

22.

- Na początku było pięknie - powiedziała Signe Lindsten.

Kiedy to mówiła, jej twarz jakby się zmieniła. Jakby ta myśl uniosła opadnięte rysy, jakby dobre wspomnienia mogły wygładzić twarz. Najpierw słońce, potem deszcz, i tym podobne bzdury. Nawet przez najciemniejsze chmury może się przebić jasny promyk. I tak dalej, i tak dalej. Aneta nie widziała za oknem chmur. Niebo stopiło się w całość, rozciągnęło się nad zatoką, skałami, piachem i plażą. W tej kamiennej masie nie było widać ani jednego promyka.

- Wydawał się taki miły - ciągnęła Signe Lindsten.

Nie cierpię tego słowa, pomyślała Aneta. Nic nie oznacza. Jest jakby podrobione. Proszę, jak się skończyło w tym przypadku.

- Zazwyczaj tak się zaczyna - powiedziała.

- Mam ich zdjęcie ślubne. Ale nie tutaj.

- Czy Anette ma rodzeństwo?

- Nie.

Aneta przypomniała sobie mężczyznę, który podawał się za jej brata. Jednego ze złodziei. Kim był? On i jego „ojciec”? Jej jeszcze o to nie zapytała.

Opisała ich.

- O czym pani, na Boga, mówi?! - zdziwiła się Signe Lindsten.

- Mąż pani nie mówił?

- Nie...

- Nie dziwi to pani?

- No tak, pewnie nie chciał mnie niepokoić.

- Czy mówił o tym Anette?

- A skąd mogę wiedzieć? Gdybym wiedziała, wiedziałabym też o tym.

Dobrze. Kontaktuje.

- Widziała pani kiedyś jakieś obrażenia na ciele Anette?

Signe Lindsten nie odpowiedziała. To właśnie to będzie naprawdę trudne, pomyślała Aneta. Nie do sprecyzowania. Matka Anette może mówić o groźbach, ale wymijająco. Nie

może podać konkretów, jeszcze nie. Prawie zawsze tak jest. Właściwie już mnie to nie dziwi. Strach tych kobiet przechodzi na rodzinę. Nagle strach wiąże wszystkich. Nie dopuszczają do siebie nikogo.

Jedyną osobą, która ma do nich dostęp, jest ten, kto ten strach wywołuje. To swoisty paradoks. Wszyscy zawsze mają nadzieję, że będzie lepiej, że przestaną się bać, a jedynym człowiekiem, który może położyć temu kres, jest on. On, ten, który na początku był tak cholernie miły. Tylko on kolejny raz dostaje ostatnią szansę. Czasem naprawdę ją dostaje, a potem szybko jest po wszystkim.

Zostaje tylko śmierć. Miała już do czynienia z takimi przypadkami. Wiem, dokąd może zaprowadzić ta ostatnia szansa. Czasem nawet taka szansa nie jest już potrzebna. Widziała zmartwioną twarz Signe Lindsten. Mówiła, że to się skończy, ale na pewno nie dobrze.

Nie. Nie może tak myśleć. Znajdę rozwiązanie. Przecież tu jestem.

- Nie musi się pani bać, pani Lindsten.
- Proszę mi mówić Signe.
- Nie musisz się bać, Signe. Możesz powiedzieć, jak jest.

Albo jak było.

Niech cię Pan błogosławi i strzeże. Niech Pan rozpromieni oblicze swe nad tobą, niech cię obdarzy swą łaską. Czy siedząca przed nią kobieta potrzebuje łaski? Jakiej łaski? Łaski Boga? Nagle Aneta pomyślała o ojcu. O człowieku, który zna wielu bogów, przynajmniej czasami. Czy pytała go kiedyś, czym w jego świecie jest łaska? Musi do niego zadzwonić i spróbować porozmawiać. Nieważne, że jakoś połączenia telefonicznego z sercem Afryki jest koszmarna. Jeszcze trochę, a telefon satelitarny będzie jedynym wynalazkiem działającym w Afryce. Zwiń jakiś z magazynu, powiedział jej Fredrik.

Signe Lindsten właśnie miała coś powiedzieć, kiedy usłyszały samochód. Aneta widziała, że go rozpoznała. Wyraz jej twarzy właściwie się nie zmienił. Kiedy w przedpokoju rozległ się głos mężczyzny, wciąż wyglądała tak samo.

Nie pojaśniała. Jego twarz jej nie rozjaśnia, jeśli można tak powiedzieć, pomyślała Aneta.

Wszedł do kuchni.

- Aha, więc to tu pani jest!

Aneta przytaknęła.

- Właśnie się poznałyśmy - powiedziała Signe Lindsten.

- Dzwonił pan, ale nie było pana, kiedy przyjechałam - dodała Aneta.

- No nie, tak wyszło - odparł. Brzmiało to trochę jak usprawiedliwienie.

- Czy Anette jest tutaj?

- Nie.

- A wcześniej mówił pan, że jest tutaj.

- No... tak mówiłem. Ale w końcu zdecydowała, że woli być w domu.

- W domu? W domu w Göteborgu?

- Tam jest teraz jej dom.

- Chciałabym z nią porozmawiać.

- Niech jej pani pozwoli samej o tym zdecydować - wtrąciła Signe Lindsten.

- Właśnie dlatego chcę się z nią zobaczyć.

- Może pani spróbuje zadzwonić - zaproponował Lindsten.

Aneta widziała, że jego żona chce coś powiedzieć, ale nie odezwała się i ruszyła do przedpokoju. Jej mąż kiwnął głową w jej stronę.

Nikt się nie odezwał, ani słowem.

To jakaś gra, jak na scenie.

- Myślę, że nie będziemy już mieć problemów - powiedział Lindsten.

- Mogą państwo to zgłosić.

- Nie trzeba.

- Możemy przeszukać miejsce popełnienia przestępstwa.

- Gdzie?

Byle nie w waszej willi, pomyślała. To by oznaczało, że doszło do kolejnego przestępstwa.

- W mieszkaniu w Kortedala - odpowiedziała.

- Nie bardzo jest tam czego szukać. Już nie.

- Wcześniej odniosłam wrażenie, że chcą państwo z nami współpracować w tej sprawie.

- Myślę, że nie będziemy już mieć problemów - powtórzył.

Moa Ringmar ściągnęła w przedpokoju kozaki. Jej ojciec położył na stole chleb. Z lodówki wyjął masło, ser, kielbasę i ogórek.

- Buty stawia się porządnie - powiedział.

- Daj spokój, tato.

- Kiedy się słyszy, jak jeden uderza o podłogę, nie można się uspokoić, dopóki się nie usłyszy drugiego.

- No ale ty właśnie usłyszałeś i możesz być spokojny.

- Chodziło mi raczej o taką sytuację w pokoju hotelowym.

Kiedy słyszysz gościa z pokoju piętro wyżej.

- A jak często ci się to przytrafia?

- Jeszcze nigdy.

Moa się zaśmiała i zapytała, kiedy wrócił do domu. Ukroiła plasterk serą i włożyła do ust.

- Wróciłem odpowiednio wcześniej, żeby popodziwiać sztukę ogrodową naszego sąsiada.

- Tato, odpuść sobie.

- Przecież on jeszcze żyje.

Moa usiadła.

- Mam mieszkanie na oku.

- Alleluja.

- Wiedziałaś, że cię to zmartwi.

- No tak. Ale mam na względzie twoje dobro.

- Jeśli dzieci kończą dwadzieścia pięć lat i wciąż mieszkają z rodzicami, sprawa jest poważna.

- Przecież bywasz tu tylko od czasu do czasu. No i wymeldowaliśmy cię cztery lata temu.

- Dobrze, że mama tego nie słyszy.

- Nie masz podsłuchu?

- Używacie takich metod w pracy?

- Nie - skłamał Ringmar. - To nielegalne.

- Mówisz poważnie?

- Tak - kłamał dalej. Wsywał do dzbanka liście herbaty,

zalał wodą i postawił na stole. - Co to za mieszkanie?

- Dwa pokoje z aneksem. Całkiem ładne, choć lokalizacja nie najlepsza.

- A jaka jest najlepsza?

- No, powiedzmy, że Vasastan.

- Vasastan? No nie. Tam w weekendy jest najwięcej kradzieży i rozbojów. W wakacje też.

- Erik tam mieszka. Narzekał na kradzieże i rozboje na ulicach?

- Codziennie narzeka.

- Nie sądzę.

- Erik Winter mieszka wysoko w chmurach, więc nie bywa ofiarą tego, co się dzieje na dole.

- Właśnie o tym mówię. O mieszkaniu na górze, w chmurach. Siódme piętro.

- To gdzie to jest?

- W Kortedala.

- W Kortedala?!

- Nawet lepiej niż Vasastan, co?

- Zamurowało mnie.

- Wystarczy, że powiesz alleluja.

- Kortedala - powtórzył Ringmar, kiwając głową.

- Przecież to nie South Bronx.

- Martin chciał się przeprowadzić na Bronx.

- Ale wybrał Lower East Side.

Ringmar przytaknął.

- Kiedyś to była najgorsza część Manhattanu - dodała Moa.

- Kiedyś tak. Teraz mieszkają tam tylko projektanci mody.

- Są jego sąsiadami.

- Może zasponsoruję mu tę przeprowadzkę.

- To może moją też zasponsorujesz.

- Ale poważnie chcesz się przenieść do Kortedala?

- Wiesz, jak trudno znaleźć mieszkanie w Göteborgu?

Wiesz, jak długo szukałam?

- Wiem. Wiem, jak trudno i jak długo.

- No to sam sobie odpowiedziałeś.

- A gdzie to jest dokładnie? Kortedala jest spora.

Moa podała mu adres. Nic mu to nie mówiło.

- Mam nadzieję, że sprawdziłaś, czy przypadkiem nie mają zamiaru w przyszłym tygodniu zburzyć tej ruiny. A jak na to w ogóle trafiłaś?

- Jakaś dziewczyna z zajęć знаła kogoś... to był jakiś gościnnie wykładowca. Wspomniał coś o tym, że może mieć zamiar na wolne mieszkanie. Wzięłam od niej numer i zadzwoniłam. No i zobaczymy, może je wynajmę.

- Własnościowe?

- Nie wiem. Facet nie odpowiedział jednoznacznie. Chyba był trochę zaskoczony, kiedy zadzwoniłam. Jeszcze nie dali ogłoszenia ani nic. Jak mówiłam, wszystko to jest trochę niejasne.

- Nie brzmi zbyt obiecująco.

- Daj spokój. Odebrał jakiś miły wujaszek. Jego córka się stamtąd wyniosła. Przynajmniej na jakiś czas.

- Dlaczego?

- Nie pytałam.

- A jak się nazywał ten wujaszek? Do tego się przyznał czy to też jest niejasne?

- Tato, czy ty zawsze musisz być taki podejrzliwy? Sprawiasz wrażenie, jakbyś nienawidził ludzi, a do tego ich podejrzewał.

Moa wyciągnęła mały czerwony notes.

- No niestety. Nie chciałbym twierdzić, że to przypadek zawodowa, ale... - powiedział Ringmar.

- Sigge Lindsten - przeczytała. - Miły wujaszek nazywa się Sigge Lindsten.

To nazwisko też nic mu nie mówiło.

Aneta dostała kilka wskazówek i ruszyła wokół wzgórza do samochodu. Sigge Lindsten zaproponował, że ją podwiezie, ale to było zaledwie kilkaset metrów. Nie chciała znów wspinać się pod górę. Zapadł już zmierzch. Nie miała ochoty oberwać gałęzią w oko. Ruszyła z powrotem wąską dróżką. Na długich świątlach okazało się to łatwiejsze. Nikogo nie spotkała. Minęła znak, również w tym świetle pozbawiony kolorów. Z prawej

słysząc było morze.

Signe Lindsten nie pokazała się więcej. Czegoś tu nie rozumiem. Ale taką właśnie mam pracę. Człowiek nic nie rozumie, a kiedy już wszystko się wyjaśni, rozumie jeszcze mniej. Choć właściwie to nie tak. Można zrozumieć, tylko wtedy jest jeszcze gorzej.

Miała kolegów, którzy nie zamierzali rozumieć, żeby się nie nabawić choroby nerwowej. To określenie, choroba nerwowa, wciąż jeszcze funkcjonowało wśród policjantów. W policji czas mógł się zatrzymać. Wciąż trzymano się starych wartości.

Czasem nie było w tym nic złego.

Kiedy dojechała do asfaltowej drogi, pomyślała, że wraca do cywilizacji. Akurat teraz bardzo ją to ucieszyło.

Skręciła za znakiem stopu i włączyła komórkę. Wyłączyła ją, żeby spokojnie porozmawiać z Signe. Coś jej podpowiadało, że może dowie się od niej czegoś ważnego. Myliła się. A może nie rozumiała.

Sygnal poczty głosowej pikał jak szalony. Odsłuchiwała trzy wiadomości, wszystkie od Fredrika. Napisał też do niej SMS-a.

Dobrze jest dać znać, jeśli się jedzie nie wiadomo gdzie. Tak w skrócie napisał.

I miał absolutną rację. A gdyby coś się stało? On dobrze to rozumiał. Sam nigdy się nie stosował do własnych pouczeń. Czasem bywało przez to niebezpiecznie.

Ale tym razem to ona tak zrobiła. Zadzwoiła.

- No, do jasnej cholery - powitał ją. Zobaczył jej numer na wyświetlaczu.

- Dzięki, nawzajem - odparła.

- Nigdy tak nie robiłaś.

- Coś się stało?

- Chyba ja powinienem zapytać.

- Pojechałam do letniego domku Lindstenów.

- Kurwa, Aneta.

- Nie było jej tam. Anette nie było.

- Przecież nie mogłaś wiedzieć, kto tam będzie. A mógł być on.

- On pewnie jest teraz u siostry.

- A ma siostrę?
- Susanne Marke.
- Tę laskę z volvo?
- To jego największy sprzymierzeniec.
- No to jedziemy tam i zgarniamy go.
- Będę na komendzie za dwadzieścia minut.
- Ja właśnie jestem.
- A kto jest z dziećmi?
- Opiekunka.
- Pojadę przez Fredriksdal.
- To ja też. Możemy przynajmniej zobaczyć, czy świeci się w oknach.

W południowej części miasta w domach paliło się ciepłe światło. Ktoś zapalił świeczki. Aneta przystanęła, przepuściła jakąś grupę. Chyba szli na imprezę. Nie był to ani piątek, ani sobota, ale w końcu Göteborg to duże miasto. Stało się takie. Ludzie bawią się codziennie. Dla niektórych sobota trwa cały tydzień. Grupa niespiesznie przechodziła przez ulicę. Z przeciwka nadjechał samochód. Imprezowicze chyba zaczęły grać w kalambury na środku ulicy. No tak, to ich teren. Kierowca jadący z przeciwka zaczął trąbić. Zobaczyła zarys jego twarzy. Fredrik.

- Dyskretny jak zwykle - powiedziała, kiedy zaparkowali przed domem Lindstenów i weszli na zwirowy podjazd.

- Powinni się cieszyć, że w nich nie wjechałem. Nic nie widziałem z samochodu. A ty? Widziałas jakieś światło?

Aneta nie odpowiedziała.

- Widzisz coś? - powtórzył Halders.

- Musimy obejść dom.

Weszli między gęste zarośla a południową ścianę budynku. Okno, w którym Halders wtedy kogoś widział, teraz odcinało się od ściany ciemnym prostokątem. Gałązka musnęła Anetę w twarz. Halders też na nią trafił, zaklął cicho. Gdzieś blisko ktoś rozmawiał. Chyba zabawa w kalambury trwała w najlepsze.

- Jednak się pali - powiedział Halders.

Werandę na tyłach domu wypełniało światło. Padało ze

środku. Kładło się kołem na trawniku. Kiedy Aneta spojrzała w tamtą stronę, zauważyła stojącą przy oknie lampę. Szyba była wybita.

- No proszę - powiedział Halders i szybko wbiegł po niskich schodkach. Trzymał się blisko poręczy. Aneta omiotła spojrzeniem

rozświetloną część pokoju. Lampa miała mały abażur, ale świeciła mocno. Aneta trzymała w dłoni swojego sig sauera, Fredrik swoją Bóg wie jaką broń. Pewnego pięknego dnia, albo wieczoru, takiego jak ten, pewnie jej użyje. Postrzeli kogoś, a śledztwo wykaże, z czego strzelał, i to będzie koniec ich zawodowej współpracy. Często się zastanawiała, czy wszyscy o tym wiedzą. Powinni. Czy Erik wie? A gdyby wiedział, to czyby na to pozwolił?

Halders wybił kopniakiem ostre kawałki szkła. Sterczały niczym sople. Wyciągnął chusteczkę i otworzył drzwi od środka. Na całą szerokość.

W środku było cicho. Gdzieś w głębi domu też paliło się światło.

- Dzwonię po ludzi - powiedziała Aneta.

- Nie ma po co - odparł Halders.

- To może...

- HALO, POLICJA! - wrzasnęła Halders.

Aż się wzdrygnęła. Zatkęło jej się jedno ucho.

- POLICJA! - powtórzył Halders i przebiegł przez pokój do przedpokoju.

Usłyszała, jak wchodzi po schodach. Sama weszła do kuchni. Ona też wychodziła na tyły domu. Lampka nad kuchenką się paliła, ale nikt nie siedział przy stole ani nie stał przy blacie. Usłyszała, jak Fredrik przechodzi na górze z pokoju do pokoju. Chyba były trzy. I znów usłyszała jego kroki na schodach.

- Pusto - powiedział.

Aneta założyła rękawiczki i wyszła do przedpokoju. Sprawdziła klamkę w drzwiach wejściowych. Były zamknięte.

- Weszli i wyszli przez drzwi na werandzie - powiedziała.

- No właśnie, przez.

Rzekłem, nie mogła nie dodać w myślach. Halders wszedł do

pokoju wychodzącego na południe. Zapalił górne światło. Aneta weszła za nim. Zobaczyli nieposłane łóżko i puste biurko.

Białe. Przy

nim białe krzesło. W rogu biały skórzany fotel, a przed nim niewielki biały stolik. W oknie białe zasłony. Żaluzje też były białe. Tapety w odcieniu bieli. Nad łóżkiem dwa zdjęcia w białych ramkach. Wśród całej tej bieli zdjęcia wydawały się czarne jak węgiel. Biała pościel była rozrzucona. Aneta spodziewała się, że na prześcieradle znajdą czerwoną plamę, ale niczego takiego nie było.

Na podłodze, chyba z zabejcowanej na biało sosny, leżał biały dywan.

- Gdyby nie te dwa zdjęcia, ośleplbym od tej bieli - powiedział Halders. Odwrócił się do Anety. - Podoba ci się?

- Nie.

- No cóż, przynajmniej biel to kolor niewinności.

- I cóż by to miało znaczyć?

- Że może nic takiego się tutaj nie stało.

- Ktoś wybił szybę i wszedł.

- Albo się stąd wydostał. Może inaczej by stąd nie wyszła.

- Myślisz, że była uwięziona w domu?

- Nie wiem. Może oszalała, siedząc w tym pokoju. Kto by nie oszalał?

- Tak czy inaczej, nie ma jej tu. Więc gdzie jest?

Halders wzruszył ramionami. Co z nim? - pomyślała

Aneta. Przestał się tym interesować? Głupio mu, że nie wyszło? Ja poradziłam sobie z tym już dawno, po dziesiątkach niepowodzeń.

Aneta wróciła do salonu. Wszystko wydawało się stać na swoim miejscu. Tutaj prawie nic nie było białe.

Pochyliła się nad wybitą szybą i wpatrzyła w podłogę. Akurat tutaj nie docierało światło lampy. Nie chciała niczego podnosić ani dotykać. Parkiet w złotawym kolorze. Za plecami usłyszała Fredrika.

- Masz latarkę?

- W samochodzie.

- Możesz przynieść?

Wyszedł bez słowa. Odgłos jego kroków dobiegał z drugiej strony ulicy. Potem usłyszała, jak otwiera i zamyka drzwi, a potem idzie przez zarośla, między drzewami, i przeklina. Wszedł na werandę i podał jej latarkę.

- Co to za plamy? - zapytała.
- Mam ci odpowiedzieć od razu?
- To może być krew.
- To może być cokolwiek.

Aneta poświeciła na samą górę wybitego okna. Nic nie zobaczyła.

- Daj mi - powiedział Halders.

Poświecił na okno z zewnątrz, nieco wyżej. Coś zauważyli.

- Ktoś się skaleczył - stwierdziła Aneta.

No i mamy badanie miejsca popełnienia przestępstwa, pomyślała. Ale nie spodziewałam się, że to będzie tutaj. Halders się wyprostował.

- Dostaliśmy wiadomość - powiedział, wskazując na coś za jej plecami.

Na półce z książkami leżał telefon. Nie zauważyli go. Właśnie zaczął migać. Nie było słychać sygnału.

23.

Kiedy pierwszy raz znaleźli się w Aberdeen, aż przetarł oczy i twarz. Czuł się jak daltonista. Było zupełnie inaczej niż na morzu. Kolory morza znał dobrze. Nagle znalazł się w mieście, które w całości zbudowano z jednego granitowego bloku.

The Granite City.

Mieszkali na łodzi.

Frans próbował zatrzymać się na jedną noc w Brentwood, ale się nie udało. Siedzieli w The Schooner. Otwierali o siódmej. Pamiętał jeszcze napis na drzwiach: „Tu życie zaczyna się o siódmej rano”.

Życie.

Zaczynało się i kończyło.

Spotkali tych mężczyzn. Spotkał ich Arne - i potem nie był już taki sam. Szybko się zmienił. My na razie będziemy się trzymać z daleka - powiedział.

Nikt się na to nie zgodził.

Frans... Frans...

O Jezuu, Jezuu.

Wstał i podszedł do samochodu. Nauczył się prowadzić szybciej, niż się spodziewał. Wciąż poruszał się sprawnie. Do takiego wniosku doszedł, pochylając się i przekręcając kluczyk. Pojechał z powrotem na wschód. Drogi się poprawiły. Kiedy tu przyjechał, towary przewożono konno. Żołnierze maszerowali. Wszyscy wpatrywali się w niebo.

I w morze.

Tak było wtedy.

Zatrzymał się przy hotelu. Zamknął samochód, wszedł i zapytał, czy może skorzystać z toalety.

Zmył z siebie to, co najgorsze. Zobaczył się w lustrze, wciąż rozpoznawał swoją twarz. Odwrócił wzrok i wytarł się szorstkim papierowym ręcznikiem. Wyszedł i pojechał dalej.

Pół godziny później w dole, przed sobą, zobaczył morze.

Przypomniał sobie pierwsze dni i tygodnie spędzone tutaj.

Włóczył się wokół Albert Quay, bez końca. Szedł Clyde

Street, przystawał przy Clyde Fisheries, mijał Swaward Marine Engineering Co, Hudson Fish, North Star Shipping, Grampian Fuels. Chodził tak dzień za dniem. Teraz na wyrwyki znał wszystkie nazwy i pamiętał wszystko, co tu wtedy było.

Zacumowali obok „Cave Sand”, który przyplynał z Grimsby, ale został na zimę. Przewozili żużel. Dostali robotę na południe od portu. Ci z załogi przez całą dobę byli czarni jak Murzyni. Takie też mieli życie. Jak Murzyni.

Widział wielu żołnierzy, ale nigdy czarnych. Nawet kiedy przyjechali Amerykanie.

Żurawie w porcie były żółto-niebieskie. Tego się nie da zapomnieć. Wszędzie było żółto-niebiesko.

Zastanawiał się, czy odmalują je na te same kolory.

Zatrzyma! się na kawę. Tego miasta chyba nie mijali w drodze na zachód, nie przypominał sobie. To on dawał wskazówki, jak płynąć, ale nie pamiętał już trasy. To już nie miało znaczenia.

Czy powinienem wjechać prosto w morze?

Przy odpowiedniej prędkości byłoby to możliwe. Zanim się wpadnie do morza, trzeba się wzbić w powietrze.

Aberdeen. Poszedł Union Street, potem Virginia Street i znalazł się na plaży. Tutaj miasto otwierało się na morze. Plaża była szeroka, morze - ogromne. Czasami było je dobrze widać. Czasami, bo zawsze było mgliście i wietrznie.

Byłem taki młody.

Wtedy jeszcze nosiłem tamto imię.

Na placu, na którym znajdował się park rozrywki, porozstawiano przewoźne budki z lodami. Wieczorami zawsze było tam ciemno. Czasami obserwował karuzele wirujące w ciemności i wirujących w nich ludzi. Jedyne światło padało od strony morza. To wszystko, co tam w dole wirowało w ciemnościach, cały ten pogrążony w mroku park rozrywki - to nie miało sensu. Przecież park rozrywki powinien tonąć w świetle.

Dopłynęli aż do Peterhead.

Teraz tutejszy port był największym rynkiem handlu rybami

dorszowatymi w Europie. Może wtedy był największy na świecie?

Kościół parafialny w Peterhead.

Królewska Misja Państwowa dla Rybaków Dalekomorskich.

Ośrodek Rybaków.

Wszystko kręciło się wokół rybaków, portu, rybołówstwa, trawlerów, zapachu morza i wszystkiego, co pochodziło z wody.

I wokół Boga. Wszystko kręciło się wokół niego.

24.

Aneta zadzwoniła do Vallda, do domu na plaży Sigge Lindsten odebrał po kilku sygnałach. Głos miał spokojny.

- Czy Anette jest z państwem? - zapytała.
- Ma przyjechać dziś wieczorem.
- Ktoś się do państwa włamał.
- Znowu?
- Do domu.
- Jest tam Anette?
- Nie.
- Zadzwonię do niej na komórkę.
- Proszę mi podać numer.
- Już do niej dzwonię - powiedział Sigge Lindsten i rozłączył się.

Jeszcze raz wybrała jego numer, ale było zajęte.

- Wezwę technicznych - powiedział Halders.

Wrócił do przedpokoju z komórką. Słyszała, jak rozmawia. Jeszcze raz spróbowała się dodzwonić do domku w Vallda. Odebrał Lindsten.

- Nie odbiera.
- Gdzie może być?
- A co się właściwie stało? - zapytał Lindsten.
- Nie wiemy.
- Czy... czy coś skradziono?
- Tego też nie wiemy - odparła Aneta. - Przejeżdżałam tędy w drodze z Vallda i zobaczyłam, że szyba na werandzie jest wybita.

- A Anette nie było w domu?

A co to za pytanie? - pomyślała Aneta. Czy gdyby tu była, dzwoniłabym do nich i mówiła to, co mówię?

- Są jakieś ślady? - zapytał Lindsten.

Jest krew. Ale o tym ci nie powiem. Nie tobie. Najpierw się dowiem, co to jest. I co robiłeś po południu.

- Zostawił pan córce wiadomość? - zapytała.
- No jasne.
- Co pan powiedział?

- No, żeby się odezwała jak najszybciej. Że się martwimy.
- My też chcemy z nią porozmawiać. Jak najszybciej - powiedziała Aneta.

- Zaraz wracamy do domu.
- Dobrze.

Kiedy się rozłączyła, wrócił Halders.

- Ktoś od nich tu jedzie. Niechętnie.
- Niech jedzie, jak chce.

Halders się zaśmiał.

- Mówiłeś, że chodzi o zaginięcie i że nie można wykluczyć użycia siły.

- Tak. Ale może nie brzmiałem zbyt przekonująco.
- Mam złe przeczucia.
- Ja też - powiedział po chwili.
- Dzwoniłeś do Susanne Marke?
- Tak. Nie odbiera.
- Spróbuj jeszcze.

Halders wziął głęboki wdech.

- I tak musimy zaczekać na to, co powie ten koleś od Beiera.

- Powinniśmy tam od razu pojechać.
- Jedno z nas może. Albo nie. Starczy już tych samotnych wypraw. - Zrobił gest, jakby od strony ulicy nasłuchiwał warkotu samochodu. - Możemy poprosić, żeby wysłali tam jakieś auto. Tak na razie.

- Zadzwoń do centrali.

Przejechali przez most. Rzeka wyglądała jak rozświetlona świecami, po obu stronach. Na zachód, aż do morza, i na wschód, w głąb lądu.

- Mówią, że Göteborg to martwy port, ale trudno w to uwierzyć, jak się na niego patrzy stąd - powiedział Halders.

- A tu nie chodzi raczej o stocznię? - zapytała Aneta. - Przecież chodzi.

- Ucichły już uderzenia młotów.
- I co, żal ci?

- Zawsze się znajdzie jakiś powód, żeby żałować. Kogo by nie uradował huk młotów?

- Ci stąd chyba i tak się radują - stwierdziła Aneta. Ładne domy jaśniały, otulone ciepłym światłem świec.

- Na pewno mieszkania nie są tu tanie - powiedział Halders.

- Oczywiście, że nie.

- Jak ją na to stać? Tę Marke? Gdzie ona pracuje?

- W administracji sądu rejonowego.

- W dziale przestępstw gospodarczych?

- Nie.

- No to nie rozumiem.

- Jej były musi mieć pieniądze. Musimy to sprawdzić.

- Jeśli musimy.

Aneta zrobiła trzy kroki w prawo.

- Jej samochód stoi pod domem - powiedziała.

Susanne Marke otworzyła po pierwszym dzwonku. Jakby czekała przy drzwiach.

Nie wyglądała już tak zadziornie. Aneta dostrzegła na jej twarzy niepewność. A może to było zakłopotanie. Gestem zaprosiła ich do środka.

W oknie salonu mieściły się wszystkie światła z drugiego brzegu

rzeki. Halders zobaczył podświetloną figurę Żony Żeglarza. Patrzyła mu prosto w oczy.

Na jednym z dwóch obitych białą skórą foteli siedziała kobieta. Prawą dłoń miała owiniętą bandażem. Aneta rozpoznała tę twarz.

- Co się właściwie stało? - zapytała od razu.

- Kiedy? - Anette Lindsten nie zrozumiała.

- W domu. W domu pani rodziców.

- O co pani chodzi?

- Szyba na werandzie jest wybita.

- Ach, to... uderzyłam w nią.

Uniosła rękę. Opatrunek zaczął się odwijać. Tania, zamotana kilka razy gaza.

- Chciałam domknąć okno. Zacięło się i nagle szyba się posypała, i skaleczyłam się.

- W progę? - zapytał Halders.
- Bo właśnie tam... tam się zacięło - powiedziała, zerkając szybko na Susanne Marke.

Czy to wyuczona lekcja, którą ćwiczy z Marke? - pomyślała Aneta. Czy i teraz jej grożono? Ale czemu w takim razie tu przysła?

- Dlaczego pani tu przyjechała? - zapytał Halders.

- Chyba może jeździć, gdzie chce - powiedziała Susanne Marke.

- Zamknij się! - powiedział Halders.

- Ale ja...

- Pani Lindsten, próbowaliśmy się z panią skontaktować. - Halders przerwał Susanne. Nie odrywał wzroku od Anette. - Czemu nas pani unikała?

- Ale ja nikogo nie unikałam.

- Według licznych zgłoszeń pani sąsiadów z Kortedala była pani ofiarą przemocy - powiedział. - Grożono też pani. Chcemy z panią o tym porozmawiać. Nie pochwalamy przemocy i gróźb w ogóle, a w szczególności wobec kobiet.

- A jak by pan nazwał nachodzenie i nękanie mnie? - zapytała Susanne Marke.

Jej niepewność zniknęła. Aneta próbowała coś wyczytać z jej twarzy. Czy to Anette tu przysła? Tak po prostu się tu zjawiała? Czy to Susanne Marke poprosiła, żeby przysła?

- Pani Lindsten, dlaczego pani tu przyjechała? - zapytała spokojnie.

Anette nie odpowiedziała. Czyżby próbowała uchwycić spojrzenie Żony Żeglarza? A może wpatrywała się w oświetlone wieże kościołów, sięgające samego nie...

- Nie mam nic więcej do powiedzenia - powiedziała Anette Lindsten. - Proszę... Proszę mnie zostawić w spokoju.

- A ja proszę, żeby państwo wyszli - dodała Susanne Marke.

- Możemy panią podwieźć, gdzie pani chce - powiedziała Aneta.

Jak ona się tu dostała? Ktoś ją podwiózł? Taksówką?

- Zawiozę Anette, kiedy będzie chciała jechać - odparła Susanne Marke.

- Chce pani jechać do domu? - zapytała Aneta.

Anette Lindsten potrząsnęła głową.

- Możemy panią zawieźć do rodziców, do Vallda - ciągnęła Aneta.

- Oni już jadą tutaj... do domu - powiedziała Anette Lindsten.

- Rozmawiała pani z nimi?

Przytaknęła.

Halders spojrzał na Anetę.

- Możemy gdzieś pojechać i chwilę porozmawiać - powiedział.

Anette Lindsten znów potrząsnęła głową.

Nic nie mogę zrobić, pomyślała Aneta. Coś tu jest bardzo nie w porządku, ale w tej chwili nic nie możemy zrobić. Nie możemy jej stąd wynieść. Ani zmusić, żeby opowiedziała, przez co przeszła, ani tym bardziej prosić, żeby złożyła zeznanie na piśmie i je podpisała, podczas gdy my będziemy tu stać wbici w ten przekłety parkiet.

- Gdzie jest pani brat? - zapytała Aneta, zwracając się do Susanne Marke.

- Nie wiem.

Aneta starała się patrzeć na Anette Lindsten, ale Anette się odwróciła.

- Już tu nie mieszka?

- Nie.

- Musimy z nim porozmawiać - powiedział Halders, spoglądając na Anette Lindsten. Cały czas siedziała tyłem do niego. - Właściwie możemy go wezwać na przesłuchanie - powiedział do Anette. - Mamy do tego prawo, bez względu na to, czy mu się to podoba, czy nie. Pani Lindsten, słyszy pani? Proszę pamiętać.

- Tutaj go nie ma - powiedziała Susanne Marke.

- I zrobimy to - dokończył Halders.

- Dokąd się przeprowadził tym razem? - zapytała Aneta.

- Nie powiedział.

Na dworze było już ciemno. Aneta wciąż czuła zapachy minionego lata. Musiało być z piętnaście, szesnaście stopni.

Słyszała głosy dobiegające z ogródka restauracyjnego po drugiej stronie domu. Czyjś śmiech rozniósł się po wodzie.

- No to sprawa jest czysta.
- Nie jesteś zły?
- Ta jego siostra naprawdę mnie wkurzyła.
- Wszystko poszło pięknie. Zwłaszcza to, co jej powiedziałaś.

- Cóż.
- Może złożyć skargę.
- I dobrze. Ktoś to wreszcie zrobi.

Wsiedli do samochodu Haldersa. Aneta zostawiła swój przed domem Lindstenów.

- Teraz już na pewno dojechali - powiedziała. - Lindstenowie.

- Jest cholernie wystraszona.
- Tak, ale dlaczego nic nie mówi? Choćby komuś innemu?
- A skąd wiesz, że nie powiedziała komuś innemu?
- No, to jasne.
- Choćby tej damie, tam, w środku.
- Susanne? Myślisz, że ona może ją chronić?

Halders odwrócił się do niej z krzywym uśmiechem.

- To nie jest coś, co by się chętnie przyjęło do wiadomości, co? Ta kobieta nie jest tego warta, tak?

Aneta nie odpowiedziała. Znow jechali przez most. Światła miasta układały się w kopułę. Ciągnęła się aż do nizin na północy i lasów na wschodzie. To był znak dla wszystkich statków na morzu. Wszystkich, które mogły zobaczyć światło. Które mogły zobaczyć...

- Jest coś, czego nie widzieliśmy - powiedziała.
- Tak chyba jest zaw...
- Coś szczególnego - przerwała mu. - Coś bardzo szczególnego, czego nie dostrzeżliśmy.
- Ale co?
- To, o co chodzi. Co się stało.
- Co się stanie potem, chyba też nie wiemy.

W willi Lindstenów było ciemno i cicho. Halders spojrzał na

zdziwioną twarz Anety: jak to, jeszcze ich nie ma?

- Chyba zaczyna mi to zwisać - powiedział Halders.

Ludzie z wydziału technicznego pojechali chwilę po tym, jak Halders i Aneta wrócili. Było ich dwóch. I tak musieli już lecieć, jak się wyraził jeden z nich. Drugi ryknął śmiechem. A potem zniknęli.

Teraz już nikt się nie śmiał. Na podjeździe nie było samochodu. Aneta dzwoniła, ale Sigge Lindsten nie odbierał. Jego żona też nie.

- Dasz radę zaliczyć jeszcze jedną przejażdżkę? - zapytała.

- Ale chyba jedziemy już do domu? Mówiłaś, że pojedziesz do mnie.

Halders spojrział na zegarek. Zadzwoił do opiekunki. Hannes i Magda oglądali jakiś teleturniej. Zgodził się na to. Potem mieli iść prosto do łóżek. Na wszelki wypadek powiedział im już dobranoc. Chociaż pewnie zdąży wrócić. Z Anetą.

Aneta spojrzała na niego bez słowa.

Zrozumiał.

- Nie, Aneta. Tylko nie to. Nie dziś.

- Dlaczego nie?

- Jest późno. Jesteśmy zmęczeni. I tak nie przeprowadzimy porządnie tego przesłuszenia...

- Przesłuchania? A kto powiedział, że mamy tam jechać po Hansa Forsblada?

Zatrzymała samochód na Kommendantsängen. Dzielnica przypominała skalistą pustynię. Słyszeli pijackie głosy z czeskiej restauracji na rogu. Wszyscy korzystali z powrotu lata. Dwie kawiarnie wystawiły z powrotem stoliki. Mieszkańcy miasta wylegli na ulice. Pachniało grillowanym mięsem i ciepłym, rozgrzanym nagle wiatrem południa. Od strony Övre Husargatan usłyszeli karetkę.

- *Someone else is in trouble* - zacytował Halders. - *In the night I hear a sirene. Someone else is in trouble. I am not the only one.* - Na nowo odpalił silnik. - Eric Burdon, The Animals.

Przejechali bulwarem.

- Cieszę się, że byłeś tam ze mną, Fredrik.

- Wiadomo, że byłem ciekawy. Między innymi.

W świetle nazw z kalendarza było ciemno, zupełnie inaczej niż w centrum. Nad wielkimi fabrykami unosił się dym. A może to była mgła. W końcu nagle znów zrobiło się ciepło.

Domy piętrzyły się jedne na drugich niczym transatlantyki zacumowane w doku. Z ciemnymi kabinami.

Na ulicach nie było nikogo. Były cienie, ludzi nie było. Samochody przejeżdżały dość często, ale wyglądały, jakby nie było w nich kierowców. Tutaj nie było kawiarnianych ogródków.

- Ale miło - powiedział Halders.
- Nie bardzo da się tu mieszkać - odparła Aneta.
- Wiem. Inaczej po co byśmy tu przyjeżdżali?
- Jesteśmy na miejscu - odparła, wskazując na blok.
- Jezu. Czy ten moloch gdzieś się kończy?

Ściany windy były pokryte bazgrołami. Jedne przykrywały drugie. Niektórzy nazywali to graffiti. Halders przyglądał się tej niby-sztuce nienawistnym wzrokiem. Nie tak dawno telewizja państwowa zgłosiła się do wydziału śledczego. Szukali policjanta, który zechciałby wziąć udział w nadawanej w najlepszym czasie antenowym debacie: Graffiti kontra wandalizm. Jakiś żartowniś przekazał to pytanie Möllerströmowi. On też wykazał się poczuciem humoru i przełączył do Haldersa, a Halders przyjął propozycję.

W ostatniej chwili Birgerssonowi udało się wszystko odkręcić. To ze względu na ciebie - powiedział Haldersowi. Ktoś musi powiedzieć prawdę, odparł na to Halders. Już wkrótce, już wkrótce, powiedział Birgersson. W końcu szef komendy rejonowej wysłał kogoś innego z wydziału, kogoś nikomu nieznanego. Halders nie obejrzał programu.

- Kiedy ostatni raz w takim budynku widziałeś lustro w windzie? - zapytał, odwracając się do Ariety. Właśnie przygotowywała się do spotkania.

- Tak było, zanim nastąpiły twoje czasy - dodał i zaśmiał się

dziwnie. - Lustra były wszędzie. Ożeż, w głowie się prawie nie mieści, jak oni mogli być aż tak naiwni.

- Wierzyli w przyszłość - powiedziała Aneta. - Nie bądź takim cynikiem. Wierzyli w obywateli.

- Ja? Cynikiem?

- W niektórych windach wciąż są lustra.

- Tak, w hotelach w centrum. I u Wintera.

- Jesteś gotowy?

Halderś wpatrywał się w cyfry przeskakujące na wyświetlaczu nad drzwiami. Przytaknął.

Winda się zatrzymała.

Drzwi otworzyły się automatycznie.

Wszystkie drzwi na piętrze były zamknięte.

Kiedy podeszli do tych właściwych, górne światło zgasło.

Świeciło się za to w środku, w mieszkaniu.

25.

Inspektor Lars Berghem za rok miał skończyć trzydzieści pięć lat. Przyglądał się swojej przyszłości przez okno, przez które nic się nie dało zobaczyć. Całe było zaparowane i zimne. Po prostu nie mógł wyjrzieć. Słyszał tylko różne dźwięki. Głównie samochody. Jechały w stronę promów płynących na północne szkiery.

Próbował przemyśleć to, co przed chwilą usłyszał. Myśl, myśl.

Był już wieczór, ale niezbyt późny.

Miał mieć dwa dni wolnego. Spokojnie zdążyłby rozbić się samochodem o skalną ścianę. A Allman Brothers Band dotrzymywaliby mu towarzystwa w drodze do wieczności.

Czy miał na to ochotę? A może wolałby poimprezować? Czy był wolny?

Wolny na tyle, żeby robić, co chce?

Ada zawsze będzie obok. Ma pięć lat. Martina też będzie obok.

Wjechanie samochodem w ścianę było tchórzliwym sposobem szukania spokoju i uciezki od całego tego syfu.

- To nie ma sensu - powiedziała.

- Co nie ma sensu?

- Jesteś ślepy? I głuchy?

Stał w oknie i zastanawiał się nad tym, co powiedziała. Akurat teraz był ślepy, ale nie głuchy I pomyśleć, że można być i ślepym, i głuchym. Czy wtedy człowiek powoli staje się też niemy?

- Nie jestem ani ślepy, ani głuchy - powiedział.

- I według ciebie między nami wszystko jest w porządku? - zapytała.

W porządku. A co to właściwie znaczy w porządku?

- Kiedy ostatnio usiedliśmy wieczorem i porozmawialiśmy?

Rozmowa. A co, nie rozmawiali ze sobą?

- Tak naprawdę porozmawialiśmy - dodała.

- O czym?

- No widzisz. Nie wiesz.

- A co mam wiedzieć?

Robił z siebie idiotę.

Było o wiele gorzej. Tyłu rzeczy nie wiedział i nie rozumiał. Ada spała. Albo udawała, że śpi. Nie, spała naprawdę.

- Chodzi o kogoś innego? - zapytał.

- Lars, na Boga!

- Tak czy nie?

- A ty myślisz, że ja nie myślałam, że to ty kogoś masz? Myślisz, że nie chciałam cię o to zapytać?

- Ale Martina...

- A co mam myśleć?

No tak, co można myśleć.

Przetarł szybę rękawem. Zrobiła się trochę czystsza, ale i tak nic nie widział. Nic poza konturami drzew poruszanych wiatrem. Właśnie zaczęło wiać mocniej. Słyszał podmuchy.

Co można o nim myśleć? Czy mogła nie wpaść na taki pomysł?

Samotne przejażdżki samochodem przy dźwiękach rocka z lat siedemdziesiątych, w tę i z powrotem, po autostradach na obrzeżach miasta. I po mostach. Nie skończył z tym, kiedy założył tę małą rodzinę. Co za tym stało? Czy to przez pracę? Krew, krzyki, SZALEŃSTWO, nienawiść, śmierć, ciosy, kłamstwa. Kłamstwa. Nie mógł tego znieść, naprawdę nie mógł. Czasem chciał krzyknąć JUŻ DOŚĆ, JUŻ NIE MOGĘ i wybiec z pokoju przesłuchań, wybiec z komendy przy placu Ernsta Fontella, uciec od tych wszystkich idiotów, którzy to tolerowali. Chciał gnać ulicami nago, krzyczeć, żeby ktoś wreszcie zrozumiał.

A może to się zaczęło, zanim się nasłuchiwał tych wszystkich kłamstw? Może tkwiło w nim od zawsze?

Może to jego własne kłamstwa.

Nie mógłbyś z kimś porozmawiać? - zapytała kiedyś Martina. Porozmawiać z kimś?

Czy wystarczyłoby, żeby porozmawiał z nią tak, jak chciała?

Co się robi w takiej sytuacji? Ona mu tego nie pokazała. Bo nie chciał. O to chodziło. I o to, że nie mógł.

Gdzie teraz jest Martina? Odwrócił się, ale nie słyszał jej i

nie widział.

Mimo woli odszedł od okna i ruszył do przedpokoju. Założył buty, złapał kurtkę i zamknął za sobą drzwi. Cicho, żeby Ada się nie obudziła. Zszedł do garażu i wszedł do samochodu. W rękę trzymał kluczyki. Miał problem z włożeniem ich do stacyjki, ręka mu się trzęsła.

Porozmawiać z kimś. Porozmawiać. Porozmawiać.

Odpalił silnik i ruszył. Było cicho. Nie było słycać uderzeń młotów, syren, fabrycznych gwizdów. Jechał za szybko. Szyby były opuszczone. Przerzucił płyty. Leżały luzem w beładnej stercie na siedzeniu pasażera. Wyciągnął jedną na oślep, nie spuszczać wzroku z drogi. Włożył ją do odtwarzacza i rozparł się na siedzeniu. Przyspieszył i zrobił głośniej. Steppenwolf.

Aneta nacisnęła dzwonek. Nie mogli otworzyć drzwi kopniakiem. Z mieszkania nie dochodził żaden odgłos. Aneta nie przypominała sobie, żeby dzwonek był zepsuty. Usłyszała kroki, tak to przynajmniej brzmiało. Czy to złodzieje? Ci faceci podający się za ojca i syna? Przestępca zawsze wraca na miejsce zbrodni.

- Nie stój na wprost drzwi - powiedział Halders.

Zapukał czy raczej załomotał.

Szuranie po drugiej stronie ucichło. Załomotał jeszcze raz. I znów usłyszeli kroki.

- Kto tam?

Aneta rozpoznała głos.

- Policja - odpowiedział Halders.

Głos powiedział coś jeszcze, ale nie zrozumieli. Drzwi się otworzyły.

- I znów się spotykamy - powiedziała Aneta.

- Co pan tu robi? - zapytał Halders.

- Myślałem, że Anette tu jest.

- Mówiła, że już z panem rozmawiała.

- Widzieliście ją?

- Przed chwilą - powiedziała Aneta. - U siostry Forsblada.

- No tak, wiem, ale ja już i tak byłem w drodze tutaj.

- A dlaczego myślał pan, że mogła tu przyjechać? - zapytał Halders.

- Jeśli nie było jej w domu ani u nas w Vallda, to gdzie mogła być? Tylko to miejsce przyszło mi do głowy.

- A o mieszkaniu Susanne Marke pan nie pomyślał?

- Nie.

- A dlaczego nie?

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Nie? Dlaczego?

- Nie po tym, co się stało.

- Gdzie może być Forsblad? - zapytała Aneta.

- Chyba nie u siostry?

- Nie.

- Mógłby być tutaj - stwierdził Halders.

- Nie ma klucza - odparł Lindsten.

Naprawdę jest aż tak naiwny? - pomyślała Aneta. Forsblad może sobie dorobić tyle kompletów kluczy, ile zechce.

- Muszę jechać - powiedział Lindsten.

- Co tu tak czuć? - zapytał Halders.

- A czuć coś?

Halders przecisnął się obok Lindstena, zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć. Aneta widziała, jak skręca w lewo, do kuchni.

Usłyszała jego głos.

- Kawa. Świeżo zaparzona.

Aneta popatrzyła na Siggego Lindstena.

- Miałem ochotę napić się kawy.

- I ŻARCIE W LODÓWCE - dobiegł ich znów głos Haldersa.

- Głodny też pan był? - zapytała Aneta.

Lindsten rzucił okiem w stronę przedpokoju i kuchni.

- To dla Anette - powiedział.

- Słucham?

- Gdyby przyjechała. Niespodziewanie. Gdyby coś się stało... coś jeszcze.

- A to nie jest ostatnie miejsce, gdzie mogłaby przyjechać?

Lindsten nie odpowiedział.

Halders wrócił do przedpokoju i wszedł do sypialni, po drugiej stronie korytarza. Po chwili wyszedł.

- Dmuchany materac i śpiwór też są dla niej? - zapytał.
- Tak.
- Najwyraźniej myśli pan o wszystkim.
- To nadal moje mieszkanie - odparł Lindsten. - Mogę w nim robić, co chcę.
- Kiedy Anette wróci do domu? - zapytała Aneta. - Do domu we Fredriksdal?
- Dziś wieczorem, tak sądzę.
- Czy jest tam teraz pańska żona?
- Tak.
- Chciałabym, żeby państwo sprawdzili, czy nic nie zginęło.
- Zginęło? Przecież Anette mówiła, że się potknęła i rozbiła szybę. Wam tego nie mówiła?
- Nie odpowiedzieli.
- Wam tego nie mówiła? - powtórzył.
- Tak, mówiła - odpowiedziała Aneta.
- Ktoś mógł tam wejść potem - wtrącił Halders.
- I mam w to uwierzyć?
- Halders się rozejrzał.
- I co teraz będzie z tym mieszkaniem?
- Nic - odparł Lindsten.

Bergnhem jechał na północ. Minął Olskroken i Gamlestaden. Jechał bez celu. Zatrzymywał się, żeby przepuścić tramwaje. Wyglądały na puste. W zeszłe święta mieli problem z jednym tramwajarzem. Choć problem to niewłaściwe słowo. *Your wall is too high*. Po samochodzie rozchodził się głos Johna Kaya. *I can't see, can't seem to reach you, can't set you free*.

Gdzieś w oddali rozległ się pomruk. To mogła być burza albo wystrzały, albo fajerwerki. Przejechał obok fabryki łożysk kulkowych. Fasada wyglądała okropnie, jak wspomnienie koszmaru. Ale są tacy, którzy miło ją wspominają, pomyślał. Wszyscy ci Włosi, którzy przyjeżdżali tu w latach sześćdziesiątych, budować dobrobyt dla Szwedów. Powojenne złote lata szwedzkiego przemysłu. Lata bicia rekordów. Teraz nie było już żadnych rekordów do pobicia. Może z wyjątkiem tego: jak najwięcej okrążeń ulicami miasta w ciągu tygodnia,

miesiąca, roku. John Kay wciąż śpiewał: *Born to be wild*. Nie minął go żaden motor. A przecież ta okolica to raj dla motocyklistów. Tu obowiązują inne prawa, prawa motocyklowe. I rowerowe. To właśnie to był ten pomruk. Usłyszał go znowu. Harleye stały na podwórkach, między domami, które już zburzono albo dopiero zamierzano zburzyć. Ale ryk motorów zostanie. Cylindry, koła, zwykle i zębate. To przetrwa, chociaż fabryki już tu nie będzie, nie tutaj. Pewnie przeniosą ją do Europy Południowej, może na południe Włoch. Mieszkańcy Kortedala będą się musieli przeprowadzić do Kalabrii, żeby tam budować dobrobyt dla innych. Bić nowe rekordy.

Born to be wiuuuuuuild. Bergenhem śpiewał z wokalistą, coś przecież musiał robić. Mijał kolejne podobne do siebie rzędy domów. W którymś z nich Anecie przydarzyło się coś dziwnego. Trafiła na tupeciarskich żartownisiów, którzy udawali kogoś innego, i to twarzą w twarz z przedstawicielką prawa. Obrobili całe mieszkanie na oczach policjantki z wydziału śledczego. Rekord Göteborga. To mogło się przytrafić jemu. To on mógł tu być. Zwolnił, przeczytał nazwę ulicy. Zobaczył budynek, który wyrastał z ciemności, zasłaniając całe niebo. Widział też oświetlone klatki schodowe i numery. To tutaj. Na pewno tutaj.

Cofnął i jeszcze raz odczytał nazwę ulicy.

Numer pięć. Przypomniał sobie, że to była piątka. To była tak nietypowa historia, że zapamiętał. Podjechał jeszcze kawałek do przodu. Numer pięć. Tam, gdzie nikt nie powinien parkować, stał samochód. Wydawało mu się, że go rozpoznaje. Zatrzymał się. To mogło być służbowe auto Haldersa. Od dawna nieodmalowywane.

Stanął dwadzieścia pięć metrów dalej. Steppenwolf przestał śpiewać. Bergenhem słyszał w oddali tramwaje. Zobaczył nagły błysk światła.

Potem drugi. Ktoś zapalał papierosa na przednim siedzeniu samochodu zaparkowanego dziesięć metrów za wozem Haldersa, o ile to był wóz Haldersa.

Bergenhem wyciągnął ze schowka lornetkę. Tak. To

samochód Haldersa. Spojrzał obok. W aucie z tyłu siedział mężczyzna z zapalonym papierosem. Właśnie sięgnął po telefon. A potem go odłożył. Zaciągnął się. Zachowywał się całkiem normalnie. Znów się zaciągnął. Patrzył prosto przed siebie, na numer pięć.

Czeka na kogoś, pomyślał Bergenhem. Albo nie może się zdecydować, czy wejść.

Albo czeka, aż ktoś wyjdzie.

Żeby sam mógł wejść.

Cholera, jestem jeszcze gorszy niż... Winter. Nigdy nie odpuszczam. Zastanawiam się, jak może wyglądać sytuacja, kiedy coś jest nie tak. Kiedy nie jest w porządku. Kiedy są powody do podejrzeń.

Zakóż, że wszyscy są podejrzani. Potem działaj.

Zakóż, że wszyscy kłamią. Potem działaj.

Lex Winter. I w zasadzie *Lex Halders*.

Człowiek z samochodu znów się zaciągnął.

Bergenhem wyjął komórkę i wybrał numer.

W kieszeni Haldersa rozdzwonił się telefon. Właśnie szli do windy. Lindsten zamknął już za nimi drzwi. Miał tylko dopić kawę, tak powiedział. Pora na kawusień, powiedział Halders, kiedy wyszli.

Wyciągnął telefon. Dzwonek głośno brzęczał między gołymi, pobazgranymi ścianami, połyskującymi na złoto-srebrno. Halders spojrział na wyświetlacz. Numer prywatny.

- Tak?

- Tu Bergenhem. Gdzie jesteś?

- Co, do cho... jestem w małej przytulnej willi w Kortedala. Jakaś kalendarzowa nazwa ulicy, nie znam dokładnego adre...

- Stoję na zewnątrz.

- Powtórz - powiedział Halders. Spojrzał na Anetę i przewrócił oczami.

- Posłuchaj, nie wiem, czy to ma znaczenie, ale byłem w okolicy i przypomniała mi się historia Anety i twoja. No i się zatrzymałem. Rozpoznałem twój wóz. Stoi tuż przed wejściem. I jest...

- Do czego zmierzasz, Lars? - przerwał mu Halders.

Przyjechała winda. Bergenhem ją usłyszał, rozpoznał ten dźwięk.

- Fredrik, kurwa, posłuchaj! Poczekaj sekundę, kiedy wyjdiesz z windy, i pomyśl. Siedzę tutaj, a w aucie przede mną siedzi jakiś typ. Obserwuje twój wóz. Może czeka na kogoś innego. A może ktoś go wyrzucił z mieszkania. Nie wiem, ale mam złe przeczucie.

- Co to za samochód? - zapytał Halders.

- Volvo. V 40. Może czarne, ale wszystkie tak wyglądają w tym świetle. Czy raczej w ciemności.

Bergenhem usłyszał, jak Halders gwizdze, a może to jadąca w dół winda wydawała taki odgłos. Najwidoczniej w windzie można rozmawiać przez komórkę. A może to telefon satelitarny. Aneta kiedyś o tym mówiła.

- Jest sam? - zapytał Halders.

- Tak. O ile nikt nie leży na podłodze z tyłu.

- Siedzi nas. To Hanzi Fanzi.

- Kto?

- Forsblad. Hans Fors... zresztą, kurwa, bez różnicy. Nadal tam jest?

- Właśnie odpala kolejnego fajka. Siedzi za kółkiem.

Bergenhem usłyszał w słuchawce, jak drzwi od windy się otwierają.

- To robimy tak... - powiedział Halders.

Kiedy Halders i Aneta wybiegli spod piątki, Bergenhem stał za volvo. Wyskoczył i otworzył drzwi, zanim kierowca zdążył odpalić.

Życie jest pełne niespodzianek, pomyślał Bergenhem, wracając wieczorem do domu. Nagle miasto zaczęło wyglądać inaczej. Nad Gamlestaden jaśniało jakieś inne światło, i nad Bagaregården, i nad Redbergplatsen. I nad Olskroken. Żadnej policji. Terytorium przeszło w ręce wroga. Motocyklistów. Odpalaj motor.

Rozpierało go poczucie wolności, niemal radości.

Dostali pokój po kwadransie. Przeszli przez korytarze, które przypominały klatki schodowe molocha w Kortadala, z tym że na ścianach nie było bazgrołów. To tylko kwestia czasu, pomyślał Halders. Niedługo te sukinsyny wedrą się i tutaj. Może już kryją się w naszych szeregach.

- Jeszcze nigdy nie spotkało mnie nic takiego - powiedział nagle Forsblad. - Zapłacicie za to.

W drodze się nie odzywał. Anecie wydawało się, że słyszała coś jakby chichot. Pewnie płakał.

Kiedy dobiegli do jego samochodu, siedział bez ruchu. Oczywiście wyglądał na zaskoczonego.

Choć z drugiej strony był jakby nieporuszony.

Posłusznie poszedł za nimi. Fredrik nie musiał go zbić do nieprzytomności.

Forsblad wiedział. Znał prawo, przynajmniej teorię.

26.

Forsblad wiedział, że mogą go trzymać sześć godzin, a potem ewentualnie kolejnych sześć. Chciał wyjść szybciej. Wiercił się na krześle w pokoju przesłuchań. Nie czuł się dobrze. Nie było to szczególnie miłe doświadczenie.

- Gdzie pan pracuje? - zapytał Halders.
- A co to ma do rzeczy?
- Proszę odpowiadać na pytania. Forsblad zamilkł.
- Czy to tajemnica? Pańskie miejsce pracy?
- W jakim sensie?
- No, nie chce nam pan powiedzieć.
- Jestem prawnikiem w sądzie rejonowym.
- Jakim prawem się pan zajmuje?
- Proszę?
- Prawo cywilne czy...
- Myślałem, że policja zna prawników zatrudnionych w sądzie.

- A pan nas zna?
- No... nie.
- Pytaliśmy o pana i okazuje się, że inni prawnicy wiedzą o panu równie mało, jak my. Rozumie pan?

- Nie, nie do końca.
- Jest pan archiwistą. Nie ma w tym nic niewłaściwego, ale do tej pracy nie trzeba mieć wykształcenia prawniczego.
- Ale ja jestem prawnikiem. Mam wykształcenie.

Aneta widziała, że mówi prawdę, ale taką, którą on sam uznaje za prawdziwą.

- Więc zawodowo zajmuje się pan archiwami, ale zgłosił pan chęć uczestniczenia w rozprawach. To dość nietypowe.

- Sądziłem, że można usprawnić pracę. To ja się męczyłem, zagłębiając się w sprawy. To ja odwaląłem całą robotę. Czytałem wszystkie dokumenty. Kopiowałem je w tysiącach egzemplarzy.

I co, czytałeś każdą kopię? - pomyślał Halders.

- I co z tego miałem? - zapytał Forsblad.

Aneta widziała, że w kąciку ust zebrała mu się ślina. Nagle

zauważył, że to dostrzegła. Spojrzał na nią, jakby wiedział, że ona widzi. Spojrzał z nienawiścią. Wiedziała, że jej nie wybaczy. Nie wybaczy jej, że patrzy na niego jak na dziada. Że gardzi nim dokładnie tak jak inni. Nienawidził jej. Była jego wrogiem, była w szeregach armii, która maszerowała wprost na niego.

Czy tak właśnie jest? Czy wszystko to mogę wyczytać z jego spojrzenia? Tak czy inaczej, patrzy z nienawiścią. I znów patrzy. Chce mi coś przekazać.

Forsblad obliznął kącik ust.

- Nie lubi pan swojej pracy? - zapytał Halders.

Forsblad prychnął. Dwa razy.

- Czy w pracy inni są wobec pana złośliwi? - ciągnął Halders. Kolejne prychnięcie.

- Czy ktoś jeszcze był dla pana złośliwy?

Forsblad odwrócił wzrok. Patrzył na jaskrawozieloną ścianę. Nie siedzimy w tym pokoju dla przyjemności i o to chodzi, pomyślała Aneta. Fredrik wygląda jak komendant obozu.

- Czy Anette była wobec pana złośliwa?

- Jej proszę w to nie mieszać.

- Nie?

Forsblad spojrzął na magnetofon. Był mały i wyglądał jak część stołu. Nie było kamer. Może następnym razem.

- Jej do tego nie mieszajcie - powtórzył Forsblad.

- A wie pan, dlaczego w ogóle rozmawiamy? - zapytał Halders.

- Nie - odparł Forsblad z uśmiechem.

Halders spojrzął na Anetę. Nie, Fredrik, nie możesz go za to uderzyć. Widzę, że masz na to ochotę.

- Rozmawialiśmy z Anette - powiedział Halders.

- Ja też.

Halders postanowił to zlekceważyć.

- Powiedzieliśmy jej, że chcemy pomóc.

- Pomóc w czym?

Halders popatrzył na niego. Forsblad odwzajemnił spojrzenie. Wygląda, jakby był nieobecny, pomyślała Aneta. Odlatuje i wraca.

- Chronić ją - ciągnął Halders.

- Chronić? Przed czym?
- Przed panem.

Forsblad powiedział coś, czego nie dosłyszeli.

- Słucham? - zapytał Halders.
- To nie o mnie tu chodzi. To nie ja.
- Czy to ktoś inny jej grozi?

Forsblad przytaknął, dwa razy. Poruszył głową w górę i w dół. Jak dziecko. Zachowuje się jak dziecko, pomyślała Aneta. To jak przesłuchiwanie dzieci. Pomyślała o tych strasznych rzeczach, które się działy w zeszłym roku, w święta. Przesłuchania dzieci. Wtedy tylko tyle mieli, dzieci. Dobry Boże, przesłuchiwanie dzieci. To jak wrywanie sobie samemu zębów. Robili to ona i Erik. Erik sam. Miała jego przesłuchania na taśmie, zapoznała się z nimi. Słuchała, jak się przybliża i oddala, a potem znów przybliża. To była dobra metoda. Powinni ją opisać w podręcznikach. Opisać, jak powoli dochodził do czegoś, co powinni wykorzystać. Co mogli wykorzystać. Ona też umiała to uzyskać. To był sukces. A jednak im się nie udało.

Forsblad znów skinął głową. Wiedziała, że Fredrik widzi to co ona: Hanzi nie powinien siedzieć tutaj, tylko w psychiatryku.

Ale psychiatryki to już przeszłość.

Teraz psychole siedzą tutaj.

Wilkommen, bienvenue. Welcome.

- Więc kto grozi Anette? - zapytał Halders.

Forsblad nie patrzył na niego. Patrzył na Anetę. Siedziała za nim, po lewej.

Nagle wyciągnął rękę i wskazał na nią! Halders odwrócił się na sekundę.

- Ona? Co pan chce przez to powiedzieć?
- To ona jej grozi tymi wszystkimi pytaniami. Kręci się i węszy. Jest wszędzie. Nie rozumie. Ona nie rozumie.

- Czego nie rozumie?

Forsblad się zaśmiał. Szaleńczy śmiech.

- Czego ja nie rozumiem? - dodał Halders.
- Sporo tego jest - powiedział Forsblad.

- Anette była ofiarą przemocy. Mamy na to świadków. Kto tę przemoc stosował?

- Przemocy fizycznej? - zapytał Forsblad.

Każda odpowiedź to przygoda, pomyślała Aneta. Nie wiemy, dokąd nas zaprowadzi kolejne pytanie. I kolejna odpowiedź. Ale może dokądś nas zaprowadzą. Może on nie kłamie. Może chodzi o coś gorszego.

- Nie oddziela się przemocy fizycznej od przemocy w ogóle - powiedział Halders. - Przemoc to przemoc.

- A to ciekawe - stwierdził Forsblad. - Ciekawe, że to pan to mówi.

Aneta widziała, jak żyła na szyi Haldersa zaczyna pulsować. Uspokój się. Spokojnie.

- Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać z Anette - powiedział Halders.

- Ja też nie.

I znów Haldersowi podskoczył puls.

- Teraz już będziemy wiedzieć, gdzie pan jest - dodał Halders. - I dokąd pan jeździ.

- Czy to groźby? - zapytał Forsblad.

Haldersowi chodziła żyła. Ręka mu zadrżała.

- Fredrik! - powiedziała Aneta.

Halders cofnął rękę i spojrzał na nią, jakby ją widział po raz pierwszy. Przez chwilę sprawiał wrażenie nieobecnego.

- Może zrobimy przerwę - zaproponowała.

- Pogrywa sobie ze mną, sukinsyn - powiedział Halders. Siedzieli w wydziałowej kuchni. Halders próbował wypić kawę, póki jest gorąca. Zimna była nie do przełknięcia.

- Boi się - powiedziała Aneta.

- Mnie?

- Wszystkiego.

- Nie rozumiem. Wyjaśnij.

Wypił kolejny łyk i skrzywił się.

- Boi się swojej pracy, innych... sama nie wiem czego.

- Kogoś, kto mu grozi?

- Nie wiem.

- Czy on kogoś chroni?

- Mam wrażenie, że i za tym może stać ktoś inny.
- Ojciec? Ten cały Lindsten?
- Może.
- Facet jest podejrzany, bez dwóch zdań.
- Myślałam o tym włamaniu, czy jak to nazwać. O tej kradzieży w mieszkaniu w Kortedala. Czy Forsblad może coś o tym wiedzieć?

- No, czemu nie.
- On albo ojciec. Sigge Lindsten.
- Może obaj? - zaproponował Halders.
- Okradałby własne mieszkanie? - zastanawiała się Aneta. - Mówię o Lindstenie.

- Nie okradł własnego mieszkania, tylko mieszkanie córki. Anetę zastanowiły jego słowa. Patrzyła, jak wypija kolejny łyk. Wypić kawę i przeżyć.

- Co właściwie próbujemy wyjaśnić, Fredrik? - zapytała po chwili.

- No, nie kwestię kradzieży. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

- Myślisz, że to nie ma związku z tą sprawą?
- Jeśli przez sprawę rozumiesz przemoc wobec Anette, to nie sędzę.

- A co ty rozumiesz przez sprawę?

Halders z grymasem na twarzy odstawił papierowy kubek.

Podrapał się po pokrytym jednodniowym zarostem policzku.

Pod oczami miał sińce. Jaskrawe światło kuchennej lampy przebijało się przez skórę ogolonej na krótko, łysiejącej głowy. Godzinę temu kolejny raz zadzwonił do opiekunki, żeby się upewnić, że jest przygotowana na to, żeby zostać z dziećmi na noc. Znów się podrapał.

- Wkręciłem się w tę sprawę prawie tak jak ty. - Spojrzał na nią zmęczonymi oczami. - Ale nie jestem pewien, czy Forsblad rzeczywiście znęcał się nad żoną. I czy deptając mu po piętach, chronimy jego żonę. - Zamilkł. Wyglądał, jakby się uważnie wsłuchiwał w powietrze wpadające ze świstem w otwór wentylacyjny za ich plecami. Nie był to przyjemny dźwięk. Przeciągnął ręką po ogolonej głowie. - Oni wszyscy są cholernie

podejrzani. Wszyscy zamieszani w tę sprawę.

Aneta przytaknęła.

- Ktoś wie więcej od nas - powiedział Halders. - Dużo więcej.

- Forsblad?

- Nie jestem pewien.

- Lindsten?

- Ojciec? Niewykluczone.

- Anette?

Halders nie odpowiedział. Znów jakby się zasłuchał w szum wentylacji, w te wszystkie szmery i świsty dobiegające z rogu. Spojrzał na Anetę.

- Tak naprawdę to nic o tej Anette nie wiemy.

Kiedy strażnicy z aresztu wprowadzili Forsblada z powrotem do pokoju, wyglądał, jakby przed chwilą spał. Wciąż miał na sobie marynarkę, krawat, białą koszulę, te dziwne niegniotące się spodnie i buty, które już straciły połysk. Jego gęste włosy wyglądały na świeżo uczesane, ale tak, jakby tylko przeciągnął po nich ręką, jakby tyle wystarczyło. Facet ma bujną grzywę, jak Kennedy. Ale u Kennedy'ego było to skutkiem ciężkiej choroby, włosy rosły mu od leków. Tyle wiem, pomyślał Halders. Wiem też, że najgęstsze włosy miewają śmiertelnie chorzy, wariaci, narkomani i alkoholicy. To cholernie niesprawiedliwe. Wystarczy przejść przez park, w którym gadają, trzęsą głowami, rechoczą, chwieją się i wymachują rękami żule. Boże, co za żaloszny widok. Ale czy znajdzie się wśród nich choć jeden łysy? Nie. Wszyscy mają fryzury wysokie jak Kennedy albo z przedziałkiem z lewej albo z prawej. Nic to, że pod czupryną nic nie zostało. Tak samo Forsblad. I znów przeczesuje tę cholerną grzywę.

- Dlaczego siedział pan w samochodzie siostry pod domem w Kortedala? - zapytał Halders.

- To moje obywatelskie prawo.

- A dlaczego właśnie tam?

- Bo znam to miejsce.

Halders zerknął na magnetofon, żeby sprawdzić, czy taśma

się kręci. Wyglądało to tak, jakby chciał się upewnić, czy działa, żeby potem móc odsłuchać i przeanalizować tę odpowiedź jeszcze raz.

- Dlaczego właśnie tam?

Forsblad wzruszył ramionami.

- Czy to dlatego, że byliśmy tam ja i inspektor Djanali?

- A skąd mogłem wiedzieć, że tam jesteście?

- Gdzie pan teraz mieszka?

- U siostry.

- Ona mówi, że nie.

- Naprawdę?

- Ma pan stałe miejsce zamieszkania?

- Właśnie je sobie załatwiam.

- Gdzie?

- Zobaczymy, jak wyjdzie.

- Wie pan, że zakaz zbliżania się zaczął już obowiązywać? - zapytał Halders. Kłamał, ale niedługo mieli to załatwić. - Prokurator przedłużył nasze tymczasowe zarządzenie.

Forsblad jakby nie słuchał. Albo go to nie obchodziło. Jakby to wszystko było już nieistotne. Wsłuchiwał się, ale chyba w głosy rozbrzmiewające w jego własnej, bujnie owłosionej głowie. A może słuchał szumu wentylacji.

Spojrzał w górę. Zatrzymał wzrok na Anecie.

- Może mógłbym zamieszkać u pani? - zapytał.

Aneta nie odpowiedziała. Unikała jego spojrzenia. Nigdy nie należy szukać kontaktu wzrokowego. W Afryce widziała obłąkane małpy chore na wściekliznę. Próbowaly nawiązywać kontakt wzrokowy, a jeśli im się udawało, robiło się niebezpiecznie. Bardzo niebezpiecznie.

- Przecież wciąż pani za mną chodzi. Właściwie nie wiadomo, czego pani tak naprawdę chce.

Puścili go po północy. Puścili go do domu, choć w tym wypadku było to tylko takie wyrażenie. Chyba że miał gdzieś jakiś dom albo łóżko, sofę albo dmuchany materac.

- Za godzinę zapukamy do drzwi w Kortedala i zbudzimy go ze smacznego snu.

Byli w drodze do Anety. Halders jechał szybko. Wyprzedzał wlokących się kierowców, którzy zapuścili się na autostradę, wracając z wieczornych imprez.

- Jeśli w kogoś wjedziemy, będziemy udawać, że to borsuk - powiedział Halders.

- Jeśli on śpi w tym mieszkaniu, to ojciec Anette o tym wie. Nie możemy się tam wtarabanić kolejny raz - stwierdziła Aneta.

- Oczywiście, że możemy. Ale nie dziś.

Aneta rozejrzała się, kiedy parkowali. Nikogo nie było widać. Żadnych żarzących się papierosów zapalanych na siedzeniu kierowcy.

- Myślisz, że mówił poważnie? - zapytała.

- Że będzie spał u ciebie?

- Według ciebie to był żart?

- Daj spokój, to była kolejna prowokacja.

- Nie widziałeś jego spojrzenia.

- Oczywiście, że widziałem.

- Ale on szukał kontaktu wzrokowego ze mną. Halders otworzył drzwi.

- Nie będzie miał odwagi tu przyjść - powiedział.

- Skąd wiesz?

- Bo powiedziałem mu, że go rozerwę na kawałki, jeśli to zrobi. Kiedy zostałaś w środku, a ja wyszedłem mu pomachać na pożegnanie.

Ranek był jasny i ciepły. Ludzie chodzili po Vasagatan uśmiechnięci. Słońce było okrągłe i przyjemne. Niebo błękitne. Śpiewały ptaki.

Winter wybrał się do pracy na piechotę. Sprawdził temperaturę na termometrze wiszącym nad Heden: piętnaście stopni. Już teraz. Teraz nikt nie grał w nogę. A szkoda, poranek był idealny. Łatwo się oddychało. Brakowało mu gry.

Trzy lata temu wydział śledczy miał swoją drużynę. Nieporuszony Birgersson stał na bramce. Oczywiście mecze miały znaczenie symboliczne. Przez kilka dni wymyślali nazwę. Pia E:son Fröberg, lekarka sądowa, przysłuchiwała się tym

naradom, kiedy wpadała na kawę. Zaproponowała: Per Rectum. Brzmiało dość tajemniczo. Pasuje raczej do tych z aresztu, stwierdził Möllerström. Pia przyznała, że to tak naprawdę nazwa drużyny studentów akademii medycznej.

Nie udało im się dojść do porozumienia i pierwszy mecz zegrali jako Wagadugu FC. Taka była propozycja Haldersa. Aneta miała przyjść, ale się przeziębila. Może to i lepiej, bo Haldersa wyrzucono z boiska po dwóch minutach. W odpowiedzi kopnął sędziego w tyłek. Oczywiście decyzja sędziego była bezpodstawną. Halders pomylił piłkę z głową przeciwnika. Grali z drużyną szpitala Sahlgrenska. Nazywali się Do Szpiku Kości. Winter kojarzył większość z ich graczy, jego koledzy zresztą też. Wszyscy spędzali dużo czasu na ostrym dyżurze. Tym razem w roli pacjenta trafiła tam ofiara Haldersa. Z korzyścią dla siebie, jak stwierdził potem Halders. Dodał, że choć koleśowi przydało się małe przemeblowanie w głowie, to kopniak nie był zamierzony. Rzecz jasna.

Haldersa wykluczono z policyjnej drużyny na cztery lata. Wszyscy się dziwili, że nie zastosowano dożywocia albo bezwarunkowej kary pozbawienia wolności. Prokurator rozważał wniesienie aktu oskarżenia, ale poszkodowany odmówił złożenia skargi. To był wypadek. Przecież wszyscy widzieli. Wieczorem przed meczem on i Halders rozstali się jak przyjaciele. A Birgersson pogadał z sędzią, starym Molina. Byłem tam, powiedział. Molina się skrzywił i zapytał, czy Birgersson miał szkła kontaktowe. Birgersson skłamał, wykrzykując gromko: No tak! I było po sprawie. A sędzia, który oberwał w tyłek, był policjantem z wydziału patrolowego i siedział cicho w imię zawodowej solidarności, no bo jakże, ale również dlatego, że potrzebował czasu, żeby obmyślić zemstę. I dopiął swego. Winter uśmiechnął się na to wspomnienie.

Wagadugu FC wyeliminowano z rozgrywek na cały sezon. Spędzili na boisku całe dwie minuty. Nie wyglądało to najlepiej. Winter był przecież kapitanem. Zarzucono mu, że nie potrafi utrzymać swoich graczy w ryzach. Właściwie chodziło o utrzymanie w ryzach Haldersa. Spróbujcie sami, to zobaczycie. Następny sezon rozegramy w Afryce! - powiedział Halders.

Mamy już jedną czarnoskórą w szeregu, a w głębi duszy wszyscy jesteśmy czarni. Winter widział to oczyma wyobraźni: kontynenty zamykają się przed Haldersem, jeden za drugim. Następny sezon rozegramy w Oceanii! Następny sezon rozegramy na Ziemi Ognistej!

Słońce zagładało do pokoju. Ringmar wetknął głowę w drzwi w chwili, kiedy Winter się rozsiadł i zaczął się przedzierać przez sprawy: kradzież, pobicie, zabójstwo, rabunek, groźby, kolejne kradzieże, akty wandalizmu, następne zabójstwo i jeszcze dwa rabunki. Raporty, zeznania świadków, sprawozdania. Papiery, taśmy magnetofonowe i wideo. Tyle różnych spraw naraz. Podejrzenie morderstwa. Morderca rozpoznany. Pijacka awantura na Gamlestan. Niemal wszystkie zabójstwa i morderstwa tak wyglądały. Otwierali i zamykali sprawę w ciągu jednej doby.

- Masz minutę? - zapytał Ringmar.
- Nawet dwie - powiedział Winter, odkładając kartkę.

Ringmar usiadł. Twarz miał pooraną zmarszczkami. Był dwanaście lat starszy od Wintera, a to znaczyło, że miał już za sobą kilka ciężkich lat, które Winter dopiero miał przeżyć. Może tych najcięższych. Do tego Ringmar miał jeszcze dwanaście lat do przepracowania jako obrońca i rzecznik społeczeństwa. Jak głębokie będzie miał zmarszczki wtedy? A Winter miał przed sobą dwadzieścia cztery lata. DWADZIEŚCIA CZTERY lata w tej roli. Dobry Boże. To jedna trzecia życia przeżyta tak jak teraz. Niech mnie ktoś stąd zabierze.

Ale to mimo wszystko jego życie. Znał je. Sprawdzał się w nim. Miał umiejętności i trochę agresji, nie tyle co Halder, ale za to ze zdolnościami było u niego lepiej. I miał cierpliwość. Potrafił harować. Potrafił myśleć. I o to właśnie chodziło. Tu można było myśleć, wciąż można było pomyśleć na spokojnie. A myślenie mogło przynieść skutki. Ten, kto nie myślał dobrze, nie osiągał żadnych rezultatów. Prawdziwych rezultatów, takich, które można osiągnąć, wykraczając poza rutynę. Wymyślając coś przy dźwiękach pięknych melodii. Słuchał

Coltrane'a, nagrań z jego najbardziej dyszharmonicznego okresu. To właśnie takie atonalne brzmienia były dla niego punktem wyjścia. Nigdy nie umiał myśleć w linii prostej. Mógł myśleć logicznie, ale inni nie nadążali za tą logiką. To była jego logika, a przy tym logika Coltrane'a, Pharaoha Sandersa czy Milesa Davisa. Zamówił w księgarni wysyłkowej kolejną książkę. Doszła wczoraj: *Kind of Blue - the Making of the Miles Davis Masterpiece* Ashley Kahn. Miał zamiar zacząć ją czytać wieczorem, o ile zdąży wcześniej przesłuchać album, a właśnie zaczął. Panasonic stał na podłodze. *Kind of Blue* leciało po raz tysięczny.

- *So What* - powiedział Ringmar.

Pierwszy kawałek. Ringmar znał *Kind of Blue*. Znajomość tego albumu była po prostu częścią ogólnego wykształcenia. Winter nie pojmował, jak ludzie mogą tego nie rozumieć. Nie było zresztą czego rozumieć. Wystarczyło posłuchać.

- Ta babka z Donsö dzwoniła pół godziny temu - poinformował go Ringmar. - Möllerström przełączył ją do mnie.

- To dobrze.

- To była ta Johanna.

- Wiem, Bertil. Czego chciała?

- Zapytać, czy czegoś się dowiedzieliśmy.

- A dowiedzieliśmy się?

- Nie.

- Czy Möllerström kontaktował się z komendą główną?

- Tak myślę.

- Jaki miała głos?

- Wydaje mi się, że spokojny. Ale przecież wiadomo, że coś jest nie tak. Jej ojca nie ma już od paru tygodni.

- Tak. Coś się stało.

- Najwidoczniej.

Muzyka leciała dalej. *Freddie Freeloader*. Winter pomyślał. O Johannie Oswald, o jej bracie, ojcu i dziadku. O Szkocji i Stevie Macdonaldzie.

Ringmar przeciągnął dłonią po pomarszczonej twarzy.

- A co u ciebie, Bertil?

- Jako tako. Moa znalazła mieszkanie. Dla niej to chyba dobrze, tak sędę. Ale jeśli chodzi o mnie, to mogłaby jeszcze trochę pomieszkać w domu.

Winter spojrział na niego.

- Zrozumiesz to za dwadzieścia lat.

- No dobra, pogadajmy o tym - powiedział Winter. Szukał w kieszeni paczki corpsów, ale zrezygnował. Chciał być silny. Przed nim jeszcze tyle lat.

- Gdzie się przeprowadza? - zapytał.

- Do Kortedala.

27.

Jeszcze przed południem przez Interpol dostali wiadomość. A może to Möllerström dostał ją wprost z Inverness. To właśnie on przyszedł do Wintera z wydrukiem i wskazał na komputer z intranetem.

- Po prostu powiedz, o co chodzi - poprosił Winter.
- Nie żyje - odparł Möllerström.

Winter spróbował się dodzwonić, ale mu się nie udało. Spróbował jeszcze raz po pięciu minutach.

Komisarz nazywał się Jamie Craig. Z Northern Constabulary, Inverness Area Command. Nie brzmiał jak Szkot, tylko jak Anglik. Sucha, techniczna wymowa.

- Wygląda na to, że kręcił się po mieście od jakiegoś czasu - powiedział.

- To znaczy po Inverness?

- Nie. Po Fort Augustus. Na południowym brzegu jeziora. Taka mała miejscina.

- Jeziora? Jakiego jeziora?

- No, Loch Ness, oczywiście.

Oczywiście. Słynne jezioro, na południowy zachód od Inverness. Nessie. Potwór z jeziora. Winter nigdy nie był nad Loch Ness, nie widział Nessie.

- Ale znaleźli go kawałek na wschód, w górach. Przy bocznej drodze, nad niewielkim sztucznym jeziorem, Loch Tarff. Przynajmniej mi się wydaje, że jest sztuczne.

- A samochód?

- Samochodu nie było.

- A dokument z wypożyczalni?

- Nie wiem. Kiedy go znaleźliśmy, samochodu nie było, a on nic na sobie nie miał.

- Proszę?

- Sprawa bez wątplenia wygląda dziwnie. Kiedy chodził po mieście, wyglądał na dziwaka, ale był ubrany, zapłacił za zamówienie w pubie. Kupił piwo i lunch, chyba.

Craig powiedział wszystko, co wiedział. Mężczyzna około

sześćdziesiątki pojawił się w Fort Augustus i chodził po miasteczku, jakby miał problem z głową. Miejscowi byli przyzwyczajeni do tego, że ekscentrycy z najodleglejszych zakątków świata przyjeżdżają w ich strony, żeby znów odkryć potwora z Loch Ness i zyskać światową sławę. Ale ten mężczyzna był dziwny jakoś inaczej. Poruszał się bardzo charakterystycznie. Z ludźmi, z którymi się spotykał, rozmawiał nieskładnie. Wszedł do pubu przy stacji benzynowej, wypił szkockie piwo, ale zostawił lunch: chleb z serem i z piklami.

Ktoś widział, jak jedzie na zachód. A potem nadano komunikat o zaginięciu i ten ktoś zadzwonił do komisarza Craiga na Longman Road.

Reszta była już kwestią czasu. Pojechali starą drogą B 862, na zachód od jeziora, w kierunku Inverness. Inni przeczesywali bezdroża. Nie musieli krążyć między wzniesieniami i pagórkami dłużej niż pół doby.

- Leżał na drugim brzegu jeziora - powiedział Craig. - Ukryty tak, że nie było go widać z drogi.

- Bez ubrania?

- Nie miał nawet skarpet.

Winter pomyślał, że może to angielski idiom określający kogoś całkiem gołego.

- Ale myślicie, że to nasz zaginiony? Axel Oswald? Dlaczego?

- I tu zaczyna się robić jeszcze dziwniej. Nie mogę być stuprocentowo pewny, jeszcze nie, co do tego, czy to on. Ale ubrania były rozrzucone po okolicy, od południowego krańca jeziora aż do miejsca, gdzie go znaleźliśmy. To kilka mil. Jeśli chcecie, to oczywiście możemy wam podać dokładną odległość.

Oczywiście, wypowiedziane tonem bardzo rzeczowym. Winter nie wiedział, czy Steve Macdonald zna tego policjanta. Chyba nie osobiście. Chyba powędrowali w przeciwnych kierunkach. Craig mógł pochodzić z Londynu i pełnić funkcję komisarza w Inverness. A Steve pochodził z Inverness, a był komisarzem w Londynie.

- Tak więc znaleźliśmy gołego mężczyznę, a w okolicy pełen komplet ubrań, łącznie z butami i kurtką, no i pomyśleliśmy:

aha, to się pewnie ze sobą wiąże. Zebraliśmy ubrania. Znaleźliśmy portfel, a w nim prawo jazdy na nazwisko Oswald. Ze zdjęciem, które najprawdopodobniej przedstawiało zmarłego.

- Jak zmarł? - zapytał Winter. - To znaczy, jakie są wstępne ustalenia? Jaką przyczynę zgonu wpisano do komunikatu Interpolu?

- Serce - odpowiedział Craig. - Ale to coś więcej niż wstępne ustalenia. Oczywiście nie ma jeszcze wyników sekcji, ale na ciele brak oznak przemocy. Nie ma żadnych ran. Lekarz postawił dwa piwa na to, że to zawał. Na wzgórzach było zimno. Starszy człowiek w górach, w nocy, bez ubrania, nie do końca kontaktujący. Cóż, to musiało się tak skończyć.

- Zawał - powtórzył Winter.

- Myślę, że sam nie przeżyłbym tam nocy bez ubrania. Nie gdybym był sam - dodał tym samym bezbarwnym głosem.

- Kiedy możemy się spodziewać pełnego raportu? - zapytał Winter.

- O czym?

I znów ten beznamiętny ton śledczego.

- Chodzi mi przede wszystkim o przyczyny śmierci - odparł Winter.

- Myślę, że po południu.

- Dzięki.

- Cała reszta znajdzie się w raporcie jutro, mam nadzieję. To znaczy to, co wiemy. A niewiele tego jest. Ale sprawa, o ile to jest sprawa, jest dość oczywista.

Winter czekał, aż Craig powie: sprawa otwarta i zamknięta, ale nie powiedział. To by zresztą nie było w jego stylu.

- Ale ten wypożyczony samochód się nie znalazł? - zapytał jeszcze Winter.

- Nie. Rozmawialiśmy z ludźmi z wypożyczalni. Wypożyczył go na dwa tygodnie. Minęły dopiero przedwczoraj. Złożyli zawiadomienie o ewentualnej kradzieży no i, cóż, dzięki temu dokładniej przyjrzelśmy się temu zaginięciu i komunikatowi. No i oczywiście mieliśmy zeznanie świadka z Fort Augustus.

Winter usłyszał minimalną zmianę w jego głosie. Jakby

Craig czuł, że powinien się usprawiedliwić. Bo trochę zwlekali z rozpoczęciem poszukiwań. Ale Winter wcale nie patrzył na to w ten sposób. Znał okoliczności, wiedział, jaka jest rzeczywistość. Na pewno nie pierwszy raz cudzoziemiec zabląkał się w okolicach Loch Ness.

- Czy samochód nie powinien stać gdzieś w pobliżu? - zapytał. - W miasteczku, w tym... Fort Augustus.

- No tak - odparł Craig. - Też na to wpadłem. Ale gdyby stał kilka dni w jednym miejscu, to pewnie by go ukradli. Wokół Loch Ness mamy sporo samochodów i sporo złodziei.

- Rozumiem.

- Oczywiście nadaliśmy komunikat o poszukiwaniach samochodu. Możliwe, że znajdzie się gdzieś na drodze, okradziony ze wszystkiego, jak zwykle. - Craig zrobił krótką przerwę. - Goły, jak mówimy.

- A zmarły... - powiedział Winter. - Jak długo tam leżał?

- Lekarz, kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, mówił, że dwie doby. Plus minus sześć godzin.

- Czy ktoś mógł tam przenieść zwłoki? Czy mógł umrzeć gdzie indziej?

- Nie. Jesteśmy pewni, że sam się tam dostał.

- W takim razie pytanie brzmi: dlaczego?

- A nie zawsze tak brzmi?

- No tak. To najważniejsze pytanie.

- Steve mówił mi, że jeśli będę z tobą rozmawiał, to prędzej czy później dojdziemy do tego.

- Steve? Steve Macdonald? Znacie się?

- Tak. Pracowaliśmy trochę razem na Croydon. Szeptałem tu o mnie dobre słowo, kiedy starałem się o posadę komisarza. - Craig zrobił przerwę. Winter usłyszał coś, co mogło być śmiechem, suchym jak piach. - Nie wiem, czy mu za to dziękować, czy nie.

W głosie Craiga dało się wyczuć ciepło. Winter nie mógł się nie uśmiechnąć. Właśnie odebrał lekcję poświęconą angielskiej naturze. Craig nie zaczął od nawiązania do wspólnego znajomego. Oczywiście była to też kwestia profesjonalnego podejścia.

- A co mówią świadkowie? - zapytał Winter.

- Cóż... wspominałem już o tym, tak pokrótce. Sprawiał wrażenie, jakby nie do końca kontaktował, jakby nie bardzo wiedział, gdzie jest. Coś tam mówił... chyba zadawał pytania. Tak go ktoś zapamiętał. Właściciel pubu. Oswald powtórzył kilka razy coś, co brzmiało identycznie, ale czego nie dało się zrozumieć.

- Dlaczego nie?

- Dlaczego nie? Bo to nie było po angielsku ani po szkocku. Zakładam, że mówił po szwedzku, ale tego języka nie używa się w Fort Augustus na co dzień. - Znów na chwilę przerwał. - Te ziemie zamieszkiwali kiedyś wikingowie, ale ludzie już nie pamiętają nordyckiego.

Staronordyckiego, pomyślał Winter. W szkockim jest mnóstwo słów pochodzenia nordyckiego - mnóstwo nazw miejscowości i innych.

- No więc kręcił się tu i zagadywał do ludzi po szwedzku - podsumował Winter. - Bo nie mówił tylko do siebie? Mówiłeś, że sprawiał wrażenie zagubionego.

- No, nie pytaliśmy ludzi o szczegóły, ale świadkowie mówili, że zagadywał do nich i o coś pytał.

- Aha.

- Tu ci nie pomogę. Mogę ich docisnąć o to, jak do nich zagadywał i może czy zadawał pytania. Ale chyba o niewiele więcej mogę pytać.

- Rzeczywiście.

- W najgorszym wypadku sam przyjedziesz i sprawdzisz, czy miejscowi rozpoznają jakieś szwedzkie słowa. Podobno nie macie ich zbyt wiele.

28.

- Powiadomisz krewnych? - zapytał Craig. Winter powiedział, że powiadomi. To była część jego pracy, aż za duża. Do tego nie przygotowywali, kształcąc do służby w policji. A potem wpadało się w rutynę, aż za bardzo.

Zadzwoił na komórkę Johanny, ale zgłosiła się poczta. A takich wiadomości się nie nagrywa.

Zerknął na zegarek i sprawdził rozkład połączeń na południowe szkiery. I znów spojrzął na zegarek. Jeśli dojedzie do Oskarsleden, przekraczając dozwoloną prędkość, zdąży na prom o dziesiątej dwadzieścia.

Winter stał na pokładzie. Wiatr rozwiewał mu włosy. Na skałach za portem ktoś łowił ryby. Wędkarz wiedział, co i jak. Mewy krążyły, zataczając koła i skrzecząc do niego zachęcająco. Miał na głowie czapkę ze sporym daszkiem. Miał go chronić przed odchodami mew, które czasem leciały z nieba jak śnieg.

Prom sunął po wodzie. Na pokładzie nie można było kupić kawy O tej porze dnia i roku na wyspy zmierzało niewielu pasażerów. Dwa miesiące wcześniej nie można było dostać biletu. Promy chybały się na wodzie niczym przeciążone pasażerskie dżonki na Rzece Żółtej. Wszędzie opalone ręce i nogi, dzieci, wózki. Latem zeszłego roku chcieli z Angela i Elsą popłynąć na Vrångö. Uciekli z pokładu już na Brännö Rödsten. Za dużo ludzi ogarniętych słoneczno-morsko-słono-piaskowym szaleństwem, które dopada mieszczuchów, kiedy słońce świeci w najlepsze.

Szaleństwo. Winter próbował odgarnąć wpadające mu do oczu włosy Myślał o czymś, co mu powiedział Erik Osvald na Donsö.

Choroba wściekłych krów zawsze się przydaje, stwierdził. Patrzył na to z punktu widzenia rybaka. Cieszymy się, jeśli w telewizji w regularnych odstępach pojawia się jedna czy druga szalona krowa.

Prom płynął prosto na Köpstadsö. Gdy przemierzali cieśninę, wiatr wiał mocniej, jakby pogoda się zmieniała.

Winter widział ciemne chmury nadciągające z drugiej półkuli i zbierające się na zachodzie.

Gdzieś tam, na morzu, Erik Oswald wraz z trzyosobową załogą nie ustają w poszukiwaniu ryb. Próbują wykorzystać limity połowów do oporu.

Można się poczuć niezależnym, powiedział wtedy Oswald. No, może nie od straży granicznej. To był żart, ale było w nim ziarno prawdy. Niezależność. Bo jeśli nie ma poczucia niezależności, to to wszystko nie ma sensu, dodał.

Takie życie na pewno zmienia człowieka. Dwadzieścia pięć lat na Morzu Północnym, przez całą dobę, cały rok. To oznacza wolność. I samotność.

Niezbyt nowoczesny sposób na życie.

Ale my, szwedzcy rybacy, przez tydzień jesteśmy na morzu, a przez tydzień w domu. Już chyba tylko Szwedzi trzymają się tego systemu. A przez to zarabiamy mniej niż Duńczycy, Szkoci czy Norwegowie.

Erik mówił też o przeszłości.

Mój ojciec wypływał w poniedziałek rano i wracał w sobotę rano.

Żył na morzu, dopóki się nie zmęczył. Potem siedział na lądzie, słuchając prognoz pogody, kiedy syn był na morzu.

Axel Oswald. Jeśli to właśnie jego znaleźli ludzie Craiga, to spotkała go dziwna i tragiczna śmierć. Dziwnie tragiczna. Sam, nagi, na brzegu jakiegoś żałosnego jeziora w pobliżu dużego jeziora. Na górzystym lądzie, całe mile od morza.

Co tam robił? Jak się tam znalazł? Gdzie błądziły jego myśli, kiedy on sam zabłąkał się wśród wzgórz i niezbyt przyjaznej przyrody? Winter nigdy nie był w Fort Augustus, ale był w stanie sobie wyobrazić, jak wyglądała okolica.

Dlaczego do tego doszło? Dlaczego - i to dlaczego przez wielkie D, jak się wyraził Craig.

Między Styrös Skäret i Donsö morze było spokojne. Winter nie mógł nigdzie dostrzec nowoczesnego trawlera Oswalda, niebieskiej „Magdaleny”. Wypłynęła na kolejny tydzień na zachód od Stavanger i na wschód od Aberdeen. Wyruszyła na poszukiwanie dorszy i łupaczy. Za sześć dni zawiną do

Hanstholm, a po południu pojedą do domu z wypłatą w rękę. Ale Erik Oswald będzie musiał wrócić wcześniej i to on, Winter, ma dostarczyć wiadomość, która ściągnie rybaka na ląd. Ale właściwie jak on wróci? Czy będzie go musiał zgarnąć helikopter? Czy od razu weźmie kurs na Szkocję, na zatokę Moray Firth i wejście do portu w Inverness? Przepłynie przez kanał, który dochodzi do rzeki Ness, i dalej do Loch Ness, i tak dopłynie do Fort Augustus? Nie, nie przeprawi się tym monstrualnym trawlerem. Nie, bo jego ojciec leży już w kostnicy w Inverness. Może po prostu rzucić kotwicę w porcie.

Prom się zatrzymał. Winter zszedł na ląd. Według rozkładu była dziesiąta pięćdziesiąt pięć. Na nabrzeżu nie było nikogo. W pobliżu cumowało kilka starych trawlerów. Winter się zastanawiał, czy któryś z nich nie należał do Axela Oswalda. A może któryś pamiętał jeszcze czasy Johna Oswalda?

John Oswald zarazem istniał i nie istniał. Jak wszyscy, którzy zaginęli i nigdy się nie odnaleźli. Ich dusze, ale i ich bliscy nigdy nie zaznają spokoju.

A jeśli on nie zginął? Jeśli John Oswald żyje? Ci, którzy zostali, którzy zostali tutaj, czy powinni po nim rozpacząć?

Winter zapytał spotkaną przed sklepem kobietę o drogę do szkoły. Wskazała mu ją, robiąc ręką łuk w powietrzu. Ruszył wąską uliczką.

Bez chodnika. Czuł zapach morza i wsłuchiwał się w tę dziwną ciszę, jaka powstaje z przestrzeni rozciągającej się we wszystkie strony. Tutaj, między domami, wiatr zanikł, jakby go w ogóle nie było. Chmury też zniknęły. Niebo było nieskazitelnie błękitne. Czuł na twarzy ciepłe promienie.

Na szkolnym boisku było pełno dzieci, więcej, niżby się spodziewał. Słyszał wrzaski, ale nie umiał rozróżnić słów. Pod jego nogi potoczyła się piłka, podał ją z powrotem. Przeleciała ponad bramką i ogrodzeniem i zniknęła w krzakach.

- No nie, no - powiedział chłopak wyglądający jak miniatura rybaka.

Pozostałe dzieci spojrzały najpierw na Wintera, a potem na skały. Zrozumiał. Zszedł z boiska, okrążył siatkę i zanurkował w

zarośla. Piłki nie było. Szukał w trawie i innym dziwnym zielsku. Może to były wysuszone wodorosty. Z prawej zobaczył dziurę, jakby grotę. Zajrzał do niej, ale piłki nie było widać. Ruszył na czworakach. Wreszcie wyczuł piłkę, zanim ją zobaczył, i zaczął się wyczołgiwać. Garnitur zaprotestował, zatrzeszczał w szwach. Winter wyprostował się z piłką w rękę. Prawdziwy gest triumfu. Stały nad nim wszystkie dzieci, biły mu brawo. Rzucił im piłkę. Złapał ją mały rybak. Dzieci odwróciły się nagle, kiedy rozległ się kobiecy głos.

- A co wy tam robicie? Nie słyszeliście dzwonka?

Winter zobaczył, jak podchodzi do skraju skał i zerka w dół.

- Cześć.

- Cześć - odpowiedziała Johanna Osvald, chichocząc.

Winter nie mógł się nie uśmiechnąć. Ale nie chciał się śmiać. Przecież przynosił taką wiadomość.

- To naprawdę on? - zapytała. Siedzieli w jej niewielkim gabinecie. Na biurku stał duży szary mac, starsza wersja. Wszędzie wałały się papiery. Było ich więcej niż w jego pokoju w komendzie. Przez okno widać było skały, wśród których przed chwilą szukał piłki. Ona też musiała go widzieć. Jego albo dzieci, które ustawiły się w rzędzie, żeby się przyglądać dziwakowi z kontynentu. Ot, chwila przerwy w życiu wyspiarzy

Na ścianach po obu stronach okna wisiały dziecięce rysunki. Przez chwilę się zastanawiał, jak to jest spędzać całe dnie z dziećmi, jeśli się nie ma własnych. Może powrót do domu to powrót do wolności i ciszy. Można je celebrować.

Opowiedział wszystko szybko, ale nie na tyle, żeby ta chwila straciła swoją wagę. Ostrożnie dobierał słowa.

- To może być nieporozumienie - powiedziała Johanna.

Przytaknął w milczeniu.

- Ty też tak sądzisz?

- Ja nic nie wiem. Nic ponad to, co ci powiedziałem. Ale policjanci z Inverness znaleźli też zdjęcie...

- Wiem, mówiłeś, ale czy tak łatwo kogoś rozpoznać ze zdjęcia? Porównać je z mar... martwym człowiekiem -

powiedziała i ukryła twarz w dłoniach.

Winter spojrział na własne ręce. Co powinienem z nimi zrobić? Czy mam ją przytulić?

Pochylił się do przodu i chwycił ją za ramię. Miała na sobie bluzkę bez rękawów. Zadrżała. Winter wstał i wziął sweter, który wisiał na oparciu krzesła. Zarzucił jej go na plecy.

Zdjęcie. Zwłoki. On się już na nie w życiu napatrzył. Johanna miała rację. Między żyjącymi a martwymi trudno się doszukać podobieństw. Oczy, które patrzą, i takie, które nic już nie widzą. Pozornie są do siebie podobne, ale tak naprawdę zupełnie inne. Wszystko to widział, żywe twarze młodych dziewczyn i chłopaków uśmiechające się z półek w domach, które nagle zrujnowała niedająca się opisać zbrodnia. Które wypełniła mająca trwać wiecznie cisza. Nic niewarta cisza. Cisza, której nie da się celebrować. Ta sama twarz, a jednak pozbawiona życia. Nie dam rady, myślał za każdym razem, kiedy był w takim domu. To już ostatni raz.

A potem zawsze następował kolejny ostatni raz.

I tak będzie do końca życia. Wiedział o tym. Tak będzie całą wieczność. Nie. Życie nie jest wiecznością, to śmierć jest wiecznością. Życie to przerwa między wypełnionymi ciszą wiecznościami. Dla wielu ludzi była to tylko krótka przerwa, wiedział o tym, bo był przy nich, chwilę po tym, jak wracali do wieczności.

I jeszcze zdjęcia zmarłych. Na jego biurku nigdy ich nie brakowało. Co za cholerna robota: zdjęcia martwych ludzi na biurku. Strzaskana szczeka, puste oczodoły, dziura zamiast ust. Ślady duszenia niczym tatuaż na szyi.

I ci niezdeformowani. Wyglądali, jakby zasnęli. Czasami takie zdjęcia były najgorsze.

Wkładał je pod inne zdjęcia, pod te przedstawiające domy, ulice, samochody, skały, cokolwiek. Albo pod wypełnione słowami dokumenty. Słowa aż tak nie raziły, nie na metr.

Usłyszał głosy dzieci. Wrzeszczały i śmiały się. Niektóre było widać przez okno. Kolejna przerwa. Czterdzieści pięć minut upłynęło szybko. Johanna podniosła wzrok.

- Muszę tam jechać - powiedziała. - Jest tylko jeden sposób na to, żeby się dowiedzieć, czy to... tata.

Winter skinął głową.

- Na pewno na mnie czekają.

- Czy ktoś może z tobą jechać?

Spojrzała na niego. Czyżby chodziło jej o to, że... nie, chyba nie. To była jej sprawa, sprawa jej rodziny. Nie było morderstwa, śladów, obłego narzędzia, którym zadano cios.

Ale było pytanie: dlaczego? Towarzyszyło mu w drodze tutaj, na promie, a wcześniej w samochodzie, podczas rozmowy z Craigiem i teraz, podczas rozmowy z Johanną. DLACZEGO?

- Gdzie jest Erik? - zapytał.

- Nie wiem dokładnie. Ale postaram się tam dolecieć tak szybko jak się da. Może jeszcze dziś.

- Mogę ci pomóc - powiedział, sięgając po stojący na biurku telefon.

Udało się. Następny prom odpływał o jedenastej czterdzieści, ale później mogłaby nie zdążyć na samolot z Landvetter na Heathrow, a tam miała się przesiąść.

- Właśnie w takich sytuacjach okazuje się, że niedobrze jest mieszkać na wyspie - powiedziała, kiedy zatelefonowała dwa razy.

Akurat teraz nikt nie mógł po nią przyjechać do Saltholmen. Ale na łódź można się było dostać inaczej. Winter zadzwonił do centrali. Przełączono go do oddziału policji wodnej przy Nya Varvet.

- Nasza łódź patrolowa jest właśnie niedaleko Vargö - powiedział policjant. - I tak nie mają co robić.

- Jesteś pewna, że chcesz jechać od razu? - zapytał Winter, wciąż ze słuchawką w dłoni.

Pokiwała głową w biegu. Już się zerwała, żeby zdążyć wpaść do domu i wrzucić rzeczy do walizki.

Na łodzi Winter zapytał ją o Axela Osvalda. Płynęli szybko. Winter nie wiedział, że można rozwijać taką prędkość tak

blisko brzegu. Syreny nie były włączone, ale szybkość i pierwszeństwo były dla policjantów czymś oczywistym.

- To nie był pierwszy raz, kiedy pojechał do Szkocji szukać ojca, twojego dziadka - powiedział.

- Nie, mówiłam ci już.

- A co mówił o tych poprzednich podróżach?

- Mówił niewiele, prawie nic.

- Dlaczego?

- Tata nie był zbyt rozmownym człowiekiem.

Winter zauważył, że mówi o ojcu w czasie przeszłym. Chyba sama

nie zdawała sobie z tego sprawy. Często był świadkiem takich sytuacji. Może w ten sposób psychika przygotowuje się na najgorsze. Na coś, co jeszcze nie jest stuprocentowo pewne. Może już teraz zaczynała sobie radzić z żalem.

Sam to przeżył kilka lat temu, w samolocie do Marbelli. Ojciec był chory, a on, choć jeszcze nie wiedział nic pewnego, wiedział.

- Ale jeśli już coś mówił, to co? Chyba pytałaś?

Johanna patrzyła na wyspy, wysepki i szkiery Odwróciła się, jakby chciała sprawdzić, czy to na pewno Brännö albo Asperö. To właśnie był jej świat. Winter też się rozejrzył. Wszystko tu znała, całą tę wodę. To nie centrum Göteborga leży przy morzu. To te wyspy leżą przy nim, czy raczej na nim.

- Był tam tylko dwa razy - powiedziała. - To znaczy, nie licząc tego.

Czekał. Wpływali już do portu. Już widział budynki stoczni i szkołę medyczną mieszczącą się w dawnych, przerobionych koszarach. Wszystko tutaj przerobiono. Znał wszystko, co znajdowało się przy wejściu do portu, również te odmienione fasady. Setki razy jeździł tędy rowerem - kiedy był nastolatkiem, ale i później. Czasem chodził tam z Angela i z Elsa. Mieli tam dobrą restaurację na świeżym powietrzu, o której mało kto wiedział, co było dodatkową zaletą. Dwadzieścia metrów do wody, piwo, kilka dań z ryb. Co roku pojawiał się w karcie indyk z różną.

- Kiedy był tam ostatnio? - zapytał.

- Dawno. Co najmniej dziesięć lat temu.
- Dlaczego wtedy pojechał?

Johanna spojrzała na niego.

- Właściwie to nie wiem.

Radiowóz czekał na nabrzeżu. Wszystko poszło o wiele szybciej, niż gdyby popłynęli do Saltholmen. Stamtąd Winter musiałby jechać wąską drogą przez Långedrag.

- Zdażę? - zapytała Johanna, wsiadając do samochodu.
- Tak - odpowiedział i dał znak kierowcy, inspektorowi Moreliusowi. Znajomemu sprzed lat.
- Czy to w porządku? - zapytała.
- Co?
- Skorzystać z policyjnej łodzi i radiowozu, żeby zdażyć na samolot.
- Tak.

Morelius odpalił silnik.

- Zadzwoń, jak doleczysz - poprosił Winter. - I kiedy już będzie po... identyfikacji.

Skinęła głową.

- Znajomy policjant z Inverness, Craig, wyjdzie po ciebie na lotnisko albo wyśle samochód.

Znów pokiwała głową. Morelius ruszył w stronę prowadzącej na wschód autostrady. Winter kolejny raz zerknął na zegarek. Powinna zdażyć. To była szybka akcja. Właściwie mogła zaczekać jeden dzień, ale on też chciał mieć pewność. Chciał wiedzieć, a nie wiedział. Czuł, że to go wciąga. Nie mógł przestać myśleć o Axelu Osvaldzie. Ani o Johnie. Było w tej historii coś... coś, czego chciał się dowiedzieć, czego chciał się doszukać.

Jakaś zagadka.

- My musimy już wracać - powiedział policjant z łodzi. - Możemy cię podrzucić do Saltholmen.

Podczas tej krótkiej przeprawy do przystani stał na pokładzie.

Kiedy wracał samochodem do miasta, wciąż się zastanawiał.

Zagadka. Jest w tym jakaś zagadka. Kiedyś stało się coś, co

wywołało to, co dzieje się teraz. Nie ma czegoś takiego jak przypadek. Musiał być jakiś powód, dla którego Axela Osvalda znaleziono właśnie tam. I powód, dla którego umarł. Ktoś lub coś doprowadziło do jego śmierci. Nie sądzę, żeby to było poczucie niezależności. A może? Może w pewnym sensie?

Zjedli kolację. Halders ugotował kaszę manną. Najpierw prosiła go o to Magda, potem Hannes.

- W życiu nie jadłam kaszy manny - powiedziała Aneta.

Wszystko na talerzu było białe: kasza, mleko, cukier. Sam talerz też. Gdyby nie słyszała, jak Magda go prosiła, pomyślałaby, że to jego kolejny żart.

- Na pewno jadłaś! - Magda była zdziwiona.

- Nie. Naprawdę nie jadłam.

- Ale właśnie zjadłaś! Widziałam, jak brałaś łyżkę do buzi.

- No tak. Ale nigdy wcześniej nie jadłam.

- To jaką kaszkę jadło się u ciebie w domu, kiedy byłaś dzieckiem? - zapytała Magda.

Jej starszy brat wyglądał na zakłopotanego. Przecież to jej sprawa, zdawał się myśleć. Robi się coraz bardziej podobny do Fredrika, pomyślała Aneta. Zamaszyste gesty, bezkompromisowe spojrzenie. Ale Hannes był spokojniejszy. Nie gorączkował się tak. Nie mówił więcej, niż musiał. Zamykał się w swoim pokoju. Myślał. O mamie. Fredrik się o niego niepokoił.

- Płatki owsiane - powiedziała Aneta.

- Kaszę jaglaną - powiedział w tej samej chwili Halders.

- A co to jest?

- Kasza z prosa, które jest popularne w Afryce - wyjaśniła Aneta. - Właściwie wygląda jak trawa.

- Ale ty przecież nie byłaś w Afryce? - dopytywała się Magda.

- Daj spokój - wtrącił się Hannes.

- Byłam, ale jak wiesz, urodziłam się tutaj.

- I jedliście kaszę jaglaną? - zapytał Halders.

- Mama jej nie cierpiała.

Halders dołożył jej białego kleiku.

- To właśnie dlatego mama i tata wyjechali z Afryki - powiedziała Aneta.
- Naprawdę? - zapytał Hannes.
- Nie - odpowiedziała Aneta, uśmiechając się do niego. - To tylko żart.
- To dlaczego wyjechali? - zapytała Magda.
- W przeciwnym razie trafiliby do więzienia.
- A dlaczego? Zrobili coś złego?
- Nie.

Halders przyniósł dzbanek z herbatą. Siedzieli w salonie. Zmienił się, odkąd Halders wprowadził się tutaj po śmierci byłej żony. Nie była to duża zmiana, ale wyglądał inaczej.

Dzieci grały w kości w pokoju Hannesa. Słyszeli, jak piszczały, kiedy któreś trafiło podwójną liczbę punktów.

- No i musiałaś opowiedzieć o trudnej przeszłości Burkina Faso - powiedział Halders.

- Uważasz, że to źle?
- Przeciwnie.

Everly Brothers zanosili się płaczem, kawałek za kawałkiem, ale oczywiście tak, żeby nie było tego widać. *Crying in the rain. I never let you see.* Zaczęło się od nowa, kolejna porcja zawodów. *Bye bye love, bye bye happiness, hello loneliness, I think I'm gonna cry.*

- Ten kawałek ma tyle lat co ja - powiedział Halders. - Jest z 1957 roku.

I'm through with romance, I'm through with love, I'm through with counting stars the stars above.

- Dobry tekst - zauważyła Aneta.
- Prawda?
- Może trochę zbyt dosłowny.
- Może.
- Są chyba słabsi od Roya Orbisona - powiedziała Aneta. - Jeśli chodzi o poziom smutku.

- Roy Orbison nie jest smutny.
- No to chyba inaczej rozumiemy smutek.

Halders napił się herbaty. Wsłuchał się w muzykę. *All I have*

to do is dream.

- Jeśli się chce, to wszystko można sobie przelożyć na teksty piosenek - powiedział.
- Jeśli chodzi o tych kolesi, to nie dają zbyt wielkiego wyboru. Ewidentnie śpiewają o miłości, która się skończyła.
- *So sad to watch good love go bad.*
- No, mniej więcej.
- To jeden z ich najlepszych kawałków
- No proszę. To chyba dobry przykład.

Wróciła do domu późno. Fredrik prosił, żeby została, ale chciała się obudzić u siebie. Czasami tak chciała.

Fredrikowi było smutno. Naprawdę smutno. Nie chciał tego okazywać, ale zauważyła. Nie mógł wyjść i płakać w deszczu, jak bracia z piosenki, bo akurat nie padało.

- Chodzi o Hannesa - powiedział. - Cholera wie, jak to się skończy.

Ale oczywiście nie chodziło tylko o Hannesa ani o Magdę, ani o niego samego. Wszyscy oni po prostu wiedzieli, że już nic nie będzie takie samo. Że nie będzie już mamy, a potem, kiedy dorosną i założą rodziny, nie będzie babci. Będzie tylko dziadek Fredrik. Może. Już nigdy nie będzie jak kiedyś... ale może będzie lepiej niż teraz. Będzie tak dobrze, jak będzie mogło być.

Fredrik nic nie powiedział. Nie było poważnych, pełnych pasji słów. Ale oboje wiedzieli. Aneta musiała pomyśleć. Czuli się, jakby nigdy wcześniej nie miała czasu na rozważenie tego. Wszystko inne udawało jej się przemyśleć, tego nie.

Muszę się zastanowić.

Pojechać z Fredrikiem do jego ukochanego Wagadugu. Tak po prostu. Dać mu szansę zobaczyć miasto, które go tak bardzo fascynowało. Wagadugu FC. Dobry Boże. Tydzień w Burkina Faso i zobaczymy, jakim jesteś twardzielem, inspektorze Halders.

Zaśmiała się w samochodzie, krótko, impulsywnie.

Zjechała z Allén i skręciła w Sprängkullsgatan. Przed wejściem do kina Capitol stali ci, którzy wyszli z ostatniego seansu. Właśnie się rozpadało, więc chowali się przed

deszczem. To znaczy, że nie było jeszcze tak późno. Wszyscy mieli błękitne twarze, ciemnobłękitne od nocy i od neonów. Wyglądali jak mieszkańcy Wagadugu wychodzący z jednego z wielu kin w mieście. Przynajmniej kina tam mamy. Chwila, co pomyślałam?! My.

Zaparkowała na Sveavägen. Tęsknię za Wagadugu? Czy to właśnie tęsknota mnie dopada? Czy w końcu przyciągnie mnie Afryka, w której nawet się nie urodziłam? Moja Afryka. Moja, bo zawsze musi tak być? To tam czeka mój rytm.

Czy Fredrik będzie chciał tam ze mną zamieszkać? Znow się uśmiechnęła. Fredrik Halders, szef okręgowego wydziału śledczego w Wagadugu. Kusząca wizja. Kapitan drużyny policyjnej, ale tylko na dwie minuty. Burkina Faso ma dobrą reprezentację futbolową. Tyle wiedziała, choć o sporcie nie miała pojęcia.

Kiedy zamykała drzwi, z tyłu zobaczyła coś, czego nie powinno tam być.

Odwróciła się szybko i zobaczyła błysk światła. Jakiś samochód ruszył gwałtownie i pojechał na północ. Nie zdążyła zobaczyć numerów, marki też nie rozpoznała.

Widziała, jak postać siedząca w aucie się oddala. Kobieta albo mężczyzna. Szybki odjazd. *Bye bye love.*

Ale kiedy zamykała za sobą drzwi, uśmiech zniknął z jej twarzy.

29.

Winter zadzwonił z samochodu. Möllerström przełączył go do Ringmara, który właśnie siedział nad sprawą zabójstwa w Kärra. Otwartą i zamkniętą. Ta okropna, niekończąca się papierkowa robota będąca następstwem czegoś, co trwało ułamek sekundy. W tym nie ma żadnych tajemnic i zagadek. Jeden pijak zabił drugiego pijaka. Sprawca po wytrzeźwieniu nie pamięta, o co poszło. Nie pamięta bójki ani zabójstwa.

- Co powiesz na piwo na mieście? - zapytał Ringmar.
- Widzimy się u Eckerberga za dwadzieścia minut.
- Będą jeszcze mieli kanapki z krewetkami? - zapytał Ringmar. - Uwielbiam ich kanapki z krewetkami.
- Gdyby nie mieli, będą musieli dorobić - stwierdził Winter.

Kiedy Winter znalazł się na miejscu, okazało się, że została tylko jedna kanapka z krewetkami. Dorobili jedną dla niego.

- Proszę o dwa razy większą niż ta tutaj - powiedział, wskazując na lodówkę przy kasie. - Dopłacę.

- Twoja jest większa - zauważył Ringmar, kiedy usiedli przy stoliku.

- Ja nie jadłem lunchu.

- Cholernie dziwne - powiedział Ringmar, dokładnie porównując kanapki. - Bufetowa chyba ma problem z widzeniem w trójwymiarze. - Obrócił talerz, jakby sprawdzał, czy kanapka nie jest większa z drugiej strony. - Daj spokój. Przecież w twojej jest ze trzydzieści deko

krewetek więcej. No i średnica twojej przekra...

- Ja na twoim miejscu tak bym tego nie zostawił. Przecież to ty płaciłeś. - Winter zjadł kolejną krewetkę. - To niesprawiedliwe.

Rzeczywiście, tym razem płacił Ringmar. Wypadła jego kolej.

Dyskretnie podniósł rękę, żeby przywołać kelnerkę. W końcu Winter musiał mu powiedzieć, jak było.

- Kiedy zadzwoni? - zapytał Ringmar, kiedy talerze były puste. Winter opowiedział, co się stało przed południem.
- Zdaży dolecieć dzisiaj czy musi przenocować w Londynie?
- Powinna tam być o szóstej czasu lokalnego, jeśli przesiadka na Heathrow się uda. - Winter zerknął na zegarek.
- Czyli o siódmej naszego.
- Rozmawiałeś z Macdonaldem?
- Nie, a powinienem?
- Cóż, zanim zdaży wykorzystać zbyt dużo swoich starych kontakt...
- Ten Craig pewnie już go zawiadomił. Mówił, że da mu znać.
- Hm...
- Proszę?
- Hm... - powtórzył Ringmar.
- O co chodzi, Bertil?
- To dziwna historia... sam nie wiem... wyczuwam tu jakąś zbrodnię. - Ringmar przechylił szklanę. Wypił ostatni łyk wody mineralnej i odstawił ją na stół. - Przecież była ta wiadomość o ojcu, tym Johnie Osvaldzie. Komuś ze Szkocji, może komuś z Inverness albo z okolic, zależy na tym, żeby wstrząsnąć rodziną w Szwecji. - Ringmar przejechał palcem po krawędzi szklanki i podniósł wzrok. - Axel Osvald wyjeżdża, jak tylko dostaje wiadomość. Na nic nie czeka. Więc może zobaczył w tej wiadomości coś, czego my nie widzimy. Coś rozpoznał.
- Albo może przyszło do niego coś jeszcze, coś, o czym nie wiemy. Jakieś inne wiadomości. Równocześnie z tą.
- No tak.
- Był tam już kiedyś.
- Może wiedział, kto napisał to zdanie, że nic nie jest takie, jak się wydaje.
- Albo się domyślał.
- Ale te poprzednie podróże nie przyniosły żadnego skutku.
- Tego nie wiemy.
- Właściwie nikt nie wie.
- No, nie do końca - przyznał Winter.
- On sam. Axel Osvald.

- No tak. Może.

Ringmar zdecydował się na jeszcze jedną filiżankę kawy. Wstał i podszedł do ładnego drewnianego stolika. Na podgrzewaczu stał dzbanek. Minutę wcześniej widział, że przynieśli świeżo zaparzoną kawę.

Winter odprowadził go wzrokiem. Nikt nie pił tyle kawy co Bertil i nikt nie miał na koncie tylu litrów przeróżnych trujących mikstur. Były nieodłączną częścią ich pracy. Bez względu na okoliczności ludzie zawsze proponowali im kawę. Nawet wiejscy listonosze nie dostawali tylu zaproszeń. A czasem zawartość filiżanki trzeba było wyjadać łyżką. Bertil nawet wtedy potrafił poprosić o więcej.

Wrócił i usiadł.

- Wygląda na to, że Axel Osvald był niezłym wariatem - powiedział.

Winter wzruszył ramionami.

- A nie? - zapytał Ringmar.

- Tak, o ile wyjdziemy z założenia, że sam ściągnął ciuchy, jeden po drugim, wspinając się przy tym na wzgórze.

- Przecież według ludzi, tych z miasteczka czy co to tam jest, zachowywał się dziwnie.

- Ale właściwie od kogo to wiemy?

- A nie ma świadków?

- A od kiedy to wierzysz w zeznania świadków, Bertil?

- Mam nadzieję, że nikt tego nie słyszy.

- Może uznali go za dziwaka, ale przecież powodem mógł być język. Jak się kogoś nie rozumie, to ten ktoś wydaje się dziwny.

- No tak, masz rację. Zwłaszcza z Angolami tak jest. Czy nie jest tak, że oni wszystkich, dla których angielski nie jest ojczystym językiem, traktują jak dziwaków? To chyba właśnie jest angielskie podejście, nie?

Winter się uśmiechnął.

- Ale tutaj mamy do czynienia ze Szkotami.

- No i?

- Im bliżej do nas, Skandynawów.

- Axelowi Osvaldowi jakoś to nie pomogło się z nimi

porozumieć - stwierdził Ringmar.

- No nie, racja.
- A na pewno próbował powiedzieć coś, co nie było dziwne.
- Ale mógł sprawiać dziwne wrażenie.
- Dlaczego?
- Może za dużo wypił?
- Pytałeś jego córkę, jak u niego było z alkoholem?
- Nie.
- Myślisz, że był pijany?
- Według Craiga i jego świadków nie. Pytałem go o to. -

Winter pochylił się do przodu. - Ale sekcja zwłok wykaże, ile miał alkoholu we krwi.

- Może był pod wpływem jakichś środków?
- Jakich?
- Narkotyków. Jakiejś trucizny.
- Ale chodzi ci o to, że ktoś mógł mu coś podać bez jego

wiedzy?

- Tak. Ktoś mógł czegoś dosypać do piwa albo do jedzenia.

Nie wiem.

- Mam poprosić ich patologa, żeby to sprawdził? Może zresztą już to zrobił.

- Nie wiem, Erik. Może za bardzo nas poniosło.

- A to nie na tym polega nasza metoda?

- Na tym.

- To na czym stanęliśmy? Na alkoholu i narkotykach. Coś jeszcze?

- Strach - powiedział Ringmar.
- Strach przed czym?
- Przed czymś, co zobaczył.
- Może przed czymś, co usłyszał?
- Nie. Przed czymś, co zobaczył.
- A co zobaczył?
- Swojego ojca.
- I bałby się w takiej sytuacji?
- To zależy.
- Od czego?
- Kim jest jego ojciec.

- Kim jest? A nie od tego, jaki jest?
 - Kim jest. Kim się stał.
 - Aha.
 - Albo kim był od zawsze.
 - Hm...
 - To ma związek z przeszłością - stwierdził Ringmar.
 - Chyba zawsze tak jest, nie?
 - Ale tutaj szczególnie.
 - Jak to?
 - To, co się przydarzyło jego ojcu, wiąże się z tym, co się stało nad tym jeziorem od potwora.
 - Jak to? - powtórzył Winter.
 - On się dowiedział - wyjaśnił Ringmar. - W końcu się dowiedział, co się stało.
 - I dlatego zginął?
 - W pewnym sensie tak.
 - On w ogóle nie pamiętał ojca - powiedział Winter. - Miał tylko półtora roku, kiedy widział go ostatni raz.
 - A to ma znaczenie?
 - Nie wiem, Bertil.
 - Są inni, tacy, którzy go pamiętają. Johna Osvalda.
 - Tak i nie - odparł Winter.
 - Co masz na myśli?
 - Jedyne człowiek, który przeżył tę wojenną tragedię... czy raczej jedyny, o którym wiadomo, że przeżył, to Arne Algotsson. Ale on ma demencję.
 - Spotkałeś się z nim? - zapytał Ringmar.
 - Nie - odparł Winter.
- Ringmar spojrział na niego.
- Nie miałem po co. - Winter odwzajemnił jego spojrzenie. - Pytanie tylko, czy teraz mam.
 - A kto powiedział, że Algotsson ma demencję i że jest zniedołężniały?
 - Johanna Osvald. I jej brat. - Winter znów popatrzył na Ringmara. - Myślisz, że by skłamali?
 - Nic nie myślę. Po prostu zastanawiam się, czy postawili właściwą diagnozę. Czy w ogóle ktokolwiek postawił mu dobrą

diagnozę.

- Chodzi ci o to, że Algotsson udaje?
- O nic mi nie chodzi. Ale może nie zaszkodzi zamienić parę słów ze starym rybakim. Albo przynajmniej spróbować.

Winter przytaknął.

- O ile w ogóle jest po co, jak sam zaznaczyłeś - dodał Ringmar.

- Samo to, że siedzimy tu i stosujemy naszą metodę tak, jakby to było śledztwo, sprawia, że to w pewnym sensie jest sprawa wymagająca śledztwa - odpowiedział Winter.

- To co robimy?

- Spróbujemy zamienić parę słów.

- Z tym słonym staruszkim.

- Aha.

- A potem?

- Zobaczymy, na ile sprawa nadal jest zagadkowa.

- A córka syna zadzwoni dziś wieczorem. Od tego będzie zależeć cała reszta.

- Chyba wiem, co powie - stwierdził Winter.

Halders i Aneta szli razem na popołudniową zmianę. Kiedy jechali windą, Halders przetaił oczy.

- Jesteś zmęczony?

- Siedziałem jeszcze po tym, jak wyszłaś.

Nie odpowiedziała. Kiwnęła tylko głową. Patrzyła na jego odbicie w lustrze.

Jechali na dół. W windzie czymś śmierdziało.

- Musieli nią jechać ci z aresztu - stwierdził Halders, widząc jej minę. - Ich winda strajkuje.

- Nie dziwię się jej - odparła, marszcząc nos.

- Czy w Afryce są windy? - zapytał Halders, kiedy przechodzili obok recepcji.

- Tylko w hotelach.

Na placu przed komendą mocno wiało, jakby właśnie lądował helikopter. Aneta odruchowo spojrziała w górę. Zobaczyła tylko

bezbarwne niebo. Babie lato się skończyło. Teraz czekało ich siedem miesięcy ciemności, zimnych ciemności przeplatanych nielicznymi chwilami przyjemnego umiarkowanego chłodu. Taka jest cena życia w Skandynawii. Nie można mieć wszystkiego, wysokiego standardu życia i dobrego klimatu. A najgorzej jest w Göteborgu. Pół miliona nieszczęśników ma jak w banku półroczne cierpienie: wilgotny mrok, a do tego wiatr - jak obelga rzucana prosto w twarz. Jeśli jest się na to narażonym przez całe życie, przez pół życia z mozołem przemierza się miasto, do pracy i z powrotem. Może to już czas, żeby powiedzieć to, co Fredrik powiedział pewnego listopadowego wieczoru, jednego z najgorszych w zeszłym roku: Wagaługu, nadchodzę!

- Nie mogłem spać, więc siedziałem przed telewizorem - powiedział Halders.

Szli przez parking. Dwóch ludzi w czarnych czapkach wskoczyło do samochodu. Odjechał, zanim zdążyli zatrzaskać za sobą drzwi.

- Czy to nie były złodziejskie kominiarki? - zapytała Aneta.

- To grupa bojowa wydziału patrolowego.

- Aha.

- Nie widziałaś ich strojów ninja?

- Nie, ale wierzę ci na słowo.

- No i tak siedziałem przed telewizorem i wiesz, co zobaczyłem? Na Eurosporcie?

- Nie.

- Burkina Faso!

- Proszę?

- Widziałem dumną reprezentację Burkina Faso w piłce nożnej. Zremisowali zero do zera z Południową Afryką. Na mistrzostwach Afryki.

- Zero do zera? To kiepsko.

- Kiepsko? RPA jest najlepsza w Afryce. Razem z Nigerią i może z Kamerunem.

- Burkina Faso też jest dobre.

- A co ty możesz o tym wiedzieć? Przecież w ogóle się nie

znasz na sporcie. *Nadamente naday nada.*

- Ale tyle wiem - odparła Aneta. - Burkina ma świetną reprezentację w piłce nożnej.

- To podaj nazwisko jakiegoś piłkarza.

Stanęli przy samochodzie. Aneta schyliła się, żeby otworzyć drzwi od strony kierowcy. No i potrzebowała chwili do namysłu.

- Wystarczy jedno - rzucił Halders. Stał po drugiej stronie.

Aneta się wyprostowała.

- Lambou - powiedziała.

- Co?

- Lambou. Jeden z piłkarzy nazywa się Lambou. - Wskazała na samochód. - Wsiadasz czy nie?

Minęli Fattighusån. Woda w kanale była czarna. Wyglądała, jakby stała i zastanawiała się, w którą stronę popłynąć.

- Sprawdźmy - powiedział Halders, wyciągając nieduży notatnik. - Hm... nie.

- Co nie? Co to jest? - zapytała Aneta.

- Zapisalem skład drużyny. Nie ma tu żadnego Lambou.

- Pewnie jest kontuzjowany.

Halders zaczął czytać:

- Kambou. Sanou. Saifou, Barro, Quadrego, Dagano, Tassemebejo, Yameogo. - Odwrócił się do Anety. - Ściemniałaś, ale nie miałaś szczęścia. Na pewno w kraju są jacyś Lambou, ale w reprezentacji nie ma żadnego.

- Burkina Faso zajęło trzecie miejsce podczas ostatnich mistrzostw świata - powiedziała szybko Aneta.

- Czyżbyś desperacko próbowała odwrócić kota ogonem? - zapytał Halders. - I to w jaki sposób. Trzecie miejsce na mistrzostwach świata?!

- Ale to prawda. Rozmawiałam wtedy z tatą przez telefon. Powiedział mi. W zeszłym roku. To dopiero było coś dla Burkina Faso. Ludzie świętowali.

- Rozumiem, że chodzi o jakąś wygraną w lokalnych rozgrywkach. Ale jak prymitywnym trzeba być, żeby zmyślić, że się zdobyło brązowy medal na mistrzostwach świata, a potem

jeszcze to świętować?! - Halders się zaśmiał. - No to już naprawdę przesada. - Odwrócił się do Anety. Szwecja zdobyła brązowy medal w dziewięćdziesiątym czwartym. Pewnie ci się pomyliło.

- Ale to tata tak powiedział. - Poczula się zdołowana, naprawdę zdołowana. Ucieszyła się, że wie o sporcie więcej od niego, a on tak ją

zgasił. Cieszył ją sukces Burkina Faso. Beznadzieja.

- To pewnie mu się pomyliło - powiedział Halders.

- Tak, tak.

- Aneta?

Nie odpowiedziała.

- Chyba się nie obraziłaś?

- Owszem, obraziłam się.

- Daj spokój.

- Wiem, że tak było. Zapominamy o sprawie.

- Nie, nie zapominamy. - Halders wyciągnął komórkę. - Trzeba to wyjaśnić.

- Fredrik, to nie ma znaczenia.

- Czyżby?

Milczała. Jechali na północ. Minęli Olskroken, byli na Gamlastaden. Właściwie nie mieli czasu, żeby jechać tam, gdzie właśnie jechali, ale Aneta chciała sprawdzić jeszcze raz. Ostatni.

Halders wybrał numer. Potem czekał, aż go przełączą.

- Do kogo dzwonisz? - zapytała.

- Do znajomego z gazety sportowej. Jest wyrocznią w temacie piłki nożnej. - Połączyli go. - Cześć, Bergsten. Mam do ciebie krótkie pytanie. Tak, z piłki. No, spoko. Więc słuchaj, ha ha, czy Burkina Faso było trzecie na mistrzostwach świata? Ha, ha, ha. Co mówisz? Tak, Burkina Faso. Górna Wolta, zgadza się. Ale... aha... na Jamajce... jesteś pewien?... Aha, rozumiem. Dobra, Bergsten, wielkie dzięki. Nie, nie żartuję, serio. Na razie.

Rozłączył się i spojrzął na Anetę.

- Przez cały tydzień ja stawiam lunch - powiedział. -A co?

- Miałaś rację.

- Przecież mówiłam.
 - A niech mnie.
 - Chciałbyś się dowiedzieć czegoś więcej?
 - Teraz jesteś zadowolona, co?
 - No pewnie, że jestem. Burkina Faso trzecie na mistrzostwach świata!
 - Racja. Ale gwoli ścisłości - wiesz, na jakich mistrzostwach? Młodzieżowych, do lat siedemnastu. Inaczej mistrzostwa świata U-17 albo...
 - Mistrzostwa świata w piłce nożnej.
 - Jezu! Błogosławieni, którzy nic nie wiedzą.
 - Po prostu nie umiesz się przyznać do błędu. Chociaż próbujesz.
 - No dobra, dobra. Burkina Faso było trzecie na mistrzostwach świata U17.
 - Wiedziałam, wiedziałam!
 - Teraz ja też wiem.
 - Zawsze wiedziałam, że chłopaki mają potencjał.
 - Pytanie tylko jaki.
 - Co masz na myśli?
 - W Afryce drużyny mają pseudonimy. Pseudonim Burkina Faso to The Stallions.
 - No nie.
 - Tak. Ogiery.
 - Dosadny, ale fajny.
 - Fajnie, że ci się podoba.
 - Ogiery - powtórzyła z uśmiechem.
 - Czy to mówi cokolwiek o mężczyznach z twojego kraju?
 - Chyba już ci kiedyś wspominałam, że urodziłam się w szpitalu Ostra w Göteborgu. Niewiele wiem o mężczyznach z Burkina Faso.
 - Przecież tam byłaś.
 - I co z tego?
- Halders nie odpowiedział.
- Fredrik, jesteś zazdrosny?!
 - Tak, właśnie. Zazdrosny.
- Rzekłam, pomyślała Aneta.

30.

Minęli fabrykę łożysk kulkowych. Nad fasadami budynków unosiła się delikatna luna. Halders wpatrywał się w wielkie okna. Mógłby teraz być tam w środku, krążyć po hali, codziennie wchodzić i wychodzić. Może pisane mu było inne życie. Mógłby być sławnym albo nikomu nieznanym przywódcą związków zawodowych. Albo dyrektorem tego molocha. Mógł być wszystkim, tylko nie komisarzem. Dlaczego?

Dlaczego? - zapytała kiedyś Aneta, kiedy narzekał. A to dlaczego miało znaczyć: dlaczego właściwie ci na tym zależy? Pensja wcale nie jest dużo wyższa. Roboty też wcale nie jest mniej. Nie ma się większej władzy. Ma się, odparł. A niby jak można ją wykorzystywać? - chciała wiedzieć. Nie wiedział. Nie umiał odpowiedzieć.

Słaba luna unosiła się też nad Fastlagsgatan. Aneta przypuszczała, że pewnie są tam zakamarki, w które słońce nigdy nie zagląda.

Pod domem numer pięć stał pikap z logo Statoil. Udało im się zajrzeć do wnętrza, ale nikogo nie dostrzegli.

- Wprowadzają się czy wyprowadzają?

Z domu wyszedł dwudziestopięcioletni mężczyzna. Wskoczył na tył pikapa. Wyciągnął na krawędź bagażnika wiklinowy fotel. Zeskoczył i zaniósł go do domu.

- Wprowadzają się.

Po chwili chłopak wrócił i wniósł do środka kolejny mebel.

- Jak myślisz, które mieszkanie jest wolne?

- To, o którym myślisz - powiedział Halders, otwierając drzwi.

- Spokojnie. Nic nie możemy zrobić.

- Jesteśmy tylko obserwatorami z ramienia ONZ.

Kiedy weszli na klatkę, winda była na górze. Aneta się zawahała.

- I co, wejdziemy tam i powiemy: w mieszkaniu, do którego się państwo wprowadzają, popełniono niejedno przestępstwo? - powiedziała.

- No przecież nikt tu nikogo nie zamordował.
- Ale mógł.

Winda z wyciem zjechała na dół. Czekali. Drzwi się otworzyły i wysiadła młoda ciemnowłosa dziewczyna. Winda była pusta. Dziewczyna zastawiła drzwi krzesłem. Pomachała do kogoś, jakby go ponaglała, i wyszła na dwór przez otwarte na oścież drzwi. Wspięła się na pikapa.

Wróciła z pudłem. Wyglądało na ciężkie. Aneta i Halders wciąż stali przed windą.

- Jeśli mają państwo wolne ręce, może państwo to wezmą - powiedziała.

Halders wybuchnął śmiechem. Był w dobrym humorze. Aneta się nie odezwała. Dziewczyna z uśmiechem wrzuciła pudło do windy. Gdzieś już ją widziała. Kilka razy. Czekala w samochodzie pod komendą i zabierała któregoś ze zmęczonych komisarzy. Aneta знаła jego, a on ją.

- Moa, co tu robisz?

Kiedy prom wyruszył w rejs, Ringmar i Winter stali na rufie. Winter zapalił corpa, pierwszego tego dnia. Podzielił się tą wiadomością z Ringmarem. Ringmar mu pogratulował.

Zanim podjęli decyzję, wykonali dwa telefony. I teraz stali tu, gdzie stali, a słońce, które pokazało się niespodziewanie, wznosiło się nad wszystkimi skałami wystającymi ponad powierzchnię morza. Ale te widoczne wierzchołki stanowiły zaledwie niewielką, może dziesiątą ich część. Cała reszta kryła się pod wodą. To zupełnie jak z górami lodowymi. Oczywiście to były skały, nie lód, ale wyglądało to podobnie. Tak samo jest z dobrymi książkami. Ringmar zaczął się nad tym zastanawiać. Słowa są tylko wierzchnią warstwą. Reszta kryje się pod nimi. Takie są książki, ale też ich praca. Składają się na nią słowa, słowa, słowa. Wymawiane albo zapisywane. Wykrzykiwane. Wypowiadane w całości albo w połowie, urywane i przerywane. Wymuszane. Niedokończone zdania. Prawdy i kłamstwa, choć najczęściej nie ma to znaczenia. Bo większość i tak kryje się pod powierzchnią. Oni widzą jedynie wierzchołek prawdy lub

kłamstwa.

- Można by tu było mieszkać - powiedział Winter. - Nad miastem zawsze wiszą chmury, a tutaj niebo jest czyste. Zawsze.

- Przecież budujesz dom nad morzem.

Winter nie odpowiedział. Palił corpa.

- A nie? - Ringmar zmierzył go wzrokiem. - Chyba kupiłeś tę działkę?

- Hm...

- Hm? Nie jesteś pewien? Jeszcze nie podjęliście decyzji?

- Podjęliśmy.

- Cudownie jest słuchać młodych optymistów opowiadających o swojej przyszłości.

- Bertil, to naprawdę poważny krok.

- W jakim kierunku?

- W kierunku przedmieść. - Winter się uśmiechnął.

- Nie odwracaj kota ogonem. Jeśli nie umiesz się rozstać ze swoim mieszkaniem, to je zachowaj. Niektórzy dorośli przez całe życie trzymają lalki, misie i dziecięce kocyki.

- To nie jest najlepsze porównanie.

- A czy twoje mieszkanie nie jest takim kocykiem? Ja to tak nazywam.

- Dobrze wiedzieć. Zwłaszcza teraz, kiedy już za chwilę przechodzisz na emeryturę.

- Co masz na myśli?

- Wcześniejszą emeryturę - odparł Winter i delikatnie kopnął Ringmara w piszczel.

- Zostaw go, zostaw ten kocyk - powiedział Ringmar. - Wszystko ma swój czas. Pora iść dalej. - Wskazał na niebo. Robiło się coraz bardziej błękitne. - Chyba chciałbyś sobie pożyć w słońcu?

Winter spojrzał w górę, zmrużył oczy.

- No i masz rodzinę. A i ja, i ty wiemy, że Angela tego chce. I pomyśl, jak Elsie spodoba się życie nad morzem.

Prom płynął coraz szybciej, zmierzał ku Asperö Östra. Zobaczyli plażę, zatokę i domy, z prawej strony, za cieśniną. Asperä Norra, Brännö Rödsten. Życie nad morzem. Ma i jasne,

i ciemne strony.

Ale teraz wokół nich toczyło się życie na wyspach, a ono różniło się od tego na plaży na stałym lądzie.

- Zaczynaj kolejny etap. Wybuduj dom. Mogę ci pomóc, jak będziecie świętować zawieszenie wiechy. - Ringmar zadrżał od podmuchu wiatru. - Masz ochotę na kawę?

Musieli zapytać o drogę do domu Arnego Algotssona. Stał w jakiejś ukrytej uliczce. W przeciwieństwie do innych budynków, które mijali, nie wyblakł od słońca i soli. Pewnie dlatego, że fasada kryła się w cieniu.

Ringmar zapukał w ciężkie drzwi. Wyglądały, jakby się zapadały w ziemię. Jeśli ktoś ich wpuści, pewnie będą musieli przykucnąć, żeby wejść. Kobieta, która odebrała telefon, kiedy Ringmar dzwonił, niechętnie, ale jednak zgodziła się z nimi spotkać. Przynajmniej wtedy tak powiedziała. Nazywała się Ella Algotsson i była siostrą Arnego Algotssona. Od zawsze mieszkała na Donsö. Nigdy nie wyszła za mąż. Była już po osiemdziesiątce i zajmowała się bratem. Arne siedział w pokoju. Johanna Osvald mówiła, że nigdy nie wychodzi.

Ringmar zapukał jeszcze raz. Usłyszeli jakiś odgłos, jakby za drzwiami ktoś podnosił żelazny rygiel.

Drzwi się otworzyły. Stojąca w progu kobieta zrobiła taki ruch, jakby na nich czekała. Była niska i szczupła. Skóra na jej rękach była jasna. Na twarzy miała więcej zmarszczek, niż Ringmar kiedykolwiek mógłby się dorobić. Linie biegły we wszystkie możliwe strony. Kobieta spojrzała na niego, był niższy od Wintera. Jej oczy miały przezroczysty, niebieski, jakby sprany do cna odcień. Przez chwilę Winterowi wydawało się, że jest niewidoma.

- O co chodzi tym razem? - zapytała.
- Proszę? - Ringmar nie zrozumiał.
- O wybaczenie czego chcecie prosić?

Ringmar spojrzał na Wintera. Winter zagryzał wargi. Tutejsi ludzie naprawdę są wierzący.

- To ja do pani dzwoniłem - powiedział Ringmar.
- Co?

- To ja dzwoniłem. Rozmawiałem z kobietą, odebrała i... no i...

- To moja pomoc - odpowiedziała Ella Algotsson, jakby była dyrektorem dużego przedsiębiorstwa. - Teraz jej nie ma, więc możecie sobie iść.

- Ale to z państwem chcemy porozmawiać, pani Algotsson. Chodzi...

- Panno Algotsson.

- Panno Algotsson - poprawił się Ringmar. - Powiedziano nam, że możemy chwilę porozmawiać z panią i z pani bratem. - Wyjął portfel i pokazał odznakę. - Nazywam się Bertil Ringmar i jestem komisarzem göteborgskiej policji. A mój młodszy kolega nazywa się Erik Winter i jest moją pomocą.

Winter też się wylegitymował. Ella Algotsson spojrzała na odznakę, a potem, podejrzliwie, na Wintera. I w końcu na Ringmara.

- A potrafi zrobić coś do jedzenia? - zapytała.

- Coś do jedzenia? - Ringmar wskazał na Wintera. - Właśnie w tym jest najlepszy.

- Arne śpi - powiedziała.

- Możemy zaczekać?

- Jest zmęczony.

- Możemy wrócić za chwilę - zaproponował Ringmar. Nie odpowiedziała.

- Czy jeszcze ktoś tu był i pytał o pani brata? - zapytał Ringmar.

- Bo co?

- Kiedy przyszliśmy, zastanawiała się pani, o co chodzi tym razem.

- Axel tu był.

Ringmar spojrzał na Wintera.

- Axel? - zapytał. Już rozpoczął przesłuchanie. Jego asystent znał swoje miejsce, wiedział, że lepiej siedzieć cicho. Cofnął się kilka kroków. - Axel Osvald? - Pochylił się nieco do przodu. Kobieta zdawała się go nie słyszeć. - Czy to Axel Osvald był tu niedawno i rozmawiał z pani bratem?

- Parę tygodni temu - powiedziała mocnym głosem.

-Siedzieli w salonie. Mnie przy tym nie było.

- O czym rozmawiali?

- O przeszłości oczywiście. Tylko o tym Arne potrafi coś powiedzieć. O wszystkim innym zapomniał. Ale sprzed lat co nieco pamięta.

- To my niedługo wrócimy - powiedział Ringmar.

- Jego Erik też tu był - dodała.

Ringmar o nic już nie pytał. Wzbudził jej zaufanie. Nie zapytała, w jakiej sprawie przyszedł, dlaczego chce rozmawiać z jej starszym bratem. Jakoś jej to nie niepokoiło. Czy coś wiedziała? Coś więcej niż to, że John Osvald zaginął? Winter próbował sobie wyobrazić jej twarz bez zmarszczek. Teraz pokrywały ją w całości. Połyskujący błękit jej oczu zdawał się świecić na tle ciemnego przedpokoju, w którym stała. Nie spuszczała wzroku z Ringmara. Czy wiedziała coś, co kiedyś wiedział jej brat i o czym już dawno zapomniał? Czy miała jakieś tajemnice? Mówiła, że Axel i Erik Osvaldowie chcieli się widzieć z jej bratem. Ale może rozmawiali również z nią. O to jej nie zapytali.

- Erik? Erik Osvald? - zapytał Ringmar.

- Tak.

- Był tu razem z ojcem? Z Axelem?

- Nie. Później.

Moa Ringmar odstawiała pudło i wyprostowała się. Spojrzała najpierw na Anetę, potem na Haldersa. Właśnie mnie rozpoznała, pomyślała Aneta. Nie jestem jakąś osiedlową imigrantką.

- Moa, co tutaj robisz? - powtórzyła.

- Tata wam nie mówił?

- *Ich bitte entschuldigung?* - wtrącił Halders.

- To nie on was tu przysłał? - zapytała Moa z wyraźniejszym błyskiem w oczach.

- Moa! - wykrzyknął Halders. - Wreszcie załapałem. Moa Ringmar.

- Bertil nas tu nie przysyłał - powiedziała Aneta. - Jesteśmy na służbie. A on nie ma pojęcia, co robimy.

- Państwa nie stać na to, żebyśmy robili za ekipę od przeprowadzek.

- Chodziło mi raczej o to, że chciał, żebyście mieli na mnie oko.

- A niby dlaczego? - zapytała Aneta.

- Bo ta okolica jest niebezpieczna i obca. Dla kogoś z idyllicznego Kungsladugård - odparła Moa.

Nigdy nie wierz w idylle. One są jeszcze gorsze.

- Do którego mieszkania się wprowadzasz? - zapytał Halders.

Powiedziała mu. Halders zapytał, od kogo będzie je wynajmować.

- Od jakiegoś Lindstena.

- To mieszkanie własnościowe czy spółdzielcze?

- No, na razie spółdzielcze. Ale...

Zamilkła. Patrzyła to na Anetę, to na Haldersa.

- Zrobiłam coś nielegalnego? - zapytała. - Spółdzielnia nie ma nic przeciwko.

- Moa, muszę ci coś powiedzieć - zaczął Halders.

Ringmar oddychał głęboko. Wdech, wydech. Wchodzili na skałę wznoszącą się za zabudowaniami. Widzieli otwarte morze i drugi brzeg cieśniny, a na nim Näset, Hovas, Billdal, Särö i Vällde. Nad wodą unosiła się mgła, ale nie pogarszała widoczności. Ringmar rozpostarł ramiona.

- Erik, wszystko to może być twoje.

Winter trzymał w ustach niezapalonego corpa. Próbował dostrzec niewielką zatoczkę w okolicach swojej działki, ale nie było jej widać.

- Zrozumiałem, Bertil.

- Myślisz, że po południu staruszek się obudzi? - zapytał Ringmar.

- Możemy też porozmawiać z jego siostrą. Może o wszystkim wie.

- Może.

- Przez całe popołudnie mam udawać twojego asystenta?

- Wyjdzie ci to na dobre.

- Nawdychałeś się już dość powietrza?
- Ty też powinieneś - powiedział Ringmar, patrząc, jak Winter zapala cygaretkę. - Nawdychaj się morza.
- Wolałbym je zjeść.
- Też kiedyś próbowałem. Ale nie przepadam za ostrygami.
- Twoja strata, Bertil.

Potyając się, ruszyli w dół. Na dole, w wąskiej uliczce, trafili na gromadkę dzieci. Winter właśnie pokonywał skokiem ostatnią część zbrocza. Jakiś chłopiec trzymał w rękach piłkę i uśmiechał się do nich. Winter mu pomachał.

Co sobie pomyślą? Znów tu jestem, kręcę się po okolicy. Opowiedzą o tym w domach i niedługo rodzice, a może i policja wodna, ruszą w pościg za brzydkim panem. Ringmar będzie musiał im wyjaśnić, że jestem jego pomocą.

Musieli zapukać trzy razy, zanim Ella Algotsson otworzyła.

- Myślałam, że już pojechaliście.
- Prom odchodzi o wpół do piątej.
- Czy pani brat się obudził?
- Tak.
- I możemy wejść na chwilę?

Arne Algotsson wyglądał jak powiększona kopia siostry. Nie było wątpliwości, że to rodzeństwo, a wiek zdawał się jeszcze podkreślać podobieństwo. Arne Algotsson siedział w kuchni na czerwonym drewnianym krześle. Kiedy weszli, odwrócił się w ich stronę. Jego twarz rozświetlała luna unosząca się nad horyzontem. Z tej strony, od tyłu, dom otaczała zupełnie inna przestrzeń, oświetlało zupełnie inne światło. Przez okno widać było brzeg stałego lądu.

Arne Algotsson pokiwał głową. Oczy miał w tym samym kolorze co siostra. Jakby wiatr znad morza wywiewał wszystko, nawet kolor. Wszyscy, którzy tu długo mieszkali, kończyli z wyblakłymi, niebieskimi oczami. Ale spojrzenie Arnego nie było tak skupione i ostre jak spojrzenie jego siostry. Jego spojrzenie zdawało się przechodzić przez gości, na niczym i nikim się nie zatrzymywać.

Winter wysadził Ringmara na Margretebergstrondellen i pojechał do domu, przez Linnéplatsen, Övre Husargatan i Vasagatan.

Na parkingu śmierdziało rozlanym olejem.

W windzie - papierosami.

Jeszcze na korytarzu usłyszał dziecięcy śmiech. Właśnie tego mu w tym domu brakowało. Pozostali lokatorzy byli dwa razy starsi od niego i od Angeli.

Uwielbiał to miejsce.

Było tu od zawsze. Było czymś więcej niż życie: istniało, zanim on się pojawił, i będzie trwać, kiedy on odejdzie.

Będą mogli wynająć mieszkanie, kiedy dom nad morzem będzie gotowy. Córka Bertila, Moa, potrzebowała lokum. O ile już zdążyła się namieszkać w Kortedala. Ich mieszkanie powinno jej odpowiadać. Może było trochę za duże dla jednej osoby, ale mogła sobie znaleźć współlokatora.

Otworzył drzwi. Elsa ruszyła do niego przez przedpokój.

Zrobili tosty i zaparzyli herbatę. Winter obsmażył kilka kawałków sera haloumi, żeby mieli również coś słonego do przegryzienia. Na stole stały oliwki.

- Napijemy się do tego po kieliszku białego wina - powiedział.

Telefon zadzwonił w chwili, kiedy wyciągał korek z butelki.

- Odbiorę - powiedziała Angela.

- Nie, ja! - krzyknęła Elsa.

Odebrała. Z buńczuczny: Halo?!

Słuchała w skupieniu. Nagle zachichotała i powiedziała: *yes se*.

- To Steve - powiedział Winter do Angeli.

- *Jag pratar svenska* - powiedział Macdonald, kiedy Winter wziął od Elsy słuchawkę.

- Jasne. A Elsa mówi po angielsku.

- *Yes, sir*. - Macdonald przeprosił Wintera na chwilę i zaczął rozmawiać z kimś innym. Wrócił po minucie. - Dopiero wróciłem do domu.

Steve Macdonald mieszkał z żoną i czternastoletnimi

bliźniaczkami. W domku. W chatce, jak sam kiedyś powiedział. W Kent, godzinę drogi na południe od Croydon, gdzie był śledczym w wydziale zabójstw. Croydon było dzielnicą Londynu, ale i jednym z dziesięciu największych angielskich miast. Trudno było je nazwać sielankowym miejscem.

- Ja też - powiedział Winter. - Właśnie otworzyłem wino.
- Kiedy wracałem, dzwonił do mnie Jamie.
- Rozmawiałem z nim. To znaczy, jeśli mówisz o Craigu.
- Tak. Córka zmarłego doleciała.
- I?
- Zidentyfikowała go. To jej ojciec. Nie ma żadnych wątpliwości.
- Kiedy to było?
- Niedawno. Pół godziny temu.
- To pewnie zaraz do mnie zadzwoni.
- Czy on miał skłonność do depresji? Albo jakieś problemy psychiczne? - zapytał Macdonald. Cóż, bezpośrednio.
- Nie wiem, Steve. Jego córka twierdzi, że nie. W każdym razie nigdy się nie leczył.
- I nie znaleźli samochodu - dodał Macdonald.
- Craig sądzi, że go skradziono. To się często zdarza.
- Do tej pory już by się wydało.
- A co na to Craig?
- To samo co ja. - Winter usłyszał, jak Macdonald mówi coś cicho do kogoś innego. Po chwili wrócił. - Przepraszam, właśnie wychodzimy do sąsiada. Oblewamy wyprowadzkę jego bezczelnego synalka. - Zaśmiał się. - No dobra. To tak dla twojej informacji. Zanim znaleźliśmy tego Osvalda, zdążyliśmy nadać komunikat o zaginięciu. Dostaliśmy kilka zgłoszeń i... uwag.
- I czego dotyczą te zgłoszenia?
- Że ludzie na pewno widzieli, jak się tu kręcił przez ostatnie tygodnie. Cholera, widzieli go w całym Moray nawet w Aberdeenshire.
- A co to znaczy? Co to za okolica?
- Nie wiem, czy coś ci to mówi, ale to kawał drogi. Wzdłuż wybrzeża aż do Fraserburgh, a potem do Peterhead. Mamy też

zgłoszenie z Aberdeen, do którego nie jest tak blisko. No i podobno ktoś go widział na wsi.

- A to ma jakieś znaczenie, Steve?

- Nie wiem, przyjacielu.

- Coś mu się przytrafiło.

- Tak.

- Czy to ma jakiś związek z jego podróżami? - zapytał Winter.

- W przeciwnym razie chyba by tak nie jeździł, nie? Po co by się błakał po odludnych szlakach? Przecież nie przyjechał na wakacje.

No właśnie, wakacje, pomyślał Winter.

- Jeszcze jedno - dodał Macdonald. - Nie był sam.

- Mów dalej.

- Jeśli to rzeczywiście jego widzieli świadkowie, to jeden z nich widział go w towarzystwie.

- Opisał tego kogoś?

- To był starszy człowiek.

- Starszy człowiek - powtórzył Winter. Poczuł, jak włosy na karku nagle mu się podnoszą. Widział, że Angela też to zauważyła.

- Wiem, co myślisz - powiedział Macdonald.

- Coś jeszcze?

- No nie wiem. Wszystko jest u Craiga w Inverness. Możliwe, że jeszcze coś dojdzie.

- Craig działa całkiem sprawnie.

- Tak, można tak powiedzieć. Sprawny dupek.

- Myślałem, że to twój kolega. I że go poleciłeś, kiedy się tam starał o posadę.

- A myślisz, że dlaczego to zrobiłem?

Winter się zaśmiał. Elsa mu zawtórowała. Bardzo lubiła angielski. Angela spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem.

- To najodleglejszy komisariat w całej Wielkiej Brytanii. Myślisz, że dlaczego poleciłem Craiga właśnie tam?

- Dobra już, dobra.

- Nie podoba mu się to.

- No, chyba go rozumiem.

- Nie chodzi mi o pracę ani o miejsce, tylko o tę sprawę - wyjaśnił Macdonald. - Craig jest zgorzkniałym bucem, ale czasami obraca się to na jego korzyść. To znaczy w pracy. Twierdzi, że w rzeczywistości jest inaczej, niż się wydaje.

- A co dokładnie powiedział?

- Że sprawy mają się inaczej, niż się wydaje - powtórzył Macdonald. - To jego słowa.

Winter znów poczuł ciarki na plecach. Angela widziała, że to coś poważnego.

- Przeprowadzają kolejną sekcję zwłok - powiedział Macdonald.

- Córnka, to znaczy Johanna, się zgodziła?

- Tak twierdzi Craig. Ale według niego nic więcej nie znajdą.

- To gdzie znajdą?

- Mnie nie pytaj.

- I co niby mieliby znaleźć? - dodał Winter.

- Wygląda na to, że się mocno zaangażowałeś - zauważył Macdonald.

- Dużo o tym myślałem - wyjaśnił Winter. - Trochę też już nad tym pracowałem.

- Takie sprawiasz wrażenie.

I nagle Winter zrozumiał, co zrobi w najbliższym czasie. Co chciałby zrobić. Oto okazja, całkiem oczywista, żeby znów zobaczyć Steve'a. Choć dla niektórych na pewno nie aż tak oczywista.

Angela grała z Elsą w tryktraka. Wymownie wskazała na butelkę wina. Winter skinął głową i Angela naląła sobie pół kieliszka. Z drugim podeszła do niego. Za trzy dni mieli wyjechać na tydzień do Marbelli.

Ale przecież jeszcze nieraz trafi się taka okazja.

- To... ciekawa sprawa - powiedział Winter.

- Teraz i mnie zainteresowałeś - odparł Macdonald. - Ty i Craig.

- Gdyby nie to, co przed chwilą usłyszałem...

- I tak już o tym myślałeś.

- O czym?
- Nie ściemniaj.

Winter nie odpowiedział. Wypił łyk wina. Było zimne i cierpkie. Myślał. Intensywnie myślał. Wróciło to dawne uczucie, to straszne, przekłete uczucie. Pomyślał o Marbelli, o Angeli, mamie, Lotcie... Może da się to jeszcze zorganizować na nowo. Może Elsie by się spodobało.

- A co ty na to? - zapytał Winter. Nie musieli nazywać rzeczy po imieniu. Wiadomo było, że ta sprawa to wierzchołek góry lodowej. - Dałbyś radę?

- W zasadzie i tak chciałem jechać do domu w najbliższym czasie. Już od dawna odwlekałem wyjazd.

- Możesz wziąć kilka dni wolnego? - zapytał Winter.
- Kilka to znaczy ile?
- Trzy.
- Tak, mogę.
- Pewnie nie będę sam.

Winter spojrzał na Angelę. Przysłuchiwała się ich rozmowie. Zamarła.

- Ja też nie. Sara ma ochotę wyjechać. Byliśmy przygotowani na wynajęcie opiekunki do dzieci. O ile tak można nazwać kogoś, kto miałby się zająć dziewczynami. Niedługo kończą piętnaście lat.

- Zadzwoń do ciebie wieczorem - powiedział Winter i rozłączył się.

- Co to ma znaczyć? - zapytała Angela.

- No... - Winter mrugnął i ruchem głowy wskazał na układającą w skupieniu klocki Elbę. - Steve chciałby sobie trochę porozmawiać.

Elsa zasnęła kamiennym snem. Winter wyslizgnął się do przedpokoju i poszedł do kuchni. Angela układała pasjansa. Chyba wychodził.

- No i? - zapytała.
- Co powiesz na kilkudniowy wyjazd do Szkocji?

31.

Gdy Moa Ringmar wróciła do domu, było już późno. Jej ojciec rozmawiał przez telefon. W Nowym Jorku było popołudnie. Ringmar przerwał na chwilę i zasłonił ręką słuchawkę.

- Martin załatwił sobie to poddasze przy Trzeciej Alei.
- Proszę, co za szczęściarz.
- Coś się stało?
- Potem pogadamy. Najpierw skończ.
- Chce z tobą zamienić kilka słów.
- Powiedz, że zadzwonię do niego później.
- Dobra. - Ringmar wrócił do rozmowy z synem. -

Zadzwoni później. No dobra. No to do usłyszenia.

Odłożył słuchawkę.

- No więc o co chodzi, Moa?
- To mieszkanie jest spalone.
- Proszę?
- W końcu to nie twoja wina. Przecież nie możesz wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w wydziale.

- Wyjaśnij mi to - powiedział Ringmar. - Nie bardzo rozumiem.

- To mieszkanie, do którego miałam się wprowadzić - okazało się, że jakiś koleś miał zakaz zbliżania się do niego. Dochodziło tam do aktów przemocy, no i totalnie wyczyścili je złodzieje. A facet, który miał mi je wynająć, jest podejrzany. Tak mówi dwoje najbardziej dociekliwych w tym kraju inspektorów.

- Halders i Djanali.
- Więc wiedziałaś!
- Powiedziałaś, że to najbardziej dociekliwa dwójka. Dobra, żarty na bok. Wiem, że pracują nad sprawą, która ma coś wspólnego z mieszkaniem w Kortedala, ale... o cholera! W Kortedala! - Szybko wstał i zrobił krok w jej stronę. - Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że to twoje...

- Właśnie to chcę powiedzieć.
- Co za traf.
- Świat jest mały.

- Jak się dowiedziałas? - zapytał Ringmar.
- Fredrik i Aneta. Zjawili się akurat wtedy, kiedy wnosiliśmy z Dickiem rzeczy.
- A co oni tam robili?
- Rutynowa wizyta. Mają na oku byłego tej kobiety. Wciąż jest niebezpieczny.
- Nie powinni byli ci tego mówić.
- To Halders - powiedziała Moa. - Zaproponował, że da mi zdjęcia, żebym powiesiła w klubie studenckim.
- No tak, zawsze był dyskretnym śledczym.
- Rzeczy na razie zostawiłam w garażu Dickiego.
- Więc się wyprowadziliście?
- A jak sądzisz, tato? Miałabym się tam budzić w nocy i słyszeć, jak jakiś szaleniec otwiera kluczem drzwi i wchodzi?
- No nie.
- Po raz pierwszy udało mi się wprowadzić i wyprowadzić jednego dnia.
- Pogadam z tym Lindstenem.
- Jeszcze nie zapłaciłam.
- I tak z nim pogadam.
- Zrobił coś niezgodnego z prawem?
- Nie wiem. Jeszcze nie.

Johanna Osvald zadzwoniła, kiedy Winter robił sobie podwójne espresso. Miało mu pomóc myśleć. Było lepsze i tańsze od amfetaminy.

W salonie Coltrane grał *Compassion* w towarzystwie innego saksofonisty tenorowego, Pharoaha Sandersa. Ta muzyka pasowała do nie-ujarzmionych, asymetrycznych myśli. Tony dla myślących nietypowo. Dźwięki instrumentu Coltrane'a brzmiały jak potępińczy hałas wędrujący z pokoju do pokoju przez czarno-białe sny.

Tym, co najbardziej go pociągało w jazzie, był indywidualny charakter tej muzyki. Najlepsze w niej było to, że muzyk mógł po prostu być sobą. Była to przede wszystkim muzyka ekspresyjna, muzyka bezpośredniego wyrazu. Żadnych interpretacji. Chodziło o improwizację, ale bynajmniej nie

miała być nieodpowiedzialna. Wręcz przeciwnie. Improvizując, muzyk brał na siebie odpowiedzialność, której skutek zależał od jego umiejętności, indywidualnych predyspozycji i doświadczenia. Doświadczenia emocjonalnego. To była muzyka dla uczuć i z uczuć.

Angela wyszła. Chciała się przejść w tę i z powrotem po Avenyn. Ona też musiała się zastanowić.

- To on - powiedziała Johanna Osvald. - To mój tata.
- Przykro mi - odparł Winter.
- Dobrze się tu mną zajęli - dodała oficjalnym tonem.

Dziwna uwaga. Może jest w szoku. W jej głosie pobrzmiwał ostry ton.

- Ten policjant, Craig, pomógł mi ze wszystkim.
- Czy czegoś ci trzeba?
- Nie, niczego, w czym moglibyście mi pomóc.

Winterowi wydało się, że zaczęła płakać. Tak to brzmiało, ale może to kwestia jakości połączenia.

Nie jestem taki pewien, pomyślał. Może moglibyśmy pomóc. Może w szukaniu odpowiedzi.

- Rozmawiałaś już o ojcu z lekarzem?
- Tak.

Czekał, aż coś powie, ale milczała.

- I co powiedział?
- Że umarł na zawał serca. Był mocno wyziębiony. - Winter słyszał jej oddech. - Tutaj jest zimno. Wysłałam na sekundę, żeby pomyśleć na powietrzu, i było naprawdę chłodno i nieprzyjemnie.

- Czy będą robić jeszcze jakieś... badania? - chciał wiedzieć Winter. Starał się unikać słowa sekcja, ale ona i tak wiedziała, o co mu chodzi.

- Jeśli będzie trzeba. Jeśli bez tego nie znajdzie się wyjaśnienie, mogą robić tyle badań, ile... - Zamilkła. - Co to za okropny hałas? - zapytała.

- Gdzie? - Winter nie zrozumiał.
- U ciebie. Co to za kakofonia?
- Chwileczkę. - Winter przeszedł do salonu i wyłączył muzykę. *Consequences*. - To była płyta - wyjaśnił, kiedy wrócił.

Nie odezwała się.

- To co teraz zrobisz? - zapytał.

- Jutro jeszcze raz pójde do tej kliniki. Potem muszę popodpisywać różne papiery, a potem, mam nadzieję, będę mogła z tatą wrócić. Tak szybko jak się da.

- Aha.

- Przecież on musi wrócić do domu.

- Oczywiście.

Coś zaświszczało w słuchawce, jakby wiatr hulał nad Morzem Północnym, nad którym musiało przebiegać połączenie między Inverness, Aberdeen i Göteborgiem.

Aberdeen i Göteborg leżą dokładnie na tej samej szerokości geograficznej. A może nie Göteborg, tylko Donsö.

- Właśnie rozmawiałam z Erikiem - powiedziała.

- Gdzie jest?

- Na morzu. Płyną już z połowem w stronę Hanstholm. - Winter słyszał, jak Johanna wydmuchuje nos. - Stamtąd pojedzie prosto do domu. Będzie tam, kiedy... przyjedziemy.

- To dobrze.

- Myślę, że coś się tam stało - powiedziała nagle. - Coś, co sprawiło, że to się tak skończyło. Coś straszego.

- Też tak sądzę.

- Coś, co miało związek z dziadkiem.

- Tak, zgadzam się.

Nie wspomniał jej o wizycie u Algotssonów.

Angela wróciła z zaróżowionymi policzkami i wilgotnymi włosami. Pachniała błękitnym, niebieskim wieczorem, słonym wiatrem, czarną gliną i spalinami - wszystkim tym, co się składa na zapach tego miasta. Wieczór był niebieski, a cały Vasaplatsen wraz z nim. *Kind of blue*.

- Przemyślałam to - powiedziała, ściągając długi szalik.

- I co?

- Cóż...

- To twoja konkluzja?

- Nie wiem, czy da się to załatwić z Elszą. Czy będzie chciała.

Czy to się da zorganizować.

Zastanawiali się, czy na kilka dni nie zostawić Elsy u Lotty. Lotta sama o to prosiła. Bim i Kristina też. Może dałoby się to zrobić. W ciągu tych czterech lat on i Angela wybierali się w różne miejsca bez Elsy. Zostawała wtedy u Lotty. Jakoś się to udawało. Elsa nie miała w Göteborgu dziadków, ale miała ciocię Lotte i kuzynki, Bim i Kristine.

- Nigdy sami nie wyjeżdżaliśmy za granicę - powiedziała Angela. - Bez Elsy.

- Możemy polecieć różnymi samolotami.

- Masz z czego żartować.

Może wcale nie żartowałem, pomyślał.

- No i Siv na nas czeka - dodała.

- Do Nueva Andalucia zawsze możemy pojechać, do mamy też.

- Nie bądź tego taki pewien.

- Jakby co, mama zawsze może się sprowadzić tutaj.

- Nie o to mi chodziło - powiedziała Angela.

Winter miał wrażenie, że głos jej się zmienił.

- Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem? - Przysunął się z krzesłem kilka centymetrów bliżej. - Mówię teraz do ciebie jako do pani doktor Hoffman.

- O niczym poważnym.

- Macie przede mną jakieś tajemnice?

- Mama jest zmęczona. I tyle.

- Zmęczona? Czym?

- Nie jest już młoda.

- Nie sądzę, żeby komukolwiek wychodziło na zdrowie spędzanie połowy roku w temperaturze czterdziestu stopni.

- To akurat tylko kwestia picia. Chodzi o to, żeby dużo pić.

- I tu dochodzimy do kolejnego czynnika ryzyka.

- Chodziło mi o wodę. - Angela uniosła brwi i się uśmiechnęła lekko.

- A mnie o gin.

- Gin z tonikiem. Nie zapominaj o tym. Ale tak serio, Erik, wiesz, że ona mało pije, odkąd... Bengt umarł.

- A to, co wypija wcześniej?

- To nie stanowi zagrożenia.

- Może powinniśmy poprosić, żeby przyjechała na trochę do Szwecji.
- Może zrobimy to teraz.
- Teraz, czyli kiedy my będziemy w Szkocji?
- Tak, ale najpierw trzeba porozmawiać z Lotta. No i może Siv ten pomysł się nie spodoba. I musimy porozmawiać z Elszą.

Angela wróciła z łazienki. Winter leżał na łóżku, wpatrzony w sufit. Rozebrał się tylko do połowy.

- Nie poznałaś żony Steve'a - powiedział.
- A jej ten pomysł się podoba?
- Nie wiem. A czemu miałby się nie podobać?
- Z tych samych powodów, o których rozmawialiśmy, tylko na odwrót.
- Hm...
- Coś mi się wydaje, że przez większość czasu będziemy się zajmować same sobą. Jeśli ty i Steve macie badać tę dziwną sprawę.
- Zajmie nam to najwyżej kilka dni. Może nawet mniej.
- A gdzie będziemy mieszkać? W zagrodzie Steve'a?
- Coś ty. W Inverness są dobre hotele. Steve się zarzekął, że są.
- Chciałabym mieć kilka do wyboru.
- Jasne. - Winter odwrócił się na bok, w jej stronę. - Siostra Steve'a też pracuje w Inverness. Jest prawniczką, chyba adwokatem.
- Na pewno się ucieszy, że będzie się mogła nami zająć. Witajcie w moim domu!
- Otóż to.
- Erik. Nie może być tak, że zawsze jest tak, jak ty chcesz.
- Ale tak nie jest. Po prostu staram się dostrzec pozytywne strony. Będziemy razem, a ja i Steve może będziemy trochę jeździć, żeby... sam nie wiem co. Ale nagle poczułem, że możemy... no wiesz, znów się spotkać i zrobić coś razem. Że to jakby oczywiste.
- Poznałeś jego żonę? Sarę?
- Nie.

- Ile ma lat?
- Pięćdziesiąt siedem.
- Akurat! - Angela zamierzyła się na niego poduszką.
- Równo czterdzieści. Jak ty.
- To ma być wizja przyszłości? - zapytała Angela. Do czterdziestki brakowało jej trzech lat. Już miała cisnąć w niego poduszką.

- Żyjemy w przyszłości. Właśnie tam zmierzamy - odpowiedział i rzucił w nią swoją poduszką, uniemożliwiając jej zadanie ciosu.

- A wydawało mi się, że cała ta historia dotyczy przeszłości.
- Angela odrzuciła mu poduszkę.

Winter się odsunął i poduszka trafiła w budzik. Spadł i poturlał się po lakierowanej podłodze.

- No i zniszczyłaś podłogę - powiedział Winter i rzucił ostatnią ze swoich poduszek.

Angela spojrzała w bok i dostała prosto w twarz. Winter też spojrział w bok, żeby zobaczyć, co odwróciło jej uwagę.

- A co wy wyprawiacie? - zapytała Elsa. Stała w progu z budzikiem w ręku.

- Najpierw muszę z nią porozmawiać - powiedziała Angela, kiedy już leżeli w łóżku. Było ciemno i cicho. - Z żoną Steve'a. To ważne. Myślę, że i ona tak sądzi.

- Oczywiście.

- A potem trzeba pogadać z Lotta i z Siv, i...

- Wiem. Wiem, że to wchodzi w grę, tylko jeśli wszyscy się zgodzą.

- Ale jeśli się zgodzą, wyjazd będzie niegłupim pomysłem.

- Dzięki.

Angela milczała. W pokoju panował półmrok. Z przedpokoju wpadało słabe światło. Z lampki pod stolikiem z telefonem. Winter słyszał, jak cicho brzęczy lodówka.

- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedziała Angela. - Tak?

- To, co próbujesz wyjaśnić... to, czym macie się zająć...

- Winter widział, że przysuwa się do niego. - To chyba nie

będzie w żaden sposób niebezpieczne, co?

Berghem i Peters spotkali się w kawiarni w centrum. Peters przyszedł prosto z treningu.

- Wy pewnie macie w pracy siłownię za darmo? - zapytał.
- Tak - odparł Berghem.
- Muszę pogadać z szefem.
- Myślałem, że to ty nim jesteś.
- Miałem tego dość.

Peters był dyrektorem artystycznym. Jego firma okazała się za duża. Zrezygnował więc i znalazł mniejszą. Wrócił na stanowisko grafika.

- Nigdy nie rozumiałem reklam - powiedział Berghem.
- Jak to?
- Tego, jak powstają.

Peters się zaśmiał. Na górnej wardze miał piankę z latte.

- Nie ma się nad czym zastanawiać.
- Dlaczego nie?
- To po prostu jedna wielka ściema i igranie z ludzką inteligencją.

- Jak to?
- Chodzi tylko o to, żeby sprzedać dzinsy.
- To dlaczego tego nie rzucisz?
- Bo nie jestem van Gogiem.
- Ale chyba jest coś między jednym a drugim? Peters nie odpowiedział. Patrzył w drugą stronę.

- Nie ma? - dopytywał się Berghem.
- Nie wiem - odparł Peters.

Berghem zrozumiał, że nie chodzi mu o rysowanie.

Ale przecież jest coś pomiędzy. On właśnie jest w takiej sytuacji, pomiędzy dwoma etapami. Może powinien wrócić do etapu numer jeden. Ale właściwie dlaczego? Zyskał nowego przyjaciela. Potrzebował przyjaciół. Nie miał ich. Miał tylko rodzinę. Oczywiście Martina była jego przyjaciółką, ale teraz miał po prostu o jednego przyjaciela więcej.

32.

Espresso zadziało podwójnie: Winter nie mógł spać, mógł za to myśleć. O trzeciej wyslizgnął się z łóżka. Przeszedł przez przedpokój. Zajrzał do Elsy. Spała na plecach, z na wpół otwartymi oczami. Zauważył to, bo pochylił się i zawisł dosłownie kilka centymetrów nad jej buzią. Prawie nie słyszał jej oddechu, musiał się wsłuchać. Nie miała już polipów. Najwidoczniej tym razem był to fałszywy alarm. On miał polipy i operowali go. Już o tym zapomniał. To było w latach sześćdziesiątych. Od tego czasu medycyna poszła o kilka stuleci do przodu. Felczer wyciął mu chrząstkę i polipy młotkiem i dłutem. Mama czekała gdzieś w pobliżu. Ojca nie było. Już wtedy obmyślał, jak płacić mniejsze podatki. Ojca zawsze ciekawiło, jak się podłączyć pod rozwój, jaki w tamtych latach przeżywało państwo dobrobytu. Później postanowił dać pracę biedakom pracującym za dniówki w południowej Hiszpanii. Może był to spóźniony wyraz solidarności, chęć współpracy w ramach Unii i takich tam. Ale Winter dość wcześnie przestał rozmawiać z ojcem o polityce. Choć tak naprawdę właściwie nigdy nie zaczęli. Bengt Winter był konserwatystą. Zatwardziałym.

Nagle Elsa chrapnęła. Ale tylko raz. Przewróciła się na bok. Winter wyszedł po cichu.

Usiadł w ciemnym salonie. Mrok miał się rozproszyć dopiero za kilka godzin. Przez okno przebijało niebieskie światło. Tramwaje jeszcze nie zaczęły huczeć pod oknem. Winter słyszał za to w oddali silnik samochodu. Próbował trafić do któregoś z niebieskich domów. Nagle rozległ się krzyk. Od strony stojącego przy Vasaplatsen kiosku. Wisiał na nim neon jakby wyjęty z lat sześćdziesiątych.

Wszystkich tych dźwięków i światel nie byłoby w domku nad morzem. Tam, gdzie panuje dochodząca znad morza cisza, wydawałyby się groźne. Czy właśnie tego się bał? Czy w ogóle się bał?

Czy Arne Algotsson się bał? Albo jego siostra? A może

oboje?

Wstał z fotela i podszedł do drzwi balkonowych. Uchylił je i wyszedł. Wsunął stopy w klapki, które zawsze stały przy drzwiach. Nie było wiatru, czuć było tylko pachnący jesienią chłód. W powietrzu unosiła się wilgoć, kwaskowaty zapach, który oznaczał, że wszystko, co było widać w dole, miało kolejny raz umrzeć. Rzadko przychodziło mu to do głowy. Pomyślał o kwaśnym i słonym zapachu, który niósł północno-wschodni wiatr.

Twarz Arnego Algotssona wyglądała jak natarta solą. Pokrywała ją szara powłoka, jakby skorupa z zastygłej soli utworzyła maskę, która już dawno zaczęła pękać. Miał głęboko osadzone oczy. Bił z nich blask, choć Winter nie wiedział, skąd się w nich wziął. W każdym razie nie wiedział tego wtedy, kiedy siedział z Bertilem przed staruszką i próbował mu zadawać pytania.

Już na początku padło imię jego siostry. Ella. Siedziała obok brata.

- Tak, no właśnie, mam siostrę. Ellę - powiedział i odwrócił się do niej. - Znacie ją? - zapytał.

Ella spojrzała na Wintera i Ringmara, jakby im dawała do zrozumienia, że jej brat jest już warzywem. Był jak zepsuta sieć, przez którą wszystko przelatuje. Wystarczyło na niego spojrzeć i posłuchać.

- Znał pan Johna Osvalda? - zapytał Winter.

- John jest rybakiem - powiedział Algotsson, wciąż we własnym świecie. - A potem został szyprem.

- Co to znaczy, że został szyprem?

- Zjecie coś? - zapytał Arne Algotsson. Winter spojrzał na jego siostrę.

- Dopiero co jedliśmy - odpowiedziała, pochylając się i kładąc rękę na ramieniu brata.

Algotsson się wzdrygnął. Wiedziała, że i oni zauważyli ten nagły ruch.

- To rany sprzed lat - powiedziała.

- Proszę? - Winter nie zrozumiał.

- Stare rybackie rany. Wszyscy, którzy pracują na łodziach,

mają egzeme. Cały czas pracują w gumowych ubraniach. Skóra im schodzi. Arne wciąż ma blizny na ramionach. Nigdy się nie goją.

- W gumowych ubraniach - powtórzył za nią brat.

Oczywiście najpierw przeprowadzili, to znaczy Ringmar przeprowadził, wstępną rozmowę z Ellą Algotsson. Kiedy weszli do domu, jej brat spojrział na nich, ale po chwili o nich zapomniał. Patrzył przez okno na skały, które niczym miękkie fale unosiły się na tyłach domu. Żadna nie miała ostrych krawędzi.

- Teraz nie da się z niego wyciągnąć nic sensownego o tamtych czasach - powiedziała.

- A wtedy? - zapytał Ringmar.

- To znaczy kiedy?

- Kiedy wrócił ze Szkocji. Z tej ostatniej wyprawy. Co mówił wtedy?

- Nie za dużo. - Ella spojrzała na brata. Jego twarz rozjaśniało wpadające przez okno światło.

- Oczywiście opowiadał o wypadku, ale oni sami niewiele wiedzieli.

- A co wiedzieli?

- Wy też już chyba wiecie? Wracali z Islandii i łódź zatonała.

- Z tego co wiem, to było niedaleko od lądu - upewnił się Ringmar.

- No, z lądu nie dało się zauważyć ich łodzi.

- Gdzie był wtedy pani brat? - pytał dalej Ringmar.

- Na lądzie.

- Tak, ale gdzie?

- W jednym z tych miast, w których się zatrzymywali. Nie wiem. Nie pamiętam, jak się nazywało.

- Aberdeen? - spróbował Ringmar.

- Nie. Tam byli najpierw. To nie tam.

Ringmar spojrział na Wintera. Chciał, żeby mu pomógł.

- Może Peterhead? - zapytał Winter.

Nie odpowiedziała. Nawet na niego nie spojrzała.

- Peterhead? - powtórzył Ringmar.
- FISHERMEN'S MISSION TO FISHERMEN'S VISION TO DEEP SEA NATIONAL MISSION - powiedział nagle Arne Algotsson. Jego starczy, ale donośny głos dobiegł ich z kąta przy oknie. Nie poruszył głową, ale najwyraźniej ich słuchał.
- Powtarza to od czasu do czasu - wyjaśniła Ella Algotsson.
- Co to znaczy? - zapytał Ringmar.
- Chyba sam pan słyszał?
- Ale nie zrozumiałem.
- Ja też nie. - Na jej szczupłej, ale wyrażającej siłę twarzy pojawił się blade uśmiech. - Ostatnio powtarzał to kilka razy.
- Ostatnio?
- Tak, w ciągu kilku ostatnich lat.
- Odkąd zachorował?
- Tak.

Ringmar spojrział na Arnego Algotssona. Wciąż wpatrywał się w skały za oknem.

- Peterhead - powiedział głośno Winter.
- FISHERMEN'S MISSION TO FISHERMEN'S VISION TO DEEP SEA NATIONAL MISSION - powiedział Algotsson.
- Poza tym nigdy nie mówi po angielsku - dodała Ella Algotsson. - Już zapomniał.
- Powiedzieliśmy Peterhead - zaczął od nowa Ringmar.
- FISHERMEN'S MISSION... - Algotsson powtarzał jak papuga.

Brzmiało to dziwnie, a jednocześnie komicznie. Winter czuł się trochę zawstydzony. Jakby wykorzystywali staruszka i jego siostrę. Stary człowiek i morze.

- Najwidoczniej ta nazwa coś mu mówi - stwierdził Ringmar.

Ella Algotsson wyglądała, jakby myślała o czymś innym.

- Ale on był gdzie indziej, kiedy to się stało - powiedziała. - Tyle pamiętam.
- Fraserburgh - rzucił Winter, spoglądając na Algotssona. Ale Algotsson nie zareagował, nawet nie drgnął.

Ella Algotsson spojrziała na Wintera.

- Że jak?

- Fraserburgh - powtórzył Winter. - Czy to miasto nazywało się Fraserburgh?

- Fras... Tak mi się zdaje.

- Czy pani brat wrócił stamtąd prosto do domu?

- Nie. Nie został tam do końca wojny, ale jeszcze trochę tam siedział.

- Jak długo?

- Chyba z rok. Wrócił na jakiejś rybackiej łodzi. To bracia z Ockerö odważyli się popłynąć do domu. Szaleńcy.

- Z Ockerö? - zapytał Ringmar.

- Już nie żyją - odparła.

Winter się zastanawiał. Widział, jak Arne Algotsson lekko kiwa głową, jakby przytakiwał siostrze.

- Kto jeszcze pływał z pani bratem? - pytał dalej Ringmar.

- Bertil. Brat Johna. Ale on też nie żyje.

Ringmar skinął głową.

- Trzeci brat też zginął w wypadku, prawda? - zapytał Ringmar.

- Egon - powiedziała. Nie dodała nic więcej.

- Czy ktoś jeszcze z okolicy był wtedy na łodzi?

Nie odpowiedziała. Nie od razu. Szybko spojrzała na brata, jakby sprawdzała, czy słucha. A może chodziło o coś innego.

Może chciała dopilnować, żeby nie odpowiedział.

- Był jeszcze ktoś - dodała po chwili, dość długiej.

Jej oczy wyglądały inaczej, jakby zmętniały. Jakby była nieobecna.

- Ktoś stąd? - zapytał Ringmar. Pokiwała głową.

- Jak się nazywał?

- Frans. - Spojrzała na niego wyraźnie zamglonymi oczami.

- Frans Karlsson. Mój Frans.

Siedząc w salonie, Winter wciąż miał przed oczami jej twarz.

Kiedy to mówiła, bił od niej taki smutek. Mój Frans. W kilku słowach wyjaśniła im, że ona i Frans Karlsson byli zaręczeni i że on nigdy nie wrócił, a ona czekała. Niczym Żona Żeglarza stojąca przed muzeum w mieście. Ale Żona Żeglarza była z kamienia, a Ella Algotsson nie.

Nie powiedziała nic więcej, ale on wiedział od Johanny że nigdy nie wyszła za mąż.

Jej los złączył się z losem Johna Osvalda i jego rodziny. Splotły się w łańcuch, który ciągnął się przez lata, od tamtych czasów do obecnych. Wiązał ze sobą lądy leżące po przeciwnych stronach Morza Północnego.

- On też leży tam na dnie - powiedziała po chwili. - Nigdy nie znaleźli łodzi. „Marino”. Nikogo nie znaleźli.

Ringmar wyglądał, jakby chciał wstać.

- Panno Algotsson, czy wie pani, że Axel Oswald pojechał kilka tygodni temu do Szkocji? - zapytał.

Pokiwała głową.

- Wie pani po co?

- Nie.

- A Erik... Erik Oswald nie wspominał o tym, kiedy tu był?

Znów zaprzeczyła, ale nagle jakby zaczęła mieć dość. Jej twarz się zapadła. Oczy już nie były zamglone, zrobiły się matowe jakoś inaczej. Wyglądała na zmęczoną, śmiertelnie zmęczoną. Wintera znów ogarnął wstyd. Jakby wykorzystywali tę parę starszków. I właściwie nie wiadomo po co. Jakby nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego.

Jakby to mogło tylko pogorszyć sytuację. Co powiedział Erik Oswald? Sztorm dobrze robi morzu. Porządkuje też to, co się zbiera na dnie. Jeszcze żaden rybak nie stracił na sztormie.

A co oni podrywali z dna swoimi pytaniami? Zastanawiał się nad tym teraz, w swoim pograżonym w mroku mieszkaniu, w którym spędził większą część dorosłego życia.

Czy ktoś mógł na tym zyskać?

Znów stanęła mu przed oczami twarz Elli Algotsson. Zamrugał, ale wciąż ją widział. Przypomniawszy sobie, jak Arne Algotsson kiwał głową, jakby czemuś przytakiwał.

Kiedy porozmawiali z Ellą, spróbowali popytać Arnego. Przysunęli się z krzesłami do okna.

Zadawali mu pytania, ale rozmowa się nie kleiła. Była tragikomiczna. Nic więcej o szyprze Oswaldzie nie powiedział.

Winter chciał się dowiedzieć czegoś więcej. John Oswald nie był szyprem, kiedy wypływali. Został nim później. Dlaczego?

I dlaczego Arne Algotsson i Bertil Osvald nie wyruszyli w ten ostatni rejs?

Co łączyło tych młodych mężczyzn mieszkających na malutkiej wyspie?

Jak im się razem pracowało na morzu?

Kolejny raz przypomniało mu się to, co Erik Osvald powiedział o ciszy i relacjach międzyludzkich na pokładzie.

Czy coś się stało na łodzi?

Jak sobie radzili na tym przymusowym wygnaniu?

Myślał o tym teraz, siedząc w samym sercu miasta, w którym mieszkał od zawsze. Chciał wiedzieć. Chciał poznać odpowiedzi na te i na inne pytania. Jeśli w ogóle da się na nie odpowiedzieć, to nie tutaj, tylko tam. W Szkocji.

Fascynująca historia. Wielowątkowa. Rozciągnięta na ponad pół wieku, między dwoma brzegami morza.

Było w niej tyle smutku.

Ale też czegoś jeszcze.

Chciał wiedzieć czego.

Niektórzy wiedzieli więcej niż on, ale nie chcieli nic powiedzieć.

No właśnie.

Axel Osvald znalazł w Szkocji coś, czego szukał przez wszystkie te lata. To zmieniło jego życie. Czy może istnieć taka prawda? Taka rzeczywistość?

Może tak.

To miało związek z morzem. Z połowami. Trawlerami. Miastami. Wyspami. Miasteczkami. Wiatrami. I innymi takimi.

Podniósł się i ruszył do sypialni. Musiał spróbować się przespać, chociaż kilka godzin.

Już mieli wychodzić z domu na Donsö. Żegnali się z Arnem Algotssonem. Ringmar wspomniął coś o Szkocji, Winter już nie pamiętał co. Jakoś tak ogólnie. Powiedział Szkocja - kilka razy.

Winter pamiętał za to, co ni z tego, ni z owego odpowiedział Arne Algotsson, czy może po prostu rzucił w powietrze, tak samo jak wcześniej: *The buckle boys are back in town* - tak to brzmiało.

- Co pan powiedział? - zapytał Ringmar, ale Algotsson nie był na tyle przytomny, żeby powtórzyć cokolwiek na żądanie.
- *The buckie boys are back in town* - powtórzył za nim Ringmar, bo nie było to trudne. Wpadało w ucho.
- *The buckle boys are back in town* - Algotsson zaczął to powtarzać raz za razem, równie mechanicznie jak wcześniej.
- Wcześniej mówiłeś o Szkocji - powiedział Winter do Ringmara, ale również do Algotssona. - Szkocja.
- *Cullen sink* - dodał Algotsson, a potem zamilkł.

Winter wciąż słyszał te słowa. Nie doszedł jeszcze do łóżka. Zatrzymał się w połowie przedpokoju. *Cullen sink*. Cholernie dziwne słowa. Brzmiały po szkocku, ale co oznaczają? A może staruszek powiedział coś innego? *Collie skink? Collie sink? Czy powiedział sink?* W chwili kiedy o tym pomyślał, zaczęło kapać z kuchennego kranu. Takie coś słyhać tylko w nocy. Irytujący odgłos, którego można się pozbyć jedynie wymieniając uszczelkę. Kolejna kropla spadła do zlewu.

Wrócił do salonu. Zegar na ścianie wskazywał już nie trzecią, ale wpół do piątej. Na dole słyhać było pierwsze tramwaje. I ciężarówkę. Przywiozła chleb albo mąkę do piekarni na dole. Nagle tuż za nim na podłogę spadła gazeta. Ktoś ją wsunął przez otwór na listy. Winter wciąż nie czuł się zmęczony. Podeszedł do regału i zaczął szukać wśród atlasów. Wyciągnął ten, który wydawał mu się najlepszy.

Szkocja.

The buckle boys.

Sink.

Zapalił lampę. Nie siadał.

Kartkował atlas. Strona szósta. Północna Szkocja. Znalazł Inverness. W głębi łądu, nad zatoką Moray Firth. Na górze Thurso i John O'Groats, ale teraz go to nie interesowało. Przyjrzał się nazwom miejscowości między Inverness i Aberdeen. Duża odległość, ale nie aż tak bardzo. Zaczął od strony łądu, przesunął się z zachodu na wschód. Dallas. To tylko mała kropeczka, ale znalazła się w atlasie. Pierwsze Dallas. Może ojciec i brat Steve'a właśnie

zaczynali doić krowy. A jego mama gotowała owsiankę, przepyszne szkockie danie narodowe.

Winter dojechał palcem do Aberdeen i pojechał dalej na północ. Peterhead. Fraserburgh na północno-wschodnim krańcu lądu. Dalej na zachód, z powrotem do Inverness, wzdłuż brzegu, miasteczko za miasteczkiem: Rosehearty, Pennan, Macduff, Banff, Portsoy, Cullen.

Cullen. Cullen jak *Cullen sink*.

A zatem znalazł Cullen. Między Portsoy i Portknockie. Coś mu podpowiadało, że to miasteczko.

Przesunął jeszcze palcem na zachód, ale doszedł tylko do najbliższego miasta.

Buckie.

The Buckie boys are back in town.

33.

Wrócił do domu. Tylko to miejsce nazywał teraz domem. Zszedł na plażę. Przed sobą widział wcinający się w morze masyw skał. Nazywano je Trzema Królami. Od zawsze wszyscy tak na nie mówili. Chodziło o morze, o to, żeby je opanować, być ponad nim.

Kiedyś to było miasto życia. Królewskie miasto przyszłości. Ale te czasy minęły.

Ani jeden trawler nie wypływał stąd na połów śledzi, żaden też nie wracał. Nie wędzono już łupaczy. Nie było ryb, nie było również drażniącego dymu. Kiedyś były tu trzy wędzarnie. Teraz dym śmierdział śmieciami. Unosił się nad domami próbujących się ogrzać biedaków. Dym unosił się do nieba. On też kamieniał.

Rozejrzał się. Dzień był niebieski. Niebo wyglądało jak rozbite młotkiem - zebrało się po bokach, a w środku było puste. Widać było Seatown, wiadukty, leżące w górze miasto, wznoszące się jeszcze wyżej wzgórze i rozciągające się ponad wszystkim błękitne niebo. Właśnie to chciał teraz oglądać. Dlatego tu przyszedł. Minał Castle Terrace i wspinał się na The Burn. Wciąż jeszcze mógł się wspinać. Dużo jeszcze mógł.

O Jezu!

Zmrużył oczy i zobaczył wodę i rufę. I sztorm, który dopiero nadciągał. Nie chodziło przecież o sztorm. Widział też twarze, oczy, ruchy i... oczy Fransa. Już po wszystkim. Kiedy już widział. Widział rękę, którą próbował do niego wyciągnąć Frans. Słyszał krzyk Egon. Jezu! Jezu, ocal mnie!

Zachwiał się i oparł, żeby utrzymać równowagę. Łupnęło go w biodrze.

Czemu nie potrafił zapomnieć?

*Gdzie one? Znikły? - Niechaj ten dzień zgubny
Klątwą opatrzą wszystkie kalendarze!*

Niektórzy, starzejąc się, zapominają wszystko. Mają szczęście, że dopada ich skleroza. Nic im nie zostaje. Wszystko znika, jak zmyte z pokładu. Cały brud znika za burtą. Wymyty pokład lśni w słońcu albo w świetle księżyca. Żadnych wspomnień. Żadnych śladów. Można iść dalej, uwolnić się od pamięci, pójść do Boga z oczyszczonym sumieniem.

Gdy wracał po piachu, kulał. Na plaży leżała martwa ryba. Z własnej woli dotarła na ląd, po to tylko, żeby umrzeć. Bo nikt jej tutaj nie znalazł. Słyszał, jak za jego plecami fale uderzają w Trzech Króli. Po chwili przestał słuchać. Usłyszał krzyk, ze środka. Powstrzymał go, zasłaniając uszy rękoma. A potem wypuścił.

W pubie The Three Kings siedział jakiś mężczyzna. Na początku go nie poznał. Jeszcze jeden. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie zawrócić, ale mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi. Obrzucił go tylko chłodnym spojrzeniem, jak obcy obcego, a potem wyjrzał na North Castle Street. W tym miejscu, pod wiaduktem, pokrywały ją wyraźnie zarysowane cienie. Na domu naprzeciwko układały się w ostre kąty, wyglądały jak graffiti. Za godzinę słońce przesunie się na tyle, że graffiti zniknie, a w jego miejscu będzie tylko gładki kamień. W miasteczku nie było prawdziwego graffiti. Młodzi, którzy mogliby je malować, gdy tylko mogli, wyprowadzili się na zachód i na wschód, do Inverness i Aberdeen. Ich miasteczko leżało dokładnie w połowie drogi. Pewnie wyjeżdżali stamtąd dalej, do Edynburga, Glasgow, niektórzy być może nawet do Londynu.

Zamówił piwo i whisky. Za barem stała kobieta, której nie znał. Nie była ani młoda, ani stara. Wyglądała, jakby była w drodze znikąd donikąd. Rozlała pianę na blat. Westchnęła i poszła po ścierkę. Kiedy ją przyniosła, poczuł jej zapach. Gdy spróbował piwa, poczuł, że pachnie tak samo. Potem sięgnął po whisky. Ci, którzy umieją pić, robią to w takiej kolejności. *Beer*

on whisky - mighty risky. Whisky on beer - neverfear.

Potem znów napił się piwa. Mężczyzna siedzący przy oknie wstał i ruszył do drzwi. Nagle się odwrócił i powiedział: do widzenia. Odpowiedział mu skinieniem. Kobieta za barem zrobiła to samo. Ale on wiedział, że żegnał się z nim. Nie podobało mu się to. Wypił szybko i wstał. Zabrał ze sobą whisky. Znów zaboląło go biodro. Zobaczył, jak mężczyzna zamyka drzwi zaparkowanego naprzeciwko samochodu. Potem ruszył Bayview Road i zniknął. Nie znał go, nigdy wcześniej go nie widział. Dlaczego się z nim pożegnał? Dopił whisky i odstawił na stolik, na którym wciąż stała szklanka po piwie nieznajomego.

Ruszył w stronę North Castle. Skręcił w prawo, w Grant Street, i doszedł do rynku. Stał tam pusty autobus. Pasażerowie i kierowca pewnie jedli lunch w Seafield Hotel. Prawdopodobnie jechali do Aberdeen. Tak było napisane na tabliczce na przedniej szybie.

Seafield Hotel nie był dla niego. Ani teraz, ani nigdy.

Nawet w Aberdeen nie bywał w takich miejscach.

Ale byli w Saltoun Arms Hotel we Fraserburgh.

Myli się w łazience, która lśniła czystością, niczym słońce wznoszące się nad morzem w bezchmurny dzień.

To było przedwczoraj wieczorem.

Czy ktoś wie? Ktoś, kto ich tam wysłał? Zaledwie dwa dni temu...

Zjedli obiad w pokoju pełnym ogromnych zielonych roślin. Ładnie pachniało. Jedzenie było ciepłe i smaczne. Na deser zjedli pudding, słodki i czerwony. Trząśł się jak brzuch morskiej ryby.

Nie był tam od tamtej pory.

Z hotelu wyszli ludzie. Wsiedli do autobusu. Pojechali w stronę Aberdeen.

Zatrzymali się przy Abercromby Jetty, a potem w Tidal Harbour. Tysięczny raz przeszedł przez Albert Quay

I przez Victoria Bridge. A potem w dół, do Timber Yards.

I znów w górę Commercial Quay.

Usiadł w pubie i wyglądał na Guilt Street.

Nie pozwoliliby mu uciec.

Wiedział o tym. Tak sądził.

Czekali na niego. Ktoś czekał.

Wspiął się stromymi schodami do Crown Street. Czy uda mu się dziś wejść tak wysoko? Może. Cóż, może nie dziś, kiedy boli go biodro. Może innym razem.

Poszedł prosto, a potem skręcił w Union Street. Wszędzie wokół widać było wojnę. Na wystawach sklepów, w ubraniach ludzi, w mundurach żołnierzy. Wszystko było ciemne. Wieki ciemne. Tak, właśnie takie były te czasy

Napisał list. Do rodziny.

Przypomniało mu się światło z mesy. Kiedy pisał, migało od wiatru.

Pytał o Axela.

Przez wszystkie te samotne lata myślał o tym liście.

Nie chciał go więcej widzieć. Pisząc go, był kimś innym niż teraz.

Ruszył Seafield Street, na południe. Oddalał się od morza. Minął hotel, Town Hall, i posterunek policji. Pewnie nikt by tam nie zwrócił

na niego uwagi. Nie sądził, żeby ktoś z młodszych wiedział, kim jest, że w ogóle istnieje. A starsi już odeszli. Wszyscy.

Skręcił na wschód, przeciął Victoria Place, Albert Terrace, ruszył z powrotem w stronę cmentarza. Nie wiedział, gdzie będzie na nim leżał. Nikt tego nie wiedział.

Kiedy wrócił i zszedł schodami do Seatown, nad morzem unosił się już mrok. Minął kogoś na schodach, ale znów stał się niewidzialny. Potrafił się pokazywać i znikać. Teraz mógłby wyciągnąć rękę, a i tak nikt by go nie zauważył.

Wieczorna bryza poruszała dziecięcymi ubrankami wiszącymi na sznurze przy domu koło schodów. W oknach było

ciemno, rolety były opuszczone.

Budka telefoniczna raziała jaskrawą czerwienią. Jakby była podświetlona. Czasem do niej wchodził, musiał z niej korzystać. Nigdy by nie przypuszczał, że do tego dojdzie. Na początku nie wiedział, jak się dzwoni, ale umiał przecież czytać. Ręce trzęsły mu się tak, że zanim mu się udało, musiał próbować kilka razy. A potem ją błagał.

Kiedy przechodził, telefon się rozdzwonił.

Wzdrygnął się. Poczul ból w biodrze. Szedł dalej przed siebie, nie rozglądając się. A telefon dzwonił i dzwonił.

Gdy wrócił do domu, napalił w kominku. Pod jego nieobecność zrobiło się wilgotno. Nie zdjął kurtki. Najpierw zapłonęły gazety, potem zajęły się ułożone pod nimi patyki. Wyciągnął ręce do ognia, żeby je rozgrzać.

Wpatrywał się w płomień. Zaczął się robić coraz większy. Zasysało go do góry powietrze krążące spiralnie w wyciągu. Wyglądał jak rozpalone do czerwoności żelazo. Tak. Wszędzie wokół pełno było kamieni i rozpalonego żelaza, ale już nie miał kto trzymać młotów.

Zawinęli do dawnej stolicy, w której zbierali się rybacy. Wtedy miasto przypominało zatłoczone targowisko nad otwartym morzem.

Pojechał tam i dostał wiadomość, która teraz paliła go w kieszeni kurtki. Jakby od środka trawił ogień. Minął stocznię. Zobaczył dwa zardzewiałe statki. Tkwiły w czerwonym błocie, jakby do niego przymarzły. Było cicho, żadnego stukotu.

Kolejny raz dostrzegł pomnik. Przypomnił sobie, że kiedyś tam był.

Wysłał tę wiadomość za morze. Wiedział, że teraz to Hanstholm jest drugą po ojczystej przystanią dla łodzi z jego starej wyspy. Tam przechowywali i sprzedawali towar.

Tych kilka łodzi z wyspy.

Przed wojną było ich tam czterdzieści.

Płynęli dwadzieścia godzin na zachód, dwieście mil morskich. Wyruszyli w poniedziałki.

Zatrzymywali się. Porządnie wiązali włoki. To była prawdziwa sztuka. Dziś nikt tak nie potrafi.

Ciągnęli włók na głębokości stu sążni.

Brakowało mu tego. W każdej chwili.

Potem wyciągali go ręcznie. Za tym też tęsknił. I za wielkimi falami, które czasem przelewały się przez burtę. I za prędkością trzech węzłów. Za ostatnim połowem, ostatnim wyciągnięciem włoka przed nocą. Potem zarzucali kotwicę i czekali. Zapalali światła kotwiczne.

W piątki dopływali z towarem do Fiskehamnen. Z dwustoma skrzyniami. Wiedział, jak dosypywać lodu do skrzyń.

Bertil stał w kabinie. Egon obsługiwał silnik. Arne zajmował się narzędziami.

On i Frans odwalali całą resztę, całą brudną robotę. Byli najmłodsi. Biegali po pokładzie w tę i z powrotem, potykając się i ślizgając. Podnosili włók, rozsypywali węzeł i zrzucali ryby do kontenera. Sprzątali. Ręce mieli czerwone i zgrabiące z zimna.

Musieli przygotowywać jedzenie. Na łodzi zawsze robili to najmłodsi.

Ostatni szli spać i pierwsi wstawali.

Ciągniemy!

I lecieli z robotą.

Potem sam stanął za sterami.

Łowili w ciemnościach.

Całą noc.

I płynęli dalej na wschód.

Boże!

Śpiewał wtedy w zgromadzeniu kościoła misyjnego.

Prawie połowa mieszkańców wyspy do niego należała.

Zawsze mieli na pokładzie Biblię.

Na morzu dobrze było mieć się do kogo zwrócić.

Ojciec mawiał, że jakkolwiek by się układało, zawsze najlepiej układa się tym, którzy kochają Boga.

34.

Angela obudziła się zdecydowana. O ile uda się to załatwić z Elszą. I o ile nie będą tam za długo.

- Ale przecież zawsze mogę wrócić wcześniej - powiedziała.
- Osobne samoloty i takie tam, już o tym rozmawialiśmy.
- Dzwonię do Lotty - powiedział Winter.
- Nie zapomnij o mamie.

Niewiarygodne, ale Siv Winter w pół minuty zdecydowała, że przyjedzie do Göteborga i zostanie tak długo, jak długo będą w Szkocji. Miała mieszkać u Lotty. Lotta miała wziąć kilka dni wolnego.

- Wszyscy się zwalniają, więc czemu ja nie mogę?

Steve Macdonald też wziął wolne. Winter zadzwonił do niego przed południem.

- Mój ojciec nie czuje się najlepiej, więc i tak muszę tam pojechać.

- Przykro mi to słyszeć.

- Dojdzie do siebie.

- Angela też jedzie. Ale najpierw chciałyby porozmawiać z Sarą.

- Sara powiedziała to samo.

- Wczoraj rozmawiałem z jednym z tych, którzy się wtedy uratowali. - Winter opowiedział o rozmowie, czy jak to nazwać, z Arnem Algotssonem.

- Powiedział coś. Według mnie brzmiało to jak *Cullen sink*. Z atlasu wynika, że Cullen to miejscowość. *Cullen sink* czy jakoś tak.

- *Cullen s k i n k* - powiedział Macdonald ze śmiechem. - Własnym uszom nie wierzę.

- Co to jest?

- *Cullen skink* to miejscowy specjał. Zupa z wędzonego łupacza, ziemniaków, cebuli i chyba mleka.

- Aha.

- Więc staruszek wspominał zupę.

- Musiała na nim zrobić wrażenie.

- Wędzony łupacz zazwyczaj robi wrażenie.
- Zaskakujące składniki.
- Co ty wiesz o życiu? - zażartował Macdonald.
- Zatem musiał kiedyś być w Cullen.
- Albo próbował zupy. Można ją dostać w całej Szkocji.
- Możliwe.
- Niestety.

Winter usłyszał, jak Macdonald śle mu z południowego Londynu kolejny uśmiech:

- Podobnie jest z zapachem wędzonego albo smażonego łupacza. Myślisz, że dlaczego przeprowadziłem się do Londynu?

- Ale przecież Londyn jest znany z tego, że jest miastem smogu.

- Ale to już inny zapach - powiedział Macdonald.

- Mówił też o innym mieście na wybrzeżu. Chyba o Buckie - dodał Winter. - Kojarzysz?

- Przecież mówimy o moich rodzinnych okolicach - odparł Macdonald. - Buckie? To typowa przystań rybacka. Podczas wojny i parę lat po niej największa w regionie.

- No to wspominał o Buckie. Tak przynajmniej to brzmiało.

- A nie nagrałeś tej rozmowy, komisarzu? - zapytał Macdonald.

- Nie było cię tam. A ja nie byłem wtedy komisarzem.

- Buckie - powtórzył Macdonald. - Jest tam świetny hotel. Cluny Hotel. Taki z wiktoriańskim rozmachem. Zresztą hotel w Cullen też jest niczego sobie. Jest dość znany w okolicy, ale nie pamiętam nazwy.

Bergenheim szukał skradzionych przedmiotów. To była większa akcja, zaangażowano ludzi z całego miasta. Przemierzał ziemię niczyją na północ od Brantingsmotet. Ångpannegatan, Turbingatan. Tropów miał niewiele, ale kilka warto było sprawdzić. Chodziło właśnie o określenie wartości. Nikt nie robił niczego dla ludzkości. Zawsze trzeba było mieć jakiś powód. Czasem chodziło o zemstę, czasem o zazdrość, czasem o skalkulowane usługi i przysługi, czasem o zawód, czasem o

arogancję, a czasem o zwykły błąd. Dokładnie tak jak w tak zwanym społeczeństwie. Świat podziemia nie różni się od świata na powierzchni. Wszystko tu ma swoją cenę.

Jedno z zapomnianych rond rozświetlała stacja benzynowa. Tuż obok paru kolesi kucą nad lunchem: na lunch mieli wódkę. Bergenhem odpalił Led Zeppelin i jeździł, szukając kolejnego adresu. Robert Plant zawodził: *Stairway to heaven*. Zrobił głośniej. Przed oczami miał loki Planta. Widział Zeppelinów w Kopenhadze. Ta fryzura zdawała się przykrywać całą scenę. A Jimmy Page wyglądał, jakby się podpierał gitarą jak kulą. Był taki wysoki, że sięgał nieba. Oni naprawdę potrafili grać. Bonham, mimo że niedługo miał umrzeć, walił w bębny jak oszalały. Na scenie był jak nowo narodzony. Jezu. Minął kolejne rondo i podjechał pod magazyn. Wyłączył silnik. Rozejrzał się i wybrał numer centrali, która nadzorowała tę akcję. Nie wiedzieć czemu umieścili ją w Kvillebäcken. Może skusił ich znajdujący się obok McDonald.

- Jestem przed budynkiem - powiedział.
- A gdzie twój partner? - z radia dobiegł trzeszczący głos.
- A nie miał tutaj ktoś czekać? Gdzie miał być?
- Miał tam czekać.
- To chyba mu się znudziło - powiedział Bergenhem. W tym momencie zobaczył małą ciężarówkę. Wjechała na jedną z platform i stanęła. Kierowca nie wyłączył silnika.
- Jest jakiś samochód - powiedział do radia. - Ciężarówka z plandeką. Wygląda na prywatną.
- Co robią?
- Nikogo nie widać. Czekają z włączonym silnikiem. Stoją przy platformie D.
- Widzą cię?
- Jeśli kierowca obróci głowę o sto osiemdziesiąt stopni, to mnie zobaczy.
- To tam miał czekać ten drugi - zaskrzeczał głos. - Dokładnie tam.
- W takim razie dobrze, że nie czekał - stwierdził Bergenhem. Zobaczył obłok dymu unoszący się z rury wydechowej. Ciężarówka ruszyła. - Odjeżdżają!

- Kurwa!
- Mam czekać czy jechać za nimi?

Radio znów zaskrzeczało, i to głośno, jakby ktoś pocierał zardzewiałym metalem o kamień.

- Zaraz znikną - powiedział Bergenhem.
- Jedź.

Bergenhem dyskretnie wyjechał z kanciastego półkola, wokół którego stały magazyny, zardzewiałe kontenery ustawione jeden na drugim jak klocki.

- W magazynie może ktoś być - powiedział do radia.
- Już jedziemy.

Aneta zamieniła parę słów z Ringmarem.

- Naprawdę?! - krzyknęła.
- Mieszkanie nie zdąży ochłonąć - powiedział Ringmar. -

Ten Lindsten działa na pełnych obrotach.

- Pogadam z nim.
- Wstrzymaj się kilka dni.

Aneta pomyślała o Lindstenach. Mieszkanie niby należało do córki, a w praktyce do ojca. Hans Forsblad w ogóle się tam nie pokazywał. Ani w mieszkaniu, ani w okolicy. Anette niby mieszkała u

rodziców, ale tego nie można było być pewnym. Siostra Forsblada, Susanne, jako jedyna miała stałe miejsce zamieszkania, nie licząc pana i pani Lindsten. A oni bez przerwy krążyli między domkiem letniskowym w Vallda a willą we Fredriksdal. Gdzie jest teraz Anette?

- No dobrze - powiedziała do Ringmara. - I tak mam co robić.

Bergenhem czekał naprzeciwko Frihamnen. Wydawało mu się, że kierowca ciężarówki go nie zauważył. Przecież stałem w mało widocznym miejscu, pomyślał. To nie przeze mnie odjechał. Może z drugiej strony podjechał drugi policjant, a ja go nie widziałem.

Podjeżdżewali, że magazyny są pełne skradzionych towarów.

Prawdopodobnie wciąż dowożono kolejne.

W tej ciężarówce, scanii, też pewnie były kradzione rzeczy. A może po prostu przywieźli towar do magazynu, żeby potem przekazać go paserom. Nie brakowało ich w Göteborgu.

Najpierw wydawało mu się, że pojechali w stronę Ringön, ale potem zwolnili na wiadukcie i skierowali się w stronę mostu.

Aneta wybrała numer Anette Lindsten. Po dwóch sygnałach ktoś odebrał i powiedział coś, czego nie zrozumiała.

- Czy rozmawiam z Anette Lindsten?

Ze słuchawki dobiegł jakiś bełkot. Słysząc było przejeżdżające samochody.

A potem cisza - ten ktoś się rozłączył.

Zadzwoiła jeszcze raz.

Zajęte. Di-di-di-di-di.

Poczekala chwilę. Przeszła ceglanym korytarzem. Było sucho i chłodno, niczym nie pachniało. Minął ją Möllerström. Niósł wydruki w pudle. Nieznacznie kiwnął do niej głową na powitanie. Produkował tony papierów, a potem je nosił to tu, to tam. Chadzał własnymi ścieżkami. Obejrzała się za nim.

Czy pozwoliliby jej namierzyć telefon Anette? Nie, pewnie nikt się na to nie zgodzi, jeśli nie przedstawi konkretów.

Zadzwoił telefon.

Odebrała. Znow usłyszała samochody i niewyraźne mruczenie. I w końcu czyjś głos:

- Halo, Aneta?

Bergenheim. Słyszała go teraz, ale kiepsko. Szum ulicy go zagłuszał, a w tle słysząc było coś, co przypominało tykanie ogromnego zegara.

- To ja.

- Gdzie Möllerström?

- Tacha kartony. A czego się spodziewałeś?

- Możesz dla mnie sprawdzić jeden numer rejestracyjny?

Bergnhem jechał za ciężarówką przez Polhemsplatsen. Kierowca kolejny raz się zawahał i w ostatniej chwili skręcił w Odingsgatan. Przejechał na żółtym. Samochód osobowy jadący sąsiednim pasem musiał ostro zahamować i zjechać na lewo.

Żeby nie tracić czasu, Bergnhem wykonał niedozwolony manewr i minął go tak, żeby nie stracić z oczu ciężarówki. Łatwo ją było rozpoznać - plandeka była niebiesko-biała, w kolorach herbu miasta, a z tyłu niczym ogon zwisała lina.

Ale to ja jestem ich ogonem, pomyślał Bergnhem.

Przejechali przez Odinsplanen i ruszyli na wschód, ulicą Friggagatan. Skręcili obok Olskroksmotet. Kierowca ciężarówki znów się zawahał, jakby ktoś odwrócił jego uwagę. Pewnie rozmawia przez telefon, pomyślał Bergnhem. Może ktoś mu mówi, jak ma jechać.

Jechali dalej Redbergsplatsen, minęli Bagaregården i znaleźli się na Gamlestadsvägen.

Zadzwoił telefon.

- Tak?

- Samochód należy do Bernera Lindströma - powiedziała Aneta.

- Z Göteborga?

- Co ciekawe, numery ma kradzione. Bo mówiłeś, że to ciężarówka, tak?

- Tak, ale powtórz jeszcze nazwisko.

- Berner Lindström. Opel kadett caravan, model z dziewięćdziesiątego pierwszego. Dwa tygodnie temu ukradli mu tablice w Falkenberg. Oczywiście od razu zgłosił to na policję.

- No to znaleźliśmy jego blachy - odparł Bergnhem i skręcił w prawo, w Artillerigatan. Musiał zwolnić, żeby przepuścić inną ciężarówkę, która jak pocisk wyskoczyła z Gamlestadstorget. Przyglądał się autom z przodu, ale nigdzie nie zauważył niebiesko-białej plandeki. Kurrr...

- Gdzie jesteś? - zapytała Aneta.

- Zgubiłem go - odpowiedział Bergnhem. Zaciśnął pięści i walnął w kierownicę. Przyspieszył do siedemdziesięciu, tuż przed rondem spojrzał w lewo i zobaczył niebiesko-białą

plamę.

- Lars? - odezwała się Aneta.
- Mam go! - krzyknął, ale raczej do siebie niż do niej.
- Gdzie jest? Gdzie jesteście?

Berghemem minął kolejne rondo.

- Na Kortedalavägen.
- Co?!
- Jedziemy na północ, w stronę Kviberg.
- Najwidoczniej wszystkie drogi prowadzą do Kortedala.
- Teraz skręcam w stronę Kortedala Torg.
- O cholera.
- Mijam komisariat. Ciężarówka przed chwilą zrobiła to

samo.

- Myślisz, że cię widzieli?
- Nie.
- Jesteś pewien?
- Nie. Ale... wygląda to tak, jakby kierowca był zajęty czymś innym. Chyba ktoś go prowadzi. Jest nietutejszy.

- Gdzie jesteście teraz?

- Zgadnij.

- Skręćcie przy Uno X-tappen - powiedziała Aneta.

- Bingo.

- Myślisz, że dalej też trafię?

W jej głosie słychać było ekscytację.

- Zobaczmy... jadą w prawo... wjeżdżają na podwórko przed domem... podjeżdżają pod klatkę... tak, pod tę... mijam ich... patrzę w lusterko... piątka, stamtąd zgarnęliśmy tego kolesia, tego Fors-cośtam. Teraz ktoś wysiada. Muszę skręcić w lewo.

- Jadę - powiedziała Aneta już w biegu.

Winter zadzwonił na Donsö. Odebrał Erik Oswald. Wrócił do domu w nocy. Katamaran z Frederikshavn miał spore opóźnienie z powodu wiatru i fal.

- Czuję się trochę bezradny - powiedział Oswald. Winter nie bardzo wiedział, o co mu chodzi.

Oswald wyjaśnił. Chodziło o to, że stracił kontrolę. Głównie nad sobą.

Wspomniał też o żalu. Już nikt nie będzie się dla niego wśluchiwał w prognozy pogody.

- Ani razu nie zadzwonił, kiedy byłem na morzu - dodał. - Muszę przyznać, że byłem mu za to wdzięczny.

Wspomniał o ostatniej wyprawie. Sam z siebie, nie musiał go pytać. Wiadomość od Johanny przyszła, gdy mieli na morzu trudny moment.

Oswald mówił, a Winter słuchał. Chyba tak będzie mu łatwiej poradzić sobie ze smutkiem.

- Najlepiej znaleźć łowisko, na którym nie obowiązują limity. I dobrze, żeby były tam większe ryby. I właśnie wyglądało na to, że się nam udało.

- Co znaleźliście? - zapytał Winter.

- Żabnice i raki - odparł Oswald. - Znaleźliśmy ich kryjówkę. Szukaliśmy i trafiliśmy na ich rejon. Nie wypływają poza to miejsce. Chyba nikt tam wcześniej nie był, bo dno jest kiepskie. I złowiliśmy strasznie dużo żabnic.

- To droga ryba.

- Złowiliśmy miliony sztuk.

- Świetnie.

- Ale mocno uszkodziliśmy włók. Te ryby chowają się blisko dna, często tylko przeciąga im się siecią po grzbietach. Ale my trafiliśmy głębiej.

- Rozumiem.

- Żabnice, jak inne ryby, przeniosły się na norweskie wody - dodał Oswald.

Winterowi zdawało się, że słyszy w jego głosie zdumienie.

- Mogę do was wpaść za godzinę?

- Po co?
- Chcę wam zadać kilka pytań.
- A nie możemy tego załatwić przez telefon?
- Wolałbym nie.
- Aha... To kiedy będziesz?
- Mogę być na wyspie za jakąś godzinę.
- Ale chyba wtedy nie ma żadnego promu?
- Już to załatwiłem.
- Rozumiem. Wiedziałaś, że już będę? -Nie.
- Akurat.
- Znalazłeś listy? - zapytał Winter.

Podczas ostatniego spotkania postanowili, że on i Johanna poszukają listów Johna Osvalda do rodziny. Może im się uda coś znaleźć.

- Mamy kilka. Były w rzeczach taty. - Oswald zamilkł na chwilę. - Nigdy ich nie widziałem. - Znów zrobił pauzę. - Jeszcze ich nie czytałem.

- Będę za godzinę.
- Więc to o nie chodzi?

Erik Oswald czekał na pomoście. Był błądy. Jego trawlera nie było w przystani. Na jego miejscu ziała pusta dziura. Winter wiedział, że byli

już w drodze powrotnej na zachodnie wody, gotowi na kolejne poszukiwania: żabnic, dorszy i łupaczy. Wędzonych łupaczy. Nie. Duńskie, szwedzkie i szkockie trawlerzy szukały ryb, które dopiero potem miały trafić do wędzarni i smaźalni. Dorsze wylądują na stołach w Brukseli. Członków załogi nie było stać na to, żeby na pokładzie jeść tak drogie ryby. Musieli się zadowolić wieprzowymi i wołowymi kotletami z promocji. Winterowi przypomniało się, co Oswald mówił o chorobie wściekłych krów.

Tam, na morzu, robili, co chcieli. Byli panami. Umykali Norwegom, którzy pilnowali przede wszystkim Morza Barentsa. A Holendrzy łowili przede wszystkim fladry. Nie byli więc żadną konkurencją.

Oswald pomógł Winterowi wysiąść z policyjnej łodzi na

pomost. Kilku chłopaków na rowerach zmierzyło go wzrokiem. Oswald machnął na nich ręką i grupa się rozjechała. Oswald się uśmiechnął. Jeden z chłopaków poderwał rower jak konia.

- Mój syn - powiedział Oswald.

- Też będzie rybakiem?

- Dostanie swoją szansę. Jak skończy dwudziestkę, będzie musiał zdecydować, jak chce żyć. - Oswald ściągnął czapkę i przejechał dłonią po włosach. Już zaczynały się przeredzać. Czoło miał czerwone, szorstkie od soli, wiatru i wody. - Potem jest już za późno.

- Trudno zebrać załogę? - zapytał Winter.

- Nie.

- Dużo łodzi stąd można spotkać na morzu?

- Nie.

- Aha.

- Na wyspie dokonała się duża pokoleniowa zmiana, ale przebiegła nie tak, jak powinna. - Oswald wszedł już między budynki, Winter podążał za nim. - Starsi, ci w wieku ojca i starsi, byli wściekli. - Oswald mówił, patrząc przed siebie.

Nie patrzył na Wintera. Nad nimi skrzeczały mewy Na skale przysiadła rybitwa. - Starsi nigdy się nie przenosili. Mieli stałe załogi. I to naprawdę było mądre. Ale nie dopuszczali młodszych. - Oswald spojrzał na Wintera. - I wtedy niewykształceni rybacy dostali szansę: mogli zostać marynarzami na promach Steny. I sporo ludzi się tam przeniosło. - Mówiąc to, Oswald machnął ręką, jakby demonstrował skok. - Ale oczywiście potem już nie mogli wrócić do połowów. Ani wtedy, ani teraz.

- Dlaczego?

- Bo dziś potrzeba naprawdę dużych pieniędzy, żeby sobie wyrobić pozycję. Widziałeś przecież moją łódź. Nie jest tania. Trzysta dwadzieścia ton brutto, tysiąc trzysta koni. Obrócił się, jakby łódź stała na przystani i jakby mógł mu ją pokazać. - Gdybyśmy ją teraz sprzedawali, dobrze by nam zapłacili.

- A chciałbyś ją sprzedać?

- Nigdy. Unia Europejska chce, ja nie.

Erik Oswald mieszkał w starym domu. Obaj musieli się pochylić, wchodząc, ale w środku sufity były wysokie. Ten w salonie wyłożono drewnem. Było tam też duże okno, przez które wpadało dużo światła. Widać było przez nie skały, morze i horyzont. Piękny pokój.

Winter usłyszał coś za sobą i odwrócił głowę.

- To kot - wyjaśnił Oswald. - Nie jesteś uczulony?

- Właściwie to nie wiem. Nigdy nie miałem kota.

- Ale chyba jakiegoś głaskałeś?

- Nie.

- Nie?

- Nie - potwierdził Winter. Pierwszy raz to sobie uświadomił i stwierdził, że to nie jest normalne. Facet po czterdziestce, który nigdy w życiu nie głaskał kota. Naprawdę potrzebował domu za miastem.

- No to masz okazję - powiedział Oswald. Pochylił się i podniósł małego, czarnego jak węgiel kota. Wyciągnął ręce do Wintera. Winter pogłaskał go pod brodą i po głowie. Miał za sobą kolejne doświadczenie. Oswald wypuścił kota. Uciekł z pokoju miękkim krokiem.

- Mieliśmy tu jego babcię... Tak, to było tego lata, kiedy ty i Johanna się spotykaliście.

- Ale nigdy tu nie byłem.

Rzeczywiście nie był. A mógł stanąć w tym pokoju ponad dwadzieścia lat temu i patrzeć na to samo morze, które widział teraz, i na te same kanciaste skały. Mieszkali tu rodzice Johanny i Erika. Erik wprowadził się, kiedy ojciec przeniósł się do przybudówki. Johanna miała własny niewielki dom bliżej szkoły.

- Rozmawiałaś z Johanną? - zapytał Oswald.

- Tak. A ty?

- Jasne, że tak. Jak mógłbym nie rozmawiać?

- Pytam, czy rozmawiałaś z nią po powrocie. Wiesz coś więcej o tym, jak wróciła?

- Rozmawialiśmy dziś rano. Lekarz, to znaczy patolog, chce coś sprawdzić. Ale przecież wiesz.

To zależy, pomyślał Winter. Dziś jeszcze nie miałem wieści.

- Wiesz, o co w tym chodzi? - zapytał Oswald.
- Dziś jeszcze nie dostałem wiadomości.
- Nie to miałem na myśli. - Oswald spojrział na niego jasnymi oczami. Były koloru styczniowego nieba, a wokół źrenic jakby rozjaśnione. Wszyscy tu mieli takie oczy. Byli wystawieni na słońce, a żaden szanujący się rybak nie nosi okularów przeciwsłonecznych. Na południowych szkiecach tylko turyści noszą ciemne okulary. - Chodziło mi o to, dlaczego on umarł.

Dopiero teraz zaczęli mówić o jego ojcu.

- Wiem tylko, co powiedzieli najpierw: że to zawał.
- Wierzysz w to?
- Wierzyłem.
- A teraz? - powiedział Oswald.
- A mogło być inaczej?
- To chyba pytanie do ciebie, co? To ty jesteś śledczym.
- Ale gdybym cię poprosił, żebyś się jednak nad tym zastanowił?
- Jeszcze do tego nie doszedłem. I nie jestem pewien, czy kiedykolwiek dojdę. - Ruszył do drzwi. Zatrzymał się. - Czy to ma jakiś sens?
- Nie wiem - odparł Winter.
- A jednak chyba nie uznałeś tego wyjaśnienia za ostateczne?
- Czy kiedykolwiek podczas pobytu twojego ojca w Szkocji coś się stało? Kiedy szukał tropów, wskazówek co do tego, co się stało z jego ojcem?
- On nie szukał tropów.
- Nie?
- Nie w tym sensie. Wszyscy się pogodziliśmy z tym, że dziadek utonął razem z tym statkiem. „Marino”. Tata próbował raczej znaleźć wskazówki dotyczące tego, jak do tego doszło. Rozumiesz? On nie szukał... dziadka. Nic z tych rzeczy.
- Sam ci to wszystko powiedział?
- A to aż tak dużo?
- Sam ci powiedział o tym, o czym przed chwilą mówiłeś?
- Mniej więcej. A przynajmniej tak myślał.

- W takim razie ta wiadomość musiała być prawdziwym szokiem.

- Nie wiem.

- Nie było cię wtedy w domu?

- To swoją drogą. Ale wydaje mi się, że tata... On wciąż uważał, że właściwie w tej sprawie nie pojawiło się nic nowego. Że chodziło raczej o okoliczności.

- Niejasne okoliczności.

- Można tak powiedzieć.

- Ile mu się udało wtedy dowiedzieć?

- Dowiedział się tylko tego, co wszyscy już wiedzieli: że łódź wypłynęła, ale nie wróciła.

No tak, tak można to ująć w największym skrócie, pomyślał Winter.

- Ale nie cała załoga była wtedy na pokładzie - powiedział Winter.

- Nie, mieli szczęście.

- Ale dlaczego ich nie było?

W zależności od tego, kogo się pytało, słyszało się różne odpowiedzi. A teraz nie ma już kogo pytać. - Osvald zrobił krok w przód. - Zaraz przyniosę listy.

36.

Bergnhem przyglądał się ciężarówce. Dwaj mężczyźni, którzy z niej wysiedli, też stali przy aucie. Czegoś wypatrywali. Może na coś albo na kogoś czekali.

Starszy spoglądał na zegarek.

Bergnhem zaparkował w przecznicy po drugiej stronie Fastlagsgatan. Stanął w rzędzie samochodów. Lata świetności wszystkie miały już za sobą. Jego służbowe auto wyróżniałoby się, gdyby nie było takie brudne.

Porozumiał się przez radio z dowodzącym operacją, Meijnerem. Przeniósł się już do innego lokalu. Mówił tak, jakby odpowiadając mu, coś żuł. Pewnie hamburgera. Do tego ten pogłos.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział. - W magazynie.

- Ja wylądowałem w Kortedala.

- Gdzie ciężarówka?

- Stoi pięćdziesiąt metrów ode mnie.

- Dobrze. Najprawdopodobniej są w niej skradzione towary.

- Myślę, że jest pusta. Chyba chcą coś do niej załadować. - Bergnhem zobaczył, jak młodszy mężczyzna zapala papierosa.

- Co mam robić?

- Miej ich cały czas na oku.

- A jak to wygląda u was?

- Znaleźliśmy wyposażenie połowy domów w Göteborgu - odparł Meijner. - Mamy tu prawdziwą Ikeę.

- Więc i ta dzielnica doczekała się swojej Ikei.

- Na to wygląda.

Bergnhem widział, jak mężczyźni zaczynają krążyć wokół ciężarówki, zupełnie jakby była ich. Naradzali się, co zrobić dalej.

- Czy to na pewno kradzione przedmioty? - zapytał.

- Część już zidentyfikowaliśmy - wyjaśnił Meijner.

- No to OK.

Jakiś samochód przejechał przed blokiem i zaparkował za ciężarówką. Wysiadł starszy mężczyzna. Bergnhem zanotował

numer rejestracyjny.

Cała trójka chyba wdała się w dyskusję. Ten, który przyjechał ostatni, wskazał do góry, a potem w drugą stronę. Jeden z facetów z ciężarówki, ten młodszy, wzruszył ramionami. Jego starszy kolega zaczął wsiadać do samochodu. Ten nowy zaczął kręcić kółka w powietrzu.

Bergenheim pomyślał, że wygląda na to, że doszło do nieporozumienia.

Facet, którzy przyjechał na końcu, rozejrzał się i wszedł do klatki.

Ci z ciężarówki odpalili silnik. Ciężarówka wypluła chmurę dymu z diesla, najgorszego gatunku. Bergenheim musiał podjąć decyzję. Kiedy ciężarówka go minęła, włączył silnik. Prowadził ten młodszy. Starszy rozmawiał przez komórkę.

Bergenheim wycofał i ruszył za nimi, na południe. Trzysta metrów dalej natknął się na Anetę. Widział, że go zauważyła. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak wybiera numer. Zadzwoił jego telefon.

- Chyba coś przeoczyłam.
- Zaczynamy od nowa.
- Co się stało?
- Nic. Nie weszli.
- No proszę.
- Przyjechał jeszcze jakiś facet.
- Opowiadaj.

Kolejny raz minęli komisariat. Wyglądał na opuszczony. Nie stał przed nim ani jeden samochód, nikt nie wchodził ani nie wychodził.

Nikogo nie wprowadzano ani nie wyprowadzano. Bergenheim zastanawiał się, czy tego też nie zamknęli na dobre, jak ten w Redbergslid.

- No więc przyjechał ten trzeci koleś. Starszy. I wszedł do domu, a ci dwaj odjechali. - Bergenheim skrzył w lewo. - Tym samym wejściem co ostatnio.

- Jest tam teraz? - zapytała Aneta.

- Tak sądzę. Wszedł pięć minut temu. Samochód zostawił pod domem. Zapisałem numery. Potrzebujesz ich?

- Potem się tym zajmiemy. To na razie.
- Aneta! - krzyknął Berghem, zanim odłożyła słuchawkę.
- Nie wspominaj mu o ciężarówce.
- Jasne, że nie.
- Zdzwonimy się potem.

Berghem jechał tymi samymi ulicami, tym razem na południe. W tę i z powrotem do Kortedala, pomyślał, mijając Olskroken. Wjechali na Friggagatan, jechali w stronę centrum. Przy Odinsplatsen Berghem zobaczył, że ciężarówka skręca w lewo. Pojechał za nią dalej, przez rzekę, potem minął światła i wjechał na Skånegatan. Minął kolejny posterunek. Najwidoczniej facet jadący przed nim lubił mijać komisariaty.

Aneta zaparkowała za samochodem Siggego Lindstena.

Winda była na górze. Wcisnęła guzik i czekała, nasłuchując wiatru. Poświstywał na schodach, w górę i w dół. Rozbrzmiewał głośno, jak ludzkie głosy.

W windzie patrzyła wprost przed siebie, na ścianę, na której kiedyś wisiało lustro. Teraz widziała tam tylko czarne kółka namalowane farbą, której nigdy nie da się zmyć. Zdawało jej się, że od ostatniego razu kółek przybyło.

Drzwi były otwarte. Zapukała, dwa razy.

Sigge Lindsten wyszedł z kuchni. Nie wyglądał na zdziwionego.

- Co tym razem? - zapytał tylko.
- Wciąż tu pusto - zauważyła Aneta.
- No tak.
- Nikt się nie wprowadził po Anette?
- Nie.
- Dlaczego?
- A co to za różnica? Zresztą nawet gdyby się wprowadził, chyba mogę robić, co mi się podoba? To moje mieszkanie, nie?
- A co u Anette?
- Chyba dobrze.
- Gdzie teraz jest?
- W domu. Ale niech pani będzie tak miła i zostawi ją w spokoju.

- Forsblad się nie odzywał?
- Nie.
- A jego siostra?
- Też nie.
- A co państwo sądzą o jego siostrze?
- Nic. Czy teraz mogę wrócić do swoich zajęć?
- Po co pan tu przyjechał? - zapytała.

Sigge Lindsten nie odpowiedział. Cofnął się i zniknął w kuchni. Aneta weszła do przedpokoju i zobaczyła, że Lindsten stoi przed szafką. Odwrócił się gwałtownie, kiedy ją zobaczył. W jego oczach dostrzegła coś, co kazało jej natychmiast się wycofać. Wyszła na klatkę i zbiegła trzy piętra w dół, potem pięć, sześć, i dalej, dopóki nie znalazła się przy drzwiach. Była zaskoczona, kiedy wracała do samochodu. Było jej zimno. Co się stało?

Winter przeczytał listy, jeden po drugim. Krótkie wiadomości od młodego Johna Osvalda do młodej żony. Niezgrabne pismo. Bez dat. Ale w drugim było odniesienie do czegoś, o czym była mowa w pierwszym. Przeczytał je jeszcze raz. Potem podniósł wzrok.

- Czy twój ojciec opowiadał o tych listach?
- Nie.
- Czytał je?
- Leżały w jego sypialni. Musiał je skądś wyciągnąć. Było tam jakieś pudełko. Stało na regale, zawsze otwarte. Myślę, że właśnie tam je trzymał.
- Są jeszcze jakieś inne?
- Nie znaleźliśmy nic więcej. A, jak mówiłem, ojciec o tym nie wspominał.
- Dlaczego?
- A dlaczego miałby wspominać? To było dla niego trudne. Sam nie wiem. Widzisz, że w tym drugim liście ojciec go pozdrawia i...

Nie dokończył.

- Wygląda na to, że ten drugi list został napisany gdzie indziej - powiedział Winter.

- Może.

Winter zacytował:

- Mamy nadzieję, że tutaj będzie nam lepiej.

Popatrzył na Osvalda.

- Więc się przemieszczali.

Osvald przytaknął.

- Pewnie chodziło o Peterhead.

- A było im tam lepiej? Jak pisał?

- Nie wiem. Z tego co wiem, nikt nam na to pytanie nie odpowie.

- Posłuchaj. - Winter czytał dalej: - To, o czym słyszałaś, to nie tak, jak myślisz. Musisz mi uwierzyć. - Winter podniósł wzrok. - Najwyraźniej odnosi się to do czegoś, o czym pisał wcześniej. Albo do czegoś, o czym ona słyszała od kogoś innego.

- Możliwe.

- A twoja babcia... nigdy o tym nie mówiła?

- Nie przypominam sobie. Byliśmy mali, kiedy umarła.

Jak twoja mama, pomyślał Winter. Obie panie Osvald zostawiły dzieci, ich mężowie zresztą też. Teraz dzieci miały tylko siebie, wszyscy inni odeszli. Dwóch braci zginęło na morzu, u wybrzeży Szkocji. Mało brakowało, żeby można było to zobaczyć z lądu. A teraz także ojciec Johanny i Erika tam zginął.

Erik miał rodzinę, żonę i syna. Johanna miała brata. Zastanawiał się, jak musiała się czuć w Inverness. Nie był pewien, czy ją tam spotka, kiedy się tam znajdzie.

Osvald siedział bez ruchu, jakby medytował. Wpatrywał się w skały za oknem. Czy siadywał tak co drugi tydzień, kiedy był w domu? Tydzień na morzu, tydzień tutaj.

- Lecę tam jutro - powiedział Winter.

- Co?

- Jutro lecę do Inverness.

- Co ty mówisz? - Osvald chyba się wzdrygnął. Oderwał wzrok od okna.

- Zdziwiłeś się?

Osvald przeciągnął ręką po rzadkich włosach nad czołem.

Chyba robił to odruchowo.

Winter czekał. Za oknem przejechał skuter. Jego warkot otoczył dom i odbił się od skał.

- To przez Johannę? - Oswald wciąż trzymał rękę na głowie.
- Proszę?
- Coś was jeszcze łączy?
- Myślisz, że to dlatego tam jadę?
- A niby dlaczego?

Winterowi na chwilę odebrało mowę.

- Czemu nic nie mówisz? - zapytał Oswald.

Skuter znów przejechał pod oknem, tym razem w przeciwną stronę. Mewy skrzęczały Winterowi wydawało się, że słyszy buczenie statku.

- Powody są dwa - powiedział Winter. - Wiążą się ze sobą.

Bergnhem jechał za ciężarówką. Tutaj było to łatwiejsze niż gdzie indziej - Skånegatan była szeroka i prosta. Radio znów zatrzeszczało. Odpowiedział i przepuścił jakiś samochód wjeżdżający z Korsvågen.

Ciężarówka jechała dalej Södra vägen, w stronę Mölndalsvägen.

- Ma kradzione blachy - powiedział Bergnhem do Meijnera.

- O kurwa.
- Po co jechali do magazynu, skoro tylko tam zawrócili?
- Najwidoczniej z kimś pogadali i dostali nowe wytyczne.
- Możliwe.
- Wysłać kogoś do ciebie i zgarniamy ich, czy jak?
- A nie chcemy się dowiedzieć, dokąd jadą?
- No, chcemy.
- Dowodzisz całkiem dużą operacją.
- Bardzo dużą - odparł Meijner. - Ogromną.
- Więc jeśli rzucimy się teraz na tych dwóch typów, możemy zawalić coś większego.
- Zrozumiałeś mnie bezbłędnie. Miej ich dalej na oku, jak mówiłem, ale nic nie rób. I czekaj na dalsze rozkazy.

Bergnhem pokręcił głową i uśmiechnął się sam do siebie.

- I podaj mi numery blach, Bergi.
- Pogadaj z Anetą Djanali z wydziału - powiedział Bergenhem i rozłączył się.

Byli na Mölndalsvägen. Minęli południową bramę do parku Liseberg. Ulica wciąż była szeroka i prosta. Na wysokości Sörgården przechodziła w Göteborgsvägen. Ciężarówka minęła fabryki Krokslätts. Bergenhem starał się jechać tak, żeby od ciężarówki dzieliły go cztery samochody.

Wjechali na Kungsbackaleden. Bergenhem sprawdził, ile mu zostało benzyny. Wszystkie samochody, które się odbierało z policyjnego garażu, powinny być zatankowane do pełna. Ten nie był. Ktoś musiał go używać tuż przed nim. Ale paliwa powinno wystarczyć jeszcze na sto, sto dwadzieścia kilometrów.

Mijali Källered. Przy południowym zjeździe ciężarówka odbiła w prawo. Bergenhem zdążył zjechać za nią. Zobaczył, że znów skręca w prawo, objeżdża parking i zatrzymuje się przy Ikei.

Bergenhem też się zatrzymał. Faceci z ciężarówki weszli do środka, wtopili się w tłum.

Bergenhem otworzył drzwi, ale nie wysiadł. Na parkingu czuć było benzyną. Pachniało też grillowanymi kielbaskami.

W weekend zrobili z Kristerem grilla na Stora Amundö, niedaleko stąd. Chociaż nie, to jednak spory kawałek.

Gadali o wszystkim.

Martina myślała, że jest w pracy. Sądził, że nie będzie do niego wydzwaniać i go sprawdzać. Czasami wydawało mu się, że już jej nie zależy.

Patrzyła w dal. Bez przerwy.

Nie ma co tego ciągnąć, pomyślał, jadąc na Linnéplatsen, żeby odebrać Kristera.

Powiedział to, kiedy siedzieli na wyspie, na skałach. Na morzu było mnóstwo żagli.

Nie ma co tego ciągnąć.

- Nie chcesz mieć przyjaciół? - zapytał Krister.
- Nie chcę się z nimi spotykać po kryjomu - odparł.
- Nie musisz.

- Ale tak robię. Ukrywam to przed Martiłą. Kłamię.
- To jej powiedz.
- A co mam jej powiedzieć?
- Chyba sam wiesz najlepiej - powiedział Krister.

Wiem, do cholery, pomyślał.

Spotkał się z Kristerem cztery razy.

Do niczego nie doszło.

Pogubił się w tym.

Może chodziło o niego i o Martiłę. Może to w tym tkwił problem. W ich tak zwanym związku. Może powinni z kimś o tym porozmawiać. Może było to pogmatwane i proste zarazem.

Kiedy tak grillował, brakowało mu Ady. To był cudowny dzień. Niebo było niesamowicie niebieskie. Nagle zatęsknił za Martiłą.

To nienormalne, pomyślał. Ja jestem tu, one tam.

Kryję się.

Kłamię.

- Na razie nie będziemy się spotykać - powiedział do Kristera, kiedy wracali samochodem do miasta.

- Dobra.

Na Sveaplan podali sobie ręce na pożegnanie.

Winter opowiedział o Macdonaldzie. Ale ten powód był mało istotny. Spróbował więc z tym drugim, poważniejszym.

- Zwykle się nie myłę - powiedział.

Osvald znów zapatrzył się w okno. Powoli zaczynało zmierzchać, choć było na to jeszcze za wcześnie. Nad wyspę musiała nadciągnąć chmura.

- Jeśli jest jeszcze coś, czego moglibyśmy się dowiedzieć, chciałbym, żeby ktoś to zbadał - zgodził się Osvald.

Winter pokiwał głową.

- Więc jest coś jeszcze?

- Nie wiem, dlatego jadę.

- Rozumiem.

- Ktoś skłonił twojego ojca, żeby tam pojechał.

- Jak to?

- Przecież dostał list, prawda?

- No tak.

Winter spojrział na dwa stare arkusiki leżące na szklanym stoliku. Widział niezgrabne litery, choć z tej odległości nie mógłby ich odczytać.

- Chciałbym na jakiś czas pożyczyć te dwa listy.

- Po co?

- Żebyśmy mogli się im lepiej przyjrzeć.

- Chodzi o odciski palców?

- Dlaczego tak myślisz?

- Sam nie wiem, po prostu przyszło mi to do głowy.

Winter się nie odezwał. Usłyszał, jak przed domem po raz trzeci przejeżdża skuter. Wrrrr - wrrrr - wrrrruuuuuuuum. Nagle przypomniał mu się stary film. Ni z tego, ni z owego, choć dość regularnie, pojawiał się tam motor. Przejeżdżał przez środek tłumu zebranego gdzieś w mieście. A potem znikał. *Amarcord* Felliniego.

Widział też inny film z podobnym motywem. Jeden z bohaterów jeździł na motorze. Było to ewidentne nawiązanie do Felliniego. Jak on się nazywał? Przypomniał sobie miasteczko i morze... *Local Hero*. Taki miał tytuł. Pamiętał, że nakręcono go gdzieś w Szkocji. W jakiejś nadmorskiej miejscinie, w której wszyscy byli podejrzliwi wobec obcych.

- Nie chodzi o odciski palców? - zapytał Oswald.

- Może też.

Pomyślał o liście, który doszedł tu miesiąc temu i który kazał Axelowi Oswaldowi wyruszyć na spotkanie własnej śmierci. Spojrzął na jego syna i zrozumiał, że i on o tym myśli.

- Chcecie je porównać? - zapytał Oswald.

- Może.

- Ale chyba nie myślisz, że...

Winter nie odpowiedział. Skuter przejechał po raz czwarty. To musiały być różne skutery, ale brzmiały identycznie. Przez chwilę przed oczami migaly mu sceny ze szkockiego filmu. Domy stojące jeden przy drugim. I pensjonat. Prowadził go jakiś przebiegły typ. Negocjował z Amerykaninem, któremu chciał sprzedać plażę.

- To przecież idiotyczne - powiedział Oswald. - To by

znaczyło, że dziadek żyje. - Wstał z krzesła. - Naprawdę w to wierzysz?

- A ty?
- Niemożliwe.
- A twój ojciec w to wierzył?
- Nie. Nie w tym sensie.
- Jesteś pewien?
- Może miał nadzieję. Kiedyś. Ale to zupełnie co innego.

Wiara. Albo nadzieja. Różniły się od siebie? W świecie

Wintera, w świecie, w którym do tej pory żył, w którym spędził większość dorosłego życia, wiara i nadzieja czasami się ze sobą łączyły.

- Chciałbym cię o coś poprosić, Erik - powiedział Winter.
- O co?
- Masz w domu jakieś zdjęcie dziadka z czasów młodości?

Oswald znów podniósł dłoń do czoła. Przeciągnął nią po włosach. Stał na środku pokoju.

- Przecież nie możemy mieć zdjęcia z żadnych innych czasów - odpowiedział. - Pamiętamy go tylko młodego.

- Ale masz zdjęcie?
- Tak - powiedział Oswald i wyszedł z pokoju.

Bergenhema dzieliły od ciężarówki cztery rzędy zaparkowanych samochodów. Wiatr unosił plandekę i wyglądała, jakby się kiwała. Płachta naciągnięta na vana. Nietypowo. Bergenhem spojrział na zegarek. Siedział tak już pół godziny. Wsiadł i podszedł bliżej. Spojrział w stronę wejścia. Wchodziły i wychodziły setki ludzi. Potem odjeżdżali samochodami wyładowanymi płaskimi paczkami. Płaskie paczki to był pomysł na sukces Ikei. Wędrowały w świat. Ludzie kupowali je wszędzie, żeby potem składać meble we własnych domach, we własnych światach. Bergenhem wciąż miał blizny na knykciach po tym, jak próbował zmontować stół pod telewizor. Dziury wywiercone w twardej jak kamień sklejce nijak nie pasowały do metalowych uchwytów. Klął i kaleczył się do krwi. Ale było tanio. W końcu wbił śruby młotkiem.

Jeszcze raz sprawdził, która godzina. Potem znów spojrzał na ciężarówkę. Poszedł w stronę wejścia.

Po trzydziestu minutach parking powoli zaczął się wyludniać.

Ale ciężarówka wciąż stała.

Zrozumiał.

Kwadrans później była jedynym samochodem w swoim rzędzie. Wtedy nabrał pewności. Zadzwoił do Meijnera.

Biuro obsługujące przystań wyglądało jak zawsze. Stało dłuższą ścianą w stronę morza. Zaparkował przy stoczni i przeszedł wzdłuż pomostu. Nie było wiatru.

Taka pogoda pasowała do tego miejsca. Było spokojnie, choć nikt sobie nie życzył takiego spokoju. Cały ruch, albo niemal cały, przeniósł się do Peterhead. Stocznia za jego plecami była pusta i cicha. A przecież powinien słyszeć uderzenia, takie, żeby przechodnie podskakiwali. Ale niczego nie słyszał.

Kiedyś sam stał tam w środku, w czerwonym błocie, i walił młotem.

Nagle się odwrócił. Stał na samym środku targu rybnego, częściowo zbudowanego na wznoszących się nad wodą palach. Pojawili się jacyś ludzie. Zmierzali do autokarów stojących na parkingu. Usłyszał amerykański akcent. Niósł się w stronę autokarów. Brae-brae-brae-brae.

W dokach wciąż stały łodzie. Jeszcze do czegoś służyły Miejscowe trawlery, licząc od końca: „Three Sisters”, „Priestman”, „Avoca”, „Jolair”, „Sustain”. I znajoma nazwa: „Monadhliath”.

To niemożliwe.

Jakiś mężczyzna pojawił się na rufie. Przeszedł obok niego tak szybko jak się dało, ze wzrokiem wbitym w stojący po drugiej stronie budynek urzędu zajmującego się wypadkami na morzu.

Od niego też odwrócił wzrok. Nie trzeba mu przypominać o wypadkach.

Dom stojący za stoczną nie zmienił się ani trochę. Kamienne ściany przypominały dno morza. Trzeba by milionów lat, żeby je zmienić, usunąć. Przeszedł w górę i w dół Richmond - ulica miała niecałe sto metrów długości, więc zajęło mu to cztery minuty. Kiedyś mieszkał pod czwórką. Teraz w oknach było ciemno. Drzwi były nowe, zrobione z drewna, którego nie znał. Może wzięli je z jakiegoś statku. To byłby niezły pomysł. Morski wiatr wiejący wzdłuż Richmond Street właściwie b y ł morzem - był równie mokry. Ktoś, kto

tędy szedł, musiał zmarznąć i zmoknąć. Najczęściej tak było, choć akurat nie teraz - teraz wiało od południa.

Było tu zaledwie dziesięć podobnych ulic. Gdyby nie miały nazw, nikt by ich nie znalazł. Pracownicy stoczni byli zbyt pijani, żeby pamiętać, przy jakiej ulicy mieszkają. Choć większość z nich umiała przeczytać przynajmniej własny akt urodzenia i adres, zaś ich rodziny umiały przeczytać akt zgonu. To nie było łatwe życie. Nie było go tu w tych strasznych latach, a jednak był blisko. Wyparł, wypalił wszystkie wspomnienia. Wracanie do nich sprawiało mu ból. Wiedział, jak to jest.

W Marine Hotel jednoosobowy pokój kosztował dwadzieścia pięć funtów. Wtedy mieszkał tu przez miesiąc.

Obszedł budynek. Bar był teraz gdzie indziej. Przy wejściu wisiała reklama promu. Wtedy też tu była.

Przystanął w wąskim holu prowadzącym do recepcji.

Wciąż pachniało tak samo.

Jezu.

- W czym mogę pomóc?

Jej tu wtedy nie było. Miała blond włosy. I długą spódnicę, to dziwne u młodej dziewczyny. Właściwie nawet na niego nie patrzyła. I tak się zdziwił, że w ogóle go zauważyła.

- Chciałem tylko... - powiedział i przerwał. Odwrócił się i wyszedł.

Wspiął się na górę. Minął Forsyth's i Moray Seafoods i doszedł do rynku.

Stary hotel wyglądał na nietknięty. Nie spadła na niego ani jedna bomba. Przysiadł na jednej z ławek stojących przed urzędem miasta. Zorientował się, że urzędu miasta już tu nie ma. Przed budynkiem kręcili się starsi ludzie. Niektórzy wyglądali, jakby mieli pięćdziesiąt lat więcej niż on. Na ławce naprzeciwko siedział jakiś staruszek. Drzemał w delikatnym jesiennym słońcu.

To było tutaj. To tutaj. Wtedy spanikował i już tu nie wrócił. To tutaj wszystko się zaczęło.

Byli tu wszyscy. Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi.

Wojna się skończyła. Co to była za okazja? Dwudziesta rocznica wzniesienia pomnika? Tak. Możliwe. Świątowali nastanie pokoju i dwudziestolecie pomnika. Było tak ciasno, że ledwo mógł oddychać.

Popatrzył na pomnik. Oczywiście wciąż tu był. Stał przed dawnym urzędem miasta, w starej części rynku. Można było odczytać napis.

The War Memorial.

Pamięci ofiar pierwszej wojny.

In Proud and Grateful Remembrance.

Their Name Liveth Forever.

Tak było napisane. Ale to nieprawda.

Wstał, zabierając ze sobą wspomnienia, i przeszedł przez ulicę. To tutaj stał. Wśród innych. Odwrócił się, usłyszał jakiś dźwięk. Coś szcęknęło.

Kilka razy tankowali w Buckie. A może to były tylko dwa razy. Arne chciał tu zostać. Nie teraz, powiedzieli. Wrócimy tu. Wrócili, ostatni raz. *The Buckie boys are back in town*, powiedział Arne, kiedy zacumowali. Powtarzał to potem, kiedy pili piwo na „Marino”.

Wypłynęli w tym samym momencie co „Monadhliath”. To było dzień później.

A następnego dnia „Monadhliath” trafił na dryfujące miny. Może nawet słyszał wybuch. Widział lunę na nocnym niebie.

Dwie godziny później „Marino” zatonał.

Przekonał Bertila, żeby nie płynął. Właściwie to go zmusił. To było we Fraserburgh. Dostali wtedy ostatnie instrukcje.

Arne i tak nie mógł płynąć. Miał umówione spotkanie w górach. Jechał tam na naczepie, ukryty pod brezentem. Mieli zdobyć więcej broni. Chodziło przede wszystkim o broń.

Arne nie znał niemieckiego. Inni znali.

Egon wyruszył z nimi. Nie wiedział, jak go zmusić, żeby został na łądzie. Próbował. Ale Egon się wepchnął na ten

ostatni rejs.

Nie rozmawiał wtedy z Fransem. Już wtedy się do siebie nie odzywali. Chyba że było to konieczne. Tylko gdyby doszło do najgorszego.

- John, jesteś już stracony - powiedział mu Frans wcześniej.

- Wszyscy jesteśmy - odparł.

Frans mówił o Elli. Bredził jak obłąkany. Oskarżał go. Nie próbuj się do niej dobierać, powiedział. Ella jest moja. Bzdury, to nie była prawda. Frans pił. I wygadywał głupoty. Nie umiał się ostrożnie obchodzić z bronią. Bał się.

Egon też wyglądał na wystraszonego. Zszedł pod pokład. Był w mesie. Bał się.

On stał w kabinie. Pił. Było mu zimno. Wsłuchiwał się w wiatr. Też był wystraszony, miał przecucie. Nie umiał tego wyjaśnić Egonowi.

Kiedy wypłynęli zza skał w Clubbie Craig, trafili na wichurę. Osiem w skali Beauforta.

Byli umówieni przy Troup Head. Z łodzi nie było widać schowanego za skałami miasta. Wszędzie było ciemno. Nagle w Cullykhan

Bay zobaczyli sygnał. Nadpływała druga łódź.

Kierowali się na północ. Rozładowywali i załadowywali na nowo. Bez wytchnienia. Załadowali i płynęli dalej. Wiatr się nasilił. Nie mogli jeszcze wracać do domu. Płynęli w sztorm.

On przestał się bać. Egon nie.

Frans też się nie bał. Wszedł do kabiny. Wymachiwał niemieckim pistoletem.

- Ustrzelimy parę łupaczy?! - krzyknął.

Nie odpowiedział. Uderzył w nich silny podmuch. Próbował łapać równowagę. Frans się zachwiał.

- Mamy ich pod dostatkiem! - krzyknął, wymachując bronią. - Mamy też większe zabawki. - Nie przestawał machać. - Moglibyśmy strzelać do wielorybów.

Frans ukradł ten pistolet. Co jeszcze zabrał? Groziła za to kara śmierci. Nie ma znaczenia, jak mało się ukradnie. Ani jak dużo.

Prawie zawsze trzeba za to zapłacić śmiercią.

- Odłóż to! - krzyknął.

- Spuścimy włok?! - odpowiedział Frans. - Ha, ha, ha!

- Zejdź pod pokład! - zawołał.

Zakołysało mocniej i Frans stracił równowagę. „Marino” wyrzuciło do przodu. Dwadzieścia, trzydzieści metrów. Morze oszalało. Otaczały ich ściany wody, twardej jak kamień. Woda była jak mur. Była śmiercią.

Frans upuścił pistolet. I natychmiast go podniósł. I znów się zachwiał. Chciał wyjść z kabiny. Od drzwi dzielił go zaledwie metr. Wtedy stracił równowagę.

W tym momencie w drzwiach stanął Egon. Podmuch wiatru wepchnął go do środka.

Rozległ się wystrzał. I jeszcze jeden.

Egona rozerwało na kawałki. Jego głowa eksplodowała. Upadł.

Frans wciąż trzymał pistolet w ręku. Upuścił go. Wybiegł z kabiny.

Egon leżał bez ruchu na mokrej podłodze. Woda wlewała się przez otwarte drzwi.

Zakręcił sterem. Przeciągnął ciało w bezpieczniejsze miejsce i poszedł szukać Fransa. Wykrzykiwał jego imię, próbował się przebić przez sztorm. Frans nie odpowiadał. Wiedział, że musi nadal być na pokładzie. Znalazł go. Frans próbował coś powiedzieć. Nie słuchał. Frans spojrzał na niego i zacisnął powieki.

Jezu!

38.

Na lotnisku w Inverness wylądowali o wpół do dwunastej. Słońce świeciło, ale słabo. Kiedy jechali taksówką do miasta, Winter przyglądał się krajobrazom, na północy uwieńczonym pasmem wody, a na południu sylwetkami potężnych gór. Szkockie wyżyny.

- Są wyższe, niż myślałam - powiedziała Angela. - Pięknie tu.

W Inverness stare łączyło się z nowym. Okropne betonowe ronda wcinały się w średniowieczne centrum miasta. Widzieli też zamek na wzniesieniu. Taksówka przejechała wolno przez miasto i zbliżyła się do rzeki Ness. Przejechali przez most i skierowali się na Ness Bank. Pół kilometra wzdłuż rzeki, a potem zatrzymali się przed Glenmoriston Hotel. Winter zarezerwował tu pokój. Macdonald polecił to miejsce. Przyjemny, zadbane i drogi, jak powiedział. Winterowi cena nie wydawała się szczególnie wysoka, przynajmniej nie w porównaniu z cenami w hotelu, w którym mieszkał wtedy w Londynie. A tam i tak miał zniżkę.

Pokój był duży, na drugim piętrze. Z okien widać było rzekę, rozciągający się za nią park i trzystuletnie granitowe domy stojące po obu stronach katedry. Winter otworzył okno. Wiatr wciąż był słaby. Widział ludzi siedzących w parku na ławkach. Odległość nie była duża. Nad ławkami krążyły mewy. Wokół podskakiwały gołębie. Ludzie jedli lunch na świeżym powietrzu, odwijali zawiniątka z frytkami i rybą. Z łupaczami złowionymi przez Erika Osvalda. I z ziemniakami wyhodowanymi przez ojca Steve'a Macdonalda. Do tego ocet z pierwszej lepszej gorzelnii.

Widział też dwa mosty. Był dopiero początek października, ale niebo wisiało nisko nad rzeką i miało kolor kamienia. Słońce zniknęło. Chmury muskały mosty.

Angela stanęła obok niego.

- Mają tu trochę niskie sufity - powiedziała, spoglądając w niebo.

- Nigdy nie widziałem nic podobnego.

- Ale przecież już tu byłeś?
- Wtedy było lato. O ile dobrze pamiętam, niebo było błękitne.

- Przecież ty zawsze dobrze pamiętasz, nie?
Uśmiechnął się.

- Już nie - odparł, myśląc o Arnem Algotssonie. Nikt nie wie, co go czeka. Chyba że zbada swoje DNA, ale nie miał zamiaru tego zrobić.

Angela rozwiesiła ubrania. On jeszcze nie otworzył swojej walizki. Angela rozsiadła się na łóżku. Było duże, ale w porównaniu z pokojem wydawało się małe.

- Podoba mi się - powiedziała.

Winter zajrzał do łazienki. Była wyłożona kafelkami w ciepłym odcieniu. Miały ten sam kolor co niebo za oknem.

- Elegancki hotel - usłyszał zza pleców głos Angeli.

To prawda. Hol był mały, ale nie za mały. Z prawej znajdował się przytulny bar ze skórzanymi fotelami, z kontuarem i półkami pełnymi butelek. Z lewej restauracja.

- Zadzwoń do domu - powiedziała Angela.

Umył ręce. Usłyszał, jak rozmawia, i wszedł do pokoju. Podła mu słuchawkę.

- Elsa.

Wziął telefon. Elsa już zaczęła opowiadać o tym, co robiła. Pod ich nieobecność miała nie chodzić do przedszkola. Znalazła się w samym centrum uwagi: z babcią Siv, ciocią Lotta i kuzynkami Bim i Kristina. Rozpieszczanie bez granic. Ale to dla niej nic nowego. Winter uważał, że dzieci w tym wieku można rozpieszczać. W końcu i tak dopadną je zasady, nakazy i zakazy. Mało komu udaje się uniknąć dorosłego życia, w którym nikt nikogo nie rozpieszcza. Wtedy człowiek jest już sam. *Out there you're on your own*, pomyślał.

- Robimy mrożoną czekoladę! - powiedziała Elsa.

Czemu nie, przecież do Bożego Narodzenia zostały zaledwie trzy miesiące.

A może jego mamie, która spędziła piętnaście lat w świecącym bez przerwy słońcu, pomyliły się pory roku.

- Tato, a rozmawiałeś już po angielsku? - zapytała w ten typowy dla dzieci sposób, bez tchu.
- Oczywiście. Z kierowcą taksówki i z pracownikami hotelu.
- A z mamą nie?! - Zachichotała.
- Jeszcze nie - odparł ze śmiechem.
- Czy hotel jest ładny?
- Bardzo ładny.
- Ja też chcę mieszkać w hotelu - powiedziała, ale w jej głosie nie było słycać zawodu. Po prostu stwierdziła fakt.
- Będiesz jeszcze mieszkać w wielu hotelach, skarbie.
- Obiecay! - krzyknęła.

Obiecał. Dopóki nie osiągnęła pewnego wieku, może obiecywać. Później może też będzie mógł. Ale w pewnym momencie i ona będzie się musiała nauczyć dotrzymywać słowa. Sama.

Wiedział, że ta chwila może nadejść bardzo szybko. Dowodów nie musiał szukać daleko. Wystarczyło spojrzeć na Bertila i jego Moę. Zaczął pracować z Ringmarem, kiedy jego córka miała tyle lat co teraz Elsa. Może była trochę starsza. Czas szybko zleciał. Dzień biegł za dniem w szalonym tempie. Moa mogła mieszkać w hotelu, gdyby zechciała i gdyby ją było stać. Mogła też mieszkać w Kortedala. Przed wyjazdem rozmawiał z Ringmarem o całym tym przedstawieniu. Bergenhem dorzucił do tego historyjkę o Ikei. Ciężarówka stała przed sklepem jeszcze następnego dnia rano. Sprytni chłopaki. Musieli go zauważyć. Albo ktoś do nich zadzwonił. Aneta miała pewne podejrzenia.

Zadzwonił hotelowy telefon. Winter skończył właśnie rozmawiać z Elsą.

- Telefon do pana Wintera - powiedziała recepcjonistka.
- I jak podróż, udana? - zapytał Macdonald.
- Cudowna.
- A hotel w porządku?
- Też cudowny. Gdzie jesteś?
- Właśnie przyjechaliśmy do miasta. Jedliście już lunch? -

Nie.

- Pozwolicie się zaprosić? Teraz? Proponuję Royal Highland Hotel. To tuż przy stacji kolejowej. Zejdźcie do holu, czekamy w barze po prawej. Sara ma włosy czarne jak węgiel, a ja mam na sobie kilt tkany we wzór klanu Macdonaldów.

- A skąd mam wiedzieć, jaki to wzór? - zapytał Winter.

Usłyszał śmiech Macdonalda.

- Jest czerwono-czarny - odparł Macdonald.

- A zdążymy?

- Spotykamy się z Craigiem za dwie godziny. Teraz ma jakąś robotę w terenie.

- Rozmawiałeś z córką Osvalda?

- Dziś?

- Tak.

- Tak. Ona też przyjdzie.

- Są nowe wyniki sekcji?

- Tak. Nie znaleźli żadnej trucizny. A że przygotowania do podróży trwały już od jakiegoś czasu, Johanna może wrócić z ojcem jeszcze dziś wieczorem.

- Tak szybko?

- Nie ma żadnego powodu, żeby ciało tu nadal leżało. No i dziś późnym wieczorem z Londynu odlatuje samolot do Göteborga.

- No dobra. Czy Royal Highland jest przy głównej ulicy, to znaczy przy tej na prawo od mostu?

- Tak. Widzę, że sporo pamiętasz.

- A czy kiedyś nie nazywało się to Station Hotel?

- Racja. Idźcie kilkaset metrów Bridge Street, skróćcie w lewo przy Inglis i zobaczycie stację. A jak się w ogóle czuje Angela?

- Znakomicie. A Sara?

- Cieszy się na spotkanie z Angela. Tyle jej o niej opowiadałem.

- Naprawdę?

Macdonald znów się zaśmiał i odłożył słuchawkę.

Hol hotelu Royal Highland był duży, imponujący. Nic dziwnego, zbudowano go w 1859 roku. Niedawno elegancko go

odnowiono, ale wszystko wciąż wyglądało na ponad stuletnie. Każdy szczegół mówił o tym, w którym wieku go zbudowano. Angela cicho zagwizdała. Winter był pod wrażeniem.

Steve Macdonald siedział w cocktail-barze na prawo. Wstał od stolika. Nie miał na sobie kiltu, ale Winter i tak go poznał. Najwidoczniej niewiele się zmienił. Ta sama smągła twarz, to samo łotrzykowskie spojrzenie, to samo wysokie kościste ciało, silne jak dąb. Macdonald podniósł rękę i powiedział coś do żony. Ona też wstała. W tym momencie Winter zauważył, że Steve już nie nosi kuczka.

To był udany lunch. Macdonald całkiem serio zaproponował rybę z frytkami i sosem tatarskim. Powiedział, że to specjalność lokalu.

- Nigdy nie jadłam ryby z frytkami - powiedziała Angela.
- Mój Boże, zatem czas najwyższy - odparł Macdonald.
- Niektórych rzeczy lepiej nie próbować - wtrąciła Sara Macdonald, kładąc rękę na ramieniu Angeli. - I to może być jedna z nich.

Angela się zaśmiała. Pomyślała, że miło spędzi z nią czas. Żona Steve'a była średniego wzrostu, szczupła, ale ona też wyglądała na silną. Przypominała Steve'a nawet z twarzy, jakby byli rodzeństwem. Ale Winter wiedział, że nie są spokrewnieni. Sara przed ślubem nazywała się Bonetti. Pochodziła z Sycylii. Steve pochodził z klanu Macdonaldów i urodził się w Forres, niedaleko stąd. Kiedy Sara była mała, rodzina Bonettich przeniosła się najpierw do Edynburga, a potem do Inverness. Jej losy przypominały trochę losy Angeli - obie miały cudzoziemskie korzenie, tak jak Aneta Djanali.

Steve mówił, że w Szkocji mieszka wielu Włochów. Czasem trudno ich odróżnić od rodowitych Szkotów. Większość ludzi stąd ma czarne włosy i dzikie spojrzenie.

Steve poznał Sarę, kiedy był konstabłem w Inverness. Opowiadał o tym. Zatrzymał ją za przekroczenie prędkości, a ona z istic włoskim temperamentem obrzuciła go stekiem wyzwisk. Już wtedy zrozumiałem, że muszę wrócić po więcej, powiedział Macdonald.

- To chyba odpowiedni moment i miejsce, żebym wreszcie

tego spróbowała - powiedziała Angela do Sary.

- W życiu trzeba spróbować wszystkiego. Chociaż raz. Z wyjątkiem kazirodztwa i tańców ludowych - powiedział Macdonald. Rozejrzał się i przywołał kelnera. Zamówił jedzenie i napoje. Winter podziękował za whisky, odłożył to na później. Poprosił za to o pintę szkockiego piwa. Nie pamiętał, jak się nazywało.

Jedzenie było smaczne. Wprawdzie była to tylko ryba z frytkami, ale to właśnie było miejsce na coś takiego.

Dobrze było znów się spotkać. Winterowi brakowało Macdonalda. Może i on tęsknił za nim. Angela poznała go, kiedy przyjechał do Göteborga, żeby ostatecznie wyjaśnić tę okropną sprawę, nad którą pracowali z Winterem najpierw w Londynie, a potem w Szwecji. Zaprzyjaźnili się. Okazali sobie serdeczność, żeby zachować zdrowe zmysły, kiedy się mierzyli z tymi strasznymi rzeczami, w których musieli brać udział nie tylko jako świadkowie, ale też uczestnicy. To była najciemniejsza strona ich pracy, bez względu na to, po której stronie morza pracowali: musieli nie tylko obserwować, ale również działać.

- Co ty na to? - Winter usłyszał pytanie Sary.

- Jak dla mnie super - odpowiedziała Angela i odwróciła się do niego.

- Sara zaproponowała, że pokaże mi miasto.

- To może ja zaproszę was na kolację dziś wieczorem? - powiedział Winter.

- Czemu nie? - odparł Macdonald.

- Może pójdziemy do tej włoskiej restauracji przy Glenmoriston? - zasugerował Winter.

- Czemu nie? - powtórzył Macdonald, a Sara pokiwała głową.

Kiedy wyszli z hotelu, znów pokazało się słońce, ale chmury wciąż wisiały nisko nad miastem. Angela i Sara skrzyły w lewo. Macdonald poprowadził Wintera w stronę stacji kolejowej.

- Możemy przejść przez dworzec na drugą stronę. Tam jest wypożyczalnia samochodów - wyjaśnił. Przecięli halę

dworcową. Winter zapamiętał ją jako większą. Spędził tu kilka godzin, czekając na połączenie do Edynburga przez Perth. Pociąg nie bez wysiłku przecinał wyżyny Utkwił mu w pamięci niesamowity widok. Wyglądały jak dno morza leżące kilka tysięcy metrów nad jego poziomem. Pamiętał też, że w pociągu nagle zrobiło się strasznie zimno. Wciąż miał w głowie nazwy kilku leżących w okolicy miejscowości: Kingussie, Newtonmore, Aviemore i Dalwhinnie na północnym krańcu Loch Ericht, Jeziora Erika. Pamiętał, że w Dalwhinnie działa gorzelnia produkująca całkiem przyzwoitą whisky, ale nie był pewien, czy Macdonald zgodziłby się z tą opinią.

Szli kawałek wzdłuż torów i znaleźli się na Strothers Lane, a potem skręcili w Railway Terrace. Winter zauważył szyld „Budget”, a pod nim lśniące samochody do wynajęcia na parkingu za biurem.

- Nie mam zielonego pojęcia - powiedział mężczyzna siedzący za biurkiem. Frank Cameron. Wstał i wyszedł z nimi na zewnątrz. - Cholernie dziwna sprawa, - Wiedzieli już, że to on wypożyczył samochód Axelowi Oswaldowi.

- Ale chyba klientom kradną czasem samochody? - zapytał Macdonald.

Winter pomyślał, że jego szkocki akcent stał się wyraźniejszy, kiedy zaczął rozmawiać z Cameronem. Facet mówił jak rodowity Szkot.

- Niby tak, ale samochodu wciąż nie ma. A zawsze w końcu je znajdujemy. Albo gli... to znaczy policja trafia na nie prędzej czy później. Zazwyczaj prędzej. - Rozejrzał się i wskazał na trzydrzwiową toyotę corollę, zielony metallic, którą właśnie mył jakiś młody mężczyzna. - To był identyczny samochód: ten sam kolor, ten sam rocznik, ten sam model.

- A pamięta pan tego klienta? - zapytał Winter.

- Nie - odparł Cameron. - Nie pamiętałem go w zeszłym tygodniu, gdy pytał mnie o to pański kolega, ani dwa tygodnie temu, kiedy zgłaszaliśmy zaginięcie samochodu, i teraz też nie pamiętam tego Szweda.

- Aż tyłu ich tu jest? - zapytał Macdonald.

- Trochę jest - odpowiedział Cameron, spoglądając na Macdonalda ostro. Miał wystający haczykowany nos. Chyba go denerwowało to, że nie pamięta. - A co w tym takiego dziwnego? Mieliśmy wtedy dużo roboty. Po prostu go nie pamiętam, rozumiecie? Pamiętam tylko, że to był starszy koleś, to wszystko.

- W porządku - powiedział Macdonald.

- A jeśli dobrze pamiętam, to się w ogóle nie odzywał - dodał Cameron. - Jeśli to jego ledwo co pamiętam, to milczał jak wyspiarz z Orkadów, a to robi wrażenie.

- Może właśnie dlatego pan go pamięta? - stwierdził Macdonald.

- Ale przecież nie pamiętam, już mówiłem.

Macdonald z rezygnacją pokiwał głową i zapytał o kopię umowy.

- Przecież ma je pański kolega z policji.

- Craig?

- Tak, może on. Ten Anglik.

- Craig. Na pewno mówił panu, że powinien pan dać nam znać, jak tylko samochód się znajdzie.

- A niby jak miałyby się znaleźć? - zapytał Cameron. - Przecież koleś, który go wynajął, nie żyje, nie? Chyba nam go nie odstawi. Ten, co go ukradł, pewnie też nie.

- Ktoś może go znaleźć - odpowiedział Macdonald.

- To pewnie zgłosi się na policję, ale nie sądzę. - Cameron zachichotał.

- Zatem na razie to wszystko - powiedział Macdonald. Odwrócił się do Wintera. - Czy twoja żona nie chciałaby wypożyczyć samochodu na popołudnie?

- No tak, oczywiście - odparł Winter.

Wyraz twarzy Camerona zupełnie się zmienił. Spojrzenie stopniało i zrobiło się radosne.

- To świetnie trafiliście, chłopaki.

Pożegnali się i ruszyli Railway Terrace w stronę komisariatu. Stał zaledwie kilkaset metrów dalej.

- Cameron! - rzucił Macdonald, jakby się śmiał.

- Co z nim? - zapytał Winter.

- Cameronowie to specyficzny klan. Pochodzą z Lochiel i z północnego Argyll, z odciętych od świata wyżyn. Tylko tam są na swoim miejscu.

Winter się uśmiechnął. Macdonald przystanął i spojrział na niego.

- Sam chyba widziałeś tego typu, co? To świetny egzemplarz Camerona, po prostu książkowy. Widziałeś jego nos? Wiesz, co znaczy Cameron? Po gaelicku to *Cam-shron*, haczykowany nos.

- Steve, jesteś rasistą?

- Ha, ha.

- Czy inne klany znasz równie dobrze?

- Najlepiej znam swój - odparł Macdonald.

- To kiedyś mi opowiesz, to ciekawe.

- W większości smutne historie.

39.

Na betonowych schodach prowadzących na wiadukt leżał przewrócony do góry nogami dziecięcy wózek. Niebiesko-żółty. Winterowi od razu przypomniała się pewna stara sprawa. Wciąż tkwiła w jego głowie. Macdonald minął go bez słowa.

Na moście mocno wiało. Zobaczyli miasto, rzekę i góry na południu. W dole po prawej Winter dostrzegł nieczynną piekarnię. Przeszli sto metrów Longman Road i skręcili na komisariat. Nowy budynek wyróżniał się na tle pozostałych domów. Weszli drzwiami, nad którymi wisiała tablica z napisami w dwóch językach: *Inverness Command Area* i *Sgìre Comann Inbhirnis*. Biuro przypominało Winterowi jego własne miejsce pracy - ten sam staroświecki urok, międzynarodowa solidarność w ponurej służbie dobru publicznemu. W środku siedziało kilku policjantów. Myny mieli takie jak ich koledzy z każdego innego kraju: mieszanina bezradności, strachu, samotności w tym wrogim świecie. W recepcji stała kobieta. Rozmawiała przez telefon, chyba po gaelicku. Jej głos wznosił się i opadał, jakby się zepsuła regulacja głośności. Słowa z trzaskiem przecinały powietrze. Na przeciwległej ścianie wisiało ogłoszenie: *Dèiligeadh leis a h-uile tachartas de ghiùlan mìshòisealta gu h-éifeach-dach*. Pod spodem tłumaczenie: *To effectively tackle all incidents of anti-social behaviour*.

By efektywnie przeciwdziałać wszystkim przypadkom antyspołecznych zachowań.

Dumne wyzwanie dla każdego policjanta na świecie, dla niego i Steve'a. Słowo efektywnie należałoby wziąć w cudzysłów, ale się staramy. Z drugiej strony to przekłęte społeczeństwo nie chce ani przez chwilę stać spokojnie, żebyśmy mogli zrobić porządek z tymi, którzy są lub byli anty.

Obok wisiał inny plakat, czarno-żółty: *Going to the hills? Let us know BEFORE you go*.

Wybierasz się w góry? Daj nam znać, ZANIM to zrobisz.

Axel Osvald najwyraźniej tego nie zrobił. Ale przecież nie

wspinał się tak wysoko.

Jamie Craig wyszedł z pokoju na prawo od przeszklonego biura. Wyglądał tak samo, jak brzmiał. Grubiańsko. Miał szorstkie czerwone policzki, może od whisky, a może od górskiego powietrza. A może i od tego, i od tego. Przywitał się z Macdonaldem - profesjonalny uścisk dłoni, żadnych serdeczności. Potem uścisnął też dłoń Winterowi, mocno i szybko.

Przeszli podziemnym korytarzem. Słabe światło rzucało cienie, które zapewne odbijały wszystko, co tędy przechodziło w ciągu minionych stuleci. Winterowi te lampy przypomniały gazownię, którą widział z mostu. Może policja podpisała umowę z gazownią? Kiedy wyszli z podziemi, jasne światło raziło ich w oczy. Johanna Oswald czekała w jakimś pokoju. Na ich widok wstała z jedyne go krzesła.

Uściskała Wintera i przywitała się z Macdonaldem. Stali na środku pokoju.

- Wyjeżdżamy za kilka godzin - powiedziała.

- Wiem - odparł Winter.

- Na pewno chcecie go zobaczyć?

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedział Winter, chociaż wiedział. Wiedział o czymś, czego nie umiał nazwać, nawet w myślach.

- Przecież zmarł śmiercią naturalną - powiedziała Johanna. W jej głosie słyhać było ton zwątpienia. Słyhać było, że dla niej śmierć nie jest, czymś naturalnym. W każdym razie nie ta.

Winter dwie minuty siedział u szczytu stołu. Axel Oswald wyglądał, jakby spał. Włosy miał zaczesane do tyłu, a na policzkach cień zarostu. Winter nie potrafił powiedzieć, czy umierając, był nieogolony, czy świeżo ogolony. Przecież zmarłym rosną włosy i paznokcie. To naturalne.

W pustym pokoju czekali na niego Macdonald, Johanna i Craig.

- Idziemy - powiedział Craig. Wrócili tym samym

korytarzem. Włosy Johanny wyglądały jak złoto. Winterowi wydawało się, że czuje zapach gazu. Na dole było zimno. Pomyślał, że od chwili kiedy zobaczył ciało, zrobiło się jeszcze zimniej. Na ramionach miał gęsią skórę. Te podziemia musiały tu być, kiedy budynek wyglądał zupełnie inaczej. Zachowali je chyba na pamiątkę. Wrócili na górę i znów oślepiło ich światło. Craig zaprowadził ich do swojego gabinetu. Przypominał szklaną klatkę ustawioną na środku biura. Mógł obserwować wszystkich podwładnych, ale i oni jego. Winter pomyślał, że nie wytrzymałby w czymś takim dziesięciu minut, ale Craig chodził po pokoju tak, jakby mógł widzieć tych z zewnątrz, a oni jego. Zupełnie jak w pokojach, w których kiedyś przeprowadzano konfrontacje ze świadkami, tylko że na odwrót.

Craig wskazał im trzy krzesła. Przyniesiono je chyba specjalnie dla nich. Usiadł za biurkiem. Nie było na nim papierów, długopisów, segregatorów, popielniczki, niczego. Błat błyszczał, jakby Craig nie robił nic innego, tylko go polerował. Winter podchwycił spojrzenie Macdonalda, jedno z wielu. Telefon stał na małym stoliku z boku. Za plecami Craiga wrzała praca - policjanci przeciwdziałali wszystkim przypadkom zachowań antyspołecznych. Winter widział ich przez szybę. Mężczyźni i kobiety, umundurowani i nie, kręcili się w tę i z powrotem, podnosili i odkładali słuchawki telefonów, ekrany komputerów pobłyskiwały. Zjawili się dwaj policjanci w kuloodpornych kamizelkach i hełmach, z karabinami maszynowymi. Przy biurku stojącym najbliżej pokoju Craiga siedział ponury mężczyzna o południowych rysach. Może Włoch. Wyglądał, jakby się wpatrywał w kark Craiga.

- Chyba zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy - powiedział Craig, drapiąc się po karku.

- Doceniamy to - odparł Winter.

Johanna przytaknęła. Kiedy szli korytarzem, nie odzywała się, jakby już siedziała w samolocie z trumną ojca w luku bagażowym wśród walizek Samsonite.

- Pozostaje kwestia samochodu - dodał Craig.

- Spotkaliśmy się z facetem z wypożyczalni. Z Cameronem - powiedział Winter.

- Sympatyczny typ - stwierdził Craig z bladym uśmiechem.

- Kradzione samochody zazwyczaj szybko się odnajdują - wtrącił Macdonald.

Craig zeszywniał, ledwo zauważalnie.

- Właśnie dlatego do tego wracam. - Wstał i podszedł do szafki. Otworzył ją. Wrócił z jakimś dokumentem, usiadł i założył okulary do czytania.

- Od kwietnia do lipca tego roku mieliśmy sto dwanaście kradzieży samochodów. Odnaleźliśmy wszystkie z wyjątkiem jednego. Czterdziestu sześciu złodziei złapaliśmy na gorącym uczynku. - Spojrzał na nich. - To był szczyt sezonu.

- Niesamowite - powiedział Macdonald.

- Niby co?

Craig się uśmiechnął, wykrzywiając lekko kącik ust. Może ironicznie.

- Wasze statystyki.

- Jesteśmy najlepsi w Szkocji.

- Ale ten samochód - wtrącił Winter - to, że się nie odnalazł, wskazuje na to, że dokonano przestępstwa. Może morderstwa.

- Tak - zgodził się Craig. - I dlatego do tego wracam. Ale to nie musi mieć nic wspólnego ze śmiercią pani ojca. - Spojrzał na Johannę. Wpatrywała się w coś za szklaną ścianą. - Może pozbył się samochodu gdzie indziej.

- Czy to prawdopodobne? - zapytał Winter.

- Nie.

- Ktoś mógł go podrzucić do Fort Augustus innym samochodem - zauważył Macdonald.

- W takim wypadku naprawdę mielibyśmy do czynienia z przestępstwem - powiedział Craig.

- Ale na ciele nie ma żadnych śladów - dodał Winter, spoglądając na Johannę. Wydawała się całkiem nieobecna. Jakby nie chciała tego słuchać.

- To był atak serca - podsumował Craig. - Przestało pracować. Pytanie tylko dlaczego.

- Wiecie coś nowego o jego dziwnym zachowaniu w miasteczku? - zapytał Macdonald.

- Nie było aż tak dziwne - powiedział Craig. - Po prostu kręcił się po ulicach i zadawał pytania, których nikt nie rozumiał. Rozmawiał może z trzema, czterema osobami.

- Wiecie, kto był ostatni? - zapytał Winter.

- Wiemy, kto mógł być ostatni. Ale oczywiście trudno ustalić dokładnie, o której z kim rozmawiał. - Craig znów podrapał się po karku. Włoch siedzący za szybą wciąż wpatrywał się w jego potylicę, niczym antropolog z Południa.

- Jednym z najbardziej irytujących aspektów tej pracy jest to, że ludzie wciąż się mylą, określając czas. - Nagle Craig pochylił się do przodu. - Co nie? Możemy być na sto procent pewni, że świadkowie spotkali się z kimś, powiedzmy, w porze lunchu, ale jeden z nich będzie się zarzekał, że to było o północy, a drugi, że o zmierzchu.

- Ile to mogło być godzin? - zapytał Winter.

- Kilka - odparł Craig. - To było wczesnym popołudniem.

Winter skinął głową.

Craig spojrział na profil Johanny.

- Umarł po kilku godzinach, w nocy.

- Był bardzo podekscytowany - wtrąciła ni z tego, ni z owego Johanna.

- Słucham, panno Osvald? - Craig nie zrozumiał.

- Dużo o tym myślałam. - Odwróciła się w ich stronę.

- Kiedy dostał ten list, nie był tak... oszołomiony, o ile to właściwe słowo. Nie ekscytował się tak bardzo, jak by się można było spodziewać. Ale potem... po kilku dniach, nagle zaczął to przeżywać, zarezerwował bilet do Szkocji i przyleciał tu jeszcze tego samego dnia po południu. Chociaż nie, przepraszam, następnego dnia rano. - Johanna znów wpatrzyła się w biuro za szybą. - Jakby się stało coś jeszcze. Coś innego.

- Dostał kolejny list? - zapytał Winter.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Ale to możliwe?

- Tak... nie było mnie wtedy w domu przez dwa dni. Byłam w szkole. - Spojrzała na Wintera. - Wolne popołudnie miałam

wtedy, kiedy dostał ten pierwszy... nie, przepraszam... ostatni list. Widziałam go.

- Czy ktoś jeszcze był wtedy w domu? - zapytał Winter.
- Ktoś poza twoim tatą?
- Erik - odparła. - Ten tydzień spędzał w domu.
- Ale nic nie wspominał o innym liście?
- Nie.
- Ani o rozmowie telefonicznej?
- Nie.

Winter nie powiedział już nic więcej. W przypominającym klatkę gabinecie Craiga zapadła cisza. Dobiegały ich głosy z zewnątrz, ale nie mogli rozróżnić słów. Może to był szkocki angielski, może gaelicki albo włoski, a może szwedzki.

- A co pani powie o dziwnym zachowaniu ojca? - zapytał wprost Macdonald.

Johanna tylko pokiwała głową.

- Brzmi to nieprawdopodobnie? - ciągnął Macdonald.
- Tak - odparła.
- Ale mówiła pani, że to przeżywał.
- Ale nie tak - powiedziała Johanna. - To niemożliwe, nigdy nie miał problemów z głową. Jestem tego pewna. Mój ojciec jest... był najtrzeźwiejszym człowiekiem, jakiego można sobie wyobrazić. Jak to się mówi, twardo stąpał po ziemi.

I po pokładzie, pomyślał Winter. Twardo stąpał po pokładzie. Może na łodzi był jeszcze trzeźwiejszy I pokładał wiarę w Bogu.

- Coś mu się musiało przytrafić - powiedziała Johanna.
- Musiało się stać coś strasznego.

Jechali samochodem, który pożyczył im Craig. Minęli Ness Bridge i skręcili w Kenneth Street, a potem w Ross Avenue - jedną ze stu uliczek obsadzonych szeregami domów z kamienia. Jechali powoli, zatrzymali się przed jednym z nich.

Na ścianie między drzwiami i oknem wisiał szyld: Glen Islay Bed & Breakfast.

- Glen Islay - przeczytał Winter. - Brzmi jak nazwa whisky.
- Bed & breakfast, a do tego whisky - odparł Macdonald.

Kiedy wysiedli, Winter się rozejrzał.

- Byłem tu - powiedział.
- Tu? Na tej ulicy?
- Tak. Mieszkalem tu w jakimś pensjonacie.
- Może w tym - stwierdził Macdonald.

Może, pomyślał Winter, kiedy weszli do ciasnego holu, który pełnił też funkcję recepcji. Zobaczył schody na górę. Pachniało jajkami, bekonem i wilgocią, może grzybem. I przypalonymi grzankami. Coś buczało w rurach. Biegły po ścianie pokrytej tapetą pamiętającą chyba czasy edwardiańskie. Wszystko wyglądało tak, jak powinno.

Na chwiejnym stoliku stał telefon. Obok stała starsza pani, z tych małych staruszek, które prowadzą swoje pensjonaty od setek lat.

- Zatem pan Oswald wyjechał stąd samochodem, pani McCann? - zapytał Macdonald.

Winter zauważył, że tak jak wcześniej Craig, Macdonald wymawia nazwisko Osvalda tak, jakby się pisało przez W. Ten, kto napisał list do Osvaldów, musiał być Anglikiem albo Szkotem.

- Jestem absolutnie pewna - powiedziała pani McCann.

Wyglądała na pewną swego. - Dokładnie to samo powiedziałam temu drugiemu policjantowi.

- Czy ktoś odwiedzał pana Osvalda, kiedy tu mieszkał? - Nie.
- Był sam, kiedy się wymeldowywał?
- No jasne. Nie wiem, co pan ma na myśli, panie konstablu.
- Nikt na niego nie czekał w samochodzie?
- Tego nie mogłam widzieć. Nie wychodziłam na dwór, kiedy wyjeżdżał. - Wskazała na drzwi z dwiema szybkami zasłoniętymi ażurową konstrukcją.

Winter widział samochód, którym przyjechali. Stał na ulicy, ale nie było widać, czy ktoś w nim siedzi, czy nie. Skinął głową i spojrzął na panią McCann.

- Czy moglibyśmy zobaczyć jego pokój? - zapytał Macdonald. - Jeśli jest wolny.
- Chwilowo tak.

- Ktoś z policji już tam był?
- Nie.

Winter spojrzął na Macdonalda. Macdonald tylko wzruszył ramionami. Przecież Craig nie prowadził dochodzenia w sprawie morderstwa.

- Więc możemy go obejrzeć?

Pani McCann zrobiła krok w przód.

- A czy ktoś dzwonił do pana Osvalda, kiedy tu był? - zapytał Winter.

- Już odpowiadałam na to pytanie.

- Zazwyczaj pytamy kilka razy - wyjaśnił Macdonald z uśmiechem.

- To dlaczego po prostu sobie tego raz a dobrze nie zapiszecie?

- Robimy, co możemy - odparł Macdonald.

- Mówiłam temu drugiemu konstablowi, że były trzy telefony. Za każdym razem odbierałam ja. Dzwoniła kobieta.

- Za każdym razem ta sama?

- Tak.

- Przedstawiała się?

- Tak, panna Osvald.

- No dobrze - powiedział Macdonald. - Więc pokój...

- Czy ktoś tam mieszkał po panu Osvaldzie? - zapytał Winter.

- Nie... Sezon już się skończył. Nie mam gości... niestety. - Pani McCann wyglądała, jakby się nad czymś zastanawiała. Spojrzała na nich. - Ale sprzątnęłam ten pokój.

- To zrozumiałe, pani McCann - odparł Macdonald.

- Jeśli panowie czegoś szukają, to on niczego nie zapomniał.

- Po prostu chcemy zobaczyć pokój.

- Drugie piętro. - Przeszła przez przedpokój i z szafki wiszącej na ścianie wyjęła klucz.

Pokój przywołał wszystkie wspomnienia Wintera z takich małych pensjonatów. Dwa okna, po jednym z każdej strony. Pełno bibelotów. Miały stworzyć miłą atmosferę. W nogach

łóżka termofor. Na ścianie obok tani obrazek. Przedstawiał wyłaniającego się z jeziora potwora o długiej szyi. Był oprawiony w pomarańczową ramkę. I obrazek, i ramka były bardzo charakterystyczne.

Cholera.

Spałem w tym pokoju.

Winter spojrzął na panią McCann. Ile mogła mieć lat? Jakies sześćdziesiąt pięć. Pamiętał właścicielkę z tamtych czasów. Miała czterdziestkę, jak on teraz. Nie przypominał sobie, jak wyglądała. Ale chciał się upewnić.

- Pani McCann... Od kiedy prowadzi pani ten pensjonat?

- Dokładnie od trzydziestu lat - odparła z przekonaniem.

- Rozumiem. A czy przechowuje pani może księgi gości?

- Oczywiście - popatrzyła na Macdonalda. - Takie są teraz przepisy. Ale ja robiłam to już wcześniej. To samo robiła moja mama.

- Proszę?

- Moja mama. Prowadziła pensjonat przede mną.

- Więc od jak dawna wynajmujecie pokoje? - zapytał Macdonald.

- Od trzydziestego dziewiątego - odpowiedziała. - Zaczęła się wojna i pojawiło się mnóstwo żołnierzy. Mama powiedziała, że trzeba pomóc tym biednym chłopcom, zapewnić im dach nad głową i przytulny pokój.

- A moglibyśmy zajrzeć do ksiąg? - poprosił Winter.

- A nie chcą panowie oglądać pokoju?

- Ja się tutaj rozejrzę - powiedział Macdonald. Wymienili z Winterem szybkie spojrzenia.

Oprawione w czerwoną sztuczną skórę księgi leżały w stosach w piwnicy. Pachniało suchym kurzem. Wyglądało na to, że są ich setki. Nie czuć było wilgoci, co mogło oznaczać, że księgi zachowały się w dobrym stanie.

- Co pan chce sprawdzić? - zapytała pani McCann.

Winter powiedział jej, że był w jej pensjonacie na początku lat osiemdziesiątych. W marcu.

- W takim razie powinnam pana pamiętać.

- Miałem wtedy brodę.
- Było u nas sporo młodzieży ze Skandynawii.

Winter pokiwał głową. Pani McCann krążyła między stosami książek. Stosów było dużo, ale były dość niskie. Zauważył, że każda książka ma na grzbiecie karteczkę z datą. Pani McCann wyciągnęła jedną z nich i podała mu.

- Ta jest z wiosny - powiedziała i zaczęła kartkować.

Winter stał obok. Widział szerokie kolumny trudnych do odczytania podpisów, nazwisk napisanych wyraźniej drukowanymi literami i adresów. Pani McCann znalazła strony z marca. Miała wtedy zaskakująco wielu gości. Wskazała palcem na wpis z czternastego marca. Winter odczytał adres rodziców w Göteborgu. Obok widniał jego ówczesny podpis, o wiele ładniejszy niż obecny. Niepewny, ale wyraźny i zamaszysty

- To pan. Czy to nie zdumiewające?
- Oj tak - odparł.
- Jest tu tyle pensjonatów, nawet w tej części miasta.

Właśnie tu jest ich najwięcej.

Winter przytaknął.

- Czy ktoś panu polecił mój pensjonat?
- Zapytałem na stacji kolejowej. Pewnie większość ludzi tak robi.
- Tak. Kiedy ludzie przyjeżdżają pociągiem, dzwonią do mnie ci z dworcowej informacji. Czasem też z lotniska.

- A jak to było z panem Osvaldem?

Pani McCann chwilę się zastanawiała.

- Zadzwoił.
- Zadzwoił? Osobiście?
- Tak.
- Zadzwoił i zamówił pokój?
- No tak, mówię przecież.
- A może słyszała pani, skąd dzwonił?

- No, na pewno nie z miasta. Słychać było szumy i trzaski i byłam pewna, że dzwoni z zagranicy. Tak to właśnie brzmi przy połączeniach z zagranicy.

Winter się zastanawiał.

- A czy jest możliwe, że pan Oswald już kiedyś był pani gościem?

- A niby kiedy? - zapytała. - Nie... nie przypominam sobie. Ani

jego nazwiska. Pamiętałabym. - Wskazała na sterty ksiąg. - Ale można to sprawdzić.

- Mnie pani nie pamiętała.

- To co innego. Pan był wtedy młody. I miał pan brodę.

Winter wyjaśnił wszystko Macdonaldowi. Stali w pokoju „pod stoma bibelotami”. Macdonalda rozbawiły słowa pani McCann.

- *When I was young* - powiedział. - Eric Burdon, The Animals.

Pani McCann zostawiła ich na kwadrans samych.

- Przecież Axel Oswald musiał się od kogoś dowiedzieć o tym miejscu - stwierdził Winter. - Albo był tu wcześniej.

- W ciągu ostatnich czterdziestu lat. Drobnostka, wystarczy sprawdzić.

- Wolałbym nie.

- Gdyby to było morderstwo, to Craig zjawiłby się tu ze swoimi ludźmi. Ale nie w tej sytuacji.

Macdonald też zszedł z panią McCann do piwnicy. Była naprawdę chętna do współpracy. Macdonald wychwalał jej zadbane pensjonat, a Winter obiecał, że poleci to cudowne miejsce połowie Göteborga. Zaopatrzyli się nawet w ulotki i wizytówki. Nie było na nich adresu internetowego, nic w stylu www.glenislay.com. Winter pomyślał, że pewnie jeszcze długo nic takiego się na nich nie pojawi.

- Po tej zaczęłam kolejną, nową - wyjaśniła, sięgając po księgę leżącą na wierzchu sterty piętrzącej się w głębi, z prawej.

Winter zapytał o wszystkich gości mieszkających w pensjonacie w czasie, kiedy mieszkał w nim Axel Oswald, a także tuż przed jego wizytą i tuż po niej.

Razem z Macdonaldem przeglądali kolejne strony. Niezbyt dużo nazwisk. Znaleźli podpis Oswalda. Pani McCann

zanotowała, kiedy się wymeldował. Taki sam zapis widniał przy nazwisku każdego gościa. Wszystko było czytelnie zaznaczone.

Dzień przed tym, jak zjawił się Oswald, wymeldował się niejaki Os Johnson.

Winter odczytał jego nieco chwiejny podpis. Litery były duże, ale niezbyt zamaszyste.

Os Johnson.

Tak długo myślał o Johnnie Oswaldzie, że od razu o tym pomyślał. Os Johnson, nierówne pismo. Os Johnson. Oswald Johnson. John Oswald.

Coś go przyciągnęło do tych ksiąg. Jakiś pomysł. Nie mógł przemykać na to oczu. Coś go przywiodło z powrotem do Glen Islay.

- A pamięta pani Osa Johnsona? - zapytał, wskazując palcem na podpis.

Pani McCann pochyliła się, a potem podniosła wzrok.

- Pan konstabl myśli, że mam demencję, czy co? - Potrząsnęła głową. - Przecież to było zaledwie miesiąc temu. - Spojrzała na Macdonalda. - Pan Johnson był taki uprzejmy. Prawdziwy człowiek honoru, jak kiedyś bywali.

- Kiedyś?

- Był po osiemdziesiątce. Ale świetnie sobie radził. Był całkiem samodzielny.

Winter i Macdonald spojrzeli po sobie.

- Był stąd? - zapytał Macdonald. - To znaczy ze Szkocji? Albo może z Anglii?

- Nie mówił za dużo. Ale z tego co zrozumiałam, to tak. Tak brzmiał. Choć, jak już wspomniałam, dużo nie mówił. Ale pomogłam mu wysłać list.

- Proszę?

- Chciał wysłać list, a ja... świadczę również takie usługi. Mam papier listowy, koperty i znaczki. Mogę też zanieść list do skrzynki, jeśli moi goście potrzebują takiej pomocy. Niektórzy się spieszą, bo muszą już jechać, i wtedy dobrze jest...

- Przepraszam, że przerwę, pani McCann, ale czy widziała pani, do kogo był zaadresowany ten list?

- Nie, skądże. W życiu nie przyszłoby mi do głowy wtrącać

się do takich spraw.

- A czy pan Johnson sam przykleił znaczki?

- Tak... - odparła.

- Jest pani pewna?

- Tak, chociaż było coś... teraz sobie przypominam. To nie była koperta stąd. To znaczy to nie była moja koperta. I było na niej więcej znaczków niż zazwyczaj. To akurat pamiętam, bo zauważyłam, kiedy wrzucałam ją do skrzynki z innymi. Miałam ich kilka.

Winter otworzył torbę i wyciągnął z plastikowej koszulki kopertę. Na trzech znaczkach widniał stempel poczty w Inverness.

- Czy to ta koperta?

Długo się jej przyglądała. Naprawdę chciała pomóc. Czasem trzeba być szczególnie ostrożnym wobec takich ludzi. Niektórzy starają się za bardzo, tak bardzo chcą dołożyć coś od siebie do układanki. To tak jak kiedy się w obcym kraju zapyta o drogę: każdy wskaże w innym kierunku. Wszyscy chcą być uprzejmi.

Ale pani McCann chyba wiedziała, czym jest źle pojęta uprzejmość.

Spojrzała na nich.

- Nie umiałabym odpowiedzieć na to pytanie. Chociaż wydaje mi się, że nie.

Winter wyciągnął z rękawa kolejnego, ostatniego już asa.

Pokazał pani McCann zdjęcie, które dostał od Erika Osvalda.

John Osvald miał na nim mniej więcej dwa razy mniej lat niż jego wnuk teraz.

Uśmiechał się, stał na rufie łodzi. Wokół niego wisiała sieć. Niebo rozciągające się nad łodzią i młodym mężczyzną było bezchmurne. W rękach trzymał linę. Na głowie miał czapkę z daszkiem. Przesłaniał mu oczy. Widać było głównie jego uśmiech.

- A to kto? - zapytała pani McCann.

- Os Johnson - odparł Winter.

- Naprawdę? No tak, przecież wszyscy byliśmy kiedyś młodzi.

- To może być on - wyjaśnił Winter.

- Może, ale ja go nie rozpoznaję. Nie mam jak. Przecież to niemożliwe.

Winter przytaknął. Wetknął zdjęcie z powrotem do koszulki i wyjął następne. Tym razem profil Johna Osvalda. Zdjęcie zrobiono tuż przed wyprawą, z której już nie wrócił.

- Nie - powiedziała pani McCann.

Winter zamknął torbę.

- Czy będziemy mogli wrócić, gdybyśmy chcieli zapytać o coś jeszcze? - zapytał Macdonald.

Pani McCann pokiwała głową.

- A może było w panu Johnsonie coś, co szczególnie rzuciło się pani w oczy? - dodał.

- Na przykład co?

- Cokolwiek. Co mówił. Co robił. Może jakiś gest. Czy gdzieś dzwonił. Coś w jego wyglądzie. Czy ktoś go odwiedzał. Cokolwiek.

- Dużo tego.

- Proszę się zastanowić - poprosił Macdonald. - I zadzwonić, jeśli coś sobie pani przypomni. Cokolwiek, jak mówiłem.

Zauważyli, że pani McCann zaczyna się wahać.

- Tak? - zapytał Macdonald.

- Chodzi o ten list. Ten, który wysłałam. - Pani McCann unikała ich wzroku.

- Tak? - powtórzył Macdonald.

- Tak się złożyło, że adres częściowo wpadł mi w oko, gdy wrzucałam go do skrzynki.

- Ależ to całkiem naturalne.

- Dziwne by było, gdyby pani nic nie zauważyła.

- Zauważyłam tylko kraj. - Pani McCann spojrzała na Macdonalda. - Kraj, do którego miał trafić.

- I co to był za kraj?

- Dania.

- Dania? - Winter spojrzał na Macdonalda. - A nie Szwecja, pani McCann?

- Nie. Na kopercie było napisane Dania.

Znów objechali róg przy Kennet. Macdonald przystanął, żeby przepuścić pieszego, a potem skręcili w prawo, w Tomnahurich Street.

- Może Axela Osvalda nikt nie odwiedził - powiedział Winter. - Pytaliśmy o wizyty, ale może ten ktoś, kogo szukał, mieszkał w pensjonacie.

- I sprowadził go do siebie - dodał Macdonald.

- Tak.

Macdonald rzucił Winterowi szybkie spojrzenie.

- Zaczyna ci się to podobać, co?

- Nie.

- Wiesz, o co mi chodzi.

- No chyba że tak.

Minęli duży bar z frytkami i rybami. Winter czuł unoszący się nad zatłoczoną ulicą zapach smażonego tłuszczu.

- W środku powietrze jest tak tłuste, że człowiek zostawia w nim swoje odbicie. - Macdonald wskazał na wejście. - Można zobaczyć kontur cudzego ciała w powietrzu. Zupełnie jak na Syberii. Przy minus sześćdziesięciu jest podobnie.

- Wierzę ci na słowo - odparł Winter.

- Tutaj smaży się nawet blood pudding.

- Może bez tego nie dałoby się go zjeść - stwierdził Winter.

Zatrzymali się na czerwonym. Droga A82 ciągnęła się stąd aż do Loch Ness. Pojechali nią dalej. Minęli cmentarz i ośrodek sportu z aquaparkiem. I wreszcie zobaczyli szyld: All Weather Football Pitch.

- Więc pogoda się tu zmienia? - zapytał Winter, wskazując na niego.

- Nie, i z tego co wiem, dokładnie tak samo jest w Göteborgu - odparł Macdonald.

- Göteborg to futbolowa stolica Szwecji.

- A FC Inverness awansowało w szkockiej Premier League, choć nikt się tego nie spodziewał. - Macdonald z niedowierzaniem pokręcił głową.

- No proszę.

- Henrik Larsson gra w Celtic. Jest z Göteborga?

- Nie.

- A ten drugi? Mjällby? Ten duży.
- Nie.
- A nie mówiłeś przypadkiem, że Göteborg jest futbolową stolicą Szwecji?

Winter przestał go słuchać. Spojrzał na zegarek i wyciągnął komórkę. Wybrał numer z listy. Johanna odebrała po trzecim sygnale.

- Cześć. I jak? - zapytał.
- Dobrze. Pomogli mi, jak tylko mogli. Ja... to znaczy my... jesteśmy na lotnisku. Samolot odlatuje za trzy kwadranse.
- Żałuję, że nie mogliśmy ci pomóc.
- Już o tym rozmawialiśmy, Erik. Lepiej, żebyście z Macd... ze Steve'em robili to, co robicie.
- Mam pytanie - powiedział, przechylając się całym ciałem w jedną stronę. Macdonald właśnie gwałtownie skręcił w prawo na wąskiej drodze. - Ile razy dzwoniłaś do ojca, kiedy był w tym pensjonacie w Inverness? W Glen Islay?
- No... dwa. Wydaje mi się, że dwa.
- Zastanów się.
- A to ważne?
- Tak.
- Dlaczego?
- Najpierw pomyśl.
- Dwa.
- Jesteś pewna?
- Tak. - Sekunda ciszy. - Absolutnie.
- Do twojego ojca dzwonił trzy razy - wyjaśnił Winter. - Przynajmniej według właścicielki pensjonatu. Trzy telefony, za każdym razem kobieta.

40.

Te ulice. I pierwszy raz, kiedy się tu znalazł. Autobus znad morza był opóźniony. Poszedł więc z dworca na piechotę. Była noc. Ciepła.

Oglądał się za siebie mnóstwo razy, ale nikt za nim nie szedł. Był już kimś innym.

Ulica wyglądała jak zwykle. Pachniała też tak samo. Zapach, który jeszcze do niedawna był ciężki.

Czy to ten sam pokój? Widok był identyczny, ale przecież mogli wszystko przemeblować. Ludzie przychodzili i odchodzili, wojna też. Na ścianie wisiał obrazek przedstawiający Jezusa. Wtedy, za pierwszym razem, też tu był. Padł na kolana i próbował coś Jezusowi powiedzieć. Ale nie dostał odpowiedzi. Wiedział dlaczego.

Jezu!

Kobieta spojrzała na niego, mierzyła go wzrokiem. Podał jej list.

Nadszedł czas.

Jezus odpowiedział. Nie. Nie Jezus - ktoś inny.

Włóczył się w tę i z powrotem po mostach. Czekał. Próbował nasłuchiwać. I znów czekał. Wcześniej, w pubie w eleganckim hotelu, przyjrzał się swoim dłoniom, bo spojrzał na nie barman.

Spojrzał tak, jakby wiedział. Jakby widział, jak zaciskają linę. Zaciskają wokół szyi.

Dostał piwo i patrzył, jak się klaruje.

Tamtej nocy morze było szalone. SZALONE. Wszyscy byli szaleni.

Nie chodziło tylko o pieniądze. Ani o kobiety.

Ani o Boga.

Ostatniej nocy wsiadł do autobusu jadącego na południowy kraniec jeziora.

Włóczył się po górach.

Znalazł miejsce, które mogłoby być spokojne. Gdyby tylko wiatr wiał w dobrym kierunku i gdyby światło zechciało zniknąć.

Wieczorem czekał. Ktoś rozpałił ognisko na plaży. Widział twarze połyskujące w jego świetle. Ktoś zabrzdakał na gitarze. Okropny dźwięk poniósł się po wodzie. Wydawało mu się, że tam, na jej powierzchni, widzi jakiś ruch.

W nocy płakał. Próbował napisać kolejny list, w swoim starym języku. Starał się uporządkować wspomnienia, poukładane w osobne, odległe od siebie stosy. Niektórych z tych przeklętych stosów chciał się pozbyć, zanim nadejdzie dzień. Chciał je wrzucić do ognia, spalić. Słyszał swoje myśli. Te wszystkie mocne słowa, których nie wypowiedział, choć miał je w głowie.

Słowa nie znaczą nic wobec czynów. Słowa mogą ranić, ale nie aż tak. Nigdy aż tak.

Jedno wspomnienie odpychał.

Powiedział, że to nie dla niego. To naprawdę nie dla ciebie.

To był ładny dzień.

Zostań na łodzi. Zostań tu.

Nie chcę. Dlaczego miałbym zostać?

Zostań.

Nie.

ZOSTAŃ.

Ale...

Nie wejdiesz na pokład. NIE WEJDZIESZ NA POKŁAD.
NIE POPŁYNIESZ.

Ale tak się nie stało.

Samochód był zielony jak algi, które trzy dni wcześniej trzymał w ręku.

Jezu! Zabierz mnie stąd!

41.

Winter po raz pierwszy zobaczył jezioro, gdy mijali Lochend. Wyglądało jak fiord, góry po drugiej stronie były wysokie. Woda była miejscami czarna, miejscami biała.

- I jak się miewa potwór? - zapytał. Wydawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch na powierzchni, jakby coś zabulgotało. Wskazał palcem w tamtą stronę.

- Nessie? - upewnił się Macdonald. - Ukrywa się.

- A istnieje?

- Oczywiście, że tak.

- No tak, musisz tak mówić. Tutejszy przemysł turystyczny w stu procentach zależy od potwora. - Widział znaki wskazujące drogę do poświęconej potworowi wystawy w Drumnadrochit. Pół mili na południe. Woda ciągnąca się po lewej też była czarno-biała.

- To nie jest takie proste - odparł Macdonald.

- Co to znaczy?

Macdonald nie odpowiedział. Wyglądał poważnie.

Winter się zaśmiał.

- Daj spokój, Steve.

Macdonald wpatrywał się w jezioro. W tym miejscu było szersze.

- Są takie miejsca - powiedział.

- Jakie miejsca? - Winter nie zrozumiał. - Miejsca, gdzie można go zobaczyć?

Macdonald lekko pokiwał głową.

- Wiesz o czymś, o czym nie wie nikt inny?

- Może - odparł Macdonald.

- Ale nie chcesz nic zdradzić?

- Niektóre tajemnice muszą pozostać tajemnicami.

- Pierwsza zasada inspektora wydziału kryminalnego.

- Z tego co wiem, Nessie nigdy nie został o nic oskarżony.

Winter spojrzął na Macdonalda i odwrócił się na siedzeniu.

- Ty naprawdę lubisz tego potwora, Steve. Naprawdę w to wierzysz.

- Jest tu od zawsze - powiedział Macdonald z niewinną

miną. Winter nie potrafił stwierdzić, co mówił poważnie, a co miało być subtelnym żartem. - Nessie to część mojej młodości.

Odwrócił się do Wintera.

- Następnym razem coś ci pokażę.
- Dlaczego nie teraz? - zapytał Winter.
- Nie ta pora roku. - Macdonald spojrział na wodę. - To chyba nie ta pora roku.

Tuż przed Drumnadrochit Winter zobaczył muzeum potwora. Pomyślał, że nikt, kto tędy przejeżdża, nie może go przegapić. Z prawej nadal było widać wodę. Dalej na południe, w miejscu, gdzie jezioro się kończyło i przechodziło w River Och, Axel Oswald spotkał śmierć. Może zachowywał się wtedy, jakby był niezrównoważony. Prawdopodobnie. O co w tym wszystkim chodzi? Czy tu, gdzieś pod powierzchnią, czyha zło? Jest tu coś poza wystawą, idiotycznym przemysłem turystycznym, legendami o potworze i średniowiecznymi ruinami, które ciągną się wokół jeziora niczym zburzony zamek z piasku? Czy jest tu zło? Czy Axel Oswald je spotkał? Czego, a może kogo spotkał? Dlaczego tutaj? Dlaczego właśnie tutaj?

- Napiłbym się czegoś - powiedział Macdonald. Zjechał z drogi i zaparkował przed Hunter's Bar & Restaurant, naprzeciwko muzeum.

- Widziałeś tę wystawę? - zapytał Winter.
- Nie muszę.
- Zrobiłeś już tyle aluzji, że zaraz zacznę się domagać, żebyśmy podjęli poważną próbę rozwiązania zagadki potwora.
- Winter wysiadł. - Zyskamy światową sławę.
- Nie chcę być sławny. Chcę być bogaty.
- A ja tylko sławny - stwierdził Winter.

Weszli do baru. Na ścianie wisiał plakat reklamujący jakąś hollywoodzką produkcję o potworze sprzed dziesięciu lat. W roli głównej Ted Danson. Winter bynajmniej nie żałował, że nie widział tego filmu.

Macdonald zamówił dwie piny szkockiego piwa.

Usiedli przy stoliku pod oknem, z widokiem na ruiny Urquhart Castle. Na jeziorze widać było łódkę. Wyglądała, jakby na coś polowała. Winter pomyślał, że może mieć na

pokładzie supernowoczesny sonar. Wiedział, że przez ostatnich dwadzieścia lat regularnie przeszukiwano jezioro za pomocą specjalistycznych urządzeń. Przypominało to nie tak dawne działania szwedzkiej floty tropiącej obce łodzie podwodne na Hårsfjädersn. W końcu nic nie znaleziono, ale wielu twierdziło, że coś widziało.

Wiele rzeczy opiera się na mitach.

- A mówią serio - powiedział Macdonald z pianą z piwa na górnej wardze - nie wszystkie historie o Nessie można uznać za mity.

- Daj spokój.

Macdonald zrobił ledwo zauważalny gest lewą ręką.

- Wielu z tych, którzy mieszkają nad jeziorem, ma do opowiedzenia niejedną dziwną historię. Ale zachowują je dla siebie. Nie chcą, żeby ich wyśmiewali złośliwcy przyjeżdżający tu nie wiadomo skąd.

- Czy to dlatego nie chcesz mi nic opowiedzieć? - Winter wypił łyk piwa.

- Ja tu nie mieszkam.

- A ja się z ciebie nie wyśmiewałem. - Winter sięgnął po corpsa. - W każdym razie jeszcze nie.

Zapalił cygaretkę.

- Więc jeszcze nie rzuciłeś. A myślałem, że z tym skończyłeś.

- Niedługo rzucę - odparł Winter, zaciągając się smacznym dymem i wypuszczając go tak dyskretnie, jak tylko potrafił.

Fort Augustus tworzyły dwa rzędy domów ustawione w podkowę. Do tego kilka stacji benzynowych i pubów. Na parkingu przy Morag's Lodge pachniało smażonym olejem, benzyną i zgniłymi wodorostami.

Macdonald zerknął na kartkę z adresem. Ruszyli i weszli do pubu Poachers. Powietrze było gęste od dymu. Piła popołudniowa zmiana. Było cicho.

Menedżer wprowadził ich na zaplecze. Twarz miał szarą. Skutek zbyt wielu lat spędzonych w zatrutym powietrzu. Może nigdy nie był nad jeziorem.

- Dziwny koleś - powiedział. Nazywał się Ball. Był Anglikiem. - Wyglądał, jakby nie wiedział, co robi i dlaczego.

- Podobno zadawał pytania - powiedział Macdonald.

- Podobno, ale nie mogłem mu odpowiedzieć, bo nie rozumiałem, co mówił.

- Nie pamięta pan ani słowa?

- Nie.

- Był poruszony?

- Nie... Po prostu nie bardzo kontaktował, ale tutaj to nic nadzwyczajnego - powiedział Ball z uśmiechem. - Ludzie często są poruszeni, jak przepiją całą zawartość portfela i nie mogą nic dostać na kredyt.

- To jak by go pan opisał? - zapytał Winter. Ball spojrzał na niego.

- Pan też jest Szwedem? Jak tamten?

Wiedzieli, że Ball wiedział, że Oswald był Szwedem.

- Tak - odparł Winter.

- Trochę to słyhać - powiedział Ball.

- To jaki on był? - powtórzył Macdonald.

- Cóż... skoro pytacie, to według mnie był przerażony. Bał się. Trochę dziwak... i wystraszony. - Ball zrobił ruch głową. - To było coś takiego. Jakby się oglądał, czy ktoś go nie obserwuje. Zachowywał się, jakby go ktoś śledził.

- A widział pan kogoś?

- Niby kogoś, kto go śledził?

- Tak.

- Nie.

- A jak wychodził z pubu?

- No oczywiście odprowadziłem go wzrokiem, bo robił dziwne wrażenie, ale potem wyszedł, zamknął za sobą drzwi i tyle.

- Nie powiedział ani słowa po angielsku? - zapytał Winter.

- Nie.

- A rozmawiał pan z kimś innym, kto też z nim rozmawiał?

- Tylko ze starym Macdonaldem z The Old Pier - odparł Ball. - Tam przecież mieszkał ten Duńczyk, z tego co rozumiałem.

- Proszę? - zapytał Macdonald.
- To tam Duńczyk wynajął pokój, nie?
- Szwed - poprawił go Winter.
- Dobra, co za różnica. Tak czy inaczej, miał tam pokój.
- Nic o tym nie wiemy. - Macdonald spojrział na Wintera.
- Może to był jakiś inny Szwed w takim razie. - Ball się uśmiechnął, odsłaniając bynajmniej nie skandynawskie zęby. Winter pomyślał, że stan uzębienia mieszkańców Skandynawii wyraźnie się różni od stanu uzębienia Brytyjczyków. - Stary Macdonald mówił o Szwedzie.
- Ale policji o tym nie mówił.
- Bo pewnie nikt go nie zapytał. Nie mówi nic, jeśli się go nie zapyta wprost.

Macdonald zapytał więc o Macdonalda wprost. Tak. Szwed, taki starszy, spędził jedną noc w The Old Pier. Pensjonat stał przy samym brzegu jeziora, na północ od Fort Augustus. Gdy wchodzili po schodach, czuli zapach wody i omszałych kamieni. Właściciel też był starszym panem. Podpierał się kijem grubości ramienia dorosłego mężczyzny. W salonie paliło się w kominku. Drewno nie było do końca wysuszone. Strzelało jak z pistoletu.

- Powinien pan być zawiadomić policję - powiedział Macdonald.
 - A po co? - zapytał Macdonald, potrząsając kijem.
 - Co to znaczy, że był starszy? - zapytał Steve.
 - Na pewno po osiemdziesiątce, ale ruszał się jak pięćdziesięciolatek - odparł Macdonald. Sam chyba przekroczył osiemdziesiątkę. Na twarzy miał czarne plamy.
 - Jak się nazywał? - zapytał Winter.
 - Musiałbym sprawdzić w księdze gości.
- Poszli za nim do recepcji. Macdonald przerzucił kilka stron.
- John Johnson.
- Kolejny Johnson. Winter widział, że Steve też jest zdziwiony.
- A kiedy tu mieszkał?

John Johnson wynajął pokój na noc poprzedzającą dzień, kiedy Axel Oswald zjawił się w Fort Augustus, żeby ruszyć w

góry.

- A kiedy wyjechał? Wcześniej? Późno?
- Rano.
- O której?
- No chyba o dziewiątej.
- O czym rozmawialiście?
- Kiedy?
- Kiedykolwiek.
- On się słowem nie odezwał.
- To skąd pan wie, że był Szwedem? - zapytał Steve.
- Chyba musiał wtedy o tym wspomnieć.
- Kiedy wtedy?
- Nie pamiętam.
- Ma pan demencję, czy co?
- Chcesz po mordzie, ty wyspiarski natręcie? - Stary

Macdonald potrząsnął kijem.

- Niech się pan uspokoi - powiedział Steve.

Staruszek opuścił kij. Steve się uśmiechnął. Stary Macdonald odwzajemnił uśmiech.

- Cholerny Macdonald - powiedział.
- No więc dlaczego doszedł pan do wniosku, że jest Szwedem?

- Podczas wojny poznałem wielu Szwedów. Rybaków.
- Tak?

- Nie wiem. Może sobie tylko ubzdurałem, że jest Szwedem.

I że to szwedzkie nazwisko. Johnson.

Próbowali go jeszcze trochę wypytywać, ale staruszek się zmęczył.

- Proszę nam dać znać, jeśli pan sobie coś przypomni.

Dziękujemy. - Steve wręczył mu swój numer.

- O ile sobie przypomnę, że mam sobie coś przypomnieć.
- Kojarzy pan jak młodziak.

Wyszli i przystanęli jeszcze na chwilę.

- Samochód - powiedział stary Macdonald.
- Widział go pan?

- Był zielony. - Staruszek znów potrząsnął kijem. - Zielony

jak te przybrzeżne zarośla zimą.

- Metalik - powiedział Steve.
- Tak, rzeczywiście tak dziwnie połykiwał. Ale nie pytajcie mnie o markę. - Nagle splunął. - Dziś wszystkie wyglądają tak samo, do cholery.

- To był nowy samochód?
- Dziś wszystkie wyglądają na nowe, do cholery - odparł staruszek.

Steve się roześmiał.

- Ale ktoś z nim siedział z przodu, kiedy odjeżdżał.

W tamtą stronę - dodał, wskazując kijem na wschód.

- To twój krewniak? - zapytał Winter, kiedy ruszyli na wschód. Zaczynało zmierzchać. Woda w jeziorze wydawała się teraz ciemniejsza.

- A skąd! - odparł Macdonald. - Chyba jest z Macdonaldów z ClanRanald, tych z północnych wysp.

- A czym oni się różnią od reszty?

- Nie widziałeś?

- Nie pytam o wiek.

- Moja rodzina wywodzi się ze wschodnich wysp. MacDonaldowie ze Skye. Stary, dumny klan.

- To jak się znaleźliście na stałym lądzie?

- Mój dziadek wsiadł na prom, kiedy był bardzo młody

- powiedział Macdonald sucho. - Potem przejechał jeszcze kawałek i zatrzymał się w Dallas. Nie miał wyboru, musiał wyjechać. Po jakiejś awanturze z McLeodami. - Odwrócił głowę w drugą stronę. - To był drugi duży klan na wyspie.

- To dlatego staruszek nazwał cię wyspiarskim natrętem.

- Tak. Musiał się zorientować.

- To ciekawe, zważywszy na to, że jego klan też wywodzi się z wysp.

- Ale dobrze się stało, że wylądowaliśmy kawałek od morza. Ale może nie na zawsze. Motto naszego klanu brzmi: *per mare per terras*. Wiesz, co to znaczy?

- *Mare* to morze, *terra* to ląd.

- Morzem i lądem. To nasze motto.

- Brzmi bardzo dostojnie.

- Donald pochodzi od gaelickiego *Domhnall*, pan wody.
- Jestem pod wrażeniem - powiedział Winter i spojrział na wodę. Właśnie wjeżdżali w wąską drogę okalającą jezioro od południa.

- Ale nie chodzi o zwykłą wodę - wyjaśnił Macdonald. - Chodzi

o morze. O Atlantyck!

Na zielonym stoku opadającym do wody pasły się owce. Zieleń nie przybrała jeszcze metalicznego odcienia. Szara wełna owiec na tle trawy wyglądała jak kamienie.

W tym miejscu krajobraz nagle się zmieniał. Szczyt Murligan Hill wyglądał jak powierzchnia księżyca. Winter opuścił szybę do połowy i usłyszał podmuchy wiatru. Od razu zrobiło się chłodniej. Droga była wąska. W zapadającym zmierzchu nie wyglądała na szczególnie bezpieczną.

Na górze było ciemno. Może jezioro potęgowało to wrażenie, a może surowy krajobraz.

Jezioro jakby się odwróciło do tego miejsca plecami. Po drugiej stronie do wody można się było dostać wygodną drogą. Stąd trzeba by skoczyć ze stromych skał, z wysokości trzydziestu metrów.

Zaparkowali nad małym sztucznym jeziorkiem Loch Tarff. Wyglądało jak ślepe oko wpatrzone w ciemniejące niebo.

Wysiedli. Winter zatrzęsł się z zimna, chociaż miał na sobie kurtkę. Widział, że Macdonaldowi też jest zimno.

Gdyby im przyszło tu leżeć bez ubrań, też by umarli. Gdyby byli nadzy w tym ogołoconym ze wszystkiego miejscu.

Macdonald studiował mapę, którą narysował Craig. Craig proponował zresztą, że przyjedzie tu z nimi albo wyśle kogoś, kto był tu wtedy. Podziękowali.

Macdonald wskazał na prawo od nieruchomej wody. Idąc przez ostrą trawę, wspięli się na niewielkie wzniesienie. Za nim znajdowało się płytkie, ale szerokie zagłębienie.

- Leżał tutaj - powiedział Macdonald i przykucnął.

- I to tutaj musiał dojść - dodał Winter. Spojrział w stronę Loch Tarff. Zobaczył tę śmiesznie wąską drogę, a na lewo od niej skrawek Loch Ness. Woda pokryła się już taką czernią,

jaką za chwilę miało się pokryć także niebo.

- Nie ma na to dowodów - stwierdził Macdonald, wciąż kucając.

- Jego ubrania były porozrzucane od Borlum Hill aż do tego miejsca. Ale przecież nie wiemy, czy sam je tak porozrzucił.

- Nie wiemy.

- Wiemy za to, że w Fort Augustus nie był sam.

- Wiemy?

- To Axel Oswald siedział w samochodzie Johnsona. Kimkolwiek by nie był.

- Przecież w samochodzie mógł siedzieć ktokolwiek.

I Johnson też może być kimkolwiek.

Macdonald coś wymamrotał i zmienił pozycję, ale nie wstał.

- Co mówisz, Steve?

- Wierzysz w to?

- W co?

- Że to morderstwo.

- Mam nadzieję, że nie.

Macdonald znów coś wymamrotał. Może mówił po gaelicku. Podniósł się. Mrok zdawał się nadciągać z prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Winter widział tylko zęby i zarys głowy Macdonalda. Macdonald powiedział coś niewyraźnie i odwrócił się w stronę łądu, w stronę gór Monadhliath. Po drugiej stronie łańcucha rozciągał się raj dla narciarzy. Ale tu nie było rajów, było tylko wietrznie i zimno. Winter czuł, że marznie mu czubek nosa. Nie wziął rękawiczek. Ręce też mu grabiły.

- Dlaczego właśnie tu? - powiedział Macdonald, tym razem wyraźnie, ale chyba sam do siebie. Potem szybkim krokiem ruszył przed siebie.

- To była zbrodnia - powiedział, gdy stali przy samochodzie. - Pytanie tylko jakiego rodzaju. - Macdonald otworzył drzwi. - To mogło być coś gorszego, niż się spodziewaliśmy.

- Steve, nie musisz myśleć na głos - powiedział Winter i wsiadł.

Angela wyszła z łazienki. Winter leżał w poprzek łóżka z

niewygodnie

zgiętą szyją.

- Ćwiczysz akrobatykę? - zapytała.

- Krew musi mi dopłynąć do mózgu - odparł. Angela przysiadła na skraju łóżka.

- Faktycznie, podczas kolacji nie wyglądałeś na szczególnie przytomnego.

- Naprawdę?

- I ty, i Steve, jeśli mam być szczerą.

Winter się podniósł i usiadł wyprostowany.

- Mówiliśmy wam przecież. Dziwnie było w tych górach.

- Aha.

- Przykro mi, jeśli zepsułem wam kolację.

- No co ty, było miło.

Winter wstał z łóżka i podszedł do stolika. Nalał sobie trochę whisky z butelki, którą kupił na lotnisku. Podniósł ją i pokazał Angeli, ale pokręciła głową.

Napił się. Ben Rinnes. Widział swoje odbicie w lustrzanym blacie stolika. Nadal wyglądał na zmarzniętego. Na Murligan Hill porządnie go przewiało. Potarł brodę. Widział, że Angelę rozbawiło jego odbicie. Zrobił głupią minę. Przypomnił mu się stary Macdonald. Podczas kolacji Steve opowiedział o nim Angeli i Sarze. O nim i o innych ważnych sprawach, którymi żyły szkockie klany. Jak mówił mu wcześniej, w większości smutne historie. Ale niektóre były absurdalne albo komiczne.

Winter odwrócił się do Angeli.

- Więc zobaczymy Dallas - powiedział. Pokiwała głową.

- Ale wy dojedziecie tam pierwsi - odparła.

On i Steve mieli wyjechać wcześniej rano. Angela i Sara miały zaczekać na siostrę Steve'a Eilidh. Wszystkie trzy miały do nich dołączyć w porze lunchu.

- Kusząca wizja - powiedziała Angela. - Kiedy słyszę albo widzę

tę nazwę, od razu przychodzi mi na myśl nazwisko Kennedy - Podniosła palec. - Albo wiesz co, napiję się whisky. Odrobinę. - Winter wziął szklankę ze stolika. - Ale przecież to inne Dallas. Prawdziwe Dallas, jak powiedział Steve.

Winter skinął głową i nalał jej. Centymetr.

- Ale Kennedy to też szkocki klan, nie? - zapytała, biorąc od niego szklankę.

42.

W połowie drogi do Nairn Macdonald wskazał na drogowskaz: Cawdor Castle.

- Pamiętasz Szekspira? - zapytał. Winter spojrział na drogowskaz.

- Daj mi minutę.

Cawdor, Cawdor, Cawdor. Tan Kawdoru.

- *Makbet* - powiedział.

Macdonald zrobił gest, jakby zdejmował z głowy kapelusz.

- W tę historię też wierzysz? - zapytał Winter.

- Nie wierzę, że to było tutaj. Chociaż zamek zbudowano na początku czternastego wieku. Ale w mit wierzę.

- To była prawdziwa historia kryminalna.

- Można powiedzieć, że wychowałem się w pobliżu dwóch potworów - stwierdził Macdonald. - Nessie i Makbeta.

- I jak to na ciebie wpłynęło?

- Jeszcze nie wiem.

Jechali wzdłuż wybrzeża. Winter spojrział w prawo, na River Nairn.

Potem minęli Nairn, zbudowane z brązowego granitu. Głośno skrzeczały mewy. Niebo było błękitne i bezchmurne. Miasteczko leżało nad samym morzem.

- Tu najczęściej w całej Szkocji można liczyć na ładną pogodę - powiedział Macdonald. - Kiedy byłem dzieckiem, przyjeżdżaliśmy tu czasem się kąpać.

Jechali dalej drogą A96, w stronę Forres. Winter zauważył, że nad lądem zebrały się chmury.

Czy do Forres

Daleko jeszcze? A cóż to za stwory,

Zwiędłe, w dziwacznych szatach

Macdonald minął dwa rondo i zaparkował na High Street przed Chimes Tearoom. Wysiedli.

- To ulica mojego dzieciństwa - powiedział Macdonald.

- To była najlepsza namiastka miasta. - Rozejrzał się. -

Choć nie ma tu w zasadzie nic poza tą ulicą.

Nad sklepem mięsnym po drugiej stronie ulicy wisiał szyld informujący o tym, że można tam kupić najlepszej jakości haggis. Award Winning Haggis. Winter wiedział, że haggis to narodowa potrawa Szkotów: kielbasa z baranich flaków i owsa. Jeszcze się na to nie skusił.

- Great chieftain o' the puddin-race! - powiedział Macdonald, widząc jego spojrzenie.

Winter się uśmiechnął.

- Robert Burns - dodał Macdonald. - *Ode to a Haggis*.

*Fair fa'your honest sonsie face
Great chieftain o' the puddin-race!
Ahoon them aye tak your place
Painch, tripe, or thairm:
Weel are ye wordy of a grace
As lung's my arm.*

- Chciałbym, żebyśmy mieli takie wiersze w Szwecji - powiedział Winter. - Wiersze opiewające kielbasę.

- Napijmy się kawy - zaproponował Macdonald. Weszli do Chimesa i usiedli przy stoliku pod oknem. Podeszła do nich kobieta w ich wieku. Przyjęła zamówienie: dwa latte i dwa kawałki ciasta Dundee. Miała ciemne, krótko podcięte włosy i miłą twarz. Jeszcze chwilę stała przy ich stoliku.

- Steve, to ty? - zapytała.

- Ja - odparł Macdonald, wstając. - Lorraine.

Kobieta go uściskała.

- Wieki całe - powiedziała.

- To prawda - przyznał Macdonald.

Odwróciła się i zobaczyła, że przy barze ustawia się kolejka. Kolega przywołał ją spojrzeniem.

- Muszę wracać do pracy - powiedziała, spoglądając szybko na Wintera.

- Kolega ze Szwecji - wyjaśnił Macdonald.

Winter wstał i podał jej rękę. Przywitali się. Posłała

Macdonaldowi jeszcze jeden uśmiech.

- Będziesz w mieście po południu?
- Przykro mi, Lorraine, ale jesteśmy w drodze do Aberdeen.
- Aha.

Szybko wróciła do baru. Macdonald i Winter usiedli. Winter zauważył ogłoszenie przy kasie: „Potrzebna osoba do zmywania. Środy i piątki 11-12”.

Macdonald dyskretnie odchrząknął.

- Dawna miłość - powiedział.
- Aha.
- Jak ty i Johanna Osvald.
- Mówiłem ci o tym?

Macdonald nie odpowiedział. Rozejrzał się i wyrztał przez okno. Widać było ludzi wchodzących do sklepu mięsnego naprzeciwko. Wychodzili z haggis najlepszej jakości.

- Minęło wiele lat, odkąd tu byłem ostatnio.

Winter nie odpowiedział. Macdonald na niego spojrział.

- Sam nie wiem... Jak się wraca, to człowiek się czuje niemal winny. Jakby coś zrobił nie tak. Jakby się wstydził, że kiedyś uciekł. Zawiódł resztę... Nie wiem, czy wiesz, o czym mówię. Czy to w ogóle da się zrozumieć.

- Ja od urodzenia mieszkam w tym samym mieście. Nie mam takich doświadczeń.

Jednak moje i jego życie różnią się od siebie, pomyślał Winter. Steve pochodzi z jakiejś rolniczej miejsciny, pierwsze samodzielne kroki stawiał w tym miasteczku. Ja jestem chłopakiem z wielkiego miasta. Przynajmniej w porównaniu z Forres. Chociaż teraz to Steve mieszka w prawdziwej metropolii. Przy niej Göteborg to prowincja.

Lorraine przyniosła kawę i ciasto. Było ciężkie od kawałków owoców.

- Co słyhać, Lorraine? - zapytał Macdonald.
- Jako tako.
- Widzę, że potrzebujecie kogoś na zmywak - powiedział z uśmiechem.
- Jeśli będziesz w mieście w środy i w piątki, to nie ma

sprawy.

Macdonald znów się uśmiechnął, ale nie odpowiedział.

- Poza tym układa mi się tak jak większości tutaj - dodała Lorraine. - Rozwiodłam się z jednym draniem i mam na wychowaniu dwójkę prawie dorosłych dzieci.

- Co to za drań?

- Rob Montgomerie.

Macdonald uniósł brwi.

- Tak, tak - posłała mu uśmiech, chyba trochę gorzki. - Ale przecież ciebie już tu nie było.

Winter widział, że Macdonald czuje się winny. Spuścił wzrok. Lorraine wróciła za bar. Macdonald patrzył za nią.

- No to teraz znasz mnie naprawdę - powiedział.

- Znasz tego kołesia?

- Naprawdę drań z niego. Biedna Lorraine. - Odwrócił się do Wintera. - Czasem nieważne, ile się ma lat. Są ludzie, których się po prostu nie lubi całe życie. - Spojrzał na Lorraine. - Musiała być zdesperowana.

- Chyba już się z tego wywinęła - zauważył Winter.

- Nie byłbym taki pewien. Rob był brutalem.

Kiedy wychodzili, Macdonald wziął Lorraine na stronę. Winter czekał na zewnątrz.

- Na razie ten bydlak gdzieś zniknął - powiedział Macdonald, kiedy wyszedł.

- Wyglądasz, jakbyś znów był w liceum - stwierdził Winter.

Bo tak jest, pomyślał. Wracając tutaj, Steve zamienia się w tego kogoś, kim był, zanim wyjechał. Tak działa czas.

- Tutaj nie brakuje mężów znęcających się nad żonami - powiedział Macdonald.

- A gdzie brakuje?

Aneta czekała w pokoju. Poproszono Siggego Lindstena. To istotna różnica: poproszono go, nie wprowadzono.

Halders odchrząknął. I włączył dyktafon. Lindsten odpowiadał na pytania tak, jakby to wcześniej przećwiczył. Ale i tak nic nie wiedział.

Halders zapytał go o kilka adresów w okolicach

Brantingsmotet. Lindsten okazał się najmniej rozumną istotą na świecie.

- W takim razie powiem więcej, niż powinienem - stwierdził Halders. - W magazynach na obrzeżach miasta, o których wspomniałem, przechowywane są towary skradzione z domów w całym Göteborgu.

- Aha - odparł Lindsten.

- To centrala. Punkt zborny. Stamtąd towary jadą do paserów i sprzedawców.

- Chyba coraz częściej tak to działa - zauważył Lindsten.

- Co? - zapytał Halders.

- Kradzieże i cała ta... organizacja, czy jak to nazwać.

- Zgadza się - powiedział Halders. - Duża organizacja.

- Ale co ja mam z tym wspólnego? - zapytał Lindsten.

- Powiem jeszcze coś - dodał Halders. - Otóż śledziliśmy ciężarówkę, która opuściła ten magazyn na Hisingen. Przejechała przez całe miasto, aż do Fastlagsgatan w Kortedala. A potem zatrzymała się przed klatką numer pięć i proszę zgadnąć, kto po chwili wyszedł porozmawiać z kierowcą?

- Nie mam pojęcia - odparł Lindsten.

- Pan!

- No to mnie pan zaskoczył.

- I jeszcze coś. Ciężarówka miała kradzione tablice.

- Skąd wiecie?

- Proszę?

- Może to ciężarówka była kradziona.

- A tablice nie? - wtrąciła Aneta. - To właśnie ma pan na myśli?

- Tak mi tylko przyszło do głowy. - Lindsten wzruszył ramionami. - Więc kto to był?

- Kto? - zapytał Halders.

- Ci faceci w ciężarówce.

- A kto powiedział, że był więcej niż jeden?

- Przecież ponoć tam byłem. - Lindsten się uśmiechnął. Właśnie o takim uśmiechu mówi się przebiegły, pomyślała Aneta. - No więc owszem, byłem tam. Pamiętam, że kiedy podjechałem pod klatkę, stała tam ciężarówka. Powiedziałem

im, że nie mogą tam stać, a oni zapytali, jak gdzieś dojechać. A potem zniknęli. - Lindsten dwa razy wciągnął nosem powietrze. - Nie wiem, czy wasz świadek słyszał, o czym rozmawialiśmy, ale jeśli tak, to może to potwierdzić.

- Czekali na pana - powiedział Halders.

Lindsten machnął ręką, jakby z rezygnacją. Jakby stwierdził, że temu siedzącemu naprzeciwko kretynowi nie ma co tłumaczyć.

- To powiem jeszcze coś - ciągnął Halders.

- A dlaczego mam tego wysłuchiwać?

- W jednym z magazynów na Hisingen znaleźliśmy całe wyposażenie mieszkania pańskiej córki - powiedział Halders. - Dokładnie sprawdziliśmy listę skradzionych rzeczy. Byliśmy tam i widzieliśmy. Jest nawet kilka zdjęć w ramkach.

- To dobra wiadomość - odparł Lindsten. - Czy to dlatego mnie wezwaliście? Mam zidentyfikować te rzeczy? O ile tak to się nazywa?

- Większość rzeczy jest porozrzucana po magazynie, ale rzeczy pańskiej córki są schludnie ułożone w jednym miejscu. Schowane za czymś w rodzaju parawanu. Jeśli chodzi o mieszkanie pańskiej córki, jakoś tak schludnie wszystko się układa.

- Dziękuję.

- Jak pan myśli, dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Ale cieszę się, że te rzeczy się znalazły.

Lindsten pojechał radiowozem na Brantingsmotet. Aneta i Halders pojechali za nim.

Lindsten rozpoznał rzeczy córki.

Podpisał kilka dokumentów.

Pożegnali się z nim na placu przed magazynem. W środku wyglądał jak hangar wypełniony meblami, sprzętami kuchennymi i nie wiadomo czym jeszcze.

- Jest tego więcej, niż myślałam - powiedziała Aneta.

- Takich magazynów jest więcej - odparł Halders.

- Mój Boże.

- Jednej rzeczy nie rozumiem.

- Ja też.
- Córce Lindstena grozi mąż. Jest ofiarą przemocy domowej. Sąsiedzi nas o tym informują. Ona nie chce złożyć skargi, co niestety często się zdarza. Wyprowadza się. Jej mieszkanie okradają złodzieje, pod nadzorem inspektor policji Anety Djana...

- Błagam - przerwała mu Aneta.

- ...Djanali. I właśnie to mieszkanie ma potem wynająć Moa Ringmar. Ze wszystkich ludzi na świecie właśnie ona. Wprowadza się więc, a zaraz potem wyprowadza, kiedy poznaje historię tego mieszkania. Tymczasem najlepsza policja świata przeprowadza dużą operację mającą na celu rozpracowanie gigantycznej organizacji przestępczej. Na Hisingen organizacja ma magazyny, jakich nie powstydziliby się Ikea. To stamtąd wyrusza ciężarówka, może na akcję, może nie. Jedzie prosto pod dom Anette, ale zanim ktokolwiek zdąży wejść, wychodzi Sigge Lindsten i wszystko odwołuje.

- Ale co odwołuje? - zapytała Aneta.

- To właśnie chciałbym wiedzieć. Domyślam się, że może mieli obrobić to mieszkanie, ale kołesie z ciężarówki nie wiedzieli, że już jest puste. W końcu ktoś informuje Lindstena, że nadjeżdżają, a on się zjawia i wyjaśnia, jak się sprawy mają. No i złodzieje zawracają.

- Przecież mógł po prostu zadzwonić - powiedziała Aneta.

- Może się bał.

- Byłby aż tak podejrzliwy? Wobec nas?

- Nie jest głupi. No i nie wiedział przecież, że Bergenhem śledzi ciężarówkę.

- Więc Lindsten wynajmuje mieszkanie ludziom, których się potem okrada ze wszystkiego, co mają.

- Tak.

- Czemu nie.

- Chyba właśnie to podejrzewaliśmy, ściągając go tutaj, nie?

- I inni robią tak samo? - zapytała Aneta.

- Tak. Albo się dogadują z właścicielami mieszkań.

- Aha.

- Tak czy inaczej, nadal nie wiemy, dlaczego ukradł wszystko własnej córce.

Aneta się zastanawiała. Pomyślała o swoim krótkim spotkaniu z Anette Lindsten, o Hansie Forsbladzie, o jego siostrze, dziwaczce nie lepszej niż jej brat, o Siggem Lindstenie i o jego żonie. O wszystkich tych ludziach, którzy wydawali się niebezpieczni. A może nie tyle niebezpieczni, ile dziwni. Co chwila znikali jak cienie, gmatwali wszystko kłamstwami. Jakby się rozpadali na kawałki, a potem zmieniali w coś innego, w kogoś innego. Oczyma wyobraźni zobaczyła twarz Anette. Uszkodzona kość policzkowa. Zrosła się, ale miała już nigdy nie wyglądać tak samo. Oczy. Dłoń nerwowo sięgająca do włosów. Życie, które w pewnym sensie dla niej się skończyło.

- Przestroga - powiedziała Aneta.

- Chciał ostrzec córkę?

- Przestroga - powtórzyła, jakby sama sobie potakując. Spojrzała na Haldersa. - Albo kara.

- Kara? Za co?

- Nie można być pewnym na sto procent. - Aneta zmrużyła oczy, potem je otworzyła. - Ale to ma coś wspólnego z Forsbladem. I z jego siostrą. - Chwyciła Haldersa za rękaw marynarki. - To ma coś wspólnego z nimi, tylko że coś innego, niż myśleliśmy.

Halders wiedział, że powinien siedzieć cicho.

- To nie jest tak, jak myślimy - powtórzyła. - Grają z nami w jakąś grę. Albo milczą, żebyśmy się o czymś nie dowiedzieli. A może po prostu się boją. Któreś z nich, może więcej niż jedno, się boi.

- Powtórzę, co powiedziałem przed chwilą - wtrącił Halders. - Jest w tej historii coś, czego nie rozumiem.

A może nie mamy się tego dowiedzieć, pomyślała nagle Aneta. Może nie powinniśmy się dowiedzieć! Może powinniśmy to zostawić. Może Fredrik miał rację, kiedy to mówił jakiś czas temu. Może to niebezpieczne, bardzo niebezpieczne. Dla nas. Dla mnie.

Dla mnie.

- Zrobiła ojcu coś, za co musiał ją ukarać? - Halders

podrapał się po głowie. - I ukradł jej meble? - Spojrzał na Anetę. - A może po prostu magazyny na Hisingen najlepiej nadają się do przechowywania rzeczy tak długo. Lindsten miał ludzi do roboty i wóz. A że Anette chciała się wyprowadzić, przysłał na miejsce swoich złodziei, żeby zabrali graty, a potem zawieźli je do magazynu i tam ładnie poukładali. Bo przecież leżały elegancko ułożone, oddzielone od reszty A wszystkie inne rzeczy były porozrzucane.

- Myślisz, że Anette o tym wie? O magazynie? I o wymianie kradzionych towarów? O całym tym złodziejskim obiegu?

- Nie mam pojęcia. Ale musiała się zastanawiać, co się stało z jej rzeczami.

- A jeśli wie, to może również dlatego milczy. Boi się nam o tym powiedzieć.

Wieczorem postanowiła wziąć gorącą kąpiel. Odkręciła wodę. Szum słycać było w całym mieszkaniu. Ruszyła w stronę łazienki, ściągając po drodze ubrania. Zawsze rozrzucała ubrania po całym domu, a mama je za nią zbierała.

Teraz robił to Fredrik.

Noż cholera jasna, mówił czasami, kiedy ciuchy leżały przed drzwiami łazienki.

Kiedyś doszedł za nią do samego końca.

Wciągnęła go wtedy do wypełnionej do połowy wanny, zanim zdążył cokolwiek z siebie zdjąć.

Było miło.

Wrzuciła ubrania do stojącego obok pralki kosza na brudy i ostrożnie weszła do gorącej wody. Zakręciła kran. Zaczęła się powolutku zanurzać, milimetr po milimetrze.

Leżała z brodą w wodzie. Wszędzie było pełno piany. Woda zaczynała stygnąć, ale miała zamiar leżeć tak dalej. W mieszkaniu było cicho. Żadnych kroków u sąsiadów na górze. To rzadkość. Żadnego trzaskania drzwiami od windy. I to nieczęsto się zdarzało. Żadnych odgłosów ruchu ulicznego, bo w pobliżu nie było okna. Słyszała tylko swojskie odgłosy własnego mieszkania. Lodówkę i zamrażarkę z kuchni, jeszcze jakiś inny szmer, którego nigdy nie zidentyfikowała, ale

pogodziła się z jego istnieniem dawno temu, kran, z którego powoli kapąło za jej plecami, i szelest, który mógł być szelestem elektroniki, która, jak w każdym nowoczesnym mieszkaniu, była wszędzie.

Nagle usłyszała coś jeszcze.

Coś, czego nie знаła.

Macdonald prowadził ich wzdłuż High Street. Minęli mnóstwo sklepów i kawiarni. Mają tu drobne punkty usługowe, których my w Szwecji już dawno się pozbyliśmy pomyślał Winter. Może i jest tu trochę biedniej, ale nie pod tym względem.

Macdonald zatrzymał się przed ciemnym kamiennym domem. Nad wejściem wisiał szyld: The Forres Gazette - Forres, Elgin, Nairn.

Weszli. Ktoś już na nich czekał.

- Aleśmy się dawno nie widzieli, Steve - powiedział mężczyzna, który wyszedł im na spotkanie. Przywitał Macdonalda kuksańcem w ramię.

Macdonald zrobił krok w tył i przedstawił Wintera. Winter od razu, tak na wszelki wypadek, zacisnął pięść.

- Duncan Mackay - powiedział mężczyzna. Był rówieśnikiem Steve'a, ale Winter pomyślał, że wygląda starzej. Macdonald powiedział mu w drodze, że chodzili razem do szkoły

Miał kruczoczarne włosy sięgające ramion i równie ciemne podkowy pod oczami. Wprowadził ich za drewniany kontuar. Usiedli na dwóch krzesłach stojących przed jego biurkiem. Było komicznym wręcz przeciwieństwem biurka komisarza Craiga. Samego redaktora zza stosu papierów prawie nie było widać. Na szczęście stał.

- Kawa, piwo, whisky? - zapytał. - Claret? Marihuana?

Macdonald spojrział na Wintera.

- Nie, dziękuję. - Winter pokazał paczkę corpsów. Właśnie wyciągnął ją z kieszeni. - Mam to.

Mackay też miał w ustach zapalonego papierosa. Macdonald podziękował, pokręcił głową.

- Właśnie spotkaliśmy Lorraine - powiedział do Mackaya,

kiedy Mackay usiadł. Zachwiał się przy tym odrobinę.

- Steve-Pozeracz-Serc-Niewieścich-Macdonald - odparł Mackay. - Dużo czasu musiało minąć. - Odwrócił się do Wintera. - Zanim doszła do siebie.

- Mówiła mi o Robbiem.

- Wiem, beznadzieja.

- Wygląda na to, że zniknął.

- Wróci - stwierdził Mackay. - Niestety.

Przez kilka sekund siedzieli w milczeniu, jakby rozmyślali o ludzkim losie. W pokoju panował półmrok.

Mackay się podniósł i zaczął czegoś szukać na wierzchu sterty papierów. Wyciągnął jakąś kartkę i podszedł do okna.

- Prosiłem dziennikarzy z okolicy, żeby popytali, ale nikt tego Osvalda nie widział - powiedział. - Axel Osvald, tak? Publikowaliśmy już przecież komunikat o zaginięciu. I oczywiście już wtedy próbowaliśmy to sprawdzić. Cudzoziemiec, który ginie w Moray. Ale niczego się nie dowiedzieliśmy.

- No nic - powiedział Macdonald.

- Twoi znajomi z policji też nic nie widzieli i nie słyszeli.

- Wiem. Dzwoniłem do nich parę dni temu.

- Byłeś u nich?

- Jeszcze nie.

Mackay jeszcze raz spojrzął na kartkę.

- Jest tylko jedna rzecz...

- Tak?

- Billy z Elgin pisał coś o kiepskich obrotach na rynku rybnym i przepytował kilka osób z Buckie. Już po komunikacie o zaginięciu. - Mackay spojrzął na nich. - Billy trochę wolno łapie. Dobry chłopak, ale powolny. No więc gadał z kilkoma kolesiami, którzy jeszcze się uchowali w stoczni. Samochód zostawił w sąsiedniej uliczce. A kiedy wrócił i miał jechać do domu, zauważył corollę. Stała w tej samej uliczce. Była tam już, kiedy przyjechał. Zielony metalik.

- Zapisał numer?

- Skąd, do cholery. Po co miałby to robić? W ogóle wtedy o tym nie myślał. Przypomniał sobie dopiero, kiedy usłyszał

komunikat. Chociaż nie, nie wtedy. To było wczoraj, jak się do niego odezwałem. Zresztą wtedy też nie do końca. Zadzwoił dziś rano i powiedział, że widział samochód.

- Jest pewien?

Zna się na autach. A ten był najwyraźniej nowy. Nowy samochód w Buckie... cóż, niecodzienny widok. Przynajmniej w tej okolicy.

43.

Zrobił nieplanowaną wycieczkę. Pożegnalną. Gdyby spojrzeć na mapę, trasa zataczała koło, choć niepełne.

Kiedy ostatnio szedł Broad Street? Ile lat, dni, godzin temu? Czerwone niebo. Na dole, przy Onion Street i przy przystani, niebo zawsze było czerwone. Zawsze.

Czteryście łodzi rocznie!

Największy punkt handlu dorszowatymi w Europie.

A dookoła ludzie robiący to, co on mógł robić. Mógł, a może i nie mógł.

Ten zapach. Morza, jak zwykle, ale też czegoś jeszcze, czegoś, czego wtedy nie znał. Teraz już wiedział, co to. Ropa.

To miasto się zmieniło, kiedy pojawiła się ropa. Owszem, były jeszcze trawlery, widać było las masztów, ale ludzie krążący po ulicach przyjeżdżali dla ropy.

Miasto się rozrosło. Trasy wjazdowe wyglądały inaczej. A to był najlepszy dowód na to, co się działo.

Przystanął na którymś z zachodnich falochronów. To tutaj cumowały największe trawlery. Od jednego z nich, niebieskiego, dzieliło go ze dwadzieścia metrów. Widział mężczyznę chodzącego po rufie. Przeczytał imię wypisane na stalowej burcie.

Takie stalowe kadłuby są inne.

Usłyszał, jak mężczyzna coś wykrzykuje w stronę mesy. Jakieś słowa.

Zatrzymał się przy misji.

To było tutaj.

Tego przedostatniego wieczoru.

Posiłki wydaje się w godzinach siódma - czternasta trzydzieści. Tak jak wtedy. Kościół kongregacjonalistów. Opieka nad chorymi. Pomoc w nagłych wypadkach.

Do tego ogłoszenie, którego wtedy nie było:

Zaphire zatonał w październiku '97. Cztery ofiary.

Tutaj wszyscy wiedzą prawie wszystko. Chociaż jest wyjątek. Jeden.

Wszedł do środka, ale zatrzymał się tuż za drzwiami. Nie spodobały mu się ich miny i coś jeszcze: jakiś mężczyzna podniósł wzrok znad blatu, miał dziwny wyraz twarzy.

Wyszedł, nie rozglądając się. Tutaj nie był niewidzialny. Był głuchy na głosy rozlegające się za jego plecami. Na wołanie.

Caley Fisheries wciąż istniał. Targ rybny. Przy wejściu umieszczono nowy znak: zakaz palenia, plucia, jedzenia, picia, niszczenia stoisk, noszenia brudnych ubrań i butów. Wytyczne przydatne także w życiu.

Mężczyźni w niebieskiej gumowej odzieży ochronnej i w żółtych kaloszach ładowali do skrzyń fladry i złocice. Ciężarówka miała jechać do Aberdeen, a potem dalej na południe.

Szedł Crooked Lane. Musiał się tam pochylać, tak jak kiedyś.

Wszedł na górę. Niebo wyszło zza chmur. Wiało.

Czuł dotyk broni na udzie. Była zimna. Miał ochotę jej użyć.

Pół godziny później znów był w drodze. Jechał w przeciwną stronę, na północ. Długie pożegnanie. Przejechał przez Strichen. Spojrzał w lusterko. Czy ktoś za nim jedzie? Niewykluczone, ale nie sądził, żeby tak było.

Broń miał w kurtce. Rzucił ją na siedzenie pasażera.

Przemierzał wąskie drogi prowadzące do New Aberdour. Przejechał przez miasteczko i zatrzymał się trzy metry od niebezpiecznej krawędzi, za którą rozciągało się morze. Trzy metry. Nie wyłączył silnika. Widział tylko morze i niebo. Zlewały się w jedno. Wiatr i fale huczały. Otworzył drzwi. Wsiadł. Pistolet trzymał w ręku. Wystrzelił w niebo.

Przy Troup Head biegły dwie drogi: jedna w górę, druga w dół, do tych ludzi, którzy chowali się przed światem.

Wiedział. Ukrywał się tam, gdzie domy wciąż były czerwone

jak skały. Wtedy przemysłowcy wciąż decydowali o wszystkim.
To dlatego nikt nie zadawał pytań.

Kiedy zjawili się ludzie z kamerami, uciekł.

Jak teraz.

Wsiadł do samochodu.

Czuł pedał pod stopą. I że tęskni. Tęskni.

Jezu. Jezu!

Teraz widział już tylko niebo.

Spey bay była spokojna. W stoczni w Buckie było pusto i cicho. Dwa stare trawlerzy niczym symbol utknęły na stałe na pochylni.

Dla Wintera nie był to całkiem niecodzienny widok. On też pochodził z miasta, w którym zamknięto stocznię.

Zaparkowali na Richmond Street. Właśnie tu redaktor lokalnej gazety Billy widział zieloną corollę.

- Ilu mieszkańców Buckie ma samochód tej marki i tego rocznika? - zapytał wprost Macdonald. Zadzwoił do Craiga. Jechali na północ.

Craig szybko to załatwił. Nie zdążyli jeszcze minąć przystani, gdy dostali odpowiedź.

Nikt.

Przy Richmond Street stało szesnaście domów, po osiem z każdej strony. Szeregowce wyglądały, jakby je zbudowano z jednej bryły kamienia. Na ulicy stał tylko jeden samochód. Stary wrak z lat siedemdziesiątych.

Macdonald zaklął i zadzwonił do pierwszych drzwi.

We wszystkich domach z wyjątkiem jednego kogoś zastali. Same kobiety. Chętnie siedziałyby teraz w pracy. Żadna nie jeździła nową corollą i żadna nie miała w planach zakupu takiego samochodu. Żadna też nie wiedziała dokładnie, jak wygląda ten model. Żadnej nie odwiedzał nikt jeżdzący corollą.

- Czasem parkują tu ci, którzy idą do stoczni - powiedziała jedna z kobiet. Starsza. W sukience w duże kwiaty. Przeżyła chyba dwie wojny światowe.

- A po co chodzą do stoczni? - zapytał Macdonald.

W tym momencie usłyszeli uderzenie młota. Dobiegło gdzieś z drugiego końca stoczni. Niesamowity dźwięk. Nagle wypełnił całą przestrzeń, jak wspomnienie. Doonk – doonk - doonk.

Pożegnali się, przecięli skrzyżowanie i poszli do stoczni. Znaleźli wielką bramę, ale była zamknięta. Obok w wysokim ogrodzeniu ziała sześciometrowa wyrwa. Weszli.

Młot ucichł, a potem znów go usłyszeli. Doonk - doonk - doonk odbijało się echem. W tym miejscu, które pod każdym

względem przypominało cementarz, brzmiało zupełnie inaczej. Uderzenia dobiegały z budynku, który wyglądał jak zbombardowana katedra. Brakowało jednej ściany. W środku było ciemno. Weszli. Młot przestał uderzać, ten ktoś ich zauważył.

- Tutaj nie wolno wchodzić - usłyszeli niezbyt miły męski głos.

- Policja - powiedział Macdonald w mrok. Pachniało rdzą, brudną wodą, żelazem, spawaną stalą, siarką, ogniem, ziemią, smołą i morzem. Zapach przeszłości, pomyślał Winter. Pamiętam go z dzieciństwa.

- O co, kurwa, chodzi? - odpowiedział mężczyzna. Po chwili wychynął z mroku. W ręku wciąż trzymał młot. Za jego plecami widzieli coś, co wyglądało jak rampa dziobowa. Skuł już jeden bok. Nagle Winter poczuł, że też chciałby chwycić za młot i walić w całe to żelastwo. Było go pod dostatkiem. Tłuc aż do utraty tchu. Na pewno dobrze by mu to zrobiło.

Mężczyzna nie wyglądał, jakby odbywał taką właśnie terapię. Miał na sobie kombinezon, tak stary, że stracił już kolor. Większa jego część wyglądała jak skóra na jego twarzy - była szara albo czarna jak węgiel. Z ust zwisał mu pet. Miał około sześćdziesiątki, mógł być młodszy albo starszy. Kiedy tu jechali, Steve mówił, że trudno określić wiek tutejszych mężczyzn. Tutaj trzydziestopięciolatek może wyglądać, jakby miał sześćdziesiątkę. Rzadko na odwrót.

- Chcielibyśmy tylko zadać panu kilka pytań - powiedział Macdonald.

- No? - Facet wypluł peta i ruszył w ich stronę, mocno kulejąc. Przełożył młot z prawej ręki do lewej, jakby dzięki temu miał wyrównać krok.

Był zaskakująco wysoki, prawie tak wysoki jak Macdonald, który był najwyższym Szkotem, jakiego Winter widział. Kiedyś mu to powiedział. Unikam haggis, odparł Macdonald. Wcisła w ziemię. To tak jak z ryżem i Japończykami.

Bzdura, odpowiedział Winter.

Zaczęli rozmawiać. Winter prawie nic, a może po prostu nic nie zrozumiał. Mężczyzna mówił jakimś przeraźliwym

narzeczem. Winter podejrzewał, że nawet Macdonald połowy jego słów musi się domyślać. Nagle skończyli. Żadnych grzeczności na koniec. Winter pomyślał, że to jak oglądanie sportu, którego zasad się nie zna.

Wrócili do samochodu, na Richmond Street. Nad ulicą prowadzącą do Portessie wiatr unosił podwójną płachtę gazety. Winter dostrzegł pół kolumny, pół wiadomości.

- Jest bezrobotny, ale chodzi tam przez wzgląd na stare czasy - powiedział Macdonald. - Nie on jeden.

- Ale z tego co zrozumiałem, nie spotkał żadnego Johnsona. Ani Osvalda.

- Nie.

- Ale każdy z nich mógł tu być.

- Który?

- No właśnie. Kolejne pytanie.

Wolno ruszyli z powrotem, wzdłuż przystani. Harbour Office, Marine Accident Inv. Branch, Carlton House, Fishermen's Fishselling Co. Ltd, JSB Supplies Ltd, Buckie Fishermarket. Winter widział trawlerzy cumujące w doku. Przeczytał kilka nazw: „Three Sisters”, „Priestman”, „Avoca”, „Jolair Buckie”, „Monadhliath”.

- Skoro już tu jesteśmy, możemy chyba zapytać w Marine - powiedział Macdonald.

Hotel Marine wyglądał jak wyjęty z filmu noir. Gdyby tylko ściany mogły mówić, pomyślał Winter, kiedy znaleźli się w holu. Kobieta stojąca za kontuarem była blondynką, może pięćdziesięcioletnią. Miała żywe oczy. Za jej plecami wisiała reklama noclegów na promie, *Cunard Suite*. To musiała być najbardziej wyszukana oferta hotelu.

Hol wyłożono wykładziną.

Winter zauważył, że jest wszędzie. Pomyślał, że zamilowanie Brytyjczyków do wykładzin jest czymś niesamowitym. Jakby pokrywanie każdego skrawka podłogi wykładziną odzwierciedlało mit o ich skłonności do dekorowania wszystkiego.

Kolor tej wykładziny przypominał kombinezon faceta ze stoczni.

- Już dzwonię po menedżera, mój drogi - powiedziała recepcjonistka i sięgnęła po słuchawkę.

Stali na rynku, na Cluny Square. Przed nimi stał hotel. Wyglądał jak twierdza. Cluny Hotel. Pora lunchu. Winter zauważył grupkę staruszek drepczących do hotelu przez szerokie drzwi. *Tea-time*.

- No tak - Macdonald podsumował rozmowę z menedżerem.

- Może to ten staruszek, który przyjechał tu po raz kolejny
- To może być po prostu ktoś sentymentalny.
- Ale ten, którego szukamy, nie jest sentymentalny.
- To jaki jest? - zapytał Macdonald.
- Według wszystkich doniesień martwy. Od wojny.
- No tak. To pewnie niewiele w nim zostało sentymentów.
- Napijemy się herbaty? - zaproponował Winter, ruchem głowy wskazując na hotel.

Macdonald spojrział na zegarek.

- Dobra.

- O której dziewczyny dojadą do Dallas?

- Mniej więcej o tej co my.

Hotel zbudowano w 1880 roku. Był wiktoriański od fundamentów po dach. Sześć pokoi i jadalnia. Całość urządzono we wszystkich odcieniach różu, jakimi Bóg obdarował ludzi. Młoda, sympatycznie wyglądająca kobieta wskazała im stolik. Był filigranowy. Krzesła jak smukłe fotele.

Macdonald wyglądał, jakby go posadzono na dziecięcym krzeselku. Winter spojrział na niego i zrozumiał, że wygląda tak samo.

Małe staruszki siedziały przy większym stoliku pod oknem, jakieś trzy metry dalej. Uśmiechały się do nich. Jedna zachichotała, kilka zaczęło szeptać.

- Dzień dobry paniom - powiedział Macdonald.

Winter też skinął głową.

Szerokie kręcone schody prowadziły w dół, z jadalni do recepcji. Na ścianach wisiały czarno-białe zdjęcia w ramkach. Nostalgiczna albo smutna kolekcja, można by powiedzieć. Większość zdjęć przedstawiała flotę rybacką z czasów, gdy była jeszcze duża i dumna. Wyglądało to tak, jakby na zdjęciach nie wystarczało miejsca dla wszystkich łodzi. Maszty ciągnęły się tak daleko, jak sięgał wzrok. Niczym pnie w lesie. Niczym ruchome drzewa. Widząc ten las masztów, Winter znów pomyślał o Makbecie. Miał się czuć bezpieczny, dopóki las nie zbliży się do zamku. Obiecano mu to.

*Nie tknie Makbeta żaden cios morderczy
Póki las Birnam ku dunzynańskiemu
Wzgórzem nie pójdzie walczyć przeciw niemu.*

I żaden mężczyzna zrodzony z kobiety nie mógł mu zagrozić.

Ale Makduf, który przyszedł na świat przez cesarskie cięcie, ściał gałęzie i ruszył z nimi naprzód.

Winter oderwał wzrok od zdjęć.

Szli dalej, mijali kolejne: zdjęcia domów, innych łodzi, ludzi z tamtych czasów.

Wyszli na ulicę. *The Buckie boys are back in town.* Winterowi przypomniał się starczy bełkot Arnego Algottsona. To jednak musiało coś znaczyć. Czy John Osvald był *Buckie boy*? Czy to tylko takie powiedzenie? Pytali, ale nadal nikt nie wiedział.

Na rynku stał pomnik upamiętniający ofiary pierwszej wojny światowej. Winter stał przed nim i miał wrażenie, choć wiedział, że to niemożliwe, że już kiedyś go widział. Przeczytał napis wyryty w kamieniu: *Their name liveth for ever.*

Poza nimi przy pomniku nie było nikogo. I to musiała być jakaś podpowiedź, ale nie wiedział jaka. To, że byli sami, musiało coś znaczyć.

W północnej ścianie rynku stał budynek, który wyglądał jak urząd miasta. Na ścianie wisiał szyld: „Sturan House. U nas starsi znajdują opiekę”.

Dwóch starsuszków siedziało na ławce po drugiej stronie

rynku.

- Cóż - powiedział Macdonald.

Wrócili do samochodu. Stał przed Buckie Thistle Social Club.

- To miejscowa drużyna piłki nożnej - wyjaśnił Macdonald.
- Buckie Thistle.

- Ja kojarzę Patrick Thistle - powiedział Winter.

- Naprawdę? Ten klub z Glasgow?

- Tak.

- Powinienem się domyślić. Teraz spadli do drugiej ligi, ale to ulubiony klub wszystkich sław.

Wsiedli do samochodu i objechali hotel. Wrócili na A96 i ruszyli na południe, w stronę Dallas. Okolice przypominała ziemię niczyją: ani morza, ani gór. Patsy Cline śpiewała o innym życiu: *Sweet dreams of you, every night I go through, why can't I forget you, and start my life anew, and still having sweet dreams of you.*

Aneta poczuła, że pod wodą przeszywa ją chłód. Złapała się brzegu wanny.

Usłyszała jeden krok, potem drugi.

Jakiś odgłos z kuchni albo z przedpokoju.

I jeszcze jeden.

Drzwi łazienki były uchylone.

Na ścianie w holu wisiał telefon, ale dzieliły ją od niego setki kilometrów.

Spokojnie, spokojnie, spokojnie, spokojnie.

Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Bum-bum-bum-bum.

- Kto to?! - krzyknęła.

Zdołała wstać z wanny i założyć szlafrok. Mocnym kopniakiem otworzyła drzwi. Uderzyły w ścianę, ale w nikogo nie trafiły. Przedpokój był pusty, wyglądał na nietknięty. Teraz nic już nie słyszała.

Stała w progu i krzyknęła:

- Jest tu kto?!

Nic.

Usłyszała coś z klatki schodowej. Jakiś samochód zatrąbił na

ulicy za oknem. Poza jej mieszkaniem życie toczyło się dalej, a w środku jakby wstrzymało oddech, jakby się zatrzymało. Czekąco. Na co? Zrobiła krok naprzód. I jeszcze jeden - do kuchni, ale tam nie było nikogo.

Usłyszała deszcz uderzający w szyby Lała od południa. Zobaczyła wodę na podłodze. Kilka ziarenek żwiru czy czegoś podobnego. Kropelki wody na podłodze. Nieduże, ale były tam. Nagle zrobiło jej się zimno w stopy, jakby stała w tej rozlanej lodowatej wodzie. Spojrzała w dół i powiodła wzrokiem za śladami. Ciągnęły się od kuchni do przedpokoju, a może na odwrót. W przedpokoju na podłodze też była woda. Nie mogła spłynąć z jej butów, bo ustawiła je porządnie na stojaku przed drzwiami. Zrobiła to, kiedy wróciła do domu. Teraz miała wrażenie, że było to jakieś trzy tysiące lat temu.

Spojrzała na klamkę. Odciski palców? Marne szanse. Potem zerknęła na podłogę. Ślady butów? Nie.

Poczuła, że kolana się pod nią uginają. Omal nie upadła, ale zdołała chwiejnym krokiem dojść do sypialni i położyć się na łóżku. Udało jej się wybrać numer.

- Jesteś pewna? - zapytał Halders, gdy opowiedziała mu w pośpiechu, co się stało.

- Jestem pewna. - Teraz była spokojniejsza.

- O kurwa.

- Może to był on. Kurwa.

Słyszała oddech Haldersa.

- Trzeba sprawdzić zamek. I klamkę. I podłogę.

- Ten, kto tu był, musiał mieć klucz albo wytrych.

- Zobaczymy - stwierdził Halders.

- O Boże. Co to miało być?

- Chyba nie wynajmujesz mieszkania od Siggego Lindstena?

- To miał być żart?

- Przepraszam, Aneta, przepraszam. Poproszę chłopaków, żeby przyjechali od razu.

- Dobra.

- Potem przywiozą cię do mnie.

- Dzięki.

- Od dzisiaj będziesz mieszkać tutaj.
- Fredrik...
- Nie ma o czym dyskutować.

Nie mogła się nie zgodzić.

- Przynajmniej do czasu, aż sprawdzimy zamek i go wymienimy, założymy rygle i wykopie my fosę.

Przez krótką chwilę wyobrażała sobie, że to Fredrik skradał się po mieszkaniu, gdy leżała w wannie. Robił wszystko, żeby ją skłonić do przeprowadzki do Lunden.

Ale przecież nie zdążyłby dojechać do domu, zanim zadzwoniła.

Boże. Musi się napić czegoś mocniejszego. Nagle poczuła się zmęczona, śmiertelnie zmęczona.

Kolejny raz przejechali przez Forres. Gdy mijali High Street, Winter zauważył plakat, który najwidoczniej wcześniej przeoczył: Międzynarodowy festiwal jazzu. Jane Monnett, David Berkman Quartet, Jim Galloway, Jake Hanna. I to wszystko za dwa tygodnie.

Posterunek policji stał przy wyjeździe na południe, naprzeciwko Ramnee Hotel, który wyglądał jak rezydencja kolonialisty. Chyba wszystko tu jest wiktoriańskie, pomyślał Winter.

Posterunek nie był. Został zbudowany w tym samym międzynarodowopolicyjnym stylu co wszystkie inne. Przypominał bunkier. Przed nim na trawniku jakiś nastolatek bawił się piłką. Raz, dwa, trzy, cztery, pięć i na nogę. Na zwirowanym placu pełniącym funkcję parkingu stał van. Na czarnym tle wypisane miał białe litery: CRIMESTOPPERS. Równie dobrze mogliby napisać: Ghostbusters, pogromcy duchów. W każdym razie gdybyśmy to my ze Steve'em nim jeździli. Przecież szukamy ducha.

Nie mógł stwierdzić, czy szyby zostały przyciemnione fabrycznie, czy po prostu były straszliwie brudne. Nad łąkami wiatr zamiatał liście. Nadeszła jesień.

Winter wiedział, że wujek Steve'a był tu kiedyś policjantem. Właśnie przeszedł na emeryturę.

Jako nastolatek miałem trudny okres, opowiadał mu Macdonald w samochodzie. Wujek Gordon zgarnął mnie kiedyś dyskretnie z ulicy na południe od High Street. To był punkt zwrotny. A co robiłeś?

Okradałeś samochody? Nie zламаłem żadnego paragrafu, odparł Macdonald, nie wdając się w szczegóły. Winter nie pytał o nic więcej. Cokolwiek by to było, pomyślał, dzięki temu Steve jest teraz policjantem. I to dobrym.

Jakaś kobieta wstała zza stołu stojącego przy kontuarze, miejscami stalowym. Czegoś takiego nigdy nie widziałem, pomyślał Winter. Drewno i stal. Kobieta była ubrana w czarny

uniform z białym paskiem. Musiała się zbliżyć do emerytury. Zauważył jej mocne ramiona. Za nią widać było otwarte drzwi.

Nie rozpoznała Macdonalda. Przywitał się więc i przedstawił. Zapytał też, jak ma na imię.

- Ach, to ty! - powiedziała z przejęciem. - Jake mówił, że przyjedziesz.

- Wpadłem tylko na chwilę.

- Nasz chłop, a tak daleko zaszedł - powiedziała z dumą. - Jak tam w Londynie?

- Brudno - odpowiedział.

Kobieta uśmiechnęła się szeroko.

- A jak tutaj? - zapytał Macdonald.

- Odkąd wyjechałeś, jest dość spokojnie. - Uśmiechnęła się znowu. - Tak słyszałam.

- Od tamtej pory się pilnuję.

- I słusznie, tak trzeba - odezwał się donośny głos. Dochodził z otwartych drzwi. Stanął w nich mężczyzna, choć nie było to łatwe, bo był równie szeroki, jak framuga. A do tego niższy.

- Witaj, Jake - powiedział Macdonald.

- Witaj, chłopcze - odparł komisarz Jake Ross. Przywitał się z nim tradycyjnie, wymierzając mu kuksańca.

Macdonald przedstawił Wintera. Ross zaprosił ich do swojego biura. Przez okno Winter widział chłopaka bawiącego się piłką. Ross to zauważył.

- Przychodzi tu codziennie - wyjaśnił. - Nie wiem, czy nie chce nam czegoś powiedzieć.

- Może to, że chce wyjechać - zasugerował Macdonald. - Na Parkhead albo Ibrox.

Winter wiedział, że Macdonald mówi o stadionach klubów z Glasgow: Celtic i Rangersów. W Szkocji działały dwa duże związki piłki nożnej, jeden katolicki, drugi protestancki. Więc niby można było wybrać, ale decyzja zapadała, zanim zawodnik się urodził. W Celtic grało kilku protestantów, ale nie było to łatwe w klubie, którego najzagorzalsi fani byli katolickimi separatystami irlandzkimi. Celtic był klubem Irlandii Północnej, najbardziej prestiżowym. Kiedy Celtic i Rangersi

spotykali się w Glasgow na derbach Old Firm, promy z Irlandii były wypełnione po brzegi.

Macdonald był katolikiem, ale tylko na papierze. Jego klubem był Charlton Athletic z zapomnianej południowo-wschodniej części Londynu.

- Przecież ten chłopak to protestant - stwierdził Ross i oderwał wzrok od okna. Wskazał im dwa fotele. Dosłownie rozpierały się przy małym drewnianym stoliku.

- Gadałem z Craigiem z Inverness - powiedział Ross.

- Pierwszy raz? - zapytał Macdonald.

- Daj spokój, Steve. Może i nie lubię tego Angola, ale przecież wszyscy jesteśmy profesjonalistami, nie? - Ross spojrzął na Wintera, Winter przytaknął. Ross wyciągnął butelkę whisky i profesjonalnym ruchem nalał do trzech szklanek.

- Niezła - powiedział Macdonald po pierwszym łyku. Winter podniósł butelkę: Dallas Dhu 1971. Spróbował. Ross mu się przyglądał.

- No i? - zapytał.

- Prawie trzeba ją żuć - odparł Winter.

- Próbowałeś już kiedyś? - zapytał Ross.

- Nie. - odpowiedział Winter. Jeszcze przez chwilę trzymał alkohol w ustach, a potem przełknął. - Czy nie czuć w niej trochę ciemnej czekolady i odrobiny goryczy? - zapytał.

- Z pewnością. Z pewnością - odparł Ross z uśmiechem.

- Dlaczego nie zaczniesz pracować dla mnie, stary? Potrzebujemy tu zawodowców.

- Zawodowców w picu - wtrącił Macdonald.

- A na końcu? Jaki posmak? - Ross nie słyszał Macdonalda.

Znów test. Winter nie odpowiedział od razu.

- Gładki. Suchy i długo się utrzymuje. Jakby dębowy i soczysty. Ale łączy się z... kwiecistą słodyczą. Nadal czuję ją w nosie.

- O, tak! - Ross uniósł szklanę. - Masz tę robotę.

- Niestety gorzelnię już zamknięto - powiedział Macdonald.

- Właśnie pijesz historię, stary. - Na twarzy Rossa pojawił się jakiś pobożny rys. Katolicki albo protestancki. Akurat w

przypadku maltwhisky nie miało to znaczenia.

Macdonald opowiedział Winterowi tę smutną historię, kiedy jechali drogą A940 na południe. Gorzelnię Dallas Dhu, pół mili przed nimi, zamknięto w 1983 roku, dokładnie w setną rocznicę powstania. Stała za tym kompania gorzelników. Zniknęło wtedy sporo najmniejszych starych gorzelnii w Speyside.

Uchowało się niewiele butelek Dallas Dhu. Jak mówił Ross, pili historię.

- A co znaczy *dhu*? - zapytał Winter.

- Czarny - odparł Macdonald. - Albo ciemny, jak w tym przypadku. Tak na marginesie, to to samo gaelickie słowo co *dubh* w MacDubh i MacDuff. - Macdonald skręcił w węższą drogę. - A Dallas to po gaelicku dolina i woda.

Mijali doliny. Winter widział też wodę. Były także lasy, ale nie za duże. Wyglądały jak grupki drzew, które w każdej chwili mogą się przesunąć.

Winter dostrzegł sztyl gorzelnii.

- Co ciekawe, konserwator przerobił to na ogromne muzeum - powiedział Macdonald, zwalniając. - Jedyne w swoim rodzaju w Szkocji. A wyposażenie w całości pochodzi z czasów wiktoriańskich. Nie mają prądu.

Znów czasy wiktoriańskie. Winterowi stanął przed oczami inny świat. Konie, jeźdźcy, inny, silniejszy zapach powietrza.

- Teraz nikomu nie przysłoby do głowy ich zamykać - powiedział Macdonald.

Ross powiedział im, że muzeum w gorzelnii nie działa we wtorki, ale mógłby to załatwić. Macdonald spojrział na Wintera. Zdąży? Raczej nie. Jechali przecież do Dallas, do Aberdeen, a może i dalej.

- Następnym razem, Jake - odparł Macdonald.

- Ross chce na nowo otworzyć gorzelnię. - Macdonald pokonał ostry zakręt. - Planuje to już od dawna.

- Więc to to miał na myśli, kiedy proponował mi pracę?

- Nigdy nie wiadomo. - Macdonald się zaśmiał. - Jesteś zainteresowany?

- Nigdy nie wiadomo.
 - Wszystko już przygotowali. Zajmie im to jeszcze ze cztery, może pięć tygodni. A potem ruszą na poważnie.
 - Aha.
 - Mam nadzieję, że Rossowi się uda. Ta whisky jest naprawdę bardzo dobra. - Machnął ręką. - Doliny i woda. I wiatr. Tutejsze zboża są wyjątkowe.
 - Chciałbym kupić kilka butelek z tego muzeum.
 - Zajedziemy w drodze powrotnej.
- Ale droga powrotna miała wyglądać inaczej.

Winter zauważył kolejną grupkę drzew. Przypominały pluton skradający się do zamku.

Wszystko wokół wyglądało spokojnie, ale okolica nie była szczególnie spokojna. Była dzika. Wiatr wiał jak szalony. Steve opowiadał o

tych wszystkich brutalnych ludziach żyjących w okolicach Moray i Aberdeenshire. Pod ziemią płynęła krew.

Dużym lukiem zahaczyli o Branchill. Macdonald puścił na cały regulator Little Miliona, kolejnego zapomnianego mistrza czarnej muzyki. *Let me down easy: I gave you all my love, don't you abuse it, I gave you tender love and care, oh baby don't you misuse it.* Wcześniej puszczał Joego Simona i O.V Wrighta.

Minęli ciemny kościółek stojący na niskim pagórku, otoczony ciemnym cmentarzem. Macdonald ściszył. Winter zobaczył tablicę: Dallas. Po obu stronach drogi ciągnęły się niskie domy. Nieduże, z popękkanymi gdzieniegdzie tynkami. Czwartą z prawej okazał się zamkniętą stacją benzynową. Wisiał na nim szyld z wizerunkiem księcia. Wciąż jeszcze były tam pompy. Wyglądały jak ze staroświeckiego filmu z lat pięćdziesiątych. Przy samym budynku, w którym nie było już okien, stała zdezelowana przyczepa kempingowa. Wszędzie walały się śmieci. Winter pomyślał o stoczni w Buckie.

Kawałek dalej, po przeciwnej stronie drogi, był sklep. I poczta. Macdonald zaparkował. Wysiedli. Macdonald spojrzał na zniszczoną stację, a potem na Wintera.

- Liczy się pierwsze wrażenie - powiedział, wskazując na drugą stronę ulicy.

- Na pewno kiedyś wyglądało to inaczej - odparł Winter. - Ale ja lubię melancholijny nastrój.

- Było tu melancholijnie już wtedy, kiedy pompy działały.

Winter spojrzął przed siebie. Dallas było tą jedną prostą ulicą, czy raczej drogą, z każdej strony obstawioną pojedynczym rzędem domów.

- Trochę jak na Dzikim Zachodzie - zauważył.

- Wiadomo - odpowiedział Macdonald.

Winter czuł dym z ogniska. Najpierw było cicho, potem zaszczekał jakiś pies. Na ulicy nie było nikogo. Sto metrów dalej stały trzy

samochody. Winterowi wydawało się, że gdzieś w pobliżu ktoś uruchomił betoniarkę. Była druga po południu. Słońce wyszło zza chmur i nagle zrobiło się ciepło. Winter widział zarys gór otaczających dolinę.

- No to pokażę ci nasz supermarket - powiedział Macdonald. - Skoro już widziałeś stację.

Sklepek był połączony z pocztą. Mieścił się w niskim bungalowie z czerwonej cegły. Był zamknięty. W oknie wisiał szyld z napisem: Dallas - serce Szkocji. I z godzinami otwarcia: dziesiąta - trzynasta, szesnasta - osiemnasta.

- Serce jest dla nas zamknięte - stwierdził Macdonald.

Przez okno Winter widział stosy konserw, gazet, cukierków, niewielką ladę i kasę.

Idąc w słońcu, wrócili do samochodu. Wsiedli. Dojechali do końca ulicy. Zajęło im to dwie minuty. Minęli gospodarstwa. Na podwórku stała betoniarka, którą słyszał Winter. Trzech pracujących przy niej mężczyzn odwróciło się, słysząc samochód. Macdonald wyciągnął rękę przez otwarte okno. Jeden z mężczyzn podniósł rękę.

Zatrzymali się przy skrzyżowaniu.

To był prawdziwy koniec świata. Winter pomyślał, że ze wszystkich miejsc, w których był, to nadaje się na koniec świata najlepiej. I ta ironiczna nazwa. Pasowała do obrazka. Dzika nazwa, zarówno tam, jak i tu. Dallas w Teksasie i Dallas w

Szkocji. Przypomniał mu się film *Paryż, Teksas*. Też smutna ironia, gra skojarzeń z nazwami, które oznaczały coś zupełnie innego. A może wcale nie.

Pustkowie. Cisza, którą słyszał, brzmiała tak, jak brzmi cisza na pustkowiu. Na skrzyżowaniu Macdonald skręcił w lewo. Winter rzucił mu szybkie spojrzenie. To tutaj się wychował. Kowboj z Dallas. Trzy sekundy wcześniej śpiewał *Old Macdonald had a farm*. Musiało w nim zostać dużo z tego pustkowie. Zanim się zestarzeje, wróci tutaj.

I będzie prowadzić gorzelnię Dallas Dhu. Z Jake'em Rossem. Dwóch zawodowców.

A może trzech.

Przecież i jemu, Winterowi, zaproponowano posadę.

Macdonald przejechał kilkaset metrów nieco szerszą B9010. Zostawili za sobą Dallas i wjechali na wzgórze porośnięte Dallas Forest. Droga prowadziła na Hill of Wangle. Winter widział w dole ulicę i domy. Z prawej zobaczył farmę. Pięćdziesiąt metrów od drogi. Macdonald wskazał na coś palcem. Na polu z lewej stała dziwna konstrukcja z kamieni. Wyglądała jak skalna kolumna.

Macdonald zauważył jego spojrzenie.

- Ja też myślę, że to dziwne - powiedział.

Skręcił w prawo na zwirową drogę, dojechał do zagrody i zatrzymał się. Dużo zabudowań. Po podwórku biegały kury. Winter zauważył trzy psy myśliwskie w kojcu. Zaden nie szczeknął, ani razu. Przy szopie stały dwa nowoczesne traktory z tylnymi kołami oblepionymi gliniastą ziemią.

O jeden z nich ktoś oparł torbę golfową. Rączki od kijków dotykały krowich placków na oponach. Może w zagrodzie na szwedzkiej prowincji byłby to niecodzienny widok. Ale tu? Dla tutejszych gra w golfa była tym, czym dla Szwedów spacer na łonie natury. Jeżdżąc po Szkocji, Winter widział przy drogach wielu graczy, mężczyzn i kobiety, ubranych w tweed albo w byle jakie ciuchy, młodych i starych, zdrowych, kulejących, na wózkach. Przypominało to historie golfowe P. G. Woodhouse'a. A tutaj: kije golfowe i nawóz. Z szopy wyszedł mężczyzna. Na głowie miał kowbojski kapelusz.

- To jesteśmy. - Macdonald wyłączył silnik. Little Milton urwał w połowie piosenki o problemach w związku.

Lucinda Williams urwała w połowie piosenki o ukojeniu. *Blue is the color of night*. Halders wyłączył odtwarzacz. Rozdzwonił się telefon. Zapomniał ściszyć dzwonek.

- Chłopaki już są - powiedziała Aneta.
- To dobrze.
- Stało się coś jeszcze.
- Co?
- Przed chwilą dzwoniła siostra Forsblada.
- Miała twój numer?
- Dałam jej.
- Aha.
- Nieważne. Chodzi o to, co powiedziała. A powiedziała, że chce ze mną porozmawiać o czymś, o czym nie wiem. Tak się wyraziła.
- Najwidoczniej zamierza nadal chronić brata.
- Zapytała też, czy widziałam ostatnio Anette.
- I?
- Czy widziałam, jak wygląda.
- A co to ma znaczyć?
- To znaczy, że jadę do niej, żeby posłuchać, co ma do powiedzenia.
- A próbowałaś się z nią skontaktować?
- Nikt nie odbiera. Pod żadnym numerem.
- Poproś któregoś z chłopaków, żeby cię podrzucił na Älvstranden.
- Dobra.
- I zaczekaj tam na mnie. Tymczasem z nią pogadaj.
- Przepytał ją.
- Kto tam u ciebie jest? - zapytał Halders. - Daj mi któregoś. Chcę zamienić kilka słów.
- Bellner stoi obok i podsłuchuje. Poproś go grzecznie.
- Oczywiście, że grzecznie, a jak? - Halders zaczął, aż Bellner się odezwie.
- Słuchaj, Balle. Jest prośba. Mam, kurwa, nadzieję, że nie

za duża - powiedział, kiedy w słuchawce rozległ się uprzejmy głos Bellnera.

Susanne Marke-Forsblad wyglądała na roztrzęsioną. A może to tylko to światło. Tutaj, przy samej rzece, odbijającej wszystkie światła miasta z drugiego brzegu, nigdy nie było naturalne. Plamy światła

migały na jej twarzy niczym nerwowe drgania. W oknie za jej plecami Aneta zobaczyła przepływający prom. Wyglądał, jakby był dziesięć metrów od nich.

- Zadzwoń do mnie Anette - powiedziała Susanne.

Aneta nadal stała w przedpokoju. Bellner i Johannisson mieli czekać na klatce, przynajmniej na początku. Drzwi były otwarte.

- Jest pani sama? - zapytała Aneta.

- Sama? Oczywiście, że tak.

- Czego chciała Anette?

- Ojciec ją pobił. Znowu.

- Ojciec?!

- Tak...

- Znowu?!

- Nie rozumie pani, że właśnie o to chodzi? - zapytała Susanne.

- Dlaczego nie powiedziała mi pani o tym wcześniej? - Aneta nadal stała w przedpokoju.

- Ona nie chciała. Anette.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Gdzie jest teraz?

- Nad morzem.

- Sama?

- Tak. A jak pani myśli, do cholery?

- Gdzie w takim razie jest jej ojciec?

- W mieście.

- Gdzie w mieście?

- Nie wiem. Ale nie ma go tam, nad morzem. Dlatego mogła tam pojechać.

- Pojechać? Jak?
- Moim samochodem. Pożyczyłam jej.
- A gdzie jest pani brat?
- Nie wiem.
- Nie było go z nią w samochodzie?
- Nie.
- Musi pani powiedzieć prawdę.
- Prawdę? Prawdę?! A co pani wie o prawdzie?
- Nie rozumiem.
- Pani myśli, że to Hans... Że to on nękał Anette, ale pani nic nie wie.
- To proszę mi powiedzieć.
- Hans może i ma swoje dziwactwa, może i wydaje się... specyficzny...

Aneta patrzyła, jak plamy światła przesuwały się po twarzy Susanne.

Dlaczego Anette nic nie powiedziała?

Chodzi o coś innego. To milczenie oznacza coś innego.

- Dzwoniłam do niej. Nie odbiera.
- Jest tam - powtórzyła Susanne.

46.

Jedli obiad. Brat Steve'a opowiadał o życiu na wsi. Zaciągał na tyle niezrozumiale, że Steve musiał go tłumaczyć. Wreszcie Winter i Angela zrozumieli, że sobie z nich żartują.

Stuart Macdonald był trzy lata młodszy od brata. Steve był od niego wyższy, ale niedużo. Stuart spędził w Dallas całe życie. Winter zastanawiał się dlaczego, ale widział, że dobrze mu się żyje. No i jeśli farma miała zostać w rękach rodziny, nie miał wyjścia. Ojciec, Ben, siedział z nimi przy stole, ale był to dla niego spory wysiłek. Miał siedemdziesiąt lat i nękały go jakieś problemy z sercem. Za każdym razem, gdy Ruth Macdonald spoglądała na męża, na jej twarzy pojawiał się cień. Angela to zauważyła. Nie umknęło to uwadze Eilidh. Była o dwa lata młodsza od Stuarta. Ciemnowłosa piękność. Zachowywała się z rezerwą, która raczej nie dowodziła braku sympatii. Raczej zdecydowanie. Angela bardzo miło spędziła czas z Sarą i Eilidh. Najpierw w Inverness, potem w drodze tutaj. Eilidh Macdonald nie mówiła za dużo, ale czuło się, że jest ciepłą osobą. Choć w jej oczach widać było smutek. Angela pomyślała, że to bolesne wspomnienia.

Teraz Eilidh się do niej uśmiechnęła.

Ben Macdonald zakasłał sucho. Wstał i podziękował za jedzenie. Wszyscy zaczęli się podnosić, ale powstrzymał ich ruchem ręki.

Oficjalnie uściśnął rękę Angeli i Winterowi.

- Miło było poznać - powiedział.

- Tato, zejdź do nas, jak rozpalimy w kominku - zaproponował Steve.

Ben Macdonald skinął głową, ale wydawał się nieobecny. Zakasłał jeszcze raz. Ruth Macdonald też wstała. Razem obesli stół i ruszyli do drzwi.

Angela widziała, jak rodzeństwo wymienia w milczeniu spojrzenia, kiedy ojciec wychodził z jadalni. Winter też to zauważył.

Stuart podniósł kieliszek bordeaux, tradycyjnego trunku Szkotów. Od czasu, kiedy jednali się z Francją przeciwko

przeklętym Anglikom.

- Wróci - powiedział Stuart.

Ale Ben Macdonald nie przyszedł, kiedy rozpalili w kominku. Płomienie rozświetlały ściany pokoju i okna. Odcinały je od zapadającego na dworze szkockiego wieczoru. Winter widział dziwną kamienną kolumnę na polu. Przypominała twarz zwróconą w stronę światła miasteczka po drugiej stronie.

- Kolorowych snów - powiedział Steve, wznosząc szklanę z whisky

Napili się. Stuart przyglądał się Winterowi i Angeli.

- Specjalnie dla was pojechałem do Bellehighlash - powiedział.

- Bzdura - odparł Steve.

- A co to jest? - zapytał Winter, spoglądając na whisky w szerokiej szklance. Miała bursztynowy kolor i lekko pachniała dymem. Zapach powoli się nasilał. Czuć w niej było także sherry, sporo sherry. I dąb. Duży i masywny. Wszystkie te smaki nagle przybierały na sile, by trwać dłuższą chwilę, a potem znów delikatną słodyczą przebijało z nich sherry.

- Niezła, co? - zapytał Stuart.

- Jedna z najlepszych, jakich próbowałem - odparł Winter.

- Tylko spokojnie - wtrącił Stuart. - Nie dajcie się ponieść chwili.

Winter rozejrzył się, kontemplował tę chwilę: ogień w kominku, wieczór, światło, spokój, zapachy. Podróż. Powód podróży. Kilka powodów.

- Tak czy inaczej, jedna z najlepszych - powiedział.

- Angela? - Stuart lekko skinął głową.

- Wspaniały posmak sherry na końcu - powiedziała.

- Grzeczna dziewczynka - stwierdził Stuart.

Nie była to pierwsza szklanka maltwhisky w życiu Angeli. Nie była amatorką tego trunku, ale ta whisky była wyjątkowa.

- Ktoś zgadnie? - zapytał Stuart.

- Gdzieś ze Speyside oczywiście - powiedział Winter.

- Oczywiście.

Stuart opróżnił butelkę do końca.

Winter się zastanawiał. Wpatrywał się w kolor whisky, w myślach badał okolicę. Nieopodal płynęła rzeka, River Lossie. Była jakaś marka nawiązująca do tej właśnie rzeki.

- Może Linkwood - powiedział.
- Który rocznik? - pytał dalej Stuart.

Jego brat pokręcił głową: to się robi śmieszne.

Winter znów zaczął się zastanawiać. Najlepsza jest whisky dwudziestojednoletnia, a Stuart najwyraźniej kupował towar pierwszej jakości.

- Dwadzieścia dwa lata.

- Dobry rok, ale z marką nie trafiłeś - powiedział Stuart. - Choć to nie był głupi pomysł.

- Jeszcze po jednym? - zapytał Steve i wyciągnął zza fotela brata kolejną butelkę. Miała dziwny staroświecki kształt. Steve przytrzymał ją tak, żeby Winter mógł zobaczyć etykietę: Glenfarclas. No tak. Jedna z najlepszych.

- To byłby mój drugi strzał - powiedział Winter z uśmiechem.

Stuart zarżał.

Winter i Angela leżeli pod trzema pierzynami, a i tak marzyły im nosy. Ogień połyskiwał w kominku. Spali we wschodnim skrzydle ogromnego domu. Ciepło z kominka nie docierało do łóżka.

Byli już po. Winter czuł, że ma mokry kark. Czuł też oddech Angeli na ramieniu. Wciąż pachniała whisky. Glenfarclas miało najdłużej dochodzący posmak świata.

Wcześniej zadzwonili do Elsy. Angela uroniła kilka łez podczas kolacji.

- To już druga noc poza domem - powiedziała, zupełnie jakby to była ekspedycja do Arktyki.

- Elsa jest szczęśliwa - odparł Winter. - Musimy jej pozwolić na samodzielność.

- Nie przez najbliższe dwadzieścia lat.

- Będzie się mogła wyprowadzić z domu, dopiero jak napisze pracę magisterską?

- Czemu nie.

Nagle usłyszeli wycie.

- Są tu wilki? - zapytała Angela.

- Pieski preriowe.

Zauważył, że o czymś myśli. To skupione spojrzenie.

- Erik... - powiedziała.

- No?

- Naprawdę wierzysz, że coś znajdziecie? Że jego znajdziecie?

- Nie wiem.

- Jeśli tak...

- No?

- Uważaj.

Wyjechali po wczesnym śniadaniu.

- Jeszcze tu wrócimy - powiedział Winter do Stuarta. Stuart opierał się jedną nogą o traktor. Przez szyję przewiesił kowbojski kapelusz.

- To poznacie moją żonę - usłyszał.

One of these days he'll get a wife, zaśpiewał Stuart, kiedy wąską drogą wychodzącą z Knockando Burn ruszali na południowy wschód. Winter pomyślał, że ci, którzy się znają na whisky, wszędzie widzą pełno odniesień do niej.

- Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego on nie rozumie - przemówiła z tylnego siedzenia Sara.

- Nie zrozumie czego? - zapytał jej mąż.

- Że na dłuższą metę samotne życie nie jest wcale takie fajne.

- Myślę, że się zastanawia, czy nie poprosić o rękę tej babki z Forres.

- Kogo? - zapytała Sara. - Nic o tym nie wiem.

- Nie jestem pewien, czy ja wiem.

- Widzę sarnę - powiedziała Angela.

Winter dostrzegł jedynie jasny zad zwierzęcia. Znikało w podskokach.

Sarna przypomniała mu o czymś.

Wydawało mu się, że to, co... właśnie zobaczył, czy też czego nie zdążył zobaczyć, było czymś innym. Czymś, co mogło mu pomóc w śledztwie. I to bardzo. Czymś, co zobaczył. Co przebiegło obok? Co tam było i czekało. Coś, czego niemal mógł osiągnąć, co... co... teraz próbował jeszcze wypatrzeć, patrząc na rzekę, kopce i zwirowisko. Były jak brązowa rana w całej tej zieleni. Ale to, co próbował sobie przypomnieć, znajdowało się poza jego zasięgiem.

Do Aberdeen wjechali przed lunchem. Miasto migotało jasnym granitem. Ciemniał, kiedy się podeszło bliżej.

Pojechali od razu na dworzec. Pociąg Sary i Angeli do Edynburga miał ruszyć za dwadzieścia pięć minut. To był pomysł Sary.

- Angela musi zobaczyć Edynburg, a przecież wy jedziecie w zupełnie innym kierunku.

- Północne wybrzeże jest dzikie i piękne - powiedział Macdonald.

- Może tam się wszyscy spotkamy? - dodała Angela. - Chętnie zabiorę się z Sarą do Edynburga.

- Cywilizacja - podsumowała Sara.

- Powiedzmy, że maksimum dwa dni - powiedział jej mąż. - Może moglibyśmy się spotkać w Kingussie. To ładne miejsce, na wyżynach - wyjaśnił Winterowi i Angeli. - Dojeżdża tam pociąg z Edynburga, przez Perth. Podróż nie trwa dłużej niż dwie godziny.

Winter i Macdonald pojechali prosto do Force Headquarters, po drugiej stronie Union Street, naprzeciwko Aberdeen Arts Centre. Budynek wyglądał, jakby go obejmowały katolicka katedra i kościół anglikański.

Inspektor Marion McGoldrick przyjęła ich na siódmym piętrze. Była szczupła, bardzo niska, miała wyraźnie zarysowaną brodę i ciemne oczy. Miała na sobie dobrze skrojony mundur. Była starą znajomą Macdonalda.

Teraz właśnie trzeba takie znajomości wykorzystać, powiedział Steve dzień wcześniej.

Marion McGoldrick miała trzydzieści pięć lat. Na jej biurku

leżał plik dokumentów. Zrobiła, co mogła. Steve Macdonald domyślał się, że zrobiła to po godzinach. Policja z Aberdeen nie mogła sobie pozwolić na wyświadczenie innym przysług w czasie pracy.

- Mam nadzieję, że nie zabrałem ci całego wolnego czasu, Mar - powiedział.

- Owszem. Ale i tak go nie mam.

- Przykro mi to słyszeć.

- Nie ma powodu, Steve. Nie ma powodu. - Zrzuciła szybko gęstymi czarnymi włosami, śmiała się cicho. - Słyszałeś już plotkę o parze, która się rozeszła? - zapytała.

- Ty i Bruce? Naprawdę?

Mieszkańcy wyżyn najwyraźniej są jedną wielką rodziną, pomyślał Winter.

- Poznał jakąś gówniarę w Glasgow - powiedziała Marion. - Miał być na szkoleniu. - Znów się cicho zaśmiała.

- Chyba źle tam wszystko zrozumiał - dodała i spojrzała na Macdonalda. - Podczas szkolenia. - Przeniosła wzrok na Wintera. - Ona też jest policjantką.

- Przykro mi - powiedział Macdonald.

- Na początku chciałam ich oboje rozstrzelać, ale uznałam, że lepiej będzie się skupić na pracy. - Szturchnęła Macdonalda w ramię. - Więc twoja prośba okazała się bardzo na miejscu.

- Co znalazłaś? - zapytał od razu, prosto z mostu.

- Wypadek - odparła. - Ale to żadna niespodzianka.

- Nic nowego? - ciągnął Macdonald.

- Nic. Wygląda na to, że kuter wziął kurs na Kinnaird Head, przepłynął ileś mil na północny wschód i poszedł na dno. Ze wszystkim. - Marion spojrzała na dokument. - „Marino”. Śmieszna nazwa. Zazwyczaj łodzie noszą kobiece imiona, na przykład „Marina”. To klasyka.

- Załoga od jakiegoś czasu przebywała w Aberdeen - powiedział Winter.

- Tak. Mieszkali na statku w porcie, w głębi Albert Basin.

- Wszyscy? - zapytał Macdonald.

- No... najwyraźniej się nie afiszowali. Ale zostali oczywiście zarejestrowani, kiedy tu przyłynęli, na drugą

stronę pola minowego. Mam tu nazwiska.

Sięgnęła po kartkę i podała ją Winterowi.

Winter zauważył, że to kopia. Przeczytał nazwiska. Wypisano je ręcznie, starannie wykaligrafowanymi literami: Bertil Oswald, Egon Oswald, John Oswald, Arne Algotsson, Frans Karlsson.

Było ich pięciu, pomyślał. Wiedział o tym. Ale dlaczego nie ośmiu? Wtedy załogi kutrów liczyły osiem osób.

- Trzech wypłynęło w ostatni rejs - powiedziała Marion.

Winter skinął głową. Egon Oswald, Frans Karlsson, John Oswald.

Teraz Bertil Oswald był martwy, a Arne Algotsson żył w swoim świecie.

- Ale chyba nie wypłynęli tylko we trzech? - zapytał Macdonald.

Marion rozłożyła ręce:

- Nic nam nie wiadomo o tym, żeby jakiś inny rybak do nich dołączył. Przeprowadzono naturalnie gruntowne dochodzenie po tym, jak łódź zniknęła, ale nie wyglądało na to, żeby był tam ktoś jeszcze. I nikt się z nami nie kontaktował w tej sprawie. - Położyła kartkę, którą trzymała w ręce. - A to już coś mówi.

- Łodzi nigdy nie odnaleziono? - zapytał Macdonald. - Mam na myśli wrak.

- Nie.

- A może nie ma żadnego wraku? - powiedział Winter i zrobił krok w przód. Żadne z nich nie pomyślało, żeby w tym małym pokoju usiąść. - Może właśnie popełniłeś freudowski błąd, Steve.

- Proszę jaśniej, inspektorze - powiedziała Marion.

- Może „Marino” wcale nie zatonął - powiedział Winter. - Może po prostu... zniknęli. Z jakiegoś powodu. Przystępstwo? Zemsta? Nie wiem. Może przenieśli się gdzie indziej.

- Do Rio de Janeiro - powiedział Macdonald.

- Nie przeszło ci to przez myśl, Steve? - zapytał Winter.

- To by im się nie udało - wtrąciła Marion.

- Nie? - zapytał Winter.

- W żadnym wypadku. Trzeba pamiętać, że w tamtych czasach nie dałoby się ukryć łodzi na wybrzeżu. A już na pewno nie kutra. Była wojna. O dzisiejszej straży przybrzeżnej można mówić, co się chce, ale wtedy traktowali swoje obowiązki serio. Przecież na Morzu Północnym było pełno niemieckich łodzi podwodnych, niszczycieli i Bóg wie czego jeszcze. Podchodzili do tego poważnie.

- Ale przemyt istniał - wtrącił Macdonald.

- Na pewno nie handlowali z Niemcami - odparła Marion.

- Ale handlowali. - Steve nagle usiadł, ale szybko wstał.

- Porty. Istniały tajne porty. Tajne przynajmniej na tyle, żeby mogli z nich korzystać.

- Wtedy nikt nie przemycał w tajemnicy - powiedziała Marion.

- To dopiero oksymoron - zauważył Macdonald.

- Władze wiedziały o wszystkim - mówiła dalej Marion.

- Wierz mi, Steve. Trochę o tym wiem, bo mój dziadek był jednym z nich. Jednym z najgorszych. Albo najlepszych, jeśli spojrzeć na to z innej strony.

- Najgorszym albo najlepszym kim? Strażnikiem czy przemytnikiem?

- Przemytnikiem - odparła ze śmiechem. - W Sandhaven.

- To mi przypomina *Ojca chrzestnego* - powiedział Macdonald.

- Naprawdę sprawdzano wszystkie porty? - zapytał Winter. Marion skinęła głową.

- Co twój dziadek sądził o przemycie? - zapytał Macdonald.

- Przecież z tego żył. Zależy, jaki jest cel, nie? Nie przemycał w imię ideałów ani dla zabawy. - Uderzyła ręką w plik papierów, jak gdyby chciała podkreślić to, co powiedziała. - Wszystko zawsze rozbija się o pieniądze.

- Cóż... - powiedział Macdonald.

- Nie jesteś przekonany - stwierdziła.

- Kto potwierdził wypadek? - zapytał. - Nie było tam żadnego statku? Ktoś musiał odebrać sygnał, nie?

- Nie - odparła. - To jest odpowiedź na oba pytania.

- Statek widmo - podsumował Macdonald.

- Czy ktoś sprawdził porty tuż po wypadku? Sprawdzili, czy kutra nie ma gdzie indziej? - zapytał Winter.

- Porty sprawdzano cały czas - odpowiedziała.

- Więc samego „Marino” nie szukano? Może zmienił nazwę.

- Z tego co wiem, nie.

- Które porty na tym wybrzeżu są najbardziej znane z przemytu? - zapytał Winter.

- To tajemnica - odpowiedziała i zaśmiała się, może ironicznie. - W przeciwnym wypadku przemytnicy nie mogliby robić interesów, nie?

- Dobra, Marit. Wierzę tobie, twojemu dziadkowi i władzom. Erik też. Ale odpowiedz na to pytanie.

- Najbardziej znane? Hm... Sandhaven, jak już wspomniałam, Bay of Lochielair. Ale Pennan chyba ma najdłuższe tradycje.

- Pennan? - Macdonald wyglądał, jakby sobie coś przypominał. - Pennan...

- To zawsze była wyjątkowa wieś - ciągnęła Marion. - Skały są tam czerwone. Ludzie malowali na czerwono domy, ulica też była czerwona, więc z morza nie było nic widać. Poza tym leży za występem skalnym, też czerwonym, więc nie widać jej z żadnej strony.

- Pennan... - powtórzył Macdonald.

- To daleko? - zapytał Winter.

- No... parę mil na zachód od Fraserburgha - odpowiedziała Marion. - Drogą wzdłuż wybrzeża, w stronę Macduff. Ale, jak powiedziałam, można przegapić.

- *Local Hero!* - krzyknął Macdonald.

Winter się zerwał. Macdonald rozwiązał swój problem.

- Widziałeś film *Local Hero*, Erik? - zapytał, odwracając się do Wintera.

- Eee... tak. Chyba z lat osiemdziesiątych.

- Kręcili go w Pennan. Bill Forsyth szukał jakiegoś podejrzanego miejsca i wybór padł na Pennan.

- Możliwe - powiedziała Marion.

- Pogadamy o tym w drodze powrotnej - powiedział Macdonald.

Marion znów trzymała kartki w prawej ręce.

- Dobrze by było, żebyście je wzięli. Jest tu trochę więcej o tym, co się stało i co robili. Płynęli mianowicie do Peterhead i na chwilę tam się zatrzymali. Potem popłynęli do Fraserburgha, a potem wyprawa się skończyła.

- Co się stało z tymi dwoma, którzy... przeżyli, czy jak to nazwać? - zapytał Winter.

- Byli tu jeszcze jakiś czas, ale potem po prostu zniknęli - odpowiedziała.

- Jak to? - Winter był zdziwiony.

- Tak samo było, kiedy przyплыnęli - powiedziała Marion. - Kozacy ze Skandynawii, którzy dla pieniędzy przepławiali się przez zapory minowe. Prawdopodobnie przyплыnęła kolejna taka grupa. Szybko sprzedali towar i się zawinęli. Na pokładzie byli chyba ci dwaj Szwedzi. Ale nie wiemy na pewno, nikt nie wie. Nagle ślad po nich zaginął.

Zaparkowali przy kościele, na północ od biegnącej w stronę portu Broad Street. Wyrastał z niego las masztów.

- Bez problemu można tam ukryć łódź - powiedział Macdonald, wskazując na port.

Poszli w dół ulicy, minęli Fishermen's Mission. Budynek wyglądał dość nowocześnie, ale to było tylko złudzenie.

W drzwiach poczuli zapach spalenizny i wilgotnych ubrań.

Wiedzieli, że bracia Oswald i tamci dwaj rybacy z Donsö otrzymali od Królewskiej Misji Państwowej dla Rybaków Dalekomorskich jakąś pomoc. Misja istniała od 1922 roku.

W recepcji wisiało duże zdjęcie w ramie. Było czarno-białe i przedstawiało łódź rybacką. Wyglądała na przerobioną na okręt wojenny. Podpis głosił: TRAWLERY NA WOJNIE.

Mężczyzna wyjrzał zza czegoś, co przypominało biurko. Nie zauważyli go wcześniej.

- W czym mogę pomóc? - zapytał, wstając powoli. Zorientowali się, że to starszy pan. Wyglądał, jakby siedział tak od wojny. To on musiał powiesić to zdjęcie, pomyślał Winter.

- Mogę jakoś pomóc? - mężczyzna zapytał jeszcze raz.

Podeszli do biurka i przedstawili się. Mężczyzna też się

przedstawił: był dawnym szefem tej instytucji, nazywał się Archibald Farquharson.

- Czasem tu wpadam i tak sobie siedzę. Przez wzgląd na dawne czasy - powiedział.

- Musiał pan widzieć wielu przyływających i odpływających - powiedział Macdonald.

- W rzeczy samej - powiedział Farquharson.

- Chcielibyśmy się czegoś dowiedzieć o kilku szwedzkich rybakach, którzy prawdopodobnie przebywali tutaj podczas wojny - ciągnął Macdonald.

- Byłem tu. Nie dokładnie w tym miejscu, ale działałem w Misji.

- Chodzi o Johna Osvalda - powiedział Winter.

- Pamiętam go - odpowiedział starszek.

- Słucham?

- Byliśmy rówieśnikami. Pamiętam go lepiej niż jego braci. Miał dwóch braci, nie? - Farquharson szybko przeciągnął ręką po zmarszczonych policzkach. - Straszna sprawa ten wypadek.

Zapytali go o to. Nie wiedział więcej niż inni. Nie wiedział, dlaczego ani co się stało potem, nie miał pojęcia o wraku ani o ofiarach.

- Czasami o tym myślałem. O Johnie. - Nagle spojrzął w bok na drzwi. - To trochę dziwne... ale kilka razy w roku wpatruję się w te drzwi, jakby... John Osvald miał nimi wejść. Niesamowite, co? Pewnie ma to związek z tą tajemniczą katastrofą. Z tym, że nikt nie wiedział. Jak statek widmo, co? - Spojrzął na nich. - A tu... parę tygodni temu... widzę, jak wchodzi. Tymi drzwiami!

Winter i Macdonald odwrócili się, jak gdyby John Oswald stał za nimi i potwierdzał to, co usłyszeli. Ale w drzwiach nikt nie stał. Były zamknięte, pomalowane na niebiesko, na szczególny morski odcień. Na futrynie widać było żółte odpryski. Niebieski z żółtym to kolory Szkocji. Z białym zresztą też, pomyślał Winter.

Znów spojrzął na Farquharsona. Próbował coś wyczytać z jego twarzy Staruszek nie był zmieszany. Wyglądał na pewnego siebie, ale bez przesady. Po prostu stwierdził fakt.

- Wydaje mi się, że mnie zauważył - ciągnął Farquharson.
- Zaczniemy może od początku - powiedział Macdonald.

- Wygląda na to, że czas nic nie zmienia - mówił dalej Farquharson. - Raczej wyostrza. Tak jak wyostrza na przykład wygląd. Rysy twarzy. - Błysnęły mu oczy. - Zostaje to, co najważniejsze.

Winter wziął do ręki zdjęcie Osvalda, to z półprofilu. Kiedy na nie patrzył, był tak samo... sfrustrowany jak wcześniej. Wydawało mu się, że trzyma coś, co... mógłby wykorzystać. Coś, co widzi i jednocześnie nie widzi.

- Hm... To przecież on - powiedział Farquharson, spoglądając w górę. - To ten Szwed.

- Twierdzi pan, że ten człowiek wszedł tutaj jakiś czas temu? - zapytał Macdonald.

- Kilka tygodni temu - odpowiedział Farquharson.

- Jest pan pewien, panie Farquharson?

- Tak.

- Może pan dokładnie określić, kiedy to było? Podać datę?

- No... niech pomyślę.

- Co się stało, kiedy wszedł? - zapytał Winter.

- Zawrócił w drzwiach - odpowiedział Farquharson. -

Pewnie mnie zobaczył.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Macdonald. - Rozpoznał pana?

- Tak mi się wydaje.

- Tak jak pan rozpoznał jego?
- Tak.
- Co było dalej?
- Nic. Po jakimś czasie dotarło do mnie, że to mógł być ten Szwed, więc wyszedłem na ulicę, ale jego oczywiście już nie było.

- Dlaczego tu przyszedł? - zapytał Winter. - Po tylu latach.
- Mógł tu bywać wcześniej - odpowiedział Farquharson.
- Ale pan go nie widział?
- Nie. Ale mógł tu przyjść wcześniej.
- Przecież uznano go za zmarłego - powiedział Macdonald. ,
- Wiem.
- Wydaje się pan spokojny, panie Farquharson. Nie przemknęło panu przez myśl, że widział pan ducha?
- Nie wierzę w duchy.
- Ale statek zniknął, razem z Osvaldem - wtrącił Winter.
- Tak mówią - odparł Farquharson.
- Nie wierzy pan w to?
- W nic nie wierzę. Nic nie wiem.

Usłyszeli, że ktoś wchodzi, i odwrócili się. Dwóch młodych mężczyzn w grubych swetrach i wełnianych czapkach. Ukłonili się Farquharsonowi. Zdawali się nie zauważać Macdonalda i Wintera. Przeszli przez cały pokój i zniknęli za drugimi drzwiami.

- Rybacy z Norwegii - powiedział Farquharson. - Mamy tu grupę Norwegów i Islandczyków Za to Szwedów niewielu.

- A teraz? Są jacyś Szwedzi? - zapytał Winter.
- Mamy mało pokojów - odparł Farquharson. - To nie jest hotel, raczej miejsce dla tych, którzy chcą na noc zmienić środowisko, jeśli coś jest nie tak z łodzią albo coś w tym rodzaju.

- Ani jednego Szweda? - powtórzył Winter.
- Nie w tym tygodniu. W zeszłym było paru.
- Ma pan księgę gości? - zapytał Winter. Macdonald spojrzął na niego. - Kiedy się rejestrują... podają nazwę łodzi?
- Tak, takie są przepisy.

Farquharson wyciągnął tylko rękę po gruby czarny

segregator. Był już otwarty. Przerzucił trzy kartki wstecz.

- Szwedzi - powiedział do siebie. - Nie było mnie tu wtedy. - Spojrzał w górę. - Miałem małą operację stawu biodrowego. - Spuścił wzrok. - Kuter nazywał się „Mariana”. Jedyne nazwisko, które mam obok tej nazwy, brzmi Erikson. - Znów spojrzał w górę. - Przypuszczam, że to kapitan. Wystarczy, jak się zarejestruje sam kapitan.

- Trzeba wpisywać nazwę macierzystego portu? - zapytał Winter.

- Tak, ale nie mogę tego odczytać - odpowiedział Farquharson i odwrócił segregator do góry nogami.

Winter przeczytał: „MARIANA”. STYRSÖ. ERIKSON.

I datę. Dwa i pół tygodnia temu.

Winter wiedział, że na Donsö cumuje „Magdalena”, której kapitanem jest Erik.

Ale czy na Styrösö jest jakaś „Mariana”?

Dlaczego nie?

Pomyślał, że musi zadzwonić do Ringmara i poprosić, żeby to sprawdził.

Farquharson zaprosił ich na szybką filiżankę herbaty. Ściany pokoju pokrywały obrazy przedstawiające kutry. Winter słyszał dochodzący skądś śmiech, ale w tym pokoju wszystko było poważne: ściany, obrazy i wspomnienia. Farquharson powiedział:

- Królewska Misja Państwowa dla Rybaków Dalekomorskich powstała w 1881 roku, po tym jak Ebenezar J. Mather zwizytował statki rybackie na morzu i zobaczył na własne oczy, w jak ciężkich i zagrażających życiu warunkach pracują ci ludzie.

Macdonald i Winter skinęli głowami.

- Teraz jest oczywiście lepiej - ciągnął Farquharson. - Mamy nadzieję, że się do tego przyczyniliśmy. Ale to wyjątkowy zawód. Rybacy są przecież wyjątkowo skutecznie odcięci od codziennych wpływów innych ludzi. To w pewnym sensie nieludzka robota. - Spojrzał na Wintera. - Tam, na morzu, niewiele zostaje z jednostki społecznej.

- Musiał pan widzieć, jak morze wpływa na ludzi, prawda? - powiedział Winter.

- Naturalnie.

- Czy może sprawić, że człowiek przestanie być... człowiekiem?

- Co pan ma na myśli?

- Nie wiem - odparł Winter. - Czy może sprawić, że człowiek stanie się... kimś innym? Kimś... gorszym.

- Tak mi się wydaje.

- Jak było z Johnem Osvaldem?

- To było tak dawno.

- Ma pan dobrą pamięć.

Farquharson wypił herbatę. Jego oczy zrobiły się mętne. Dosłownie. Sam przed wojną był rybakiem. Wrócił na łód dawno temu.

- Byli niespokojni - powiedział po dłuższej przerwie. - Niespokojni.

- W jakim sensie? - zapytał Winter.

- Coś wcześniej zrobili, zdaje się... Jacyś ludzie pytali o jednego z nich. No, sądzę, że miało to coś wspólnego z przemysłem. Chodziło o pieniądze. Nie wiem.

- Z przemysłem? Dlaczego?

- A dlaczego nie? - odparł Farquharson i zaśmiał się. - Tutaj nie było to przecież żadną nowością.

- Czy Szwedzi byli zamieszani w przemysł? - zapytał Macdonald.

- Nie wiem, nie pytałem - odpowiedział Farquharson. - Ale coś było na rzeczy.

- Przemysł czego?

- Czegokolwiek. Była wojna.

- Ale oni cały czas łowili ryby. Na swoim trawlerze „Marino”.

- A łowili? - odparł Farquharson lekkim tonem, może nawet z nutą szyderstwa.

- Jaką funkcję pełnił John Osvald? - zapytał Macdonald.

- Gdzie?

- W grupie.

- Dowodził. Był młody, ale to on decydował. - Farquharson postawił na stole gliniany kubek, który od dłuższego czasu trzymał w ręce. - No cóż... nie znałem bliżej wszystkich tych szwedzkich rybaków, którzy tu bywali. To, co mówię, wynika raczej... z moich obserwacji.

- A potem odpłynęli - powiedział Winter.

- Tak. Nie wiedziałem dokąd, ale później słyszałem, że byli jakiś czas we Fraserburghu.

Salotum Arms Hotel we Fraserburghu stał przy Salotum Square, w samym środku miasta. W budynku w stylu wiktoriańskim mieściła się również restauracja z palmami w oknach i na podłodze, z czystymi dywanami, kwiecistymi tapetami na suficie, wiatrakami z okresu kolonialnego poruszającymi się w rytm dawnych czasów i witryną, w której stały torty i ciasta. W tle leciała muzyka. Mógł to być Glen Miller albo jakaś stara znana brytyjska grupa. Pracownicy wyglądali jak zabytki z innej epoki. Pozostali goście, zajmujący połowę sali, mieli na sobie ubrania z minionych czasów. Małe dziecko krzyknęło kilka razy wniebogłose. Młoda para siedząca przy oknie od wschodu robiła co mogła, żeby je uspokoić.

Winter i Macdonald siedzieli przy piwie i czekali na jedzenie.

Macdonald rozejrzył się dyskretnie. Przeszła obok nich kelnerka z parującą wagą.

- Podejrzewam, że to miejsce jest tym, co nazywają *larger than life* - powiedział.

- Hm...

- To wszystko było takie, zanim przyszliśmy, i takie zostanie, kiedy nas już nie będzie. To coś większego niż życie.

Na północnej ścianie wisiały trzy obrazy z motywami wiejskimi. Miały chyba być wyrazem tęsknoty za czymś innym niż morze i spalone zachodnie skały. Na jednym rolnik szedł za koniem, z pługiem. Symbol pracy.

Inna kelnerka podała im lunch: duże porcje panierowanego łupacza z frytkami i zielonym groszkiem. Winter podmuchał na gorący, mocno wysmażony filec i wziął kawałek do ust.

- Nie najgorsze.

- No myślę - powiedział Macdonald.

Klasyczny posiłek. Kelnerka o matczynym spojrzeniu wróciła i zapytała, czy im smakowało.

- Nigdy nie jadłem nic lepszego! - powiedział Winter.

- Mam nadzieję, że nie jadł pan tego po raz pierwszy - powiedziała.

- Nie, nie.

Macdonald sięgnął po sos tatarski. Podniósł kawałek ryby i kiwnął głową. Wyglądał na dumnego. Winter nie miał serca, żeby mu powiedzieć, że tę rybę prawdopodobnie złowili skandynawscy rybacy na międzynarodowych wodach i że przywieziono ją tutaj ciężarówką z targu rybnego w Hanstholm.

Po lunchu Winter kupił w kiosku na Broad Street „Press & Journal”. Całą pierwszą stronę zajmował jeden news: rybak z trawlera z Fraserburgha wypadł za burtę przy wybrzeżu Norwegii.

Główna siedziba policji mieściła się przy Finlayson Street, na północnych obrzeżach miasta, tam, gdzie we wszystkich możliwych kierunkach wiał silny wiatr. Niebo było czyste, ale powietrze zimne. Naprzeciwko szarego komisariatu stał dom z szyldem: Thule Villa. Winter pomyślał o księciu z szyldu zamkniętej stacji benzynowej w Dallas.

Przyjął ich sierżant Steve Nicoll - wychudzony pewny siebie młodszy inspektor. Nie znał Macdonalda, ale pamiętał, że tydzień wcześniej rozmawiali przez telefon. Zrobił, co mógł.

- Niewiele o nich mam. Z nikim się nie zadawali.

- Co się działo po tym, jak kuter zniknął? - zapytał Macdonald. - Chodzi mi o pozostałych dwóch Szwedów.

- Na początku, podczas dochodzenia powypadkowego, byli tutaj, a później słuch o nich zaginął.

Winter skinął głową.

- Pewnie wrócili do Szwecji.

Winter znów skinął głową.

- Były podejrzenia, że zajmowali się przemytem -

powiedział Macdonald.

- Tak?

- Tak.

- No... to nie jest niemożliwe.

- Co to mogło być? - zapytał Winter.

- Hm... w czasie wojny wszystko warto było przemycać.

- Co było... towarem największego kalibru? - dociekał Winter. Zastanawiał się, za co warto było zniknąć, dokonać poważnego przestępstwa, a może nawet... zabić. - Czy cokolwiek było naprawdę zakazane? - zapytał.

- Zapewne broń - odpowiedział Nicoll. - W zależności od tego, skąd pochodziła i do kogo trafiała.

- Ruch oporu?

- Było ich wiele - odpowiedział Macdonald.

Nicoll potwierdził skinieniem.

- Byli tacy, którzy nienawidzili Anglików bardziej niż Niemców - dodał Macdonald.

Stali przed budynkiem, na schodach. Wiatr szarpał liśćmi na otwartej przestrzeni między szeregówkami. Przed komisariatem stały dwa radiowozy. Za nimi, przy wejściu, widniał napis: ZROBIMY, CO W NASZEJ MOCY.

- Ilu macie ludzi? - zapytał Macdonald.

- Trzydzieścioro - odpowiedział Nicoll. - Wydział kryminalny znajduje się w Aberdeen.

- Ilu kryminalnych?

- Dwunastu. Komisarz dowodzi z Peterhead. - Nicoll pomachał ręką dwóm młodym policjantkom wchodzącym po schodach. Obie były blondynkami. Spojrzały na Macdonalda i Wintera. Nicoll się zaśmiał. - Obie są singielkami.

- W przeciwieństwie do nas - powiedział Macdonald.

- I?

- Czym się tu przede wszystkim zajmujecie? - zapytał Winter. - To znaczy, z czym macie największy problem?

- Z tym co zawsze, ale w innej formie - odparł Nicoll. - Przemysł. Teraz chodzi głównie o heroinę.

- Naprawdę?

- Tak. Dziesięć lat temu była nieznana. Teraz jej pełno.
- To tak jak w Göteborgu - powiedział Winter.
- Jest wszędzie - podsumował Nicoll. W jego głosie słyhać było rezygnację. Tylko przed kolegami nie musiał jej ukrywać. A i to nie zawsze.

Macdonald podrapał się po głowie.

- Gdzie byś się ukrył, gdybyś chciał na dobre zniknąć? Podczas wojny? - zapytał.

Nicoll spojrział zmrużonymi oczami na słońce nad Thule Villa. Świeciło zaskakująco mocno. Winter sięgnął do kieszeni kurtki po okulary przeciwsłoneczne.

- Wzdłuż wybrzeża jest pełno takich miejsc - odpowiedział Nicoll. - Wioski rybackie, wioski przemytników, w których wszyscy nauczyli się pilnować swoich spraw i nie zadawać pytań, a czasem również tolerować obcych.

- Podaj jakąś nazwę - powiedział Macdonald.

Winter założył swoje czarne okulary. Nicoll i Macdonald zrobili się ciemniejsi.

- Pennan - powiedział Nicoll i kiwnął głową w lewo. - Wybrałbym Pennan.

Winter i Macdonald jechali drogą B9031. Biegła brzegiem morza, nad Sandhaveri i Rosehearty. Szlak przemytniczy od średniowiecza.

Drogę prowadzącą do wioski oznaczono ledwo widocznym znakiem. Płaska okolica kończyła się przepaścią. Opadała wprost do morza. Droga nachyliła się pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Jakby jechali kolejką górską w parku rozrywki. Wieś tworzył szereg otynkowanych kamiennych domków. Ciągnęły się przez dwieście metrów, przy samym brzegu. Port był mały, schowany za szerokimi falochronami. Nad Pennan Bay wiał porywisty wiatr. Morze wyrzucało wodę w stronę domów ukrytych w cieniu czerwonych skał. Nie wyglądały na bezpieczne. Plaża była pokryta kamieniami. W połowie jej szerokości leżała czarna drewniana kłoda.

Zaparkowali przed domem z delfinem na ścianie: Dolphin Cottage, numer dziesięć.

- Przypominasz sobie film? - zapytał Macdonald.
 - Tak. Nie tak dawno myślałem o nim - odpowiedział Winter.
 - A miasto rozpoznajesz?
 - Tak mi się wydaje...
 - Chałupy jeszcze stoją - powiedział Macdonald. - Ale film to iluzja albo blef. To dobry przykład tego, że można kłamać obrazami.
 - Ach tak, niby jak?
 - Tu widzisz małą kamienistą plażę - ciągnął Macdonald. - W filmie to naprawdę imponująca, wyludniona plaża. Spaceruje sobie po niej Burt Lancaster.
 - No.
 - Zestawili tutejsze domy z plażą w Morir. To na zachodnim wybrzeżu, prosto na południe od Mallaig. Płynie stamtąd prom do Skye, przez Armadale.
 - No tak. To przecież ziemie twoich przodków.
 - Tak. - Macdonald zamknął pilotem samochód i ruszył przed siebie. - Połączyli Pennan z Morir. Iluzja - powtórzył i machnął ręką.
 - Pamiętam tego samotnika z filmu - zaczął Winter. - Mieszkał w jakiejś chacie przy plaży.
 - Może go tu znajdziemy?
 - Pamiętam też gospodę i gospodarza.
 - Nadal tu jest - powiedział Macdonald.
- Stanęli przed Pennan Inn. Wyjątkowo była zamknięta z powodu złej pogody.
- Moglibyśmy tu przenocować - powiedział Macdonald, a potem spojrzął w niebo. Zaczęło się ściemniać.
- Winter się odwrócił.
- Rozpoznaję ją - powiedział, wskazując ruchem głowy na czerwoną budkę telefoniczną po drugiej stronie ulicy.
 - Ja nigdy tu nie byłem - powiedział Macdonald.
- Z domu stojącego jakieś siedemdziesiąt metrów dalej wyszła kobieta. Szła w ich stronę. Minęła ich, przywitała się. Miała na głowie chustkę, ale nie była od nich starsza.
- Przepraszam - zagadnął Macdonald.

- W pogodny dzień można stąd zobaczyć Orkady - powiedziała.
 - A zorzę polarną? - zapytał Winter.
 - A, widział pan film. - Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie. - Przyjechaliście, żeby to zobaczyć na własne oczy?
 - Nie, nie dlatego tu jesteśmy - powiedział Macdonald.
- Zaprosiła ich do przedostatniego domu. Szli wzdłuż przystani. Wszystko było pozamykane. Kobieta powiedziała, że w 1900 roku we wsi mieszkało trzysta osób. Obecnie na stałe tylko dwadzieścia.
- Minęli jakiś budynek. Winter pomyślał o Dallas.
- Pierwsza nowoczesna budowla od stu lat - powiedziała kobieta.
- Stanęli przed chatką. Zapukała trzy razy.
- Źle słyszy.
- Po piątym razie coś brzęknęło za ciężkimi drzwiami. One też były czerwone.
- Pani Watt?! - krzyknęła kobieta.
- Drzwi zaskrzypiały. Zobaczyli twarz starej kobiety. Oczy miała małe, ale spojrzenie wyraziste.
- No?
 - Pani Watt, ci panowie chcieliby pani zadać kilka pytań.

Wspięli się z powrotem na górę. Dom z delfinem na ścianie, przed którym zaparkowali, w *Local Hero* był gospodą. Latem w zatoce Moray Firth pływały delfiny.

Pamięć pani Watt wracała i uciekała. Do tego mówiła takim językiem, że nawet Macdonald nie dawał sobie rady. Raz kiwnęła głową do samej siebie i wybełkotała coś niezrozumiałego. Coś o rybach.

- Co to znaczy? - zapytał Winter, kiedy wyszli.
- Swoje rybnie odpadki oddaj własnym mewom. Ale nie wiem, co to znaczy - odpowiedział Macdonald i ruszył. - Może chodzi o to, że należy się zajmować sobą i nie wtrącać się w nie swoje sprawy?

Nad nimi było tylko niebo. Obok morze. Pani Watt opowiedziała im o jakimś obcym. Mieszkał sam w chatce przy

skałach Cullykhan, w zatoczce niedaleko Pennan Bay.

- Ale teraz nic tam nie ma - dodała.

Wspięli się tam, ale nic nie znaleźli.

- Mieszkał tam jakiś czas, a potem zniknął.

- Kiedy to było?

- Za wojny.

- Czym się zajmował?

- Pewnie tym samym co reszta. Przemysłem.

- Poznała go pani? - pytał dalej Winter.

- Nie.

- Widziała go pani?

- Nie.

- Skąd pochodził?

- Z tego co się orientuję, nikt tego nie wiedział. I nikt nie wypytywał. - Zmrużyła oczy. Przypominały teraz czarne kamienie. - Mieli na niego... oko... i pewnie dostał... pozwolenie, żeby tam być.

- Oni? Jacy oni? - zapytał Macdonald.

- Mężczyźni z wioski.

- Czy któryś z nich żyje?

- Nie.

- Żaden?

- Nie z tamtych czasów.

- Co się z nim stało? - zapytał Winter.

- Po prostu wyjechał.

Jechali na zachód, w stronę Macduff i Banff.

- Wielu wtedy przyjeżdżało i wyjeżdżało - powiedział Macdonald.

Winter nie odpowiedział. Patrzył w morze za przepaścią. Wystarczyłby jeden szybki ruch kierownicą i poleciliby w dół.

- O czym myślisz, Erik?

- O czymś, co jednocześnie widziałem i nie widziałem.

- Typowy problem policjanta - powiedział Macdonald.

- Cholera.

- Kiedy? Gdzie?

- Przed chwilą - odparł Winter. - Podczas tej wycieczki.

- Wróć myślami.
- A uważasz, że co robię?

Niebo przecięło kilka ciemnych pasów. Słońce zniknęło. Macdonald chciał wrzucić płytę do odtwarzacza, ale się powstrzymał.

- To ma jakiś związek ze zdjęciem Osvalda - powiedział Winter.

Macdonald spojrział w niebo.

- Warto by znaleźć jakiś zajazd, żeby przenocować.

Winter skinął głową.

- Znam takie miejsce - powiedział Macdonald. - The Seafield Hotel w Cullen. To klasyka. Zapomniałem, ale teraz sobie przypomniałem: tam możesz spróbować cullen skink!

48.

Słyszał, jak rozmawiają za jego plecami. Nie wiedział, kim są i dlaczego się tam znaleźli. Nie ruszał się. Zobaczył, że idą, i zrozumiał.

Nie odezwała się, kiedy składali zamówienie.

Może ona też rozumiała.

To była tylko mała przysługa. Wiedział, że może ją poprosić. Wystarczyła jedna rozmowa, jedno proste pytanie.

Ale już jej nie ufał.

Postanowił o wszystkim powiedzieć. Najwyższy czas. Kiedy podjął decyzję? Nad morzem, w samotności.

Po tych wszystkich latach. Na początku było łatwiej.

Kiedy trzeba będzie to wszystko zostawić, będzie trudniej. Choć z drugiej strony nie było ciężko to zostawiać, bo tęsknił. TĘSKNIŁ. Nie chciał tęsknić w samotności, nie teraz.

Kto by pomyślał, że tak będzie? Że chłopak...

Weź samochód, powiedział. Nie potrzebuję go.

Miał błysk w oczach.

Już po wszystkim, powiedział. Modlił się, cały czas się modlił. Wyglądał, jakby postradał zmysły.

Nad morzem unosił się spokój. Wypełnia! plażę.

JEDŹ! - wołał chłopak. Stał.

JEDŹ! Chłopak zawołał jeszcze raz, a jego białe włosy stanęły dęba. Jego ciało wyglądało staro. Było stare, ale nie tak jak jego własne.

Twarz chłopaka była niebieska. Jego serce. Niebieski kolor zniknął. Chłopak poszedł na drugą stronę małego jeziora. Modlił się.

JEZU!

Krzyk wzbił się w górę, ponad szczyty.

Wszyscy jesteśmy przegrani, powiedział. Zmyję z nas grzech,

oczyszczę.

Cieszę się, że mnie wezwałeś. JEDŹ!

W nocy wracały sny. O złocie, srebrze i pieniądzech, które wszystko niszczą.

Ile razy tak siedział z pistoletem w rękę?

Najpierw, tuż po tym, jak to się stało, bał się. Ukrywał się wśród skał, w różnych chatkach, na niszczących statkach. Strzelił raz. Potem wpadł na pomysł, że zrobi to na własną rękę. Po swojemu.

Nie wiedział, co będzie.

Miał go przy sobie dzień i noc.

Miał go, kiedy słyszał głosy w Three Kings, kiedy ich widział. Przybyli z innego świata.

Teraz wspomnienia wróciły, wzbily się w górę jak fale. Wszędzie wokół była woda, morze go zalewało. Spuścił łódź ratunkową w cienie fal. „Marino” zaczął tonąć.

Trzeba było tak zrobić. Już było po Egonie, kuter był stracony.

Poczuł w dłoniach twarz Fransa. Jezu! Nikt nie słuchał. Ani Bóg, ani jego syn. Na plaży były tylko kamienie. Dokonał wyboru. Ale nie wtedy. Dużo wcześniej.

W workach były jeszcze pieniądze. Broń poszła na dno albo popłynęła na północ, tak samo jak ciała.

Syn chłopaka nie zadawał pytań.

Syn chłopaka.

Tutaj!

Bierz to!

Nigdy nie powinni go znaleźć. Przenigdy! Jego twarz się zmieniła, jego ciało też. Imię. Życie. To, co zostało.

Zobaczył ich na ulicy. To był przypadek. Przypadkiem stali przed budką telefoniczną. Przeszli obok niego.

Żaden nie mógł się dowiedzieć!

49.

Aneta siedziała w kuchni Haldersa owinięta kocem. Było jej zimno, a kuchnia była najcieplejszym miejscem w domu. Hannes i Magda byli na przyjęciu urodzinowym, kilka przecznic dalej. Wieczór dopiero zapadał. Halders zrobił jakąś zapiekankę. Z piekarnika dolatywał przyjemny zapach. W salonie Lucinda Williams śpiewała swoim zachrypniętym głosem o samotnych dziewczynach: *lonely girls, geavy blankets cover lonely girls.*

Rozmawiała chwilę z Anette Lindsten. Powiedziała, że właśnie jedzie do domku nad morzem. Znów ucieka?

W tej sprawie o to właśnie chodzi. O uciekanie. Czasem po kryjomu.

To właśnie jedno z oblicz piekła, które przeżywają kobiety, pomyślała. Dziwne połączenie poczucia winy, strachu, chęci posiadania i sprawowania kontroli.

Nie chciała o tym myśleć, ale nie mogła przestać.

Kontrola nad życiem kobiety. Jak to się kończy?

Nie miała wątpliwości co do tego, jak było w przypadku Anette. Hans Forsblad ani na chwilę nie przestawał jej kontrolować. Ani na chwilę. Nic nie mogło go powstrzymać. Trzymał się z dala, ale był tam. Widziała to w jego oczach. W jego spojrzeniu, kiedy na nią patrzył.

Z jej mieszkania zniknęły dwie rzeczy.

Zorientowała się, kiedy czekała na kolegów. A może chwilę później, kiedy już przyjechali.

Nie było muszli. Zawsze leżała w przedpokoju, na półce obok telefonu. Duża i niebieskawa. I niemal przezroczysta. Znalazła ją w

zatoce przy Särö i trzymała tam od dwóch lat. Z tego co pamiętała, nigdy jej nie odkurzała. Został więc wyraźny ślad. Ciemna plama odcinała się na tle morza kurzu.

Brakowało też Kontômé. Maską zniknęła ze ściany. Kto mógł ją ukraść? Nie miała żadnej rynkowej wartości.

Kontômé wisiał na ścianie, żeby jej wskazywać drogę w przyszłość.

Ten, kto się do niej włamał, pozbawił ją wsparcia Kontômé.
Wiedziała, kto to był.

Głos Anette Lindsten brzmiał tak, jakby jej brakowało tchu.
W tle słyhać było odgłosy ulicy.

- Była śmiertelnie przerażona - powiedziała Aneta do Haldersa, mocniej owijając się kocem.

Lucinda Williams wciąż śpiewała o złamanym życiu i złamanym słowach.

- Fredrik, nie możesz puścić czegoś innego? Od tego trzęsie mnie jeszcze bardziej.

Halders wyciągał zapiekankę z piekarnika. Postawił ją na podkładce i wyszedł. Lucinda Williams urwała w połowie piosenki o półsłówkach. Po dziesięciu sekundach ciszy Aneta usłyszała ładną nastrojową piosenkę. Lekką, przyjemną melodię.

- A Beach Boys mogą być? - zapytał Halders, stając w drzwiach. - Są wystarczająco ciepli i słoneczni?

- Przynajmniej na pozór.

- A znasz Beach Boys?

- Nie - odparła i wsłuchała się w piosenkę. - Ale od razu słyhać, że z tymi kolesiami coś jest nie tak. Coś ukrywają pod tymi ciemnymi okularami.

- Masz rację. Ale może mogłabyś o tym zapomnieć na dwie i pół minuty? Potem piosenka się skończy.

Aneta postanowiła nie słuchać. Znow widziała twarz Anette Lindsten.

- Ona wciąż się przenosi z miejsca na miejsce. Ucieka to tu, to tam - powiedziała.

Halders przytaknął.

- Chyba zazwyczaj tak jest? - zapytał.

- Ale ona ma rodzinę.

- I co z tego?

- Rodzina nie zapewnia jej ochrony i wsparcia.

- Ale nie tylko ona się ukrywa - zauważył Halders.

- To znaczy?

- Jej ojciec też. Przez jego córkę wpakowaliśmy się w sam środek jego biznesu. Nie przypuszczał, że tak się uczepisz tej

sprawy. I że się zjawisz w jego mieszkaniu. To znaczy w mieszkaniu Anette.

- Jego biznes?

- To przecież jasne, że jest zamieszany w te kradzieże. A jak byśmy na to wpadli, gdyby nie jego córka?

- Myślisz, że ona wie? I dlatego się boi?

- Może właśnie dlatego - powiedział Halders. - Może się boi, że on pomyśli, że ona go wyda. - Halders postawił zapiekankę na stole. Stała już na nim miska z sałatą i dressing w buteleczce. - Może to przed podejrzanymi interesami ojca tak ucieka. - Spojrzał na nią. - Oczywiście ten bydlak próbuje nas trzymać z dala od niej. I od jej problemów. I od jej męża, Freützblatta. I od jego siostry. I tak dalej.

- No tak. Ale to nie ojca tak się boi. Nie przede wszystkim. Jestem pewna. Tu chodzi o to, że Forsblad jej nienawidzi.

- To dlaczego nie powie tego wprost?

- Myślę, że ona nam to mówi - stwierdziła Aneta. - Tylko my nie dość uważnie słuchamy.

- A teraz jedźcie do tego domku nad morzem, tak?

- Tak powiedziała.

Halders ukroił kawałek zapiekanki z serem i szynką i nałożył Anecie.

- Nie wyglądasz na przekonaną.

- No... Bo ona nikomu nie ufa. Mnie też nie.

- Dlaczego właśnie do tego domku?

- Może tylko tam czuje się bezpiecznie.

W nocy śniło jej się, że jedzie wąską drogą obsadzoną niskimi drzewami. Połyskiwały w świetle reflektorów. Było ciemno. Nad nią rozciągało się niebo, które jednocześnie było morzem. Sama nie wiedziała, skąd to wie. Sen jej to podpowiedział.

Gdzieś w oddali jakaś kobieta śpiewała zachrypniętym głosem, a może raczej krzyczała. Nad nią rozlegał się szum morskich fal. Chociaż we śnie człowiek potrafi przyjąć wszystko, wiedziała, że coś jest nie tak. Dlaczego nad nią jest woda?

W świetle reflektorów stanęła jej mama.

Zrobiła gest, którego Aneta nie zrozumiała. Nie rozumiała, dlaczego chce ją zatrzymać na środku drogi.

Nigdy wcześniej nie śniła jej się mama.

Wjechała na plażę.

Nagle mama też się tam znalazła. I znów zrobiła ten gest. Podniosła obie ręce, stanęła przed samochodem.

I wtedy zewsząd zaczęła płynąć woda. Próbowwała krzyczeć. Krzyczeć! Nie mogła oddychać.

Obudził ją własny krzyk, czy raczej to, że próbowała go wydobyć. Poczula, że obejmuje ją czyjeś ramię. Było ciepłe. Usłyszała głos Fredrika.

Macdonald zaparkował na chodniku przed Seafield Hotel. Miasto chyliło się w stronę morza. Winter stanął na rynku, przez ramię przewiesił torbę. W promieniach słońca widać było, że nadciąga zmrok. Widział ogromne żelazne konstrukcje wznoszące się nad przeciwległą częścią Cullen. Z daleka wyglądały jak ułożone poziomo katedry.

- Imponujące - powiedział.

- Zgadzam się - odparł Macdonald. - Ale pociągi już tędy nie jeżdżą.

Zadzwonili z samochodu. Mieli dwa wolne pokoje, a nawet więcej. Sezon się skończył.

Stary pensjonat zbudowano z białego kamienia. Recepcję wyłożono wypolerowanym mahoniem. Z dodatkiem srebra i złota. Był tam też tartan. Winter domyślił się, że to wzór klanu właścicieli, państwa Campbell. Niebiesko-czarno-zielona krata. Zupełnie jak morze na końcu drogi biegnącej przez Cullen.

Herbert Campbell dyskretnie zapytał ich o plany na wieczór. Czy ewentualnie mógłby polecić hotelową restaurację? Owszem, czemu nie. Zarezerwowali stolik na ósmą.

Zanim poszli do pokoi, zajrzeli do baru i zamówili piwo.

- Niesamowite - powiedział Winter.

- Ten bar jest słynny na całą Szkocję.

Nie chodziło tylko o połyskliwe drewno, z którego zrobiono kontuar, ani o skórzane meble, ani o otwarty kominek, ani o bogato zdobione ściany. Chodziło również o butelki stojące na

barze i na półkach za nim. Winter musiał zapytać.

- Dwieście czternaście gatunków whisky - odpowiedziała barmanka.

- Pamiętaj o tym, jak będziesz zamawiał drinka do kolacji - powiedział Macdonald.

Zadzwoił z pokoju do Angeli. Stał przy oknie i wyglądał na ulicę, przesłoniętą do połowy morze i kolonię kamiennych domków stłoczonych przy przystani.

- Znalazłyście dobry hotel?

- Sara zaproponowała swoje ulubione miejsce, a ja się zgodziłam - powiedziała Angela. - Właśnie patrzę przez okno na zamek.

- Ja na połowę morza.

- A jak dochodzenie?

- Nie wiem.

- Znaleźliście jakiś ślad Johna Osvalda?

- Może. - Winter przysiadł na łóżku, potem się na nim wyciągnął. Było twarde, ale nie za twarde. Przez okno widział skrawek domów po drugiej stronie ulicy. W rogu okna siedziała mewa. - Wygląda to tak, jakby on tu był. Jakby nadal tu był... jeśli wiesz, o co mi chodzi. Rozmawialiśmy z jednym starszym. Znał go wtedy i twierdzi, że widział go niedawno.

- O kurde.

- Ale nie sądzę, żebyśmy go znaleźli.

- Tak czy inaczej, musicie się rozejrzeć.

- Ty też.

- Chciałyśmy jutro po południu pojechać pociągiem do tego miasteczka na wyżynach.

- My też wtedy pojedziemy. Pewnie spotkamy się na kolacji. Kolacja znów nas ze sobą połączy.

- To co robicie dziś wieczorem?

- Zjemy coś. - Winter przekręcił się na bok. - Chcę spróbować tej zupy, *cullen skink*.

- Nie brzmi za fajnie.

- Steve mówi, że jest niedobra.

- W takim razie rozumiem, że musisz spróbować. - Winter

usłyszał w słuchawce jakieś głosy. Mężczyznę i kobietę. - Och, przyszła obsługa. - Winterowi wydawało się, że słyszy Sarę Macdonald. Angela wróciła do słuchawki. - Przynieśli butelkę dobrego białego wina.

- Rozmawiałaś z Elszą?
- Dziś po południu tylko dwa razy.
- Ja dzwoniłem, ale u Lotty nikogo nie było. Komórki też nie odebrała.

- Właśnie są w kinie.

- OK, to zadzwonię później. Widzimy się jutro. Buźka.

Rzucił komórkę na łóżko. Zobaczył twarz Arnego Algotssona i minę, jaką miał ten zakręcony stary rybak, kiedy mówił o zupie z Cullen.

Wyprostował się i zaczął masować ramię. Zdrętwiało mu, kiedy siedział w samochodzie. Teraz, kiedy już przekroczył czterdziestkę, częściej potrzebował masażu.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Tak?! - krzyknął.

- Masz ochotę na spacer przed kolacją? - zapytał Macdonald.

Ruszyli na południe Seafield Street, minęli Bayview Road i zeszli schodami prowadzącymi do śmiesznych domków, które, ciasno do siebie przytulone, tworzyły małe miasteczko przy przystani. Za nimi widać było plażę.

To właśnie było Seatown. Przeszli się wąskimi uliczkami bez nazw. Domy nie były ponumerowane po kolei.

- Chyba są ponumerowane według daty wybudowania - powiedział Macdonald.

Minęli kościół metodystów.

Dalej stała czerwona budka telefoniczna, równie stara jak ta w Pennan. Przechodząc obok niej, Winter nasłuchiwał dzwonka.

Stuletnie schody wykuto w skale. Prowadziły do przystani. Teraz, podczas odpływu, mniejsze łodzie leżały na piachu. Ich kadłuby połyskiwały biało, jak ryby wyrzucone na ląd. Niebo zaczynało ciemnieć. Granat przechodził w czerń. Księżyc, choć

mało widoczny, był na swoim miejscu. Horyzont ciągnął się jak okiem sięgnąć. Domy wyglądały jak pomalowane farbą fluorescencyjną. Dziecięce ubranka powiewające na sznurze wyciągały w ich stronę rękawy.

- Gdzie są ludzie? - zapytał Winter.

Zawrócili. Znów minęli kościół i budkę telefoniczną. W jakimś domu - wyglądał, jakby za chwilę miał się zapaść - podniosła się firanka. Dom był czarny. Firanka poruszyła się jeszcze raz. No tak, kto by się nie zainteresował obcymi?

Spotkali jakieś dziecko. Szło wzdłuż zachodniej ściany, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Chłopiec, może dziesięcioletni, miał na sobie

krótkie spodenki i czapczkę. Widok jak z lat pięćdziesiątych. Wszystko było jak z lat pięćdziesiątych, miejscami nawet jak z lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Winter pomyślał o zapachu, który unosi się chyba we wszystkich brytyjskich domach. O zapachu przeszłości.

Wspięli się na górę i skręcili w prawo, w Bayview. Szli w cieniu wiaduktów, a potem ruszyli w lewo, w North Castle Street. Zobaczyli pub The Three Kings.

Macdonald zerknął na zegarek.

- Może po jednym przed długim powrotem do hotelu?

- Jasne - zgodził się Winter.

W środku było ciemno. Okna były małe. Nie wpuściłyby dużo światła nawet w słoneczny dzień. Za barem stała kobieta w średnim wieku. Najwidoczniej w całym Cullen ten zawód wykonywały kobiety. Przy stoliku pod oknem siedział mężczyzna. Plecami do nich. Przed nim stała szklanka. Na głowie miał wełnianą czapkę. Rybak, pomyślał Winter.

Macdonald zamówił dwa piwa. Kobieta naląła i postawiła przez nimi szklanki. Stali chwilę przy barze, czekając, aż piwo się wyklaruje. Barmanka chyba wyglądała przez okno, pod którym siedział mężczyzna w czapce. Odkąd weszli, ani razu się nie poruszył.

- Skål - powiedział Macdonald.

Napili się. Winter nie mógł się powstrzymać: musiał spojrzeć na plecy rybaka. Były szczupłe, pochylone do przodu.

Stojąca przed nim szklanka do whisky była pusta. Szklanka do piwa też. Wyglądał jak zamrożony. W tych przybrzeżnych miasteczkach niszczonech przez wiatr i sól wielu wygląda, jakby skamienieli. Steve wypił kolejny łyk. Może powinien się cieszyć, że jego dziadek, czy może pradziadek, opuścił wybrzeże. Gdyby tego nie zrobił, on też mógłby tak teraz siedzieć. Przecież ja też jestem z wybrzeża, pomyślał Winter. Ale ja jestem z innego świata.

Tradycją hotelu było zapraszanie gości mających jeść kolację już wtedy, kiedy nakrywano do stołów, a kelner roznosił menu i listę win.

Wintera i Macdonalda nie trzeba było namawiać. Rozsiedli się w skórzanych fotelach przy kominku. Podeszła do nich inna barmanka. Odebrała zamówienie na drinki przed kolacją. Winter poprosił Macdonalda, żeby to on wybrał.

- Co powiesz na Springbank, oczywiście dwudziestojednoletnią? - zapytał Macdonald.

Winter skinął głową. Zapalił corpsa.

W barze cicho grała muzyka. Winter rozpoznał *Galveston* Glena Campbella. Przypadkowa zbieżność nazwisk. Chyba że piosenkarz był dalekim krewnym właścicieli pensjonatu.

Glen jak Glen Deveron, Glen Dronach, Glen Elgin, Glen Garioch, Glen Keith, Glen Mhor, Glen Moray, Glen Ord, Glen Spey, Glen Scotia, Glen Rothes - nieznanne cuda działających w ukryciu gorzelni.

Przyszedł kierownik sali z menu, wypisanym ręcznie i oprawionym w czerwoną skórę.

Poza nimi gości było niewielu: młoda para siedząca na niewielkiej sofie pod oknem, dwie starsze pary siedzące razem przy stoliku na środku sali i młody mężczyzna popijający samotnie przy barze.

Barmanka wróciła z whisky. Przyniosła również karafkę z wodą i dwie dodatkowe szklanki.

Macdonald dolał sobie do whisky kilka kropel wody. Winter na niego zaczekał. Napili się. Była dobra. Na końcu czuć było posmak orzechów kokosowych. A do tego sherry, toffi, trawę

morską i zwykłą i torf. Wszystko to na języku. Złożony smak.

Na przystawkę Winter zamówił *cullen skink*. Wydawało mu się, że całkiem mu odpowiada połączenie wędzonego łupacza z ziemniakami, mlekiem i porem. Macdonald uśmiechał się szeroko znad swojej *bouillabaisse*. Winter kolejny raz pomyślał o Arnem Algotssonie.

Jakim cudem ta nazwa mogła się uchować w jego rozregulowanym umyśle? Dlaczego tak zapadło mu to w pamięć? Może chodziło tylko o pierwszą część, o Cullen? Czy to dlatego? Dlaczego ta mięscina na zawsze utkwiała mu w głowie? Zdarzyło mu się tu przyjechać? Czy ktoś był tu z nim? Czy ktoś ostatnio przypomniał mu tę nazwę?

Jadalnię też urządono w szkockim stylu. Wszędzie polerowane drewno. W jadłospisie tradycyjne szkockie dania przyrządzone nietradycyjnie. Macdonalda trochę to rozbawiło.

Grillowany śledź ze smażonym plackiem owsianym.

Śledź z zasmażaną kaszą.

Black pudding zapiekany w cieście z calvadosem i glazurą jabłkową.

Pudding z kwaśną kapustą i jabłkami.

Black pudding z dziczyzną.

Black pudding z sarniną.

- Nie umywa się do oferty Brentwood Hotel w Aberdeen - powiedział. - Tamci są najbardziej innowacyjni w całej Szkocji. Podają pardwę faszzerowaną haggis i fileta z kurczaka nadziewanego puddingiem z krwi i sosem pomidorowym.

- Dzięki, Steve. Wystarczy.

Winter zamówił solę z pesto i czosnkiem, Macdonald stek. Spróbowali win.

- Pomyślałem, że Craig powinien do nas zadzwonić - powiedział Macdonald, odstawiając kieliszek.

- Hm...

- Trzy rozmowy. Dwie kobiety.

- Ale wiemy, że Johanna dzwoniła tylko dwa razy.

- Craig powinien już być to sprawdzić. Tę trzecią rozmowę też.

- Myślę, że nic nie znajdziemy - powiedział Winter.
- Dlaczego?
- Na pewno to przewidzieli.
- Kto?

No właśnie. Kto? Winter wypił łyk białego wina. Czuł zapach grilla.

Kto?

Rybak, który przeżył, i kobieta, która zadzwoniła w jego imieniu?

Może dawna znajoma Axela Osvalda? Przecież już tu był. A może ktoś, kogo dopiero poznał.

Przyniesiono im jedzenie. Spróbowali. Było smaczne.

Winter zobaczył, że młoda para, którą widział w barze, wstaje od stołu. Kobieta lekko skinęła im głową. Winter zrobił to samo. Jej towarzysz odwrócił się tak, że Winter widział jego profil. Przypominał Johna Osvalda na bladym zdjęciu w sepii, które trzymał w swojej cienkiej teczce. Wciąż tam stał, z profilem jak z egipskich malowideł. Winter miał w pamięci profil ze zdjęcia. Zobaczył profil tego mężczyzny, profil Osvalda, ścianę w hotelu, czerwoną, i schody prowadzące...

- MÓJ BOŻE! - powiedział głośno.

Widelec Macdonalda zawisł w powietrzu. Goście podwracali się w ich stronę.

- Widziałem go! - krzyknął Winter.

Macdonald opuścił widelec.

- Nawróciłeś się nagle, czy co? - zapytał.

- Oswald! On tam był! - powiedział Winter. Macdonald odłożył widelec.

- Gdzie był?

- Jak to się nazywało... Buckie, tak? Tam, gdzie szukaliśmy samochodu z wypożyczalni.

- Tak, Buckie.

- Poszliśmy na herbatę do tego starego hotelu.

- Cluny Hotel.

- I wchodziliśmy po schodach.

- I schodziliśmy - odparł Macdonald z uśmiechem.

Winter machnął ręką, jakby chciał go zbyć.

- Wydaje mi się, że kiedy wchodziłem... Tak, właśnie wtedy, oglądaliśmy te zdjęcia w ramach, na ścianie przy schodach.

- Zdjęcia trawlerów.

- Nie tylko. - Winter widział to teraz. Wszystko stało się jasne, pewne. - Na jednym zdjęciu było dużo ludzi. Stali wokół tego pomnika na rynku. Tego pamięci ofiar. Pamiętam, że obok był opis. Zdjęcie zrobiono, kiedy skończyła się wojna. Są na nim tłumy, ale na pierwszym planie stoi mężczyzna w czapeczce. Widać go z profilu. To był Oswald! - Pochylił się lekko. - To ta sama twarz, którą mam w papierach w pokoju. Ten sam profil. Cholera, wtedy tego nie zauważyłem, ale ta myśl dojrzała w mojej podświadomości. - Spojrzał w bok, ale młodej pary już nie było. - Uświadomiłem to sobie, jak ten chłopak wstał od stołu.

- Koniec wojny. Oswald zaginał cztery lata wcześniej.

- To był on. Jestem pewien.

- Tak... Trochę późno, żeby teraz jechać i to sprawdzać.

- W takim razie zrobimy to jutro. Z samego rana.

Wychodząc, zostawił okno uchylone. Teraz w pokoju pachniało morzem. Kiedy już gasił światło, zadzwonił Ringmar.

- Na Styrö nie ma żadnej „Mariany”.

- Tak też myślałem.

- Nie ma też rybaka o nazwisku Erikson.

Nie spał dobrze. Śniło mu się dużo rzeczy. Nic przyjemnego. W jego śnie wszyscy się bali. On też.

Przed południem zadzwonił do Elsy. Powiedział, że chciałby sobie nagrać jej głos. Przed następną podróżą. Choć nie był pewien, czy jeszcze kiedyś gdzieś się wybierze bez niej.

Śniła mu się też woda, czarna. Widział twarz pod jej powierzchnią. Nie mógł rozpoznać, kto to był. Twarz świeciła mocno, nieprzyjemnie. Oczodoły były puste.

To był ktoś znajomy.

Obudził się o świcie. Chciało mu się pić. Podciągnął trochę

roletę i zobaczył morze. Wydawało mu się, że je słyszy. Słyszał też skrzeczące mewy. Po drugiej stronie ulicy, przed pocztą, stał czarny autobus. Winter przypomniał sobie swój sen. Strach unosił się w pokoju jeszcze teraz, chociaż obudził się już jakiś czas temu. Wypił szklankę wody i zaczął się zastanawiać, czy nie łyknąć odrobiny whisky. Zrezygnował. To będzie wyjątkowy dzień.

Inny niż wszystkie, które przeżył.

Kiedy znów się położył, pomyślał, że ten dzień, który właśnie się zaczął, będzie ostatnim. Skąd ta myśl? Pomyślał, że to prawda, której się nie chce słuchać, a która dochodzi do głosu we śnie.

50.

Wyjechali wcześniej, zaraz po śniadaniu. Macdonald nie spał dobrze. Ale żaden z nich nie zwał wina na whisky. Chodziło o coś innego. O to miasto i o coś, co w sobie kryło.

Można by to nazwać intuicją. To przekonanie, tę nagłą myśl, że się wie, ale nie można tego udowodnić. Intuicja może frustrować. Może też decydować o wszystkim. Obu mężczyźna ta właśnie myśl. A policjant bez intuicji jest spalony.

Do Buckie było bliżej, niż Winter przypuszczał. Mogli wziąć taksówkę wczoraj wieczorem, ale wołał przyjechać tu z czystym umysłem. Zmęczenie już odeszło.

Jechali wzdłuż brzegu morza, przez Portknockie, Findochty i Portessie. Ranek był spokojny, morze ciche. Słońce wyzierało znad szczytu góry, rozświetlając horyzont. Winter dostrzegł dym ze statku balansującego na linii horyzontu. Ani śladu mgły. Pomyślał, że to jeden z najpiękniejszych poranków, jakie Bóg stworzył.

Cluny Hotel był w połowie podświetlony światłem poranka. Macdonald zaparkował przed Buckie Thistle Social Club. Minęła ich grupka uczniów. Jedno z dzieci niosło pod pachą piłkę do nogi.

W hotelowym holu sprzątaczką w szarym uniformie odkurzała schody. Od najniższego stopnia. Ze zdziwieniem spojrzała na dwóch mężczyzn - powitali ją ukłonem - i poszła na górę.

Winter trzymał w ręku zdjęcie Johna Osvalda.

Powoli szedł po schodach, oglądał zdjęcie za zdjęciem. Wszystkie opowiadały czarno-białą historię miasta. Przemysł rybny i ryby były wówczas teraźniejszością i przyszłością tego miejsca. Buckie. Przeszłość nadal żyła. Cluny Hotel do niej należał.

Na ścianach połyskiwał czerwony aksamit.

Winter widział maszty, las masztów. Pomylił się? Czyżby dostrzegł wtedy coś innego... gdzie indziej?

Spojrzał na zdjęcie młodego Osvalda zrobione na szkiełkach.

Widział morze za nim. Wtedy też był piękny, spokojny dzień. Może Oswald odwrócił twarz od słońca? Może go oślepiło?

- Jest ich tu pewnie kilka tysięcy - powiedział Macdonald. Stał o stopień wyżej. Wskazywał na zdjęcie w ramce.

Do piętra brakowało mu trzech schodów.

Winter przyglądał się zdjęciu. Rynek, Cluny Square, był pełen ludzi. Stali, tworząc setki okręgów wokół pomnika Buckie War Memoriał. Wzniesiono go w 1925 roku ku pamięci poległych podczas pierwszej wojny światowej. Zdjęcie zrobiono w roku 1945. Winter przeczytał opis: mieszkańcy Buckie gromadzą się przy pomniku, żeby świętować koniec drugiej wojny światowej. Na kartce była też data - piękny wiosenny dzień. Tłum rzucał las cieni. Winter widział twarze ludzi z pierwszego planu. Mężczyzna w czapce stał tuż przy aparacie. Odwrócił twarz od słońca. To był John Oswald.

- Tak, to on! - powiedział Macdonald.

Winter porównał twarze. Kilka razy. Nie mogło być wątpliwości. Macdonald wziął od niego zdjęcie. On też porównał je z tym ze ściany.

- Tak. Bez wątplenia - powtórzył.

- Ale to nam nie mówi, czy nadal jest w pobliżu - powiedział Winter.

- W pobliżu czego?

- Życia - odparł Winter.

Stali na rynku. Na cokole wyryto napis: *Their Name Liveth Forever*.

Przed jednym z domów siedziało na ławce dwoje starszych ludzi. Winterowi wydawało się, że to ta sama para, którą widział, kiedy tu stał poprzednio. Na ścianie wisiała tablica z napisem: „Sturan House. U nas starsi znajdą opiekę”.

To było dwóch starszych mężczyzn. Winter podszedł do nich i zapytał, czy byli tutaj świętować koniec drugiej wojny światowej. Patrzyli na niego, a Macdonald tłumaczył na szkocki. Zapytali, dlaczego chce to wiedzieć. Macdonald wyjaśnił, a Winter wyjął zdjęcie. Spojrzeli na nie i podrapali się po głowach.

- Nie zechcieliby panowie pójść z nami do hotelu i zobaczyć

zdjęcie, które wisi tam na ścianie? - zapytał Macdonald.

Po chwili mężczyźni wstali. Szli po schodach bez większego wysiłku.

- Długo to tu wisi? - zapytał jeden z nich, wskazując na zdjęcie.

Przyjrzeni mu się.

- Zaplątał się z setkami innych - powiedział drugi i kiwnął głową w stronę zdjęcia.

- Nie widzę cię, Mike.

- Nie pamiętam, gdzie stałem - odpowiedział Mike.

- Poznajecie go? - zapytał Macdonald, wskazując palcem na czapkę Osvalda.

- To ten sam, nie? - zapytał Mike.

- Niech pan sam spojrzy - powiedział Macdonald i wyjął zdjęcie Wintera.

- Tak - odparł Mike, a potem powtórzył to jeszcze kilka razy. - Ale nie znam go.

Macdonald i Winter wsiedli do samochodu. Właściciel pubu znajdującego się po drugiej stronie ulicy podniósł właśnie żaluzje. Przez okno widać było krzesła ustawione na stołach. Słońce oświetlało

część baru. Nagle Winterowi bardzo zachciało się pić.

- Zabrnęliśmy tak daleko - powiedział Macdonald.

- Nie chcesz pójść jeszcze dalej? - powiedział Winter. - To kwestia czasu.

Macdonald spojrział na zegarek.

- Dziewczyny za jakąś godzinę wsiądą do pociągu.

- To lepiej się zbierajmy - powiedział Winter.

Macdonald patrzył na właściciela pubu. Zaczął zdejmować krzesła ze stołów. Miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, żeby go nie oślepiąło światło przebijające się między dwoma domami stojącymi za nim i za Winterem.

- Czuję, że jesteśmy blisko - powiedział Macdonald i odwrócił się do Wintera. - A ty?

Winter skinął głową, ale nie odpowiedział.

- Śledziliśmy go. Przynajmniej w jakimś sensie tropiliśmy,

sześliśmy po jego starych śladach - powiedział Macdonald.

- Albo po nowych - dodał Winter.

- Po nowych i starych.

- Jedźmy przez Dufftown. Kupisz sobie parę butelek Glenfarclas - powiedział Macdonald i przekreślił kluczyk.

Zadzwoiła jego komórka. Wyjął ją z kieszeni kurtki po czwartym sygnale.

- Tak? - Macdonald skinął głową do Wintera. - Cześć, Craig.

- Przepraszam, że to tak długo trwało, ale nie mogłem przekonać władz, że to naprawdę poważna sprawa - powiedział Craig.

- Rozumiem - odpowiedział Macdonald.

- To nie było morderstwo - powiedział Craig.

- Nie z technicznego punktu widzenia - odparł Macdonald.

- W każdym razie mam dane. Dwa razy dzwonił do Glen Islay B&JB przy Ross Avenue abonent ze Szwecji. Numer kierunkowy trzydzieści jeden.

- Córnka - wtrącił Macdonald - Johanna Oswald.

- Tak - powiedział Craig. Macdonald usłyszał szelest papieru. Ktoś coś powiedział w tle. Wreszcie Craig stwierdził wyraźnie: - Niewiele było wtedy rozmów z Glen Islay. Ale jedna może być ciekawa. A przynajmniej trochę inna niż inne. To było wtedy, kiedy mieszkał tam... Axel Oswald.

- Tak?

- Ktoś zadzwonił z budki.

- Świetnie. Budki są łatwiejsze. Komórki wymagają dużo wysiłku. Można określić, skąd ktoś dzwonił, ale później pojawia się mnóstwo trudności. Z budkami jest łatwiej.

Najpierw wiadomo, czy to była budka, a potem - która. Czasami zabierali do zbadania całą.

- Według właścicielki Glen Islay to była kobieta - powiedział Macdonald.

- Niech będzie - odparł Craig. - Dzwoniono z budki w Cullen. Byłeś tam kiedyś?

- Z Cullen?!

- Tak.

- Właśnie tam jadę - powiedział Macdonald.

51.

Aneta jechała do domu. To był naprawdę piękny dzień. Niebo było bezchmurne. Na Sveagatan zewsząd padały wyraźne cienie. Wiatr przynosił świeże powietrze.

Sprawdziła nowy zamek. Szybko przeszła przez hol, prosto do sypialni. Zdjęła bluzę i cienki podkoszulek. Odpinała pasek i nagle zamarła.

Zapięła go z powrotem, włożyła bluzę i złapała się za puls. Co zobaczyła? Nie. Czego n i e zobaczyła?

Powoli wyszła z sypialni.

Muszła.

Leżała na swoim miejscu, na szafce.

Powoli podeszła bliżej. Nie chciała jej ruszać.

Zaczęła nasłuchiwać. Głosów z mieszkania i z zewnątrz. Usłyszała człapanie bosych stóp i odwróciła się powoli.

- Nie sądziłam, że wróci pani tak szybko - powiedziała Susanne Marke.

Stała boso w jej holu. W jej holu!

Anecie nadal dudniło w głowie. Usłyszała samą siebie:

- Co... pani tu robi?

- Czekam na panią - odparła Susanne Marke. W jej spojrzeniu było coś niezwykłego. - Miała pani przecież wrócić do domu.

- Dlaczego? - zapytała Aneta. To było najważniejsze pytanie. Nie kiedy, co ani kto.

- Nadal pani nie rozumie?

Aneta nawet nie pomyślała, żeby się ruszyć. Susanne Marke stała spokojnie. Nie miała nic w rękach.

- Co mam rozumieć?

Susanne nagle zaczęła się śmiać - głośno i ciężko.

- Że Anette i ja...

- Anette i... pani? - powtórzyła Aneta.

Susanne zrobiła krok w przód. Nadal dzieliło je kilka metrów.

- A myśli pani, że dlaczego wszyscy tak milczą? - zapytała. - Łącznie z Anette. No dlaczego?

- Nie wiem, czego pani ode mnie chce - powiedziała Aneta i nagle paraliż ustąpił. - Włamała się pani do mnie. To jest włamanie i...

- MAM TO GDZIEŚ! - krzyknęła Susanne Marke i zrobiła kolejny krok w przód. - Innych też. Myśli pani, że dlaczego mój kochany brat nie może zostawić swojej kochanej żony w spokoju, co? Albo dlaczego ojciec tej kochanej żony nie chce, żeby ktokolwiek się czegokolwiek dowiedział? Co? CO?

- Robiła pani, co mogła, żeby chronić Hansa Forsblada - powiedziała Aneta.

- Nic nie zrobiłam - odparła Susanne Marke. - Ale nie mogłam powiedzieć wszystkiego. Musiałam myśleć również o Anette. O jej potrzebach.

- Gdzie ona teraz jest?

- Długo już tego nie wytrzyma.

Sama wyglądała, jakby miała dosyć.

- Kim jest Bengt Marke? - zapytała Aneta.

- To mój były mąż. Nie ma z tym nic wspólnego.

- Jest właścicielem samochodu, którym wszędzie pani jeździ.

- To prezent. Naprawdę. Bengt nie ma z tym nic wspólnego. Nie mieszka już w Szwecji.

- A gdzie jest Hans? Gdzie pani brat?

- Chciał z nią ostatnio porozmawiać. Próbowałam temu zapobiec.

- Gdzie oni są?

- Anette chciała, żeby zrozumiał. Ostatni raz.

- Nie wierzę - odparła Aneta.

- A w to pani wierzy? - Susanne Marke zatoczyła ręką koło.

- W to, że można wejść do czyjegoś domu, kiedy się chce?

- Widzę, że pani tu jest.

- A wcześniej? Kto był u pani wcześniej? Nie ja. - Nagle wskazała ręką na muszlę. Połyskiwała niebieskawo w jasnym świetle przedpokoju. - Przyniosłam ją z powrotem. Była u mojego brata. Teraz mi pani wierzy?

- Nie bardzo rozumiem, co by to miało wyjaśniać. Nie trafia jakoś do mnie pani rozumowanie.

Susanne wciąż wpatrywała się w muszlę. Jakby miała coś powiedzieć. Muszla wydawała dźwięki. Czasami Aneta przykładła ją do ucha. Słyszała szum morza.

Zapytała o Kontômé.

- Wisiała tu taka maska afrykańskiego ducha.

Wiedziała, że Susanne nie wie, o czym mówi.

- Dostałam od niego to narzędzie - ciągnęła Susanne. - Można dzięki niemu wejść, gdzie się chce. - Spojrzała na Anetę.

- Wie pani, skąd je ma?

- Domyślam się.

- Oni tam teraz są. - Spojrzała na Anetę. - To źle.

- Dlaczego źle?

- Nie powinien był tam jechać. Ona też nie. - Mówiła zmienionym, jakby nieswoim głosem. - Coś się może stać.

Aneta szybko przeszła przez przedpokój. Minęła Susanne. Z sypialni zadzwoniła do Lindstenów Nikt nie odebrał. Zadzwoniła więc do domku nad morzem, ale i tam nikt nie odebrał. Potem na komórkę Anette. Znow nic.

Musiała podjąć decyzję.

W oczach Susanne Marke widziała prawdziwe przerażenie. To nie były wymysły. Jak do tego doszło - dowie się później. Czują, że musi działać. I to szybko.

Wróciła do holu.

- Jest pani absolutnie pewna, że są w domku? - zapytała.

- Tak. Są.

- Kto mianowicie?

- Hans i Anette.

Aneta chwyciła kurtkę z wieszaka. Susanne Marke wciąż stała bez ruchu.

- Jedzie pani ze mną? - zapytała Aneta.

- Czy jadę? Dokąd?

- Do domku - odpowiedziała Aneta, zakładając buty.

Susanne Marke spojrzała na swoje stopy. Weszła do kuchni i wróciła z parą szarych sportowych butów.

- Jadę.

Szybko wyszły.

Z samochodu Aneta zadzwoniła do Haldersa i wszystko mu

opowiedziała.

- Czekaj w domu - powiedział.
- Wierzę jej.
- To nie ma znaczenia. Wpakujesz się w kłopoty.
- Ona jedzie ze mną.
- I co, będzie cię chronić?
- Nie zrobię nic głupiego - obiecała Aneta. - No i mam broń.

Słyszała, jak Halders coś mamrocze.

- Co mówiłeś?
- Gdzie jesteś?
- Jadę tam. Widzę już Frölunda na horyzoncie.
- A gdzie dokładnie jest ta przeklęta dziura?

Rzeczywiście przeklęta.

Wyjaśniła.

- Już jadę.

52.

Winter i Macdonald pojechali z powrotem. Przez Portessie, Findochty i Portknockie. I ten dzień był słoneczny. Niesamowity. Cullen Bay była pusta. Dwa miesiące wcześniej pływały tam delfiny.

Przejechali pod wiaduktami. Rzuciły na miasto długie cienie. Jak cienie rąk i nóg olbrzyma. Albo cienie katedr kładące się na całe Moray i Aberdeenshire. W Seatown było spokojnie. Promienie słońca padały pod takim kątem, że domki wyglądały, jakby się dziwnie pochylały.

Macdonald zaparkował na zachód od Seatown, bliżej Cullen Sands.

Widzieli plażę i otwarte morze. Winter zobaczył komunikat informujący o tym, że woda przeszła wszystkie badania zalecane przez Unię.

Ktoś był na plaży, ale daleko. Widać było tylko sylwetkę.

Przeszli ulicą bez nazwy przecinającą miasteczko. Minęli kościół metodystów. W ogrodzie przed domem stojącym naprzeciwko kościoła suszyły się dziecięce ubranka.

Z tego miejsca nie było już widać przystani.

Budka wciąż stała na swoim miejscu. Nadal była czerwona. Słońce oświetlało szczeliny w pomalowanym na czerwono drewnie. Drzwi były do połowy otwarte.

Zajrzeli do środka. Kabel był na swoim miejscu. Była też książka telefoniczna. Żadnych bazgrołów. Żadnych numerów telefonów do dziwek. Żadnego smrodu moczu. Ani pustych puszek po piwie, ani potłuczonych butelek.

- Prawdziwy unikat - powiedział Macdonald.

- Wszyscy jesteśmy unikatowi - odparł Winter.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Winter nie odpowiedział.

Odwrócił się.

- On mieszka gdzieś w pobliżu. Tutaj, w Seatown - stwierdził.

- Hm...

- Tutaj można przeżyć całe życie, będąc niewidzialnym. Macdonald przytaknął.

- Będziemy chodzić od drzwi do drzwi? - zapytał.

Winter spojrział na niego.

- Może czeka na nas z lugerem, którego zachował z przemytu.

Macdonald się nie roześmiał. Nie uznał tego za żart.

- A dlaczego miałby na nas czekać? - zapytał po prostu.

- Ma swoje tajemnice. A my stanowimy zagrożenie.

- No tak.

Winter jeszcze raz spojrział na budkę. Stała w półcieniu. Widział pół swojego odbicia w szybie. Odwrócił się i spojrział na południe, na domy stojące na wzniesieniu, na Castle Terrace, na wiadukty i ciągnącą się za nimi wyżynę.

Po drugiej stronie drogi widać było uliczkę. Winter przypomniał sobie pub na skrzyżowaniu.

- Ten mężczyzna, który siedział bez ruchu w pubie - powiedział do Macdonalda, wskazując w stronę pubu. - Ten plecami do nas. Był stary. Pamiętam, że nawet nie drgnął, przez cały czas, kiedy tam byliśmy. Całkiem znieruchomiał.

- Może spał - stwierdził Macdonald. - To dość częste w szkockich pubach.

- Nie. Widziałem, że słuchał. I to uważnie.

Macdonald zaczął się zastanawiać nad tym, co mówił Winter.

- Coś było nie tak z tą kobietą za barem - powiedział po chwili.

- Za często ukradkiem spoglądała na jego plecy - dodał Winter.

- Też to zauważyłeś?

- Kiedy o tym wspominasz... Ale sam nie wiem.

- Może to była jego córka. Tego od pleców.

Winter spojrział na zegarek.

- Możemy pójść i zapytać. Puby otwierają o jedenastej.

Aneta jechała wąską drogą na południe. Słońce świeciło mocno. Żałowała, że nie ma ciemnych okularów. Niebo nie mogłoby chyba być bardziej niebieskie.

- Trafi tam pani, prawda? - zapytała Susanne Marke.

- Byłam tam tylko raz.
- Ja też - odparła. Na zakręcie opuściła klapę chroniącą przed słońcem. Spojrzała z boku na Anetę. - A co pani zrobi, jak już dojedziemy?

- Sprawdź, czy wszystko jest tak, jak powinno być.

Zjechały z Säröleden i ruszyły przez pola. Zdawały się falować w słońcu. Już za chwilę powinno się pokazać morze. Dzieliły je od niego las i wzgórze, po którym ostatnio wspinała się Aneta. Tym razem nie miała zamiaru tego robić.

Miała serdecznie dość Susanne Marke. Choć już się uspokoiła. Siedziała bez ruchu.

Jechały między drzewami.

Nagle zobaczyła mamę, tak jak we śnie! Stała na środku drogi. Z całej siły wcisnęła hamulec.

- Co, u li... - zaczęła Susanne. Wyrzuciło ją do przodu.

Przytrzymał ją pas. Rozległ się pisk opon.

Aneta zamrugnęła oczami i spojrzała przed siebie jeszcze raz. Droga była pusta. Nie było kobiety trzymającej ręce w górze, jakby chciała kogoś zatrzymać. Widać było tylko morze. Prześwitywało między drzewami.

Halders wyprzedzał. Ciężarówka, którą już prawie minął, nagle wpadła

w poślizg i zjechała w lewo. Musiał zjechać z pasa. Samochód wpadł na kamienny blok, którego nie powinno tam być. Absolutnie nie powinno go tam być. Samochód się obrócił, ale tylko raz, a potem stanął, jakby był gotowy jechać dalej. Ale Halders nie był. Siedział wbity w siedzenie i myślał o tym, że to niesamowite: oto siedzi tutaj, głowę wciąż ma na karku i myśli o tym, o czym myśli.

Potem stracił przytomność.

Aneta zaparkowała przed domem. Było cicho. Nie było słychać mew. Ani wiatru. Morze wyglądało jak lustro, ale nie było na nim łodzi, które by mogły się w nim odbić. Na niebie nie było chmur.

Susanne Marke jeszcze nie wysiadła, kiedy stanęła przed drzwiami. Nie była całkiem spokojna, ale nie była też roztrzęsiona. Jak ostatnio. Zapukała. Raz, dwa, trzy razy. Zawołała. Otworzyła drzwi. Zawołała znowu:

- Halo! Jest tam kto?

Odwróciła się, ale Susanne wciąż siedziała w samochodzie, w cieniu.

Coś, jakiś inny cień, poruszyło się za nim.

Winter i Macdonald szli Bayview Road. Drzwi pubu The Three Kings były uchylone. Było piętnaście po jedenastej.

Kobieta, która stała wtedy za barem, stała tam nadal. Wycierała szklanki. A może polerowała.

Mogła mieć jakieś pięćdziesiąt lat. To była ona, ta sama co wczoraj. Przeszli po błyszczącej podłodze. Słońce wpadało do środka, jego promienie przecinały blat baru. Kobieta, nie przestając wycierać szklanek, spojrzała na nich. Wyglądało na to, że ich nie rozpoznała. Równie dobrze moglibyśmy być powietrzem, pomyślał Winter.

Wreszcie skinęła głową.

- Tak?

Macdonald spojrzał na Wintera. Spokojnie.

Potem wskazał na jeden z czterech kranów z piwem wystających z baru.

- Dwie pinty proszę.

Kobieta odłożyła szklankę, którą polerowała bez końca, odwróciła się i sięgnęła po dwie inne. Nalała im świeżego, spienionego piwa i postawiła szklanki na podstawkach na blacie.

Macdonald zapłacił. Kobieta cofnęła się kilka kroków.

- Zastanawialiśmy się, czy nie mogłaby pani nam pomóc - powiedział Macdonald.

Kobieta się zatrzymała. Winter widział, że się zdenerwowała. Wiedziała. Zdradziło ją to, że ich na początku nie rozpoznała.

Coś wiedziała.

- Szukamy pewnego mężczyzny - ciągnął Macdonald.

Kobieta popatrzyła najpierw na Wintera, potem na

Macdonalda. Później odwróciła się do nich bokiem.

- Tak?

Wciąż stała bokiem do nich. Na karku drgnął jej mięsień. Nie zapytała, o co chodzi. Co odpowiemy, jeśli zapyta? - pomyślał Winter.

- Wydaje nam się, że mieszka w Cullen - powiedział Macdonald.

- I możliwe, że nazywa się Johnson - dodał Winter.

- Sądzymy, że siedział tu tego popołudnia, kiedy tu byliśmy. - Macdonald wskazał na pusty stolik i krzesło pod oknem. Właśnie w tę stronę patrzyła. Jaskrawe słońce wpadało przez okno, oświetlając pół stolika i pół krzesła. Na zewnątrz było niesamowicie jasno. Kobieta wciąż wpatrywała się w okno.

- Nie znam żadnego Szweda - powiedziała, stojąc nieruchomo.

Boi się, pomyślał Winter. Wystraszyła się tego. I nas. Chociaż nie. Boi się nam cokolwiek powiedzieć. Boi się kogoś innego.

- Długo mieszkał w Szkocji - dodał Macdonald. - Może nie mówi ze szwedzkim akcentem.

Nadal nie zapytała, czemu go szukają. Patrzyła przed siebie. Winter widział przez okno narożnik domu po przeciwnej stronie ulicy i skrawek plaży.

Podszedł do stolika pod oknem. Zobaczył większy odcinek drogi, domy i plażę. I morze. Dachy Seatown. Plażę przecinała skała, The Three Kings. Zauważył klub golfowy tuż przy skałach i parking, na którym stało kilka samochodów.

Podszedł do okna, żeby lepiej widzieć. Obejrzał się i stwierdził, że kobieta, stojąc za barem, też to wszystko widzi.

Spojrzał w okno. Ktoś był na plaży, po tej stronie skały. Może to ta sama osoba, którą widzieli, kiedy parkowali przy Seatown. Wyglądało na to, że się nie rusza.

Winter kolejny raz się odwrócił i zobaczył jej twarz. Wiedział. Spojrzał przez okno na postać na plaży, a potem znów na barmankę. Wszystko było jasne. Wszystko dało się wyczytać z jej twarzy. Macdonald chyba zrozumiał, choć nie do końca wiedział, o co chodzi. Podszedł do okna i zobaczył to co

Winter.

- To on - powiedział, odwracając się do kobiety. - Ten tam na dole to Osvald, prawda?

Nie odezwała się. To też była jakaś odpowiedź. Ruszyli do drzwi.

- Nie mogłam już żyć w tym kłamstwie - powiedziała.

Odwrócili się do niej.

- Proszę? - zapytał Winter.

- Nie mogłam już żyć z kłamstwem ojca - powtórzyła, nie odrywając wzroku od okna.

- Ojca?

- Już nie mogłam. On też nie.

Winter i Macdonald milczeli.

- Wysłałam list.

- Dostali go - powiedział Winter. Odwróciła się gwałtownie w ich stronę.

- Bądźcie ostrożni na plaży!

Szli Bayview Road, a potem schodami. Winter widział przystań, falochrony i kilka łodzi rybackich, tych całkiem małych. Leżały rzędem pod murem.

Widział też stalowy trawler zacumowany tuż przy wejściu na przystań. Był niebieski. Niebieski jak dzisiejsze niebo i morze.

Przeczytał nazwę.

Aneta stała przodem do samochodu. Widziała sylwetkę Susanne za szybą.

Wtedy do pomostu przy domku przywiązana była plastikowa łódź. Teraz jej nie było. To musiało coś znaczyć.

Ktoś się ruszał za samochodem.

- Nie chciałem, żeby pani tu przyjeżdżała - powiedział Hans Forsblad, wychodząc z cienia.

- Gdzie jest Anette? - zapytała Aneta.

- Gdzie Anette? Gdzie Anette? - przedrzeźniał ją. - Ma prawo do własnego życia.

- Nie będzie go miała, dopóki pani nie przestanie się

wtrącać. A wtrąca się pani bez przerwy.

- Przyjechałam tu z pańską siostrą.
- Przecież wiem.

W oczach miał błysk, widziała go nawet w słońcu. Zrobiła krok w przód.

- Co zrobiliście Anette? - zapytała, chociaż znała odpowiedź.

Halders stwierdził, że może poruszać głową. Odzyskał przytomność już po chwili. Niezbyt długo był nieprzytomny. Wokół samochodu zebrali się ludzie. Widział umundurowanych policjantów w radiowozach. Nie ma karetki, pomyślał. Żałują dla mnie karetki.

Ktoś otworzył drzwi. Nie musieli rozcinać karoserii.

Mógł sam wysiąść!

Choć zrobił to przy czyjejs pomocy.

- Karetka już jedzie - powiedział Jansson. A może Jonsson albo Johansson czy cholera wie, jak się nazywa ten inspektor z Frölunda.

- Sam se z niej skorzystaj - odparł Halders. - Ja nie potrzebuję karetki.

Przeszedł kilka kroków. Potem jeszcze kilka.

- Która godzina? - zapytał.

Cośtam-son odpowiedział. Halders wpatrywał się w swój zegarek. Niezbyt wyraźnie widział własną rękę. Spojrzał na umundurowanego policjanta.

- Możesz mnie gdzieś podrzucić? - Nagle poczuł, że musi się spieszyć. Wzrok mu się wyostrzył. - Musimy się spieszyć, do cholery. - Zaczął szukać komórki, ale zrezygnował. - Możesz zadzwonić?

Winter i Macdonald szli plażą. Zostawili Seatown za sobą. Winter widział samochody na parkingu klubu golfowego. Wydawało mu się, że jeden z nich połyskuje metalicznie na zielono.

Szli w stronę postaci stojącej na piasku. To był mężczyzna.

Stał pochylony i wpatrywał się w morze. Widzieli jego profil. Wyprostował się, ale wciąż stał bokiem do nich.

Winter wiedział, kim jest. Macdonald też. To był ten profil.

Już wiedział. Oto nadchodzą. Jeden przy drugim, jeden ciemny, drugi jasny. Jeden w kurtce z zamszu, drugi ze skóry. Jakby cały świat należał do nich. Ale nie! Nie mieli nic.

Kiedy przed godziną dostrzegł w oddali ich samochód, wiedział, że wrócili. Że przyjdą po niego.

Więc czekał.

To pewnie przez ten telefon. Ona pewnie nic im nie powiedziała, nie odważyłaby się. Czy coś takiego można wykryć? Taką rozmowę telefoniczną? Namierzyć, tak się to nazywa. Chyba można.

Nie miał zamiaru odpowiadać na pytania.

To była jego plaża, jego miasto, jego dom, jego życie.

Nie odzywać się. Nie mówić nic.

Mógł ich nastraszyć. Nastraszyć! To nie tak, nie tu miało się to skończyć. Nie mogli mu nic zrobić.

Nie było już nikogo, kto mógłby coś powiedzieć.

Zatrzymali się trzy metry przed nim. Odwrócił się w ich stronę.

- John Oswald? - zapytał Winter.

Popatrzył na nich, jakby byli powietrzem. Wyglądał, jakby się wpatrywał w coś za nimi. W swój dom albo w wiadukt.

- Chcemy tylko wiedzieć, czy to pan - powiedział Winter po szwedzku.

Nie odpowiedział. Patrzył tylko tymi mętnymi oczami.

- Czy nazywa się pan John Oswald?

- Kim jesteście? - zapytał po szwedzku.

- Przyjechałem ze Szwecji. Mam dla pana wiadomość z domu.

Radiowóz minął zagajnik. Jechał w stronę morza. Halders zobaczył wodę. Johnssonowi nie udało się skontaktować z Anetą. Halders spróbował sam. Nie odebrała. Teraz zauważył,

że nie ma zasięgu.

Znaleźli się bliżej plaży i zobaczyli dom. To musiał być dom Lindstenów. Halders zauważył też samochód. Wiedział, że to samochód Anety. Żadnych innych pojazdów.

Przy samochodzie klęczała kobieta. Rozpoznał ją. Susanne Marke.

Piętnaście metrów dalej stał mężczyzna. Pochylał się nad wodą. Jego też rozpoznał. Hans Forsblad nagle wskoczył do wody i zaczął płynąć przed siebie. Halders widział, jak jego buty rozchlapują wodę.

I wreszcie zobaczył Anetę. Stała przy brzegu. Bez ruchu.

Starzec nie powiedział nic więcej, nie ruszał się. Wszystko zamarło. Żadnych mew, ryb, ludzi. Nic. Byli sami w tym północnym świetle.

- Co się stało z pańskim synem? - zapytał Winter, robiąc krok do przodu. - Co się stało z pańskim synem Axelem?

Spojrzenie starca powoli zaczęło się rozjaśniać. Odmłodził przez to.

Na głowie miał czapkę z wąskim daszkiem. Twarz o ostrych rysach. Pod tweedową marynarką sweter z grubej włóczki. Kiedy stał wyprostowany, był wysoki. Winter zauważył, że na policzku ma siną plamę.

Jedna kieszeń marynarki była wybrzuszona.

- Co się stało z Axelem? - powtórzył Winter.
- Został oczyszczony - odparł John Oswald.
- Co to znaczy?
- Oczyszczony z grzechów. Chciał tego. Mnie się to nie udało.
- Nie miał nic na sobie.
- Tylko ci, którzy kochają Boga, są do tego zdolni - powiedział Oswald. Winterowi wydawało się, że jego spojrzenie znów zasnuło się mgłą. - Jakkolwiek by się układało, zawsze najlepiej układa się tym, którzy kochają Boga.
- Grzechy. O jakich grzechach pan mówi? - zapytał Winter.
- O moich grzechach.
- A jakie to grzechy?

Osvald nie odpowiedział.

- Czy chodzi o to, co się stało podczas wojny?

Osvald spojrział na niego, a może na coś innego. Spojrzenie znów miał jasne.

- Już czas - powiedział.

- Proszę?

- Nadszedł czas. - Teraz Osvald przeszedł na szkocki angielski.

- Czas na co? - zapytał Macdonald. Stał obok Wintera.

- Czas, żeby powiedzieć. - Osvald poruszył ramieniem i ręką. Winter znów spojrział na kieszeń jego marynarki. To była...

- Powiedzieć co? - dopytywał się Macdonald. Zrobił krok w przód.

- Nie zbliżaj się! - krzyknął nagle Osvald.

- Powiedzieć co? - powtórzył Macdonald.

- Steve, spokojnie - wtrącił Winter.

Popatrzył na kieszeń marynarki, potem na Macdonalda. Otworzył usta, żeby go ostrz...

- Proszę wyjaśnić, co ma nam pan powiedzieć. - Macdonald był już tak blisko, że mógłby dotknąć Osvalda.

- NIEEEEE! - krzyknął nagle Osvald. Wyciągnął z kieszeni pistolet i wystrzelił. Winter zdążył zauważyć, że to luger. Usłyszał, jak kula przecina powietrze między nim a Steve'em. Usunął się na bok, to był odruch. Nie miał przy sobie broni. Steve też nie. Usłyszał kolejny strzał, i kolejny, ale nie słyszał świstu pocisku. Zobaczył Steve'a, za sobą. Dostał w szyję. Krew tryskała jak z fontanny. Steve zaczął charczeć. Do tego otwarta rana w ramieniu. Tamtędy musiała wyjść druga kula. Widział, jak Steve powoli upada. Poczul smak piachu w ustach. Przebrzydły piach oblepiał mu całą twarz. I ziemia, która wiruje, błękitna kula z nieba i z morza. I nagły odgłos kroków, ale z drugiej strony. Przez zasłonę z piasku dostrzegł profil Erika Osvalda i usłyszał krzyk. Gdzieś przed sobą. I drugi, ale nie wiedział skąd.

Pomyślał, że to on wciągnął w to Steve'a, to on jest za to odpowiedzialny, nikt inny. Że będzie musiał się spotkać z Sarą i spojrzeć jej w twarz, a potem z dziećmi, z bliźniaczkami. Otarł piach z twarzy, rzucił się w przód i krzychał, krzychał, krzychał jak oszalały.

Już po wszystkim Winter mógł cofnąć się w czasie. Kiedy już wszystko zostało powiedziane, zrozumiał, że tak naprawdę wszystko oznaczało coś innego. Wszystko się wyjaśniło.

Tożsamość tylko pożyczamy, to rola, maska. Przekraczamy granicę między prawdą i kłamstwem, a światło gęstnieje, zmieniając się w mrok.

*Nie, słońce nie ujrzy nigdy takiego
Poranka! Twoja twarz jest jak otwarta
Księga: najskrytszą myśl można w niej czytać.
Aby oszukać świat, naśladowaj świat*

Czytał *Makbeta*, późno wieczorem. Wydanie kieszonkowe. Znalazł je w niewielkiej księgarni przy wejściu do szpitala w Elgin, do którego trafił Macdonald z ranami postrzałowymi. Za dwa, trzy dni mieli go przetransportować do Inverness, do Raigmore Hospital. Na razie ryzyko było zbyt duże. Ale miał żyć.

Można by powiedzieć, że Steve miał szczęście, o ile można tak mówić w takich okolicznościach. Ale to nie było szczęście. To było coś, co się wiązało ze wszystkim, co się do tej pory stało. A punktem kulminacyjnym była scena na plaży w Cullen.

To córka Johna Osvalda zadzwoniła na pogotowie, jeszcze zanim padły strzały. Jego córka.

Nazywała się Anna Johnson. Widziała, jak szli do niego. Stała w oknie i widziała skrawek plaży. Akurat ten, na którym stał jej ojciec. A potem zobaczyła, jak się do niego zbliżają. I jak Steve podchodzi za blisko. Wpadła na plażę w tej samej chwili co karetka, która na sygnale wdarła się między skały.

Kiedy zadzwoniła, byli akurat w pobliżu. Jechali na zachód, z Macduff.

Zabrali Macdonalda na najbliższą izbę przyjęć, dwie mile na zachód drogą A96.

Krew Macdonalda rozlana na piachu poczerniała. Wielka

plama wyglądała jak kamień. Nagle, kiedy morze zaczęło się podnosić, przyszła niewielka fala i zmyła ją.

John Osvald ani drgnął.

Pozostało im z nim porozmawiać. Ale był jakby otepiały.

Siedział w areszcie w Inverness. Craig jeszcze go nie przesłuchał.

Tam, na plaży, jego wnuka Erika całkiem sparaliżowało. Załamał się. Winter próbował z nim rozmawiać, jeszcze kiedy Macdonald leżał ranny w piachu. Erik Osvald pochylił się nad nim. Winter nie wiedział, czy Macdonald żyje. Czuł, że serce wali mu jak młot w stoczni w Buckie. Właściwie to nie próbował porozmawiać z Erikiem, tylko krzyczał na niego. Krzyczał, a odgłos strzałów wciąż odbijał się echem nad Cullen. Wykrzyczał swoje pytanie. Przekłęte pytanie, to samo co zawsze: DLACZEGO?

Powinni to jakoś powiązać. Krok po kroku.

Erik Osvald już wcześniej kontaktował się z dziadkiem.

Teraz był w szoku. Oczywiście nie było jeszcze wiadomo, kiedy się skontaktowali po raz pierwszy.

Ale niebieski trawler „Magdalena”, połyskujący symbol przyszłości, stał w porcie w Cullen. Jak dowód. Trafiały na niego pieniądze. Duże pieniądze.

Chodziło o mandaty. O kary.

Ale to Johnowi Osvaldowi nie wystarczyło.

Nad Elgin zapadła noc. Steve nie odzyskał jeszcze przytomności. Jego stan był krytyczny, ale stabilny. Winter widział Sarę. Czuwała przy łóżku. Ściana była w połowie szklana. Na chwilę stanęło mu przed oczami biuro Jamiego Craiga.

Światło nad Steve'em i Sarą było niebieskie.

Angela trzymała go za ramiona.

- Wyjdźmy na chwilę - powiedział.

Powietrze na ulicy było świeże i ostre, choć wiatr nie wiał zbyt mocno. Wciąż było babie lato. Winter widział sylwetkę

katedry wznoszącą się nad miastem. Nie mógł nie pomyśleć o wiaduktach w Cullen i leżącym pod nimi Seatown.

On, Steve, Sara i Angela przejeżdżali przez Elgin w drodze do Aberdeen. To było wczoraj. Mój Boże.

Steve powiedział wtedy, że katedrę w Elgin uważano kiedyś za najpiękniejszą w Szkocji. Za jedyną, która pod względem urody mogła konkurować z kościołem St Andrews.

Teraz został z niej tylko szkielet, ale fasada wciąż była ta sama. Nie traciła na urodzie, kiedy w ciemnościach było widać jedynie jej zarys. Ciemności robiły swoje, pozwalały jej zachować świetność.

Usiedli na ławce. Nic nie mówili.

Zadzwoniła jego komórka. Nie odebrał.

- Chyba powinienes - powiedziała Angela.

Odebrał. Dzwonił Ringmar.

- I jak Steve? - zapytał.

- Wyjdzie z tego.

Rozmawiali już po południu, po strzelaninie. Ringmar też miał dla niego wiadomość. Wstrząsającą. To było wyjątkowe popołudnie.

- Udało ci się porozmawiać z Anetą? - zapytał Winter.

- Nie. Wciąż tam jest i szuka.

- I co? Ani śladu?

- Nie, nadal nic nie znaleźliśmy. To znaczy trafiliśmy na tę plastikową łódź, ale nie na Anette.

- A Forsblad wciąż milczy?

- Tak. Halders już miał nadzieję, że utonie, ale zawrócił do brzegu. A potem nie odezwał się ani słowem.

- To wszystko jest tak cholernie bez sensu - powiedział Winter.

- A kiedy coś ma sens? - zapytał Ringmar zmęczonym głosem. - Aneta jest przekonana, że ją zabił. I że szukamy ciała.

- Trzeba szukać dalej. I dalej przesłuchiwać.

- Siostra Forsblada powiedziała, że ona i Anette zostały parą i że właśnie to tak rozwścieczyło jej brata. Ale według ojca Anette to wszystko nieprawda. Twierdzi, że Susanne tylko szuka okoliczności łagodzących.

- No tak, bo akurat on może przesądzać, co jest prawdą, a co kłamstwem.
- W tym przypadku mu wierzę.
- Ściemnia, a może i gorzej.
- Mówi, że tylko przechował jej meble w tym magazynie na Hisingen.
- Boże.
- Oczywiście nie wyłga się czymś takim. Przecież to zawodowy kryminalista.
- Gdzie był, kiedy zaginęła Anette? - zapytał Winter.
- Cóż, tego jeszcze nie wyjaśniliśmy, ale prawdopodobnie był z kompanami w ich prywatnej Ikei. W każdym razie byli tam, kiedy zapukał tam Meijner ze swoimi ludźmi.
- Pozdrów Anetę.

Siedział z milczącym telefonem w dłoni. Mrok nad Elgin zgęstniał jeszcze bardziej. Sylwetka katedry rysowała się jeszcze wyraźniej. Trzy wieże. Jak trzy skały. Trzej królowie. Katedra przypominała skały z plaży w Cullen. The Three Kings.

Anna Johnson biegła do nich najpierw schodami, a potem plażą.

To była tajemnica, powiedziała im potem. To była nasza tajemnica. Nie. Moja tajemnica.

- Możemy się kawalek przejść? - Angela wstała z ławki.

Winter też się podniósł. Stuart i Eilidh wyszli właśnie ze szpitala. Widział ich po drugiej stronie wyłożonej kamieniami ulicy. Zauważyli jego i Angelę. Kilka godzin wcześniej zdążyli się tylko szybko przywitać. Do Dallas było stąd nie więcej niż osiem kilometrów.

Wtedy nikt nie wiedział, co się dzieje. Wszyscy byli przerażeni.

- To twój opatrunek uratował mu życie - powiedział Stuart.

Spojrzał na koszulę, którą Winter miał pod zamszową kurtką. Pożyczyli mu ją w szpitalu. Jego ubrania wciąż były w samochodzie. Włożył je tam, kiedy wymeldowali się z Seafiel

Hotel.

- Był bardzo prowizoryczny - odparł Winter.
- Ale ciasno zawiązany - odparł Stuart. W niebieskawych światłach szpitala wyglądał na zmęczonego, jakby był starszy od Steve'a. - To była blokada, czy jak tam to nazwali. W szpitalu. Dzięki temu zachował trochę krwi. Tyle, żeby wystarczyło.
- Tak, ale mógł się udusić. Było takie ryzyko.
- Zawsze gdzieś jest złoty środek - powiedział Stuart. Z uśmiechem. - Udało ci się go znaleźć.
- To ja go tam zabrałem.
- Proszę? - Eilidh nie zrozumiała.
- To przeze mnie tam pojechaliśmy. Gdyby nie ja, nie doszłoby do tego.
- Czujesz się winny? - zapytała Eilidh.
- Tak.
- Powiem ci tylko tyle, że Steve jest dorosłym facetem, ma wolną wolę. Jego się nie da nigdzie zabrać.
- Zgadzam się - dodał jej brat. - No i przecież przeżył.

Winter i Angela doszli kamiennymi uliczkami do Mansion House Hotel. Z daleka wyglądał jak zamek. Winter się zachwiał. Angela go podtrzymała.

- Muszę się napić whisky - powiedział.
- Musisz się położyć.

W pokoju napił się whisky i położył. Angela usiadła na fotelu. Oparła stopy na jego udzie. Otworzyli okno. Lekki wiatr wiewał do pokoju świeże powietrze. Nie zapalili ani jednej lampy

- Co się wtedy stało? Na morzu? - zapytała Angela. Latarnia z ulicy oświetlała połowę jej twarzy. Widział jej półprofil. - Podczas wojny?
- To wciąż tylko domysły.
- A czego się domyślasz?
- Że był jakiś układ.
- Jaki?
- Wygląda na to, że John Oswald i jego załoga wdali się w

przemyt. Tak mówi jego wnuk Erik. Ale i on nie wie, co się stało.

Ostrożnie przesunął stopy Angeli na brzeg łóżka. Przekręcił się na bok, sięgnął po szklanke i napił się whisky.

- Ale nie było żadnego wypadku? - zapytała. - Kiedy łódź zatonała?

- Nie sędzę.

- Dowiemy się kiedyś?

- Nie sędzę.

- Ale to, co się stało, było na tyle straszne, że John Oswald musiał zmienić tożsamość. Musiał się stać kimś innym. Zerwać ze swoim dawnym ja.

Winter przytaknął.

- Mój Boże - westchnęła.

- Próbował to zrobić - powiedział Winter. Wypił kolejny łyk. Whisky smakowała jak wiatr wpadający przez okno. - Musiał naprawdę zgrzeszyć przed swoim bogiem.

- Zabił własnego syna? - Angela podciągnęła stopy do siebie. Były bose. Zwinęła się na fotelu, jakby jej było zimno.

- John Oswald? - Winter zmienił pozycję. - Tak, to kolejne pytanie.

- Nie chodziło mi o to, że go zabił dosłownie - wyjaśniła Angela.

- Wiem, wiem, zrozumiałem.

- Więc co się stało tam na górze? Pod Fort Augustus.

- W ostatnich dniach dużo o tym myślałem - powiedział.

- To teraz ja zaczynam - powiedziała Angela. - Trudno o tym nie myśleć. - Wzdrygnęła się. - Ale myśleć też trudno. - Spojrzała na niego. - Rozumiesz?

- Tak, oczywiście.

- No i trudno nie pomyśleć o Oswaldzie i o jego nieznannej córce.

- Nie była nieznaną. To my jej nie znaleźliśmy, ale to nie znaczy, że była nieznaną.

- Czy w takim razie ktoś w mieście o tym wiedział? I kim była jej matka?

- Ona mówi, że jej matka nie żyje. Podobno poznała

Oswalda dopiero kilka lat temu.

- I uwierzyła mu? Uwierzyła, że jest jej ojcem?

- Najwidoczniej mógł to udowodnić. Ale nie znam szczegółów.

Angela zadrżała.

- Zimno ci? - zapytał. - Zamknąć okno?

- Nie, ten wiatr jest przyjemny.

- Chcesz whisky?

- Nie.

- Może odrobinę?

Nie odpowiedziała.

- Angela?

- Myślę, że nie powinnam.

- Proszę?

- Nie powinnam pić alkoholu - powiedziała i pochyliła się ku niemu, tak, że zobaczył jej twarz.

- Nie powinnaś pić...

- Nie powiem nic więcej.

- Nie musisz! - krzyknął i wyskoczył z łóżka, rozlewając kilka bardzo drogich kropeł.

- Kiedy się zorientowałaś? - zapytał. Leżeli już razem w łóżku. Okno nadal było otwarte. W Elgin wciąż było babie lato. O ile można mówić o babim lecie w październiku.

- To musiało być niedawno.

- Mniej więcej pół godziny temu.

- Aha.

Angela trzymała w dłoni szklankę wody mineralnej. Napiła się i odstawiła szklankę na nocny stolik. Przygryzła lekko wargę. Spojrzała w okno.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Nadal o tym, co się stało w Fort Augustus. Między ojcem i synem.

- Hm...

- Masz jakąś hipotezę?

Winter się wyprostował. Czuł zapach rzeki dobiegający zza okna. Lato gdzieś się schowało na noc.

- Myślę, że Axel Osvald marzył o ojcu przez całe życie. To naturalne. No i okoliczności jego zaginięcia były bardzo dramatyczne. Ta tęsknota za ojcem nim zawładnęła. - Odwrócił się do Angeli. - Myślę, że jeszcze o nim usłyszymy. Od Erika i od Johanny. Teraz, kiedy już wiemy, o co pytać. I dlaczego.

- Ale ojciec, John, odezwał się do niego?

- Musiał to zrobić, przynajmniej wtedy, gdy Axel tu był. No i kontaktował się z nim także pośrednio. Przez Erika.

- To on kazał córce zadzwonić?

- Tak.

- Wiedział, co się stanie?

- Kiedy się spotkają?

- Tak.

- Nie znał swojego syna.

- Jak to?

- Nie znał go. Nie wiedział, kim jest Axel. Nie mógł się spodziewać, że jest w nim taka pasja... czy wręcz obsesja. - Zmienił pozycję. Siedział teraz na brzegu łóżka. - Rozumiesz? Coś mogło w nim pęknąć. I to z łatwością. To, że się rozebrał, wiązało się z jego silną wiarą. Z jego własnym wyznaniem. Chodziło o... oczyszczenie. O coś w tym rodzaju. Poszedł w góry, rozebrał się i wykapał. Krok po kroku. To była kąpiel oczyszczająca. Na plaży John Osvald powiedział, że jego syn został oczyszczony z jego grzechów. Jemu się to nie udało.

- Myślisz, że ojciec mu powiedział? Że opowiedział Axelowi?

- O czym?

- O tym, co zrobił. Co się stało wtedy na morzu. - Angela odgarnęła włosy ze skroni. - Na czym polegała jego wina. I jak wielkiej zbrodni się dopuścił.

- Tak. Sądzę, że mu opowiedział. I to się skończyło tragicznie.

- Więc właściwie Axel popełnił samobójstwo?

- Nie wiem. Ale tak myślę. Samobójstwo. Tak. Położenie się tam bez ubrania było samobójstwem. - Przeciągnął ręką po włosach. - Ale w pewnym sensie to było również zabójstwo. - Opuścił rękę. - Sam nie wiem.

- Dowiemy się kiedyś?
- Jak?
- Od Johna Osvalda.
- Może - odparł Winter, choć nie sądził, żeby kiedykolwiek mieli się dowiedzieć. Ale w może było więcej nadziei niż w nie. W tym momencie nie był pewien, czy chce wiedzieć.

Potem znów pomyślał o morzu. O innym morzu, innej plaży. O tej po drugiej stronie Morza Północnego. Na wysokości tego miasta i tego prastarego krajobrazu.

Ostrożnie zsunął z siebie rękę Angeli i wyślizgnął się z łóżka. Angela chrapnęła, ale bardzo lekko. Pozostałość po polipach z dzieciństwa.

Nalał sobie whisky, centymetr, i stanął przy zamkniętym oknie. Uchylił je trochę. Powietrze na dworze wciąż było świeże, ale teraz także zimne. Czuł zapach wody. Oczyma wyobraźni widział morze i szeroką plażę. Był tam z Angela i Elszą, i z małym człowieczkiem, którego jeszcze nie znał. Wszyscy kopali w piachu, a potem również w miękkiej ziemi odrobinę wyżej. Miał ziemię na łopacie. Pchał wypełnioną piachem taczkę. Układał płyty chodnikowe. Uderzał młotkiem w ścianę.

To miał być nowy rozdział w jego życiu.

Podczas drugiej wojny światowej u wybrzeży Szkocji ginie John Osvald, szwedzki rybak. Sześćdziesiąt lat później jego syn Axel również znika bez śladu w trakcie podróży do Szkocji. Na prośbę jego zaniepokojonej córki Erik Winter podejmuje się zbadać tę sprawę. Kolejny raz spotyka swojego kolegę po fachu, Steve'a MacDonalda, by wraz z nim przeprowadzić to trudne śledztwo. Tym razem jednak przyjmuje ono obrót, jakiego żaden z nich nie mógł się spodziewać.

W tym samym czasie w Göteborgu inspektor Aneta Djanali bada sprawę mężczyzny podejrzanego o znęcanie się nad żoną. Policjantka mimowolnie zostaje wciągnięta w wydarzenia, które skłaniają ją do refleksji nad własną przeszłością...

„Kamienny żagiel” to szósty tom bestsellerowej serii kryminalnej Åkego Edwardsona z komisarzem Erikiem Winterem w roli głównej. Pełny napięcia thriller o mrocznych zakamarkach ludzkiej duszy!

Ake Edwardson (ur.1953) Pracował jako dziennikarz i wykładowca na uniwersytecie w Göteborgu. Jako pisarz kryminałów zadebiutował w 1995 roku. Powieścią „Dans med en ängel” (1997) i zapoczątkował słynną serię kryminalną o komisarzu Eriku Winterze.

Obecnie jest jednym z najchętniej czytanych pisarzy nie tylko w Szwecji, lecz także za granicą. Jego książki zostały przetłumaczone na 20 języków. Laureat wielu prestiżowych nagród, uznany za najlepszego pisarza roku 2003 w Szwecji

Wydawnictwo

**CZARNA
OWCA**

Cena 34,90 zł



AirBaba